

Dorothy Dunnet

NICCOLO

Przełożyła Ewa Horodyska

reporter

ROZDZIAŁ 1

Od Wenecji po Kataj, od Sewilli po Złote Wybrzeże Afryki, ludzie zarzucali kotwice, otwierali ładownie statków i ważyli towary, jak gdyby nic nigdy nie miało się zmienić. Albo: jakby nie mogli istnieć głupcy - płci obojga - którzy pewnego dnia potraktują handel (handel!) jako rozrywkę.

Zaczął się to dość niewinnie - ów łańcuch niefortunnnych wypadków, który tylu trosk przysporzył bankierom. Zaczął się od morza, blasku wrześnieowego słońca i trzech młodzieńców, wylegających się w samych kubrakach w wannie księcia Burgundii.

Z owej trójki Claes i Feliks wypatrywali dziewcząt na brzegu kanału. Juliusz, którego instynkty stępiło dodatkowe dziesięciolecie, mile po-krzepiony, z zadowoleniem pogrążył się w myślach, zapominając, że jest czymkolwiek preceptorem. Dobry astrolog kazałby mu natychmiast wy-ściać.

Słońce ogrzewało wannę, a woda niosła ją przez ostatni odcinek krętej drogi. Z pracowni angielskiego odlewnika przepłynęła wąski pas morza ku Niderlandom użyteczną, choć steraną wichrami karawelą. Została nie bez trudu wyładowana w zatłoczonej przystani Sluis - i nie bez trudu umocowana w poprzek łodzi, którą sterowali przypadkowo dobrani wioślarze.

I oto znajdowała się tutaj. Uginająca się pod kiściami cherubinów wanna szlchetnego Filipa, księcia Burgundii, hrabiego Flandrii, margrabiego Świętego Cesarstwa Rzymskiego i posiadacza innych jeszcze, zaszczytnych tytułów. Miejski basen kąpielowy w drodze do jednej z rezydencji księcia w kupieckiej Brugii. Wewnątrz zaś przeprawiali się Juliusz, Feliks i Claes.

Przez chwilę nie mieli nic do roboty. Spokój natchnął Juliusza filozoficznie.

- Czymże jest szczęście? - odezwał się, otwierając oczy.

- To nowy pies gończy - powiedział siedemnastoletni Feliks. Oparł kuszę na biodrach, a jego szczurzy nos był czerwony od słońca. - Ten z wielkimi uszami.

Juliusz skrzywił się, lecz bez złośliwości. Czegóż wymagać od Feliksa?

Zwrócił oczy ku Claesowi, osiemnastolatkowi o posturze dębczaka, z dołkami w policzkach.

- Nowa dziewczka - podsunął Claes. Odkorkował butelkę wina, trzymając szyjkę jak pęcinę ogiera. - Ta z ...

- Dosyć - przerwał Juliusz. Filozofia nie docierała do żadnego z nich. Do Claesa nie docierało nic. Czasami Juliusz był zadowolony, że cywilizacja osiągnęła taki postęp, jaki osiągnęła, by stawić czoło Claesowi. Grecy byliby się wycofali do namiotów.

Claes spojrział na niego ze smutkiem.

- Ja tylko ... - zaczął. Za nim młody Feliks wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Pij! Pij! - powiedział Juliusz - Dość już o dziewczkach. Zapomnij, że cokolwiek mówiłem.

- Dobrze - odparł zaskoczony Claes. Napił się. Odetchnął głęboko. Jego nozdrza miały barwę błękitną. - To przyjemne - powiedział.

Juliusz powstrzymał się od przytaknięcia. Każda odmiana byłaby przyjemna dla farbiarskiego czeladnika. Feliks (jego podopieczny, syn chlebowawcy, codzienne brzemię) cieszył się dzisiejszym polowaniem na króliki, choć na nie nie zasłużył. Jedyne on, Juliusz, pozostawiwszy troski w farbiarni, miał prawo choć raz sobie pofolgować.

Brzegi kanału umykały ku tyłowi. Przewoźnicy pogadywali przyjaźnie i chlapiąc wodą podśpiewywali piosenki. Rozgrzany słońcem cherubin gościł u siebie - wzdłuż krawędzi wanny - trzy rozleniwione głowy, policzek przy policzku. Juliusz spostrzegł*, że trzyma w ręku butelkę wina i zaćmił jej denkiem całe słońce. *Młodzian sumienny, lecz kłopotliwie lekkomyślny*. Tak go oceniano, gdy pobierał nauki w Bolonii.

Niech Bóg ma w opiece wszelkie studia prawnicze. To Flandria, nie Italia. Ochotniczo podjąłeś się wyładowania wanny z pokładu statku. Przyjmujesz propozycję powrotu w wannie do miejsca zamieszkania i zatrudnienia. Zamykasz oczy, by łatwiej popaść w zadumę. Gdzie tu lekkomyślność? Juliusz, notariusz rodziny Charetty, zamknął oczy. Niemal natychmiast, jak się wydawało, poczuł paskudny cios w żebra. Na pół obudzony machnął pięścią w odpowiedzi. Uderzył w coś.

- Ejże! - rzekł Feliks i, zarumieniony, uniósł nogę do kolejnego kopniaka.

Juliusz przetoczył się na bok, unikając stopy. Odgłos spadającej wody wyjaśnił mu, dlaczego Feliks go obudził. Zbliźali się do śluzy.

Głos Feliksa rozbrzmiewał potężnym echem wewnątrz wanny.

- Strąciłeś mi kapelusz - grzmiał Feliks. - Oderwałeś pióro.

Wioślarze sterujący w stronę śluzy obejrzeni się z uznaniem, podobnie jak

Claes, który wstał, aby im pomóc. Prawdę rzekłszy, trudno było uderzyć Feliksa i nie trafić w jego nakrycie głowy. To dzisiejsze miało wysoki czubek i zadarte rondo, niczym papierowa łódka. Pióro opadło, zerwane, na torbę z królikami. W miejscach, które okrywał kapelusz, brązowe włosy Feliksa były zlepione od potu, a loki zwisały niczym korkociągi. Był wściekły.

- Sam mówiłeś, że zdudziło ci się już to pióro - odezwał się Claes. - Czas wydobyć piwo, Meester Juliuszu.

Claes przebywał z rodziną Charetty od dziesiątego roku życia i jako nieprawy syn przywykł do takich rozmów z Feliksem. Z biegiem lat Claes stał się nie tylko czeladnikiem, lecz także swego rodzaju giermkim młodego Charetty. Feliks systematycznie usiłował maltretować Claesa, przeważnie jednak tolerował go. Matka Feliksa, wdzięczna za chwile spokoju, zwalniała Claesa z farbiarskich obowiązków, gdy tylko Feliks o to poprosił. Juliusz, równie wdzięczny, żywił nadzieję, że przerywane terminowanie Claesa potrwa aż do osiągnięcia przez Feliksa dojrzałości - a może nawet do starości i pogrzebu.

Wyrozumiąły Juliusz nie miał nic przeciwko paniczowi Feliksowi. Dawał sobie z nim radę. Claes oczywiście nie miał władzy nad nikim i dlatego tak często obrywał. Dzięki temu był bardzo pomocny. Juliusz patrzył, jak Claes po raz ostatni macha wiosłem, odkłada je, przechodzi na rufę łodzi i podaje Feliksowi kapelusz. Każdy zapamiętywał jedynie wzrost Claesa, dołki w jego policzkach i uczynność. A także i to, że żadna istota płci żeńskiej poniżej dwudziestki nie była bezpieczna przed jego zakusami.

Juliusz widział nad brzegiem wanny jego kłapiące usta i słyszał brzęczący wewnątrz głos Feliksa. Nie przyłączył się do dyskusji na zwykłe tematy. Oczywiście lubił popatrzeć na urodziwą kobietę. Miał swój udział w marnościach świata. Wiedział, że jego wygląd przyciąga uwagę. Niejeden raz musiał już przedtem wycofywać się z dwuznacznych sytuacji z młodymi żonami klientów. Nie chodziło także o to, że rozważał wstąpienie do klasztoru - przynajmniej dotychczas. Jeżeli jednak nadarzała się dobra sposobność, należało być gotowym. Był powściągliwy. Nie targały nim żądze, jak Claesem nie wzdychał jak nieszczęsny Feliks, gdy przyszło im płynąć rzeczny kanałem pomiędzy Sluis i Damme, mijając po drodze trzy mile damskich kostek, a nawet kolan, jeśli się miało szczęście.

Co więcej, przystępnych kostek. Na wybrzeżu obydwu portów Brugii, pośród szop, spichrzy, zagród i słupków do cumowania, nie było wielkich pań o strzelistych nakryciach głowy i wygolonych czołach, z perłami na trzewikach. Były za to zuchwale wykrochmalone, białe czepeczki i przemysłnie udrapowane fartuszki w ilościach wystarczających, by zadowolić nawet Claesa, pomyślał Juliusz. Najzwyklejsze z dziewcząt pokrzykiwały do tego czy

owego młodzieńca. Mężczyźni śpiewali, a chłopcy biegali wzdłuż brzegu, dotrzymując kroku wiosłarzom. Jeden wrzucił do wanny kamyk, który zadźwięczał niczym serce kościelnego dzwonu. Dźwięk ten zagłuszyły po chwili wrzaski chłopca, biorącego od ojca pospieszne lanie. Nawet w Brukseli? Dijon czy Lille, książę Filip mógł usłyszeć to i owo.

Claes stał obok Feliksa. Feliks dawał władcze znaki kapeluszem, a pióro przejął Claes. Zwisało z jego czupryny niczym linka od wędki, długie na trzy stopy- Na drugim końcu łódki Juliusz pomógł zarzucić cumę i uniółst ku strażnikowi śluzu zwyczajową beczkę brugijskiego piwa.

Mężczyzna spojrział na niego dwukrotnie, zanim wymówił jego imię. Bez swej togi nie był Meester Juliuszem, prawnikiem, był po prostu kolejnym nicponiem po dwudziestce. W chwilach większej trzeźwości Juliusz uświadał sobie, że postępuje niestosownie. W chwilach mniej trzeźwych nie chciał się tym kłopotać. Strażnik śluzu bez trudu rozpoznał Feliksa i Claesa. Wszyscy w Brugii i Leuven znali dziedzica rodu Charetty i jego nieodłącznego towarzysza.

Na śluzie nie było żadnych innych łodzi: kolejna oznaka potęgi księcia. Galar wypłynął, a wrota pływowe zawarły się skrzypiąc. Strażnik schował piwo i pomaszzerował otwierać upusty. Z wysokiej grzędy wodnej Juliusz spoglądał przed siebie, gdzie za zamkniętymi drewnianymi wrotami kanał biegł prosto przez obszary bagienne ciągnące się aż po odległe wieżycy Brugii- Tuż za śluzą inna barka, płynąca ku morzu, czekała przycumowana, aż ich łódź się wynurzy.

Ona także była głęboko zanurzona w wodzie. I także wiozła jeden ładunek: pojedynczy, grubo owinięty przedmiot długości jakichś piętnastu stóp, który jednak nie wystawał z obydwu stron jak książęca wanna, lecz mieścił się zgrabnie wewnątrz barki, znosząc niemal bez drgnienia kołysanie wody.

Powyżej, na oczyszczonym i strzeżonym pasie nabrzeża, stała grupa niewątpliwie dostojnych osób, pośród których unosiło się nawet jedno strzeliste nakrycie kobiecej głowy. Juliusz obserwował ich z niedostępnych wyżyn śluzu. To samo czynili Feliks, Claes i wiosłarze.

Były tam chorągwie. I byli żołnierze. Była grupa wystrojonych miejscowych duchownych, towarzysząca średniego wzrostu biskupowi o szerokich ramionach, który aż lśnił cały od drogich kamieni. Juliusz wiedział, kto to jest. Należał do niego szkocki statek *St. Sahator*, największy z okjatów, jakie widzieli w Sluis. Był już rozładowany i właśnie zabierał nowy łamuek do Szkocji.

Odezwał się Feliks:

- To biskup Kennedy, kuzyn króla, przybył spędzić zimę w Brugii. Ci

ludzie przypłynęli wraz z nimi ze Szkocji: pewnie od wylądowania siedzieli w Damme. Na co tu czekają?

- Na nas - rzekł Claes radośnie. Pióro poruszyło się powoli.

- Barka - powiedział Feliks. Niekiedy ujawniał się w nim przyszły obywatel miasta. - Co jest na tej barce? Może ładunek dla *St. Salvadora*? Niekiedy Feliks miewał słuszość.

- Cenny ładunek - odparł Juliusz. - Spójrz. Wszędzie ma pieczęcie samego księcia Filipa.

Oczywiście, stąd się wzięli eskortujący żołnierze i przesadnie wystrojony dostojnicy. Była także chorągiew książęca, w cieniu której stał drugi zarządca dóbr księcia. Była flaga Brugii, a pod nią burmistrz i kilku ceklarzy. A także najinteligentniejszy pełnomocnik w Brugii i jeden z najbogatszych: Anzelm Adorne w bramowanej futrem szacie. Jego pociągłą twarz poety okalały szarfy kapelusza. Towarzyszyła mu żona, której sztywne włosy były roztropnie ukryte pod czepkiem; najwyraźniej miała za zadanie strzec jedynej niewiasty w niewielkiej świcie biskupiej. Niewiasta owa obróciła się i zobaczyli, że jest to urodziwa, zagniewana panna. Feliks oznajmił:

- To Katelina van Borselen. Wiecie. Ma dziewiętnaście lat. Wysłano ją do Szkocji, by tam wyszła za męża. Zapewne wróciła wraz z biskupem. Może jestem ślepy, lecz nie widzę małżonka.

Panna czy mężatka, dziewczyna nazwana Kateliną nosiła strzeliste nakrycie głowy. Wicher wydymał welon, który łopotał niby chorągiew, tak że musiała przytrzymywać go obydwoma zaciśniętymi w pięści dłońmi. Nie miała na palcu obrączki, lecz towarzyszyli jej dwaj prawdopodobni konkurenci, z którymi przypuszczalnie przypłynęła. Pierwszy był wytwornym, starszym, brodatym mężczyzną w modelowanym kapeluszu i szacie, co do której Juliusz mógłby przysiąc, że pochodzi z Florencji. Drugi był jakimś głupim bawidamkiem.

Dobry astrolog pochwyciłby w owej chwili Juliusza za ramię. Dobry astrolog rzekłby mu: Nie patrz na biskupa, nie odzywaj się do damy, trzymaj się z dala od Anzelma Adorne i brodatego Florentyńczyka. Przede wszystkim zaś, przyjacielu, wysiądź natychmiast z łodzi, zanim zdążysz zawrzeć znajomość z człowiekiem, którego określasz jako „głupiego bawidamka”.

Nikt nie pochwycił Juliusza za ramię. Los, który miał lepszy pomysł, pozwolił Juliuszowi stłumić iskrę zazdrości i dostrzec przed sobą na nabrzeżu uderzająco przystojnego mężczyznę o jasnej cerze, w jedwabnej tunice, krótkiej jak koszula. Jego włosy, widoczne między czapką a uchem, jaśniały czystym złotem. W wyrazie jego twarzy, między wysokim czołem a dołkiem w brodzie, zniecierpliwienie spletało się z niewysłowioną pogardą.

Towarzyszył mu giermek z insygniami herbowymi, był zatem ważną

osobistością. Giermek trzymał ostrożnie smycz masywnie zbudowanego psa gończego, pokrytego czaprakiem z tym samym herbem. Jego pan stał upozowany jak na portrecie, trzymając dłoń na rękojeści miecza, zgiąwszy jedną kształtną nogę w błękitnej pończosze, gdy druga - w białej - trwała wyprostowana. Oczy, od niechcenia mierzące zebranych, napotkały spojrzenie dziewczki służebnej. Szlachetny pan uniósł brwi, a dziewczyna spłonęła rumieńcem, przyciskając do siebie wiadro.

Claes, stojąc nieruchomo obok Juliusza, zapomniał o swoim piórze. Juliusz kichnął nie odrywając oczu od wielmoży, który teraz zauważył ich wannę. Wydawał się rozbawiony. Pstryknąwszy palcami ujął smycz swego psa i ruszył w stronę służy, rzucając po drodze słówko damie. Sprawiał wrażenie, jak gdyby mógł i na nią pstryknąć palcami, choć tego nie uczynił, pomyślał Juliusz. Odprowadziła go spojrzeniem, lecz nie ruszyła za nim.

Wspaniale odziany magnat podszedł bliżej. Nie był tak młody, jak się wydawało z oddalenia. Trzydzieści trzy, trzydzieści cztery lata. Błękitna tafta skrojona była na francuską modę, podobnie jak peleryna spływająca z jednego ramienia i wygięte rondo kapelusza z wpiętym rubinem. Juliusz, który spędził w Brugii dwa lata, nigdy go dotąd nie spotkał. Feliks - tak. Skubiąc palcami swój ohydny różowawy aksamit, Feliks przemówił tonem pełnym niechętnego podziwu:

- To Szymon - rzekł. - Jedyne spadkobierca swego wuja z Kilmirren w Szkocji. Powiadają, że żadna mu nie odmówi. Bogate myślą, że je poślubi, a biedne nie dbają o nic.

- Co? - zapytał Juliusz. Claes milczał. Pióro zastygło w bezruchu.

- Bogate ... - zaczął Feliks.

- Mniejsza o to - przerwał Juliusz. Szymon z Kilmirren przystanął na nabrzeżu tuż obok nich. Podwodne wrota służy stanęły otworem. Woda, po której dryfowali, zmarszczyła się nieco i zawirowała, a na ścianie służy pojawił się pas wilgoci. Nadszedł strażnik.

- Mój biedaku - rzekł człowiek nazwany Szymonem. - Nie spieszysz się zbyt, flamandzki gburze, co? Widzę u ciebie piwo.

Biegle władał flamandzkim. Strażnik służy bez trudu przełykał obelgi szlachty, zwłaszcza gdy dostrzegał w tym jakiś zysk. Odpowiedział więc:

- Taki jest zwyczaj, panie. Piwo przy wjeździe do Brugii, należność płatna w drodze powrotnej. Wielmożny pan wybiera się do Brugii?

Juliusz zastanawiał się jak ktokolwiek, nawet strażnik służy, może w owym uśmiechniętym obliczu dojrzeć obietnicę piwa. Szkocki arystokrata imieniem Szymon nie przestawał się uśmiechać.

- Wielmożny pan jest spragniony - rzekł. - Czeka, aż ten śmieć opuści służę. Jeśli masz piwo, biorę je.

- Proszę o wybaczenie - odezwał się Juliusz.

Być może jego głos był zbyt cichy. Z pewnością woda wirowała już na zewnątrz opróżniającej się śluzy, co sprawiało, że oczekujący statek podrygiwał gwałtownie. Barka, na której stał Juliusz, opadała stopniowo, przez co jego oczy znajdowały się na poziomie wymuskanego pasa Szymona. Szymon nie odwrócił głowy. Jedynie pies, zaciekawiony tym, co było w dole, wyprostował przednie łapy i skoczył lekko, lądując obok Juliusza i wrywając smycz z dłoni Szymona.

- Och nie, nie rusz! - zawołał Feliks i chwycił go za obrożę, odciągając od torby na króliki. Wówczas Szkot zwrócił się ku nim zaskoczony i spojrział w dół.

- Przykro mi, panie - odezwał się Juliusz - ale piwo stanowi część naszej zapłaty. Sprawiedliwość wymaga, byście zapłacili za nie temu człowiekowi.

Urodziwa twarz odwróciła się w jego stronę. Później zbadała kolejno twarze Feliksa, Claesa i wioślarzy. Następnie spojrzenie zatrzymało się na Juliuszu.

- Kradzież psa, należącego do szlachcica - odezwał się Szymon - karana jest, o ile pamiętam, dość surowo.

- A kradzież piwa? - zapytał Feliks. - A zjadanie cudzych królików? Jeśli chcecie psa z powrotem, zjeźdźcie tu i weźcie go sobie.

Feliks musiał się jeszcze wiele nauczyć. Juliusz nie przerywał jego skarg. Na górze Szkot odwrócił się do nich plecami i spojrział na strażnika, który odszedł pośpiesznie i powrócił z piwem. Postawił je przed Szymonem. Dziewczyna w strzelistym kornecie - Katelina - podeszła i stanęła obok niego.

- Myślałam, że tylko pachołkowie piją piwo - powiedziała.

W jego pięknych oczach zabłysła iskierka, szybko stłumiona. Jej nadejście zaskoczyło go. Odpowiedział:

- Jeśli tkwisz w chlewie, czyń to samo, co świnię JCzy wolicie piwo, pani czy następne pół godziny z biskupem?

- Piwo - odparła spokojnie. Mówiła po szkocku, więc niełatwo było ją zrozumieć. - Zapłaćmy temu człowiekowi. Lub tym dzieciakom.

Strażnik śluzy miał już inne zdanie o Szymonie. On także rozumiał szkocki.

- Dziękuję pani - powiedział. - Meester Juliusz może potwierdzić, że warto. Meester Juliusz studiował prawo w Bolonii.

Skot nawet nie drgnął. Jego uważne spojrzenie ponownie prześliznęło się po załodze barki i zatrzymało na jej najnędrniejszym członku, wioślarzu z trzydniowym zarostem i wysypką na twarzy.

- Meester Juliusz - powtórzył.

- Meester Juliuszu - powiedział Claes w tej samej chwili.

- Mniejsza o to - rzekł Juliusz. Wiedział, że jest wystawiany na próbę. Wiedział także, że odzyska swoje pieniądze, choćby nawet miał zatrzymać psa jako rękojmę.

- Dajmy mu miedziaka - odezwała się dziewczyna. - Zaczekajcie. - Przechyliła głowę, aż jej kornet zakołysał się niczym maszt okrętu i zaczęła odpinać sakiewkę od pasa. Miała ciemne, wyraźnie zarysowane brwi, piękną cerę i twarz zaróżowioną pod wpływem rozbawienia lub gniewu. Juliusz nie odrywał od niej oczu.

- Meester Juliuszu - powiedział Claes.

Szkot z uśmiechem dotknął palcem jej dłoni i sięgnął do własnej wytwornej sakiewki, z której wydobył garść drobnych, cudzoziemskich monet. Z rozmyślną niedbałością cisnął je na barcę i uśmiechnięty patrzył, jak toczą się podskakując w wannie i znikają pod deskami i zwojami lin na dnie. Później, już bez uśmiechu, rzekł:

- Zabierzcie ręce od mojego psa!

Zwracał się do Claesa. Juliusz rozejrzał się wokół. Woda opadała coraz szybciej. Lina cumownicza ślizgała się w dłoniach wioślarzy. Grupa dostojników z niższego nabrzeża znikła z pola widzenia; wszystkie głowy zwrócone były w ich stronę. Nad nimi wznosiła się pozieleniała od wodorostów ściana słuzy.

Jak zawsze przeciekała. Woda chlusnęła ze szczeliny na barce, obryzgując wypchany elegancko podołek Feliksa. Spłynęła po ulubionej, okrągłej czapce Juliusza. Uderzyła psa Szkota, który warcząc uskoczył na bok. Juliusz zauważył, że pies stał rozkraczony nad odwiązanym czaprakiem z herbem Kilmirren, rozpostartym teraz pod nim jak prześcieradło kąpielowe. Zwierzę wpatrywało się w Claesa. Herb nie był już taki jak przedtem.

- Wybaczcie, Meester Juliuszu - zaczął Claes - ale coś zrobić musiałem. Książę Burgundii nie byłby zadowolony.

Juliusz wybuchnął śmiechem, lecz w tej samej chwili prawdziwie złośliwy strumień wody wytrysnął nagle ze ściany, oblewając barcę. Był coraz potężniejszy. Wanna księcia Burgundii zaczęła się napełniać z jednej strony, wskutek czego barka rozkołysała się na boki. Oszołomieni wioślarze pozwolili, by lina się napięła. Kolejna fala, potężniejsza niż poprzednie, uderzyła w przeciwległy bok wanny. Wanna zaczęła się obracać, a tymczasem wrota słuzy od strony ładu otwierały się z wolna, cumy zaś opadły.

Wysoko w górze Szkot coś mówił, a jego twarz była różowo-biała z gniewu. Stojąca obok Katelina przygryzła wargę. Obydwoje zapomnieli o piwie. W barce także nikt nie myślał o zbieraniu monet. Pierwszy przemówił Feliks:

- Płyniemy wstecz.
- W bok - stwierdził Claes po namyśle.
- Naprzód - powiedział Juliusz.

Wrota śluzy otwierały się coraz szerzej, a wanna księcia Burgundii chybotliwie podążała w stronę kanału. Wioślarze szybko uderzali wiosłami. Ołowiana krawędź wanny uniosła się, opadła i znowu uniosła. Kałuża w wannie przelewała się w przód i w tył, moczając ich płowe buty, pończochy i torbę z królikami, i obmywając herb Kilmirren. Krawędź wanny ze szczękiem uderzyła w ścianę, a barka obracając się wypadła ze śluzy, przy czym odbiła się od jednych wrót i pomknęła na spotkanie drugich. Pies szczekał, chwając się na łapach.

Kątem oka Juliusz spostrzegł Szkota schodzącego szybko w dół, ku grupie ludzi na nabrzeżu. Ich zdumione twarze były zwrócone w stronę barki. Pies rozszczękał się jeszcze głośniejsze, a ludzie na brzegu zaczęli pokrzykiwać gromko.

Juliusz domyślał się treści owych okrzyków. Domyślał się także - jak wszyscy - co teraz nastąpi. Miał czas, by się zastanowić nad zawartością książęcego pakunku, tak pieczołowicie złożonego w długiej łodzi u brzegu kanału. Miał nawet czas przyjrzeć się pakunkowi, kiedy wanna księcia Burgundii runęła w stronę owej rozkołysanej barki, zmierzającej ku morzu z osobistym ładunkiem księcia Burgundii. Łodzie zderzyły się ze sobą. Barka, przytrzymywana przez cumy, nie mogła uciec przed łodzią z Juliuszem, Feliksem i Claesem, która z rozmachem uderzyła w jej burtę, odzierając ją z desek.

Wanna przechyliła się gwałtownie, wyrzucając Claesa i Juliusza do wody. Feliks opadł na samo dno, gdzie się taplał, przytrzymując się mocno brzegu mokrą dłonią. Później wanna stanęła prosto.

Uszkodzona barka szarpnęła cumy, zerwała je, a ładunek zsunął się ocieźale w mroczną toń; następnie przykryło go omszałe dno wywróconej łodzi.

Juliusz wynurzył się na powierzchnię. Otworzył oczy i ujrzał przejęte zgrozą, flamandzkie i burgundzkie oblicza. Jego ociekające wodą uszy pochwyciły pierwszy okrzyk, którego jednak nie wydali Flamandczycy, lecz szkocki biskup.

- *Marta!* - wykrzyknęła owa postać głosem pełnym dyszącego sprzeciwu. - Coście uczynili! Coście uczynili! Pośleliście Martę na dno, głupcy!

Nikt się nie śmiał. Zwłaszcza Juliuszowi nie chciało się śmiać. Wiedział już, co było na pokładzie barki i co zniszczyli.

Nie było kogo ostrzec. Claes, zgubiwszy pióro, włókł się wzdłuż brzegu; a Feliks, płynąc żwawo, znajdował się bardzo blisko niego, łeb w łeb z psem,

który wdrapał się pierwszy. Łódź z wanną była przycumowana, a wiosłarze stali zbici w bojaźliwe stadko na ścieżce flisackiej. Ociekający wodą Feliks wyszedł na brzeg i dzielnie dołączył do nich, a Claes sunął za nim jak cień. Juliusz, czując się jak starzec, począpał w ich stronę. Pies otrząsnął się, a sługa jego pana z groźną miną ujął ostrożnie obrożę.

Z kręgu ważnych osobistości dobiegały podniesione głosy. Wśród nich dały się słyszeć żądania biskupa:

- Podejmijcie jakieś działania, moi panowie! Wezwijcie inżynierów, bagrowników, rybaków! - Po chwili zaś: - Jeżeli, rzecz jasna, obraza nie była zamierzona. Mój kuzyn w Szkocji ma otrzymać podarunek, lecz podarunek ów gubią książeccy żołnierze na książecciej drodze wodnej! Jak mam to rozumieć?

Dowódca i burmistrz zaczęli pospieszne wyjaśnienia. Wreszcie rozległ się spokojny głos Anzelma Adorne, który dzierżył niegdyś najwyższy urząd w Brugii, a Juliusz wierzył, że potrafi przyglądzić wszelkie nastroszone pióra.

- Panie, utraciliście jedynie wiatr i odpływ. Burmistrz będzie wam towarzyszył do Brugii. Dowódca straży zatrzyma tych ludzi. Kanał zostanie przeszukany, a ów przedmiot odnaleziony lub zastąpiony. Wierzę, że był to czysty przypadek, lecz miasto przeprowadzi dochodzenie i sporządzimy raport. Tymczasem możemy jedynie ofiarować nasze pokorne przeprosiny.

- Otóż to - rzekł burmistrz. - Otóż to. Przewoźnicy odpowiedzą przed swym cechmistrzem i jeśli dopuścili się zaniedbania, zostaną ukarani.

- Nie wszyscy oni są przewoźnikami - dał się słyszeć czyjś głos. - Ci trzej. Ci trzej nie noszą oznak cechu. - Głos należał do Szymona z Kilmirren, przybyłego właśnie znad śluzu i niedbale obnoszącego błękitną taftę. Jego urodziwa twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Ktoś mocno pochwycił Juliusza od tyłu za ramiona. - Prócz tego - ciągnął ten sam głos - są winni pieniądze strażnikowi śluzu.

Anzelm Adorne odwrócił głowę, spojrzął na Feliksa i Claesa, bacznie przyjrzał się Juliuszowi. Jego twarz o zapadniętych policzkach, zwodniczo mnisia, pełna była rezerwy. Przemówił:

- Meester Juliusz jest mi znany. Nieporozumienie z pieniędzmi wynikło, jestem pewien, z przeoczenia. Muszę jednak zapytać: skąd wy trzej znaleźliście się w tej łodzi?

- Proszono nas o to - odparł Juliusz. - Przy tak wielu okrętach w zatoce każdy chciał wynająć załogę.

- Czyż książe nie może wezwać barki na życzenie? - zapytał biskup. Zsunął kaptur do tyłu. Nie był zbyt postawny, lecz jego podbródek zdradzał zacięcie do walki.

Człowiek w florenckim stroju utracił zainteresowanie. Odwrócił się plecami do biskupa i ruszył ku nabrzeżu, by przyrzeć się wodzie chlupoczącej w służbie. Żona Adorna nadal była obecna, a panna Katelina, która nadeszła od strony służby, stanęła pomiędzy nią a Szymonem, pogrążona w zadumie. Później spojrzała na Juliusza, który wytrząsał wodę z kubraka, kurtki i włosów - i uśmiechnęła się. Nie było współczucia w tym uśmiechu; a gdy piękny Szymon szepnął jej coś do ucha, wybuchnęła cichym śmiechem, zupełnie pozbawionym sympatii. Powróciła bez męża, powiadali. Z Szymonem, któremu żadna jeszcze nie odmówiła. Bogate myślą, że je poślubi, a biedne nie dbają o nic.

- Wioślarzy było dość, panie - rzekł Juliusz. - Nikt jednak nie troszczyłby się o wannę. Oficer prosił nas... - Słyszał siebie, wykształconego prawnika, płaczącego się w wyjaśnieniach. Powróciwszy z polowania na króliki, mając brzuch pełen dobrego wina od wdzięcznego strażnika z wydm, złaknionego nowinek, skazany tak czy inaczej na przebycie siedmiu męczących mil w drodze do Brugii... jakże miał nie skorzystać ze sposobności podróżowania w książęcej wannie? Zakończył najlepiej jak potrafił:

- Doprawdy, *minen heere*, wypadek nie jest zawiniony ani przez nas, ani przez wioślarzy. Ściany są nieszczelne, a wanna wymknęła się nam z rąk.

Mężczyzna imieniem Szymon przysunął się do biskupa i stanął obok niego z uśmiechem.

- Wymknęła się z rąk! Brugijskim przewoźnikom dbającym o cudzą własność! Kto był u steru?

Nikogo nie było u steru. Wszyscy byli u steru. Jeden z wioślarzy wyznał nagle, pod wpływem napięcia, że sterował łodzią czeladnik imieniem Claes.

Wszyscy utkwili wzrok w Claesie. Mój Boże - dobroduszny, jurny, Bogu ducha winny Claes, który umiał jedynie żartować i przedrzeźniać zwierzchników? Claes o najszerszych ustach w całej Flandrii? Claes, który, stojąc w błotnistej kałuży, otworzytoczy wielkie jak spodki i rzekł, że tak, oczywiście, *minen heere*, był u steru, lecz nie wewnątrz służby. Pióro od kapelusza by mu się teraz przydało. Jego włosy, ciemne teraz niczym sos do pieczenia, spadały kosmykami na oczy, lepiły się do policzków i włożyły za wytarty kołnierz kubraka. Otrząsnął się i wszyscy usłyszeli głośne młaśnięcie jego butów.

Na twarz Claesa wypłynął szeroki uśmiech, który zmierzch! nieco, gdy nikt go nie odwzajemnił.

- *Minen heere* - rzekł - uczyniliśmy, co było w naszej mocy, za co doczekaliśmy się pławienia, straciliśmy dzisiejszą zdobycz i kusze. A książę ma przynajmniej swoją wannę.

- Myślę, że jesteś zuchwały - powiedział burmistrz. - I kłamiesz. Czy zaprzeczycie, Meester Juliuszu, że młodzik Claes sterował łodzią?

- Sterował - przyznał Juliusz. - Ale ...
- Słyszeliśmy. Ale przestał, gdy wpłynęliście do śluzy. To jest, wyście widzieli, że przestał. Mógł jednak powrócić do steru.
- Nie! - zawołał Feliks.
- Wiem, że tego nie uczynił - potwierdził zdecydowanie Juliusz. Daremnie. Zauważył, że wiosłarze popatrują po sobie. Wiedział, jak gdyby mu o tym powiedziano, że nie złożą takiego zapewnienia. Nie mogli sobie na to pozwolić. Prawnicza wiedza mówiła mu, że wszystko to jest absolutnie niesprawiedliwe. Doświadczenie z sądów książęcych, królewskich i kościelnych mówiło natomiast, że sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy. Miał nadzieję, że jego chlebodawczyni, matka Feliksa, nie straci głowy. Miał nadzieję, że biskup nie jest tak mściwy, na jakiego wygląda, i że jakiś bóg popłami, podrze lub przemoczy do nitki taftę wytwornego Szymona, który wciąż szeptał coś do Kateliny van Borselen, zachłannie - jak oni wszyscy - obserwowany przez gapiów.

Dziewka służebna z wiadrem nadal tam była. Przestała podziwiać lśniącą taftę, a jej okrągła twarz, pozbawiona już rumieńca, wyrażała troskę. Być może Claes wyczuł jej spojrzenie. Uniósł oczy, spostrzegł ją i obdarzył jednym z najradośniejszych uśmiechów. Matko Święta, pomyślał Juliusz. On nie wie nawet, co się dzieje? Czy powinienem mu powiedzieć? O tym, że zatopiony ładunek książęcy był darem - darem księcia Filipa Burgundzkiego dla drogiego siostrzeńca, Jakuba, króla Szkocji? Ważnym darem długości piętnastu stóp. Mówiąc otwarcie, była to pięcietonowa armata, ochrzczona ponurym mianem Szalonej Marty.

Ktoś krzyknął. Juliusz nie wykluczał, że on sam. Następnie ujrzał ze zdumieniem burzę rozczochranych, brązowych włosów przemykającą obok biskupa i rozpozna postawną pannę Katelinę. Za nią biegł Claes, ścigany przez rosnącą grupę żołnierzy.

Stojący nad śluzą brodaty mężczyzna w długiej szacie odwrócił się ku nim. Ujrzał zbliżającą się dziewczynę. Pospiesznie próbował zejść jej z drogi. Następnie zauważył, za czym ona biegnie i wyciągnął rękę. Jej nakrycie głowy, porwane przez wiatr, toczyło się podskakując u jej stóp. Pochylił się, gdy tymczasem Claes w pędzie wyprzedził dziewczynę i sam rzucił się ku zdobyczy. Nastąpiło zderzenie.

Brodaty mężczyzna upadł z obrzydliwym trzaskiem, który dał się słyszeć w całej zatoce. Claes, któremu uwięzła stopa, dał nurka ponad ciałem mężczyzny i rozbryzgując brudną wodę skoczył do kanału. Dziewczyna przystanęła, rzuciła rozgniewane spojrzenie ku wodzie, po czym marszcząc brwi pochyliła się nad leżącym twarzą w dół, skurczonym Florentyńczykiem.

Juliusz poczuł, że uścisk zelżał. Feliks, również wyswobodzony, rzekł: „O mój Boże” - i pospieszył na brzeg. Juliusz podążył za nim. Pomiedzy ludzkimi głowami widział Claesa taplającego się w wodzie. Kiedy czeladnik uniósł wzrok, patrzył na Katelinę van Borselen, która właśnie zjawiła się na brzegu - a nie na ustawionych w szeregu żołnierzy.

- Pomięło się - powiedział z żalem Claes. Najwyraźniej miał na myśli przemoczone przybranie głowy, które dzierżył mocno w krzepkiej, poplamionej niebieską farbą dłoni. Zakaszał, wpatrując się w nie i woda popłynęła z jego nozdrzy. Ostrożnie podpłynął do stopni i podniósł przepraszające oczy na rozczochraną właścicielkę kornetu.

Katelina cofnęła się raptownie. Claes wszedł na schody. Pochwycili go żołnierze. Okrągłe oczy Claesa rozszerzyły się jeszcze bardziej, mrugając, gdy spływała po nich woda. Poświęcił całą uwagę żołnierzom, Katelinie i kornetowi, który przestał już być śnieżnobiałym stożkiem, a stał się poszarpanym zwitkiem z plamami w kolorze indygo. Katelina przyjęła go w oszołomieniu.

Szczodre usta rozchyliły się we wspaniałym uśmiechu, który oczarował już każdą służącą we Flandrii.

- Powyjmowałem wodorosty - rzekł Claes do Kateliny van Borselen. - Błoto da się zmyć w mgnieniu oka, a zarządca matki Feliksa wywabi plamy. Proszę to przynieść do sklepu. Albo nie ... proszę przysłać służącą. Farbiarnia to nie miejsce dla damy.

- Dziękuję - powiedziała Katelina van Borselen - że zadałeś sobie tyle trudu. Może jednak zachowasz trochę troski dla pana, któremu zmiądzżyłeś nogę? O, tam leży.

Zmieniona twarz Claesa świadczyła, że nie był świadom przykrego wypadku. Miał dobre serce. Ruszył w stronę swej ofiary, lecz natychmiast zatrzymała go uzbrojona straż. Wymierzili mu przy tym szturchańca i odtąd obrywał cios za każdym razem, gdy tylko otworzył usta. Najszersze usta w kraju i najlepsze plecy do bicia. Juliusz spojrział na młodego panicza Feliksa. Feliks powiedział:

- Claes sam jest sobie winien. On chyba nigdy nie dorośnie.

Echo słów matki. Gdyby poświęcili Claesa, czy będzie za to winiła notariusza? Nie było nikogo, kto by się o niego zatroszczył, Claes należał do tych pechowych bękartów (Juliusz współczuł mu na swój sposób), których krewni nie żyli lub nie dbali o nich.

- Kim jest człowiek, któremu on złamał nogę? - zapytał Juliusz.

Nikt nie wiedział. Floretyrzyćk. Gość biskupa, przybyły ze Szkocji z samym biskupem, pięknym Szymonem i Katelina van Borselen, która, gdyby taka była wola Boża, znalazłaby męża w Szkocji i pozostała tam.

Kimkolwiek był, dowiedzą się tego wkrótce, kiedy on sam lub jego przedstawiciele zażądamy skóry Claesa w zamian za jego rany.

Patrzyli na odciąganego w bok Claesa. Anzelm Adorne nie zwrócił nań uwagi, co było złym znakiem. Lecz Adorne, podobnie jak pozostali, pospieszył z pomocą brodatemu mężczyźnie.

Jak większość pozostałych. Wytworny Szymon, zdjawszy swój kubrak z błękitnej tafty, zwinął go i podsunął damie jako przepaskę; a teraz zawiązywał go na jej rozpuszczonych włosach. Wyglądało to bardzo ładnie. Nie przestając mówić spał zawój rubinem. Po chwili ona uśmiechnęła się nieznacznie. Ktoś zainteresowany mógł się zastanowić, co panna Katelina ma przeciwko młodemu panu. Może podczas podróży ze Szkocji nie zwracał na nią uwagi, a teraz zmienił zdanie? A może raz posunął się za daleko? Albo ona wybrała rywala, a on usiłował zwabić ją na nowo?

Juliusz rozmyślał o tym, obserwując Szymona. Później stanowczo obrócił się doń plecami. Gdyby nie ten rozbawiony arystokrata, on, Feliks i Claes mogli przemknąć się niepostrzeżenie. Juliusz nie pojmował, że ingerencja pięknego Szymona mogła być czymś więcej niż rozrywką. Mimo że znał miejskie obyczaje.

Wiedział równie dobrze jak urodziwy Szymon, który z nich trzech ucierpi w końcu najbardziej.

ROZDZIAŁ 2

Wyczerpujący spór prawniczy, który Juliusz stoczył z dowódcą straży w drodze do Brugii, nie zdał się na nic. Nie wybawił Feliksa i jego samego od więzienia. Nim nadeszło południe, obaj znaleźli się pod kluczem.

Boskim zrządzeniem matka Feliksa przebywała w Leuven. Juliusz wysłał kojącą wiadomość okraszoną pieniędzmi do Henninca, zarządcy farbiarni w Brugii; i trzy inne do ludzi, którzy byli mu winni przysługę. Miał nadzieję, że wszystko skończy się dobrze. Wydawało mu się, że ani on, ani Feliks nie są rzeczywistym przedmiotem zainteresowania. Gdyby miano kogoś obwinie za wszystko, osobą tą będzie Claes.

Pierwsze wieści o nim otrzymali późnym popołudniem. Nadzorca, oparty o kraty, napomknął, że ich młody przyjaciel został postawiony przed sądem. Ów chłopak bez piątej klepki opowiadał o polowaniu na króliki, póki piasek nie przesypał się w klepsydrze. Oczywiście nie wyszło mu to na dobre, choć wszyscy orzekli, że wspaniały z niego komediant: równie dobry jak jeden z karłów księcia Filipa. Może książę Filip weźmie go na dwór jako trefhisia, jeśli przeżyje chłostę. Miała być mocniejsza niż zazwyczaj, liczono bowiem na zeznania. Juliuszowi żal było Claesa. Szczęśliwie Claes podchodził do podobnych niepowodzeń filozoficznie; a tak czy inaczej, nie miał nic do wyznania.

Później nadeszły wieści, że przeniesiono go do więzienia. Zamknięto go, rzecz jasna, w słynnej Ciemnej Komnacie. Juliusz (również filozoficznie) płacił za ciepłą wodę i ubiory, i podpisał weksel dla starosty, kontrasygnowany flegmatycznie przez notariusza miejskiego, by wykupić dla Claesa prawo do przebywania na niższych piętrach, gdzie jego panowie mieli nocleg i wikt.

Idiota zjawił się zakuty w łańcuchy i Juliusz musiał zapłacić także za ich zdjęcie. Dołączył to do starannie spisywanej listy wydatków, która w stosownym czasie zostanie skrupulatnie wypunktowana i przedstawiona jako część kosztów nauki Feliksa.

Oczywiście. Sam z gruntu uczciwy, Meester Juliusz przekonał się, które z wydatków syna Marian de Charetty gotowa była opłacić, a które nie. W ciągu minionych dwóch lat parokrotnie korzystała ze sposobności odświeżenia pamięci notariusza w kwestii jego umownych obowiązków, do

których bynajmniej nie należało towarzyszenie Feliksowi w szaleńczych wyczynach. Prawdę rzekłszy, przed przybyciem notariusza wyczyny Feliksa były więcej niż szaleńcze. Feliksa ponosiło. Nigdy nie wiedział, gdzie przebiega granica. Nawet Claes, który pakował się w najgorsze tarapaty, nigdy nie przejawiał takich namiętności jak Feliks.

Konie i psy pochłaniały dotychczas najgłębsze uczucia Feliksa. W każdej chwili jednak mogły pojawić się dziewczęta. Jak dotąd, dziewczęta albo zwodziły, albo lekcewały Feliksa, gdyż odnosił się do nich grubiańsko, podobnie jak do swych młodszych siostr. Ale to się zmieni. Juliusz miał nadzieję, że to Claes, a nie on weźmie na siebie tę część edukacji. I że nastąpi to w Leuven, gdzie ludzie rozumieją studentów. Feliks nie miał jednak złych zamiarów, kiedy tak klęczał niczym pocziwy właściciel stajni i pomagał opatrywać umięśnione plecy Claesa, przy czym wyrządzał więcej szkody niż pożytku, zwłaszcza że ciągle przerywał i zaprzeczał każdemu słowu Claesa.

Claes, którego dobroduszna twarz odzyskała nieco koloru, zajęty był opisywaniem - używając pięciu różnych akcentów - jak było na najniższym piętrze Steen, bez jedzenia i światła, gdzie człowiek musiał zebrać najlepiej jak umiał, wystawiając przez kraty węzełek na kiju. Ktoś oddał mu swój kij poza kolejnością, ponieważ krwawił; a kiedy Claes wyciągnął go z powrotem, w węzełku była faska tłuszczu.

- Tłuszczu? - Feliks znieruchomiał.

- Wełnianego. Na moje plecy. Ktoś go zabrał, zanim zdołałem go użyć. Szkoda, że teraz go nie mam. Czy masz swoje rękawice, których używałeś w turnieju? Masz ręce jak kolczaste gałęzie. A tłuszcz był od Mabelii.

- Mabelii? - Feliks znowu znieruchomiał.

- Stojącej pod oknami więzienia. Nie widziałeś jej w Damme? Dziewczyna z grubym warkoczem i wiadrem. Także nie wiedziałem, jak jej na imię. Mabelia, a pracuje u Jehana Metteneye.

- I przyniosła ci tłuszcz - Juliusz zauważył, że i on przestał opatrywać plecy Claesa.

- Cóż, żałuje nas. Wszyscy nas żałują. Wmieście zebrał się spory tłum. Ludzie kapelusznika, mówiłem panu, Meester Juliuszu. Powiedziałem im, gdzie najlepiej polować na króliki, ale nie byli zbyt zadowoleni. Tak sobie myślę, że jeśli Meester Cambier będzie wyciągał tę armatę, wyciągnie z łaski swojej także torbę z królikami, a może nawet pieniądze wielmożnego pana Szymona? Byli tu dwaj klienci, Meester Juliuszu, którzy chcieli wiedzieć, czy umowy będą ważne, jeśli pana powieszą. Henninc ze sklepu mówił, że posyła gońców do Leuven i pan obiecał opłacić wszystko z własnych zarobków. A chłopcy z podwórza przynieśli piwo. Powinniście mnie byli

zostawić w Ciemnej Komnacie - rzeki tęsknie Claes. - Miałbym tłuszcz, piwo i wszystko, zanimby nas powiesili.

- Nie powieszają nas - powiedział z przekonaniem Feliks. - Nie zrobiliśmy nic złego. Barka nie była nasza. Nie my nią sterowaliśmy, lecz przewoźnicy. Strażnik śluzdy dostał swoje piwo z powrotem. I mamy ciebie, Juliuszu. Znasz prawa lepiej niż ktokolwiek z nich.

- Biskup był rozgniewany, Feliksie - odparł Juliusz. - Jest kuzynem króla Szkocji. Szkocka królowa jest siostrzenicą księcia Filipa. Siostra króla Szkocji poślubiła Wolfaerta van Borselena. Należy koniecznie przekonać wszystkich tych ludzi, że uchybienie było przypadkowe.

Claes ponad ramieniem uśmiechnął się do Feliksa.

- Dlatego ktoś musi zostać ukarany. Rozumiecie? Gdyby to nie był przypadek, nie ośmieliliby się nikogo ukarać.

Claes, dla którego nie istniały żadne zawilości, często wprawiał Juliusza w przygnębienie, zwłaszcza gdy wiadomo było, co ma na myśli. Feliks czuł tylko rozdrażnienie.

- To szaleństwo - powiedział. - *Nas* mają karać? Za nic?

- Ukarali mnie - rzekł czeladnik Claes. Odwrócił się ostrożnie, by mogli zapiąć z przodu jego ubiór i usadowił się po turecku z koszulą narzuconą na ramiona. Jego pończochy zaschły w fałdach i zmarszczkach na udach, a włosy także miał już suche: gęste i przylegające do głowy, kręciły się odrobinę na samych końcach, jak gdyby ktoś je przypalił.

- Oczywiście, że cię ukarali. Złamałeś nogę szlachetnemu panu - stwierdził bezstronnie Feliks. - I nie okazałeś szacunku. A już z pewnością ośmieszyles tę pannę, do której wielmożny Szymon się zaleca. Tę Katelinę. Nie chciała, żebyś wyławiał z wody jej głupi kapeluszyk, ty błaźnie. Może sobie kupić dwadzieścia innych.

- Włosy ci się rozkręciły - powiedział współczująco Claes. Nic w tym dziwnego, myślał Juliusz, że Claes obrywa tak często. Przypomniał sobie o czymś istotnym. Dziewka imieniem Mabelia pracowała u Jehana Metteneye, a wszyscy Metteneyowie w Brugii od pięciu pokoleń byli gospodarzami i pośrednikami przyjezdnych szkockich kupców.

- Ta Mabelia ... - zaczął Juliusz.

- Wielki, gruby warkocz, o dotąd, brunatny jak lisi ogon. Usta pełne zębów zdrowych jak u waszego konia, policzki różowe, jak pomalowane, nos jak śliwka, mocna, biała szyja, umięśniona aż po ... aż po ... - chwila nagłego zrozumienia nadeszła dla Claesa nie w porę, zanim zdołał skończyć zdanie.

- Ona powiada, że Szkoci łąkną naszej krwi. Armata była im potrzebna do wojny z Anglią. Mówi, że książę będzie winił Brugię, a burmistrz musi bronić swojej skóry. Chce się ze mną spotkać pod Żurawiem jutro o jedenastej.

Juliusz zamknął oczy. Ktoś, kto by nie znał Claesa, uznałby to za zmyślenie. Można by rzec, że nawet Claes nie mógł otrzymać za więzienie kratami zaproszenia od dziewczyny, z którą w życiu nie zamienił słowa. Z drugiej strony, znając Claesa, wiadomo było, jak działa jego uśmiech. Niemniej ...

- Pójdiesz w dwóch kawałkach? - zapytał Juliusz. - Z siną twarzą i wywieszonym językiem? A może mają aresztować wszystkich wioślarzy, a ciebie, mnie i Feliksa puścić jutro do domu, co?

- Właśnie to chciałem powiedzieć - odparł Claes - ale dźgaliście mnie w plecy. Nie mogę myśleć, kiedy ktoś dźga mnie w plecy. Wszyscy chłopcy ze sklepu stali pod więzieniem.

- Mówiłeś nam już - rzekł Feliks.

- Tak. No i wszyscy członkowie cechu farbiarzy też przyszli. Powiedzieli, że posłali umyślnych do dowódcy straży, do ceklarzy, radnych, drugiego zarządcy księcia i, oczywiście, Meester Anzelma, z wielką skargą. Mówili o zniewadze, a nawet o zawieszeniu stosunków handlowych ze Szkocją. I wszyscy dostojnicy uradzili wspólnie, że jeśli dowiedziemy naszej niewinności przed Meester Anzelmem, sprawa na tym się zakończy, nie licząc tylko znacznej grzywny wymierzonej rodzinie Charetty ...

- Och - rzekł Feliks.

- ... którą to grzywnę pomogą spłacić Gildia Farbiarzy i Gildia Przewoźników. Wypuszczą nas jutro rano. Pod Żurawiem o jedenastej, tak powiedziała.

Meester Juliusz nie spuszczał oczu z czeladnika.

- Wiedziałeś o tym, kiedy tu przyszedłeś.

Claes uśmiechnął się szeroko.

- I starosta wiedział - ciągnął Juliusz - i zapewne naczelnik więzienia, i obydwa strażnicy, którym oddałem wszystkie pieniądze. - Czuł rozbiegające go przeziębienie, zadowolił się więc uszczypliwą, dobrze sformułowaną i miażdżącą diatrybą, której Claes wysłuchał z należytą pokorą, choć Feliks przez cały czas chichotał. Następnie odwrócił się i oddał wraz ze swym przeziębieniem we władanie niewygodnej, lecz nie przepełnionej poczuciem zagłady nocy.

Nazajutrz rano przyprowadzono trójkę dzieciaków do pięknego domu Anzelma Adorne, koło Kościoła Jerozolimskiego. Jego sąd miał polegać na przesłuchaniu i napędzeniu im stracha.

Dzieciaki? Dwaj byli młodzieńcami, a trzeci doświadczonym notariuszem, zaledwie o siedem lat młodszym od samego Anzelma. Z dyplomatycz-

nego punktu widzenia byli jednak jeszcze dziećmi. Rodzina Adorne dzierżyła regionalną władzę we Flandrii od niemal dwustu lat, odkąd przybyli z Italii, by osiedlić się we Flandrii z ówczesnym hrabią, który poślubił córkę króla Szkocji. Długi, długi szereg Adornów o szlachetnych rysach, kpiących łukach brwi i jasnych, kędzierzawych włosach służył miastu Brugii i książętom flamandzkim - w takiej właśnie kolejności. Nie zapominali również o innej gałęzi ich rozproszonego rodu, służącej Republice Genueńskiej w Italii od czasów dawniejszych jeszcze, jako ludzie interesu, ludzie zamożni, a także - bardzo często na najwyższym z urzędów, jako władcy Genui, jej dożowie.

Dla człowieka posiadającego taką rodzinę i majątek, jak Anzelm Adorne, wykształconego w rycerskim rzemiośle i w literaturze, znającego biegle łacinę, flamandzki, francuski, angielski, niemiecki oraz dialekty szkockie, owi trzej niemądry, młodzi ludzie, którzy zatopili nową armatę biskupa, byli po prostu dziećmi. Nie wstał, kiedy wprowadzono ich do wielkiej komnaty w jego domu; a jego żona, poślubiona przed szesnastu laty, nie ruszyła się z odległego końca sali, gdzie zasiadła z gośćmi, niewiastą służebną i starszymi spośród licznych dzieci.

Gotyckie krzesło, w którym zasiadał Anzelm, podobnie jak belki nad jego głową, ozdobione było połączonymi herbami matki i ojca, rodów Bradericx i Adorne; symbol ten pojawiał się także w witrażach wysokich okien gotyckich. Notariusz był tu już kiedyś. Na nabrzeżu w Damme Adorne rozpoznał skośne oczy i ujmujące, łagodne rysy. W tej chwili Meester Juliusz wyglądał znacznie skromniej: w czarnej todze ze stosownym kołnierzem, z szarfą na ramieniu i insygniami zawodowymi u pasa. Lecz jego miękko obute stopy mocno trzymały się ziemi, a róg z atramentem i futerał na pióra zwieszały się nieruchomo i pewnie. Młodzieniec miał dumę wychowanka zakonu i uczonego. Ale takie eskapady były dla studentów.

Pozostali byli ulepieni ze zwyczajnej gliny. Młody Feliks zapowiadał się na nieokrzesanego chłopaka, kiedy umarł Cornelis de Charetty; miał jednak roztrofną matkę. To, czy odziedziczył ojcowską przebiegłość, było inną kwestią. Właśnie Cornelis zachował zimną krew podczas paniki sprzed dwóch lat, gdy upadły wszystkie zakłady zastawnicze w Lombardii; i uratował ojca swej żony, Marian, przejmując jego interesy.

Połączenie zakładu zastawniczego z farbiarnią uznano za dobry interes. Sklep w Leuven kwitł, a rodzina de Charetty miała tam kilka domów, ale Blauw verweij, warsztat barwierski i wielki dom były w Brugii. Musiał niewiele czasu poświęcać dzieciom. A jednak taki człowiek jak Cornelis Powinien był być rozsądniejszy, patrzeć w przyszłość, rozważyć, kto podąży Jego śladem, gdyby on umarł przedwcześnie. Teraz pozostała jedynie jego

żona Marian i zarządcy, równie godni zaufania jak wszyscy inni zarządcy; ponadto ów najemny szaleniec i chłopiec. Młody Feliks, który lubił psocić wraz ze swym przyjacielem czeladnikiem Claesem i wcale nie myślał o interesach.

Anzelm Adorne spojrzął na koniec na czeladnika i poczynił pewne spostrzeżenia. Odwrócił się ze słowami:

- Nie proszę, byście usiedli, Meester Juliuszu, stoicie bowiem przed sądem. Powiedzcie mi jednak, czy ten człowiek został wychłostany? - mówił po flamandzku.

Młody Feliks otworzył usta i, zauważywszy spojrzenie notariusza, zamknął je natychmiast. Notariusz odparł w tym samym języku:

- Minen heere, Claesa wybito za uchybienie wobec przyjaciela biskupa. A także za coś, co potraktowano jako zuchwalstwo. Jedno i drugie było nie zamierzone.

- Był zuchwały - rzekł spokojnie Anzelm. - I istotnie wyrządził krzywdę Messerowi de' Acciajuoli. Czy wybito go z przyczyn nie związanych z armatą? A może pojawił się dowód lub wyznanie winy?

- Nie, minen heere - odparł notariusz. Mówił stanowczym tonem.
- Claes nie dybał na działo. Był to przypadek. Nie znajdował się także u steru, kiedy zdarzyło się nieszczęście. Jeśli minen heere pozwoli, wielu ludzi może to potwierdzić.

- Wielu w tej chwili może myśleć, że potwierdzenie leży w ich interesie - zauważył Anzelm. - Dalsze przedłużanie tego przesłuchania byłoby bezcelowe, zwłaszcza że, jak miemam, stało się już aż nazbyt publiczne. Czy przyjmuję, że sprawa była dziełem przypadku czy nie, pozostaje faktem, iż sprzymierzeniec księcia i sam książę zostali znieważeni. Meester Juliuszu, jako notariusz rodziny de Charetty ponosiliście wczoraj po południu odpowiedzialność za tych dwóch młodzieńców?

- Odpowiadam przed panią de Charetty - odparł Juliusz.

- Niechaj zatem pani de Charetty postąpi z wami tak, jak uzna za stosowne. Ty zaś, mój dobry młodzieńcze jesteś spadkobiercą swego ojca?

- Minen heere - zaczął Feliks - Meester Juliusz w niczym nie zawinił. Namówiliśmy go na polowanie. Postanowiliśmy wszyscy razem wsiąść na... do ...

- Wszyscy wypiliście dość dużo i stwierdziliście, że przejażdżka w wanie księcia Burgundii będzie dobrą zaljąwą. Rzecz to zrozumiała, lecz u małych dzieci. Nie jesteście już małymi dziećmi. Jesteście tak jak ja sługami księcia, naszego pana i winniście szanować jego własność, godne stanowisko oraz wszystkich jego przyjaciół. Czy twój ojciec lekceważyłby

sobie te sprawy? A matka? Coście uczynili jej imieniu i kieszeni, ty, jej syn i wy, jej notariusz i pomocnik?

Miody Feliks oblał się rumieńcem. Notariusz przemówił:

- Będziemy na przyszłość uważać. Niczego nie czyniliśmy złośliwie i nigdy nie uczynimy.

Drwina? Nie, chyba nie. Meester Juliusz miał swój rozum i czynił z niego użytek. Mały Feliks widział jedynie niesprawiedliwość; miał łzy w oczach. Czas, by dowiedział się o niesprawiedliwości. Czeladnik Claes trwał w miejscu z doskonałym stoicyzmem; z tej gliny bywają ulepieni dobrzy robotnicy i dobrzy żołnierze. Adorne zwrócił się do notariusza:

- Powiedziano wam o grzywnie i dotyczących jej warunkach. Stwierdzam, że opłata nałożona na waszą chlebobawczynię oraz gildię jest wystarczającą karą za wasz postępek. Zostajecie zwolnieni z dalszego aresztu. Aby to podkreślić, zapraszam na puchar wina w moim domu. Meester Juliuszu, oto zydle dla was; i drugi dla waszego ucznia. Margriet!

Pozostawił młodego Claesa na miejscu, stojącego przed nim.

Nie musiał wcale wołać. Żona знаła jego obyczaje i już wcześniej, złowiwszy jego spojrzenie, posłała po zarządcę. Teraz powstała z uśmiechem, Adorne uniósł się także, gdy podeszła, lecz chłopiec i notariusz zostali popchnięci z powrotem na zydle.

- Moja pani - rzekł Anzelm Adorne - mamy tu młodzieńca, który wczoraj wyświadczył przysługę córce naszego przyjaciela Florencjusza i nie został jeszcze wynagrodzony. Powiedz jej, aby tu przyszła. - To mówiąc, wpatrywał się w trzech mężczyzn. Wiedział, że żaden z nich nie zauważył Kateliny van Borselen na końcu komnaty. Dwaj odwrócili się z zarumienionymi twarzami. Czeladnik stał w miejscu czekając cierpliwie.

Ludzie bawili Anzelma Adorne, lecz nigdy nie kierował się wyłącznie złośliwością. Nie zadowalało go wybadanie czeladnika. Chciał poznać także nastrój tej dziewczyny, bliskiej krewnej Wolfaerta van Borselena, po trzech (niezameżnych) latach za granicą, spędzonych jako dama dworu szkockiej królowej.

Nie trwało to długo. Dzisiaj nie miała na głowie wysoko upiętych welonów, lecz ujęła włosy w siatkę, a koło uszu wiły się dwa pojedyncze loczki. Podkreślało to urok jej długiej szyi; a suknie nosiła wąskie i proste, zgodnie z szkocką modą dworską. Miała brwi Borselenów, w tej chwili mocno ściągnięte. Czeladnik odwrócił się ku niej i brwi rozłączyły się.

- Ach - rzekła Katelina van Borselen. - Strażnicy wanny. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się śmiałam. A oto i gończy. Wygląda inaczej, sucho.

- Tak - powiedział Claes. Uśmiechnął się z doskonałą, wyraźnie

widoczną życzliwością . - Wy także, pani. Myślę, że Meester Adorne chce, abyście mnie przeprosili.

Adorne zauważył, że twarz jego żony drga nerwowo i zastyga. Było mu przykro - choć nie bardzo przykro - że niedokładnie chłopaka ocenił.

- Claes ... tak brzmi twoje imię? - zapytał.

Uśmiech tego chłopca był otwartym uśmiechem dziecka, idioty, starca, zakonnika.

- Claes vander Poele, minen heere.

Nazwisko zostało mu nadane. Nie miał własnego. Zarządca domu Anzelma, który wiele potrafił wywęszyć, wiedział o Claesie wszystko. Młodzieniec przybył w wieku lat dziesięciu na służbę do farbiarni Charetych. Przedtem mieszkał w Genewie, w kupieckim domu Thibaulta i Jaaka de Fleury, i był bękartem siostrzenicy Jaaka. Nigdy już nie powrócił do rodziny de Fleury, która - jak się wydawało - pozbyła się obowiązków wobec niego, płacąc farbiarzom za jego terminowanie. Była to pospolita historia. Sługa jednego domu i córka drugiego popełnili omyłkę; omyłka została oszczędnie wychowana i pojawiła się we Flandrii z błękitnymi paznokciami.

Podrzędne plotki nie interesowały Anzelma Adorne, lecz obchodziła go Brugia i jej gospodarka. Pewnego dnia Feliks de Charetty znajdzie się w społeczności kupieckiej i w jej interesie leżało dopatrzenie, aby zjawił się bez uprzedzeń i bez kompanów-nicponi. Zarządca Anzelma stwierdził, że czeladnik jest nad wyraz łagodny i prostoduszny. Łatwo to było sprawdzić.

- Powinieneś zatem zrozumieć, Claesie vander Poele, że damy nie przepraszają czeladników - rzekł Anzelm.

- Czemu, minen heere? - zapytał chłopak. - Gdybym ja obraził damę, przeprosiłbym ją.

- Zatem przeproś. Obraziłeś mnie - powiedziała panna Borselen.

- Ponieważ wiatr rozwiął włosy pani w obecności wielmożnego Szymona. Wiem. Wybaczcie mi, pani - rzekł czeladnik.

Anzelm Adorne świadom był majaczącej w tle twarzy żony i ostrego spojrzenia dziewczyny, do której mówił.

- Zaprosiliście mnie pod swój dach, bym zносиła spotkanie z *nim*? - zapytała Katelina van Borselen. - Szkocja jest bardziej cywilizowana.

- Może w Zeeland będzie lepiej, pani - rzekł czeladnik. - Jeśli wiatry się uspokoją. Albo, gdybyście zechcieli, pani, mogę spleść czepiec, którego nic nie zdmuchnie. Robię podobne dla matki Feliksa.

- Claesie - odezwał się Juliusz - za pozwoleniem Meester Anzelma, pewien jestem, że możesz już odejść.

Promienny uśmiech skierował się w stronę Adorna.

- Czy mogę odejść? I czy mogę najpierw, minen heere, porozmawiać z dziećmi? Znamy się przecież.

Adorne wiedział o tym od żony. Nie skończył jeszcze z tym łotrem, ale obrót, jaki teraz sprawy mogły przybrać, wydawał się ciekawy. Skłonił głowę.

Młodzieniec skierował się nie ku najstarszemu synowi Anzelma, Janowi i jego kuzynowi, lecz ku najmłodszym: Katelijne, Antoonowi i Lewijse. Panna Katelina odprowadziła go wzrokiem z dyskretnym zdumieniem, po czym odwróciła się, by wieść uprzejmą rozmowę z gospodarzami domu, od czasu do czasu czekając cierpliwie, aż Meester Juliusz włączy się w pogawędkę. Z końca sali dobiegały krótkie wybuchy dziecięcego śmiechu. Wydawało się, że grają w jakąś strategiczną grę. Później młody Claes uniósł dłonie, przytrzymujące płataninę nitek. Następnie Adorne usłyszał głosy, co do których mógł przysiąc, że należą do znanych mu osób, takich jak Tommaso Portinari, szkocki biskup, Meester Bladelin, zarządca dóbr książęcych oraz cechmistrz mający zajęczą wargę, niech go Bóg pocieszy.

Wtem wszystkie głosy ucichły i wiedział, że do sali wkroczył, jak gdyby na wezwanie, Nicholai Giorgio de 'Acciajuoli. Miał na sobie ten sam strój, co dzień przedtem na nabrzeżu w Damme: modelowany kapelusz i szatę z jedwabnego brokatu, uszytą we Florencji. Wszyscy wpatrywali się w niego. Jego wypielegnowana czarna broda była włoska, lecz odcień cery i blisko osadzone, ciemne oczy były lewatyńskie. Jego usta o czerwonych wargach ukazywały piękne zęby. Grek przybyły z Florencji; gość ze szkockiego okrętu, zbity dzień wcześniej z nóg przez czeladnika Claesa. Człowiek, którego nogę Claes z trzaskiem złamał.

Adorne zauważył, że stojący obok notariusz sztywnieje. Młody Feliks zbladł nieco, rozdał nozdrza i rozchylił usta. Na końcu komnaty Claes wstał z bolesną powolnością. Uśmiechnął się i przemówił:

- Ciekaw byłem, monsignore, dlaczego nie mam żadnych wieści o waszych ranach. Muszę prosić o wybaczenie. Nie chciałem wam wyrządzić krzywdy.

Posługiwał się włoskim z Genewy, a odpowiedź padła w dialekcie florenckim:

- Posiniaczony łokieć - odparł sucho brodaty mężczyzna. - Byłeś pochłonięty innymi sprawami. Mam nadzieję, iż wierzyłeś, że warto.

Rumieniec, który mógł mu zostać oszczędzony, okrył policzki chłopca, pozostając przez chwilę wokół dołków.

- Tylko jeżeli monsignore mi wybaczy - powiedział Claes.

- Och, wybaczam - rzekł pan Nicholai Giorgio de 'Acciajuoli. - Jeżeli nie zechcesz uczynić tego powtórnie. Mam jedną w zapasie. Reszta moich

kończyn jest w Boudonitzy. Twoi przyjaciele sprawiają wrażenie zdumionych. Może im wyjaśnisz?

Ale notariusz już zrozumiał. Adorne przypomniał sobie, że prawnik zna włoski, a może nawet nieco greki. Studiował przecież w Bolonii. Notariusz powiedział:

- Macie więc ... ona była z drewna, monsignore? - Na jego twarzy ulga mieszała się z zakłopotaniem.

- Mam drewnianą nogę - przyznał tamten. - Co wielce utrudnia stanie, gdy się jest jej pozbawionym. Skłania natomiast do siedzenia, za pozwoleniem pana gospodarza. Może obok panny Kateliny, której obecność jedynie sprawiała, że nasza długa podróż stała się znośniejszą. - Usiadł. - A teraz przedstawcie mnie trzem młodzieńcom.

Anzelm Adorne dokonał prezentacji. Następnie z równą powagą przedstawił po flamandzku jednonogiego gościa.

Nie oczekiwał od nich, by znali miano książąt ateńskich. Przedstawił ich potomka po prostu jako Nicholai de Acciajuoli, objeżdżającego właśnie kraje chrześcijańskie w celu zebrania złota na okup za brata uwięzionego przez Turków po upadku Konstantynopola. Nie gmatwał spraw dodatkowymi wyjaśnieniami. Monsignore odniósł powodzenie w Szkocji. Król był wzruszony, a biskup zgromadził godziwą sumę dla brata monsignora. Druga część misji Greka w krajach chrześcijańskich była mniej udana. Jak wszyscy na wschodzie, pragnął nowej krucjaty dla oswobodzenia Konstantynopola.

Po prostu. Ale monarchowie chrześcijańscy mieli i bez tego dość kłopotów.

Rozmowa zaczęła się toczyć po włosku. Adorne świadom był niezadowolenia siedzącej obok Kateliny van Borselen - i zlekceważył je. Młody Feliks, także wyłączony z pogawędki, skubał paznokcie. Do rozmowy wkradło się słowo „greka”.

Szlachetny pan z Boudonitzy wpatrywał się w Feliksa. Bardzo powoli przemówił po grecku:

- Jak usłyszałem od twego przyjaciela, zajmują cię konie.

Słowa te wywarły zadziwiający skutek. Feliks oblał się szkarłatem i pospiesznie splótł dłonie. Później zaczął mówić. Ktokolwiek uczył greki w Leuven, nie był świetnym nauczycielem; a młodzieniec z pewnością nie należał do najzdolniejszych lingwistów. Wydawało się jednak, że szaleje za końmi, a Acciajuoli posiadał sławnego ogiera rozplodowego. Feliks jąkał się, rozdziawiał usta i słuchał.

- O czym teraz mówią? - zapytała Katelina van Borselen.

Anzelm Adorne powiedział jej. Kątem oka zauważył, że jego żona jest lekko zakłopotana. Nie zachował się dzisiaj jak przystoi gospodarzowi.

- Obawiam się - rzekła Katelina van Borselen - że nie mogę poświęcić czasu na greckie wywody o koniach. Margriet, czy mogę ci przeszkodzić? Przyrzekłam, że pomogę ojcu podjąć kilku przyjaciół ze Szkocji. Biskupa. I wielmożnego Szymona.

- Już lepsze są greckie wywody o koniach - odezwał się młody Claes. Anzelm spojrział na niego. Po chwili powiedział:

- Szkoci są sprzymierzeńcami naszego księcia, chłopcze. Znalazłeś się wśród ludzi kulturalnych. Nie lżyj ich.

Być może ton jego głosu sprawił, że Grek przerwał mozolną pogawędkę z Feliksem. Rozpoznał imię i dostrzegł wyraz twarzy. Niespodziewanie odezwał się po włosku wprost do Claesa:

- Nie podoba ci się piękny Szymon, młody hultaju? Może jesteś zazdrosny? Dobrze się ubiera i rozmawia z pięknymi damami. Ale nie mówi po włosku, nie umie rozśmieszać dzieci i nie dba o przyjaciół tak jak ty. Dlaczego czujesz doń niechęć?

Młody Claes zamyślił się, wbijając w Greka promienne spojrzenie.

- Nie czuję niechęci do nikogo - powiedział po chwili.

- Ale ranisz ludzi - rzekł Adorne. - Szydzisz z nich. Przedrzeźniasz. Obraziłeś pannę Katelinę i wczoraj, i dzisiaj.

Spojrzenie zwróciło się ku niemu.

- Oni także mnie obrażają, a ja się nie skarżę. Ludzie są, jacy są. Niektórych trudniej żałować niż innych. Feliks chciałby się ubierać tak jak wielmożny Szymon, lecz ma siedemnaście lat, zmieni się jeszcze. Wielmożny Szymon nie ma siedemnastu lat, lecz postępuje jak półgłówek i posiada talenty, rzecz można, dziewczęce, co musi przynosić wstyd jego ojcu. Myślę jednak, Meester Adornej że zna włoski, gdyż żartował na wasz temat w tym języku. Panna Katelina zapewne pamięta.

Messer de'Acciajuoli zapanował nad sytuacją, zanim Adorne odzyskał dech.

- Myślę - zaczął Grek, troskliwie kładąc wypiełgnowaną dłoń na ramieniu czeladnika - że już czas, aby Claes wyruszył do domu, jeżeli chłosta go zbyt nie osłabiła. Może przyjaciele go odprowadzą. Uczciwość, Messer Adorne, jest towarem nie wszędzie mile widzianym. Cieszę się jednak, że zawarłem z nią znajomość i nie chciałbym, by została ukarana.

- Już została ukarana - rzekł Adorne. - Macie słusność. Przez ostatnie pięć minut mówiliśmy o tutejszych słotach. Meester Juliuszu, jesteście wolni.

Nie mógł powstrzymać dzieci, które wybiegły za Claesem na podwórze, od dotykania go. Miał nadzieję, że rozsądek każe notariuszowi zabrać tego czeladnika prosto do farbiarni Charettych i zatrzymać go tam, dopóki

sprawy nie zostaną załatwione. Albo, co lepsze, wyśle go z powrotem do Leuven razem z małym Feliksem.

Zastanawiał się - Margriet na pewno o to zapyta - czy ten chłopak rzeczywiście robił nakrycia głowy dla Marian de Charetty. Podniósł z posadzki płataninę przędzy, którą dzieci porzuciły u jego stóp, przyjrzał się jej i stwierdził, że prawdopodobnie tak.

Odprowadził Katelinę do drzwi, a po powrocie zastał Greka rozmawiającego z Arnolfinim, kupcem bławatnym z Lukki. Nie mógł sobie przypomnieć, czy go zaprosił. Messer de'Acciajuoli bezmyślnie przestawiał pionki dziecinnej gry. Obydwaj spojrzeli na wchodzącego Anzelma, który wymienił pozdrowienie z Arnolfinim.

Lukkijczyk przyszedł, jak się wydawało, bez jakiejś szczególnej przyzyny.

- Jedyne po to - rzekł by wyrazić mój szacunek wobec waszej bezinteresownej pomocy. Powiedziano mi panie, żeście poświęcili swój wolny czas, by oszczędzić ceklarzom trudu z zatopioną armatą. Wszyscy jesteśmy pełni podziwu.

- Nałożono wysoką grzywnę - powiedział łagodnym tonem Grek, wpatrując się w planszę do gry. - Ale cechy są bogate.

- Istotnie - powiedział Arnolfini - bogate i wypłacalne. Słyszałem, że uiszczono już opłatę. Zanim jeszcze wyrok został ogłoszony. Kto wymyślił tę przedziwną grę?

- Nie pamiętam - odparł Anzelm Adorne i nie zdziwiło go, że Grek spojrzął na niego z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy Katelina van Borselen w towarzystwie panny służebnej opuściła dom Anzelma Adorne, niebo było błękitne, a wiatr zaledwie muskał jej aksamitną pelerynę. Przebywała w rodzinnej Flandrii od dwóch dni.

Należąca do jej ojca kamienica przy ulicy Srebrnej leżała na drugim końcu miasta. Malowana łódź Anzelma Adorne czekała na Katelinę u stóp ogrodów wraz z trzema służącymi. Kazała odwieźć się do domu długą drogą obok klasztoru karmelitów, kościoła św. Egidiusza, wielkiego gmachu augustianów i pięknego kościoła św. Jakuba, skąd widać było wieże książęcego zamku, do którego z takim trudem wleczono właśnie książęcą wannę. Katelina nie chciała o tym myśleć - ani o badawczym spojrzeniu prawnika Juliusza. Kazała służącemu wiosłować niemal do samego placu piątkowych targów.

Powiadali, że Wenecja także ma mosty, lecz Brugia musiała ich mieć ze sto: kamienne z migdałowookimi świętymi i zmatowiałymi złoceniami, drewniane z kłód powleczonych melasą, z wysepkami zieleni. Drogi były zatłoczone, ale rzeka, podzielona, rozgałęziona i ujęta w kanały, stanowiła gościniec dla łodzi mijających się burta przy burcie, osłoniętych daszkami, ciężkich, obładowanych workami, skrzyniami, zwierzętami, koszami i ludźmi: zakonnikami, urzędnikami, miejskimi i przybyłymi kupcami, duchownymi, konsulami, karczmarzami i dowódcami okrętów zakotwiczonych w Sluis, których lekkie stateczki ślizgały się po wodzie pochylając maszty przed wpływaniem pod połyskliwe łuki mostów.

Wzdłuż zakoli brzegu ciągnęły się po obydwu stronach kryte gontem domy, w które szaleńczo powtykano krzywe okienka i ukwiecone balkony, i okryto żłobionymi dachami, jak gdyby z ciasta. Ich fundamenty, śluzy, spichrze mieściły się na poziomie kanału. Niskie stopnie prowadziły do niewielkich ukrytych ogrodów, w których róże, kołysane powiewem, wciąż uderzały o mury po każdej przepływającej łodzi, za którą słały lekką woń.

Van Borselenowie byli Zeelandczykami, lecz Katelina rozumiała, co to znaczy być obywatelem Brugii.

Edynburg zbudowano z szarego kamienia i srebrzysto-szarego drewna,^a wszystkie ulice biegły pionowo. Brugia była płaska, wzniesiona z pstrej

cegły, a jej ulice ograniczone były wieżami pałaców i dworów oraz wysokimi domami z rzędami okien, zamieszkanymi przez ludzi interesu. Brugia przemawiała zwielokrotnionym głosem zapracowanej wody, echem odbitym od ceglanych ścian, szumem drzew, trzepotem ubiorów suszących się w nizinnym wietrze, rechotem - niczym bagiennych żab - płóciennych chórów, które rozpięto, by trzepotały na warsztatach tkackich. Brugia była krzykliwym skrzekiem mew i dzwonów.

Z wszystkich wież Edynburga były dzwony, lecz mieszkaniec Brugii rodził się słysząc bicie tętna w łonie matki i dzwonu w dzwonnicy. Cztery razy dziennie rozlegał się dzwon roboczy, a matki wyrwały swych potomków spod stóp biegnących tkaczy. Dzwon wartowników. Wielki dzwon na wypadek wojny lub na cześć książąt, słyszalny z rufy statku w Damme. Dzwony weselne. O tym także Katelina wołała nie myśleć. Powróciła ze Szkocji w niełasce, odmówiwszy swej ręki lordowi, którego wybrał dla niej ojciec. Takie rzeczy się nie zdarzały. Obowiązkiem córki było poślubić człowieka dorównującego jej zamożnością, a ojciec Kateliny nie miał synów. Teraz miała do wyboru tylko jedno z dwojga. Klasztor lub małżeństwo z kimś innym, wybranym przez ojca. Wiedziała, kto był najbardziej prawdopodobnym kandydatem.

Szymon, dziedzic Kilmirren, nie oświadczył się jej dotychczas. Jeszcze w Szkocji podróżowała wszędzie wraz ze świtą królowej i nie przebywała ustawicznie w Edynburgu, gdzie stryj Szymona posiadał kamienicę i prowadził wszelkie interesy. Z kilku względów wiedziała o Szymonie wszystko. Jego siostra Łucja była swego czasu damą dworu dwóch szkockich księżniczek: jednej zaślubionej we Francji i drugiej, małżonki Wolfaerta, kuzyna Kateliny.

Katelina jej nie pamiętała, będąc wówczas jeszcze dzieckiem. Tak czy inaczej, Łucja wyjechała bardzo szybko po zaręczynach z portugalskim szlachcicem. Przez długi czas po jej wyjeździe Borselenowie bawili się plotkami o bracie Łucji, przystojnym, jasnowłosym Szymonie. Katelina wiedziała zatem, że spędził we Francji szalone młodzieńcze lata i został stamtąd odesłany w niełasce do swego wuja, głowy rodu. Poznała Alana, lorda Kilmirren. Skąpy i niezbyt rozgarnięty człowiek, który dobrze się czuł w towarzystwie plotkujących oficerów, i który nie miał większych ambicji niż spokojne życie - nie nadawał się zupełnie na opiekuna dla kogoś takiego jak Szymon.

Słyszała, że funkcję tę powierzono zarządcy, który miał pokierować Szymonem. Podobno przez pięć lat stawiał opór wszelkim próbom poskromienia go i wzbudzał największe, jakie potrafił, zamieszanie swoimi francuskimi strojami i manierami, korzystając z niewielkich sum wy-

płacanych mu przez stryja. Można było się jedynie domyślać, dlaczego nastąpiła w nim zmiana. Katelina podejrzewała, że chodziło o pieniądze. Zarządca umarł i Szymon przejął jego stanowisko. Gdy Katelina przybyła do Szkocji, Szymon zarządzał dobrami wuja w Kilmirren i Dunbar: dość majątny człowiek ze sporadycznie ujawnianymi uzdolnieniami do zarządzania i dobrymi pomysłami, który zarabiał wystarczająco jak na swoje potrzeby i zatrudniał zastępcę w sprawach, które go nużyły.

Wiedziała, że z przyjemnością odgrywał rolę wędrownego dworzanina w Szkocji i Flandrii, lecz ostrożność nie pozwoliła mu zakuć się w kajdany publicznych urzędów. Nie miał żony i powiadano o nim, że jest libertynem. Wydawało się to prawdą. Z drugiej strony, wuj nie miał dzieci, a sam Szymon był jedynym synem. Kilmirren stanie się pewnego dnia jego własnością, a zatem będzie musiał się ożenić. Podczas pobytu w Szkocji Katelina dowiedziała się tego wszystkiego, lecz była wówczas przeznaczona komu innemu i ani ona nie spojrzała na Szymona, ani on na nią. Podczas podróży statkiem na południe była zbyt nieszczęśliwa i załężniona, by pragnąć czyjegokolwiek towarzystwa. Wchodziła tu w grę także jej duma. Odrzucenie ojcowskiego wyboru i wyraźne wzdychanie do wytwornego Szymona było poniżej wszelkiej godności. Zwłaszcza, że wytworny Szymon mógł jej się nigdy nie oświadczyć.

Kiedy w ostatnich dniach żeglugi pozwoliła mu zbliżyć się do siebie, stało się oczywiste, że pragnął ją zauroczyć i - być może zaintrygowany jej powściągliwością - sam w pewnej mierze uległ urokowi. Zanim przybili do brzegu w Sluis wiedziała, że postanowił dokonać podboju.

Nie okazywała, że jej to pochlebia. Jej ojciec przyjąłby jego oświadczenia. Przypuszczalnie zgodziłby się także wuj Szymona i jego oziębły ojciec, gdyby ktokolwiek go zapytał. Pieniądze, ziemie i niższy tytuł lenny. Był najlepszą partią wśród kilku młodzieńców, których rodzice okazali zainteresowanie jej ręką. Z wyjątkiem lorda, którego odrzuciła. Lord, którego odrzuciła, był starszy o czterdzieści lat i obmierzły. Szymon, bratanek pana na Kilmirren, posiadał wszelkie zewnętrzne przymioty, by podbić serce każdej dziewczyny. Katelina nie podróżowała wprawdzie zbyt wiele po świecie, nie spotkała jednak nigdy mężczyzny, który dorównywałby Szymonowi urodą. Dlaczego więc kobiety wszystkich stanów (tak powiadano) nie odmawiały mu łoża, a odmawiały ręki? Dlaczego on nie poślubił żadnej? Jednego była pewna. Bez ślubu nigdy jej nie dostanie. Czy natomiast ona pragnęła go za męża - tego jeszcze nie wiedziała.

Katelina van Borselen w zamyśleniu wkroczyła do ojcowskiego domu i z całym spokojem przygotowała się na przyjęcie ojcowskich gości.

Feliks de Charety i jego cień, Claes, całe popołudnie przeleżeli na trawie obok zbiornika wody wraz z tymi spośród przyjaciół, którzy znaleźli wymówkę, by wymigać się od pracy.

Feliks nie miał żadnej wymówki, gdy Juliusz, zacisnąwszy usta, oświadczył dobitnie, że ma wracać do farbiarni i tam pozostać. Ale Juliusza osaczyła grupa mężczyzn pragnących porozmawiać o królikach, a Feliks czmychnął, pociągając za sobą Claesa. Kara nastąpi, gdy matka przybędzie tu z Leuven, co się niewątpliwie stanie. Nie dbał o to. Feliks niewiele uwagi poświęcał ludziom, którzy pracą zarabiali na życie, choć jego przyjaciele niekiedy przysięgali, że widzą w nim starego Cornelisa - kiedy w drobnej sprawie zaczynał ostre i gwałtowne targi. Jedną z przyczyn jego sympatii dla Claesa było to, że Claes niczego nie miał na własność.

Grupka na trawie rozmawiała w kilku językach, gdyż byli to przeważnie młodzieńcy z kręgów kupieckich. Był wśród nich Anzelm Sersanders, siostrzeniec Adorna, Jan Bonkle, źródło ich najgorszego angielskiego słownictwa; oraz jeden z Cantów. Był tam także Lorenzo Strozzi, który czuł się nieszczęśliwy. Robili co mogli, by go pocieszyć i popołudnie stało się rzeczywiście dość męczące. Niemal pod sam koniec Strozzi napomknął o mającym się odbyć spotkaniu w domu Florencjusza van Borselena i o tym, że on i Tommaso zostali zaproszeni.

Włosy Feliksa rozprotowały się znowu pod wysokim kapeluszem, który Juliusz kazał mu włożyć, a rękawy skromnego kubraka były mokre aż po łokcie, lecz energia chłopaka nie słabła.

- Idź! - powiedział. - Lorenzo, musisz zabrać Tommasa i iść tam!

- Feliks chce się dowiedzieć, jak Szymon będzie ubrany - rzekł Claes.

- Tommaso nie pójdzie ze względu na ciebie i Claesa - powiedział dokuczliwie Lorenzo. - Wiesz, jak bardzo nie cierpi, kiedy Claes naśladuje jego sposób chełpienia się pierścieniami.

- Może to go oduczy chełpienia się pierścieniami - wtrącił Sersanders.

- Tak czy inaczej, Tommaso skorzysta z zaproszenia van Borselena.

- Rzecz jasna - przyznał Lorenzo. - Tommasa zaproszono tylko dlatego, że zarządca banku Medyceuszów w Brugii wyjechał w interesach i muszą zadowolić się jego zastępcą. Mnie zaś zaproszono dlatego, że zarządcy banku Strozich w Brugii także nie ma: lecz przynajmniej mój ojciec jest jego kuzynem i mogą mieć pewność, że potrafię pić wino nie rozlewając go. Nie pójdę. Wcale nie muszę iść. Flamandzkie kapuściane łby.

- Powtórz to - powiedział Feliks. Zdjął kapelusz.

Po obydwu stronach Jan i Anzelm niepostrzeżenie ustawili się tak, by każdy z nich mógł pochwycić jego uzbrojoną w sztylet rękę. Wówczas odezwał się Claes:

- Feliks nie lubi młodej panny Borselen. Wrzucił kopniakiem do wody jej kornet.

Błysk w oku Feliksa zamienił się w wyraz zwykłego rozdrażnienia. Rozluźnił ramiona.

- Mówiłem ci - powiedział. - Nie trzeba było wskakiwać po niego do kanału. Ale Lorenzo nie powinien ...

- Lorenzo martwi się chorym bratem w Neapolu - powiedział Sersanders.

- Lorenzo tęskni za Hiszpanią - stwierdził Jan Bonkle. - Wyobraźcie sobie trzynastolatka w Hiszpanii. Wszystkie te służebne-czarnulki i ten klimat. Feliksie, może by tak założyć filię Charettych w Hiszpanii? Ty byłbyś pełnomocnikiem, a my wszyscy służylibyśmy ci pomocą. Mógłbyś zostawić Juliusza swojej matce.

Feliks oblał się rumieńcem. Porównanie Charettych z wielkimi domami, mającymi filie w całej Europie, było komplementem.

- Och - powiedział - wziąłbym Juliusza. To poczciwy człowiek.

- A mnie? - spytał Claes. Jego wilgotne włosy nastroszyły się jak zwykle niczym ciemnobrazowa jedwabna przędza. Leżał twarzą w dół, nieświadom na razie, że Feliks rozwiązał tasienki, którymi jego pończochy przymocowano do watanego kaftana.

- Ciebie? - rzekł Lorenzo. - Ty byś przed upływem miesiąca pograżył w rui połowę chrześcijańskiej i połowę muzułmańskiej Hiszpanii.

- Zatem pozostanę w Brugii - powiedział Claes. - Lorenzo, dlaczego Feliks chciał, byś poszedł do van Borselena?

Wszyscy spojrzeli na Feliksa.

- On mimo wszystko nie czuje niechęci do tej dziewczyny, lecz ma na nią ochotę - powiedział Jan Bonkle. - No, powiedz. To dlatego, prawda?

Feliks uśmiechnął się szyderczo. W rzeczywistości chciał się dowiedzieć, jak będzie ubrany Szymon. I dowiedział się, ponieważ Lorenzo, świadom tego, że wystawił na próbę cierpliwość przyjaciela, pomaszerował w końcu do rezydencji Strozich przy Rider Straete, przebrał się w suche rzeczy i wraz z Tommasem Portinarim stawił się w domu van Borselena i jego córki Kateliny.

Przez całe popołudnie mężowie przybywali na ulicę Srebrną, by złożyć wyrazy uszanowania Katelinie, przybyłej niedawno (bez męża) ze Szkocji. Gelis, mała siostrzyczka Kateliny, obserwowała ich, liczyła i powiadamiała ją - niekiedy w zasięgu ich słuchu - która z dam jest brzemienna i za czyją sprawą.

Przyjęcie rozpoczęło się w skromnym ogrodzie z fontanną, wykładanym

kamykami i obsadzonym roślinami w skrzynkach oraz niewielkimi drzewkami. Była tam również wyłożona poduszkami, kamienna ława, na której posadzono biskupa Kennedyego ze Szkocji, a jego pełnomocnik stanął z tyłu.

Było to, oczywiście, zgromadzenie stronników Szkocji, jako że Wolfaert van Borselen poślubił siostrę szkockiego króla. Najważniejszym tematem okazało się wywrócenie łodzi z armatą o nazwie Szalona Marta, co stanowiło przyczynę ubolewania zwłaszcza importerów francuskich win. Nikt nie wysuwał przypuszczenia, że jeśli Szkoci zaskoczą zbrojnie Anglików, Anglia niełatwo znajdzie dodatkowe oddziały wojska, by zaatakować Francję - co byłoby miłe biskupowi Kennedyemu i przyniosło korzyść królowi Anglii Henrykowi VI. Nikt nie napomknął, że pewna liczba angielskich uciekinierów, niechętnych królowi, obmyśla w owej chwili potajemne wtargnięcie do Anglii i zatrzymanie króla w dworskim areszcie, a jednym z ich symboli była biała róża. Nikt nawet nie wspomniał o delfinie, następcy francuskiego tronu.

Rozmawiali o cenach pieprzu i cukru z Madery. Spierali się o solone łososie i odpowiadali na pytania biskupa o wywóz dobrego łupku i kamienia z kamieniołomów. Czynili uprzejme i ostrożne wzmianki na drażliwy temat zabezpieczenia statku. Rozmowa, usiana pułapkami, niejasnościami i nieoczekiwanymi wieściami, była niezmiernie pasjonująca dla braci kupieckiej.

Katelina ujrzała przypuszczalnego małżonka, Szymona, po drugiej stronie komnaty: bawił się ze swym wytwornym psem i wcale nie uczestniczył w owej użytecznej wymianie zdań.

Zastanawiała się, czy nie brak mu żyłki do interesów. Zastanawiała się - gdyż od czasu do czasu spoglądał na nią - czy nie istnieją inne przyczyny jego niecierpliwości. Zauważyła, że Tommaso Portinari, młody Floretyńczyk z banku Medyceuszów, mówił więcej niżby pragnęli jego zwierzchnicy. Zauważyła także, że jego towarzysz, nadąsany młody Strozzi, wydawał się bardziej zaciekawiony strojem Szymona niż poglądami zacnego szkockiego biskupa.

Szymon był, oczywiście, jak zawsze wart oglądania: w krótkiej tunice, ciasno ściągniętej w pasie, o szerokich, wywatowanych ramionach, w wysokim kapeluszu o wyciętym rondzie na schludnych, gęstych, podgolonych włosach. Jego podbródek był jak wyrzeźbiony z jasnego drewna i wydawał się nieugięty. Gdy raz coś postanowił (tak jak wówczas, kiedy zwrócił uwagę na owych młodych głupców w Damme), potrafił być uparty.

Ale pod watowanymi poduszkami kryły się mięśnie. W Szkocji odbywał z powodzeniem częste pojedynki. W ten sposób dokonywał największych podbojów wśród wysoko urodzonych wdów i zaniedbywanych żon. Jeżeli miał bękartów, ona nie słyszała o żadnym.

Rozmawiała z wszystkimi: Jacquesem Doria, Ryszardem Wylie, Sandym Napierem. Mick Losschaert wydostał się właśnie z Konstantynopola i znał grecki ród Acciajuoli. Rozgoryczony i pełen żółci z powodu poniesionych strat, nie ociagał się ze słowami lekceważenia. Zarozumiali Florentyńczycy, którzy przez Neapol dotarli do Grecji i założyli ród książąt ateńskich. Przedstawiciele rodziny Acciajuoli nadal mieszkali w Neapolu. Zausznicy Medyceuszów.

Mick Losschaert ośmielił się wątpić, czy Nicholai Giorgio de' Acciajuoli rzeczywiście oczekiwał, że połączone floty państw chrześcijańskich pomkną przez Morze Śródziemne, by rozgromić tureckiego sułtana Mehmeta. Losschaert stwierdził, że sądzi raczej, iż Messer Nicholai Giorgio myślał jedynie o okupie za swego brata Bartolomeo, aby ów brat mógł nadal handlować jedwabiami z sułtanem. Zastanawiał się głośno, gdzie są pieniądze zebrane dla Acciajuolich w Szkocji i kto będzie miał przyjemność je przekazać.

Zebrani odczuli pewne skrępowanie, a biskup odetchnął ze świstem. Mierzył pięć stóp i osiem cali w sandałach, miał szczupłą, pomarszczoną twarz i łysiejącą głowę człowieka wykraczającego dalece poza jego rzeczywisty wiek pięćdziesięciu lat. Na pokładzie okrętu Katelina przekonała się, że nie należy go lekceważyć. Kiedy przemawiał, uwydatniały się jego ostre brwi i zarys szczęki żywiołowego, krzepkiego człowieka, którego umysł nadal działał sprawnie.

Teraz zerknął na Losschaerta ze swego miejsca na ławie i rzekł:

- O ile się nie mylę, mój kuzyn Jakub, król Szkocji, prosił swych poddanych o złoto dla kupca bławatnego w Konstantynopolu, by mógł wznowić handel. A owi szlachetni panowie ... musicie znać ich imiona, są sławne ... którzy przybyli ze wschodu do Mantui i ze łzami błagali papieża o pomoc?

- Jego Eminencja źle mnie zrozumiał - zaproponował pośpiesznie Losschaert. - Miałem na myśli jedynie to, że zarówno w czasie pokoju jak i wojny waży się wiele spraw między światem wschodnim a zachodnim. Przy samotnych suplikantach pożądana jest ostrożność. Tam jednak, gdzie cały chrześcijański Kościół na wschodzie prosi o przyjaźń i pomoc Rzymu, sprawy mają się zupełnie inaczej.

Katelina spostrzegła, że Tommaso Portinari przyjął puchar wina i dołączył do towarzystwa. Oczywiście skierowały się w jego stronę.

- Cóż - zaczął biskup - jeżeli macie wątpliwości co do pieniędzy zebranych dla Nicholaia de' Acciajuoli, wolałbym, abyście głośno je wypowiedzieli. Całą kwotę powierzono mnie, bym dostarczył do Brugii, a ja złożyłem ją w bezpieczne ręce tu obecnego Messer Tommasa. Z Brugii, jak

rozumieć, pieniądze zostaną przewiezione do banku Medyceuszów w Mediolanie, skąd następnie będą przesłane do Wenecji. Z Wenecji, po stosownych negocjacjach z Turkami, zostaną przekazane w odpowiedni sposób do Konstantynopola i tam wymienione za brata Messer Nicholaia. Czy mam słuszność, mynheere Tommaso?

- Tak jest, panie - odparł Portinari. Nosił bufiaste rękawy, bobrowy kapelusz o niskim denku i pierścienie na niemal wszystkich - białych i smukłych - palcach. Pierścienie nie były zbyt kosztowne; Tommaso pełnił jedynie funkcję zastępcy. Przybył do banku w wieku lat dwunastu. Katelina znała go przez całe życie, podobnie jak wszyscy inni. Dlatego właśnie usiłował wywierać wrażenie.

- Monseigneur wie, że bank przywiązuje najwyższą wagę do okupu za chrześcijan - mówił dalej Tommaso. - W Rzymie dzieje się podobnie. - Mówił pan po flamandzku z włoską, mieszając inne akcenty, wśród nich angielski. Jeszcze dziś rano Katelina słyszała kogoś, kto go naśladował. Zmarszczyła brwi na to wspomnienie.

Tommaso, pragnąc skorzystać ze sposobności, dodał:

- Mynheere Losschaert nie jest, być może, świadom ufności, jaką Kuria pokłada w naszej kompanii. Rzecz jasna, mowa tu o przelewach pieniężnych. Jego Eminencja przywozi nam opłaty z tytułu nowych danin kościelnych, a my przekazujemy je do Rzymu. Ale mamy również inne zadania do wykonania. Właśnie wysyłam drogą lądową trzy komplety arrasów jednemu z kardynałów.

- Nie boicie się wysłać zimą pieniędzy - zapytał Doria - przez alpejskie przełęcze?

- W dzisiejszych czasach posługujemy się listami zastawnymi - odparł Portinari. W jego zachowaniu stanowczość łączyła się z szacunkiem. - Lecz tak, pod stosowną strażą posyłamy i srebro w razie potrzeby. Sami wysyłacie tą drogą towary, kiedy flamandzkie galery przybywają z czymś, co nie może czekać do wiosny. Spóźniają się tego roku, Wasza Eminencjo.

- Są już niedaleko - wtrącił sekretarz księżnej Burgundii. Odsunął nieco od nozdrzy kwiat, który właśnie wachał i pochyliwszy się wetknął go za obrożę siedzącego obok psa Szymona. Pies uderzył ogonem o posadzkę, a tylna połowa ciała kilkakrotnie drgnęła zachęcająco.

Messer Vasquez wyprostował się i rzekł:

- Myślę, że nie będziemy musieli czekać długo. Powiadają, że tego roku odbyły się targi i galery późno wypłynęły z Wenecji. Mówiono mi, że jedwab ma być dobry, a przyprawy wprost niezwykłe. Powiadomiono już księcia.

Tommaso odwrócił się szybko, tak że Katelina dostrzegła wysoko osadzone kości policzkowe, długi nos i jasne oczy ocienione rzęsami.

- Czy monseigneur słyszał może, kto jest kapitanem? - zapytał.

Messer Vasquez chętnie podzielił się swą wiedzą.

- Słyszałem, że jakiś Duodo. Jak rozumiem, może to być Messer Alvise, który zwykł był żeglować z Wenecji do Trebizondy. Jeżeli tak, Brugia może oczekiwać znacznego ożywienia. Kiedy Turcy obiegli Konstantynopol, Alvise Duodo przełamał blokadę i poprowadził większość uwięzionych okrętów ku wolności. Ród Duodo jest majątny i nie pozbawiony stylu.

- Uśmiechną się do Kateliny. - Teraz nastąpi dla miasta najgorętszy czas, panno Katelino: wszystkie piwnice są puste i oczekują dwóch cennych ładunków. Jako dziecko widywałeś chyba, pani, przybywające galery flamandzkie?

Milczała. Wielki Post kończył uniesienia karnawału. Z ostatnimi dniami lata przychodził cud wielkich galer wpływających do portu ze skarbami z Wenecji. Podwójny cud dziecięcego roku, za którym tak tęskniła w Szkocji. Za którym wdychała bardziej nawet niż za rozległym niebem, wodą i ciepłą, pstrą cegłą.

- Czasami tak - odparła. - Monseigneur, może jeszcze odrobinę wina?

Szymon pozostał na kolacji i bawił ich rozmową. Katelina pomyślała, że ojcu bardziej by odpowiadało, gdyby wszczął spór odnośnie tego, co dziś zostało powiedziane, zadawał pytania lub wyrażał swoje zdanie o przemówieniach, wplatając kilka plotek ze Szkocji.

Szymon, rzecz jasna, wiedział o tym. Był więc pewien, że otrzyma błogosławieństwo jej ojca, gdyby zechciał o nie zabiegać (a może już je uzyskał?). Zamiast tego zapragnął wyrzucić na niej wrażenie. Przez pewien czas najwyraźniej mu nie ulegała. Szymon był jednak niezwykle gładki w obejściu. Rozśmieszył kapelana jej ojca, prześcigał się w anegdotach z sekretarzem, a następnie poddał ojcu i jej samej temat dworu w Veere, gdzie Łucja, siostra Szymona, służyła niegdyś szkockiej księżniczce. Ojciec Kateliny zapytał o ową siostrę, która poślubiła Portugalczyka z książęcej świty i mieszkała teraz na rozgrzanym południu Portugalii. Mieli syna, jak się okazało, a Łucja była więcej niż szczęśliwa.

- Szczęśliwa, tak daleko od domu? Czy na pewno? - Pytania Kateliny były złośliwe, lecz Szymon odpowiedział z całą powagą.

- Ty tęskniłaś za domem, pani, przebywając w Szkocji przez trzy lata. Ale małżeństwo jest pewną umową. Sześć siostr mego króla rozproszyło się po całej Europie. Księżniczka Veere wciąż żyje szczęśliwie. Podobnie jak inne, wszystkie prócz dwóch, które powróciły do Szkocji. Zapytaj je, czy radują się tym powrotem czy nie.

- Czy żyją jeszcze? - zapytała Katelina.

- Ależ, Katelino - wtrącił ojciec - to niezbyt uprzejme. Owe damy są

wierne swym panom, tak jak powinny, i chętnie spełniają przeznaczone im obowiązki. Czy jest to życie zimne czy ciepłe, pagórkowate czy płaskie, nie ma znaczenia.

- A to, czy ich mężowie są zimni czy ciepli, pagórkowaci czy płascy?
- spytała Katelina. - To musi mieć znaczenie, inaczej klasztory świeciłyby pustkami.

Kapelan zacisnął usta nie patrząc na nikogo. Ojciec powiedział:

- Moja panno, podczas zagranicznych podróży nie nauczono cię, jak widać, delikatności. Takich rozmów nie prowadzi się przy stole. Wielmożny Szymon pozwoli, że się oddalisz?

Wstała powoli. To samo uczynił wielmożny Szymon, który ujął jej zacisniętą dłoń, by wyprowadzić ją zza stołu.

- Monseigneur pozwoli - rzekł - że wasz gość Szymon także się oddali. Widok przepięknego zachodu słońca w ogrodzie uspokoi nasze serca, jeżeli ktoś ze służby zechce nam towarzyszyć.

Po chwili ojciec Kateliny skinał głową i dał znak oczyma jednemu z młodszych służących, którego oczy ponad szarfą na kaftanie aż lśniły z ciekawości. Katelina pomyślała, czy nie odmówić, była bowiem w buntowniczym nastroju. Przez dłuższy czas przebywała poza zasięgiem władzy rodzicielskiej, a ostatni konkurent był w jej myślach aż nazbyt wyrazisty. Wciąż niezdecydowana, wymaszerowała z komnaty i stąpając po brukowanej ścieżce, rozgniewana, gdyż Szymon nadal trzymał jej dłoń, a także dlatego, że z jego szat wydobywał się jakiś dziwnie miły zapach, a jego włosy miały barwę, o którą niegdyś modliła się do Najświętszej Panienki.

Kiedy służący otworzył drzwi do ogrodu, próbowała wysunąć dłoń z uścisku Szymona i z lękiem poczuła, że nie może jej uwolnić. On jednak uniósł jedynie jej rękę do ust, po czym puścił ją i potulnie ruszył za Katelina do ogrodu. Służący znalazł się poza zasięgiem wzroku, lecz nie słuchu, jak przypuszczała.

- Dlaczego przybyliście do Flandrii, panie? - zapytała.

Przystanął. Za nimi, w domu, żółte światło okalało okiennice z wyjątkiem otwartego, pachnącego okna kuchennego, w którym siedział kot. Przed nimi drzewka zasłaniały lampy w innych domach, jedna po drugiej zapalane o zmierzchu. Niebo pełne było soczystych, marcepanowych barw, podobnie jak woda w sadzawce i poblask bijący ze studni. Coś ukłuło Katelinę przez chusty w obojczyk, a później w skroń.

- Komary - odezwała się. - Powinniśmy wrócić do domu.

Stali obok ławy. Szymon powiedział:

- Chciałbym odpowiedzieć na pytanie. Czyż nie jestem wart jednego komara?

- Nie - odparła. - Dowiem się następnym razem. Albo je odpędźmy. Jeszcze tu nieco liści. Dym będzie skuteczny. Ederyku?

Mój Boże, nigdy poza zasięgiem słuchu. Służący jej ojca zjawił się natychmiast.

- Przyniesie głownię z kuchni - rozkazała Katelina. - I rzuć ją na te liście. Mówiliście panie, że ...?

Szymon spokojnie obserwował znikającego służącego, po czym doprowadził Katelinę do ławy, na którą rzucił uprzednio żakiet.

- Mówiłem, że podobnie jak wszyscy na pięknym okręcie *St. Safoator* zacnego biskupa, znalazłem się w Brugii, by sprzedać część ładunku, ulokować zysk, dokonać zakupów, wydać rozkazy i przede wszystkim radować się przybyciem flamandzkich galer. Można było mnie o to wszystko zapytać na pokładzie.

Drzewa były coraz bardziej ciemniejsze. Zbliżające się światło zapowiedziało powrót Ederyka.

- Nie wiem, dlaczego nie pytałam - powiedziała siadając.

- Ponieważ bałaś się, pani, że usłyszysz inną odpowiedź - odparł. - Na wszystko przychodzi czas.

- A teraz? - zapytała. Pochylony Ederyk przykładał pochodnię do sterty wilgotnych liści. Zaszleściły, wypuszczając smużkę dymu i pierwsze, trzepoczące ćmy. Szymon podszedł, chcąc usiąść.

- Stojąc możecie przypilnować płomienia, kiedy Ederyk odniesie pochodnię do kuchni - odezwała się Katelina. - Tak czy inaczej, nie jest to czas na podpalenie domu mego ojca.

Z nad ognia unióś się błękitny dym. Ederyk spojrzał na swą panią, po czym odszedł. A przynajmniej usunął się z pola widzenia. Szymon nieoczekiwanie ukląkł przy ogniu, brudząc pończochy i pochyliwszy się zaczął dmuchać w miejsca, gdzie płomień przygał. Wyfrunął z nich popiół.

- Jeżeli życzysz sobie, pani, widzieć mnie uczernionego sadzą - powiedział! - nie mam nic przeciwko temu. Na twe pytanie odpowiem, że sztuka odmierzania czasu ma charakter osobliwie flamandzki. Oczekuję, że w stosownej godzinie pewna Flamandka powie mi o wszystkim.

- Chyba czekaliście bardzo długo, panie, by się dowiedzieć. Może będziecie czekać równie długo ... Och!

- Obawiam się - rzekł Szymon - że siedząc tam nadal będziesz, pani, narażona na ukąszenia. Pozwolę sobie zaproponować tę stronę ogniska; tutaj dym będzie przechodził obok. Czemu odmówiłaś jego lordowskiej mości? Jest majątny i mógłby umrzeć bardzo prędko.

- Doprawdy? - zapytała Katelina. Po namyśle wstała, podniosła jego okrycie i położyła je, rozpostarte przy ogniu. Miał słuszość. Dym

wystarczająco płoszył komary, płynął jednak w stronę Szymona, nie jej. Jego jasna skóra poplamiona była już sadzą, co zmieniało klasyczne rysy i przydawało blasku oczom.

- Ależ oczywiście, pani... z taką żoną. Choć mówiono mi, że chełpił się mocą swych uścisków. Nie doświadczyłaś ich?

Z pewnością doskonale wiedział, że Ederyk znajduje się w zasięgu słuchu.

- Nie pamiętam - odparła. - Uważam zaloty za wielce nużące.

Zdjął kapelusz. Jego włosy i oczy lśniły w blasku płomieni. Niebo było trupioblade, ogród ciemny. Wytworny Szkot skłonił głowę, badając migocące płomienie.

- Spójrz - powiedział. - Jakie zwilgotniałe i nieszczęśliwe. Lecz pod dotknięciem ... - pochylił się i dmuchnął - oczywiście odpowiednim > dotknięciem ..."Ciepło. Światło. Ukojenie.

Katelina van Borselen, uczerniona od czoła po talię, obejrzała się na niego. Później zerknęła po raz wtóry, gdyż natychmiast i niepostrzeżenie usiadł obok niej.

- Niekiedy zaś właściwe dotknięcie nie przynosi ukojenia - powiedział. - Skąd mam jednak wiedzieć,»czy moje zaloty są nużące, póki nie jesteśmy obydwoje równie uczernieni> Moje czarne ręce ... i moje czarne usta tam, gdzie ich zapragniesz. Katelino?

Jego oddech był wonny. Jedwab okrywający jego ramiona i ciało był ciepły. Usta, które spoczęły na jej wargach, miały smak popiołu.

Jego uczernione wargi znalazły się na jej wargach, a różowy język wewnątrz różowych ust, wytrącając ją z równowagi. Gwałtownym ruchem cofnęła głowę, czując, że jej podbródek jest lepki i wilgotny. Otarła go drżącymi palcami.

- Matko Boża - powiedziała - słyszałam, że zachowujesz się jak półgłówek i masz talenty dziewczęcia, ku wstydu ojca. Teraz w to wierzę.

Jedna jego dłoń nadal obejmowała jej pierś. Druga zatrzymała się na jej szyi. Znieruchomiał.

- *Kto* to powiedział? Twój ojciec?

Nie mogła skłamać, że to ojciec. Wysunęła się z objęć. Siedzieli teraz osobno. Jego napięta, usmolona twarz połyskiwała w blasku ognia. Komary i ćmy płonęły, umierały i opadały na ich kolana.

- Czy nikt ci tego przedtem nie mówił? - zapytała.

- Kto? - powtórzył. - Kto to powiedział?

- Nikt, kogo mógłbyś się obawiać - odparła. - Tyle że ja to usłyszałam. Tyle, że to prawda. - Bez niego jej skóra wahała się między uczuciem zimna i gorąca; wstrząsały nią dreszcze.

Szymon z Kilmirren wstał bardzo powoli, a brudne smugi na jego twarzy wcale nie były śmieszne.

- Twój ojciec tak nie myśli - powiedział. - Czyżbym zaczynał pojmo-
wać, dlaczego odmówiłaś jego lordowskiej mości i mając lat dziewiętnaście
jesteś jeszcze niezamężna? Jesteś kaleką?...

Ona także wstała .

- Tak - odparła. - Jeśli kalectwem jest niechęć do niezaradnych
umizgów.

- Zostałem tu zaproszony. Teraz rozumiem. Zatem jedyne, czego
pragniesz, to klasztor? - W jego głosie zaledwie pobrzmiwał powstrzy-
wany gniew. Sam w sobie, głos był na tyle cichy, że nikt przypadkowy nie
mógł usłyszeć.

- Jedyne, czego pragnę, to człowiek dobrze wychowany - powiedziała
głośno Katelina.

I naturalnym biegiem rzeczy pozostała sama w ogrodzie.

ROZDZIAŁ 4

Wyciągnięci z przytulnej kuchni van Borselenów słudzy szlachetnego Szymona musieli w pośpiechu włożyć kubraki, zabrać psa i z pochodniami w ręku towarzyszyć swemu panu, który nie pożegnał się nawet z gospodarzem, lecz natychmiast wyruszył w stronę placu targowego i Żurawiego Mostu, za którym znajdowała się jego kwatera. Ignorowany przez pana pies podskakiwał i szczekał, podniecony smugami na jego twarzy, usmoloną koszulą i miną pełną niezadowolenia. Słudzy kroczyli ostrożnie z tyłu.

Gaszenie świeć przypadało na godzinę dziewiątą i wszyscy przechodnie spieszyli do domów. Później światła pozostaną jedynie na bramach zamożnych domów, będą połykiwać z przepływających łodzi lub migotać w niszach ze świętymi figurami, nie oświetlając niczego.

Nocne życie Brugii po godzinie dziewiątej toczyło się przy znikomym świetle lub w ogóle bez światła. Pomimo patroli burmistrza van de Courpse i jego oficerów, istniały tawerny, łaźnie i pewne inne domy, które nie zamykały podwoi o dziewiątej; lecz na zewnątrz nie paliły się żadne światła.

Pochodni nie nieśli także członkowie straży, zmieniający się u stóp dzwonnicy; ani ci, którzy siedzieli na jej szczycie z dzwonem i trąbką. Dziewięć zamkniętych bram i pięć mil murów obronnych Brugii nie było oświetlonych w czas pokoju. Jedynie poza miastem połykiwało tu i ówdzie światło zza chmur okrywających jakiś pałac, dwór lub klasztor. Wewnątrz murów zaś, przyjrawszy się bacznie szczelinom okiennic i rozległym, podziemnym pułapkom piwnic, można było rozpoznać domostwa bezsenne i ruchliwe.

Później rozmaite zwierzęta zaczynały włóczyć się i szurać pośród odpadków, które do rana zostawały uprzątnięte bez śladu. Łodzie oczyszczające kanały i rzeki płynęły powoli, wybierając szlam i łowiąc sieciami codzienną porcję wzdętych zwierząt i gnijących roślin. W pobliżu mostu (tam, gdzie wielmożny Szymon kroczył nie pozdrawiając nikogo) specjaliści pachołkowie sprawdzali i oliwili miejskiego żurawia, Grue, co można było robić jedynie nocą, kiedy ruch ustawał.

Odblask niesionych latarni migotał pod stopami, oświetlając olbrzymią,

drewnianą konstrukcję z parą wielkich młyńskich kół osłoniętych daszkami, wznoszącą pysk ku niebu; a potężne, podwójne haki kołysały się w powietrzu. Na samym wierzchołku umieszczono osobliwą podobiznę ptaka, od którego machina wzięła swą nazwę, a na długiej, ukośnej belce stały rzędem „a jednej nodze mniejsze żurawie, które noc uwolniła od natarczywej krzykliwości mew. Dla mieszkańców Brugii i tych, którzy często ją odwiedzali, był to widok równie znajomy jak dzwonnica; dlatego nie przyciągnął wzroku szkockich służących urodziwego Szymona, zarządcy Kilmirren. Jeden z leżących między kołami mężczyzn w filcowych czapkach gwizdnął przez zęby i podrzucił głową, tak że kropla oleju spadła mu na policzek, sprawiając, że zaklął łagodnie. Nikt nie zaniechał pracy i nie było po temu potrzeby, gdyż wszyscy, którzy załatwiali w Brugii jakieś nocne sprawy, prędzej czy później przechodzili pod Żurawiem.

Przed gospodą należącą do Jehana Metteneye a jeden ze Szkotów musiał wprawić w ruch dzwonek, by otwarto drzwi na dziedziniec; a latarnia nad bramą ukazała nocnemu stróżowi zastanawiający wygląd wielmożnego Szymona. Izba, którą dzielił z Napierem, Wylieem i dwoma jeszcze szkockimi kupcami, znajdowała się na górze i zwykle była pusta o tej porze; lecz, oczywiście, spotkał przed jadalnią Jerzego Martina, faktora biskupa Kennedyego, a na schodach żonę Metteneyea. Wpadł także na wychodzącego z sali sypialnej Jana z Kinloch, szkockiego kapelana, który zużył resztkę wody do mycia. Upłynęło dobre pół godziny, zanim Szymon mógł zejść na dół, porządnie wyszorowany i zjeść kolację, zabawiając innych opowieściami o co zabawniejszych przygodach. Jan, kapelan od św. Niniana, drażnił go i Szymon zmuszał się do szczególnie miłego zachowania względem niego.

Jednocześnie nie miał wątpliwości, jak spędzi resztę nocy. Przyniósł sobie zwój papierów, które chciał przestudiować przed swą pierwszą transakcją. Uzyskał od pani Metteneye pozwolenie skorzystania z gabinetu gospodarza, jego lampy i stołu, na którym Jehan trzymał szkatuły i księgi gości.

Kobieta miała pięćdziesiąt lat, a jej uśmiech przyprawiał go o dreszcze, lecz odwzajemnił go, kiedy podkreśliła lampę, przyniosła mu wygodny zydeł i zapytała, czy czegoś nie potrzebuje. Powiedział, że nie, ale po chwili zmienił zdanie. Spytał, czy Mabelia może mu przynieść flaszkę wina, którą odłożyła specjalnie dla niego. Ryzyko było niewielkie. Mało prawdopodobne, by Jehan pozwolił żonie przybiec tu drugi raz.

Rozwinął papiery i otworzył kałamarz, ale kiedy drzwi się zamknęły, nie wziął nawet pióra do ręki. Jak zawsze, gdy wracał do jakiegoś miasta, przypomniał sobie wszystkie podboje lub ich początki i układał je - na poły

w jałowym oczekiwaniu, na poły w rozbawieniu samym sobą - w kolejności, z jaką przystąpi do szturmu.

Tym razem na czele stała Mabelia. Spotkał ją za ostatnią bytnością u Metteneyebw: dziewicę pełną ponęt i pikantnej prostoty, z którego to stanu wywiódł ją z niezmierną przyjemnością. Była służącą, oczywiście: jedną z niezliczonych ubogich kuzynek bądź dzieci kuzynek, które dostarczały służby każdemu zacnemu mieszczańskiemu domostwu. Nie było zatem pośpiechu z szukaniem męża dla niej. Szymon miał nadzieję, że zostanie ją nadal w tym domu. Kiedy zobaczył ją z wiadrem na nabrzeżu, wciąż promiennooką i zarumienioną, odczuł pewne wzruszenie.

Poprzednio przychodziła do niego, póki nie przekupił dwóch innych dziewczek służebnych, by spały gdzie indziej; wówczas chodził do niej na poddasze. Niekiedy, dzięki urokom Brugii, sala sypialna pozostawała pusta przez całą noc i mogli czuć się w niej swobodnie. Tylko w ten sposób mógł spędzać podobne noce nie wychodząc z domu. Do gospód i pensjonatów kupieckich nie wpuszczano kobiet.

Kiedy Mabelia nie pojawiła się po upływie kwadransa, zniecierpliwiony otworzył drzwi. Przechodził właśnie jeden ze służących, więc Szymon zamknął je natychmiast. Po pięciu minutach spróbował ponownie i omal nie przewrócił pani Metteneye, pukającej do drzwi z butelką wina. Posłał jej promienny uśmiech i uprzedzając trajkotanie zapytał o Mabelię. Dziewczyna, jak stwierdziła gospodyni, bywała czasami nieznośna, jak wszystkie dziewczki, lecz przeważnie ciężko pracowała i była bardzo przydatna, zwłaszcza w takich okresach jak teraz, gdy każdy żąda usług i nie dba o to, że wszyscy biegają jak szaleni. Może Mabelia ściele teraz łoża nowo przybyłym panom. Trudno powiedzieć. Ale wielmożny pan Szymon bez wątpienia zobaczy ją gdzieś w pobliżu, dziś albo jutro.

Po dziesięciu minutach spróbował raz jeszcze i natknął się na dziewczkę, którą znał i której z reguły unikał, gdyż biorąc od niego pieniądze zawsze łypała lubieżnie okiem. Zachichotała i powiedziała mu, że oczywiście przekaze Mabelii, iż wielmożny pan będzie pracował do późna. Ale prawdę mówiąc, Mabelia także pracuje dziś do późna. Łypnięcie.

Była głupia. Spojrzenie, które rzucił dziewczynie na nabrzeżu, nie miało być źle zrozumiane; ani to, że przyszła tam specjalnie dla niego. Odprawił służkę i z butelką w dłoni przemierzył leniwie cały dom, od pomieszczenia dla służby aż po kuchnię, czarujący dla każdego i coraz bardziej rozgniewany. We wspólnej sali grano w karty. Przez chwilę stał i przyglądał się, pijąc wino i rozmawiając. Służba przychodziła i odchodziła - wszyscy prócz Mabelii. Będzie musiał wyjść do miasta. Niemal podjął decyzję, kiedy na dziedzińcu rozdzwonił się dzwonek, tak uparcie, że przerwano grę i głowy zwróciły się ku drzwiom.

Głósy. Szczekanie. Ktoś rozdrażnił jego psa. Rozległ się głos Metteneye a, po czym jego twarz ukazała się w drzwiach.

- Nie ma się czego obawiać, panowie. Ktoś doniósł ludziom bławatników o luźnych belach sukna i przyszli na przeszukanie. Wkrótce wyjaśnimy tę omyłkę. Wszystko jest w porządku.

Jęknęli. Takie rzeczy zdarzały się od czasu do czasu. Obcy kupcy musieli przestrzegać ścisłych reguł. Mogli sprzedawać towary w swoich kwaterach tylko w określone dni i w określonych godzinach, a po upływie owego czasu towary musiały być związane sznurem. Nie związany towar oznaczał grzywnę i konfiskatę. Miejscowi kupcy byli dobrze chronieni w Brugii. Należało być uprzejmym - tak jak w tej chwili - dla urzędników, przychodzących w pasiastych czapkach i ciężkich okryciach, z krzepkimi służącymi o szerokich barach. I zgodzić się, oczywiście, na zejście do **piwnic**, gdzie trzymano wielkie bele i skąd - jak twierdził pewien przechodzień - przez każdą szczelinę widać było światło.

Tupot wielu nóg przyprawiał psa o histerię, Szymon wypuścił go zatem i trzymając za obrozę zabrał z sobą do piwnicy. Zwierzę węszyło i parło naprzód, choć w piwnicach znajdowały się, oczywiście, tylko towary; a wszystkie były schludnie powiązane i zwinięte w bele, jak należy. Metteneye przeszedł w przeciwny kąt, by zdmuchnąć hultajską lampę, którą jakiś głupiec zostawił zapaloną.

Pies omal go nie przewrócił. Wyrwawszy się z rąk Szymona skoczył obok Metteneye a, obiegł filar, minął podcienia i kopiąc łapami znikł za wielką stertą baryłek. Ludzie poszli za nim. Zatrzymał się przed pięcioma belami niezgorszej, zielonej i brązowej wełny oraz workiem sprawdzonych przed chwilą skór. Zaczął szczekać, zupełnie jakby przedmioty te zagrażały jego wewnętrznej równowadze lub kryły w sobie jego obiad.

Szymon ruszył naprzód. Między belami a ścianą było puste miejsce. W miejscu tym znajdowało się sklecone naprędce łoże, składające się - o ile mógł dostrzec - ze skórek lisich, kocich i zajęczych, nie najlepiej wyprawionych. Kłęby futra przesłaniały jakiś falujący kształt, który w oczach Szymona rozdzielił się wyraźnie na dwoje. Biały przedmiot, który pojawił się z jednej strony, przybrał zaskakującą postać czepka na uroczej główce służącej imieniem Mabelia; a następnie wychyły stamtąd jej ramiona.

Pozostałaby w tej pozycji, gdyby nie zebrany wokół tłum: ludzie bławatnika i szkoccy kupcy zaczęli się głośno podśmiewać. Wyciągnęli dziewczynę, śmiejąc się rubasznie, ona zaś miała zamknięte oczy i usiłowała jak najdokładniej zasłonić szkarłatną twarz. Była w pończochach. Prócz tego jedyną okrytą częścią jej ciała była kibić. Gniewnie uśmiechnięty Metteneye zdjął okrycie i narzucił na jej ramiona.

Szymon odstąpił trzy kroki w bok. Stał na drugim końcu ciepłej sterty futer, wciąż obszczekiwanej przez jego psa, a w dłoni trzymał niewielki sztylet, który wolno było nosić przyjezdnym kupcom, by mieli się czym bronić przed rabusiami. Pochylił się, być może po to, by wsunąć ostrze w futra lub aby się bronić. Ani jedno ani drugie nie było konieczne. Zobaczył wyłaniającą się powoli głowę o włosach barwy kurzu, parę muskularnych ramion i spocony tors, na pół zakryty przerabianą koszulą z miękkiego płótna i narzuconym na nią, jeszcze tańszym kxaftanem, którego tasiemki wydawały się nie do końca połączone z pończochami.

Szymon znał tę twarz. Znał to szerokie czoło, okrągłe oczy, sowi nos pomiędzy dołkami w policzkach oraz pełen dezaprobaty, rozbajający uśmiech.

Claes, czeladnik Charettych. Claes, którego wyraz twarzy w owej chwili nie był ani zalekniiony, ani posępny, ani złośliwy, lecz przypominał wszystkie trzy. Claes, który z westchnieniem zamknął oczy i powiedział:

- Nie przeczę. Przyznaję. Postąpiłem jak półgłówek o talentach dziewczęcia i nic pewniejszego nad to, że przynoszę wstyd memu ojcu, gdziekolwiek jest.

Był to dla kupców najlepszy żart wieczoru. Zamiast przykrej sceny ze Szkotami, sprawy sądowej, licznych kwasów i uraz, mieli dziewczkę służebną biorącą co jej się należy od wielkiego, uśmiechniętego prostaka z farbiarni Marian de Charetty, który leżał z rozwiązanymi tasiemkami, otwierając swą gadaniną drogę do kolejnej chłosty.

Warte również zastanowienia było zachowanie Szymona - czy dziewczę nie wpadło w oko także szkockiemu arystokracie? Jego twarz przybrała wyraźnie osobliwą barwę. I rzeczywiście sztylet w ręku błysnął raz i drugi, jak gdyby lord miał chęć go użyć.

Być może przyszło to do głowy także Claesowi, gdyż niespodziewanie zerwał się i wyskoczył spod futer. Przebiegł obok psa i między dwoma młodzieńcami, którzy stali śmiejąc się z niego, minął podcienia i filar, runął schodami ku górze i pomknął przez dom w stronę dziedzińca. Kupcy i ludzie bławatnika spoglądali w ślad za nim, śmiejąc się do rozpuku, a ktoś poklepał Metteneye a po plecach. Szlachetnie urodzony Szymon wydawał się także przychodzić do siebie, gdyż wybuchnął śmiechem, schował nóż i przywołał psa, mówiąc:

- I cóż, na co czekamy? Hultaj prosi się o cięgi, musimy go tylko złapać!

Zebrani natychmiast zrozumieli jego zamysł. Żart był dobry i wcale nie musiał dobiec końca. Czelnik Claes, wielki kochanek, znajdował się daleko od poddasza domu Charettych. Przynajmniej tyle mogli zrobić dla nieszczęsnego Metteneyea, którego zaufanie zawiedziono, a jego służąca

znajdowała się być może w stanie błogosławionym: złapać chłopaka i sprawić, by tego pożałował. Nawołując i pohukując wysypali się z piwnicy, pozostawiając Metteneye a, który schwycił dziewczynę za ramię i zaciągnął po schodach do swej małżonki.

Kłopot sprawiała, rzecz jasna, woń lisa, kota, zająca, a nawet nieuchwytna domieszka zapachu królika. A przecież, na Boga, chłopak był pomysłowy. W mgnieniu oka czmychnął na plac Św. Jana, przemykając obok domu angielskich kupców, po czym dał nurka prosto na drugą stronę, do angielskiej tawerny. Goście wcale nie byli zachwyceni, gdy pędził przed siebie potracając kufle z piwem oraz stoły do gry w kości i karty; a już najmniej, kiedy tłum ścigających wdarł się przez drzwi, zwłaszcza że można było dostrzec co jest stawką w grze. Do tego czasu pies Szymona zyskał już współtowarzysza.

Claes znikł, zanim przedostali się do tylnych drzwi; lecz przy ulicy Winnej kołosała się jedna furtka, a przed nią czekały dwa psy - otworzyli ją więc i wpadli na podwórze, a później ruszyli ku drzwiom, które otworzyły się dwornie, gdy zaczęli w nie łomotać. Za nimi znajdował się tęgi, lśniący pan w płóciennej szacie, zwisającej luźno - zbyt luźno - na wysokości psich szczęk.

Nikt go nie pocieszył. Lekceważąc rady tych, którzy wiedzieli lepiej, kupcy i pachołkowie precyzyjnie się obok niego, podążając za Szymonem. Z korytarza skierowali się do dużej sali, a stamtąd trafili do labiryntu komnat, w których - jak w raj - nie było żadnych sprzętów, jedynie białe obłoki i seraficzne, różowe ciała. Znajdowało się wśród nich kilku bławatników, położna, dwóch rajców, najwyższy urzędnik tonlieu, Wielki Cechmistrz, dwie cech-siostry i pewien ludwisarz o mięśniach przypominających łańcuch kotwiczny.

W kłębach pary nie było widać uciekającego czeladnika; nikt go też zbyt skrupulatnie nie szukał. Dwaj ścigający mieli nieszczęście stracić równowagę na śliskich kafelkach i wpaść do basenów łaziebnych, gdzie obezwładniało ich gorąco, hałas i nieuważne ruchy siedzących tam ludzi. Ci, którzy ociekając wilgocią zdołali w ową wrześnieją noc wyrwać się na zewnątrz, powróciliby natychmiast do domu, gdyby nie spostrzegli przed sobą Szymona, który biegł lekko, z dzikim wyrazem twarzy i trzema czy czterema psami depczącymi mu po piętach.

Ruszyli za nim i zostali nagrodzeni widokiem chłopca, tego wielkiego, lubieżnego bękarta, sprawcy całego zamieszania, który pędził teraz w ciemności ku nabrzeżu, a następnie zbiegł po stopniach do wody. W chwilę później jedna z przycumowanych tam długich łodzi zakołysała się i zaczęła płynąć wolno ku środkowi kanału, z dziobem skierowanym w stronę

Damme. Szymon przystanął na stopniach, następnie obrócił się, skoczył na nabrzeże i ruszył biegiem, wraz z psami, do najbliższego mostu; za nim zaś biegli, pozostając coraz bardziej w tyle, zdyszani kupcy i pacholki, do których dołączyło paru ciekawskich kamieniczników i stróż łaźni, ociekający dobrymi chęciami i gotowością przyjęcia łapówki od kogokolwiek.

Choć czeladnik krzepko wymachiwał wiosłem, był przecież jedynym człowiekiem w barce zbyt szerokiej, by nią płynąć jak płaskodenną łodzią. Barka ociężale zbliżyła się do mostu w chwili gdy szkocki lord, doskonale wyćwiczony, rzucił się ku pochyłości i odzyskawszy równowagę, skoczył w dół.

Jeszcze w powietrzu musiał poczuć odór. Zanim dotknął obciążonej barki, wiedział z pewnością, w co wskoczył. W pierwszym rzędzie zderzył się z chłopakiem, który upuścił wiosło do wody. Później stopy lorda Szymona natrafiły na zawartość łodzi: potknął się i zapadł w coś, co odpowiedziało kwiknięciami, zduszonymi chrapnięciami i dziwnymi piskliwymi odgłosami, a wszystkie one niosły z sobą fale przykrego fetoru. To powietrze wydobywało się z brzuchów i pęcherzyków żółciowych zdechłych psów i kotów Brugii oraz małych świnek św. Antoniego, wyławianych co noc z wody przez stale kursującą barkę rakarską.

Niestety, szkocki arystokrata legł wśród nich. Jedyne wiosło znalazło się za burta. Podobnie jak młody Claes, który zanurkował niezdarnie i popłynął - już po raz drugi w ciągu dwóch dni - przez mętne wody kanału ku odległemu brzegowi. Kaszląc głośno, Szymon z Kilmirren także wstał, skoczył do wody i z łatwością, pięknym stylem ruszył w pogoń za chlapiącym czeladnikiem.

Wzdłuż obydwu brzegów biegli za nimi kupcy wraz z psami. W świetle swych latarni widzieli Szymona pokonującego silne, poprzeczne pływy i podążającego za ciemną głową podskakującą daleko przed nim w wodzie. Dalej leżał most Poorterslogie i wysoka, kratowa bryła budowli, będącej klubem możnego Towarzystwa Białego Niedźwiedzia.

Chłopak był marnym pływakiem. Z pewnością wiedział, że lord Szymon jest coraz bliżej. Młodzik będzie musiał dopłynąć do Poorterslogie, a jeżeli znajdzie się tam przed Szymonem - co było możliwe - stado psów dotrze tam przed nim. Szkoda, że posunął się tak daleko, nieszczęsny głupiec. Woda mogła splukać najgorszy smród, lecz nie wszystek. Każda bestia w okolicy przybiegnie z powitaniem. Szkocki arystokrata płynął na grzbiecie, spokojnie i bez wysiłku. Nie miał zamiaru ratować czeladnika z opresji. Nie po tym, co zaszło.

Szymon dotarł do mostu niedługo po psach. Nad szczekającym kłębowiskiem okiennice otwierały się z trzaskiem, jedna po drugiej. Prostokąty

światła z okien ukazały gromadę psów, warczących i kłapiących zębami u szczytu stopni oraz czeladnika, do pasa w wodzie, wahającego się na dole.

Byli także ludzie. Nie kamienicznicy, gdyż światło odbijało się w ich odznakach. Szczekanie przyciągnęło uwagę przechodzącego patrolu hondeslagerów, opłacanych przez miasto hycli, mających oczyszczać ulice z bezpańskich psów. Usłużnie zaczęli odpędzać zwierzęta od schodów, trzymając je z dala od młodego Claesa. To wyraźnie rozdrażniło szkockiego lorda. Obawiając się, że młodzieniec może uciec, prędko rzucił się naprzód, złapał go za kostkę nogi i szarpnął. Chłopak stracił równowagę i uderzył plecami o stopnie. Krzyknął. Psy, doprowadzone do szaleństwa przez wzmożony odór, wyrwały się i runęły na dwóch mężczyzn, z których jeden upadł, a drugi stał wyprostowany. Pazury przeorały kubrak lorda, który dobył noża. Hycle otoczyli ich, wymachując ołowianymi pałkami; psy uderzyły w skowyt, padając, a czeladnik wyprostował się wreszcie, w trzech czwartych nagi. Szkocki lord stał za nim.

Kupcy, nadbiegający z latarniami, nie wiedzieli, o czym myślał Szymon, choć częściowo mogli odgadnąć, a Claes mógł domyślić się reszty. Echo zapomnianej, jątrzącej urazy. Wspomnienie nieśmiałego, zachęcającego uśmiechu Mabelii i jej świeżego ciała. Zuchwałe zachowanie na nabrzeżu. Zjadliwie brzmiący głos (o tym nie wiedzieli ani kupcy, ani Claes) tej bezczelnej dziewczki Borselen: *„Jikt, koo móglbyś się obawiać”*. I inne, powtórzone przez nią, plugawe słowa, które pochodziły - teraz Szymon już wiedział - od złośliwego wyrostka, stojącego przed nim. Wyrostka, który chcąc się zabawić użył owych słów ponownie, w obecności Szymona, pewien, że Szymon o niczym się nie dowie.

Nadal trzymał w dłoni nóż i po prostu miał zamiar go użyć.

Claes odwrócił się w chwili, gdy Szymon uniósł ramię. Było za późno na ucieczkę: psy i ludzie tamowali jego ruchy. Claes pochwycił jedyną broń w zasięgu ręki - ołowianą pałkę człowieka stojącego obok - i sparował nią cios, a później następny. Zastłaniał się i uchylał gwałtownie.

Pojedynek, wśród ogólnej szamotaniny, nie przyciągnął niczyjej uwagi. Hondeslagerzy, czerpiący zyski z zamieszania, zawzięcie tłukli wokół siebie i szczęście miał pies, któremu udało się umknąć. Nabrzeże i połowa mostu pokryły się tym, co w przeliczeniu na skóry i sadło dostarczy im piwa na dwa tygodnie. Kupcy, potykając się i kołyszac latarniami, nawoływali ze śmiechem, póki potyczka nie zaczęła zamierać. Pozbyto się ostatnich psów i nawet utarczka wewnątrz zmieniła charakter. Kiedy ustała całkowicie, kupcy zaledwie to dostrzegli. Gdy przypomnieli sobie wreszcie przyczynę zamętu i zaczęli się rozglądać, ujrzeli jedynie urodziwego Szymona, stojącego samotnie i pełnego wściekłości.

Był sam, ponieważ Claes w jakiś sposób uciekł. To znaczy, rozpląnął się w powietrzu.

Szkoda, można by rzec. Lecz, na Chrystusa, dostarczył wszystkim przedniej zabawy. Podobnie jak Szymon, który ociekał teraz wodą i cuchnął tak, że trzeba było rozmawiać z nim pod wiatr. Oczywiście, że był zły. Oskarżył nawet hycli o to, że osłaniali młodzika.

Częściowo miał słuszość. Trudno było pojąć, jak chłopak prześlizgnął się przez zwarty krąg mężczyzn. Dokąd jednak mógł uciec? Nie na most. I nie do wody. Nie oddalił się także tym nabrzeżem, którym oni nadeszli. Chyba wzniosł się w powietrze.

Jan z Kinloch, odbiorca aż nazbyt częstych afrontów, pierwszy wyraził uprzejmą nadzieję, że pies przyjaciela Szymona nie doznał uszczerbku. W trakcie pościgów Szymon zapomniał o psie. Rozejrzał się teraz za nim. Łatwo go było odnaleźć ze względu na obrozę: wspaniałe zwierzę leżało martwe u stóp przywódcy.

Hondeslager pobladł. Dotknąć szlacheckiego psa oznaczało: zasłużyć na chłostę. Pies w obroży, pies oznakowany, musi być nawet w nocy odróżniony od innych. Na tym polegała ich umiejętność. Tymczasem tutaj, przy świetle, zabili psa szlacheckiego kupca ze Szkocji. Hondeslager powiedział jedyną rzecz, jaką mógł powiedzieć. Powiedział:

- Wielmożny panie, widzieliście waszego psa skaczącego dookoła. Mógł wejść przypadkiem pod każdą z pałek. Żaden z moich ludzi nie zabił go celowo. Przysięgam. Gdy o mnie mowa, jakże bym mógł? Nie mam pałki.

- Hondeslager bez pałki? - zabrzmiało cynicznie.

- Chłopak ją zabrał. Ten czeladnik. Widzieliście go - rzekł hycel do Szymona.

- I zabił mego psa? - zapytał Szymon - To musiał być on albo ty.

Hycel milczał. Będąc człowiekiem przyzwoitym nie podnosił oczu. Szymon już otwierał usta; jego twarz pociemniała. Ubiegł go pogodny, pełen rezygnacji głos, dobywający się ze ściany budynku wysoko nad nimi.

- O wstydzie! Cóż za wstyd! - rzekł czeladnik Charetych. - Przyjaciele, muszę przyznać się do wszystkiego. Prawnicy bowiem nigdy wam nie uwierzą.

Gromada mężczyzn uniosła głowy. Najstarszy obywatel Brugii, stojący w wysokiej, osłoniętej, narożnej niszy - Biały Niedźwiedź, czyli *het beertje von der logie* - nie spogląda w dół na równych sobie, lecz w górę, ku obłokom i szczytom dachów. Ma na szyi wysoką, złotą obrozę, złote pasy przecinają malowane, białe futro na jego piersi, a dwoma łapami obejmuje czerwono-złoty herb miasta.

Stał tam również owej nocy, spoglądając wyniośle i ignorując obejmujące go, pokiereszowane ramiona: gęstą czupryną koloru błota przytuloną do jego policzka; przyjazny podbródek, przyciśnięty do barku. Z garści jednego z obejmujących ramion zwisała beznadziejnie obciążająca, poplamiona pałka hondeslagera.

- Weźcie mnie. Jestem wasz - powiedział ugodowo Claes. - Nie zasługuję na to, by najpierw mieć tak miłą dziewczynę jak Mabelia, a potem brać się za zabijanie psów; do tego wasz beertje strasznie przeze mnie śmierdzi.

- Zejdź na dół - rzekł miękko Szymon.

Młodzieniec obejmujący niedźwiedzia uprzejmie skinął głową.

- Dopiero gdy przyjdzie strażnik, jeśli pozwolicie. A jeśli jest wśród was jakiś chrześcijanin, czy mógłby powiedzieć Meester Juliuszowi, że znowu jestem w Steen, i że będzie musiał zamienić słówko z właścicielem barki?

ROZDZIAŁ 5

Nazajutrz rano przed fortecą Steen zebrała się jeszcze liczniejsza gromada czeladników niż poprzedniego dnia. Tkacze spieszący do warsztatów, życzliwi ludzie wracający do domów, przystawali i rzucali uśmiechy przez kratę. Byli wśród nich także dwaj dźwigowi.

Nie było tym razem Mabelii wkładającej do worka tłuszcz dla Claesa, lecz imię jej zawisło w powietrzu, jak gdyby wypisane na girlandach. Nawet po dzwonie wzywającym do pracy, kiedy okolice więzienia powoli opustoszały, na zewnątrz pozostali dwaj ciekawscy obywatele, którzy wspinali się na palce, wypatrując nieruchomej twarzy czeladnika, a następnie, zanim ruszyli dalej, poczęstowali go soczystymi reprimendami, wypowiedzianymi tonem niezbyt groźnym.

Na miejscu pozostał także wysoki, czarnobrody mężczyzna o łagodnym wejrzeniu, nie będący Flamandczykiem.

- I cóż, Claesie vander Poele? - zagadnął w stronę więziennego okienka.

Współwięźniowie, którzy zawdzięczali Claesowi całonocną zabawę, poddźwignęli go ochoczo ku okienku i skupili się wokół szczerząc zęby.

Na posiniaczonej twarzy Claesa także widniał jego zwykły pogodny uśmiech.

- Dobrego dnia życzę, Messer de' Acciajuoli - powiedział. - Jeśli kwestujecie z myślą o mnie, pomińcie tym razem króla Szkocji.

Nicholai Giorgio de' Acciajuoli zacisnął okolone brodą usta, lecz jego oczy zdradzały rozbawienie.

- Księcia Burgundii także, jak przypuszczam - rzekł. - Po tej historii z wanną i armatą. Oraz tych właścicieli gospody, którzy mają ładne służące. Czy w Leuven też wywołujesz tyle zamętu?

Claes pochylił głowę, po czym ostrożnie ją uniósł.

- Chyba tak - odparł. - Ale uniwersytet bardziej do tego przywykł.

- Oczywiście towarzyszysz tam młodemu panu. A jego matka, wdowa po panu de Charetty, dogląda was. Czy jest surowa?

- Tak - wyznał Claes i zadrżał.

- Miło mi to słyszeć - rzekł Grek ze słodyczą. - Messer Adorne powiadomił mnie, że pani jest już w drodze do Brugii i zajmie się wszystkim.

Pan Juliusz rozpoczął już rozmowy w twojej sprawie i być może zostaniesz zwolniony jeszcze przed zmrokiem, jeśli uzgodnią cenę. Czy myślisz, że twa chlebodawczyni zechce od ciebie dalszych usług, skoro kosztują ją tak drogo?

- Monsignore ... - zaczął Claes. Na gładkim czole pojawiły się dwie zmarszczki.

- Tak? - spytał Grek.

- Myślałem, że uwolnią mnie przed południem. Zawsze wypuszczają po chłości.

- Czy to skarga? - zapytał go Acciajuoli. - Ofiarując pieniądze, twój pan notariusz oszczędził ci drugiej chłosty, gdy pierwsza była tak niedawno.

- Umilkł. - A może masz inne plany?

Czoło za kratami stało się gładkie.

- Otóż to - rzekł Claes. - Moi przyjaciele odeszli. A o ile go znam, Meester Juliusz nie zezwoli Feliksowi, by mnie odwiedził. I ... nie śmiem przypuszczać, monsignore, że mógłbym was prosić o przekazanie wiadomości Feliksowi de Charetty?

Nicholai de' Acciajuoli z rodu książąt ateńskich, który zatrzymał się tu z czystej ciekawości, w drodze z domu pana Adorne na miłe spotkanie w tawernie, musiał się rozeźmiać.

- Po grecku? - zapytał. - Bardzo wątpię, czy to będzie możliwe. Tak czy inaczej, dlaczego miałbym to zrobić?

Uśmiech chłopca mówił wyraźnie, że równie dobrze mógł wyrazić zgodę.

- Boście się tu zatrzymali - powiedział Claes.

Messer de' Acciajuoli zamilkł. Juliusz zrozumiałby w owej chwili jego uczucia. W końcu powiedział:

- Jak brzmi ta wiadomość?

- Powiedzcie mu, żeby tego nie robił.

- Żeby tego nie robił ... - powtórzył Grek. - A czego ma nie robić?

- Tego, co robi teraz - odparł Claes. - On będzie wiedział.

- Prawdopodobnie - mruknął Messer de' Acciajuoli. - Lecz ja wybieram się właśnie na plac targowy, na spotkanie z moim dobrym przyjacielem Anzelmem Adorne, kiedy zakończy się posiedzenie rady miejskiej. Nie mam pojęcia, gdzie szukać sklepu Charettych.

- Proszę się nie kłopotać, monsignore - rzekł Claes. - Feliks i Meester Juliusz będą Pod Dwoma Tablicami, w tej samej tawernie, po uiszczeniu grzywny. Rajcy spotykają się na górze, gdzie rozpatrują takie sprawy. Słyszałem, że Turcy to potępione dusze, które nic nie piją.

Był już czas, by iść.

- Niektórzy piją - odparł Grek. - Nie wiem jednak, czy w związku z tym można uznać ich za zbawionych. Niczego ci nie obiecuję, młodzieńcze. Jeżeli spotkam twego przyjaciela, powiem mu.

Szeroki uśmiech powrócił.

- Monsignore - powiedział Claes - gdybym kiedyś mógł wyświadczyć wam przysługę, powiedzcie mi.

Grek wybuchnął śmiechem. Później przypomniał sobie ten śmiech.

Jeżeli najbardziej rozgniewanym człowiekiem w Brugii był tego dnia szkocki arystokrata Szymon, drugim w kolejności był Juliusz, notariusz Charettych.

Nim nadeszło południe, wieść o szalonych wyczynach Claesa rozniosła się, rzecz jasna, po mieście. Juliusz nie wiedział, jak przyjęto ją przy ulicy Srebrnej, gdzie Florencjusz van Borselen wysłuchał nie ocenzonej wersji z pewnym rozczarowaniem, a jego córka - ocenzonej, z pogardliwym śmiechem.

Dowiedział się natomiast - jak wszyscy - że miasto, zasięgnąwszy po cichu rady zainteresowanych urzędników, nie zamierzało nikogo oddawać pod sąd. Domyślano się, że pokrzywdzeni Metteneyebwie poskarżą się pobłażliwej rodzinie Charetty na postępowanie jej czeladników i otrzymają zadośćuczynienie. Właściciel rakarskiej łodzi zadowolił się sumą równą cenie beczki piwa.

Szymon złożył urzędową skargę w związku ze śmiercią psa i Juliusz odbył właśnie z Meester Adorne em i dwoma członkami magistratu kolejną przykrą rozmowę, podczas której rozważono obciążenie Claesa wysokimi opłatami karnymi.

Jeżeli ostateczna suma, jaką kompania Charetty miała wypłacić kupcowi ze Szkocji okazała się niższa, podziękowanie należało się szkockiemu biskupowi. Ze swej rezydencji u karmelitów biskup Kennedy wyraził niezadowolony z powodu nieprzystojnych nocnych burd. Wielmożny Szymon stracił pięknego psa, lecz wina leży także po jego stronie, przynajmniej częściowo. Rzeczą konieczną jest zadośćuczynienie, lecz nie wygórowane. Biskup ufał, że jego dobrzy brugijscy przyjaciele dopilnują tego.

Oddychając z trudem po tej rozmowie Meester Juliusz zbiegł na dół do sali jadalnej tawerny Pod Dwoma Tablicami Mojżesza i opadł na ławę obok Feliksa, wokół którego zebrała się gromada niesolidnych przyjaciół, takich jak młody Bonkle, siostrzeniec Adorna Anzelm Sersanders i drugi zarządca Strozich, Lorenzo, który - jak się wydawało - mnóstwo czasu spędzał z niezadowoloną miną, z dala od spraw swego chlebowdawcy.

- Oho! - rozległ się czyjś głos - Miłośnicy psów! Juliuszu, mój mały przyjacielu, twoja pani już jest w drodze, gotowa cię wybić. Trzymaj się lepiej atramentu, pergaminu i liczb. Tylko mężczyzna okiełzna mężczyznę.

Był to głos jednego z najbardziej nieznośnych Francuzów w Brugii. Kondotier Lionetto siedział przy drugim stole z łysym doktorem Tobiaszem i innymi kolegami. Tobiasz był pijany, podobnie jak Lionetto. I w Italii, i w Genewie Juliusz spotkał tylu pijanych najemnych kapitanów, że wiedział przynajmniej, jak z nimi postępować.

- Chcesz Claesa? - zapytał. - Bierz go.

Lionetto zaniósł się długim śmiechem, złożonym z dwóch części, z przerwą pośrodku. Był jednym z niewielu znanych Juliuszowi najemników, którzy sprawiali wrażenie nie tylko nisko urodzonych, ale i dumnych z tego. Przyczyną takiego wyglądu mogły być rude włosy, zbyt sztywne, by je układać i opadające na ramiona, dziobata twarz i czerwony nos. Na kubraku niósł łańcuch z rubinami. A może były to szkiełka? Grube ogniwa odlano jednak ze szczerzego złota.

Lionetto uspokoił się wreszcie i rzekł:

- Zapłać mi, to go wezmę, jeśli boisz się wdowy. Hej, Feliksie! Wiesz, że twoja matka przybywa? Ściągaj portki i szykuj zadek pod biczysko! I ty też, Juliuszu. Co?

Siedzący obok niego, uśmiechnięty doktor zsunął łokieć ze stołu, potracając przy tym pełny kielich Lionetta. Lionetto z przekleństwem trzepnął doktora w głowę, a następnie pochylił się, oderwał kawałek jego czarnego, poplamionego rękawa i osuszył nim swoje zachlapanie pończochy. Doktor wydawał się zagniewany, a Lionetto zawołał:

- Mój mały Juliuszu! Daj mi swojego niesforenego hycła, a ja oddam ci zań tego opoja doktora! Za półkwaterek gaskońskiego wina gotów wyskrobać pięcioraczki. O ile któryś z was mógłby zrobić pięcioraczki. Jeden jest mężczyzna u Charetych: twój cudzołożny czeladnik! - zapluwał się Lionetto. - Twoja matka też by leżała pod Claesem, gdyby była młodsza!

Dzięki Bogu Feliks tego nie usłyszał. Jedynym rodzajem ludzi, który potrafił poradzić sobie z Lionettem byli inni kondotierzy. Poczekaj, myślał rozwścieczony Juliusz. Poczekaj tylko, aż Astorre dotrze do Brugii wraz z panią. Zobaczymy te biczyska. Spostrzegł, że Lionetto otwiera usta; i zebrał całą odwagę, by coś na to poradzić, lecz już nie musiał. Wszyscy ucichli. Każdy wpatrywał się w schody. Z góry zstępowali uroczyście rajcy w długich szatach, by jak zwykle pokrzepić się w sali ogólnej. Był wśród nich Anzelm Adorne.

Kiedy usiedli, a rozmowy zostały podjęte, przerwano je po raz drugi. Przez otwarte drzwi tawerny wkroczył Grek z drewnianą nogą. Ten sam, który prosił o złoto na wykup brata. Acciajuoli, tak się nazywał.

Nicholai de' Acciajuoli rozejrzył się, uśmiechnął do Meester Adorna, dającego mu znaki i spokojnie podszedł do Juliusza i otaczających go młodzieńców. Patrzył na Feliksa.

Napastliwość Lionetta, o dziwo, nie rozdrażniła Feliksa. Feliks był dzisiaj opanowany. Albo nie, to zbyt pochlebne. Feliks dąsał się w milczeniu. Dąsał się na Juliusza. Ku przyjaciółom zwracał inne oblicze. Schodząc na dół Juliusz wiedział, że to, co zasłyszał, było wybuchem stłumionego śmiechu. Juliusz spędził godzinę na przedstawieniu rajcom wątych wymówek. Ktoś, kto nie był notariuszem Charetych, niewątpliwie mógł boki zrywać na myśl o wczorajszej eskapadzie.

Feliks zwrócił zatem w stronę Greka twarz na pół wrogą, na pół wyczekującą. Był to gość Anzelma Adorne. Z pewnością przemówi mentorskim tonem, a Feliks będzie nieuprzejmy. Juliusz już to czuł w powietrzu. Grek przemówił:

- Messer Feliksie, mam wiadomość od twego przyjaciela Claesa, który jest w Steen.

Mówił bardzo wyraźnie po grecku. Juliusz, uczeń Bessariona, zrozumiał go. Zerwał się i zanim Feliks otworzył usta, powiedział:

- Monsignore ... myślałem, że go wypuścili.

Greki westchnął.

- Być może - rzekł. - To było wczesnym rankiem. Powinienem być przekazać to natychmiast, ale zajęły mnie rozmaite sprawy. Czy już za późno?

Dopiero teraz Feliks wstał także.

- Za późno na co? - spytał.

- Feliksie - przerwał Juliusz. Zwrócił się do pana de' Acciajuoli - Proszę o wybaczenie. Zechciejcie, panie, powiedzieć, co mówił Claes. To bardzo wielkoduszne, żeście zadali sobie trud.

- Żaden trud - odparł uprzejmie Grek. - A wiadomość jest krótka. On prosi, Messer Feliksie, żebyś tego nie robił.

- Czego? - zapytał Juliusz.

- Co? - zapytał Feliks innym tonem.

- To wszystko - uśmiechnął się Grek. - Powiedział, że będziesz wiedział, co ma na myśli. Wybaczcie.

Uśmiechnął się ponownie, ostrożnie odwrócił i ruszył w kierunku stołu Anzelma Adorne i rajców miejskich. Feliks nie siadał.

- Feliksie? - odezwał się Juliusz.

Młody Bonkle pociągnął Feliksa za tunikę i Feliks usiadł.

- Feliksie! - powtórzył Juliusz, tym razem znacznie ostrzej.

- Mówiłem ci - mruknął cicho młody Sensanders.

- Cóż ... - zaczął gniewnie Feliks.

- Mówiłem, że Claes ma i tak dość kłopotów - powiedział młody Sersanders.

Juliusz spojrział na niego, później na Feliksa, a następnie na Jana Bonkle, który spuścił oczy.

- O mój Boże - powiedział - co on znów zrobił?

W owej chwili niektórzy ludzie mogli mu to już wyjaśnić.

W miłym ogródku van Borselenów, po którym rodzina przechadzała się, zazywając powietrza i gawędząc, łagodnie szemrzącą fontannę nagle opętał szatan. Strumienie wody wystrzeliły z sykiem wysoko w górę, po czym spłynęły potokami na głowę wielmożnego lorda i satynową suknię wielmożnej panny Kateliny.

Na dziedzińcu Kościoła Jerozolimskiego woda ze studni zalała sterty świeżo wymieszanej zaprawy murarskiej, pokrywając białą, kleistą masą stopy drewna i stopy murarzy i cieśli, pracujących nad wykończeniem okazałej świątyni, ufundowanej przez Anzelma Adorne.

Na jajecznym targu z pompy spadła przykrywa i wystraszyła kozę, która wyrwała palik i przewróciła trzy stoły z jajkami, zanim ktoś ją schwytał.

Rura, biegnąca pod ulicą Winną, nie wytrzymała zwiększonego ciśnienia wody i zaczęła przeciekać; podnosząca się woda znalazła ujście w dwóch piwnicach i łaźni, gdzie wysadziła kotły, wpłynęła do kąpieli strugą ohydnej, brązowej cieczy; a właściciel, stróż i klienci omal się nie udusili od nadmiaru pary.

U cyrulika gwałtownie wylała się rozcieńczona zawartość dołu z krwią. Połączony ze strumyczkiem płynącym z rozerwanej pompy, potok zalał Wielki Plac Targowy i runął w stronę kół Wielkiego Żurawia. Żuraw, którego napędzali dwaj mężczyźni - każdy przy swoim kole - uniośł właśnie sieć zawierającą dwie kadzie hiszpańskiego białego wina, dwie skrzynie mydła i niewielką beczułkę szafranu.

Nieszczęśliwym trafem woda dosięgła Żurawia od tyłu, uderzając koła w chwili gdy z trudem obracały się w przeciwną stronę. Skutek był taki, że koła stanęły, a obydwaj biegnący mężczyźni polecili raptownie do przodu, przy czym twarze ich poniosły szkodę. Bliźniacze haki, uniesione niemal na sam szczyt, opadły wraz z odwijającymi się linami, upuszczając hiszpańskie wino, mydło i szafran i rozbijając wszystko.

Rzeki złote, rzeki białe, rzeki szkarłatne oraz piana kosztownych bąbelków przelały się przez plac i szeroką falą dotarły do podwójnych drzwi Gospody Pod Dwoma Tablicami Mojżesza; a tymczasem daleko po przeciwnej stronie miasta, przy miejskim zbiorniku, wyczerpany koń słaniał się na nogach; koło z nachylonymi wiadrami podskoczyło i zwolniło ze

skrzypieniem, a poziom wody w zbiorniku zaczął wreszcie szczęśliwie opadać.

Powódź pod drzwiami gospody powstrzymano miotłami, a następnie utorowano wymiecioną ścieżkę, by członkowie rady miejskiej mogli wyjść i przyrzeć się rynkowi w jego nowej, karnawałowej postaci. Rajcy mieli właśnie wyjść, kiedy do środka pospiesznie wślizgnął się Claes, pozostawiając za sobą żółte ślady stóp.

W pół drogi ku Feliksowi zwolnił, być może uświadamiając sobie, że zapadła osobliwa cisza.

Połowa klientów gospody wydawała się szczerze rozbawiona, między innymi Lionetto i jego kompani. W przeciwieństwie do nich Juliusz, Feliks i wszyscy przyjaciele Feliksa stali stłoczeni, wpatrując się w Claesa. Adorne i rajcy także na niego patrzyli, podobnie jak Grek, który cicho stanął wśród nich.

Właściciel Dwóch Tablic, niepewny, co się dzieje, pospieszył z pocieszeniami:

- Tak jak kazaliście, panowie, posłano po straż do zbiornika wody. I woźnego. I miejskiego medyka, by zbadał dźwigowych.

Doktor Tobiasz, nie bez trudu uniósłszy głowę, oznajmił z pijacką powagą:

- Nie ma potrzeby. Ja jestem medykiem.

Wstał z rozłożonymi ramionami i powiewającym jednym rękawem, i chwiejnie ruszył ku drzwiom, rozbryzgując stopami świeże, kolorowe kałuże. Od jego obcasów odrywały się tęczowe bańki. Przystanął i tupnął nogą, powiększając ich liczbę. Patrzył, jak wlatują. Odwrócił się i długim, rozmyślnym dmuchnięciem skierował je w stronę chwiejącego się Lionetta, na którym rozbiły się niczym skorupki jajek.

Juliusz, który obliczył naprędce cenę jedwabnego kubraka pod złotym łańcuchem i rubinami (szkiełkami?), bez zaskoczenia ujrzał wzbierającą złość na grubiańskiej twarzy kapitana. Wtem przemówił Grek:

- Ach, a oto i nasz przyjaciel Claes przychodzi mnie wyłajać. Lecz ja, doprawdy, przekazałem wiadomość Feliksowi. On sam poświadczy.

- Proszę o wybaczenie - wtrącił Anzelm Adorne po włosku. - Wybaczcie, Messer de' Acciajuoli. Widzieliście chłopca dziś rano?

Żadne nie wypowiedziane przesłanie Feliksa, żadne gorące, nieme sygnały Juliusza, żadne błagalne spojrzenia pozostałych młodzieńców nie powstrzymały Nicholaia de'Acciajuoli przed powiedzeniem tego, co chciał powiedzieć.

- Przez więzienne okienko, rzecz jasna. Nieszczęsny chłopak. Prosił mnie o przekazanie wiadomości temu młodemu panu. Jakże ona brzmiała? *Nie rób tego.*

- Czego nie miał robić, monsignore? - zapytał łagodnie Adorne.

Greki uśmiechnął się.

- To jego tajemnica. Niewątpliwie czegoś, co wspólnie zaplanowali. Czy myślicie, że można już bezpiecznie wyjść?

Anzelm Adorne odwrócił szlachetną głowę i obrzucił spojrzeniem bladą twarz Feliksa de Charetty, a następnie otwarte oblicze czeladnika Claesa.

- Tak. Powiedzcie nam - rzekł. - Czy można bezpiecznie wyjść?

Claes i Feliks popatrzyli na siebie, a Juliusz zamknął oczy.

Przez twarz czeladnika przemknął lekki cień. Był to, być może, wyraz typowy dla kogoś, kto chce zadowolić innych i być przez nich lubianym.

- Najprawdopodobniej tak - powiedział Claes. - Jeżeli wszystko poszło zgodnie z planem, to tak, monsignore. Meester Juliuszu, czy to prawda, że...

- Mam zniszczony kubrak - odezwał się Lionetto. Doktora już nie było.

- Meester Juliuszu ...

- Czy dobrze rozumiem - ciągnął Lionetto - że ten łotr odpowiada za zamęt, w którym zniszczono mi kubrak? - Jego podziw dla Claesa przeszedł najwyraźniej pewną przemianę.

Nikt nie odpowiedział. Anzelm Adorne uniósł brwi i spojrzał na Juliusza. Feliks patrzył na Claesa z otwartymi ustami. Claes zaś uparcie powtórzył:

- Meester Juliuszu, czy to prawda, że nasza pani przyjeżdża z Leuven wraz z kapitanem Astorre?

- Tak - odparł krótko Juliusz.

- Aha - rzekł Claes. Spojrzenie okrągłych oczu spoczęło na Juliuszu.

- *Astorre!* - syknął Lionetto - *Astorre!* - powtórzył uniesionym głosem

- Ta bryła występnej głupoty przyjeżdża do Brugii, kiedy ja jestem w mieście? Czy znużyło go życie, tego całego Astorre? A może zaleca się do wdowy, ten cały Astorre? Po przegranych bitwach szuka spokojnej przystani w farbiarni? To dlatego jest tutaj?

Anzelm Adorne odwrócił się ku niemu.

- Wdowa po panu Charetty zatrudnia go, kapitanie Lionetto. Obawiam się, że wasz kubrak jest poplamiony. Czy nie byłoby roztropnie oddać go komuś do wyczyszczenia? Droga na zewnątrz jest czysta, jak przypuszczam.

- *Minen heere*, nie wiadomo jeszcze, co było tego przyczyną - powiedział Juliusz.

Uśmiech Adorna zgasł.

- Wkrótce będzie wiadomo - odparł. - Myślę, Meester Juliuszu, że powinniście zabrać swego ucznia oraz czeladnika z powrotem do ich miejsca zamieszkania i tam czekać na przybycie pani. Nie wątpię, że będzie miała wam coś niecoś do powiedzenia. Niewykluczone, że i my także, do tego czasu.

- Meester Juliusz nie ma z tym nic wspólnego - odezwał się Feliks.
- Nic. A Claes siedział w więzieniu. - Spłonął rumieńcem.
- Zauważyliśmy - rzekł Adorne. - Naszym zadaniem będzie, jak zawsze, by sprawiedliwości stało się zadość. Szkoda, że ta potrzeba zachodzi tak często. Nie patrzył przy tym jednak na Juliusza, lecz na Greka.

ROZDZIAŁ 6

Pprzed upływem tygodnia wdowa po panu de Charetty stanęła przed brugijską Bramą Gandawską, przebyła most i fortyfikacje potężne niczym podwójny mur zamkowy, aby rozstrzygnąć sprawę swego zbłąkanego syna Feliksa. Niezameżne córki - jedenasto- i dwunastoletnia - jechały obok niej. Za nimi znajdowało się pięć wozów ciągniętych przez konie, jeden kowal, jeden cieśla, dwaj pisarze, troje służących, kucharz oraz straż przyboczna pod wodzą zawodowego żołnierza zwanego Astorre, który to skrót dawno zastąpił jego prawdziwe nazwisko: Syrus de Astariis.

Musiła tak czy inaczej przybyć, o ile flamandzkie galery przypłynęłyby na czas. Odbywała tę podróż co roku, lecz bez przyjemności. Z Leuven do Brukseli, z Brukseli do Gandawy, z Gandawy do Brugii - gdzie drogi były równie zatłoczone jak kanały, lecz gorsze do przebycia, a to przez przewrócone wozy, zaprzężone w woły i plotki karczmarzy o zbójcach zaczajonych za najbliższym żywopłotem.

Zazwyczaj były to brednie. A w każdym razie nie dotyczyły kompanii Charetty, posiadającej własnych strażników. Co więcej - własną grupę najemników. Nikt ich zatem nie napastował i w końcu dotarli do Brugii. U bram miasta pani miała na sobie piękny płaszcz z grubego jedwabiu, głowę zaś przystroiła wyszukany nakryciem z woalem, ozdobionym z przodu drobnymi perłami. Astorre i wszyscy słudzy nosili błękit Charettych, o szczególnym odcieniu wynalezionym przez Cornelisa, a używanym przez jego żonę na pamiątkę. Czapraki koni, których dosiadała wdowa i jej córki, były aksamitne, haftowane złotem, a uprząż srebrna. Brugia winna wiedzieć, że jedna z najszacowniejszych wdów wjeżdża do miasta. Aby zatrzeć wrażenie, jakie wywarł jej syn Feliks.

Zapomniała, jakie to hałaśliwe miejsce. Najpierw - skrzypienie, pojękiwania, łoskot wiatraków. Później - długie, sklepione przejście do miasta, rozbrzmiewające dzwonieniem i stukotem końskich kopyt, poskrzypywaniem wozów oraz dźwięcznym nawoływaniem wieśniaków.

Na ulicach pochylone domy odbijały między sobą te same odgłosy. We wrześnie otwarte były wszystkie warsztaty i wszystkie okiennice. Usłyszała zgrzyt piły, kłaśnięcia piekarza i szczekanie rygli jego pieca. Usłyszała

chrobot żaren, dźwięczne stukanie młota o kowadło, głosy, podniesione w gniewie i weselu, psy, świny, pianie koguta. Usłyszała nad sobą kłótnie mew i równomierne skrzypienie szyldów; a nade wszystko warkot krosien, odbijający się echem w ulicach niczym tupot drewnianych chodaków.

Podczas jej trzymiesięcznego pobytu w Leuven zaszyły pewne zmiany. Zauważyła je i dwornie udzielała poprawnych odpowiedzi zagadującym do niej znajomym; podążała jednak bez zatrzymywania prosto do własnego domu. Do domu i do interesów. Były dla niej tym samym.

I oto wejście do farbiarni, z którego Cornelis był tak dumny: porządnie zamieciono, bez trawy rosnącej między kamykami bruku; to dobrze. Wyziewy ciepłych farb i odór moczu. Zapachy, które przeszkadzały innym, lecz nie jej. A na dziedzińcu (oczywiście: czemużby nie mieli skorzystać ze sposobności porzucenia pracy choć na godzinę?) stali oddaleni robotnicy, pragnący ją powitać.

Farbiarz w fartuchach, o dłoniach zwisających jak dynie barwy indygo. Męska służba domowa w schludnych kapeluszach i czapkach, sukiennych kubrakach o mankietach czarnych od ciągłego wycierania nosa, lecz bez nie zacerowanych dziur. I wreszcie kobiety w przyzwoitych sukniach i starannie wyprasowanych chustach, spowijających głowy i otaczających szyje. Stajenni nie zwlekając skoczyli, by pomóc przy koniach.

Pośrodku stał zarządca Henninc w wywiniętym kapeluszu i pelerynie sięgającej z tyłu po łydki, a z przodu po kolana, przyczyną zaś był jego brzuch, który bynajmniej nie zmalał. Nie była pewna, czy to od jej jadła czy od jej wina. Ale uczciwy człowiek, tak zawsze twierdził Cornelis. Pracowity; nie ma głowy do liczb, lecz uczciwy.

Poszukiwanie doświadczonego sekretarza doprowadziło do zatrudnienia Juliusza. Stąd się wziął. Postawa śmiała, lecz unikająca przekory. A także uległości, gdy o tym mowa. *O wiele za urodziwy*, burknął Cornelis podczas pierwszej rozmowy. Nie dlatego, że nie ufał żonie; na to był zbyt mądry. Ale ta otwarta twarz o silnych rysach, nieco skośnych oczach i nosie tak prostym, że miało się chęć go złamać, mogła narobić zamieszania wśród obywatelskich żon, a także dziewcząt w domu i na targu.

Okazało się jednak, że Meester Juliusz nie wywołał żadnego zamieszania. Albo czynił wszystko z idealną dyskrecją, albo płęć przeciwna nie wchodziła dlań w rachubę. Podobnie zresztą, na szczęście, jak własna płęć (tak się zdawało). Jednocześnie głupio postępował z Feliksem.

A oto i jej syn: wbiegł przed dom z rozwianymi lokami i głupim kapeluszem w dłoni. Nadal mizerny... schudł jeszcze - dlaczego był taki słabowity? Nadal niesforny. Nadal...

Zsiadłszy z konia, powstrzymała syna głosem, zanim zbliżył się do niej.

- Feliksie de Charetty, wracaj do domu. Gdy zechcę z tobą mówić, poślę po ciebie.

Zranione spojrzenie: wargi zaczęły wydymać się buntowniczo. Po chwili spuścił oczy i rzekł:

- Tak, moja pani matko - i odwróciwszy się wmaszerował z godnością do domu. To dobrze.

Teraz i córki zsiadły z koni, i stanęły za nią. Tilda i mała Katarzyna: skromne, posłuszne, rzucały spojrzenia spod kapturków. Spójrzcie na nas. Dojrzałe kobiety szukają mężów.

- I Henninc - powiedziała wdowa. - Jesteś zdrów? Przyjdź za pięć minut do mojego gabinetu. - Nie spieszyła się. Przesunęła oczyma po wszystkich robotnikach i służących, odpowiadając skinieniem na ich dygnięcia i ukłony, po czym przeniosła spojrzenie na notariusza. - A oto nasz dobry Juliusz. Czy mogę liczyć nieco później na chwilę waszego czasu?

- Kiedykolwiek zechcesz, pani - odparł i skłonił głowę.

- A wasz kłopotliwy czeladnik? - zapytała.

- Claes jest w środku, pani - powiedział Henninc. - Rajcy życzyli sobie, by pozostał w zamknięciu do twego przyjazdu.

- Bez wątpienia - rzekła wdowa de Charetty. - Z pewnością jednak uleganie ich życzeniom nie było konieczne. O ile, rzecz jasna, miasto nie zamierza wynagrodzić mi jego bezczynności. A może był to wasz pomysł, Meester Juliuszu?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Obawiam się, że rada miejska nie przyjmie żadnego odwołania. Jeśli można, wyjaśnię wszystko na osobności.

- Owszem - odparła Marian de Charetty. - Podobnie jak czeladnik Claes. - Skinąwszy głową odpięła zapinkę płaszcza i ruszyła ku drzwiom, a córki za nią.

Zdyszany zarządca dopadł drzwi i zdążył je przed nią otworzyć.

Feliks wszedł na strych, gdzie Claes siedział na swym posłaniu, bawiąc się nożem nad stertą drewnianych strużyn.

- Matka przyjechała - powiedział Feliks. - Henninc i Juliusz poszli na pierwszy ogień.

- Ciepła czy zimna? - zapytał Claes, przechylając skrzynkę, nad którą pracował. Claes zawsze robił zabawki, a inni je psuli.

- Lodowata - odparł Feliks bez ogródek. Był nieco blady.

- To na pokaz dla służby - powiedział Claes pocieszająco. Spojrzał z ukosa, wziął nóż i zaczął cyzelować jakiś drobiazg. - Mów prawdę i nie licz na Juliusza. Nie może nadstawiać karku przez cały czas, a Henninc i tak wszystko powie, żeby ratować własną skórę.

Położył swoje dzieło na podłodze i zaczął macać wokół siebie, aż znalazł niewielką drewnianą kulę.

- Tobie to dobrze - powiedział Feliks. - Nie jesteś jej synem i dziedzicem. Cześć należy świętej pamięci ojcu. Przyszłość jego umiłowanej farbiarni. Życzliwość klientów i szacunek tych, którzy będą kiedyś pracować dla ciebie. (Właśnie. Nie śmieję się, niech to zaraza.) Żadnych względów dla dobrego notariusza Juliusza, który robi co może w tych niesprzyjających okolicznościach. Zmarnotrawiony czas Henninca. Zmarnotrawiony czas moich preceptorów z Leuven. Bezczeszczenie opinii całej Flandrii na oczach cudzoziemca...

- I wielkie wydatki - rzekł Claes. Delikatnie wpuścił kulę w otwór i wewnątrz niepozornego pudełka zaczęły się poruszać, najwyraźniej samorzutnie, różne drobne rzeczy. Feliks obrzucił przedmiot naburmuszonym spojrzeniem.

- Nie gra melodii - powiedziała wzgardliwie. - To ostatnie miało w środku dzwonki i bębnek. Zaoszczędziłaby pieniądze, gdyby zabrała mnie z uniwersytetu.

- Nie można mieć zawsze samych dzwonek. Będziesz musiał pracować - zauważył Claes.

- Pracowałem na uniwersytecie! - oburzył się Feliks. Ponieważ Claes nie spojrzał na niego ani nie odpowiedział, Feliks podniósł świeżo zrobione pudełko i cisnął nim o podłogę, wpatrując się w Claesa. Kawałki drutu i drewna rozsypały się dookoła.

Claes uniósł głowę. W jego twarzy nie było bólu ani gniewu. Tylko posłuszeństwo, pomyślał z wściekłością Feliks. *Claes zawsze robi zabawki, a inni je psują.*

Z tego samego powodu bywał bity. Nie miał nic przeciwko temu.

Na dole Juliusz przeżywał gorsze chwile, niż przedtem przewidywał. Postawił się w położeniu bez wyjścia, co sprawiło, że czuł się dotknięty i zły. Z drugiej strony, choć młody, był inteligentny i zdobył już spore doświadczenie. Nikt nie spędza całego życia w lombardzie i farbiarni. Wymówienie jednak nie pomogłoby mu teraz.

Wobec powyższego przyjął postawę, w której dworność, stanowczość i skrucha występowały w równej mierze. Stojąc (nie poprosiła go, by usiadł) przed wysokim krzesłem, w którym zasiadała matka Feliksa, Meester Juliusz wyjaśnił sprawę książęcej wanny i niesprawiedliwego wyroku. Dalej przedstawił - niezupełnie jasno - pospolity charakter drobnego przewinienia Claesa, które - niezupełnie słusznie - kazało kilku rozochoconym panom

ścigać chłopaka, a oni w żartach posunęli się za daleko. Juliusz był zdania, że jest wysoce nieprawdopodobne, by Claes tknął tego psa, choć oczywiście nie można tego dowieść. Gdy zaś mowa o manipulacjach przy wodociągach ...

- Obmyślił to wraz z innymi, lecz mój syn odpowiada za wcielenie pomysłu w życie. Tego zdążyłam się już dowiedzieć - stwierdziła Marian de Charetty.

Niechętnie pracował dla kobiet. Po nagłej śmierci Cornelisa chciał niezwłocznie odejść, lecz po namyśle pozostał. Mogła już nie wyjść za mąż. Była od niego starsza przynajmniej o dziesięć lat. Jeżeli będzie żył z nią w zgodzie, uzyska szersze pole do popisu niż kiedykolwiek u Cornelisa. W pewnej mierze tak się stało. Tyle, że były jej potrzebne jedynie jego prawnicze popisy. W innych dziedzinach jej umysł był równie sprawny jak umysł jej zmarłego małżonka, a ponieważ miała mniej czasu dla ugruntowania swego autorytetu, była twardsza i bardziej surowa. Tego roku poganiała ich wszystkich, w Brugii i w Leuven, od Feliksa wymagając zbyt wiele.

To, co działo się z Feliksem, było przejawem buntu wobec tego wszystkiego, w połączeniu z utratą ojca i lękiem przed czekającym go brzemieniem interesów. A gdy o tym mowa, Juliusz doznawał podobnych uczuć. Żał mu było Feliksa i innych młodzików. I jego samego męczyły czasami długie godziny nieprzerwanych negocjacji, księgi rachunkowe i próby prowadzenia Feliksa ścieżkami nauki, podczas gdy jedyną troską Feliksa było to, że nie miał jeszcze do czynienia z dziewczyną. Cóż, ten przynajmniej kłopot obcy był Claesowi.

Meester Juliusz spoglądał na swą chlebodawczynię tak, jak ona spoglądała na niego na podwórzu, a ich myśli, na dobrą sprawę, nieszczęśliwie się różniły. Mógł czuć wspólną dla wielu niechęć do wysokich, apodyktycznych kobiet. Nie lubił również pani de Charetty, lecz zdawał sobie sprawę, że inni nie musieli czuć tego samego. Marian Charetty była drobna, pulchna i ruchliwa, o jasnym, błękitnym spojrzeniu; w żyłach jej płynęła cynobrowa farba, nadająca wargom barwę naturalnego szkarłatu, a policzkom - różu, pod kasztanowymi brwiami. Nigdy nie widział jej włosów, zawsze starannie zakrytych, ale mógł je sobie wyobrazić.

Pomyślał, że uroda może zaszkodzić jej w interesach. Rzecz jasna, nikt w farbiarni nie zapomni o obowiązkach, lecz kupcy i pośrednicy mogli zacząć liczyć na przychylność. On sam zachowywał się sztywno i oficjalnie. W tej chwili jego ręce były zaciśnięte z tyłu, co pomagało mu opanować wściekłość i zachować urzędową postawę. Szczerze żałował, że nie stoi teraz przed mężczyzną - mogliby po prostu zacząć warczeć na siebie. Kobiety albo wybuchały płaczem, albo cię odprawiały.

Odpowiedział na pytania dotyczące postanowień rady, szkód i grzywien, i patrzył, jak zapisuje kwoty. Wreszcie uniosła głowę.

- I cóż? - spytała. - Jak widzicie swój udział w tym wszystkim?

Spojrzał na swoje stopy, a następnie wprost na nią.

- Przypuszczam, że największa wina leży po mojej stronie, jako że Feliks znajdował się pod moją opieką - rzekł notariusz. - Mogę zostać uznany za osobę nieodpowiednią do kierowania nim w przyszłości. Możecie także uznać, że odpowiedzialność za straty finansowe częściowo spada na mnie.

- Chyba w całości? - wtrąciła Marian de Charetty. - A może i mój syn powinien zapłacić w jakiś sposób? Nie biorę pod uwagę naszego przyjaciela Claesa, który nie ma pieniędzy i w związku z tym musi poszukać innych środków płatniczych.

- Już zapłacił - powiedział pospiesznie Juliusz.

- Przeciwnie - rzekła Marian de Charetty. - Jak rozumiem, to ja zapłaciłam, oszczędzając mu drugiej chłosty. Niewykluczone, że będę musiała zapłacić po raz drugi, by zadowolić tego krwiożerczego Szkota. Może powinnam po prostu podarować mu Claesa?

Claes był młodym czeladnikiem. Przybył do rodziny de Charetty mając dziesięć lat, sypiał z innymi na słomie i zasiadał przy czeladnym stole. Claes był cieniem jej syna.

- Myślę, że Szkot by go zabił - powiedział Juliusz.

Błękitne oczy otworzyły się szerzej.

- Dlaczego? - zapytała chlebobawczyni.

Boże w niebiesiech. Zachowując ostrożność, Juliusz odparł:

- Podobno jest zazdrosny, pani.

- O *Claesa*? - zapytała.

Pomyślał, że doskonale zrozumiała. Do licha, musiała zrozumieć: stary Henninc z pewnością opowiedział jej przynajmniej o tym. Nie o Feliksie, ale smakowite plotki na temat Claesa, z myślą o pozbyciu się chłopaka. Juliusz przypuszczał, że do tego dojdzie.

- To dobry pracownik - powiedział - i doświadczony. Inne warsztaty zapłaca, żeby go mieć.

- Nie martw się o Claesa - stwierdziła wdowa. - Ani o was. Macie lokaty pieniężne. Jeśli zechcecie pozostać u mnie, obawiam się, że będziecie musieli poświęcić kilka z nich. Jeśli Feliks wróci do Leuven, pojedziecie z nim, zostawiając w rękach Feliksa i moich dokładne rozliczenie waszych osobistych zasobów finansowych. Po każdym wykroczeniu Feliksa ucierpią wasze fundusze, a ja w stosownym czasie przymuszę Feliksa do spłacenia długu. Innymi słowy, jeśli okaże się, że nie potraficie ukształtować charakteru Feliksa, najwyraźniej ja będę musiała to uczynić. Jedyłą zaletą całej tej

kroniki ludzkiej głupoty jest troska, jaką w pewnej mierze okazaliście sobie wzajemnie. Bo troska o innych oczywiście u was nie istnieje. - Zmierzyła go krytycznym spojrzeniem. - I wszystko to zdaje się wam krzywdzące? Chcecie odejść?

- To zależy, pani, ile pieniędzy żądacie - odparł bez ogródek. Skąd wiedziała, co posiadał?

- Tyle, by dać wam nauczkę.

- Mógłbym nauczyć Feliksa czegoś, co nie byłoby po waszej myśli - rzekł.

Nie spuszczała z niego wzroku, powoli muskając kącik ust nastroszonym końcem gęsiego pióra. Później odłożyła pióro na bok.

- Jesteście bardzo cierpliwi podczas negocjacji - powiedziała. - Długo utrzymujecie obroną argumentację lub postawę. I nagle psujecie to, ot tak, jak teraz. Dlaczego?

Bo nie lubię pracować dla kobiety. Nie powiedział tego. Za to rzekł:

- Przykro mi, lecz wszystko to było dość uciążliwe. Nie jestem człowiekiem zamożnym. Jak zapewne wiecie.

- A zatem - powiedziała - jeśli zamierzam z waszą pomocą wychowywać dziecko, najprawdopodobniej nie okażę się aż tak nierozsądna, aby nie pozostało wam nic innego niż odejście. Musieliście pomyśleć i o tym.

- Byłem zaskoczony - odparł. - Myślałem, że moje prywatne sprawy są moimi prywatnymi sprawami.

- We Flandrii? - spytała.

Nie odpowiedział.

- Nie każdy z nas kończy nauki w wieku lat dwudziestu, Meester Juliuszu - ciągnęła. - Właściwie nikt. To, co pcha was na dziecinną wyprawę w wannie, każe wam także wygłosić niemądrą uwagę podczas negocjacji. Oto lekcja, za którą się płaci. Kiedyś mi podziękujecie. Do jutra przyślę wam pismo z dokładnymi postanowieniami. Tymczasem przyślijcie tu mego syna.

Zawahał się, skłonił i wyszedł; a zawoławszy Feliksa, zamknął się w swoim pokoju i rozmyślał. Nadal nie doszedł do żadnych wniosków, kiedy po pewnym czasie usłyszał trzaśnięcie drzwiami, uświadomił sobie, że to Feliks wychodzi po odbytej rozmowie.

Juliusz otworzył własne drzwi, zbiegł na dół i zdążył jeszcze schwytać swego ucznia - nadaśanego, gniewnego, z zaczerwienionymi oczyma - a następnie zaprowadził go w spokojne miejsce. W trakcie tych działań przyszła mu do głowy, że mimo wszystko znalazł jakieś rozwiązanie.

Jeden ze służących został posłany po Claesa i wszyscy wpatrywali się w czeladnika, z tupotem schodzącego po schodach, pukającego do drzwi pani i wchodzącego do komnaty. Wszyscy ociągali się z odejściem, ale drzwi były masywne, a pani i tak nigdy nie podnosiła głosu. W końcu nadszedł stary

Henninc i przepędził wszystkich. Jeden z pacholców powiedział, że wdowa ma bicz z trzema rzemieniami i drutem, ale nie usłyszeli trzasku bicia.

Kiedy Claes wszedł, Marian de Charetty pisała. Nie przerwała, póki delikatnie nie zamknął drzwi, a później, gdy zbliżał się do stołu, uniosła głowę.

- Odwróć się - powiedziała.

Uśmiech rozjaśnił jego otwartą twarz.

- Nie ma potrzeby, moja pani - powiedział. - Dobrze się goi. Meester Juliusz zajął się mną. A drugi raz ...

- Zapłacił. Wiem. Zginiesz, Claesie. Zginiesz marnie przed dwudziestką, jeśli się nie ustakujesz. Armata, oczywiście, była dla ciebie niczym?

- Armata? - powtórzył zdumiony.

- A może ktoś ci zapłacił... Nie, to jasne, że nie - odpowiedziała sobie sama, wpatrując się w niego ze zmarszczonymi brwiami. - Ty pomógłbyś wyrzucić ją za burtę jedynie dla przyjemności wypłatania komuś figla. Czy nie chcesz się dowiedzieć, jak odgadłam?

Stał z rękoma zwieszonymi po bokach, idealnie spokojny.

- Domyślam się, że urzędnicy księcia zapłacili grzywnę za moją panią - powiedział. - Oczywiście, Meester Juliusz nie mógł wiedzieć.

- Juliusz powiedział mi już, jak ciężka i cenna jest twoja praca - oznajmiła jego pani. - Czy sądzisz, że kierunek, który przybierają twoje zdolności, umknął jego uwadze?

Opacznie podjął jej myśl.

- Jonkheere Feliks wpadłby w tarapaty nawet beze mnie. Młodym panom to się zdarza.

- Dziękuję za nową wiadomość - powiedziała jego pani. - Wiem i Meester Juliusz wie także, że kiedy jesteś w pobliżu, psoty są zwykle nieszkodliwe. To, co Feliks wyprawia sam z siebie, nie jest tak rozważne. Strażnik zbiornika wodnego zostanie w najlepszym wypadku wychłostany i zwolniony. Wiem, że nie leżało to w twoich zamiarach.

Milczał. Po chwili rzekł:

- Oczywiście, moja pani ma słuszość. Jonkheere Feliks wymaga nakładu pracy, z dała od życzliwych starszych, którzy pamiętają jego ojca. A zatem moja pani rozważa opuszczenie przez niego uniwersytetu?

Przesłoniła usta palcami.

- Myślałam o tym. Czułam jednak, że Leuven jest ważne.

Po chwili milczenia powiedział:

- Moja pani stwierdzi, jak sądzę, że spełniło swoje zadanie.

Znowu cisza.

- A gdybym miała posłać ciebie wraz z nim do pracy? - spytała.

Z biegiem lat nauczyła się nie słuchać słów Claesa, lecz za to obserwować wyraz jego oczu.

- Jonkheere Feliks dorasta - odparł. - Może lepsze będzie dla niego towarzystwo równych mu stanem?

Patrzyła na niego badawczo.

- Ale nie zachowa urazy do Meester Juliusza? - spytała, lecz na widok jego uśmiechu dodała: - Ani odwrotnie, jak się domyślam. Meester Juliusz mógłby stać się krnąbrny, pracując dla Feliksa. Zatem wysyłam syna gdzieś daleko, a ty i Juliusz zostajecie, by pomóc w zarządzaniu interesami? Poczynając od takich osiągnięć, jak wczorajsze?

- Utarczka ze Szkotami?

- Ze Szkotem - poprawiła ostro. - Akt rozmyślnej złośliwości. Albo głupoty. Albo szaleństwa. Co masz do powiedzenia?

- Był to przypadek - powiedział. Patrzył w ziemię.

- Tak jak z armatą? - spytała Marian de Charety - Tyle że tym razem to kwestia osobista. Ujrzałeś tego człowieka w Damme. Poczujesz do niego niechęć nie wiedząc nawet, kim jest. Postanowiłeś wystawić go na pośmiewisko.

- Pani moja - Claes podniósł oczy - nie spodziewałem się wykrycia. To mnie wystawiono na pośmiewisko.

Milczała, wpatrując się tylko w niego, gdy mówił. Dodał:

- Ludzie postępują zgodnie ze swą naturą. Zastanawiałem się wówczas, z jakiej on jest materii.

- I teraz wiesz, oczywiście, po jednym spotkaniu w gniewie. Skutek zaś to strata, którą należy wynagrodzić. Mój klient został znieważony. Ojcowskie dziedzictwo Feliksa ucierpi na tym. Wszystko przez ten *przypadek*.

- Wielmożny Szymon wraca do domu po odpłynięciu galer. Będę się trzymał od niego z dala. Przypuszczam, że on ode mnie także. Czy moja pani chce usłyszeć nowe wieści o ałunie?

- Oczywiście, że będziesz się trzymał z dala od niego. Nie życzę sobie wojny rodów, kiedy przebywasz pod moim dachem. Nie potrafiłbyś jej przetrwać. A Bóg wie, że potrafisz ją rozpętać. Kłopot z tobą jest ten sam, co z Feliksem. Potrzebujesz pracy.

Uśmiechnął się. Wnętrza jego dłoni, które uniósł, by jej pokazać, były stwardniałe od odcisków.

- Czy masz mnie za głupią? - spytała. - Wiem o tym. W ciągu ośmiu lat, które przeżyłeś w tej rodzinie, twoje ręce i nogi zapracowały przynajmniej na twe utrzymanie. Szkoda tylko, że reszta ciebie, jak się wydaje, jeszcze się nie urodziła. Co z tobą będzie?

Potrząsną głową z promiennym, ciepłym uśmiechem, skierowanym ku całemu światu.

- Może książę każe mnie powiesić?
- Nie - odparła zimno Marian de Charetty. - Może król Szkocji. Prawie na pewno król Francji. Jeśli Meester Juliusz odejdzie, postąpiłbyś nie najgłupiej idąc za nim.
- Czy on odchodzi? - zapytał Claes. Wydawał się zaskoczony.
- Być może - odparła Marian de Charetty. - Kiedy stwierdzi, że nie dopuszczę go do spółki. Ale z tym, co posiada teraz, w krótkim czasie zaoszczędzi sumę pozwalającą na niezależność. Tymczasem Feliks dorośnie.
- A ja zostaną prawdopodobnie powieszony przez króla Szkocji - powiedział Claes. - Gdzie zatem moja pani zamierza znaleźć uczciwego notariusza, pomocnego przy wychowaniu jonkheere Feliksa?

Mówił, jak gdyby myśląc głośno. Dość często pozwalała Claesowi na swobodne wypowiedzi. Teraz, zanim ona zdążyła odpowiedzieć, zrobił to sam:

- Jest tu niejaki Meester Oudenin. Jego córka osiągnęła już odpowiedni wiek.

Poczuła, że się rumieni i gwałtownie wciągnęła powietrze. W jej gardle osiadł nikły zapach inkaustu, pergaminu, skóry, potu i trocin. Trocin?

- Myślę, że to wystarczy - powiedziała. - Chłosta, na którą z pewnością zasługujesz, nie przyniesie nic prócz kolejnego marnotrawstwa twojej pracy. Powiadomię cię w stosownym czasie, jaką karę obmyśliłam dla ciebie. Na razie wrócisz do roboty, bez względu na to, co powie miasto. Osobiście zajmę się panem ze Szkocji.

Usłyszała zbliżające się kroki i po chwili znajoma pięść Astorre* a zabębniła w drzwi.

Claes uśmiechnął się do niej, a ona zmusiła się, by nie odpowiedzieć uśmiechem. Rozległo się kolejne bębnienie w drzwi i wołanie Astorre a: „Pani!”.

- Zapisałem to - powiedział Claes. - O ałunie. To przepis fokajski i Wenecjanie mieli nadzieję, że zachowają go w tajemnicy. Cech będzie zainteresowany. - Wydobył z kieszeni pomiętą skrawek papieru i położył na stole: a następnie, uniósłszy z uśmiechem oczy, przykrył go jednym z jej papierów. Później, otrzymawszy nieme zezwolenie, podszedł do drzwi i otworzył je przed Astorrćem, nim sam wyszedł z ukłonem.

Drzwi się zamknęły. Nie spojrzała na papier. Żołnierz, jak się spodziewała, trzymał pod każdym ramieniem ciężkie pudło. Przeszedł przez pokój na swych kabłąkowatych nogach i z hukiem postawił pudła obok jej szkatuły. Dlatego właśnie musiała co roku podróżować z silną strażą przyboczną: pilnowali dodatkowo grosiwa, którym płaciła za towary zakupione na flamandzkich galerach.

Astorre wyprostował się, oddychając niemal równo. Dwadzieścia lat walki widoczne było w pofałdowanej bliźnie nad okiem i purpurowej

falbance, którą lekarze pozostawili mu w miejsce ucha; był jednak sprawny jak dwudziestolatek, a w jego brodzie nie było ani jednego siwego włosa.

- Powiedzieliście mu? - spytał.

- Nie - odparła Marian de Charetty.

- Mógłby czmychnąć? Nie pomyślałem o tym - powiedział kapitan.

- Nie. Bardzo dojrzał w ciągu tego roku - rzekła wdowa, jego chlebodawcy.

- Za bardzo? - zaśmiał się chrapliwie Astorre. Splunął na wysłaną sitowiem podłogę. Niektórzy najemnicy miewali dworskie ambicje, inni znowu mierzyli niżej. Zawsze myślała, że przyczyną grubiańskiego i wojowniczego zachowania Astorre'a jest jego niski wzrost. Był człowiekiem przebiegłym i doświadczonym. Umiała sobie z nim radzić jeszcze przed śmiercią Cornelisa.

- Dojrzał pod pewnymi względami - odparła. - Nie chcę mieć kłopotów z Claesem, dopóki galery nie odpłyną. Później mu powiem.

- Jak sobie życzy - Astorre nie był zmartwiony. Obserwowała go, gdy wychodził po następne skrzynie. Myślała, że Claes prawdopodobnie domyślił się już, jakie są jej zamiary. A nawet jeżeli nie, wkrótce to wywęszy, na którymś z podwórek, w kuchni lub gabinecie, gdzie zawsze chętnie przyjmowano go jako gońca.

Wywęszy, lecz nic nie uczyni, póki nie dowie się oficjalnie. Mogła na to liczyć, jak na nic innego w życiu. Pomyślała o Claesie broniącym Juliusza i Juliuszu broniącym Claesa; i przez jej świadomość przemknął cień zazdrości.

ROZDZIAŁ 7

Będę się trzymał z dala od wielmożnego Szymona - obiecał Claes. Marian de Charetty dopilnowała tego. Osadziła go w areszcie domowym, podobnie jak swego żwawego syna Feliksa. Nie pomyślała, niestety, o zatrzymaniu najemnego kapitana Astorre, którego uważała za człowieka dorosłego. Kilka dni później, kiedy przypłynęły galery kupieckie z Wenecji, głowa kompanii Charetty sądziła, że panuje nad całym domostwem i już teraz nic nie odciągnie jej od interesów. Z początku miała słuszość.

Bez Claesa i Feliksa mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy ludzi z Brugii przemierzało pieszo lub łodziami kilka mil do zatoki w Sluis, by ujrzeć dwa smukłe weneckie okręty zarzucające tam kotwice.

Co roku odbywało się to tak samo. Wspaniale. Widzieć słoneczne promyki ślizgające się po jedwabnych banderach i lśnienie wiosł wynurzających się kolejno z wody i stojących prosto, rzędami po obu stronach jak dwa grzebienie. Słyszeć muzykę, która zaczyna grać na pierwszym okręcie: najpierw grzechot i świergot bębnow i piszczałek, później czkawkę trąb na rufie. Ponad błyszczącym mosiądzem powiewały migocząc frędzle od baldachimu, na którym widniał co roku inny, gęsty i rozległy haft, przedstawiający godło dowódcy.

I można było przysiąc, że czuło się poprzez wodę wszystkie aromaty: cynamon i goździki, kadzidło, miód i lukrecję, gałkę muszkatołową i cytrusy, mirrę i wodę różaną z Persji, beczułka na beczułce. Można by pomyśleć, że wypatrzyło się migotliwe stopy szafirów i szmaragdów, przejrzystą gazę przetykaną złotem, strusie pióra i słoniowe kły, gumę, imbir i koralowe guzy, które mynheer Goswin, urzędnik Hanzy, będzie prawdopodobnie nosił za tydzień na swym żupanie.

Była to z całą pewnością sztuczka, tak jak sztuczkami były wyczyny komedianów księcia podczas karnawału. Nieprzypadkowo galery zawsze związały żagle i wpływały do zatoki w blasku dnia, z odkrytymi pokładami, ukazując wioślarzy i nadzorców w liberiach, a szlachetnych panów dowodzących statkami - w szatach wykrochmalonych wedle szalonej weneckiej mody, ze świeżo przyciętymi brodami i może z małąpką na łańcuchu, siedzącą na ramieniu.

Nie była to sztuczka trudna. Flamandzkie galery nigdy nie spędzały nocy na morzu jak inne, płynące z daleka statki, które zarastały brudem i nie nadażały z uporządkowaniem towarów przed przybyciem do portu. Flamandzkie galery co noc zawijały do zatoki podczas sownie opłaconego w Wenecji rejsu, popychane po Adriatyku przez gęste, letnie powietrze. Woda niosła je do Kortu i Otranto, torowały sobie drogę wokół Sycylii i obcasy Italii, aż po Neapol, a następnie przemierzały na skrzydłach wiatru zachodnią zatokę ku Majorce, skąd płynęły do północnych wybrzeży Afryki i dalej, wzdłuż wybrzeży Hiszpanii i Portugalii, pozostawiając tam drobne, przynoszące zysk towary, których nie potrzebowano w Brugii. Zabierały na pokład nieco oliwy z oliwek, kandyzowanej skórki pomarańczowej, wonnych skór, drobne naczynia, papugę, kilka głów cukru.

Niczego topornego, nieporęcznego, prostackiego. Galery Republiki Flamandzkiej były arystokracją wśród floty weneckiej: kosztownie budowane, z kosztowną załogą, tak by mogły zostawić z tyłu każdego morskiego rabusia i przeznaczone wyłącznie dla przedmiotów zbytku.

Przypływały co roku i co roku rozdzielały się po dotarciu do Kanału: dwie żeglowały do Brugii, jedna do Londynu - lub Southampton, jeśli londyńczykom zdarzyło się właśnie prowadzić kampanię przeciwko zamorskim kupcom. Wszystkie trzy flamandzkie galery, jak powiadano, warte były ćwierć miliona złotych dukatów. Ano, jest tyle pieniędzy na świecie. Tak mówią. Są na to dowody: doża i ci inni z Wenecji wydają dwadzieścia funtów rocznie, by przekupić celników w Brugii i zaniżyć wartość ładunków. To prawda. Powiadam ci. Wiem o tym od jednej wdowy. A cukier samego księcia Filipa kosztuje dziesięć razy tyle.

Tak pogadywał tłum, obserwując celników wchodzących na pokład, po dwóch na każdą galerę, komitet powitalny ze Sluis, następnie ludzi z Damme, wystrojonych i obwieszonych złotymi łańcuchami. Znacznie później - bo niektórzy tytułowaliby swoich synów tuż po chrzcie, gdyby to miało przydać im splendoru - zaczynał bić wielki dzwon na brugijskiej wieży i ktoś - Jan Balviet, nikt inny - nadjeżdżał na mule, w kapeluszu przypominającym pięć łokci bandaży zaczepionych o ciernisty krzew; a za nim Anzelm Adorne, Jan van den Walie i gromada stajennych, służących i żołnierzy z herbem i flagą Brugii. A wraz z nimi weneccy przedstawiciele: gruby Bembo, chudy Contarini i ten wielki, nadęty kutwa, Marco Corner.

Na-końcu zaś - jako że Wenecjanie byli pierwszymi na listach pośredników i do wyładunku, tak jak przed wypłynięciem mieli pierwszeństwo w załadunku towarów - pojawiali się wspólnicy, oczekujący wypełnienia zamówień.

Mógł przybyć Tommaso Portinari, przyozdobiony wszystkimi pierście-

niami, jeżeli udało mu się namówić Taniego, by powierzył to zadanie jemu - a prawdopodobnie się nie udało. I Jacopo Strozzi, który - jeżeli dokuczała mu właśnie podagra - mógł wziąć z sobą młodego Lorenza. A także: Jacques Doria, Lommelin i pozostali Genuieńczycy. I Pierre Bladelin, namiestnik książe, który sprawdzał towary zamówione osobiście przez księcia; oraz Joao Vasquez, czyniący to samo dla księżnej, z Figuieresem i innymi Portugalczycami. Przedstawiciel oberżystów, dla sprawdzenia, kto potrzebuje noclegu. Niemcy z Hanzy, pragnący dowiedzieć się o stawkach. Lukkijczycy, a wśród nich Giovanni Arnolfini o pociągłej, bladej twarzy, znający zamiłowanie księcia do jedwabi i mający kilka prywatnych zamówień, wartych parę groszy.

O, wiele się działo za kulisami, kiedy przyływały flamandzkie galery. Ważni ludzie nigdy nie przychodzili w pierwszych dniach nad zatokę - po prostu czekali, aż wszystko przypłynie barkami na rynek w Brugii i do Waterhalle. Prawdziwe targi zaczynały się ponoć w trakcie późniejszych spotkań. Tak czy inaczej cała zima miała upłynąć na handlowych podchodach. Sześć miesięcy, podczas których galery pozostaną w porcie, a wszystkie tawerny i burdele Brugii i okolic nadmorskich przyjmą czterystu marynarzy.

Flamandzkie galery przybyły, a dzwony i trąby stanowiły zaledwie preludium ogłuszającego brzęku pieniędzy.

Na trzeci dzień po przybyciu galer Marian de Charety nieroztropnie zwolniła syna z obowiązków, pod warunkiem, że nie wychyli nosa poza Brugię. W ten sposób Sluis zostało wykluczone.

Miała powody, by przypuszczać, że Feliks pójdzie prosto do tawerny, a później pośle się tam Juliusza, żeby go wyciągnął. Sam Juliusz był w Sluis wraz z zarządcą Hennincem, interesując się bliżej próbkami urzetu, alkiermesu, barwnika z rezedy żółtej oraz kilkoma workami brazyliny; i spoglądając tęsknie na cenny towar zwany ałunem. Sama pani de Charety wybierała się na spotkanie cechu farbiarzy i liczyła na to, że przybędzie tam Juliusz ze sprawozdaniem. Posłała po zastępcę Henninca, zleciła mu opiekę nad wszystkim i pieszo, w towarzystwie panny służebnej, udała się na spotkanie.

Zastępca Henninca, pracowity folusznik nazwiskiem Lippin, przypomniał sobie, że należy przynieść nożyce od szlifierza; a mając pod ręką Claesa, obdarzył go powyższą misją. Nie przyszło mu do głowy, że Claesowi zabroniono przez tydzień wychodzić z domu; a Claes, obawiając się, że Lippin może o tym pomyśleć, czmychnął w mgnieniu oka, przyodziały w swoje chodaki i pochlapany szczynami fartuch. Zastał Feliksa w opustoszałym biurze Medyceuszów, w wysokim domu konsularnym niedaleko placu targowego. Feliks nie uradował się na jego widok.

- Kto ci powiedział, że tu jestem?
- Winrik, który wymienia pieniądze - odparł uspokojającym tonem Claes. Winrik, przemierzający ulice ze swym przenośnym kantorem, był najobfitszym źródłem plotek we Flandrii.

Feliks uśmiechnął się szyderczo.

- A ty w zamian za to starannie sprawdziłeś rachunki Winrika i pomogłeś mu znaleźć omyłkę w dzienniku kasowym oraz co najmniej trzy błędne obliczenia w księdze rachunkowej. Ten cuchnący wyrobnik - Feliks zwrócił się do jedyne go słuchacza, młodzieńckiego ucznia dopiero co przysłanego z Florencji - ten flamandzki kretyn liczy dla przyjemności, tak jak ty czy ja pijemy, pierdzimy lub zastanawiamy się, na co wydać pieniądze.

- No cóż, ktoś musi je liczyć, żebyś mógł je wydawać - powiedział roztropnie Claes. Spojrzenie szeroko otwartych oczu prześliznęło się po plikach papierów i księgach z kopiami listów. - Mogę i tobie pomóc w liczeniu - zaproponował chłopcu, który obejrzał go z góry na dół, na tyle, na ile był w stanie; i cofnął się, stając obok Feliksa, a następnie postąpił jeszcze krok w tył, czując zapach fartucha Claesa.

- No tak - rzekł Claes, przesuwając wielkimi paluchami barwy indygo po księdze zamówień. - Co to jest, to i to?

Chłopiec zawahał się.

- Och, nie zważaj na niego - powiedział ze znużeniem Feliks. - Nie ustępuj mu. To jakaś choroba. - Spojrzał ponownie na Claesa. - Po co ci nożyce matki?

- Zostały naostrzone - wyjaśnił Claes.

- Czy matka nie oczekuje cię z powrotem? - zapytał Feliks w sposób przypominający zachowanie ojca.

- Nie - odparł Claes nie mrugnawszy okiem. - Na co czekasz?

- Na łódź Tommasa. Zabierze mnie do Sluis. Dzisiaj jest dzień drobnej wyprzedaży na pokładach galer. Chcę mieć małpkę.

- Chcesz zostać odesłany do Leuven - powiedział Claes. - Matka dowie się, że opuszczałeś miasto.

- Powiem, że ty mi ją kupiłeś - oświadczył Feliks.

Claes zastanawiał się przez chwilę.

- Czy to znaczy, że muszę płynąć z tobą do Sluis?

- No tak - odparł Feliks, rozważając po raz pierwszy praktyczne problemy najbliższej przyszłości. - O ile Tommaso zdoła pozbyć się swoich księży i mnichów. Wybiera tenora do kaplicy Medyceuszów w Italii - twarz Feliksa rozpozgodziła się. - Okropierstwo, co?

Przez kilka par drzwi dobiegały odgłosy, które mogły być śpiewem. Było to rzeczywiście okropne. Claes wyszczerzył zęby do chłopca.

- Ilu już przesłuchał?

Chłopiec odwrócił się plecami do fartucha i w wyraźny sposób skierował odpowiedź do młodzieńca w porządnym stroju i kapeluszu.

- Ten jest trzeci. Brat Gilles śpiewa w augustiańskim chórze. Jest przyjacielem żołnierza Astorre z waszej kompanii. Ten Astorre też czeka, by wybrać się do Sluis.

- O - rzekł Feliks. Miał na palcu pierścionek, do którego nie był przyzwyczajony i okręcał go dookoła.

- On jest srogi, ten Astorre? - pytał chłopiec. - Nie życzysz sobie go widzieć?

- To tylko kapitan mojej matki - odparł Feliks. - Płynę do Sluis.

- On ci kupi, co zechcesz - powiedział Clases. - Małpki. Opończę z lamparciej skóry. Nowe pióro?

- Płynę do Sluis - powtórzył Feliks. Śpiew ucichł. Otworzyły się drzwi.

- Słyszałem - oznajmił kapitan Astorre. - Jonkheere Feliksie...

- Płynę do Sluis - powiedział jonkheere Feliks po raz trzeci.

Claes nigdy nie wzdychał. Powiedział tylko:

- Ja także - i uśmiechnął się szeroko do żołnierza, który klepnął go z roztargnieniem po twarzy i zapytał:

- No to na co czekamy?

Astorre był w dobrym nastroju, bo jego przyjaciel, brat Gilles, został wybrany do kaplicy Medyceuszów. Feliks rozchmurzył się nieco. Wyszczerył zęby do Astorre'a, Tommasa Portinariego - który właśnie wpadł żwawym krokiem, by zaprowadzić ich do barki - a nawet do Claesa, ruszającego posłusznie za nimi w samych pończochach, z chodakami zawieszonymi na szyi - by nie zniszczyć desek łodzi - i zawiniętymi w fartuch nożycami pod pachą.

Bez skrupułów weszli na pokład i nawet Tommaso wydawał się pogodny. Podążali do Sluis, ku weneckim galerom.

Notariusz Juliusz zwykł opowiadać później (choć kłamał), że najgorsze chwile życia przeżył właśnie w ów słoneczny dzień wrześniowy, kiedy zerknął w dół z pokładu weneckiego okrętu i ujrzał medycejską łódź, popychaną ku niemu uderzeniami wiosł.

Siedział w niej Feliks, syn jego chlebodawczyni, który przyrzekł, że nie ruszy się z Brugii; i czeladnik Claes, znajdujący się w areszcie domowym w farbiarni; i Tommaso Portinari, któremu chlebodawczyni Juliusza nie chciała niczego zawdzięczać i który - sądząc po zmarszczeniu nosa - zamierzał wyegzekwować od kogoś cenę znoszenia zapachów Claesowego fartucha przez całą drogę z Brugii do Sluis.

A co najgorsze na dziobie ukazało się ciało kurczęcia o głowie koguta, czyli kapitan Astorre, który wyskoczył dziobiąc brodą powietrze. Później

stanął na nabrzeżu, atakując guzikami oczu pałace zbudowane z klatek, tarasy z pękatych beli, całe krajobrazy z worków, koszy i beczek, wśród których krążyły sznury, gromady i grupki ludzi, roznoszących otoczenie po kawałku do wozów, łodzi i składów pod rozkołysanymi ramionami żurawi.

Broda kapitana wycelowała w okręt i Juliusz wycofał się ostrożnie. U brzegu stały w końcu jeszcze dwie galery i należało się tylko modlić, by Feliks, Claes i Astorre nie zechcieli wejść na pokład głównego statku.

Dwie galery, a na każdej stu siedemdziesięciu wioślarzy, trzydziestu łuczników, nawigator, pisarz i jego pomocnik, cieśla, kucharz, dwóch lekarzy i notariusz, a wszyscy wystawili na pokład skrzynie z drobnymi przedmiotami na sprzedaż oraz listy cen.

Źródłem ubocznych dochodów w podróży do Flandrii było między innymi prawo załogi do zabierania drobiazgów, które można było osobiście sprzedawać w odwiedzanych portach. Nie dziwiło nikogo, że duchowny miał pod pokładem swój worek z odrobiną kadzidła i kilkoma dość kosztownymi szatami liturgicznymi. I można było mieć pewność, że kabina dowódcy jest załadowana po brzegi słodkim winem oraz drobniejszymi acz cięższymi przedmiotami, jak złoty pył z Gwinei, z której pochodził także kudłaty niewolnik.

Wszystko to było jednak sprawą przyjaciół Ser Alvisa Duodo, a nie przedmiotem targów pospólstwa. Grek z drewnianą nogą, Monsignore Nicholai de' Acciajuoli, przebywał teraz w kabinie Duoda, wpytując go niewątpliwie o swego brata, uwięzionego w Konstantynopolu.

Niestety, Grek nie przybył sam. Niestety, przyprowadził z sobą kupca szlacheckiego rodu, który przypłynął z nim ze Szkocji - niemiłego Szymona. Zastłona u wejścia do kabiny była na razie zaciągnięta, lecz w każdej chwili któryś z nich mógł wyjść, zanim Juliusz zakończy swoje sprawy. Niestety, Juliusz nie był przy tym całkowicie trzeźwy.

Po zajęciach z armatą, dziewczyną i psem Juliusz nie chciał zwracać uwagi Szymona na siebie czy jakiegokolwiek członka kompanii Charetty. Raz już udało mu się umknąć przed wzrokiem Szymona - rzecz wcale nietrudna na statku długości stu osiemdziesięciu stóp weneckich, pełnym ludzi i skrzyń. Niechęć do Szymona łączyła się u Juliusza z głęboką, skrytą zazdrością. Pragnął go obserwować, samemu nie będąc widzianym. Wiedział, że po tamtej przykłej reprimendzie przepracował siedem niezwykle wydajnych dni dla pani de Charetty i dzisiaj rano zaczął świętować ten fakt nieco za wcześnie. Dlatego przede wszystkim nie chciał widzieć Feliksa i Claesa na pokładzie. Co do Astorre'a - to byłaby katastrofa. Juliusz ostrożnie uniósł głowę, potrząsnął nią lekko i wyrzał z za poręczy.

To była katastrofa. Łódź z siedzącym w niej Tomassem zniknęła. Widać

było jednak przystrojona w kapelusz przypominający dudy głowę Feliksa, wspinającego się na okręt. Za nim szedł Astorre w płaskiej czapce i wytwornym, skórzanym kaftanie z brokatowymi rękawami, wypchanymi jak gęsia szyja. Na końcu sunął Claes w roboczej filcowej czapce i przepoczonej koszuli z wycięciem przy szyi opadającym tak, że dało się dostrzec jego umięśniony tors i górną granicę jedwabistych włosów bagiennego koloru, które natura - o czym Juliusz z zawiścią się przekonał - dodała do jego męskiej żywotności.

Feliks spostrzegł swego opiekuna, uśmiechnął się trwożliwie i niezdecydowanie wycelował swoje dudy w najgłośniejszych sprzedawców, jednocześnie zaś wypatrywał upragnionej rzeczy. Astorre, z wzrokiem skierowanym ku jakiejś oddalonej i przepysznej zdobyczy, całkowicie zignorował Juliusza. Claes, którego jasne oczy lśniły prostą radością porozumienia, powiedział:

- Feliks chce mieć małpkę. Pani poszła na zebranie cechu.

- Posłałem do niej Henninca - powiedział Juliusz, marszcząc brwi, by zapanować nad gałkami ocznymi. - Miałeś słuszość. W balaście był ałun z Fokai. Kto ci powiedział? Ten Grek, Nicholai?

- O nie, Meester Juliuszu - odparł Claes. - Według listy sporządzonej przez pisarza ałun pochodzi z Cieśniny i ma naznaczoną cenę kastylijską, co z pewnością przyzna Monsignore de' Acciajuoli. Oto, co zakupili Wenecjanie. Ałun fokajski byłby znacznie droższy.

- Z pewnością - rzekł Juliusz, zmarszczywszy jeszcze mocniej brwi. Ałun, ten biały, niepozorny proszek, który wykopywało się z ziemi jak sól kamienną, był chyba najważniejszą na świecie substancją dla farbiarza, ponieważ utrzymywał barwę materii. Claes o tym wiedział. Niemniej Juliusz zastanawiał się niekiedy, czy Claes rozumie, co mówi, kiedy przynosi skądś wiadomości. Było w końcu mało prawdopodobne, że Grek cokolwiek mu powiedział. Claes po prostu słyszał to i owo wędrując z biura do biura w mieście, gdzie nie zauważano rzemieślników.

- Cóż, lepiej bądź ostrożny - powiedział Juliusz. - Nasz szkocki przyjaciel od psa, Szymon, jest tam w środku, a z nim Messer de' Acciajuoli i dowódca; i lepiej, żeby cię tu nie widział. Prócz tego...

- Uchowaj Boże - rzekł Claes z lekkim zaciekawieniem i niczym ponadto. - Oto kapitan Lionetto z przyjaciółmi. Kupili czarnego człowieka.

Każdy widział, że wcale nie kupili czarnego chłopca, lecz po prostu szorowali go chcąc sprawdzić, czy kolor się nie zmyje. Juliusz, ujawniający niekiedy bystrość osądu, odezwał się nagle:

- Chce mieć małpkę? Pani nie zgodzi się na to.

- Sądzę, że cena i tak będzie za wysoka - stwierdził optymistycznie

Claes. Nadal wpatrywał się w gwinejskiego niewolnika, który przestał szarpać łańcuch i usiłował umknąć przed silnymi rękoma kapitana Lionetto, który dźgał go szmatą na kiju. - Jeśli go uszkodzą, będą musieli go kupić. Chyba że Feliks zechce czarnego chłopca zamiast małpki. Pani mogłoby się to spodobać.

- Matce Feliksa? - spytał Juliusz. Jego oczy zażawily się od śmiechu.
- Powiedz lichwiarzowi Oudeninowi; o, tam stoi. To mu pomoże w zalotach.

Wszyscy wiedzieli, że Oudenin pchał swoją córkę w objęcia Feliksa, ale w rzeczywistości marzył o uściskach wdowy.

Ku zaskoczeniu Juliusza Claes z miną pełną gorliwości zdjął fartuch i odszedł. Juliusz z niedowierzaniem obserwował czeladnika przeciskającego się przez ciżbę na pokładzie i podchodzącego do właściciela lombardu. Obydwaj usiedli i pograżyli się w swobodnej rozmowie, w trakcie której wstali.

To, czy Claes mówił o Marian de Charetty czy nie, nie miało wielkiego znaczenia. Ledwie stanął na nogi, żołnierz Lionetto wykrzyknął: „Ha!” - i pochyciwszy z każdej strony jednego z kompanów zaczął przepychać się brutalnie w stronę czeladnika. Jego aksamitna kurtka i włosy miały tę samą, imbirową barwę.

- Ha! - powtórzył Lionetto. - Czyj to kubrak płamisz dzisiaj, głupi prostaku? I co za głupiec pozwolił ci psuć powietrze na tym statku cuchnącymi łachmanami? Potrzebujesz kąpieli. Wykąpcie go.

Juliusz, którego reakcje spowolniło niewątpliwie wino wypite z Hennincem, utkwiał spojrzenie w dwóch kompanach Lionetta. Pochyciwszy czeladnika, zaczęli - wśród pełnych uznania pomruków zebranych - przechylać go pod kątem zapowiadającym szybkie wyrzucenie za burtę. Nikt nie przejawiał szczególnego poruszenia losem Claesa ani też on sam nie okazywał zdecydowanego oburzenia, gdy zwiisał z muskularnych żołnierskich ramion z wyrazem łagodnego zdumienia na twarzy. Jakiś łysy mężczyzna zauważył lekko:

- Może on nie umie pływać?

Claes umiał pływać i potrzebował kąpieli. Juliusz rozważył jego położenie i uznał mętnie, że nie jest krytyczne. Wzięto Claesa pod pachy i przechylono w tył, a tłum rozproszył się nieco.

Nie wyrzucono go za burtę, ponieważ żyłasta postać kapitana Astorre postąpiła trzy kroki naprzód i kopnęła jednego z prześladowców Claesa w kolano, co sprawiło, że mężczyzna natychmiast ukląkł z wrzaskiem. Przez chwilę Claes i drugi napastnik stali ramię w ramię, a następnie ten drugi puścił pięść Claesa i rzucił się na Astorre'a.

Uprowadził go jednak Lionetto.

Nie zwracając uwagi na własnych ludzi ani na Claesa, który stał z zaintrygowanym wyrazem twarzy, Lionetto nie uderzył drugiego kapitana ani nie podniósł krzyku. Ciężko dysząc opuścił ramię, objął palcami nadgarstek Astorre'a, uniósł jego nie stawiającą oporu ręką i przytrzymał na wysokości pasa.

W podwójnym uścisku znajdował się ciężki od złocen kielich z powlekanego, różowego szkła.

- To moje - powiedział łagodnie Lionetto. - Zamówiłem go w zeszłym roku u kapitana okrętu.

Astorre, z brodą wzniesioną na sześć cali, ukazał w uśmiechu poźótkłe zęby.

- Czyżby? Zapomniał mi o tym powiedzieć. Zapłaciłem za niego.

- Jaki ty jesteś dziecinny - rzekł Lionetto. - Odbieranie go tobie to wręcz strata czasu. Oddaj go, a ja zwrócę ci równowartość.

- Chcesz mi go zabrać? - spytał Astorre. - Nieszczęsny pawianie! Ten głuptyś i ja mogliśmy rozebrać cię do golca. Odsłonić twoje mizerne narządy, gdybyśmy mieli ochotę. Ale dowódca jest w naszym kraju gościem i panowie nie biją się na jego pokładzie. Biorę moją własność.

- Moją - rzekł Lionetto.

- Opłaconą przeze mnie - rzekł Astorre.

- Signori! - rozległ się czyjś donośny głos.

Odwrócili się.

Zasłona u wejścia do kabiny dowódcy była odsunięta i stał tam Messer Alvise Duodo, bohater Konstantynopola, a obok niego Grek Nicholai de' Acciajuoli, który miał dziś na głowie aksamitny kapelusz i okryty był pięknym płaszczem z kapturem. Z tyłu zaś Juliusz dostrzegł budzącą złe przecucia, zarozumiałą, gładką twarz szlachetnie urodzonego Szymona, którego pies omal nie puścił z torbami rodziny Charetych.

- Signori! - powtórzył dowódca, co sprawiło, zgodnie z jego oczekiwaniami, że paru łuczników czujnie uniosło głowy. Kiedy *capitano* się odwrócił, można było zauważyć, że jego puszyste włosy podgolone są aż do uszu, a kurtka, guziki, krój płaskiej czapki i marmurkowego, jedwabnego kubraka budziły zachwyty. Senat i Republika Wenecka wybierały na dowódców floty flamandzkiej wyłącznie członków bogatych rodów, takich jak Contarini, Zeno lub Duodo. Niektórzy z nich byli na dodatek dobrymi żeglarzami, choć nie należało to do ich obowiązków. Wybierano ich ze względu na umiejętności, dzięki którym naczelną dowódca mógł uświadomić sobie - po kilku cichych słowach Ateńczyka - że sprawcami zamieszania są najemni kapitanowie, reprezentujący prócz prawdopodobnego zagrożenia także pewną wartość. Czcigodny dowódca wystąpił zatem naprzód i rzekł:

- A, il signore di Astariis i il signore Lionetto! Szukałem panów. Zechciejcie, proszę, zaniechać sporu i napić się ze mną wina.

Krepe figurki dwóch kapitanów znieruchomiały. Łagodniejące twarze zwróciły się ku źródłu zachęty. Pomiedzy potężnymi ciałami pozostał w zawieszeniu kielich, mocno trzymany przez dwie dłonie, podczas gdy mężczyźni poszukiwali wyjścia z sytuacji.

Znalazł je kto inny. Nie Messer Nicholai ani dowódca floty; ani żaden z przeciwników.

Szymon, arystokratyczny gość dowódcy, wytwornymi ruchami utworzył sobie drogę ku dwóm kapitanom, przystanął i nagłym, zręcznym wymierzonym ciosem podbił kielich w górę, wytrącając go z rozluźnionego uchwytu obydwu kapitanów. Tor lotu był ukośny i dokładnie wymierzony. Przy jękach zachwytu i zgrozy przedmiot wzbiał się w powietrze, poszybował nad okrężnicą galery i połyskliwym, różowym łukiem opadł, tonąc nieodwołalnie i kosztownie w głębinach zatoki.

Wszyscy wbili wzrok w Lionetta, którego wściekłe spojrzenie przemieniło się w skierowany do Szkota, promienny uśmiech. Następnie wszystkie oczy zwróciły się z nadzieją w stronę Astorre'a - nabywcy kielicha.

Astorre położył dłoń na rękojeści sztyletu, lecz cofnął ją. Później dotknął sakiewki, otworzył ją i wydobył monetę. W promieniu ponad trzydziestu stóp ustał i tak kulejący handel. Nie zważając na Lionetta; nie zważając na Szkota; lekceważąc z zimną krwią wszystko, co przemawiało przeciwko niemu, Astorre powiedział:

- Floren dla tego, który zanurkuje po moją własność.

- Zaczekajcie! - zawołał dowódca. Deski pokładu, które zaczęły się przechylać, wyprostowały się rozkołysane pod jego stopami, gdy lepsi i gorsi pływacy przystanęli w drodze ku wodzie za burtą. Grek uśmiechnął się lekko.

- Pozwolę sobie podsunąć - powiedział gładko dowódca - że wysiłki jednego człowieka mogą zostać uwieńczone większym powodzeniem. Niech tego dokona niewolnik. Nurkowanie to jego zajęcie.

Był dowódcą floty, więc ci, którzy szemrali, robili to cicho. Zamiast skakać, spierali się o punkt widzenia. Najbliżej zejścia pod pokład znajdowali się kapitanowie Astorre i Lionetto.

Zdjęto Afrykańczykowi okowy. Powiadomiono go na migi, co ma robić, a następnie powtórzył to łamanym hiszpańskim jeden z wioślarzy. Ponieważ diabelskie nasienie było niezdecydowane, przerzucono Afrykańczyka przez burtę i wycelowano weń kilka strzał na wypadek, gdyby chciał płynąć z powrotem ku wybrzeżom Gwinei.

Później, kiedy od czasu do czasu wypływał na powierzchnię, rzucali

w niego tym, co mieli na podorędziu, dopóki nie zanurzył się ponownie. Nikt nie chciał tam sterczeć przez cały dzień.

Dowódca patrzył na to cierpliwie, wybrawszy już chwilę, w której oznajmi z ubolewaniem, że poszukiwania są daremne. Dlatego ze zdumieniem i pewnym rozdrażnieniem ujrzał matową, wełnistą głowę i szeroką, lśniącą twarz, która wynurzyła się z wody tym razem w towarzystwie wzniesionej ręki, dzierżącej nienaruszony różowy kielich kapitana.

Usłyszał świst wciąganego powietrza, kiedy ci dwaj zabawni ludzie dostrzegli kielich; widział uśmiech właściciela i gniew człowieka zwanego Lionetto.

Murzyn dotarł do stopni i zaczął podciągać się wyżej. Na samej górze czekały wyciągnięte ku niemu, długie ramiona Lionetta i krótkie Astorre'a. Afrykanin przystanął.

Grek powiedział coś do dowódcy, a dowódca odezwał się do mówiącego po hiszpańsku:

- Rozkaż niewolnikowi nie oddawać kielicha dwóm kapitanom. Każ mu rzucić go w stronę mężczyzn z... czego to? Kompanii Charettych. Tam, gdzie wskaże messer Nicholai. Tych trzech, którzy tam stoją.

Juliusz dowiedział się o tym pomyśle z przechylenia wszystkich głów, jak gdyby przyglądały się lotowi racy. On także od niechcienia spojrzął w górę. Wysoko w powietrzu leciało ku niemu zakreślając łuk coś lśniącego i różowego, przypominającego bardzo ów głupi puchar, który obnosił Astorre. Dźgnięty łokciem Feliksa Juliusz zachwiał się patrząc na młodzieńca, który skoczył usiłując pochwycić przedmiot.

Był zły na Feliksa. Cieszył się widząc go wygiętego w tył, podczas gdy Claes spokojnie zajął jego miejsce, uniósł duże, niezawodne ręce i pochwycił kielich.

Juliusz mógłby później przysiąc, że Claes go pochwycił.

Trudno zatem stwierdzić, jak to się stało, że po chwili kielich nie tkwił już w rękach Claesa, lecz rozprysnął się na drobne, różowe odłamki, połyskujące wszędzie wokół: w futrach, fałdach jedwabiu, czarach z majoliki, kornetach cukru, na butach, kabzach i pochwach sztyletów.

Niekiedy zaś na pustych pochwach, jak w wypadku Astorre'a i Lionetta, którzy z bronią w rękę parli ku nieszczęsnemu Claesowi. Spoza ich pleców, przesłonięty barierką, uśmiechał się szlachetny Szymon.

Lionetto, który nie zapłacił za kielich, zatrzymał się nagle, spojrzął na swój sztylet, po czym wsunął go do futerału, odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem.

- Ten głuptas i ty moglibyście rozebrać mnie do golca! Tak powiedziałeś! Astorre, nędzny głupecze! Nie potrafisz nawet utrzymać w ręku swego kielicha, a on nie potrafi go złapać! Rozebrać mnie do golca!

- Ach - odezwał się łagodnie Grek - co za szkoda.

- Czyżby? - wtrącił dowódca. - Nie dałbym chłopcu zbyt wielkich szans. Teraz oni znowu skoczą sobie do gardeł. To staje się doprawdy nieuprzejme. Oficerze, powiedzcie z łaski swojej kapitanom, że dowódca floty żałuje, ale czas nie pozwala mu już na stawianie im wina i byłby wdzięczny, gdyby zechcieli wyjaśnić swoje nieporozumienia na lądzie. Powiadomicie mnie, kiedy odejdą. Messer Nicholai?

Odchylając zasłonę przed wchodzącym do kabiny Grekiem dostrzegł, że Monsignore de' Acciajuoli wpatruje się w urodziwego młodego Szkota, z którym dzielili podwieczorek - złotowłosego Szymona. Messer Duodo przyłapał się na rozmyślaniach nad upodobaniami Ateńczyka.

- Wątpię, czy nasz szkocki przyjaciel ma zamiar powrócić - rzekł.
- Uważa się chyba za przyjaciela Lionetta.

A gdy Ateńczyk, nie odpowiedziawszy, ociągał się jak gdyby pragnąc przywołać Szkota do kabiny, dowódca dodał:

- Doprawdy, Messer Nicholai, sędzę, że obydwaj zmitrężyliśmy przy tym aż nadto czasu. Musimy omówić pewne sprawy na osobności.

I Grek odwrócił się, a za nim opadła zasłona.

Cokolwiek bowiem miało się tu wydarzyć, on nic nie mógł na to poradzić.

ROZDZIAŁ 8

Juliusz z przerażeniem obserwował odejście dowódcy, które umożliwiło Astorre'owi i Lionettowi swobodne udanie się na nabrzeże, gdzie wreszcie bez przeszkód mogli skrzyżować rogi. Obydwaj kapitanowie tak się palili do bitki, że prawie nie zauważyli, że dowódca nie ponowił zaproszenia. Stanęli na brzegu twarzą w twarz, oblegani przez trzy czy cztery tuziny widzów i grupki przyjaciół. Za plecami Astorre'a stanęli - z lekka oszołomieni - Juliusz, Feliks i ich giermek Claes z odzyskanym fartuchem pod pachą. Wokół Astorre'a zebrali się ludzie, którzy stali po jego stronie, jak pamiętał Juliusz, w tawernie Pod Dwoma Tablicami Mojżesza. Wśród nich znajdował się łysy mężczyzna, którego Juliusz przypominał sobie mętnie jako pijanego doktora Tobiasza, zajmującego się dźwigowymi poturbowanymi przez Claesa.

Claes. O Boże, ten idiota Claes. Co z nim zrobią?

Juliusz spostrzegł, że w grupie zebranej wokół Lionetta stoi Szkot i z dreszczem zgrozy pojał, co chce z Clasem zrobić jedna osoba. Wziął się w garść i złapał najemnika Charettych Astorre'a za ramię.

- Kapitanie - powiedział - dość tego. Powinniśmy już wracać do wdowy.

Szyderczy Lionetto dosłyszał te słowa.

- O, tak! Szybko wracajcie do wdowy. Po co walczyć, jeśli można zarobić na życie między szczodrymi nogami wdowy? Czy dlatego chciałeś mieć ten kielich? Żeby podarować go kochance? Nie winię cię za to. Koniec z nocami w błocie pod namiotem; żaden uniwersytecki wyrzutek nie będzie ci rozkazywał ani...

Spurpurowiały Feliks runął ku niemu. Juliusz skoczył w ich stronę, lecz wyprzedził go Claes; a Szymon znalazł się przed Lionettem. Zderzenie czeladnika i Szkota było bardzo krótkie. W ciągu paru tygodni spotkali się po raz trzeci. Dotknęli się wzajemnie po raz pierwszy. Było to spotkanie ważniejsze niż wszystkie inne. Szkot odskoczył, a bok jego wytwornego, cytrynowego kubraka znaczyła krwawa plamka.

Szymon złapał oddech. Później, przycisnąwszy ranę jedną dłońią, wyciągnął drugą i wyszarpnął spod pachy czeladnika zwinięty fartuch,

z którego wystawał lśniący, zabarwiony czerwienią czubek. Szkot w milczeniu pochwycił go i odwinąwszy fartuch pokazał zebranyemu nożyce. Lionetto wziął je i obejrzał dokładnie.

- Ten człowiek napadł na mnie - powiedział Szymon. - Domagam się prawa ukarania go.

- Nie macie żadnego prawa. To sługa. Chronił mnie - rzekł Feliks. Jego twarz była purpurowa.

- To był przypadek, panie - odezwał się Juliusz. - Nożyce odebrano od szlifierza, a Claes owinął je w fartuch dla bezpieczeństwa. I wybaczcie, ale ten spór nie jest waszą sprawą.

- Istotnie - odparł Szymon. Jego jasnoblękitne oczy, rozjaśnione słońcem, przypominały Juliuszowi o popularności, jaką Szkot zyskał wśród kobiet. Podobno ta sekutnica Katelina van Borselen odrzuciła go, a on leżał dotąd z każdą niewiastą wysokiego rodu w Brugii. Wydawał się wystarczająco krzepki, by temu podołać; i przyjrząwszy się mu można było zyskać pewność, że wybranki miały się czym cieszyć. Juliusz wpatrywał się w niego jak zaczarowany.

- Być może spór nie należy do mnie - odparł Szymon - ale ta krew z całą pewnością tak. Kapitanie Lionetto, wy i kapitan Astorre jesteście wodzami, których życie jest cenne dla królów i republik. Jakże usprawiedliwi się Brugia, jeśli świat utraci w czcym sporze takich mężów? To ja cisnąłem puchar za burtę. Ten tu prostak stłukł go. Czy nie mógłbym walczyć w waszym imieniu, a ów młodzik za kapitana od Charetych? W tej chwili honor wymaga, bym go wybatożył. - Umilkł, rozglądając się z półuśmiechem. - I jeśli nie uznacie tego za rzecz niestosowną ze względu na różnicę stanów, zapewniam was, że nie użyję szlacheckiej broni przeciw czeladnikowi. Może wybrać to, do czego przywykł. Kij, pałkę, drag... postaram się sprostać mu we wszystkim.

Rozległ się szmer aprobaty. Za plecami Juliusza Astorre przemówił:

- To sprawiedliwe, zważywszy, że Szkot musi walczyć podziurawiony.

- Nic mu nie jest - powiedział Juliusz. - Spójrz, nawet nie krwawi. Astorre, Claes nie walczy.

- Każdy potrafi walczyć - odparł popędliwie Astorre. - Jest dwa razy tęższy od tego pięknisia i młodszy. No i w końcu to on rozbił mój kielich.

Astorre nie zamierzał pomagać. Nikt inny nie mógł tego powstrzymać. Szlachetni panowie i oficerowie galery dawno już ulotnili się dyskretnie; łucznicy nie otrzymali rozkazów i przejawiali jedynie łapczywą ciekawość odnośnie wszystkich świeckich uczestników walki. Żaden urzędnik z Brugii, Damme czy Sluis nie pilnował wymierzenia sprawiedliwości; i tylko Juliusz molestował Astorre'a a Feliks wygłaszał mowy do Lionetta, bezskutecznie usiłując wpłynąć nań perswazją.

Lionetto i Astorre, zawodowi żołnierze, z całego serca pragnęli zabić, ranić czy inaczej pozbyć się rywala; lecz nie w pojedynczej walce jak uczniacy. To wystawiało człowieka na pośmiewisko. Można było osiągnąć to samo dojrzałszymi metodami.

Doskonale zatem odpowiadało im zajęcie miejsc - Astorre od strony ładu, Lionetto bliżej wody - wraz z grupkami zwolenników, podczas gdy przestrzeń pomiędzy nimi oczyszczono z worków i pudeł, znaleziono dwa ułamane wiosła i wyrównano ich długość, by służyły jako dragi do walki w stylu pikardyjskim.

Nie były to zmagania warte czynienia zakładów, lecz wystarczające dla urozmaicenia popołudnia mężczyznom, którzy w obozie przywykli do tego. Lionetto nie był szczególnie zaciekawiony losem Szkota, zanedo - jego zdaniem - dbającego o wygląd, zwłaszcza kiedy ów rozebrał się do pończoch, serdaka i cienkiej, wymyślnej koszuli, a Lionetto uświadomił sobie, że Szymon jest wytworniejszy niż on sam.

Niewątpliwie jednak on, Lionetto miał lepszego zawodnika niż ta świnia Astorre ze swoim farbierskim rzemieślnikiem, któremu palce wystawały z onucy. Ten człowiek składał się wyłącznie z oczu. Przypominał sowę na drzewie, pod którym stoi pięciu łuczników.

Ktoś wrzasnął: „Nuże” - i zaczęli bez szczególnych ceremonii. Broń miała sześć stóp długości i była ciężka. Szkot uśmiechał się z rozbawieniem.

Nie bez przyczyny. Nie mając przewagi, gdy mowa o wzroście i zasięgu ramion, znacznie szczuplejszy Szymon był człowiekiem wyćwiczonym w sztuce walki - a tego brakowało rzemieślnikowi. Podobnie jak niedawno temu w wodzie: jeden był koniem czystej krwi, drugi perszeronem. Claes rozkładał potężne ramiona, lecz zanim jego drag zatoczył łuk, przeciwnik wymierzał cios w udo lub okładał twardym drewnem barki i łokcie.

Był to pierwszy cel Szymona: części ciała dzierżące drag i kierujące nim. A także stwardniałe, niebieskie dłonie, w których tkwiła broń.

Doskonale odżywiony, świetnie wyćwiczony arystokrata Szymon był sprawny jak lew. Mięśnie jego grzbietu i ramion falowały pod delikatnym płótnem koszuli. Luźno podwinięte rękawy odsłaniały mocne przedramiona człowieka oswojonego z mieczem, a uda i łydki okryte prążkowanymi pończochami były mocno zarysowane, umięśnione i proste. Skórzane podeszwy jego pończoch ułatwiały stąpanie po nierównych kamykach, gdy uskakiwał w bok, uchylał się i unosił trzymany oburącz drag, opuszczając go celnie i z trzaskiem na broń przeciwnika; nie na tyle mocno jednak, by wytrącić go z wielkich dłoni tamtego.

Nie spieszył się wcale. Dla Juliusza, który trzymał kiedyś miecz, było bolesną oczywistością, że każdy cios czeladnika jest z góry przewidziany.

Odprężony, uśmiechnięty, przymawiający nawet kąśliwie podczas zataczania kręgów, ów Szymon obserwował młodzieńca wprawnym okiem, śledząc najdrobniejsze zmiany w oddechu Claesa, jego kroki, ramiona, błysk spojrzenia.

Następnie Claes wykonywał pchnięcie lub zamach, a pałka Szymona z trzaskiem parowała cios, po czym uderzała tam, gdzie Szymon wymierzył. W któryś ze stawów. W kostki rąk. Raz - z całą mocą w pierś, tak że przeciwnikowi natychmiast zaparło dech. Raz znowu w bok głowy, tak że Claes zatoczył się w tył marszcząc brwi i tylko dzięki ogłuszonemu instynktowi zdołał uchylić się przed ponownym szybkim ciosem, który powinien był go powalić.

Miał twardą głowę. Należało mu to przyznać. Kiedy się wyprostował, był już w pełni przytomny i tym razem dało się zauważyć, że czegoś się nauczył. Zamiast uczniowskiego beładnego wymachiwania i kręcenia się w kółko, on także usiłował obserwować przeciwnika i odgadywać jego ruchy.

Niekiedy mu się to udawało. Dwukrotnie Szymon popełnił nieostrożność i poczuł uderzenie ciężkiego drąga Claesa: raz w ramię i raz w nadgarstek, który to cios sprawił, że arystokrata wciągnął szybko powietrze i wycofał się poza zasięg Claesa, póki nie powróciła mu siła w ręce.

Człowiek doświadczony nie dałby mu na to czasu, lecz Claes nie posiadał ani umiejętności, ani energii. Stał i otrząsał się, dokonując przeglądu swych mięśni tak jak generał dokonuje przeglądu wojsk, pomyślał Juliusz, i przywołuje je do porządku. Przez cały czas jednak jego oczy mierzyły postać Szymona i gdy Szymon skoczył ku niemu, Claes po raz pierwszy uprzedził go, a ich drągi zderzyły się, opadły i rozłączyły.

Potem jednak Szymon był ostrożny i czegokolwiek nauczył się Claes, nie wystarczało to, by osłonić go przed uderzeniami, wciąż na nowo dosięgającymi go w wirze potyczki. A Szymon nadal nie był zmęczony. Na jego twarzy widniał uśmiech, a spomiędzy zaciśniętych zębów od czasu do czasu padało drwiące słowo.

Claes natomiast milczał. Żywiołowy, rozmowny towarzysz, błazen, który potrafił naśladować każdego, powłóczył teraz nogami zamiast tańczyć i potykał się odskakując w bok. Kostki jednej dłoni zaczęły ciemnieć i puchnąć od uderzenia, a na poplamionej niebieską farbą skórze ramion trudno byłoby znaleźć nietknięte miejsce; podobnie zresztą jak na udach nad podartymi pończochami i półbosych stopach, pokłutych przez kamyki. Gdy tak wpatrywali się w siebie, Szymon nachylił się z pogardą, wykonał fintę i ułamanym końcem drąga przejechał po piersi Claesa, rozdzierając aż do pasa poplamioną koszulę młodzieńca i pozostawiając na skórze krwawą rysę.

Zachowanie półgłówka i talenty dziewczęcia. Przynosisz wstyd ojcu.

- Przerwij to - odezwał się Feliks. - Rozkazuję ci, Astorre. Przerwij walkę albo ja to zrobię.

Tłum nie chciał przerwania wałki. Lubili Claesa i nie przepadali za Szkotem, ale mężczyzna przypierający do muru innego mężczyznę zawsze miał swoją wartość; a to było lepsze niż zabawy karnawałowe, podczas których ksiązę ustawiał ślepców wokół placu targowego, by osaczyli dzikie świnię. „Zabij go!” - zawyła do Szymona jakaś kobieta.

- Słyszałeś, Astorre? - wtrącił Juliusz. - Wstań i uznaj swoją porażkę na miłość boską. Czy chcesz, żeby ten Szymon zabił Claesa?

Broda Astorre'a trwała w pozycji pełnej uporu.

- Gdyby kto inny nie złożył mu skóry, ja bym to zrobił - powiedział. - To w końcu silny chłopak. I chodzi tu o honor Charettych, czy nie tak? Chcielibyście, żeby mówiono o wdowie, że pracują dla niej sami tchórze? Po tym, co ten bydlak Lionetto przedtem o niej powiedział?

Feliks wzniósł pięść. Znalazłszy się przed krótką i straszną chwilę w obliczu równoległej bijatyki syna i najemnika swej chlebobawczyni, Juliusz rzucił się naprzód i przytrzymał wyrwijącego się Feliksa. Później obydwaj znieruchomieli obserwując wydarzenia zachodzące przed nimi na obrzeżu.

Z opuchniętą twarzą, ciężko dyszący i słaniający się na nogach Claes nie mógł już nawet udawać, że obserwuje wroga lub przewiduje, skąd padnie kolejny cios. Bronił się tylko, trzymając drag oburącz i osłaniając twarz i ciało.

To zaś, oczywiście, pozwalało Szymonowi robić, co chciał. Nie próbował zahaczyć o drag przeciwnika czy w inny sposób go rozbroić, co zakończyłoby walkę. Zamiast tego chwilami wymachiwał dragiem, a chwilami używał go jako tarami, metodycznie i niespiesznie niszcząc wroga.

Można by rzec, że Claes przestał myśleć. Istotnie, od samego początku korzystał ze swego mózgu, jak się wydawało Juliuszowi, mniej więcej w takim stopniu jak jeden z żołnierzy Astorre'a, ogłupiały od nadmiaru ciosów, które spadły na jego hełm.

Claes musiał jednak wpaść na pewien pomysł. Oczekał aż po szeregu ciosów Szymon przechylił drag do pozycji poziomej, jak u Claesa; i rozsunawszy ręce przygotowywał się do nowego ataku. Claes nieznacznie zasygnalizował, co zamierza zrobić. Jeden błysk oka - i Szymon z uśmiechem skoczył w tę stronę.

Już wówczas najwyraźniej nie mógł uwierzyć, że ów błysk był oszustwem. Claes znalazł się jednak z niewłaściwej strony, nie tylko dzierżąc nadal swój drag w położeniu poziomym, lecz prac naprzód z zaciętością wskazującą, że włożył w ten ruch całą siłę, jaka mu jeszcze pozostała.

Nie było czasu na unik. Claes natarł na Szymona, jego drag oparł się o drag przeciwnika, a siła uderzenia odrzuciła go w tył, początkowo o parę szybkich kroków, później, w miarę nacisku, coraz wolniej. Wciąż jednak do

tyłu, jedyną bowiem przewagę Claesa stanowił jego ciężar. I tym razem Szymon nie był już górą.

Widzowie wpatrywali się w nich bez tchu. Z jednej strony Astorre chrząknął, a Feliks i Juliusz trwali obok, wczepieni w siebie. Nad wodą stał Lionetto, otoczony pustą przestrzenią i klnącymi przyjaciółmi.

Ze stawiającym opór Szymonem mężczyźni rozstąpili się na boki. Dzieliło go kilkanaście kroków od brzegu wody. Astorre chrząknął z niezadowolaniem.

- Niech to piorun strzeli. Kto zwycięży, jeśli obaj głupcy wpadną do wody?

- Przynajmniej będzie z tym koniec - powiedział Juliusz przygryzając wargi. Niemożliwe, żeby Szkot, przy całej zapalczowości, jaka w nim jeszcze została, riie wyrwał się z uchwytu na długo, zanim zostanie zepchnięty nad samą wodę. A może pozwoli się tam zawlec i nagle skreći, przez co Claes siłą rozpędu runie w dół, kończąc tym samym walkę?

Gdyby tak miało być, myślał Juliusz, ktoś powinien podjąć szybkie działania. Ktoś będzie musiał wyłowić nieszczęsnego, pobitego idiotę, nim ten utonie z wyczerpania.

Niewykluczone, że drażliwy Szkot zamierzał zepchnąć Claesa. Może zamierzał igrać z nim, zyskując w ostatniej chwili i odciągając Claesa z powrotem, by sprawić mu jeszcze gorsze cięgi. Powstał pewien zamęt, jak gdyby Szymon zmienił położenie, lecz z większym trudem niż się spodziewał. Później, choć nikt tego nie wiedział na pewno, stojący najbliżej nadbrzeża przysięgali, że Claes odrzucił drąg, pochwycił przeciwnika za ramiona i wraz z nim stoczył się do wody.

Zanim zniknęli z nadbrzeża, obydwaj drągi upadły z łoskotem na kamienie. Sam Lionetto, który stał dość blisko, przyznał później niechętnie, że mijając go Szkot nie miał już drąga.

Wszyscy widzieli, co się wówczas stało. Claes i jego dręczyciel, zwarci w uścisku, stoczyli się z nadbrzeża w toń zatoki.

Pokrzykiwanie urosło do ryku, po czym ucichło. Na brzegu miejsce walczących zajął kurz wzbijający się z pustego, stratowanego placu boju. Na wodach zatoki rozszedł się krąg, a jego krawędzie uderzały z pluskiem o brzeg.

Później, wydając okrzyki, ludzie zaczęli tłoczyć się na brzegu. Juliusz zrzucił togę notariusza, zdarł pas z sakiewką, cisnął je w stronę Feliksa i w jedynyrrze swych najlepszych kubraczków bez wahania skoczył do wody.

Dość szybko dostrzegł złote włosy Szkota, płynącego spokojnie ku stopniom nabrzeża i najwyraźniej nie szukającego zadośćuczynienia. Claesa nie widział nigdzie; ani też pływak nie odwrócił się w odpowiedzi na pytające wołanie.

Woda wciąż kołysała się i falowała w miejscu, gdzie zanurkowali dwaj mężczyźni. Juliusz popłynął w tamtą stronę. Dopiero z bliska zauważył smużkę krwi, wirującą w wodzie jak czerwony barwnik w kadzi farbiarskiej.

Zaczerpnął tchu, zanurkował i natrafił na zimne, dryfujące bezwolnie ciało Claesa.

* * *

Ponieważ wydawało się, że chłopak nie żyje, co mogło być dość kłopotliwe, główny dowódca Duodo przemierzył dostojnie pokład swego okrętu, a za nim szli: Ateńczyk de' Acciajuoli i lekarz okrętowy. Kiedy dotarli na miejsce, cofnęli się przed nimi wszyscy prócz łysego mężczyzny, który klęcząc zajmował się z oznakami gniewu bezwładnym, półnagim ciałem czeladnika. Było groteskowo odbarwione.

- To niefortunny wypadek - przemówił łagodnie Messer Duodo.

Lionetto i Astorre popatrzyli po sobie i Lionetto wysunął się nieco naprzód.

- O, wypompowali z niego wodę - powiedziała. - Tacy jak on szybko zdrowieją. Głowę daję, że za tydzień lub dwa całkiem przyjdzie do siebie.

- Ach, więc chłopak żyje - rzekł dowódca. Łatwo się było omylić. Oczy młodzieńca były zamknięte i głęboko zapadnięte. Wydawało się także, że jest zakrwawiony. - Jaką to ranę opatrujecie? Może mój medyk mógłby pomóc?

Nie podnosząc głowy łysy mężczyzna odparł:

- Ja jestem medykiem. Wystarczy mi trochę maści i stosowne bandaże. To rana kłuta.

- Kłuta? - padło ostre pytanie ze strony Greka.

Nastąpiła chwila ciszy. Lekarz okrętowy postawił swą szkatułkę, przykleknął i otworzył ją. Drugi najemnik, ten, którego zwano Astorre, odezwał się:

- Szkot porwał nożyce, kiedy spadali i dźgnął go.

Pierwszy najemnik, Lionetto, oblał się purpurą.

- To chłopak miał nożyce. Słyszeliście, co powiedział lord ze Szkocji. Chłopak już raz go ukłuł.

- Nastąpił pewien zamęt, jak się wydaje - rzekł miękko dowódca. - Czy nikt nie widział, co się właściwie wydarzyło?

Odpowiedź, jak się spodziewał i w istocie liczył na to, była przecząca.

Szkocki lord, przemoczony i zmęczony walką, oddalił się wraz ze swymi sługami. Notariusz, który uratował chłopcu życie, widział tyle samo co inni. Wielmożny dowódca nie musiał się dłużej kłopotać się czczą dysputą. Dobry pan Oudenin z zakładu zastawnego zaofiarował chłopakowi swój dom do

czasu, aż będzie mógł powrócić do Brugii. Lekarz pokładowy, jeśli wielmożny dowódca pozwoli, użyje niezbędnych medykamentów. Łysy człowiek, nazwiskiem Tobiasz Beventini, także ofiarował pomoc. Pan Tobiasz był wykształconym medykiem, od roku już na usługach najemnego oddziału owego Lionetta.

Dowódca był nieco zdumiony, że ktoś z towarzyszy Lionetta troszczy się o pracownika wrogiego domu. Istotnie, Lionetto sprzeciwiał się temu, lecz doktor Tobiasz pracował dalej, nie zwracając uwagi na swego kapitana.

Dowódca, jak się wydawało, oczekiwał właśnie kupca, z którym miał omówić cenę kandyjskiego wina. Wymamrotał kilka stosownych uwag, dał wolną rękę swemu medykowi - ospałemu człowiekowi, spalonemu lewantyńskim słońcem - zważemu się Quilico, który wrócił na pokład, zostawiając na miejscu Greka, zaciekawionego całą sprawą.

- Rana - powiedział Grek. - Czy jest poważna?

- Tak - odparł łysy mężczyzna. - Potrzeba mu ciepła i opieki. Kiedy stwierdzimy, jak się rzeczy mają, będzie go można przewieźć kanałem do Brugii. - Uniósł głowę, a jego pijackie oczy zwięziły się nieco. Miał drobne usta, ruchliwe jak pysk ryby, bladą cerę i jasne kłaczki wokół łysiny na głowie. Dodał: - A jeśli macie zamiar o to zapytać, panie, nie widziałem, co się wydarzyło.

- Bardziej się troszczę - rzekł Grek - o zdrowie tego młodego człowieka. Być może potrzebuje on stałej opieki medycznej.

- Będzie ją miał - odparł krótko łysy mężczyzna. - Nie mam nic innego do roboty. Messer Quilico będzie w pobliżu. Właściciel lombardu pomoże nam, a ja posiedzę w nocy przy chłopcu. Może uda się go przewieźć już jutro.

Tłum wokół nich rzedł. Lionetto zwlekał przez chwilę, po czym odwrócił się raptownie i odszedł z przyjaciółmi, lecz bez człowieka, którego nazywał Tobie. W pobliżu stało paru marynarzy z galery, a najbliżej, oczywiście, mały Charetty i faktor Juliusz, w narzuconej na przemoknięty kubrak czarnej todze.

Najemnik Astorre, który wywołał całe to zamieszanie, powiedział:

- Otóż, panie, jeśli taka wasza wola, mogę wam rzec, że wdowa... że pani de Charetty, jego chlebodawczyni, nie zechce ogołacać waszych kieszeni. Przyślijcie jej rachunki. Albo Meester Juliuszowi. No, na nas już czas. Jonkheere Feliksie? Meester Juliuszu?

- Ide - odparł krótko notariusz. - My zostajemy.

Nicholai de' Acciajuoli spojrział na niego.

- Wybaczcie, ale tak sobie myślę, że pani de Charetty poczuje się pewniej słysząc o wszystkim od was albo od syna, a nie od... kogoś obcego. Niewątpliwie medyk będzie wdzięczny za pomoc w zabranii chłopca do

domu właściciela lombardu, o którym była mowa. Jestem pewien, że Messer Quilico i Messer Tobiasz powiadomią was o wszelkich zmianach jego stanu zdrowia. Ja sam zaś pozostaję tu na zamku i dopilnuję tego.

Bezwzględny sukinsyn, stwierdził doktor Tobie, kiedy miał czas pomyśleć o czymś prócz tego, jak przenieść krwawiące ciało pacjenta z nadbrzeża do domu właściciela zakładu zastawnego.

Oudenin, który wydawał się chętny do pomocy, przeznaczył dla niego wygodny siennik w pomieszczeniu pełnym - o ile Tobie mógł dostrzec - sprzętów kuchennych i ubiorów marynarskich. Następnie, po raczej bezprzedmiotowej konsultacji z Quilico, pozostawiono go sam na sam z chłopcem i środkami medycznymi, których dostarczył lekarz z galery.

Czeladnik wciąż był nieprzytomny. Powiadano, że stwarzał piekło wokół siebie, lecz daleko mu było do igraszek ze szlachetnie urodzonymi, tworzącymi swoje własne, szczególne piekło. W porządku. Pracować tak, by zanim młodzieniec się nie obudzi, najgorsze było już za nim. Tego ranka ręce Tobiemu się nie trzęsły.

Do diabła z Lionettem. Patrząc w dół na obojętną, pokiereszowaną twarz Tobiasz Beventini z Grado wiedział bardzo dobrze, że robi to tylko po to, by odegrać się na kapitanie. Jeżeli nie będzie uważał, zbierze nagany jak dziecko. Od dnia powodzi w tawernie Lionetto nigdy już nie obraził go publicznie i nie robi tego, póki doktor jest trzeźwy. Ani też doktor nie pozwala na to, kiedy jest trzeźwy. Lionetto potrzebował dobrego lekarza polowego, a ten był najlepszy na studiach w Pavii. I to on wybrał pracę z najemnymi żołnierzami. Nadal ją wybierał. Dywany delfina i stopy papieża były dla pochlebców, takich jak jego stryj.

Tobiasz wołał doskonalić swe umiejętności na prostych ludziach, takich jak ten. Żółte bąbelki. Pamiętał, jak śmiał się z nich pod Żurawiem, opatrując rozbite nosy dźwigowych. Na Boga, ależ był wtedy pijany. Niewątpliwie jednak ten chłopak sprawiał zwierzchnikom wiele kłopotu i nic dziwnego, że od czasu do czasu wyrównywali rachunki.

Ale nie w ten sposób. Nie tak, jak uczynił to Szkot.

Znacznie później, w nocy, młodzieniec - chyba o imieniu Claes? - poruszył się i otworzył oczy, a medyk uniósł naczynie z przygotowanym dlań bulionem. Przez chwilę - co było naturalne - czeladnik wydawał nie pojmować, gdzie jest i co się stało; nie odpowiadał także na niezbędne pytania Tobiego o jego samopoczucie. Później nieoczekiwanie zebrał myśli i zaczął odpowiadać dość roztropnie, cichym głosem. Za to medyk nie pytany powiedział mu, gdzie się znajduje i co się stało z jego towarzyszami. Nie wspomniał o Szymonie ani nie pytał, skąd się wzięła jego rana.

Kiedy Tobie napomknął o właścicielu lombardu, ze zdziwieniem

dostrzegł jak gdyby błysk ożywienia w posiniaczonej twarzy. Spojrzawszy ponownie, zobaczył jedynie, jak przedtem - skutki wstrząsu, ból i prostą, chłopską wytrzymałość. Wreszcie pacjent zjadł coś i usnął. Tobie zastanawiał się, czy młodzieniec dowie się kiedyś, jakie miał szczęście; jak niewiele zabrakło, by ostrze dosięgło serca. Rzecz jasna, wyzdrowienie nie było jeszcze pewne. Mogła wdać się gorączka. Podróż do Brugii będzie męcząca. Lionetto także zdolny był wyszukać dla swego medyka jakiegoś zadanie nie pozostawiające czasu na zajmowanie się chorobą przeciwnika. Tak. Będzie musiał postanowić, co zrobić z Lionettem.

Teraz, kiedy pacjent odpoczywał, Tobie wymknął się cicho i dołączył do gospodarza i jego córki przy stole, jako że został wcześniej zaproszony. Córka nie przestawała rozprawiać o chłopcu imieniem Feliks i doktor zastanawiał się, czy ma tu miejsce jakiś romans - lecz był zbyt znużony, by to roztrząsać.

Zostawił światło przy łożu młodzieńca i lekko uchylone drzwi, tak by mógł wejść bezszelestnie. Wracając zauważył więc, samemu nie będąc widzianym, że pacjent przebudził się i zmienił pozycję na poduszce, tak że światło padało nań od tyłu. Była to szczególnie jasna i równa woskowa świeca. Płomień odbijał się od mosiężnych naczyń i miedzianych kociołków Oudenina, a one kierowały złagodniałe światło ku bezradnej twarzy.

Tobie wpatrzył się w tę twarz. Szerokie, niskie czoło, pozbawione barwy kości policzkowe i wydęte, lekkomyślnie usta. Pociemniałe oczodoły, wielkie jak podstawki pod świece, i ściągnięte supełki nozdrzy. Włosy, które po wyschnięciu przypominały zgręplowaną wełnę. Wtulona w poduszkę twarz błazna, na której coś błysnęło, zamarło i ponownie błysnęło.

Tobie stał wpatrzony, póki nie uzyskał pewności. Później wycofał się ostrożnie. Chłopak nie potrzebował głosu lekarza. Głos, który był mu potrzebny, nie istniał. Tobie nie mógł nic zrobić. W każdym razie ten nieszczęsny głupiec nie chciał pomocy., Inaczej temu, co się działo, nie towarzyszyłyby tak bolesna i absolutna cisza.

ROZDZIAŁ 9

Wieść o niebezpiecznych sprawkach czeladnika Charetych i Szkota rozeszła się po mieście tej samej nocy i została krótko omówiona. Postanowiono zaczekać, aż natura spróbuje sama uporać się z kłopotami. Z drugiej strony, jak stwierdzono, Tobiasz Beventini z Grado był wyśmienitym medykiem.

Zważywszy, że niemal przez cały czas borykał się z własnymi kłopotami, Tobie dorównał ludzkim obawom - czy raczej oczekiwaniom. Poświęcał pacjentowi niezbędną ilość lekarskiej uwagi. Kiedy nadszedł czas powrotu do Brugii, wymyślił coś, co uczyniło chłopca niewrażliwym na trudy podróży oraz wszelkie próby przesłuchiwania. Bystremu medykowi Tobie-mu przyszło na myśl, że mogą go oczekiwać kłopoty, w zależności od tego, kto będzie podejrzany o próbę zabójstwa. Tobie-mu zdarzyło się już łątać człowieka, którego później ujrzał na szubienicy. Ale to nie była jego sprawa.

Po przybyciu do Brugii zostawił chłopca w domu jego chlebodawczyni, dopilnował, by go położono i odszedł, nie tając zamiaru upicia się (wreszcie). Zyskał sobie, co zauważył, pogardę dziedzica Charetych, Feliksa. Niech mu będzie. Gdyby ktoś potrzebował pomocy, jest to Ouilico. Po zbadaniu zawartości skrzynki Quilica Tobie zastanawiał się, co właściwie Quilico leczył podczas tych wszystkich lat w koloniach. Obiecał sobie dłuższą pogawędkę z lewantyńskim medykiem.

Prawidłowo zrozumiał spojrzenia Feliksa. Co zaskakujące, właśnie Feliksa rozwścieczyła cała ta sprawa. Jego zapalczywa interwencja na brzegu była, rzecz jasna, skutkiem urażonej godności i potrzebą obrony matki, jej przedsiębiorstwa oraz Claesa, należącego do tego przedsiębiorstwa. Same w sobie, uczucia te były dla niego nowe. Czy któregośkolwiek z nich odnosiło się do Claesa jako osoby, tego Feliks nie roztrząsał i byłby oburzony, gdyby go o to zapytano.

Feliks przespał ów ważny poranek. W innym wypadku wyruszyłby skoro świt wraz z matką i Juliuszem, by odebrać Claesa w Sluis. Kiedy powrócili, pętał się wszystkim pod nogami, patrząc na przedziwnie nieruchomą postać spowitą w derki, którą wyciągnięto z barki na skraju dziedzica i zawieszono na taczkach do skrzydła mieszkalnego pani, nie zaś do wspólnej sypialni,

z pewnością hałaśliwej. Kiedy jego siostra Tilda wybuchnęła płaczem, Feliks odniósł się do niej grubiańsko.

Feliksa złościło, że Claes nie był gotów ani nie mógł z nim mówić; a kiedy Claes dostał gorączki i leżał bez czucia, lekarze dawali pouczenia Juliuszowi - i to Juliusz albo matka przesiadywali przy Claesie i pielęgowali go, gdy mieli czas.

Przez trzy dni zatraskiwano Feliksowi drzwi przed nosem. To było niesprawiedliwe. Chciał się dowiedzieć od Claesa paru rzeczy. Czwartego dnia, kiedy ponowił skargi, matka przerwała mu niezwykle cierpkim tonem. Powiadomiła go, że jeżeli chce wydłubać Claesowi mózg przez dziurkę w piersi, może spróbować.

Feliks był głęboko poruszony. Nie zwlekając popędził do komnaty chorego, odepchnął zarumienioną dziewczkę, ociągającą się w drzwiach z tacą - i usiadł na zydłu obok pościania Claesa.

- No? Kto to zrobił? - zapytał, pochylając się nieco. - Powinieneś zobaczyć swoją twarz! - dodał - Przyniosę zwierciadło. Pamiętasz tę popsutą kadź, z której wyszło coś szarego z żółtymi smugami?

Mimo wszystko Claes był sobą, bo jego dołki pojawiły się i znikły. Głosem niemal takim jak zwykle powiedział:

- Szkoda, że nie widziałeś mnie wczoraj. Co z Astorem?

- Oświadczył się matce - odparł Feliks. - W porządku. Nic nie poradzę na to, że cię boli, kiedy się śmiejesz. Powiedział, że Lionetto splamił jej cześć, a on winien to naprawić.

- Przyjęła go? - spytał Claes.

- Powiedziała, że da mu odpowiedź wtedy, co Oudeninowi - odrzekł Feliks. - Nie masz pojęcia, jak Oudeninowi zależy na małżeństwie z nią. Wiesz co zrobił? Kupił tego czarnego chłopca i podarował go matce. Matce!... Słuchaj, ja nic na to nie poradzę. Sam pytałeś - zniecierpliwił się Feliks. - Czy przywołać kogoś?

Zaintrygowany patrzył na twarz Claesa, która zżółkła i znowu zbielała. Później pomógł Claesowi zwymiotować; co potrafił każdy, kto choć raz był w tawernie; i opuszczając jego głowę z powrotem na poduszki rzekł ponuro:

- Nie za bardzo potrafisz rozmawiać, kiedy ty nic, tylko rzygasz.

Claes, leżąc z zamkniętymi oczyma, wyszczerzył zęby.

- Powiedz mi coś smutnego - odezwał się.

- Dzisiaj był tu Anzelm Adorne - Feliks nie potrafił wymyślić wiadomości nudniejszej niż ta. - O, i Mabelia przyszła dwa razy, więc każdy już wie, że nadal się z nią widujesz. I Lorenzo. I Jan. I Colard, mówił coś o barwnikach. Jeżeli obiecywałeś laskę tym malarzom, matka oberwie ci uszy.

- Niech obrywa - rzekł sennie Claes. - Nie będę musiał wysłuchiwać twoich popisów.

- A ja tu przyszedłem, żeby się z tobą zobaczyć - powiedział Feliks, wstając gniewnie. Nagle zdał sobie sprawę, że odbiegł od zasadniczego celu swych odwiedzin. - W końcu nie powiedziałaś. Ten sukinsyn Szymon. Czy on to zrobił?

Usta Claesa, już naturalnych rozmiarów, wydały błogie sapnięcie. Feliks, nawykły i do tego, prostym sposobem skłonił swój cień do otwarcia oczu: mianowicie pochwycił w garść kępkę jego włosów i mocno szarpnął.

- To Szymon? - spytał.

- Poncusz Piłat - odparł dość szorstko Claes i nie pozwolił się już obudzić.

W normalnych warunkach Feliks byłby nalegał, lecz tym razem odkrył ze zdumieniem, że Juliusz właśnie jemu przypisuje całą winę za jakieś wymyślane pogorszenie stanu zdrowia Claesa, w związku z czym bronił mu wstępu do komnaty przez cały dzień. W końcu nawet Tilda i Katarzyna weszły tam przed starszym bratem.

Jak ktoś słusznie zauważył, Claes należał do tych, którzy szybko zdrowieją; i był silny. Opiekowało się nim również, rzecz osobliwa, aż dwóch lekarzy. Kiedy nie było Quilica, częstokroć wkraczał Tobie, przeważnie trzeźwy. Pewnego razu przybyli obydwaj o tej samej porze, razem wyszli, po czym się upili. Następnego dnia Tobie usiadł na parapecie w pokoju Claesa i zapytał:

- Skąd to zainteresowanie roślinami?

Claes, opatulony i podparty poduszkami, przypominał gipsowy odlew Rzymianina o oczach jak spodki. Odzyskał już częściowo siłę w płucach i właśnie zakończył bardzo wierne naśladowanie przemowy Quilica z jego ostatnich odwiedzin, przeplatanej licznymi greckimi przekleństwami. Tobie miał świadomość, że Claes zapamiętuje także jego wymowę i gesty. Niekiedy w rozmowie z Claesem trudno było trzymać się swego zwykłego sposobu mówienia.

- Usiłowałem przyciągnąć jego uwagę - powiedział Claes. - Nie chciałem, żeby robił mi lewatywę. Medycy i farbiarze zawsze potrafią rozmawiać o roślinach. Ja mógłbym, na przykład, potrzebować farby do włosów, a wy napoju miłosnego. Albo na odwrót.

Rozmowa z Claesem przypominała wędrówkę po lotnych piaskach. Tobie rzekł:

- Jak słyszę, mówiliście o ałunie. Całkiem naturalne. Medycy stosują go do tamowania krwi, a farbiarze do utrwalania barw. Wiesz co? Zasięgnąłem języka. Zanim przejęli to Turcy, do samej Florencji wpływało co roku trzysta tysięcy funtów ałunu. Dla Arte delia Lana. Tkaczy.

- Coś podobnego, panie Tobiaszu! - powiedział Claes. Potrząsnął głową jakby ze zdumieniem. Wydawał się rozradowany.

- No więc? - ciągnął Tobiasz. - Na przykład ostrokrzew. Zapisałem sobie pozostałe. Pewien jestem, że ty także. Wszystkie rośliny porastające fokajskie kopalnie ałunu.

Claes nadal był rozradowany.

- Ale to daleko stąd, panie Tobiaszu - odparł. - Na wschód od Morza Śródziemnego. Za Chios. Niedaleko Smyrny. I przejęli je Turcy. Nie zdobędziemy tam farby do włosów. Ani napoju miłosnego.

Tobiasz Beventini był człowiekiem niecierpliwym, potrafił jednak ignorować prowokacje, jeżeli musiał.

- Czy powiedział ci, gdzie jeszcze rosną te rośliny? - zapytał.

Czekał, usiłując zachować spokój. Kilkakrotnie Ouilico zbliżał się do sedna. Później wychylał kolejny kielich. W końcu zsunął się pod ławę.

- Tak - odparł czeladnik Charetych. Jego oczy błyszczały nieco za mocno, lecz uśmiechał się nadal. - Ale wy nie potrzebujecie farby do włosów. Tak czy inaczej, zapomniałem, jak się nazywa to miejsce, a pana Quilico nie ma już w Brugii. Nie wiem, czy wam o tym powiedziano? Tak mocno się upił, że rozdrażniony dowódca wysłał go karawelą do Dzerby.

- Czy wiesz, co czynisz? - zapytał Tobie.

Wiedział, że powinien milczeć. Był lekarzem. Chłopak także był na tyle rozsądny, że nie ryzykował rozluźnienia narzuconej sobie dyscypliny.

- Cóż - zaczął Claes - powinniście wiedzieć, że ludzie mającą podczas choroby. Możecie mnie zapytać raz jeszcze, gdy ozdrowieję, i sprawdzić, czy powiem to samo.

- Nie trap się - odparł Tobiasz. - Nic takiego nie powiedziałaś. Wszystko dobrze. Leż. Nie wiem, czemu z tobą rozmawiam.

- Czyżby? - zapytał Claes. Oczy miał zamknięte, lecz jego twarz wyglądała dość pogodnie. Nawet filuternie.

Tobiasz nie powrócił do tej sprawy, nie było potrzeby. W każdym razie nie mógł się zdecydować, jak ma postąpić.

Po tygodniu Claes wstał z łoża, a pb dwóch mógł już siadać na dole, ubrany, ze stertą książek i papierów na kolanach, podczas gdy Juliusz kończył żmudną papierkową robotę, związaną z nabytkami wdowy. W trakcie jednego z takich posiedzeń wpadł do pokoju spurpurowiały ze złości Feliks, krzycząc:

- *Co to ma znaczyć?*

Juliusz odłożył pióro. Claes uniósł głowę.

- Nie teraz, Feliksie - powiedział Juliusz.

- Nie powiedzieliście mi - ciągnął Feliks. - Dopiero się dowiedziałem. Nie powiedzieliście mi. - Otwarte spojrzenie jego płytko osadzonych oczu przeskakiwało z Claesa na notariusza i z powrotem. - Jeśli pojedziecie, jadę

z wami - oznajmił, co dla kogoś, kto go nie znał, brzmiałoby jak ślepe potwierdzenie lojalności i wiernej przyjaźni; a w rzeczywistości, o czym Juliusz dobrze wiedział, było przede wszystkim przejawem urażonej ambicji.

- Twoja matka chciała najpierw rozmówić się z Claesem - powiedział Juliusz. - Idź na górę, Feliksie. Matka porozmawia z tobą później o wszystkim.

Claes, który nie należał do ludzi wiedzących cokolwiek o takcie, przeniósł pytające spojrzenie z Juliusza na syna chlebobawczyni, zamiast cicho wykonywać swoje obowiązki. Juliusz otworzył usta.

- Wysyłają was stąd - powiedział tępo Feliks. - Do...

- *Feliksie!* - rzekł preceptor ze stanowczością, której Feliks podporządkowywał się niekiedy. Następnie Juliusz wstał i powstrzymawszy gestem czeladnika, siłą wyprowadził z pokoju syna chlebobawczyni, zamykając drzwi. Kiedy po dziesięciu minutach otworzył je ponownie, towarzyszył już samej pani, którą posadził za stołem we własnym krześle z wysokim oparciem.

Claes wstał z zydlu i czekał, utkwivszy roziskrzzone oczy w siedzącej Marian de Charetty. Juliusz wyszedł. Claes usiadł, posłuszny gestowi pani. Przez chwilę panowało milczenie, ona zaś przyglądała się uważnie czeladnikowi. Później przemówiła:

- I cóż, Claikine?

Znał to miano: nazywano go tak, gdy jako przemęczony i brudny dzieciak zjawił się u Charettach. Wzięła go ze względu na swą siostrę. Siostrę nie mającą nic wspólnego z niechcianym dzieckiem rodziny, do której weszła poprzez małżeństwo. Rodziny de Fleury z Dijon i Genewy.

Przesiadując przy jego łożu w ciągu minionych tygodni wypowiadała niekiedy owo chłopięce imię: aby przyciągnąć jego rozproszoną uwagę lub odwrócić myśli od niezbyt kojących tematów. Przez ostatnie dwa tygodnie pozostawiła jednak innym sprawowanie opieki nad nim.

Uśmiechnął się i powiedział:

- Nie dotarły do mnie żadne wieści, moja pani. Naturalnie, że nie. Jestem tylko wdzięczny, żeście mnie zatrzymali i byli tak dobrzy dla mnie przez te ostatnie tygodnie, kiedy nie mogłem wam służyć.

Zastanawiała się, co pamiętał z pierwszych dni maligny; z nocnych alarmów, kiedy przestraszona służka przybiegała po nią, a ona, Marian de Charetty, nie była ubrana w zwykły, codzienny strój - grubą, fałdzistą suknię o wąskich rękawach i ciasnym kołnierzu oraz aksamitny czepek ze ściągniętymi, sztywnymi wstążkami i wdowim daszkiem, zakrywający całe jej włosy. Było to w istocie błogosławieństwo. Kiedy zacznie siwieć, nikt się

0 tym nie dowie. Kiedy utyje w pasie, można to będzie zamaskować zebranymi nieco wyżej fałdami trenu.

Czy to właściwie miało jakiegokolwiek znaczenie? Ani Astorre, ani Oudenin, ani kilkunastu innych, którzy oświadczyli się o jej rękę, nie wiedziało, jaka naprawdę jest - podobnie zresztą jak Cornelis w ostatnich latach choroby. Była wdową de Charety, o dość ostrym języku i nieco surowym obejściu, właścicielką prężnego, średniego przedsiębiorstwa z widokami dalszego rozwoju.

Z rozdrażnieniem zwróciła się do tego młokosa, którego znała od dziecka - od czasu, gdy była jeszcze pogodną małżonką pełnego życia, radosnego Cornelisa:

- Domyślasz się, że masz zostać odesłany i nie składasz skargi, nie zadajesz niecierpliwych pytań. Czy nie chcesz nawet wiedzieć, dokąd?

- To moja wielka wada - odparł Claes. - Łatwo mnie zadowolilo.
- Uśmiechnął się jeszcze szerzej i dodał: - Nie chcę was rozgniewać. Ale jestem pewien, że musi to być miejsce wyjątkowo nęcące, jeżeli Feliks pragnie jechać ze mną.

- Stanałeś między nim a Lionettem - powiedziała wdowa. - Takie doszły mnie słuchy.

Nie odpowiedział, ale utkwiał w niej niewzruszone, niezmiennie życzliwe spojrzenie. Nie chciał jej oszukiwać, gdy chodziło o Feliksa; i ona nie mogła oszukiwać siebie. Usłyszała własny głos.

- O twoje położenie się troszczę, nie Feliksa. Broniłś Feliksa i stąd wynikły kłopoty. Wydalenie w takiej chwili musi wydawać się szczytem niewdzięczności.

Raz jeszcze jej przerwał, ucinając wszystko, co zamierzała powiedzieć.

- Oczywiście, że nie - rzekł. - Narozrabiałem na długo przedtem. Sam wystawiłem się na sprzedaż.

Wychowywał się wśród ludzi francuskojęzycznych i jego flamandzki nadal zachował lekki akcent francuski; Jego własny głos, kiedy nie grał żadnej roli i nikogo nie naśladował, był łagodny, zrównoważony i trzeźwy nawet przy wypowiedaniu uwagi nasuwającej wnioski tak złożone, że Marian zaniemówiła. Przy cechowym stole, podczas jakichś delikatnych, trójstronnych negocjacji w biurze Hanzy, myślała niekiedy o Claesie 1 nadchodzącej, coraz większej liczbie chwil takich jak ta.

- Zatem może potrafisz odgadnąć, kto już przychodził do mnie z prośbą o twoje służby - powiedziała.

Uśmiech, jakim została obdarzona teraz, nie przypominał żadnego z widzianych dotychczas przy cechowym stole.

- Potrafię - odparł. - Ale nie sądzę, byście oczekiwali ode mnie, że powiem.

Przełożyła leżące przed nią papiery.

- Prośbę skierował do mnie Ser Alvisse Duodo, Wenecjanin - oznajmiła wdowa. - Gdybym zapragnęła cię zwolnić, zatrudni cię na flamandzkiej galerze aż do wiosny, a później, w drodze powrotnej, przejdiesz ćwiczenia, dzięki którym zdobędziesz w Wenecji płatną pracę. On pomówi z tobą o tym.

- A druga prośba? - spytał z powagą Claes.

- Druga pochodzi od delfina. Delfina Ludwika z Francji, który zatrzymał się u Meester Bladelina. Pamięta dokładnie, jak się wydaje, spotkanie z tobą i Feliksem podczas odwiedzin w Leuven. Feliks wdał się z nim w rozmowę o polowaniu. Ofiaruje ci posadę forysia w połączeniu z... jak się wyraził, zaradnym chłopcem na posyłki. Stwierdził, że posada ta miałaby charakter zbyt służebny dla mego syna.

- Ale Feliks chce tego - powiedział Claes.

Tym razem postanowiła nie odpowiadać i obserwować go; czekać aż wykona swój ruch w tej subtelnej rozgrywce... czwartej, piątej, może szóstej z rozmów, które prowadziła z nim odkąd spostrzegła, że niespodziewanie wyrósł z wieku dziecięcego. Sześć podobnych rozmów w rozsądnych odstępach czasu.

Mabelia przyszła dwa razy, nie mogąc obyć się bez... rozmów.

- Albo nie - ciągnął Claes. - Feliks pragnie zostać łowczym delfina, ale nie wie jeszcze o trzeciej ofercie. Poddaję się. Nie wiem od kogo pochodzi.

- Ode mnie - rzekła spokojnie Marian de Charetty. - Proponuję, abyś przyłączył się do kapitana Astorre i jego najemników w podróży do Italii; a jeśli on uzna, że się nadajesz, pozostaniesz przy nim, gdy będzie wypełniał zadania wynikające z umowy ze mną. Kiedy kontrakt dobiegnie końca, możesz zostać z nim lub powrócić tutaj.

Zmienił się na twarzy. Ta mimowolna reakcja była ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwała; sama czuła się poruszona. Mimo to nie mogła stwierdzić, czy był zadowolony czy przerażony. Aby dać mu trochę czasu, powiedziała:

- Ty i Juliusz zawsze utrzymywaliście, że oddział najemników powinien być najkorzystniejszą stroną przedsiębiorstwa. Astorre dał mi wystarczające powody, by tak myśleć. Książę Mediolanu i papież werbują najemników na wojnę z Neapolem: my mamy na dodatkowym żołdzie doświadczony ręce, które wystarczy tylko wezwać. Kapitan Astorre może wyruszyć drogą lądową do Mediolanu z najlepszymi spośród nich jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Jeżeli Astorre podpisze kontrakt, pošle po większą liczbę ludzi przed wiosną.

- Ale flamandzkie galery wywozłyby mnie poza zasięg wielmożnego Szymona równie skutecznie - powiedział.

Chciał ją wypróbować. Ona jednak myślała o tej sprawie przez wiele nocy.

- Czy przypuszczasz, że to Szymon wypędza cię z miasta? Nic podobnego. Twierdzisz, że nożyce wpadły do wody i zaplątały się między wami. Wielmożny Szymon, jak się wydaje, nie zamierza nic mówić ponad to, że żałuje, iż uchybił swemu stanowi, pozwalając, by poniósł go temperament i wyzywając sługę. Szukanie ciebie i napadanie wystawiłoby go teraz na pośmiewisko.

- A nie sądzicie, *bym ja* mógł napaść *jego*? - spytał Claes.

- Sądzę, że cię znam - odparła. - Dlatego prosiłam Astorre'a, by cię zabrał. Musisz nauczyć się pewnych rzeczy.

- Na przykład, jak walczyć - powiedział. Ton jego głosu nie był żartobliwy ani gorzki, lecz bezbarwny, jak gdyby Claes przebywał myślami gdzie indziej. - Pani moja, jestem zadowolony, tak jak powiedziałem. Jeśli mnie znacie, wiecie i o tym.

- Lecz wystawiłeś się na sprzedaż - odparła z lekkim smutkiem. A gdy nie odpowiedział, dodała - I musisz wiedzieć, że ta sprawa dotyczy także miasta. Rada nie nałoży żadnych kar za to, co się stało i nie każe mi ciebie odesłać. Roztropnie będzie jednak opuścić Brugię na pewien czas.

Umilkła, a Claes powiedział:

- Genewa leży na drodze do Mediolanu. Czy kapitan Astorre tam zajrzy? Czy właśnie to macie na myśli, mówiąc o mojej nauce?

Kiedy Claes pragnął dowiedzieć się czegoś, nie sposób było uniknąć jego przepastnego spojrzenia. Nie wydawał się strapiony, choć twarz jego była bardziej pusta niż zazwyczaj i zabarwiona gdzieniegdzie kolorami tęczy, które przypominały Feliksowi - jak twierdził - witraże u Św. Salvatora.

Claes przybył do niej z kuchni Jaaka de Fleury z Genewy; był bękartem jego nieżyjącej już siostrzenicy. Michelle, siostra Marian, była drugą żoną Thibaulta de Fleury. Siostra nie żyła, Thibault był stary i nie w pełni władz umysłowych; i tylko Jaak de Fleury żył i rozkwitał. A wraz z nim jego koń, osioł, żona i świetna kompania handlowo-bankowa z siedzibą w Genewie.

Los nie był sprawiedliwy. Nie widziała Jaaka od wielu lat, od śmierci Cornelisa, a nawet na długo przedtem. Teraz z kompanią de Fleury łączyły ją jedynie więzy handlowe, podtrzymywane sztywno, ponieważ były korzystne dla obydwu domów; lecz pozbawione ciepła, osobistego zaangażowania, przyjacielskich kontaktów. Nie lubiła Jaaka de Fleury, a on nie lubił jej.

Jeśli zaś ona go nie lubiła, mogła sobie wyobrazić, co czuje Claes. Nigdy wprawdzie nie mówił o pobycie w Genewie. W każdym razie - nie świadomie.

A teraz ona go tam posyłała; cóż, że na krótko? Spojrzała wprost na niego i powiedziała:

- Tak, Astorre zatrzyma się w Genewie. Czego się obawiasz?

Patrzył na swoje pocerowane pończochy, wygładzając jedną z nich na kolanie palcem, z którego niemal starła się błękitna farba. W niewielkim gabinecie, przeznaczonym wyłącznie dla Juliusza, wydawał się wypełniać sobą całą przestrzeń, mimo że siedział zgięty na niskim zydłu. Nagle roześmiał się i odpowiedział jej:

- Będziecie zdziwieni, moja pani. Przypuszczam, że nieoczekiwanej śmieszności.

- Powinieneś zatem nauczyć się, jak dawać sobie z tym radę - rzekła wdowa. - Powiedziałam ci, że musisz się wiele dowiedzieć. Kapitan Astorre nie ma nic przeciwko uczeniu ciebie. Będziesz się uczył także od Juliusza. Doprawdy, mam nadzieję, że i Juliusz może się nauczyć od ciebie paru rzeczy. Kiedy cię nie ma, sumy wydawane przez niego na uniwersyteckie wyposażenie Feliksa często przekraczają granice rozsądku.

Jego palec znieruchomiał na kolanie, a on sam spojrzał na nią.

Odpowiedziała na nieme pytanie ze spokojem, którego nie musiała udawać:

- Tak. Juliusz także chce jechać do Italii. A gdy o tym mowa... mam nadzieję, że podziękowałeś mu za to, co zaszło w Sluis.

- Oczywiście - odparł Claes. - Dlatego on chce jechać z Astorrem? Co wy zrobicie? Kto wam pomoże w interesach?

Jej niepokój rozpułynał się na chwilę w rozbawieniu. Odparła:

- Dlaczego nie miałyby jechać? Juliusz jest ambitny. Dobrze prowadzony oddział potrzebuje notariusza, płatnika, skarbnika. Juliusz da sobie z tym radę i zdobędzie władzę, o której marzy. A co do interesów, nie wierzę, że Juliusz naprawdę myśli, że lichwiarz Oudenin zastąpi go przed końcem umowy. Ale Juliusz nie wie, że nie zostanie moim wspólnikiem: ani teraz ani w przyszłości. Potrzebuję kogoś sprytniejszego.

Cisza.

Wiedziała, że każde jej słowo zostanie zrozumiane. Każda jej myśl... niemal.

- Myślę, że temu podołam - dodała. - Mogę przyjąć kogoś tymczasowo. To moja rzecz. Ty winienez zatroszczyć się o swą najbliższą przyszłość. Masz trzy propozycje. Którą wybierasz?

Mogła dostrzec w jego ciele oznaki podejmowania decyzji: prostowanie ramion, tak że jego wielkie ręce zacisnęły się na kolanach; długi wdech, podczas którego napięły się mięśnie utrzymujące go dotąd na niskim zydłu bez oparcia w pozycji uprzejmego słuchacza.

- Czy rozważyliście, pani - zaczął - że zgodnie z prawem otrzymacie zapłatę od dowódcy galer lub delfina za zwolnienie mnie z terminowania?
- Otrzymała odpowiedź. Mimo to jej głos był spokojny.
- Rozważam to, ilekroć spojrzę na rubrykę strat - powiedziała Marian de Charetty. - Jeśli udasz się dla mnie do Mediolanu, zażądam znacznej części zysków w ramach rekompensaty. Czy mam rozumieć, że wybrałeś Astorre'a i Italię?
- Nie miałem wyboru - odparł z wyraźną rezygnacją. - Wychowano mnie, bym był posłuszny każdemu waszemu słowu. Posyłacie mnie do Mediolanu. Zatem jadę tam.
- Cóż za męczennik! - rzekła wdowa. - Spróbujemy przeżyć twoje odejście.
- Nie wątpię - powiedział z roztargnieniem Claes. Myślał, jak się wydawało, o interesach. - A co do farbiarni, jak słyszałem, wysnuliście z Meester Juliuszem wniosek, że gdyby oddać w dzierżawę foluszarnię i powierzyć komuś wykańczanie, Henninc z radością poświęci całą uwagę farbowaniu, a Lippin mu pomoże. Jakiś pogodny nauczyciel... wszyscy wiemy, że są i tacy... mógłby pracować z jonkheere Feliksem, teraz gdy gotów jest usłyszeć co nieco o interesach. Inwestycje w Leuven mogą same napędzać się przez krótki czas, ale naprawdę powinny przyciągnąć więcej pieniędzy. Tak mówi Juliusz. Ciekawe... czy Astorre, Juliusz i ja moglibyśmy pomóc?
- Naturalnie, że możecie pomóc - odparła. - Jeśli dostaniecie kontrakt do oddziałów w Neapolu, przyniesie to przedsiębiorstwu trochę żywego kapitału.
- Tak - powiedział. - Oczywiście. Ale ja miałem co innego na myśli. Jeśli zechcecie, możecie nas posłać na południe z karawaną kupiecką. Wiecie. Kupcy i przedsiębiorcy, którzy udają się do Italii i potrzebują ochrony. Eskortowanie towarów przez góry. A najbardziej opłaci się dostarczanie kufrów z listami, weksłami, dekretami z banków flamandzkich do przedstawicielstw w Italii. Zimowe usługi kurierskie. Banki uiściłyby opłatę, a ja mógłbym zabrać wszystko już teraz. Mogą posłać nawet srebro z tak liczną i uzbrojoną eskortą. A jeśli wywrzemy dobre wrażenie, być może przyjdą do was z nowu, by wynająć ludzi. Musielibyście wyszkolić własnych posłańców.
- Powinam - rzekła powoli Marian de Charetty. Powoli ze względu na ukryty znaczenia jego słów i wagę, jak zaczynała podejrzewać, jego prawdziwej decyzji. Miał osiemnaście lat.
- Wiedziała, że wysyła go daleko od bezpiecznej Brugii. Wiedziała, że zmusza go do wyjazdu do Genewy, w której spędził pełne niedoli dzieciństwo. I wbrew przepowiedniom Astorre'a, że wojna z Neapolem jest wojną

obronną i nie będzie żadnych walk w przyszłym roku, a być może wcale, wiedziała, że posyła Claesa na naukę rzemiosła wojennego, by wziął udział w wojnie; i że po powrocie - o ile wróci - będzie inny.

Musiał jednak nauczyć się bronić. I tak jak powiedział, *naprawdę* narozrabiał.

Spojrzała na niego, a on przemówił:

- Tak będzie najlepiej, moja pani - i przez jego twarz przemknął komiczny, pocieszający grymas.

W odpowiedzi uśmiechnęła się do niego ze spokojem. Była w tym dobra.



Dla brugijskiej arystokracji kupieckiej najkorzystniejszym wydarzeniem towarzyskim tej jesieni była uczta, wydana na cześć dowódcy flamandzkich galer przez zamożnego zarządcę dóbr książęcych, Pierre'a Bladelina. Odbyła się w pałacu zarządcy przy Naalden-Straate, zbudowanym z rdzawej cegły, z osmiokątną wieżą i spadzistym dachem.

Gdyby książę był obecny, uczta miałyby miejsce w jego pałacu, Princehof, co byłoby znacznie ciekawsze, jako że wszyscy wiedzieli o nowej, olbrzymiej wannie i o tym, że było tam kilka urządzonych z przepychem komnat gościnnych, pełnych owoców, kwiatów, słodczy, wonności i innych niebываłych zbytków dla wygody kąpiących się: przed zanurzeniem, w trakcie i później.

Dawniej, przebywając w swej posiadłości, książę co najmniej dwukrotnie wybrał nową kochankę z grona gości zaproszonych do Princehof. Jeśli dama okazywała się płodna, wybrana rodzina miała zapewniony majątek. Książę był dość szczodry dla wszystkich swych bękartów; i ani jego kochanki, ani ich dawni czy obecni mężowie nigdy, o ile wiedziano, nie krytykowali księcia.

Katelina van Borselen często słyszała rozmowy na ten temat we własnej rodzinie i wśród kuzynów. Teraz pojawił się znowu, po uprzejmych zaproszeniach Bladelina. De Veere'owie przyjęli je i to samo uczynił jej ojciec. Ponieważ matka przebywała w Zeeland, Katelina - wychowana po królewsku - zaofiarowała się, że ją zastąpi.

De Veere'owie przyznali, że dom zarządcy Bladelina odznaczał się wystarczającym przepychem - co było zrozumiałe zważywszy jego znajomości i lata, podczas których cieszył się łaskami księcia, mimo że był zaledwie synem farbiarza klejonek.

Katelina, która zapomniała o tym drobiazgu, dodała go teraz do innych, zajmujących jej myśli, kiedy przestępowała bramy pałacu zarządcy i prze-

chodziła pod misternie wykutym tabernakulum, tarczą i pięknie wyrzeźbionym wizerunkiem Madonny z adorującym ją gospodarzem.

Na tym przyjęciu nie spodziewała się napotkać farbiarzy, ich synów oraz notariuszy. Czy jednak farbiarze nie trzymali z sobą, bojkotując wrogów jednego ze swoich?

Dowiedziała się od Margriet Adorne (a nie od ojca), że Szkoci zwarli szeregi wokół Szymona z Kilmirren po jego dziarskich wyczynach w Sluis, kiedy złożył skórę temu zuchwałemu młokosowi. Walka była uczciwa, powiadano, choć zmacona pod koniec pewnym wypadkiem. Od tego czasu zwycięzcę nakłoniono - choć przyjął to niechętnie - do przykładowego trzymania się zajazdu Jehana Metteneye lub Stefana Angus, bądź też towarzystwa biskupa czy jego faktora. Raz odwiedził jej krewniaka, u którego zatrzymał się brat króla Szkocji. Wiedziała o tym, bo wielmożny Szymon najwyraźniej pytał Wolfaerta o nią.

O tym jej ojciec nie omieszkął napomknąć. Rozumiała, że przebywa nadal w jego domu w Brugii i nie została odesłana do Zeeland czy Brukseli, ponieważ był z niej niezadowolony i miał nadzieję, że póki Szymon przebywa we Flandrii, ona okaże skruchę i naprawi to, co zaszło między nimi. Rzecz dziwna, Katelina nie była pewna, co ma uczynić. Jak na człowieka szlachetnie wychowanego, Szymon zachował się karygodnie wówczas w ogrodzie (tak sobie mówiła). Był zepsutym łatwymi podbojami - lecz któż by nie był z takim wyglądem? I ona także... ona sama była świadoma jego władzy.

Jeżeli, jak mówiły plotki, dziewczyna przyłapaną w piwnicy Metteneye'a należała do niego, to przynajmniej pokazał w tym wypadku pewien styl. Gdy zaś mowa o wydarzeniach w Sluis, swawolny robotnik Charetych według wszelkich świadectw pierwszy przelał krew przeciwnika i zasłużył na to, co go później spotkało.

Zauważyła nieznacznego chłód, z jakimi mężczyźni rozmawiali o Szymonie. Dawno przekroczył trzydziestkę. Miał długie doświadczenie w umizgach, a dość krótkie w praktycznym zarządzaniu. Pamiętała oczywiście, że na jego niechciane zaloty podczas ostatniego spotkania odpowiedziała obelgą, która kazała mu odejść w gniewie. Później żałowała, że nie rozegrała tego lepiej. Lecz małżeństwo... to małżeństwem miała pokierować, a nie siłą, która mogła ją pochłonać tamtej nocy.

Teraz, «jeśli chciała, mogła skorzystać z drugiej sposobności. Teraz nie mógł, na przykład, pozwolić sobie na beztrioskie uszczuplanie kręgu życzliwych mu osób. Jeśli spotka go dzisiaj, będzie dlań miła.

Nie miała nic do stracenia. Nie chciała wstępować do klasztoru. Służyła królowej Szkocji i nie zdobyła męża. Księżna Burgundii mieszkała w Nie-

ppe, z dala od małżonka, otoczona urodziwymi Portugalczkami. Siostra Szymona poślubiła jednego z nich. Katelina nie mogła jednak mieć pewności, że w otoczeniu księżny znajdzie dla siebie męża; równie prawdopodobne było to, że księżę odnajdzie - ją.

Zastanawiała się, czy w tym wypadku ojciec byłby zgorszony i doszła do wniosku, że raczej miał mimo wszystko nadzieję, iż to właśnie się zdarzy. Prócz niej i Gelis nie miał dziedzica. Wiedziała, że zapożyczył się znacznie, by zgromadzić nawet ów niewielki posag, który wraz z jej ręką dostałby się budzącemu wątpliwości, odrażającemu szkockiemu lordowi, którego odrzuciła. Nosiła kosztowne suknie. Posiadała klejnoty rodzinne mające pewną wartość, a nawet nieco cenniejsze, подарowane jej przez księżniczki, którym służyła. Pozwolono jej zatrzymać je. Podniosły jej wartość.

Żałowała, że nie jest wdową - niezależną, rządzącą swym życiem i rozumem.

Rozejrzała się. Wkrótce, zgodnie ze zwyczajem, trębacze zarządcy dóbr książęcych ogłoszą przybycie najważniejszych gości, po czym wszyscy ruszą korowodem do sali bankietowej. Dowódca galer flamandzkich będzie przypuszczalnie towarzyszył zarządcy. Powiadali, że delfin Ludwik także zapowiedział swe przybycie.

Spotkała go raz w Brukseli - mężczyzna po trzydziestce o ostrych rysach twarzy. Udawała się wówczas właśnie na trzyletnie wygnanie do Szkocji. On zaś umknął do Burgundii, by odetchnąć od ojcowskiego dworu we Francji. Pewnego dnia zostanie królem tego kraju. Wszyscy tego pragnęli. Tymczasem...

Ach, a zatem farbiarze nie bojkotowali antagonistów innych farbiarzy! Po przeciwległej stronie komnaty stał Szymon z Kilmirren.

Dyskretnie prowadząc ojca od jednej grupy do drugiej, Katelina van Borselen przemierzyła zatłoczoną salę pałacu zarządcy Bladelina, kierując się ku miejscu, gdzie pod ulistnionym, taftowym zawojem lśniły niezwykle włosy Szymona z Kilmirren. Liście zdobiły także jego rękawy, a kurtka przybrana była żółędziami. Stał zwrócony do niej plecami.

Jego postawa była nienaturalnie sztywna, jak gdyby znajdował się przed monarchą. Stał jednak w kręgu przypadkowych osób. Należał do nich Giovanni Arnolfini, kupiec bławatny. Niski, ciemnowłosy mężczyzna, Joao Vasquez, był ojcem jej przyjaciółki, sekretarzem księżny i powinowatym - poprzez małżeństwo - siostry Szymona. Dwaj ludzie w adamszkowych strojach, z wpiętymi w kapelusze klejnotami wielkości warzyw, byli bez wątpienia Wenecjanami. Prowadząc rozmowę w kulawej francuszczyźnie, zwracali się co jakiś czas po pomoc do Arnolfiniego lub do siódmego z nich, którego nie widziała, lecz jego włoski brzmiał jak francuszczyzna Tommasa Portinari. Wargi Kateliny zadrgały.

Później w krąg wkroczył jej ojciec, a Szymon odwrócił się i zobaczył ją. I zmarszczył brwi. *Zmarszczył brwi!*

- Wielmożny Szymon! Jestem zachwycona - powiedziała Katelina - że widzę was już na wolności, panie. Czy długo byliście w więzieniu?

Mówiła po francusku. Miała nadzieję, że nawet Wenecjanie zdołają zrozumieć prawie wszystko. Z satysfakcją zauważyła, że zmienna twarz jej zalotnika bieleje z gniewu. Ojciec pochwycił jej ramię z okrzykiem:

- Co ty sobie myślisz, Katelino? Pan z Kilmirren nie był więziony!

Przybrała zaintrygowany wyraz twarzy.

- Za zabicie tego chłopca? Och, proszę o wybaczenie! Oczywiście jako cudzoziemiec nie podlegacie naszym prawom. Co ja sobie myślę!

Nad jej uchem rozległ się dźwięczny głos:

- Madame, jakiegokolwiek są wasze myśli, potrafią rzucić urok z pomocą zachwycającego instrumentu: waszej szlachetnej osoby. Czy mogę pokornie prosić, by mnie przedstawiono?

Mówiący mógł być tylko siódmym mężczyzną, owym francuskim Włochem. Odwróciła się z rozbawieniem i poczuła, że jej pewność siebie maleje.

Kwieciste słowa nie pochodziły od uśmiechniętego galanta, lecz od człowieka po pięćdziesiątce, równie pokaźnego wzrostu co tusz. Bramowany futrem aksamit, spływający aż do ziemi, wystarczyłby na uszycie żagli dla sporego statku handlowego, gdyby tylko któryś z właścicieli mógł sobie pozwolić na zakup czegoś takiego. Wysadzany klejnotami łańcuch na jego piersi wart był tyle co zamek, a prosty kapelusz obszyty był sobolowym futrem. Gładko ogolona twarz poniżej miała kilka podbródków, niczym u tłustego opata, lecz w odróżnieniu od typowego grubego mnicha pozbawiona była jowialności. Usta, które złożyły jej komplement, uśmiechały się uprzejmie, lecz oczy były lodowate.

- Ach, proszę darować. - To sekretarz księżny. - Madame Katelina, czy mogę przedstawić le sire Jordana, wicehrabiego de Riberac? Monseigneur mieszka we Francji i przybył tu w sprawie dotyczącej galer. Monseigneur, oto Der Florencjusz van Borselen i jego starsza córka Katelina. Madame, czy zechcecie także poznać Messer Orlanda i Messer Piera z galer flamandzkich?

Lekki ruch szerokich ramion tęgiego mężczyzny posłużył za ukłon.

- Opowiadajcie dalej, Madame Katelino, swą barwną historię - powiedział wicehrabia. - Czy tutaj, w Brugii, wybuchła wojna ze Szkocją?

Ktoś wybuchnął śmiechem... Lucchese Arnolfini.

- Niezupełnie, monseigneur. Drobny incydent z udziałem czeladnika; nikomu nic się nie stało. Madame Katelina słyszała zapewne jakieś fałszywe pogłoski.

- Obawiam się, że tak - oznajmił Szymon. Jego twarz nadal była dość blada, a brwi mocno zmarszczone. Dodał: - Doprawdy, widzę przyjaciół, do, których muszę podejść. Mogę prosić o wybaczenie?

Odwrocił się nie czekając na odpowiedź.

- Przyjaciół? - zagadnęła Katelina, kiedy ją mijał. Zniżając głos, dodała: - Może raczej przyjaciółki? Bo tych pierwszych jak się zdaje, macie niewiele.

Przystanął. Zwrócony plecami do towarzystwa, rzucił głosem równie przyciszonym:

- Wasz przyjaciel czeladnik także je ma, wiecie? Doprawdy, równie dobrze możecie przypisać sobie winę za to, co się stało. W końcu to wy przekazaliście mi jego dobre mniemanie o mej osobie. - I odszedł, a ona zmarszczyła teraz brwi, odprowadzając go spojrzeniem.

- Madame zechce nam opowiedzieć - usłyszała znów nad uchem tubalny głos wicehrabiego de Riberac. Odwróciła się niechętnie. Pomyślała, że pojmuje teraz, dlaczego Szymon tak się nastroszył na jej widok. Jego złość nie była skierowana ku niej. A jednak dał się ponieść irytacji. Skąd się dowiedział, że to czeladnik wymówił owe obraźliwe słowa w jej obecności? To ją zmartwiło. Ponieważ czyniło ją współodpowiedzialną za to, co zaszło.

- Madame Katelino - odezwał się tęgi mężczyzna - nie możecie nas tak pozostawić w oczekiwaniu. Messer Orlando przytoczył wspaniałą opowieść o czeladniku, którego napadł, używając nożyc, nie kto inny tylko nasz nieobecny przyjaciel Szymon. Czy może to być prawdą? - Ton głosu był żartobliwy. Oczywiście przeciwnie.

- Messer Arnolfini ma słuszość - powiedziała Katelina. - Znam jedynie pogłoski. Wielmożny Szymon powziął niechęć do czeladnika i ich drogi skrzyżowały się. Wynikła walka, którą czeladnik przegrał. Pewna jestem, że rana była dziełem przypadku.

Wargi wicehrabiego de Riberac poruszyły się w uśmiechu.

- Utarczka szlachcica z czeladnikiem! We Francji nie do pomyślenia. Jeśli młokos jest zuchwały, zostaje wychłostany, a nie wyzywany do walki.

- O, Claesa wychłostano - powiedziała Katelina. - Zastąpił wielmożnego Szymona w łożu dziewczki służebnej i ponosi winę za śmierć jego psa. Za obydwie te rzeczy otrzymał solidną chłostę. I wtrącono go do więzienia.

- Co było zapewne naturalnym następstwem - stwierdził tęgi mężczyzna. - A później, jak wnoszę, czeladnik usiłował w zamian uśmiercić monsieur Szymona? Messer Orlando?

Wenecjanin w czarnym adamaszku dotknął palcem brody, próbując zrozumieć.

- Walka? - rzekł wreszcie. - Ale mówiono mi, że to ów robotnik zranił nożycami pana Szkota. Pan Szkot, zamiast kazać go zabić, postanowił walczyć z nim na drągi... to broń ludu. Uważam, że popełnił błąd. Szlachcic nie powinien zadawać się z prostytutkami. No i chłopak dostał to, na co zasłużył.

- Został zabity? - spytał mężczyzna.

- Prawie - powiedziała Katelina. - Ponieważ wasz szlachetny Szkot wbił weń te same nożyce, niemal zatłukłszy na śmierć.

Tęgi mężczyzna uśmiechnął się i zwrócił w stronę Vasqueza, Arnolfiniego oraz Florencjusza van Borselena.

- Te burgundzkie obyczaje! - rzekł. - Czy to plotka czy prawda? Monsieur Szymon, który mógłby nam odpowiedzieć, niestety odszedł. Ale może to ze skromności. Pokonanie grubiańskiego dziecka ludu jest chyba czymś niepospolitym?

- A zakłucie go jeszcze czym innym - powiedziała zimno Katelina.

- Katelino - wtrącił jej ojciec - wiesz, że to nieprawda. Nożyce zaplątały się między nimi. A czeladnik pierwszy ugodził Szymona.

- Czyżby? - spytała Katelina. - Słyszałam *pogłoski*, które twierdzą, że był to przypadek.

Zimne oczy nie odrywały się od jej twarzy.

- Przemawiacie, madame - rzekł wicehrabia de Riberac - jakbyście nie darzyli przyjaźnią naszego szlachetnego młodego Szkota.

Odwzajemniła spojrzenie.

- Macie słuszość - odparła. - Tak się składa, że uważam go za... poznałam go jako samolubnego, mściwego rozpustnika.

- Tak też myślałam. Jaka szkoda - tęgi francuski arystokrata westchnął głąboko. - Zwłaszcza że wy, droga madame, ucieleśnacie pod każdym względem mój absolutny ideał synowej.

Gdzieś w dali zagrzmiały trąby. Rozmowy w wielkiej sali zaczęły cichnąć. Ludzie rozstępowali się, robiąc przejście dla księżęcego zarządcy, dla delfina, dla brata króla Szkocji. Wszyscy zajmowali swoje miejsca, parami, w pochodzie do stołu bankietowego. Tylko wokół jednej niewielkiej grupki zapadła zupełna cisza; nikt się nie poruszył.

Jak gdyby byli sami, Katelina van Borselen i potężny mężczyzna nazwiskiem Jordan de Riberac spojrzeli na siebie.

- Jaka szkoda - powtórzył mężczyzna bez szczególnego nacisku. - Gdyż... może powinienem był powiedzieć? Wybaczcie, że o tym nie pomyślałem... ów samolubny, mściwy rozpustnik... tak? jakież to smutne!... jest moim synem.

Katelina pojęła później, że to jej ojciec, składając chłodne i uprzejme

przeprosiny, zabrał ją i poprowadził do stołu. To ojciec, odbywszy niezbędne pogawędki z sąsiadami przy stole, podczas długiego posiłku zwrócił się ku niej i rzekł:

- Twoja wina, o czym dobrze wiesz, polega na wypowiedaniu pochopnych sądów o nieobecnych w towarzystwie takim jak to. Lecz większa wina leży po stronie Francuza, który dopuścił, by ta rozmowa miała miejsce i nie ujawnił swych powiązań.

Katelina, która nie mogła myśleć o niczym innym, zapytała:

- Jak to możliwe, że on jest jego ojcem?

- Zasięgałem języka - odparł Florencjusz van Borselen. - I ja czuję się wprowadzony w błąd. Powiadomiono mnie zupełnie jasno, że Szymon z Kilmirren jest bratankiem i spadkobiercą Alana, pana tych dóbr; i że jego ojciec, młodszy brat Alana, od dawna mieszkający we Francji, nie żyje już lub jest zniedołężniały.

Katerina zadrżała.

- „Zniedołężniały” - powiedziała - nie jest słowem, którego ja bym tu użyła.

Jej ojciec poruszył się gniewnie.

- Oczywiście, że są lepsze określenia - rzekł. - O, tamten człowiek, Andro Wodman, Szkot zamieszkały we Francji, przybył tu z orszakiem Jordana de Riberac. Powiada, że wicehrabia jako młody człowiek nie miał dóbr ziemskich ani majątku. Przybył do Francji, walczył w imieniu króla, uzyskał zaszczytne miejsce w Gwardii Szkoekiej i z biegiem lat wdzięczny monarcha podarował mu włości Riberac. Tam ulokował świeżo zdobyty majątek w handlu i okrętach, i tym podobnych sprawach. Jest teraz bogatym człowiekiem. Król Karol ufa jego radom. Kiedy przyplływają z Wenecji flamandzkie galery lub statki florenckie, lub karawele cypryjskie, wicehrabia posyła faktora do Flandrii, rzadko jednak przybywa osobiście. On i jego syn, jak mówi Wodman, nie widzieli się od wielu lat, ale de Riberac dowiaduje się o wszelkich poczynaniach Szymona. Jego dobre imię, jak widzisz, ma dla niego znaczenie.

- A Szymon chowa doń urazę - powiedziała Katelina.

- Uczyniłby lepiej ukrywając ją - rzekł ojciec sucho. - Z tego co widzę, ma w swym ojcu potężnego i bezwzględnego sprzymierzeńca, którego może kiedyś potrzebować. A ty, jak się wydaje, znalazłaś łaskę u wicehrabiego.

- Wydaje się też, że ją utraciłam - stwierdziła Katelina. - Czy jesteś równie wdzięczny za to, jak ja? Czy może chętnie ujrzałbyś Jordana de Riberac w kręgu rodziny?

Jak to się czasem zdarzało, uczciwość przewyciężyła zachłanność u Florencjusza van Borselena.

- Nie - odparł wreszcie. - Nie. Prawdę mówiąc, nie mogę sobie wyobrazić siebie ani twojej matki, przyjmujących tego człowieka pod naszym dachem, teraz czy kiedykolwiek w przyszłości. Czuję tu coś nienaturalnego.

- Zatem... - zaczęła Katelina, lecz nie musiała kończyć, gdyż ojciec przykrył jej dłonie swoimi.

- Zatem - rzekł - jeśli czujesz tak wielką niechęć do Szymona, nie będę cię przymuszał. Mamy czas. Znajdziemy dla ciebie lepszego i bardziej odpowiedniego małżonka.

Później nadeszła kolej na gromadną wyprawę do Sluis: ozdobionymi barkami i łodziami, podążającymi z biegiem rzeki za migotliwym światłem pochodni, przez Damme i następnie kanałem do miejsca, gdzie dwa flamandzkie okręty stały skąpane w świetle.

Przechadzając się po osłoniętym pokładzie głównego okrętu z pucharami wina w dłoniach, wybrani goście przyglądali się zza barierek marynarzom wspinającym się wysoko na olinowanie siostrzanego okrętu; akrobatom wykonującym salta i tancerzom na linie, przysuwającym się od masztu do masztu i od masztu do nabrzeża. Mury i brzegi Sluis wypełnione były wszystkimi tymi, których nie zaproszono, a którzy tłoczyli się co roku, by obejrzeć wymyślne przedstawienie przywożone dla nich przez szczodłą, gościnną, nieocenioną Republikę Wenecką.

Tylko Katelina nie poszła. Przyznała się do niedyspozycji, a ojciec nie czynił jej wymówek, rozumiejąc ją doskonale, zadowolony, że dwaj krzepcy, uzbrojeni mężczyźni oraz roztropna panna służebna odprowadzą Katelinę do domu. Nie widział zatem, że po drodze Katelina zmieniła zdanie i zamiast udać się prosto do domu, kazała się odprowadzić do farbiarni Marian de Charetty.

Żelazna latarnia nad bramą wiodącą na dziedziniec była zapalona, lecz w pierwszej chwili nikt nie odpowiedział na pukanie. Odwróciła się, chcąc odejść, lecz usłyszała po drugiej stronie lekkie kroki, a następnie uprzejme przeprosiny wypowiedziane kobiecym głosem i zagłuszone szczękiem odsuwanych rygli.

W końcu drzwi stanęły otworem i ukazała się w nich niska, schludna postać samej Marian de Charetty z lampą w dłoni; po pierwszym błysku zaskoczenia jej miła twarz była opanowana.

- Madame Katelina! - rzekła wdowa. - Proszę wybaczyć, ale nikogo nie ma w domu: wszyscy są w Sluis i gapią się na galery. Proszę wejść. W czym mogę pomóc?

Katelina zatrzymała się na dziedzińcu; służebna stanęła obok.

- Już późno. Przepraszam. Zastanawiam się, czy jest tu wasz czeladnik?
- powiedziała otwarcie.

- Tędy, proszę - odezwała się wdowa Charetty.

Pozostawiając drzwi otwarte poprowadziła gościa przejściem do schodków, a następnie do niskiej komnaty, w której płonął ogień, a pojedyncze krzesło, z wysokim oparciem, zarzucone papierami, wskazywało, gdzie wdowa przedtem siedziała. Zgarnawszy papiery jedną ręką, wskazała Katelinie krzesło, a służebnej zydła z tyłu. Sama nie usiadła.

- Mam kilku czeladników, madame, i wszyscy prócz Claesa są w Sluis. Którego życzyście sobie widzieć?

Czyny, podejmowane pod wpływem impulsu, nie zawsze łatwo jest przeprowadzić do końca. Wznosząc wysoko głowę w wymyślnie upiętym welonie, Katelina odparła:

- Dowiedziałam się właśnie nieco więcej o tym, co spotkało w Sluis waszego czeladnika Claesa. Częściowo czuję się odpowiedzialna... Spór, który doprowadził do jego zranienia, został zapoczątkowany przez inny incydent, a ja byłam weń zamieszana. Chciałam zapytać, jak on się czuje.

Okragłą, rumianą twarz naprzeciw Katelinie rozjaśnił uśmiech.

- Proszę się nie obwiniać - powiedziała wdowa Charetty. - Niewielu jest ludzi równie nieznośnych jak Claes, kiedy zaczynają się jakieś wybryki. Prawie wszystko skrupia się na nim. Czuje się już znacznie lepiej. Na tyle dobrze, że mógł także wybrać się do Sluis, ale lekarz uważał, że lepiej będzie, jeśli zachowa siły na podróż. Zaczekajcie. Zawołam go. Przekonacie się.

- Podróż? - powtórzyła Katelina. Ale wdowy już nie było; a wróciwszy, przyprowadziła ze sobą potężną postać Claesa i kazała mu stanąć przed Katelina.

Nie pracował już na podwórzu i dlatego, jak przypuszczała, pachniał lepiej niż zazwyczaj. Miał na sobie znoszony kubrak i czyste pończochy, pod którymi nie było widać żadnych zmian w mocnej budowie umięśnionych nóg. Spoglądając mu w twarz, którą słabo znała, pomyślała w pierwszej chwili, że i tu nic się nie zmieniło. Później, gdy osunęła się płonąca szczapa, Katelina dostrzegła w blasku płomienia, że jego oczy osadzone są głębiej niż pamiętała. Wtem w policzkach pojawiły się dołki, niczym' dwa odciski kciuka, a Claes przemówił:

- Jakże dama łaskawa, że się trudziła! A może takie było życzenie wielmożnego Szymona? Słyszałem, że zarządca Bladelin zaprosił go na ucztę.

Stojąca obok Kateliny Marian de Charetty zacisnęła wargi. To wystarczyło, by rzecz wróciła do równowagi. Katelina odezwała się z rozbowieniem:

- Po raz drugi tego wieczoru utarto mi nosa. Pierwszy był wielmożny Szymon, jak go nazywasz.

- Jakoś go trzeba nazywać - powiedział czeladnik.
- Mieliśmy nadzieję, że ta sprawa jest skończona - rzekła Marian de Charety, siadając. - Wywołała więcej plotek niż była tego warta.
- Plotki ucichną, kiedy Szymon odjedzie - stwierdziła Katelina. - Claes także wyjeżdża?
- Już wkrótce - odparła wdowa de Charety. - Porzucą kadzie barwierskie dla Italii. - Zerknęła z uśmiechem na swego czeladnika. - Przyłączy się do mego kapitana Astorre w drodze do Mediolanu. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, może odnajdzie swe powołanie na polu bitwy? Zgodzicie się, że budowę ma odpowiednią?

To przynajmniej było prawdą. Przyglądając się sympatycznej, oświetlonej blaskiem ognia twarzy czeladnika, Katelina zastanawiała się, co w takim razie wydaje się jej tu dziwne. Claes podobno nie umiał walczyć. Nie bardzo wiedział, co ma robić z Szymonem. Taki czeladnik, bez żadnego szkolenia.

- Będziesz się musiał wiele nauczyć - powiedziała. - Czy jeździsz konno?

Dołki pogłębiły się. Potrząsnął głową.

- Zamierzają posadzić konia na moim grzbiecie - powiedział.

Katelina odwróciła wzrok. Odezwała się do wdowy:

- Myślicie, że lepiej dla niego, by wyjechał z Brugii? Chyba macie słuszość. Obawiam się, że ma wroga w wielmożnym Szymonie, a także w wicehrabim, jego ojcu.

Rozzłoszczona z powodu własnej, niedawnej niewiedzy, złagodniała, kiedy i tutaj zapadło pełne zakłopotania milczenie.

- Ojciec wielmożnego Szymona? - zapytała wdowa de Charety.
- Jordan de Riberac. Był na dzisiejszej uczcie. Słyszałam, że mieszka we Francji.

- I podziela... postawę swego syna wobec Claesa?

- Tak. Mam powody, by wiedzieć - odparła szorstko Katelina. Zwróciła się do czeladnika, który zdawał się nie słyszeć ich rozmowy: - Za jedyną rzecz winnam jestem przeprosiny. Zacytowałam wielmożnemu Szymonowi twoje stwierdzenie... niepoehlebne stwierdzenie. Nie wspomniałam, skąd ono pochodzi, lecz wydaje się, że jakoś to odkrył. Jego złość na ciebie jest po części tym spowodowana. Przepraszam.

Drgnął, po czym uśmiechnął się do niej przełomie.

- Nie ma za co. Jeśli jest to stwierdzenie, które mam na myśli, przytoczyłem mu je sam przy innej sposobności. Sposobności, która sama w sobie rozniewała go o wiele bardziej niż przezwiska. Nie trapiecie się. A już zwłaszcza nie psujcie sobie przeze mnie stosunków z wielmożnym Szymonem i jego ojcem.

Katelina patrzyła na niego. Zapominając o wychowaniu powiedziała:

- Nie potrzebuję twojej osoby do psucia sobie stosunków z tą uroczą parą. Gdybym była wyższym urzędnikiem, wygnałabym ich z Brugii.

Nie odpowiedział ani słowem, ani uśmiechem. Wdowa odezwała się łagodnie:

- Myślę, Claesie, że powinienesz podziękować damie i powrócić do swej izby, chyba że dama chce ci jeszcze coś powiedzieć. Madame Katelino? Pozwolicie mu odejść?

Przez cały czas stał. Powinna była pamiętać o jego chorobie. Ale nie prosi się rzemieślników, by siadali - chyba że wśród dzieci.

- Przepraszam - powiedziała. - Mam nadzieję, że wkrótce całkowicie powrócisz do zdrowia. I że nowe zajęcie przyniesie ci powodzenie.

Podziękował jej krótko i wyszedł. Katelina siedziała wpatrzona w wino, które wdowa nalała jej do kielicha.

- Chyba będzie wam go brak - powiedziała. - Mimo wszystkich kłopotów, które sprawia, zabawny z niego chłopak.

Przez chwilę trwała cisza.

- Tak - odparła wreszcie wdowa. - On jest niezwykłym stworzeniem. Kłopot... prawdziwy kłopot polega na tym, że nie potrafi się bronić.

Katelina uśmiechnęła się.

- Cóż, wkrótce się tego nauczy - powiedziała. - Będzie z niego dobry żołnierz.

- Nie - rzekła wdowa ściągając kasztanowe brwi i podejmując próbę wytłumaczenia, co miała na myśli. - To nie to, że on nie umie się bronić, ale to, że nie chce. Przypomina psa. Wydaje mu się, że każdy jest jego przyjacielem.

Nikt nie poświęcał tylu myśli czeladnikowi. A jeśli nawet, nikt nie rozmawiał o tym ze znajomymi.

- I każda, z tego, co wiem - wtrąciła wciąż uśmiechnięta Katelina. - Doprawdy, czas już, by ten chłopak wyjechał z Brugii i nabrał zdrowego rozsądku. A teraz powiedzcie, jakie macie plany względem syna. Co będzie z Feliksem?

Katelina odeszła nie wiedząc, jak długo Marian de Charetty stała w progu wpatrzona w opustoszały dziedziniec, zanim w końcu weszła do domu, zamknęła drzwi i udała się do swego pokoju.

Po drodze, mijając schody prowadzące do izb czeladników, przystanęła na chwilę, jak gdyby szacując wartość ciszy, która zalegała wszystkie pomieszczenia na górze i na dole.

Później weszła samotnie do swego pokoju, zasiadła w krześle, podniosła papiery i rozłożyła je.

ROZDZIAŁ 10

Miała niewiasta z tej Marian de Charetty, powtarzali sobie wzajemnie brugijscy mieszczanie. Wysłała swego kapitana i doborowych najemników za Alpy przed Bożym Narodzeniem. I notariusza, który prawdopodobnie wie więcej o jej interesach niż ona sama. Prócz tego namówiła Medyceuszów, Doriów i Strozzich, by powieźli towary i listy temu samemu Astorre'owi; oraz by wyruszyli z nim ci, którzy musieli się udać na południe i pragnęli dotrzeć tam bezpiecznie. Jej mąż nigdy by nie podjął takiego ryzyka, twierdzili przyjaciele wdowy, wtulając ogolone podbródki w futrzane kołnierze. Ale to ryzyko, zważcie, mogło jej przynieść niezgorszy zysk, jeśli oni powrócą.

Wspomniany notariusz Juliusz nie czuł tak wielkiego niepokoju. Przebywanie gór w zimie było rzeczą przykrą, lecz daleką od niezwykłości; a niski, krzywonogi, popędliwy Astorre należał do najbardziej doświadczonych przewodników. Jakkolwiek wyglądała karawana, zgromadzona na dziedzińcu w postaci bezładnej płataniny wozów, mułów, jucznych koni, klatek, beczek i pakunków, miała zostać doprowadzona do porządku na długo przed ukończeniem pełnej wyboi, trzytygodniowej podróży na południe przez ziemie Burgundii do lodowatego, wietrznego i bogatego miasta Genewy, gdzie mieli zostawić wszystkich kupców i połowę towarów na wozach.

Następnie zaś musieli okrążyć długie jezioro i dążyć przez śniegi ku przełęczy wiodącej do Italii. Do tego czasu będą to wyłącznie ludzie kompanii Charetty. Astorre, jego dwunastu konnych, sześciu łuczników na wierzchowcach oraz osiemnastu pachołków z końmi i mułami. A z nimi (Astorre bowiem namiętnie kochał jeść) żwawy szwajcarski kucharz nazwiskiem Lukin. I kowal Astorre'a, Niemiec o imieniu Manfred. I zastępca Astorre'a, angielski zawodowiec o posępnej twarzy, który kazał nazywać się Tomaszem, i do którego przydzielono nieszczęsnego Claesa jako pomocnika i ucznia.-Feliks patrzył na to złym okiem. Twarz Feliksa, kiedy przyglądał się Juliuszowi i Claesowi odjeżdżającym z dziedzińca, przedstawiała studium gniewu i tęsknej zadumy.

Wszyscy najemnicy byli znani Juliuszowi. Między jednym a drugim kontraktem zjawiali się w Brugii lub Leuven, a on prowadził z nimi

rozmowy i płacił im. Zanim dowiedział się o najnowszych zamysłach wdowy, przypuszczał, że to już cała grupa. Ale tak nie było. Mieli teraz czarnego sługę. Tego, który nurkował w poszukiwaniu pucharu. I którego lichwiarz Oudenin podarował wdowie. A wdowa, nie chcąc urazić minen heere Oudenina ani zbyt wiele mu zawdzięczać, wysłała czarnego chłopca na wyprawę. Zbytorny dodatek.

Nie dość na tym: mieli usługi mnicha. Muzykalnego mnicha zwanego bratem Gillesem, którego zamówili, niestety, Medyceusze z Florencji. Jako dodatek do trzech arrasów, pewnej ilości paryskich wyrobów złotniczych zawiniętych w runo, sakwy z listami i czterech kosztownych koni zaprzęgowych o kruchych pęcinach - daru dla bratanka Cosima, Pierfrancesca.

Na końcu zaś - niemal równie drażniący, łysy medyk Tobiasz. Poróżnił się najprawdopodobniej z kapitanem Lionetto i z powodzeniem spróbował szczęścia u jego rywala Astorre'a. I właśnie pan Tobiasz był najbardziej zapracowany w drodze do Genewy: wycinał odciski, przepisywał środki przeczyszczające lub proszki, które - jak wierzą - przyniosą odwrotny skutek. Juliusz, obserwując codzienne szkolenie Claesa, odczuł ulgę, gdy lekarz nie okazał niepokoju - nawet podczas pierwszych dni, kiedy rozgoryczony Tomasz niewiele okazywał mu miłosierdzia.

Niewątpliwie było to: „toń albo pływaj”, zważywszy że Claes dopiero co wstał z łoża; zdumiewające jednak, jak bardzo zahartowały go igraszki z bronią. Im dotkliwsze otrzymywał kary, tym szybciej nauczył się ich unikać. Wkrótce potrafił utrzymać się na grzbiecie galopującego konia nawet gdy nacięto popręgi siodła. Warto go było zobaczyć, kiedy ciężkie rondo okrągłego kapelusza podskakiwało odbijając się od jego nosa niczym pokrywka na garnku. Dla wszystkich była to świetna zabawa.

Później Tomasz wyszukał dla chłopca stary, obosieczny miecz i pokazał mu kilka sztuczek, zanim uderzył go płazem własnej broni. Konni żołnierze, odkrywszy, że Claes nie chowa do nich urazy, a na dodatek jest urodzonym kawalarzem, dopuszczali go do ogniska w każdej stajni służącej im za schronienie (podczas gdy Astorre, Tomasz i pięciu innych spało, rzecz jasna, na osobnych łóżkach w wygodnym zajeździe) i nazajutrz traktowali lepiej. Nawet Afrykańczyk poczuł do niego sympatię i musiano go wybić za wykradanie się do stajni, podczas gdy miał leżeć na podłodze przy łożu Juliusza.

Porozumiewali się z Claesem przeważnie na migi, a także po katalońsku, który to język znali po trosze od Lorenza. Murzyn był potężnie zbudowany, miał ramiona jak poduchy; brat Gilles lękał się go i rozpoczynał modły, gdy czarny zbyt blisko się zbliżył - co bardzo cieszyło Murzyna. Tak więc podążali na południe - w połyskliwych hełmach, pancerzach i nagolennikach, pod

sztandarem Astorre'a na szlachetnym rumaku. Osłaniająca nos część hełmu kreśliła profil zdumiewająco godny jak na ukryte pod spodem, pełne wściekłości i wykrzywione oblicze.

W drodze do Genewy Claes znalazł się wśród łuczników, gdzie zauważono, że ma bystre oko, co na pewien czas odroczyło niektóre z jego sińców. Trwało to przez jeden dzień, pod koniec którego sam Astorre musiał okiełznać jego wybujałą pomysłowość. Skutek był mizerny. Energia, którą dysponował w nadmiarze, najwyraźniej powróciła. Był wyleczony. W noc poprzedzającą przyjazd do Genewy, gdy tylko ulokowali się w wybranej gospodzie, doktor podał Afrykańczykowi flakonik z maścią i kazał natrzeć nią skaleczenia Claesa. Czarny, który odpowiadał raczej za miano „Loppe” niż „Lopez”, pojął to dokładnie, jak się wydawało, i wyszedł. Doktor zwrócił się do Juliusza:

- Wy dobrze znacie Genewę i ja ją znam, lecz co o tym wszystkim myśli takich dwóch jak Lopez i Claes? A może są nazbyt zajęci, by myśleć?

Początkowo Juliusz strzegł się Tobiego. Astorre nadal myślał o nim jako o szpiegu i miał w palcach strzęp ucha, kiedy Tobie nie zgadzał się z nim. Język Tobiego był ostry jak bicz, ale dotychczas nie okazywał on zainteresowania rodziną de Charetty. Nawet teraz, złożony swój kufer na ławie, doktor jedynie ucinął pogawędkę podczas pracy.

Juliusz także pracował z księgą na kolanach, wsparty delikatnymi plecami o poduszki.

- O, Claes zna Genewę - odparł. - Nieszczęsny bękart. Wycierał kuchnie de Fleurych zanim go wykopali i Corneille de Charetty wziął go jako czeladnika. Siostra wdowy wyszła za de Fleury'ego.

- Dlaczego go wykopali? - zapytał z roztargnieniem doktor. Oczyszczył już miejsce dla swej misy i tłuczka na stołku we wspólnej sali, a teraz mieszał proszki; światło odbijało się od jego łysej czaszki, kiedy wykonywał okrężne, tracące ruchy.

- Dlaczego dostał dzisiaj baty? Zbyt wiele energii, żadnego celu - powiedział Juliusz. - I dziwaczny dom. Zaczekaj, aż poznasz Esotę.

- Esotę? - doktor nadal ucierał miksturę.

- Żonę Jaaka de Fleury. Jaaka, głowy przedsiębiorstwa. Stary Thibault jest chory; przebywa poza Dijon; nic w tej chwili nie robi. Jaak zajmuje się wszystkim. Zajmował się także, kiedy byłem jego notariuszem. Claesa już wówczas nie było. Utknąłem na rok, zanim nadarzyła się robota u Charettych.

Mieszanie dobiegło końca. Tobie odłożył łopatkę i zaczął ucierać proszek palcami. Juliusz nigdy dotąd nie widział takiej twarzy. Otoczona delikatnymi, falującymi włosami, naga czaszka schodziła poprzez płaskie, słabo

zarysowane czoło ku bezbarwnym brwiom, bladym oczom i małym, ściągniętym, bladoróżowym wargom. Jedynym akcentem kolorystycznym były jego nozdrza, krągłe i mięsiste, zaokrąglone jak dwie nuty.

- Musimy tam jechać, prawda? - zagadnął Tobie. - Jak się czujesz, skoro masz ich spotkać?

- O, nie rozstaliśmy się w niezgodzie - zapewnił Juliusz. - Odszedłem jako preceptor Feliksa. Jaak był zły, że mnie traci; nie lubił rodziny de Charetty... siostra naszej pani była zaledwie drugą małżonką... a rodzina de Fleury niezbyt często przyznaje się do pokrewieństwa. Ale Corneille de Charetty był użyteczny jako agent w Brugii: kupował od Anglików takie towary jak cynowe naczynia i sprzedawał klientom de Fleurych; podobnie ryby, obrazy czy zdobione płótna. A w zamian za to Jaak sprzedawał płótno Charettych na targu w Genewie. Dlatego narzekał, kiedy wyjeżdżałem (jeszcze jak!), lecz nie chciał poróżnić się z Corneille'em.

- A zatem nie macie nic przeciwko powrotowi - stwierdził doktor. - Dobrze wyposażony, wpływowy notariusz obiecującej grupy najemnych żołnierzy, posiadający doskonałe widoki na przyszłość... Będzie jeszcze bardziej żałował, że was utracił. - Pochylił się, uniósł misę i zaczął metodycznie napełniać słoik jej zawartością.

Juliusz uśmiechnął się krzywo.

- To będzie zabawne - powiedział. - Wydaje mi się, że to Claesa powinniśmy żałować. Nieszczęsny bękart. Minęło osiem lat... a popatrzcie na niego. Będą zadowoleni, że się go wtedy pozbyli.

- W Sluis ocaliliście życie temu chłopcu - rzekł Tobiasz. - Wydaje się, że jest do was dość przywiązany. Czy boi się teraz? Co zrobi, kiedy stanie twarzą w twarz z tą rodziną?

- Będzie się uśmiechał - odparł Juliusz.

Doktor uniósł brwi. Oparł dłonie na kolanach i powiedział:

- Mówicie o nim jak o głuptasie. A ja słyszałem, że potrafi być wielce pomysłowy, jeśli zechce.

- Oczywiście, że potrafi - odparł z rozdrażnieniem Juliusz. - Chwycił zasady czytania i pisanie, i co nieco z nauk Feliksa, jako jego sługa w Leuven. Wdowa jest szorstką osobą, ale nigdy nie wzbraniała mu się rozwijać. Sam go uczyłem. Jest dobry w rachunkach. Właściwie w tym jest najlepsz.

- I pozostał farbiarskim czeladnikiem? - spytał doktor.

Złość Juliusza przeszła w rozbawienie.

- Czy możecie sobie wyobrazić Claesa wśród urzędników? - zapytał - Spustoszyłby każde biuro w mgnieniu oka. Lubi swoje życie. Jest szczęśliwy. Czasami żałuję, że tak jest. Pozwala innym robić ze sobą, co zechcą. Gdyby się ustatkował i przyłożył do roboty, mógłby przynajmniej odpłacić im wszystkim.

Doktor okazał lekkie zdziwienie.

- Ach, tak - powiedział. - Ten nieoczekiwany pociąg do wojaczki... Czy to jego pomysł? Czy też jedyny sposób, jaki wasza pani mogła wymyślić, aby się go pozbyć?

- Och, nasza pani... - mruknął Juliusz. - Były skargi z Brugii. Ktoś musiał wziąć mnie za niego. I teraz przynajmniej uczy się bronić własnej skóry.

- Tak też myślałem. Mam nadzieję, że wystarczy mi maści - powiedział doktor. - A co będzie, jeśli pewnego dnia ruszy do ataku?

- Chciałbym, aby tak się stało - rzekł Juliusz. - Wszyscy tego chcemy. Poparłbym go. Prawdę rzekłszy, jeśli mu naprawdę będzie na tym zależało, powiadam wam, że nie pragnąłbym być jednym z jego celów.

- Tak - zamyślił się Tobie. - Przyznaję. Chłop na schwał z tego Claesa. Zastanawiam się, czy wasza pani postąpiła roztropnie, wkładając mu w dłoń miecz zamiast kopyści?

Juliusz nie zadał sobie trudu, by na to odpowiedzieć. Claes to Claes. Juliusz znał go, a Tobie nie. Można go było jedynie popychać i mieć nadzieję, że kiedyś przejmie inicjatywę.

Nazajutrz przekroczyli bramy Genewy, w oślepiającym blasku alpejskich śniegów na horyzoncie i w porywistym wicherze. Miasto, przytulone do stromego zbocza wzgórza nad jeziorem, nie było duże, lecz zbudowano je w ważnym punkcie: tam, gdzie drogi i rzeki kierowały się na północ do Francji, na południowy wschód do Italii, na południe do Marsylii i Morza Śródziemnego; a kupcy z wszystkich tych miejsc mogli się spotkać, wymienić towary i wydać pieniądze. Duże, kamienne domy-fortece z krętymi schodami i rozległymi piwnicami należały do kupców; nad jeziorem znajdowały się dobrze utrzymane mola, karczmy i składy, porządne stragany w Molard niedaleko Madeleine; i rzędy ławek na placu koło świętego Piotra. Lecz mieszczkańskie domy były ciasne i zbudowane wyłącznie z drewna. Nie całe miasto podzielało zamożność kupców.

Otoczoną handlowcami Genewę otaczali także grabieżcy. Książęta sabaudzcy mogli na bieżąco sprawować władzę nad miastem, mianować biskupów, nazywać swych synów genewskimi hrabiami. Ale niezrównoważony władca Francji śledził zachłannym okiem owe targi, które czerpały korzyści z francuskiego Lyonu. A książę Sabaudii nie zawsze postępował mądrze. Udzielił pomocy delfinowi, pozostającemu w niełasce synowi króla Francji, który znalazł obecnie schronienie w Burgundii. Pozwolił delfinowi poślubić Charlotte, swą nieładną, młodszą córkę. Co pewien czas król Francji wspierał się na księciu Sabaudii, a Sabaudia i Genewa co pewien czas przestawały spiskować i zaczynały się płaszczyć. Były zbyt słabe, by okazywać odwagę w takich wypadkach.

Z całą pewnością dlatego właśnie kupcy parający się działalnością bankową i bankierzy parający się działalnością kupiecką zawsze skłonni byli zakładać prężne filie w innych miejscach. Przy pierwszym podmuchu niebezpieczeństwa aktywa Medyceuszów pod postacią ksiąg rachunkowych i anonimowych dokumentów przenosiły się tajemniczo przez Alpy do bezpiecznej Florencji, Wenecji czy Rzymu. Dom Thibaultów i Jaaka de Fleury zabezpieczył się na dwie strony przez powiązania z Brugią i Burgundią za pośrednictwem kompanii Charetty. Zważał jednak, by zachować przy tym szacunek Karola Francuskiego.

Tak rozmyślał Juliusz, kiedy kawalkada mułów i żołnierzy pięła się stromymi uliczkami w stronę Hotel de Fleury, gdzie miano rozpakować się i rozproszyć. Claes był w pobliżu i sumiennie zajmował się swym koniem, a hełm okrywał jego głowę aż po nos. Ulegając impulsowi, Juliusz odezwał się do niego:

- Żadna to radość dla ciebie, spotkać raz jeszcze pana i panią de Fleury. Ja także nie tęsknię za nimi. Byli dla ciebie zbyt surowi.

Mięsiste wargi Claesa rozciągnęły się w uśmiechu, równoległe do brzegu hełmu.

- Och, już nie pamiętam. Przywykłem do pęt. Co rano łamali na mnie różgi.

- Traktowali cię jak niewolnika - powiedział Juliusz. - Nawet po twoim odejściu ludzie o tym mówili. Czy nie żywisz urazy?

- Spróbuję - odparł Claes - jeśli tego chcecie.

- Nie bądź głupcem - uciał Juliusz.

Pomknął naprzód, czyniąc sobie wymówki. Rozmowa z Claesem była błędem.

Notariusz Charetych nie zdradził żadnego szczegółu dotyczącego rodziny de Fleury, więc medyk Tobie był zaciekawiony. W pierwszym rzędzie ciekawił go sam Juliusz, który wydawał się niezwykłym połączeniem niewinności i ambicji. Wdowa de Charetty, jak Tobie się domyślał, na swój sposób rozczarowała Juliusza. Teraz, jak się zdawało, miał nadzieję, że w towarzystwie najemników zdobędzie majątek. Prawdopodobnie miał słusność, bo znał się na rachunkach. Tobie, który przez rok doświadczył przykrych obyczajów Lionetta, rozpoznał w kapitanie Astorre człowieka o takiej samej ambicji, równie pozbawionego skrupułów, lecz okazującego pewną szorstką dbałość o los swych ludzi, co nigdy nie było przedmiotem troski Lionetta. Zanim doszedł do pewnego wieku, Astorre pragnął wielkich rzeczy, które dotychczas mu umykały: sławy, czy uwieńczonego wawrzynem posagu na placu targowym. Tobie był tego pewien już po paru godzinach spędzonych w towarzystwie Astorre'a.

Tobie wiedział, że Astorre go obserwuje, lecz bynajmniej nie zmienił

swego mrukliwego sposobu bycia. Gdyby Astorre go nie chciał, mógł to powiedzieć. Ale chciał. Tobie znał Lionetta, który także mierzył wysoko i przysięgał, że jeszcze dostanie Astorre'a w swoje ręce. Czasami, w porywach zaufania, Astorre wypytywał Tobiego o Lionetta. Na samą myśl o kapitanie Lionetto drgały Tobiemu mięśnie pleców.

Astorre trzymał go jednak z ważniejszych powodów. Tobie był najlepszym medykiem po tej stronie Alp, a może i po obydwu. Może. Tego właśnie starał się na swój sposób dowieść. Nie istniał żaden znany ludzkości stan wymagający leczenia, na który nie można się było natknąć wśród żołnierzy - z wyjątkiem porodu. Przez cały miniony rok Tobie pracował w swoistym zapamiętaniu, dowiadując się i robiąc rzeczy, których istnienia nawet nie podejrzewał. W tym także leczenie chłopaka, który dzięki temu był tu teraz. Młodego Claesa, którego w domu de Fleurych nie może spotkać żadna krzywda. Przynajmniej dopóki nie porozmawiają sobie o farbach do włosów, napojach miłosnych i ostrokrzewie.

Hotel de Fleury był przytłaczający. Dziedzieniec połknął całą kawalkadę; piwnice przyjęły do swych rozmaitych pomieszczeń futra Doriów, beczuki łososi od Strozich, towary Charetych, które Jaak miał rozprrowadzić na rynku, i konsygnowane artykuły pięciu kupców, którzy podróżowali wraz z Astorrem i gotowi byli słono zapłacić za przywilej składowania swych towarów do następnych wielkich targów.

Towary przeznaczone do Włoch złożono w jeszcze innym miejscu, gdzie czekały w gotowości, by znaleźć się na grzbietach mułów kierujących się ku alpejskim przełęczom oraz na wozach wynajętych wraz ze zwierzętami pociagowymi i furmanami z Lorraine. Przeznaczone dla Pierfrancesca konie zaprowadzono troskliwie do stajni i pozostawiono tam wraz z końmi Jaaka de Fleury.

Zamówiony towar o nazwie brat Gilles potraktowano mniej troskliwie: musiał czekać w podmuchach zimnego wiatru na pustoszejącym dziedzińcu, słuchając ochryplego głosu zarządcy Fleurych i jego pacholków, a także cichnących kroków odchodzących najemników. W końcu pozostali jedynie kapitan Astorre, jego zastępca Tomasz z Claesem, Juliusz z afrykańskim sługą - cichym i drżącym teraz śpiewakiem - oraz Tobie. Wtedy, dopiero wtedy masywne, podwójne drzwi Hotel de Fleury otworzyły się skrzypiąc; za nimi cofnął się z ukłonem sługa, a następnie w przedsionku pojawiła się przepyszna postać Jaaka de Fleury.

Przepyszna, pomyślał Tobie Beventini, to właśnie słowo. Nie tak, jak papieżu i dożowie dzięki swemu stanowisku i szatom - choć człowiek ten posiadał jedno i drugie. Przepyszna budowa i wygląd - istota stworzona do rządzenia. Jaak de Fleury był mężczyzną niepośledniego wzrostu, potężnej budowy i w rozkwicie sił. Spływająca z jego szerokich ramion sutą,

aksamitna szata, bramowana najprzedniejszym sobolim futrem, wydawała się lekka niczym puch ostu. Jego twarz pod szerokim rondem przybranego klejnotami kapelusza była gładka, smągła i przystojna: nos mięsisty i prosty jak u Francuza, oczy ciemne i bystre; uśmiechnięte, pełne wargi, a uśmiechowi temu towarzyszyły połyskujące kręgi zmarszczek: wokół kącików ust, pod wysokimi, wydatnymi kośćmi policzkowymi i dużymi oczami o gęstych rzęsach.

- I cóż, Astorre, mój biedaku - odezwał się Jaak de Fleury - jakże późno przybywacie. Rzecz jasna, tego należało oczekiwać. Podejrzewam, że usiłowaliście wyrwać się od chlebadawczyni jak najwcześniej. Damy, niech im Bóg dopomoże, są tak głupie! Chodźcie lepiej do mego gabinetu i... och, widzę i mojego notariusza. Pójdźcie obydwaj. Gdzieś tu jest moja żona, zatroszczy się o pozostałych. Czy to poganin? Nie chcę mieć go w domu. Ani tego pachółka.

- Wchodzą z nami - powiedział Juliusz. Twarde brzmienie jego głosu zdumiało Tobiego. - Służący należy do mnie i jest chrześcijaninem. Młody człowiek zaś to Claes.

- Claes? - powtórzył pytająco i obojętnie Jaak de Fleury. Zarządca oczekiwał rozkazów, trzymając w miażdżącym uścisku ramię Loppego i ramię Claesa.

- Mieszkał u was - powiedział Juliusz.

Świetliste oczy zmierzyły Claesa: od powyginanego kapelusza poprzez uszkodzony napierśnik i nierówny kraj kaftana aż po podarte pończochy i pożyczone, zdarte buty.

- Wielu tu mieszkało - oznajmił Jaak de Fleury. - Który to? Ten złodziej? Wszyscy kradli. Może to ten, który twierdził, że zgwałciła go moja żona? Ale nie, to przecież byliście wy, panie Juliuszu, nieprawdaż? No to ten, który nawiązał niezwykłej natury stosunki z podwórzem? Tak, to był Claes. O ile pamiętam, wysłałem go tam, gdzie siusianie mogło być przydatne. Do farbiarni Charetych. Jak to dobrze znowu go zobaczyć.

Notariusz przepowiedział, że Claes będzie się uśmiechał; i Tobiasz przekonał się, że miał słuszość. Uśmiech był doskonale szczery, nie kryło się za nim zakłopotanie ani poczucie winy.

- Wszystko to zawdzięczam wam, stryjeczny dziadku - powiedział Claes. - Mówiłem im.

- *Stryjeczny dziadku?* - powtórzył kupiec. Cofnął się i wybuchnął śmiechem. - Przypuszczam, że to zamierzona zniewaga. Polecenie wdowy, by wprawić mnie w zakłopotanie. To mogłoby się zdarzyć, gdybyś był moim bękartem, a nie mojej zmarłej bratanicy. Ale wybaczam ci. Lekka chłosta, Agostino; i zamknij chłopaka w szopie. Chodźmy, bo marznę.

- Wszyscy marzniemy, monseigneur - rozległ się ochrypy i głuchy głos

Astorre'a, unoszącego krótkie ramiona. Bez widocznego wysiłku jedno ramię kapitana uwolniło niewolnika Loppe z uścisku zarządcy, drugie zaś oswobodziło Claesa. - Nie zajmujcie sobie głowy tym śmieciem. To nasza własność i posłuży nam w domu. Jest tu śpiewak Cosima de Medici, zamarzający na śmierć. Czy będziemy tak stać cały dzień?

Wyraziście oczy Jaaka de Fleury spoczęły na kapitanie.

- Puśćcie te bestie wolno w moim domu? Spodziewam się zadośćuczynienia za każdą wyrządzoną szkodę.

- Dostaniecie je - rzekł Astorre. - Czy możemy teraz wejść? Interesy czekają.

- Ach tak, interesy - powtórzył Jaak de Fleury. - W dodatku niewieście. Jakże one są powabne w swej niewinności. Bóg każe nam ich bronić, a my to czynimy. Ale kto nam zwróci wydatki? Nie dziedzic. Nie zachwycający, młody panicz Feliks swymi figlami gołowaśa. A zatem, drogi Juliuszu, już ich nie stać, by wam zapłacić? Musicie walczyć, by zarobić na życie, tak jak wzgardzone przez was bestie? Jakie to smutne. A kim jest ten człowiek?

- Jestem lekarzem, monsieur de Fleury - odparł Tobie. - Tobiasz Beventini.

Oczy skierowały się wprost na niego.

- Krewny? - spytał Jaak de Fleury. - Krewny Jeana-Mathieu Ferrari? Nikt dotychczas o to nie zapytał.

- Bratanek - odparł Tobie. Czuł na sobie wzrok Juliusza.

- Szkolony w Pawii?

- Tak, monsieur - przyznał doktor. - Zawarłem umowę z kapitanem Astorre. Pragnę zdobyć doświadczenie wojenne.

- Wasz stryj byłby przeciwny - stwierdził kupiec.

- Na szczęście - powiedział Tobie - to moja rzecz, nie jego. W tej chwili przedmiotem mej troski jest ten zakonnik. Zimne powietrze może zaszkodzić mu na gardło. Messer Cosimo byłby zawiedziony.

- Nie dbam o to - odparł Jaak de Fleury. - Medyceusze są mymi dłużnikami. Signor Nori odpowiada za genewską filię Medyceuszów. Signor Sasseti, dawny kierownik, odwiedza go czasami. Któryś z nich zajrzy wkrótce po papiery. Nori ma mnóstwo pieniędzy i wiecznie niedomaga. Kopalnia złota dla was. Sprzedajcie mu lek. Zapłaci. Sprzedajcie mu cokolwiek: jest przekonany, że dręcą go wszystkie znane nauce choroby. Idźcie tędy. Moja żona zajmie się wami.

Odszedł, a za nim Astorre i notariusz. Madame de Fleury nie pojawiła się wcale. Po chwili, pochwyciwszy spojrzenie Anglika Tomasza, Tobie wszedł do domu, trzymając za łokieć brata Gillesa. Za nimi podążył Tomasz z wysokim Afrykańczykiem i Claesem, którzy powoli szli za nim, rozglądając

się dookoła. Ukazały się schody, ku którym ruszył Tobie; lecz powstrzymał go jakiś szybki ruch. Młody Claes wyciągnął zza drzwi przestraszoną niewiastę w średnim wieku, która mięła fartuch zaczerwienioną dłonią.

- Nie poznajesz mnie - rzekł Claes szczerząc do niej zęby. - Claikine, Tasse. Pamiętasz dziesięcioletniego Claikine? Kokosz wysiadująca gotowane jaja?

- *Claikine!* - bezkształtna twarz, przypominająca surowe ciasto, przybrała wyraz zdumienia, rozpoznania i wreszcie radości. - Jakżeś wyrósł, Claikine!

- Niczym żywopłot - stwierdził. - Powiodło mi się w życiu. Jak się Tasse miewa?

Opuściła fartuch, a Claes wsunął wielkie dłonie pod jej pachy i uniósł ją w powietrze. Westchnęła, rozpromieniona, raz i drugi; a jej włosy wysunęły się spod czepca szarymi pasmami.

Od drzwi dobiegło inne westchnienie. Tuż po nim rozległ się krzyk.

- Mordują! Grabią! Rabują! - krzyczała Madame de Fleury.

ROZDZIAŁ 11

Tobie pomyślał, że nie może to być nikt inny, jeszcze zanim Esota de Fleury weszła z sieni w krąg światła. Szelest ciężkiej sukni, migotanie klejnotów wokół szyi, woń zamorskich olejków - była to madame lub kochanka. A nikt nie wspominał o kochance. Później dość melodyjny głos, drżący z lęku, zawołał:

- Mężu! Jacyś mężczyźni w domu! Och Tasse, Tasse, jesteś zgubiona! Jej głos podniósł się w znany Tobiemu sposób.

- Postaw tę kobietę! - powiedział Tobie do młodego Claesa. Przez chwilę czuł zawodową dumę z tego, że Claes niemal tuż po wyzdrowieniu mógł podnieść i trzymać w górze dorosłą kobietę. Następnie ruszył ku zdenerwowanej Madame de Fleury, która natychmiast zemdłała. Tobie pochwyił ją, zachwiał się lekko i położył na posadzce. Claes, już bez uśmiechu, przestał ścisnąć służącą Tasse i postawił ją na ziemi. Czarny Loppe, choć nikt mu nie kazał, zdjął lampę z haka i przyniósł bliżej. Tobie pochylił się nad połowicą Jaaka de Fleury.

Z pewnością spodziewał się ujrzeć postawną kobietę. Reszta była dlań widokiem przedziwnym. Jeżeli jej mąż miał, jak się wydawało, około pięćdziesięciu lat, Madame de Fleury miała ich trzydzieści lub mniej; gładką skórę i gęste, lśniące brązowe włosy, przybrane teraz wstążkami jak gdyby z okazji jakiegoś przyjęcia. Gdyby nosiła' maskę, mogłaby - pomimo pewnych niedoskonałości budowy - budzić męskie nadzieje. Bez maski była niezaprzeczalnie brzydka. Patrząc na pokryty brodawkami nos, zbyt dużą szczękę, niskie, cofnięte czoło i małe, zaciśnięte oczka, Tobie zastanawiał się łagodnie, jak wielki posag skłonił Jaaka de Fleury do poślubienia jej. Krzepkie ciało spowite było w aksamit. Bezdzienna, tak mówił notariusz. I obwieszona szmaragdami. Jedna z jej rąk uniosła się po omacku ku niemu. Ujął ją własnymi dłońmi.

- Nie lękajcie się, Madame de Fleury. Jesteśmy gośćmi. Z Brugii. Od waszej krewniaczki, Marian de Charetty.

Otworzyła oczy, a następnie usta, ukazując wielkie zęby.

- Tasse - powiedziała. - On ją napastował.

Tobie objął ją ramieniem i nie bez trudu pomógł jej wstać.

- On ją witał - odparł. - Czy nie widzicie, kto to jest?

Był świadom, że za jego plecami stoi z groźną miną zniecierpliwiony Anglik Tomasz, a czarny Loppe ostrożnie wycofał się w cień.

Claes i niewiasta służebna stali obok siebie. Służka, która wydawała się przestraszona, zerknęła na młodzieńca. Spojrzenie Claesa spoczęło na półleżącej kobiecie. Jego twarz pozbawiona była wyrazu i dołków w policzkach, a usta ściągnęły się w węższą niż zwykle kreskę. Później, nieoczekiwanie, rozchyliły się w znajomy sposób.

- Nie przytąpiecie mnie na zniewalaniu kobiet, kiedy Juliusz jest w pobliżu. On się na tym zna. Czy mam go tu przyprowadzić?

Kobieta zmarszczyła brwi, poruszyła się lekko w uścisku Tobiego i zapytała:

- Mały Claikine?

- Nie. Duży Claes - odparł czeladnik ze spokojem. Nie zbliżał się do niej.

- Czuję... - zachłysnęła się kobieta.

- Pozwólcie zaprowadzić się do sypialni - rzekł Tobie. - Jestem medykiem. Wasz małżonek powinien was uprzedzić o naszym przybyciu.

Wysoko położona twarz zwróciła się ku niemu, spoglądając potulnie.

- Zapomniałam - powiedziała. - Jest zajęty. Wino dla gości. Moi słudzy...

- Zajmą się nami. Jest mnóstwo czasu. A wy powinniście udać się do sypialni. Pomogę wam. Tomaszu, Claesie, Loppe... zaczekajcie tu na mnie.

Pomagając jej wyjść zauważył spojrzenie, jakie znał ramienia rzuciła Claesowi. Claes jednak wycofał się już dyskretnie pod ścianę i stanął obok Loppego, do którego szeptał coś z uśmiechem. Tobiemu zdawało się, że słyszy echo własnego głosu. Z trudem odprowadzając osłabioną panią de Fleury do komnaty, uświadomił sobie, że tym razem chyba odsłonił układ zależności, które lepiej byłoby pozostawić w spokoju. Mógł sobie z tym poradzić. Znał własne możliwości. Ale to... to nie zapowiadało się przyjemnie.

Zapowiedź została spełniona. Pani domu wymówiła się od kolacji. Pan, który w końcu pojawił się w towarzystwie Astorre'a i notariusza Juliusza, wydawał się wielce niezadowolony i przy stole ograniczył się do dwuznacznych grzeczności. Loppe i Claes, o ile w ogóle jedli, byli poza zasięgiem wzroku; a Tomasz, siedzący w pobliżu, wkrótce przekonał się, że lepiej trzymać gębę na kłódkę. Pan de Fleury nie miał zbyt wiele czasu dla wysłanników nie spokrewnionej z nim Marian de Charety i po załatwieniu interesów chciał się ich już pozbyć. A nie było o tym mowy aż do następnego dnia, kiedy to wezwie ich Francesco Nori od Mecydeuszów.

Naturalnym biegiem rzeczy oddano im dwie sypialnie: w jednej spali

Astorre i Anglik, a z nimi Claes na podłodze; w drugiej Tobie i Juliusz w towarzystwie Loppego. Tobie, który miał kłopoty z trawieniem, udał się w nocy do wyznaczonego miejsca na podwórzu; a powracając natknął się na opatuloną postać, w której z przerażeniem rozpoznał panią domu. Ona zaś, z nie mniejszym przerażeniem, wycofała się pośpiesznie, z przeproszającymi pomrukami, wlokąc za sobą suknie. Zanim się położył, Tobie zadał sobie trud odszukania całej swej grupy. W jego pokoju chrapali Juliusz i Loppe. W sypialni obok sen zmorzył Astorre'a i jego zastępcę, lecz najwyraźniej odbiegł byłego czeladnika Claesa, którego nigdzie nie było widać.

Tobie usnął, a obudził się w pustym pokoju, wśród piekielnego zgiełku. Leżał i czekał. Wreszcie Juliusz otworzył drzwi, wszedł i usiadł przy jego pościeli z ironicznym wyrazem na przystojnej twarzy.

- Słyszysz?

- Nie mam śmiałości wyobrazić sobie - odparł doktor - co się stało. Ale mogę odgadnąć. Madame została zniewolona?

Klasyczna twarz o prostym nosie złagodniała.

- Przypuszczam, że już się z tym stykałeś?

- To dość częste - rzekł Tobie. - Czyżby tym razem Murzyn?

Twarz przed nim miała gorzki wyraz.

- Jaką można by z tego czerpać przyjemność? - spytał notariusz.

Tobie usiadł.

- Nie...

- Oczywiście - oznajmił Juliusz. - Claes.

- Co się z nim stanie?

- To zależy od pana Jaaka - odparł Juliusz. Jeśli będzie nalegał, czekają chłopaka długie lata więzienia. Albo go okaleczą. - Umilkł na chwilę.

- Astorre spróbuje temu zapobiec. Ja uczynię więcej. Dopilnuję, by to się nie stało.

Tobie stykał się już wcześniej z takim rodzajem ciszy.

- Nie pomożesz mu narażając się samemu na karę - powiedział.

- Wystarczy, że Astorre przysięgnie, iż chłopak nie wychodził z sypialni. Czy nie może tego zrobić?

- Astorre i Tomasz poszli spać pijani - odparł Juliusz. - Wszyscy to widzieli. Nawet gdyby Claes wcisnął im Esotę do łóżka, nie zauważyliby tego.

Doktor przyjrzał mu się uważnie.

- Kiedy go poznaliśmy, pan Jaak napomknął o innym zdarzeniu. Oskarżył ciebie, jak sądzę, fałszywie. A zatem jest to dla Madame de Fleury rzecz zwyczajna. Jej małżonek jest tego świadom, inni prawdopodobnie także. Czy oskarżenie przeciwko chłopcu może się utrzymać?

- Och, tak - odparł Juliusz. - Ta dama ma tu ustaloną opinię. To

zaoszczędzi Claesowi najwyższego wymiaru kary. Ale na tym nie koniec. Jaak jest bogaty i cieszy się łaskami króla Francji. Claesa nie było w sypialni. Ciebie zresztą również.

- Tropiłem Claesa - wyznał doktor. - Jak można wytłumaczyć taki zbieg okoliczności? Nie mogąc usnąć zająrzałem na podwórze, znalazłem tam chłopaka i wdałem się z nim w pogawędkę. Powróciliśmy do domu o świcie, jak mniemam; i obawiając się, że obudzimy jego współmieszkańców, zaprowadziłem go do własnej sypialni. Zapewne widziałeś go tam, gdy wstawiałeś.

Pod smagłą skórą na twarz Juliusza wypłynął rumieniec.

- A zatem - zaczął - kto odwiedził madame de Fleury?

- Postać ze snu - stwierdził doktor. - Ta nieszczęśliwa istota jest bardzo podatna na takie rzeczy. Przepiszę jej kojącą miksturę. Najpierw jednak powiadomię naszego przyjaciela Claesa o jego nocnych poczynaniach. Jak myślisz, gdzie mogę go znaleźć?

Tobie, którego jedną z cech była wytrwałość, odkrył w końcu zamkniętą piwnicę, w której siedział czeladnik, a następnie niepostrzeżenie dotarł do użytecznego, choć zakratowanego okienka. Znajdowało się ono tuż nad ziemią. Kiedy przykucnął obok i zawołał, usłyszał równie cichą odpowiedź. Przybył na czas, przynajmniej aby przekazać swą historię Claesowi, jeśli nawet - jak stwierdził - nie uprzedził pierwszego bicia ze strony parobków de Fleury'ego. Nie było to nic gorszego - jak powiedział Claes nieco niepewnym głosem - niż zwykłe postępowanie Tomasza. Gdzie zatem - chciał wiedzieć Tobie - Claes przebywał poprzedniej nocy? Zająrzał w głąb piwnicy; Claes podniósł oczy, a na jego rozbrajającą twarz padał cień Tobiego.

Medyka nic nie dziwi. Tobie Beventini był całkowicie przygotowany na to, że coś zaszło między jego pacjentem a tą kobietą de Fleury. Była zdolna zaczepić chłopca. Chłopiec zaś, z sobie tylko znanych przyczyn, był zdolny - jak myślał Tobie - wykorzystać to dla siebie. Zemsta przybiera niekiedy osobliwy kształt. Rozumiał Claesa inaczej niż Juliusz.

- Ona ma nienaturalną budowę. Poślubił ją dla pieniędzy.

- Cóż z tego? - spytał Tobie.

- Dzięki temu uwierzyła, że jest ponętna. Meester Juliusz wie. Dlatego stąd odszedł. Smutne. Ale jej mąż z tego korzysta.

- Dlaczego więc cię oskarża? - spytał Tobie. - 'I gdzie spędziłeś minioną noc?

- Z ich służbą - odparł Claes. - Ale nie mówiłbym o tym głośno. Wyostałem się stąd przed ośmiu laty, lecz wielu innych zostało. Jest jeszcze pewna bratanica... Mniejsza o to. Oskarżono mnie, ponieważ udało mi się

stąd wydostać. Nie mam nic do stracenia, więc mógłbym opowiadać o chorobie madame Esoty.

- *Chorobie?* - powtórzył Tobiasz.

Claes zerknął na niego kątem oka.

- Nie wiecie, co to znaczy być brzydkim - rzekł. - I zaślubionym Jaakowi de Fleury.

Tobie przyglądał się chłopcu.

- Gdyby nie ja, de Fleury byłby cię zniszczył. Twego przyjaciela notariusza najprawdopodobniej także. Jesteś wielce wspaniałomyślny, mój drogi Claesie. Jeśli jednak sam nie stajesz do walki, cały ciężar spada na tych zwierchników. A może tego właśnie chcesz?

Claes poruszył się w dole, zaszeleściła słoma. Odezwał się:

- Czy w to wierzycie? Mam nadzieję, że nie. Nigdy nie zdołam się wam odwdziżyć za troskę. Lecz doprawdy nie musieliście nic robić.

- Nie dbasz o to, że stracisz nos lub dłoń?

- To może nastąpić, ale nie musi - odparł Claes nieśmiało. - Sam to rozegram, dobrze albo źle. Naprawdę. Doceniam wszystko, coście zrobili. Drugi raz spieszycie mi z pomocą. Tym razem jednak nie chcę mieszać w to innych.

- Nie masz wyboru - rzekł Tobie. - Nikt nie ma.

Claes umilkł. Milczał z rozmysłem. Tobie naciskał:

- Nigdy o tym nie myślałeś?

- Myślę o ludziach zależnych ode mnie - powiedział Claes. W piwnicy było zimno, ale siedział bez ruchu, objawszy ciało ramionami. - Nikt nie musi dzielić ze mną brzemienia.

- Nawet ludzie zależni od ciebie? - spytał Tobie.

To speszyło nieco młodzieńca.

- Wy i Meester Juliusz nie należycie do nich - odparł.

- Być może nie. Ale mamy cię na sumieniu - powiedział Tobie. - Jeśli pozwolimy, by dotknęła cię niesprawiedliwość, upodlimy sami siebie. Czy tego chcesz czy nie, musimy się wtrącić. Tak samo jak ci, którzy coś ci zawdzięczają. Nie jesteś całkowicie niezależny. Czy nie usłyszałeś tego od swej chlebodawczyni po jednej z tych twoich wypraw? Ale może to nieuczciwe, przypominać ci o nich? Tym razem w niczym nie zawiniłeś. Przyjmij zatem pomoc ofiarowaną z dobrej woli.

- Gdysbym o nią poprosił, tak - powiedział chłopak. - Panie Tobie...

Nie mógł zgłębić zamysłów młodzieńca. Czekał.

- Panie Tobie... - powtórzył Claes - to niemili ludzie, lecz nie muszą zostać ukarani. Zwłaszcza ukarani śmiercią.

Tobie spojrzął na krewnego i więźnia Jaaka de Fleury.

- Któż miałby karać ich śmiercią? - zapytał.

Twarz w dole rozjaśniła się nieco.

- Dobry Bóg - odparł Claes. - Od tego nikt ich nie uchroni. A prócz tego... kto inny, miksturą.

- Pojmuję - rzekł Tobie i popadł w zamyślenie. W końcu dodał: - Nie widzę takiego niebezpieczeństwa. Nie trap się tym.

- Nie będę - powiedział Claes z uśmiechem na uniesionej twarzy.

Tobie, kiedy odszedł, czuł uśmiech przymarznięty do własnej twarzy; z tym uśmiechem powrócił do pokoju i otworzył swój kuferek.

Jak dotąd niczego nie brakowało. Zamknął kuferek... przed kim? Astorrem i jego pachołkami, którymi gardzi Jaak de Fleury? Juliuszem, broniącym Claesa i mającym własne powody do zemsty? Jednym ze źle traktowanych służących de Fleury'ego, podsłuchanych w kuchni? A może przed samym Claesem, obawiającym się, że zostanie zmuszony do samoobrony wpieranej mu w rozdrażnieniu przez doktora i Juliusza.

Nie. Nie wierzył w to. Nie wierzył, że Claes będzie kiedykolwiek zmuszony do czegokolwiek wbrew własnemu osądowi. Tylko raz widział go zupełnie bezradnego - na przystani w Damme. W tej chwili jego motyw był chyba prostszy niż Tobie myślał. I smutniejszy. Ktokolwiek bowiem skrzywdziłyby Jaaka de Fleury lub jego żonę, wina spadnie na Claesa.

Doktor w zamyśleniu włożył klucz do kapciucha, udał się na poszukiwanie gospodarza, Jaaka de Fleury i przekazał mu szczęśliwe wieści o niewinności Claesa. Początkowo pan Jaak nie mógł uwierzyć, że nie zgwałcono jego małżonki. Doprawdy, nie znając go można by pomyśleć, że czuje rozczarowanie. Gdy jednak Tobie odwołał go na stronę i wyjaśnił (po łacinie), jakiej dokładnie natury jest choroba Madame, Jaak odzyskał rumieńce i naturalny oddech, a nawet (w końcu) podziękował Tobiemu za mile widzianą diagnozę.

Po pewnym czasie przypomniał sobie, że młody Claes siedzi zamknięty w piwnicy, i posłał pachołków, by go uwolnili. Zagadnięty o zadośćuczynienie dla Claesa za chłostę, pan de Fleury obiecał, że o tym pomyśli. Nic na to nie wskazywało. Jedynym zadośćuczynieniem Claesa było to, że zachował w stanie nienaruszonym swe ręce i twarz. W końcu wyszedł z piwnicy, kipiąc energią niemal tak jak zwykle, lecz przy tym niebywale opanowany; a Loppe otrzymał od Tobiego nieco więcej maści. Później Claes zniknął w stajni, a poranne sprawy przebiegały tak, jakby nic się nie stało.

Nikt nie zaproponował odwiedzin medyka u pani domu. W pewien sposób Tobie żałował tego. Pragnął zadać jej kilka pytań, mając dla pewności po bokach Juliusza i jej męża. Poszedł do kuchni, gdzie dostał piwo i placek, i odbył długą rozmowę z kobietą zwaną Tasse, podczas gdy Juliusz zmagął

się z przedstawicielami Medyceuszów, o których Jaak de Fleury na pozór niewiele dbał.

Wielu mogło twierdzić, że gardzi Medyceuszami, lecz nieliczni tylko mogli ich lekceważyć. W Londynie, Brugii, Wenecji, Rzymie, Mediolanie, Genewie, Avignonie ich starannie zarządzane banki miały wpływ na sprawy różnych krajów. Same banki zaś podlegały pieczy głowy rodu, błyskotliwego, podagrycznego starca, Cosima de Medici, rezydującego w pałacu we Florencji.

Miał męskich następców. Co lepsze jednak, miał także na swe usługi pokolenia wyszkolonych ludzi interesu, tropiących się wzajemnie z miasta do miasta. Juliusz znał niektórych spośród nich. Rodzina Portinari, do której należał Tommaso od pierścieni; jego bracia strzegli Mediolanu. Rodzina Nori, łącznie ze starym Szymonem z Londynu i młodym Francesco, od wielu lat w Genewie. Wraz z Francesco Nori warto wymienić jego przełożonego nazwiskiem Sassetti, tuż przed czterdziestką, o rzymskim nosie, ze strzechą kręconych włosów, który obdarzył pana de Fleury najbardziej posępnymi i urzędowymi pozdrowieniami, zanim nie odnowił znajomości z Juliuszem i nie poklepał przyjaźnie po ramieniu kapitana Astorre.

Astorre strzegł już wcześniej zamówionych towarów. Dla Astorre'a takie spotkania były rzeczą zwyczajną. Juliusz dostrzegł na jego twarzy wyraz pewnego napięcia, który przypomniawszy mu, że i kapitan ulokował pieniądze w Genewie, czym się raz przechwalał. Pan de Fleury zaproponował mu, jak się wydawało, wysokie odsetki i gwarancję bezpieczeństwa, na wypadek, gdyby coś się przytrafiło kompanii Charetty.

Juliusza zaciekawiło to, że mimo pogardy dla Astorre'a Jaak de Fleury nadal pragnął korzystać z jego usług. Najwyraźniej ten człowiek nie dopuszczał osobistych odczuć w kwestii zysku. Sprawni najemnicy mogli zarobić masę pieniędzy: długotrwałe powodzenie, jedno widowiskowe zwycięstwo lub paromiesięczne pładrowanie mogło wynagrodzić górami złota każdy szczęśliwy bank, któremu udało się przyciągnąć taką lokatę. Gdyby Astorre podpisał pierwszorzędny kontrakt w Italii i dobrze go wykorzystał, de Fleury osiągnęłyby duże zyski. Własne pieniądze Juliusz ulokował u Strozzich. Marian de Charetty, niech ją diabli, wiedziała o tym. W tych czasach nikt nie dochowywał sekretu.

Astorre uczestniczył w porannych rozmowach. Dotyczyły głównie sprawdzania i wystawiania kwitów na towary zamówione z Brugii do Genewy. Następną sprawą był urzędowy przegląd towarów wiezionych z Brugii do Italii dla Medyceuszów. Odwiązano i przejrzano gobeliny i złote

nacznia. Wezwano i przedstawiono brata Gillesa, lecz nie kazano mu dowodzić posiadania warunków głosowych. Na koniec wyprowadzono ze stajni na dziedziniec cztery rumaki mające ucieszyć Messer Pierfrancesca.

Jaak de Fleury przez cały czas zachowywał wyraz niewysłowionej wyższości i był dla medycejskich zarządców równie przystępny jak dla ludzi służących jego dalekim powinowatym, Charettym.

Juliusz z dokumentami w ręku wyszedł z Astorre'em i innymi, by doglądać koni wyprowadzanych na inspekcję i zobaczył, że Claes wyłonił się ze stajni i pomaga parobkom. Juliusz odczuł ulgę i rozbawienie zarazem, widząc go na wolności. W odróżnieniu do Feliksa, chodzącej Biblii rodowodów i miotów, Claes zupełnie nie znał się na zwierzętach. Wbrew niedawnym kpinom swego stryjecznego dziadka całokształt jego doświadczeń w tej dziedzinie ograniczał się do wołów pociagowych, psa, którego zabił lub nie zabił pałką oraz koni o twardych pyskach i grzbietach, z których systematycznie spadał przez większą część drogi do Genewy. Było zatem rzeczą godną uwagi, że polubił szlachetne konie medycejskie, a one jego. Noce, które spędził dzieląc z nimi słomę, doprowadziły do swoistej poufałości. Przynosił im garściami niedozwolone jadalno. Kiedy przechodził obok, wpychał mu pyski do ucha, aż kapało.

Zwierzęta i pilnujący ich ludzie zatrzymali się właśnie przed dwoma wysłannikami Medyceuszów, a Claes zawracał, by odejść, kiedy Sassetti przemówił:

- Cóż to ja widzę? Czy się mylę, czy znam tego młodzieńca? Claikine?

Claes odwrócił się i spojrział. Kędzierzawe włosy, przypłaszczzone po trzech tygoniach noszenia hełmu, miały tę samą barwę co rdza na napierśniku; twarz jak zwykle była umorusana, a pod okiem znajdowało się coś bardzo zbliżonego do sińca.

- Messer Sassetti - uśmiechnął się szeroko.

- I Messer Nori. No tak - rzekł Sassetti. Od pana de Fleury płynęły fale lodowatej obrazy. Zarządca Medyceuszów nie zwrócił na nie uwagi. - I oto jesteś, jak widzę, żołnierzem. U kapitana Astorre'a? Chcesz zdobyć majątek?

- Sassetti odwrócił się ku Juliuszowi i doktorowi. - Najzwawsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziałem w tym domu. Istna zgroza, nieprawdaż? Ale za to dobry goniec, dostarczyciel szybkich przesyłek, *volando*. Szkoda, że moi biuraliści nie biegają tak szybko. Cóż... - tu uśmiechem oddalił Claesa - oto i konie.

Pochwalił konie. Teraz pozostał im wszystkim, zanim zamarzną, tylko powrót do domu i dokonanie urzędowego przekazania poleconych przesyłek dla Medyceuszów. Juliusz posłał Loppego po sakwę, otworzył ją, rozwinął ciężki, nasycony tłuszczem papier i rozłożył jego zawartość na stole pana

Jaaka, tak że woskowe pieczęcie, twarde i lśniące, leżały niczym bukiety kwiatów.

Najpierw wybrał paczuszki dla Medyceuszów z pieczęcią Simona Nori z Londynu; pakiet od Angela Tani z Brugii i drugi od Abła Kalthoffa, agenta z Kolonii, wszystkie z *il segno* w kształcie gruszki, zwieńczonym krucyfiksem, z trzema majestatycznymi punktami będącymi oznaką Medyceuszów. Wszystkie miały nietknięte pieczęcie i białe nici. I wszystkie były nieprzeniknione, nawet gdyby ktoś naruszył pieczęcie. Żaden bankier w Europie nie przakazałby otwarcie na piśmie ważkich informacji innemu bankierowi. Medyceusze zaś mieli najlepsze szyfry na świecie.

Niemniej Sassetti i jego towarzysze obejrzeni przesyłki dokładnie acz dobrodusznie, zanim schowali je do własnych sakw, po czym skorzystali ze sposobności - jak to bankierzy - by zerknąć od niechcienia na pozostałe pakiety, czekające na przekazanie właścicielom. Pismo, które Marco Corner, kupiec wenecki, przesyłał swemu krewnemu Giorgiowi w Genewie. Wiadomość od Jacquesa de Strozzi dla Marca Parenti, kupca bławatnego, męża Cateriny, siostry Lorenza mieszkającego we Florencji. Kolejna - od Jacopa i Aarona Doriów dla Paula Dorii w Genui, wysłana na ręce mediolańskiego przedstawiciela B anku Św. Jerzego. No i co najmniej tuzin przesyłek zaadresowanych na bank medycejski w Mediolanie; ich dobrane pieczęcie przedstawiały wizerunki postaci z aureolami, wyciśnięte w najdroższym wosku.

Sassetti wysunął gruby palec i uniósł jedną z nich.

- Biskup St. Andrews w Szkocji - rzekł. - Annates oczywiście. A może raczej zbiory papieskie? Teraz pojmuję dlaczego nasze skromne przesyłki są tak pilnie strzeżone. Jak papież mógłby rozgromić Turków, gdyby złoto nie dotarło do jego rąk?

- Mój drogi Sassetti - odezwał się Jaak de Fleury. W jego przystojnej twarzy ironicznie połyskiwały wydatne kości policzkowe. - Kto mógłby sobie wyobaczyć, że ten były bawidamek z Watykanu zgromadzi kiedykolwiek wystarczającą sumę, by wyprawić choć jedną łódkę? Czy pomoże mu w tym Burgundia? Nie. Czy Mediolan ruszy palcem? A ci wszyscy woniejący pustelnicy ze Wschodu, których wezwał, by wsparli dłoń Kościoła w krucjacie? Czegóż oni chcą prócz domu, zapłaty i piśmiennych uczniów, mogących wystawić ich po grecku dla potomności? - Kupiec uniósł potężne ramiona i wydał stłumiony jęk. - Król Szkocji musi być szalony, że posyła pieniądze. Jego siostra jest co najmniej głupia. Mieszkała tu przez lata, zaręczona z hrabią Genewy, póki król Francji nie wykazał niestosowności takiego małżeństwa; a wówczas odesłano ją do Szkocji.

- Jest krewną biskupa Kennedy - wtrącił Juliusz. - Może jej posag wyrównuje wszystko.

Ludzie Medyceuszów, którzy znali sprawę, zachowali wyrazy twarzy pełne niezmaconej uprzejmości. Juliusz, pojawiwszy aluzję, poniechał tematu. Pieniądze od biskupa St. Andrews, o czym dobrze wiedział, były przeznaczone na okup za brata Nicholaia de' Acciajuoli. Jeśli Grek zamierzał kwestować także tutaj, byłoby niedźwiedzią przysługą podkreślać, ile dotychczas zebrał.

Rozmowa miała się ku końcowi. Jaak de Fleury nie uczynił nic dla jej przedłużenia. Juliusz bardzo dobrze wiedział, że Jaak de Fleury nie może się doczekać chwili, gdy pozbędzie się ludzi Medyceuszów, a następnie ujrzy ich wszystkich w podróży jeszcze przed zmrokiem. Jaak de Fleury nie był uradowany ich towarzystwem.

Wynikły jednak pewne trudności. W banku medycejskim gromadzono właśnie świeży plik sprawozdań dla Mediolanu. Messer Nori przyniesie je jutro. A kapitan Charetych niechybnie podejmie się przewozu. Proponowano wysoce korzystną zapłatę. Pan de Fleury z miejsca odmówił dalszego zabawiania kompanii Charety. Juliusz, po szybkich i stanowczych negocjacjach, osiągnął porozumienie z Norim. Gdyby teraz wrócił i zebrał listy, Juliusz pośle po nie umyślnego do banku. Cieszył się, że o tym pomyślał. Później, kiedy przyszło wybierać posłańca, pomyślał, że Claes - znający Sassettich i Genewę - zasługuje na małą wycieczkę.

Notariuszowi nie przyszło na myśl, że pan de Fleury mógłby tego nie pochwalić. Spakował papiery i poszedł pomóc Astorre'owi w ponownym załadunku i ustawieniu kawalkady. Potem nadeszło od pana Jaaka wezwanie do niezwłocznego stawienia się w jego gabinecie. Rozmowa była bardzo nieprzyjemna. Juliusz wyszedł stamtąd błądy od powstrzymywanego gniewu i pomaszerował do siebie. Pierwszą napotkaną osobą był Claes, dźwigający rzeczy Tomasza.

- A więc wróciłeś! - powiedział Juliusz.

Claes wydawał się zaskoczony.

- Musiałem zaczekać. Nie wszystkie listy były gotowe.

Juliusz opadł na posłanie.

- Stary potwór był pewien, że uciekniesz albo wydasz wszystkie jego tajemnice.

Claes zrobił współczującą minę.

- Czy groził wam obcięciem rąk? Nie, dali mi trochę piwa i wypytywali o Meester Tobiego. Opowiedziałem im o kapitanie Lionetto i jego szklanych rubinach.

- A o de' Acciajuolim? - spytał Juliusz.

Claes zmarszczył czoło.

- Nie. Medyceusze mają własną fabrykę jedwabiu. Wiecie? Powiedziałem im o panu Arnolfinim: czy to źle?

- Nie. Amolfini i kompania de Fleury tylko handlują z sobą. To nie ma znaczenia - odparł Juliusz. - Kompania Charetty nie zajmuje się jedwabiem.

- Całe szczęście - rzekł Claes. - Co oni wygadywali o wdowie!

Juliusz usiadł.

- O naszej pani? - zapytał ostro.

Claes przyjął postawę obronną.

- Ano, o kobietach prowadzących interesy. Słyszeliście pana de Fleury. Nie podoba im się sukno, które ona przysyła. I mówią, że daje zbyt wysokie ceny.

Juliusz wbił w niego wzrok.

- Bzdury. Dajemy nawet za niskie ceny.

- Cóż, towaru nie sprzedaje się po takich cenach - stwierdził pogodnie Claes. - I jest zbutwiały.

- Co takiego?

- Być może pan Jaak przechowuje go w nieodpowiedniej piwnicy - rzekł Claes. - Ta, w której siedziałem, ażgniła od wilgoci. Może ktoś powinien mu zwrócić uwagę.

- To możliwe - odparł powoli Juliusz.

- Rozmawialiście z nim - powiedział Claes. - Czy nie wspomniał o tym?

- Nie - odpowiedział Juliusz. - Może powinienem był przyjąć jego ofertę. Zdaje się, że ktoś ciągnie zyski z kompanii Charetty.

- Ofertę?

- Chciał, żebym do niego wrócił - oznajmił krótko Juliusz. - Najpierw pytywał, czy wdowa zamierza wyjść po raz drugi za męża i czy Astorre i ja ubiegamy się o jej rękę.

- Kapitan! - rzekł Claes.

- Tak. Choć, żeby oddać mu sprawiedliwość - powiedział Juliusz - Jaak nie wydaje się popierać Astorre'a jako głowy przedsiębiorstwa Charettych. Był łaskaw stwierdzić, że to ja nadawałbym się najlepiej dla takiej kobiety. Później, gdy upewnił się, że nie dążę do tego, zaproponował, że przyjmie mnie na dawne stanowisko, skoro już wiem, jaka to nędzna rzecz trzymać się babskiej spódnicy.

Juliusz umilkł. W zwykłych warunkach nie odpowiadałby o tym takiemu smarkaczowi jak Claes, ale musiał komuś się zwierzyć, a Claes był akurat pod ręką. Claes był coraz częściej pod ręką. Nie po raz pierwszy Juliusz żałował, że Claes nie poszedł jeszcze po rozum do głowy i nie przystąpił do rozsądnej spółki, by osiągnąć pewną niezależność i móc rozmawiać z ludźmi na poważne tematy.

- No cóż, różnie z tym bywa - odparł Claes. - Odmówiliście mu, przypuszczam?

- A następnie chciał kupić Loppego. Loppego! - podkreślił Juliusz.
- To dlatego, że ma taki dobry głos - rzekł Claes kiwając głową.
- *Loppego* - powtórzył ze znużeniem Juliusz. - Nie tego mnicha. Jak to się stało, że Astorre zaprzyjaźnił się z zakonnikiem?

- Macie na myśli brata Gillesa? - upewnił się przyjaźnie Claes. - Nie ma zbyt świetnego głosu, ale był najlepszym z tenorów, których Tommaso przesłuchiwał dla Medyceuszów. Osobą śpiewającą psalmy gregoriańskie dobrym tenorowym głosem jest gwinejski niewolnik Loppe. Potrafi nauczyć się wszystkiego. Należał do Żyda, później do Portugalczyka, do Kataloriczyka, do Oudenina, a wreszcie do pani de Charety i do was. Pięć języków i chorały gregoriańskie.

Juliusz spojrział na niego. W końcu zapytał:

- Czy brat Gilles go uczy?

- Nie, sam to podchwycił. Brat Gilles był oszołomiony. Śpiewają na dwa głosy.

- A Monsieur Jaak to usłyszał - dorzucił Juliusz.

- I chce go kupić, rzecz jasna. Jest wart majątek. Sprzedaliście go? - spytał Claes.

- Nie - odparł Juliusz. - Nie sprzedałbym temu człowiekowi nawet psa. Jeśli Loppe jest taki cenny, to co z nim zrobimy? Był darem Oudenina dla wdowy.

- Opowiedziałem o nim panu Sasseti - rzekł Claes. - Księżę Mediolanu mógłby być zadowolony. Oudenin nie miałby nic przeciwko temu, by Loppe znalazł się u księcia Mediolanu. Już pytałem Loppego: myśli, że to mu się spodoba. Astorre i brat Gilles także będą zadowoleni. Może uzyskamy lepsze warunki kontraktu.

Claes niekiedy mógł zadziwić. Juliusz wpatrywał się w niego przez chwilę.

- To znaczy, jeśli on przeżyje przeprawę przez Alpy - dodał w zamyśleniu Claes.

ROZDZIAŁ 12

Przeprawa przez Alpy mogła być zajmującą historią - po powrocie do domu, czemu nie? Nie była przyjemna dla Afrykańczyków (czy słoni), którzy nigdy dotąd nie widzieli śniegu. Wykształceni młodzieńcy pisali o tym, jak dzielnie dawali się przewieźć przez góry saniami, z przepaską na oczach. Ktoś mówił o podróży w lektyce na kołach, ciągniętej przez wołu na długim postronku, podczas gdy on sam dzierżył końskie wodze.

Jedynym ustępstwem Astorre'a było załadowanie wszystkich towarów na konie i muły, a także opatulecie kocami czterech rumaków będących darem. Po namyśle opatulił kocem także Loppego, a szeroko, czarna twarz wystawała niczym gładko wypolerowany odlew. Był nieszczęśliwy.

Wiązanie i pakowanie powierzono Claesowi, który podczas podróży z Brugii okazał instynktowną biegłość w rozkładaniu ciężarów; i który potrafił wiązać węzły jak marynarz. Choć na szczytach Jury po lewej i Alp po prawej lśnił śnieg, brzegi jeziora nadal były zielone i bez wozów poruszali się szybciej, mimo że ostry, mroźny wiatr zginał drzewce chorągwi i łopotał świeżo barwionym pióropuszem na lśniącym hełmie Astorre'a.

Obliczyli, że droga z Genewy do hospicjum Świętego Bernarda na szczycie Góry Jowisza zajmie im cztery dni; i na szczęście śniegi nie spadł, dopóki nie opuścili jeziora i nie wspięli się aż do St. Pierre. W rzeczywistości dotarli tam w trzy dni, ponieważ ruch związany z papieskim zgromadzeniem w sprawie krucjaty ugrzązł wśród śniegów i pozwolił, by w gospodach i klasztorach zagościło ciepło, gwar i dobrobyt.

Istniały, rzecz jasna, inne drogi do Italii. Wojska przechodziły przez przełęcz Brenner, łagodniejszą i bardziej dostępną. Niemcy, jak Zygmunt z Tyrolu, przechodzili przez Św. Gottharda. Francuzi, Flamandowie i Anglicy, którzy nie chcieli podróżować koło Jeziora Genewskiego, mogli wyprawić towary na południe Renem do Marsylii, a w porze żeglugi udać się do Genui.

Nie była to jednak pora żeglugi, a Genuą i tak rządzą Francuzi. Dlatego kapitan, którego postrzępione ucho było sine z zimna, a broda najeżona soplami lodu, poprowadził swą grupę przez Sabaudię, także rządzoną przez

Francuzów, ale w tym znaczeniu, że król Karol dyktował księciu Sabaudii, co ma robić. Każdy jednak wiedział, że żona księcia i wszyscy jej cypryjscy krewni również dyktowali księciu, co ma robić.

Książę Sabaudii miał słaby charakter. Jego ojciec papież, zmarły przed ośmiu laty, wiedział przynajmniej, czego chce i jak to osiągnąć, jeśli nawet nie stawał z tym twarzą w twarz. Słyszano, że obecny papież nazwał nieżyjącego papieża Feliksa *zezowatą małpą*, naturalnie po łacinie. Po wszystkich oberżach i klasztorach, w których zatrzymywała się kompania Astorre'a, krążyły dyskretnie podniecające plotki o obecnym papieżu Piusie.

Kwestia mogła się wydawać drażliwa, istniały jednak inne, bardziej niebezpieczne. U Św. Maurycego siedziała grupa Anglików, uzbrojonych po zęby, z którymi nikt nie miał chęci dyskutować o ich zidiociałym królu - Lancasterze i zbuntowanych Yorkach. Albo o ich królowej - Francuzce, zwłaszcza gdy jechało się do Neapolu wojować z jej bratem. Bezpieczniej było gawędzić o starszej papieskiej wizycie w Szkocji przed dwudziestu pięciu laty i jej dobrze znanych skutkach. Po pierwsze: bękart, półkrwi Szkot, który przepadł niebawem. A po drugie: bosa pielgrzymka, która wywarła nieodwracalny wpływ na stopy Piusa Eneasza. Wydawałoby się, że papieskie stopy powinny wzbudzić ciekawość wielkiego doktora Tobiasza. Ale on tylko siedział i pił, nieustannie obserwując Claesa. Astorre to zauważył.

Przy kolejnym posiłku jakiś Mediolańczyk podążający na północ zamęczał ich omawianiem tej samej sprawy, aż wreszcie Meester Juliusz poczuł, że musi wtrącić słówko w obronie papieża.

- Zgoda, ma kilkoro bękartów - powiedział notariusz. - Czemu więc ten poetyczny burzyciel ognisk domowych przyjął święcenia, został papieżem i całą energię poświęca sprawie odzyskania Konstantynopola?

- Spotkaliście go, czyż nie? - spytał Mediolańczyk. - Cóż, niektórzy powiadają, że odmieniło się jego serce. Ja, gdybym miał na sumieniu to, co on, postąpiłbym tak samo. W każdym razie mój książę nie narzeka. Żadna krucjata nie opuści Włoch, dopóki na południu trwa wojna. Jeśli papież chce, by Mediolan walczył z Turkami, musi najpierw uczynić jedno. Musi pomóc Mediolańczykom pobić te chciwe francuskie psy, którym zachciało się Neapolu.

- Słyszeliśmy o tym - rzekł Meester Juliusz.

- Tak mi mówili. O, podejmą was w Mediolanie - stwierdził tamten.
- Jak nie wojska papieskie, to mediolańskie; albo poślą was prosto do Neapolu z odsieczą dla króla Ferrante, jeśli taka będzie wasza zachcianka. Powiadam wam, uważajcie w drodze. Wszędzie pełno miłośników Francji, wybierających się na spotkanie w Mantui. Jeśli to możliwe, unikajcie ich towarzystwa.

Rada była dobra, choć trudna do wprowadzenia w życie wysoko w górach, gdzie śnieg padając tworzył grubą, puszystą okrywą - niczym kłaki wełny podczas strzyżenia i gręplowania - i powoli zasypywał wydeptane ścieżki. Konie szły ze zwieszonymi łbami; rany pokrywały twarze ludzi między brodami a brwiami, a kiedy wycierali nosy, ich palce przymarzały do oston na twarzach. Wówczas każda grupa majająca pośród bieli witana była z ulgą, gdyż bezpieczeństwo tkwiło w liczebności.

Kiedy w końcu wielojęzyczna karawana dotarła do klasztoru założonego przez Św. Bernarda, nawet jej angielska część zmiękła i zaczęła pić i jeść wraz z innymi w parującym ciepłe refektarza; kazano także służącym odpowiadać na pytania Claesa, który wypróbowywał na nich angielszczyznę Jana Bonkle. Nazajutrz rano pierwszy zerwał się jednak Astorre, który zaczął przygotowywać całą swą grupę do drugiego, cięższego etapu podróży. Wiązanie pozostawił Claesowi, którego trzeba było wyciągać z sąsiedniego podwórza, gdzie usiłował naprawić pompę.

Błogosławieństwo, które Claes otrzymał od przeora, Astorre uznał za przesadne; mogło jednak przyczynić się do utrzymania chłopaka na końskim grzbiecie, póki nie przemierzą gór. Ten głupiec czynił pewne postępy. Przysłuchując się rozmowom Astorre stwierdził, że żołnierze mniej natrząsają się z Claesa, choć niektórzy - ci brutalniejsi - nadal korzystali ze sposobności wypłatania mu figła.

Kapitan mniej doświadczony niż Astorre mógłby chcieć ich powstrzymać, zanim czyjaś ręka lub noga zostanie złamana. Ale z tego nigdy nic dobrego nie wynikało. Mężczyźni po prostu brzydzili się czymś, co uważali za protekcję, i tym gorzej obchodzili się ze swą ofiarą, kiedy ich nie widziano. Zależało od samego Claesa, jak szybko nauczy się bronić. Co też czynił. A tę podróż sam diabeł obmyślił tak, by doświadczeni ludzie padali z wyczerpania; cóż dopiero młokosy, skłonne przyczyniać kłopotów.

Astorre powiedział to nawet Tobiaszowi, który - jako dawny towarzysz Lionetta - był dotychczas otoczony najciemniejszymi podejrzeniami. Czas pokazywał jednak, że doktor jest człowiekiem zaskakująco twardym, bratnią duszą samego Astorre'a: a jego język potrafił popędzić opieszałego jeźdźca równie ostro jak język Tomasza. Astorre poświęcił nieco czasu na godzenie Tomasza z faktem, iż ich oddział ma teraz czterech oficerów zamiast dwóch, i że żaden ambitny oddział nie mógłby się bez tego obejść.

Kontrakty, korespondencja, prowadzenie ksiąg - wszystko to wchodziło w zakres interesów i było zbyt mało czasu, by spędzać pół dnia na poszukiwaniu miejskich notariuszy lub korzystaniu z usług zauszników pracodawców, którzy ledwo na kogoś spojrzeli, już myśleli o okpieniu go. A dobrzy wojownicy pozostali przy dobrym medyku. Dobre jedzenie, dobra

zapłata i opieka medyczna trzymały ludzi razem. A przywódca, który znał się na rzeczy, nie podejmował nierozsądnego ryzyka, lecz wiedział, gdzie i kiedy płądrować z najlepszym skutkiem i sprawiedliwie rozdzielał łupy.

Bez oporów przyznawał, że jego oddziałowi brakowało dotychczas organizacji. Po pierwsze: za każdym razem zbierał się inny oddział. Większość najemników przybywała na wezwanie, lecz nie wszyscy. Niektórzy ginęli. Inni tworzyli zimowe bandy, rozpoczynając płądrowanie i rabowanie podróźnych, by zaopatrywać się stale w żywność, napoje i dziewczęta na zimę, a także w broń, którą mieli otrzymywać. Sam Astorre niejedną raz niemal dał się zaskoczyć osobom o znajomych twarzach, które wycofywały się zobaczywszy, kim on jest i ilu ma zbrojnych ludzi. Wielu chwymano i wieszano lub ścinano przed nadejściem wiosny. Inni znajdowali kapitana, który więcej płacił lub dawał wyższe nagrody. Byli i tacy, którym płacono za niestawienie się na wezwanie.

Zamożne kompanie - te naprawdę wielkie, które nosiły wspaniałe nazwy i podczas wojen mogły dyktować ceny - miały własne kancelarie jak u właścicieli ziemskich, rady, skarbników, fundusz emerytalny i wszystko jak w wolnym mieście. Były to dobre kompanie, trzymały się razem, ludzie znali się nawzajem i częstokroć wcale nie wracali do domów, lecz pozostawali w zimowych (opłaconych) kwaterach po wygaśnięciu walk, a za rok gotowi byli zaczynać wszystko od nowa.

Do tego zmierzał Astorre. Nie przyszedł na świat w książęcym rodzie. Nie miał widoków na zostanie drugim Hawkwoodem czy Carmagnolą. Nie oczekiwał, że będą go przyjmować na monarszych dworach. Ale przy poparciu Marian de Charety mógł zwrócić na siebie uwagę. Książęcy dowódcy poprosiliby go o radę. Stałby się znany, nie tylko tak jak teraz - jako dobry żołnierz z niewielkim oddziałem zaufanych ludzi. Byłby człowiekiem, o którym myślanoby w chwili, gdy byłby potrzebny przywódca do kierowania szczególnie ważnym oblężeniem, czy bitwą. Ludzie przybywaliby pod jego sztandar i byłiby dobrze opłacani. W końcu zaś jakiś książę mógłby odkupić ich od wdowy i zapewnić trwały dom. Tacy ludzie bywali hojni. Znał kapitanów, którym darowano miasta pod zastaw zapłaty, a oni je później zatrzymywali. Astorre tego właśnie pragnął. Pragnienia Lionetta były takie same. Ale Astorre zamierzał być pierwszym, któremu dostaną się ludzie, pieniądze, poparcie i podboje. Tego roku po raz pierwszy wydawało się to możliwe. A Lionetto niech lepiej nie wchodzi mu w drogę, bo zostanie zdeptany.

Oczywiście, życie podczas wielkich kampanii nie było łatwe. Nie mieli żon ani domów - lub mieli ich kilka, jak marynarze. Ale markietanki... tak, były niezbędne. Nawet przy niewielkiej liczbie ludzi, którzy - jak Astorre się spodziewał - dołączą do niego we Flandrii, Szwajcarii i Burgundii. Kobiety do gotowania, prania, urządzania namiotów i chat, dające mężczyznom

radość. Niekiedy żałował, że minął czas, gdy był zaledwie jednym z żołnierzy, otoczonym przyjaciółmi, a jedynym jego zmartwieniem było wymyślanie coraz gorszych przezwisk dla starego sukinsyna, który nimi dowodził.

Później przypomniał sobie, jak to dobrze być pierwszym, kiedy nikt nie może go powstrzymać. Dobrze - być może - z wyjątkiem chwil, gdy przekraczało się Alpy wśród burzy śnieżnej, a z obolałych oczu strumieniami płynęły łzy. Znajdowali się teraz na wąskiej ścieżce pomiędzy stromymi zaspami, które były jedynie pagórkami u stóp wysokich i strzelistych, okrytych śniegiem gór. Koniowi wyraźnie to się nie podobało. Astorre zaczął go ponaglać, gdy nagle zauważył, że doktor Tobiasz usiłuje przyciągnąć jego uwagę. Astorre zwolnił i obejrzał się w stronę, którą doktor wskazywał palcem.

Za kołyszącymi się, ośnieżonymi hełmami swoich ludzi i zgarbionymi sylwetkami juczych koni rozciągał się długi pas nieskalanej bieli. Dalej stał koń bez jeźdźca. A za nim biegła rysa wyżłobiona w śniegu, zajęta częściowo przez rozciągniętą, poruszającą się z wysiłkiem postać w czymś kraciastym.

- Który to? - spytał gniewnie Astorre. Będzie musiał się zatrzymać. Człowiek pozostawiony w tym śniegu z pewnością zginie. Przystanął, a stłoczona karawana zatrzymała się tuż za nim. Zmierzył spojrzeniem twarze stojących z tyłu ludzi, wśród których dostrzegł wszystkich oficerów, młodego Calesa i Loppego. A zatem to jeden z żołnierzy, niech go zaraza.

- Pewnie jest ranny - odezwał się doktor. - Zawrócę po niego, jeśli pozwolicie. Nie! Spójrzcie. Za nim widać jakiś oddział konny. Zabiorą go i przywiozą nam.

Notariusz Juliusz wysunął się naprzód.

- O ile nie poderzną mu gardła i nie zabiorą broni.

- On nie ma broni. To brat Gilles. Mnich kapitana Astorre, który został z tyłu - powiedział czeladnik Claes. Twarz miał zaognioną, lecz pogodną, a kapelusz zwieńczony pióropuszcami śniegu niczym u janczara. - To chyba zwolennicy Lancastrów - dodał. - Oddział angielski. Nie uczynią mu krzywdy. Upewnię się, czy to oni, dobrze? - Spiał konia, zwracając głowę ku najbliższej, niewielkiej grani.

Astorre nie ruszył się, by go zatrzymać. Zaczynał już mieć dość brata Gillesa, który wyświadczył jednej z licznych sióstr Astorre'a pewną bliżej nieokreśloną przysługę i teraz otrzymywał za to nagrodę. Przyzwoitość wymagała jednak, by ratować mnicha - chyba że, oczywiście, okaże się to niemożliwe. Astorre przyjrzał się pochmurnemu, szaremu niebu i zaklął cicho. Dwaj oficerowie wymienili bystre spojrzenia. Claes, dotarłszy do występu skalnego, śmiało uniósł się w strzemionach i utkwiał zażawione oczy w sztandarach nadciągających jeźdźców. Później jego twarz pojaśniała.

- Wszystko w porządku. Flaga Worcester. To Anglicy.

Wydawało się, że wszyscy odczuli ulgę. Tobie ściągnął wodze i gotów był podjechać do zakonnika. Astorre chrząknął. Jedyne leżący człowiek, nie widząc znikąd pomocy i czując się zdanym na łaskę nieznanym, rozpaczliwie uniósł ramię. Potem otworzył usta. Można je było dostrzec jako kropkę w bieli twarzy.

Dostrzegli to Tobie i Juliusz. Astorre zeszywniał. Później Tobie zdał sobie sprawę, że Claes, także zastygł na chwilę. Było już wówczas wyraźnie widać insygnia herbowe, pióropusze i końskie czapraki.

Claes nie zwracał uwagi na Anglików. Utkwił za to oczy w mnichu i z szerokim wymachem ramion przyłożył do uszu stulone dłonie w uniwersalnym geście chętnego słuchacza. Zachęcony w ten sposób brat Gilles zawołał do niego.

Jego głos nie dorównywał głosowi Loppego, był jednak przestraszony. Być może po raz pierwszy w życiu osiągnął szczyt swej skali. Brat Gilles krzyknął: „Pomocy!"; i powtórzył to w panice kilka razy.

Astorre głowę miał spuszczoną jak u byka, a oczy, zwrócone ku Claesowi, były przekrwione.

- Powstrzymaj go. Szybko - rzekł Astorre.

Claes odjął dłonie od uszu i spojrział pytająco w dół. Astorre powtórzył grzmiącym głosem:

- Powstrzymaj go. Daj mu znak, żeby przestał krzyczeć. Inaczej spuści przeklętą...

- Już spuścił - rzekł Juliusz drżącym głosem.

Tobie spojrział.

Mnich przestał krzyczeć. Patrzył w górę. Członkowie angielskiego oddziału, który był już bardzo blisko, także podnieśli głowy. Obłoczki śniegu lekkiego niczym puch ostu, spowijały strome, śnieżnobiałe zbocza po obu stronach leżącego człowieka, a poprzez nie widać było szare plamy i szczeliny w miejscach, gdzie śnieżne bloki zaczęły osuwać się ku ścieżce, na której leżał mnich. W górę wzbijała się kurzawa, wskazując, gdzie spadły pierwsze bryłki.

Zbocza nie były wysokie, a siła uderzenia wystarczyła, by zrzucić kilku ludzi z koni i sprawić, że pozostali przeżyli kilka nieprzyjemnych chwil, ale nic ponadto. Zadyмка przeredziła się na pewien czas. Tobie dostrzegł, że kilku Anglików, którzy zsiadli z koni lub zostali zrzuceni, wydobywa z rozpadliny zasypanego brata Gillesa. Reszta wycofała się poza zasięg spadającego śniegu i czekała, aż kaskada się zatrzyma. Wszystko ponownie ucichło. Zrobiło się tak cicho, że można było usłyszeć z daleka cichy tętent przypominający szarżę konnicy.

Ale nie była to szarża konnicy.

Juliusz śmiał się jeszcze, gdy nagle spostrzegł wyraz twarzy Astorre'a i w ślad za nim skierował spojrzenie ku wysokim szczytom. I tam także śnieg unosił się jak para, pękał i łagodnie zsyłał w dół ku maleńkiej kotlinie głuchy odgłos, nie mający nic wspólnego z kilkoma cetnarami śniegu oderwanego od urwiska, lecz za to wiele wspólnego z alpejską lawiną, która wyrwała drzewa z korzeniami, pustoszyła doliny i ścierała ludzi i konie z powierzchni gór. Astorre zawołał: „*Jazda!*” i spiął ostrogami drżącego konia, który chwiejnie, potykając się, ruszył obraną przez nich wcześniej ścieżką. Juliusz pod naporem z tyłu wstrzymywał z wysiłkiem konia, oglądając się na Tobiego.

- Jedź - powiedział Tobie. - Dogonię was.

Juliusz po chwili wahania usłuchał. Tobie spiął konia i sierował go na skraj ścieżki. Z przeciwka nadciągał jak burza przestraszony oddział Astorre'a. W górze Claes schodził z występu skalnego. Kiedy jego koń potykając się zszedł na ścieżkę, Tobie zrównał się z nim. Na końcu języka miał słowa: „*Ty i ja zawracamy*”. Nie musiał ich wypowiadać. Claes zawrócił już konia i skierował go ku zaspie śnieżnej, gdzie pierwsza drobna lawina zasypała drogę. W górze wzrastał się odgłos wielkiej lawiny. Obłoczek śniegu zmienił się - w chmurę, sunącą ku nim po zboczu góry. Z mgły wynurzyła się grupka jeźdźców, brnących przez śnieg. Niektórzy mieli gołe głowy, ich proporce były podarte, pogubili tarcze. Dowódca prowadził konia zakonnika. Brat Gilles, przysypyany śniegiem, jęczał i dygotał w siodle. Jego złamana noga zwiśla bezwładnie.

- Kto jeszcze potrzebuje pomocy? - spytał Tobie. - Jestem medykiem. Claes zsiadł już z konia.

Żadnego z Anglików nie brakowało i byli gotowi do jazdy, lecz zabity został jeden koń. Dość obcesowo wepchnięto mnicha w objęcia Tobiego, a pozbawiony konia mężczyzna zajął miejsce w siodle Gillesa. Zakonnik jęknął, a Tobie podtrzymał go jednym ramieniem. Szybkość. Liczyła się tylko szybkość. Musieli na zmęczonych koniach wyprzedzić lawinę, a koń Tobiego miał nieść dwóch jeźdźców. Claes, dosiadłszy z powrotem wierzchowca, był już obok. Ruszyli potykając się i ślizgając, atakowani przez gromki łoskot osuwającego się śniegu, powtarzany przez każdy ze szczytów. Nie uda im się uciec. To niemożliwe. Tobie zobaczył, że Claes wciąga głęboko powietrze - i wcale go nie żałował.

- Musimy dotrzeć do tamtego załomu - powiedział Claes. - Leży poza zasięgiem lawiny. I jest tam występ skalny.

Mówił po angielsku. Przebłysk gniewnego zniecierpliwienia na twarzy angielskiego dowódcy mówił, co ów myśli o tej teorii. Tobie wtrącił:

- On może mieć słuszość. Jeśli tak, moglibyśmy przystanąć. Inaczej zajeździmy konie.

Pochwycił spojrzanie Claesa; sam nie był pewien, dlaczego okazuje mu zaufanie. Śnieg chłostał jego twarz: padający śnieg, śnieg niesiony wiatrem, śnieg wzbijający się spod otaczających doktora kopyt. Poprzez biel dostrzegął zakole ścieżki, a nad nim majaczący cień nawisu skalnego. Claes, pnący się z wysiłkiem tuż obok, odchylił nagle głowę w tył i głęboko odetchnął przez nozdrza, a nienawykłe do tego rysy zadrgały.

- Co nie znaczy - odezwał się Tobie przez zaciśnięte zęby - że nie zasłużyłeś na największe baty w twoim krótkim życiu. I otrzymasz je.

- Wiem - odparł Claes. - Już. Jesteśmy bezpieczni.

Z trudem pokonali szeroki zakręt. Pod występem było zagłębienie, na tyle duże, że pomieścili się w nim wszyscy. Dudnienie rozbrzmiewające dookoła stało się ogłuszające. Tobie myślał o ciężarze śniegu czyniącego taki hałas i o prędkości, z jaką sunął. Wisząca skała ich nie ocali. Jeśli uderzy w nią lawina, odłupie ją dokładnie od zbocza góry. Musieli jednak podjąć ryzyko.

Lawina ominęła skałę. Po kilku sekundach wszyscy usłyszeli zderzenie ściany śniegu ze ścieżką, z której zjechali, huk kamieni i pękającego drewna, kiedy półka skalna rozpadła się i runęła wraz z rozłupanymi drzewami.

Ze swego schronienia, w milczeniu siedząc na koniach, obserwowali popisy spadającego śniegu. Skraj jego drogi zaczynał się tuż obok nawisu skalnego, jak przewidział to Claes. Albo wchodziła w grę astrologia albo zwykła kalkulacja; albo znajomość terenu. W końcu Claes wychowywał się w Genewie. Tobie słyszał właśnie, że mówi o tym jednemu z Anglików, smągłemu młodzieńcowi, który podszedł prawdopodobnie po to, by podziękować. Tobie, poświęcając połowę uwagi mnichowi, zastanawiał się, o czym jeszcze ci dwaj rozmawiają. Później stracił zainteresowanie, gdyż po chwili zapanowało pewne poruszenie i zjawił się Astorre z Juliuszem i resztą ludzi, by sprawdzić, czy są bezpieczni. Nie zwlekali. Teraz, gdy wstrząs minął, nikt nie zamierzał się ociągać. Pomogli Tobie usadowić i zabezpieczyć pacjenta, a następnie wraz z Anglikami ruszyli w dalszą drogę.

Tobie wiedział, że Astorre rozgląda się za Claesem, lecz Claes roztropnie zniknął. Angielski dowódca wyjaśnił kapitanowi Astorre, co myśli o imbecylach, którzy krzyczą w górach, a kapitan - co wprawiło Tobiego w podziw - odpowiedział mu dość oględnie. Niewiele pozostawało do zrobienia. Oficjalnie sprawa została zakończona. I tylko brat Gilles ucierpiał naprawdę.

- Powinien go zapytać - odezwał się Juliusz - co myśli o imbecylach, którzy nakłaniają innych imbecyli do krzyków w górach. Widziałeś Claesa?

- Pewnie, że widziałem Claesa - odparł Tobie. - Sterczał tuż przed moim nosem. Jeśli chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę, to powiem ci, że miał

ochotę na przyjemną małą lawinkę, a dostał wielką lawinę. Do tego najadł się strachu. Przez chwilę był biały jak śnieg, ten nasz mały przyjaciel Claes.

Juliusz patrzył na niego.

- Widziałem, że dostał więcej niż oczekiwał - powiedział. - Widziałem, że był przerażony. Ale coś ci powiem. Mimo całego strachu ten bękart dobrze się bawi. Inaczej by tego nie robił. Prawda?

Ton był niecierpliwy, ale także podszyty czymś bliskim tęsknocie. Tobie ruszył naprzód, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 13

Dowodzony przez kapitana Syrusa de Astariis, znanego kupcom jako Astorre, najemny oddział kompanii Charetty wjechał do miasta Mediolan po jedenastu dniach od opuszczenia Genewy. Na zielonych równinach Lombardii podróżni już z daleka widzieli potężne mury stolicy, jak wieże i baszty. Księstwo Mediolanu było jednym z Pięciu Państw włoskich: rywalem Wenecji, tajnym sprzymierzeńcem Neapolu, jawnym stronnikiem papieża. Księstwo Mediolanu rozciągało się od Toskanii po Alpy i było z tego względu miłe Florencji, która tylko przez nie mogła dotrzeć do swych północnych rynków. A Florencja to byli - w tym czasie - Medyceusze.

Mediolan nie był poprzecinany wzdłuż i wszerz kanałami, jak Brugia; ani też zbudowany na wodzie, jak Wenecja. Mediolan chroniły dwa koncentryczne kręgi rzek ujętych w kanały oraz mury obronne z czerwonej cegły, podziurawione sześcioma bramami. Astorre zaproponował, że wejdą przez Porta Vercellina. Była to irytująca droga, którą tworzyły: Aosta, Ivrea, Vercelli i Novara, gdzie spędzili noc na pucowaniu broni - jak zauważył Juliusz, tak robią żony w przeddzień licytacji majątku za długi.

Sam Juliusz robił jednak to, co do niego należało: o świcie pojawił się z papierami przy zwodzonym moście i zatrudnił najprawdziwszego, przekonującego Włocha, którego znał z czasów bolońskich. W południe wrócił już z zezwoleniem i pismem od książęcego sekretarza, dającym im prawo do korzystania z drewna, wina i noclegów w Gospodzie Pod Kapeluszem z przyległościami. Godzinę później przejeżdżali przez bramy Viscontich i mijali tereny łowieckie Castello Visconteo, przechodzącego właśnie przemianę - wśród labiryntu żurawi, ludzi z łopatami i czerwonych, rozwidlających się murów z blankami - w Castello Sforzesco.

Dziedziczka rodu Visconti poślubiła bowiem Francesco Sforzę, syna jednego z największych kondotierów - uchwaj Boże! - jakich znała Italia. A Francesco Sforza, od dziewięciu lat książe Mediolanu, potrafił poznać zawodowców, kiedy ich zobaczył. Oddział kompanii Charetty przemierzał więc zatłoczone ulice Mediolanu w lśniących hełmach i nagolennikach, z tarczami i kopiami wznoszącymi się niczym maszty floty wojennej. A inni

kapitanowie, których zapach wojny także odciągnął od ognisk, spoglądali z uznaniem przez okna oberży na wierzchowca Astorre'a kroczącego po bruku; jego czaprak był ciężki od kosztownych haftów, a uprząż połyskiwała na piersi i otaczała lędźwie wymyślną siatką rzemieni.

Kapitan Astorre przyozdobił hełm strusimi piórami i miał na szyi futrzany kołnierz, zakrywający ćwiartkę jego ucha; a na rękawice wsunął pierścienie. Dzisiaj nie miał chęci pozostawać szarym żołnierzem, który zabawia się przy ogniu w szopie i narzeka na kobiety i lichwiarzy. Być może utracił nieco pewności nazajutrz, kiedy naczelnik książęcej kancelarii wezwał go do Arengo, starego pałacu Viscontich obok katedry, by się dowiedzieć, jakie usługi świadczy jego kompania.

Wojownik najlepiej czuł się w polu i nie potykał się o własny miecz w towarzystwie szlachetnie urodzonych. Astorre sądził, że może polegać na rozsądku notariusza, którego zabrał z sobą. Miał także dla księcia wspaniały dar w postaci Afrykańczyka Loppe, wystrojonego w czerwone sukno spięte na piersi, tak że mając jeszcze poduszkę (jak powiedział ten pleciuga Claes) można się nim było przykryć w łóżku. Dali mu do tego dwukolorowe pończochy i szarfę z barwami Sforzów do kapelusza - którą kupili gotową od przekupnia w Vercelli.

Ze względu na wdowę Astorre oczekiwał, że otrzyma zwrot pieniędzy, w takiej czy innej postaci, jak to było w zwyczaju. Loppe, który zdążył już poduczyć się włoskiego, nie wyrażał w obecności Astorre'a żadnych opinii o swym przyszłym losie. Jakże by inaczej? Niemniej kapitan był rozdrażniony, gdy wyruszali do pałacu i warknął na Tomasza, kiedy ów chciał opóźnić wyprawę mówiąc, że jakiś wielki pan chce się z nim widzieć.

Tomasz, który po wojnie angielsko-francuskiej pozostał we Francji, posługiwał się plebejską angielszczyzną, plebejskim francuskim, okropnym flamandzkim i prawie nie znał włoskiego. „Wielkim panem” okazał się Pigello Portinari z Banku Medycejskiego, przybyłym po listy, konie i śpiewaka. Juliusz, siedzący już na koniu, polecił:

- Powiedz mu, że kapitan i ja pojechaliśmy do pałacu. Odwiedzimy go jutro. Jeśli chce zabrać listy, może to zrobić zaraz, jeśli podpisze kwit. Claes wie, gdzie one są.

- Pójdę pb pana Tobiego - rzekł Tomasz.

- Nie-powiedział Astorre. Tobie znajdował się właśnie w izbie na tyłach zajazdu, z nożem, igłą i pudłem pełnych maści, usiłując poskładać do kupy nadwreżonego tenora Cosima de' Medici. - Claes wyjmie listy, Claes da mu kwit do podpisu i Claes zanieś je do banku, jeśli Messer Pigello zechce.

Kapitan Astorre nie dodał, że Claes był farbiarskim czeladnikiem z Flandrii, zatem jego pozycja i język uniemożliwały niedyskrecję, jakiej niewątpliwie dopuściłby się Tomasz.

Astorre dosiadł konia i dołączył do Juliusza oraz niewielkiej eskorty, którą wyznaczył na tę krótką podróż do pałacu. Jego zbroję znaczyły odpryski ulicznego błota. Było jeszcze gorzej, kiedy przejechali przez plac z na poły wzniesioną katedrą. Astorre pomyślał, że powinni byli zostawić stary kościół w spokoju. Pozostała z niego tylko fasada. Katedra z tyłu nurzała się w błocie niczym odnieniec szukający trufli. Wkrótce zaczną częściowo wyburzać Arengo, by katedra mogła się rozrastać. Później książę będzie musiał przeprowadzić się do Castello. Zupełnie pozbawione sensu było takie wyrzucanie pieniędzy zamiast wydawania ich na rzeczy potrzebne. Miasta popadały w ruinę budując katedry.

Do pałacu wiodło sklepione przejście. Pamiętał je, podobnie jak rozmiary dziedzińca. Galerie, balkony i tłum ludzi zadających obcesowe pytania. Astorre powrócił do cichych obliczeń. Najgorzej byłoby, gdyby książę go nie zatrudnił lub zaproponował sumę nie dającą im zysku.

Lecz nie - najgorzej byłoby, gdyby książę wolał Lionetta niż Astorre'a. Jeśli tak się stanie, znajdzie się na to rada. Na Boga, znajdzie się. Już on o to zadba.

W oberży, którą opuścili, nic nie chciało iść zgodnie z planem. Pigello Portinari, do którego Tomasz natychmiast powziął urazę, nie życzył sobie, by obsługiwał go jakiś młokos lub Anglik o prostackim języku. Przesyłki Medyceuszów nie są listami kuzynów ze wsi. Od tego, co ma do powiedzenia zarządca z Genewy i brat Pigella Tommaso z Brugii, wiele mogło zależeć. Czy w kompanii Charetty nie ma żadnego godnego pana, znającego włoski? Milczący i zaczerwieniony Claes został posłany po Tobiego, który niechętnie oderwał się od wezłowania brata Gillesa i wkroczył godnie do komnaty przeznaczonej dla Astorre'a i jego żołnierzy, a za nim pospieszył Claes.

Tobie, który nie zawarł bliższej znajomości z pracownikami Medyceuszów, ujrzał przed sobą człowieka niezbyt podobnego do Tommasa Portinari z Brugii i znacznie starszego. Nie będąc drugim zarządcą, a co więcej - posiadając (jak powiadano) poparcie rodziny książęcej, ten Portinari był bogato odziany, a przybranie jego turbanu przyciągnęło nawet uwagę doktora. Tobie, którego łysina, otoczona wianuszkami włosów, pozostawała odkryta, wytarł zakrwawione ręce w poplamiony fartuch i spytał:

- Tak?

Gość nie tracił spokoju.

- Jestem - rzekł - Pigello Portinari, mediolański zarządca Piera i Giovanniego de Medici. Macie dla mnie papiery. Jeżeli udamy się do mego biura, będzie je można dokładnie przestudiować i zapłacić za nie.

- To dobrze - odparł Tobie. Wysunął kciuk. - Ten człowiek nazywa się Claes. Pójdzie z wami. Jeśli zycycie sobie kogoś innego, musicie zaczekać.

Portinari uniósł bri.

- Zarzynie coś?

Tomasz, który usiłował zrozumieć poprawny włoski, patrzył spode łba. Twarz Cleasa poróżowiła mocniej.

- Gdybym miał odrobinę rozsądku - odparł Tobie - podjąłbym próbę. Znacie się na muzyce?

Pigello Portinari patrzył na niego w zamyśleniu.

- Zazwyczaj... - zaczął.

- Wasz brat się nie zna - przerwał Tobie. - Próbuję uratować nogę rechoczącemu jak żaba błaznowi mnisiej powierzchowności, którego wasz Tommaso przysłała do kaplicy waszego zwierzchnika we Florencji. Przeprowadziliśmy go żywego przez Alpy. Został dostarczony żywy tu, do Mediolanu. Pozwolicie mu umrzeć, ponieważ chcecie, żebym biegał dla was na posyłki? Będziecie musieli tłumaczyć się przed panem Cosimo de Medici. I przed księciem.

- Przed księciem? - zapytał spokojnie Messer Pigello.

- Księciem Mediolanu. Waszym księciem. Mój stryj jest jego medykiem.

- Wasz stryj? Giammatteo Ferrari da Grado?

- To mój stryj. Mój ojciec był notariuszem księżęcym, który przed dziewięćmi laty urzędowo przekazał księstwo Sforzom od Viscontich. Nazywam się Tobiasz Beventini z Grado. Ten człowiek, jak mówiłem, nazywa się Claes. Zna włoski. Weźcie go.

- Z przyjemnością. Jak to się szczęśliwie składa - rzekł Pigello Portinari - że mogliśmy się spotkać i wyjaśnić nieporozumienie. Polećcie swemu młodzieńcowi, by zapakował papiery i poszedł ze mną. A może później zechcecie odwiedzić Palazzo Medici?

- Cóż, ktoś tam pojedzie - odparł żwawo Tobie. - Macie cztery konie do odebrania i przekazania do Florencji. I brata Gillesa oczywiście. Ale to się jeszcze odwlecze. Przepraszam.

Wyszedł. To samo uczynił po chwili Messer Pigello, a za nim podążył Claes z sakwą. Ponieważ nie było w pobliżu dobrego astrologa, nikt nie widział w tym nic złego.

Claesa jeszcze nie było, kiedy Juliusz i kapitan tryumfalnie powrócili z Arengo. Tobie ich usłyszał. Po zasłużonej kolacji, obficie przepłukawszy żołądek, doktor leżał z rękami pod głową na swym posłaniu. Dziarski szcęk podków i głos Astorre'a, pokrzykującego do Juliusza, powiedziały wszystko. Wygrali. Kontrakt, *condotta*, został załatwiony.

I tak było. Wiwaty dobiegające z którejś kwatery piętro niżej świadczyły, że ogłoszono dobrą nowinę walecznym żołnierzom. Później watowana

rękawica Astorre'a zabębniła w drzwi Tobiego i kapitan wszedł dumnie do środka, zdejmując olbrzymi hełm i podając go bez patrzenia Juliuszowi, który przekazał go stojącemu z tyłu Tomaszowi. Tobie usiadł. Astorre posłał mu spojrzenie pełne samozadowolenia i zaczął przechadzać się na ugiętych jak u kraba nogach, wyrzucając z siebie daty, liczby i figury związane z wynajęciem oddziału kompanii Charetty przez księcia Mediolanu.

Od jego bojowego głosu drżały uszy. Sto kopii i sto głów należy dostarczyć do Neapolu przed wiosną. Tego się podjął. A wezmą jeszcze więcej. Podpisał umowę na sześć miesięcy za dziewięćset florenów miesięcznie, nie licząc tego, co przypadnie z grabieży. Ponadto odpowiednie wynagrodzenie od dziś do kwietnia, w zależności od liczby żołnierzy, których tej zimy poprowadzi na południe.

W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin Cicco Simonetta, głowa kancelarii, wypłaci pieniądze. A za sześć dni, kiedy ludzie i konie odpoczną, on, Astorre, poprowadzi ich do Neapolu. Jak? Czy znał się na tym? Dowiedzą się. Prawdopodobnie łądem. Albo łądem do Pizy, a później morzem na południe. To będzie zależało od pogody, nieprawdaż; i od tego, gdzie jest nieprzyjaciel i co robi. A on, Astorre, wyśle gońców do wszystkich miast i wiosek w Niderlandach oraz w inne miejsca, gdzie są mężczyźni opłacani przez Charettych - by stanęli do walki. *Przybywajcie!* - będą brzmiały rozkazy. *Przybywajcie do Neapolu i sięgnijcie po majątek!*

Juliuszowi także pałały policzki, jak gdyby pił przez cały dzień, co z pewnością nie miało miejsca. Tobie chciał się pewnych rzeczy dowiedzieć. A zatem mieli wspomóc króla Ferrante. Zatem wynagrodzenie było więcej niż hojne. A czego jeszcze dowiedzieli się Astorre i Juliusz? Co z oddziałami papieskimi, wojskami książęcymi i miejscem pobytu oddziałów zaciężnych? Konkurencja była w końcu ważną sprawą. Być może będą zmuszeni połączyć się z którymś z rywali. Jedne wojska prowadził hrabia Jacopo Piccinino, który obecnie (jak mówił Juliusz) przebywał z dala od Neapolu, na drugim wybrzeżu. Innymi dowodził hrabia Urbino. Trzydziestosiedmioletni hrabia Urbino, jednooki i inteligentny, miał wkrótce poślubić siostrzenicę księcia Mediolanu. Przed laty ksiązę przyrzekł rękę swej przyszłej córki hrabiemu Piccinino. Najemnicy jako zięciowie cieszyli się popularnością.

Tobie wiedział o tym wszystkim. Oględnie mówiąc, odpowiedzi Juliusza były niedbałe. Tobie drażniło to, że jest mniej upojony winem niż Juliusz poczuciem ulgi i samozadowolenia. Nie speszony kontynuował przesłuchanie:

- A pałac? Co o nim myślisz?

Krążący wciąż po izbie Astorre spróbował strzelić palcami i natychmiast zaczął zdzierać rękawice.

- Biura, nic więcej. Urzędnicy, ambasadorowie, komnaty dla rodziny, ale księżna ma tylko cztery damy dworu, a księciu brak stylu. W ogóle. Bóg jeden wie, jaki użytek zrobi z Afrykańczyka, choć usłyszymy o tym. Sekretarz napomknął o czymś stosownym. Chciałbym mieć nadzieję. Wydają pieniądze na to i owo. Preceptorzy dla dzieci. To głupota. Źle na tym wyjdą, zobaczycie. Oracje łacińskie o siódmej. Różne takie brednie. Poznaliśmy medyka... - odwrócił się nagle.

„Aha” - pomyślał Tobie.

Astorre pochylił się, przybliżając uszkodzone oko - jak to niekiedy czynił - do Tobiego. Połyskiwało, wygięte ku dołowi niby ptasia łapka.

- Nie mówiłeś - odezwał się Astorre - że jesteś bratankiem Giammatteo Jakmutam. Tego samego. Książęcego medyka.

-^s I synem Beventinusa Jakmutam. Sławnego książęcego notariusza - wtrącił Juliusz. W jego twarzy odbijało się światło.

Tobie usiadł prosto na posłaniu, wyciągnął rękę i nalał sobie piąty puchar wina.

- Nie pytałem o wasze drzewo genealogiczne - powiedział. - I nie postanowiłem jeszcze, czy z wami zostanę.

- Uważaj - powiedział Juliusz. Wyjął puchar z dłoni Tobiego i wychylił go, zanim ktoś mu przeszkodził. - Chyba dajesz nam do zrozumienia, że wyłącznie twoim powiązaniom zawdzięczamy umowę?

Oddalona nieco twarz Astorre'a przybliżyła się ponownie.

- Nie - odparł Tobie. - Od wielu lat jestem z nimi skłócony. To dlatego przyłączyłem się do Lionetta. Wiem, że gdyby on szukał zatrudnienia w Mediolanie, odmówiono by mu. Widzisz więc, że to komplement. Wzięli was pomimo mnie. Poczęstujcie się winem.

- Poślę po więcej. Gdzie Claes? - zapytał mętnie Juliusz.

- Zaniósł papiery do Palazzo Medici. Później przysłali go tu po cztery konie.

- Pozwoliłeś mu wziąć konie? - warknął Astorre.

- Trzech doświadczonych stajennych i Claes. On jeden rozpoznał właściwe kwity. Wszystko w porządku. Dotarli na miejsce. Stajenni wrócili, by poświadczyć. Claes także wróci, kiedy skończą z papierami.

- Myślę - odezwał się Juliusz - że powinienem pójść do niego. Palazzo Medici?.

- Jakaś rudera - powiedział niewyraźnie Tobie. - Nie, tam poszedł z listami. Konie były dla krewnego Cosima. Chryste, Tommaso narobił wokół nich niezłego zgiełku. Konie poszły do Pierfrancesca de' Medici.

Na szczęście Juliusz był teraz bardziej trzeźwy. Usiadł nawet.

- Tobie - zaczął - Pierfrancesco de' Medici jest we Florencji.
- Wiem - odparł Tobie. - Ale jego żona jest tutaj. Zatrzymała się u brata. U brata z Florencji, który ma wielki dom w Mediolanie i czasami mieszka w nim przez parę miesięcy. Tak jak teraz. I wielkie stajnie. Bo ta rodzina hoduje konie.

- Która? - spytał Juliusz.
- Rodzina żony Pierfrancesca. Acciajuoli - rzekł cierpliwie Tobie.
- Pierfrancesco de' Medici ożenił się z Laudomią Acciajuoli. Kuzynką Greka o drewnianej nodze. Pamiętasz? Brodacza, który zbierał pieniądze w Szkocji i Brugii, by wykupić swego brata od sułtana? - Tobie umilkł.
- A gdy mowa o drewnianych nogach, mój kapitanie, może ucieszy was wiadomość, że wasz przyjaciel brat Gilles, przeżyje. Za miesiąc będzie nie tylko chodził, ale odejdzie od nas. Gdybyśmy mieli jakieś wino, moglibyśmy to uczcić.

Nazajutrz rano, zamykając oczy w igiełkach deszczu, Juliusz towarzyszył kapitanowi i czterem uzbrojonym ludziom do kancelarii po odbiór pierwszej zaliczki. Oczekiwał skrzyni florenów. Zamiast tego wręczono mu gruby arkusz papieru, zaadresowany do Pigella Portinari, zarządcy Banku Medycejskiego w Mediolanie.

- Pieniądze? - zapytał sekretarz sekretarza. - Nie obracamy pieniędzmi. Przekażcie swe życzenia panu Pigello. W starym biurze obok Św. Ambrożego. Albo w nowym pałacu koło Castello. Pod dojściem do murów skręćcie w prawo i rozejrzyjcie się za Św. Tomaszem.

Astorre gwałtownym ruchem napiął i wycelował swą szorstką brodę.

- Ostatnim razem...

- Wszystko w porządku. Weźmy papier - odezwał się Juliusz. - Medyceusze zapłacą. W ten sposób udzielają pożyczek. Książę pilnuje później, by odzyskali je z nawiązką.

- To lichwa - rzekł Astorre, wpatrując się w sekretarza.

- Skądże. To po prostu nagroda, którą Bóg daje uczciwemu, ciężko pracującemu bankierowi, śledzącemu czujnym okiem rynek pieniężny. Chodźmy. Mniejsza o stare biuro. Chcę zobaczyć nowy pałac.

Podążając tam w deszczu wraz ze skorym do dysputy Astorrem, Juliusz odczuwał ciche zadowolenie. Młody Claes niezbyt się nadawał na przedstawiciela kompanii Charetty. Nadszedł czas, by on i Astorre przywrócili właściwą równowagę.

Poprzedniej nocy martwili się nieco, że nie wrócił jeszcze kwit za konie, który miał przynieść Claes. Kiedy jednak obudzili się rano, papiery leżały obok Julisza, a ktoś powiedział im, że Claes śpi z głupawym uśmieszkiem na

twarzy; przyszedł później niż wszyscy, palce wystawały mu z pończoch i miał przy sobie spis adresów. Trzeba będzie coś zrobić z tym Claesem.

Wokół Palazzo Medici także zobaczyli mnóstwo mokrego piasku i zaprawy. Powstawała tam podłużna budowla z ociosanych kamieni. Na piętrze znajdował się tuzin zwieńczonych łukami okien, kolumny i girlandy, a środkowa brama była dziełem osobistego architekta Monsignore Cosimo, Michelozziego. Na zawrotnie wysokim szczycie łuku widniał herb i medaliony Sforzów. Po odbydwu stronach stały parami rzeźby naturalnej wielkości; dwie wyobrażały rzymskich wojowników w pełni młodzieńczych sił, a dwie pozostałe - wytworne damy w sukniach florenckiego kroju.

Żaden z młodzieńców nie wyglądał na krewnego Tommasa Portinari. Juliusz nie wiedział także nic o pochodzeniu dam, lecz mimo to wkroczył do środka pełen nadziei. Wzdłuż przejścia wryto napis: *Semper droit*. Przypuszczał, że słowa te podsumowują wiarę Sforzów, Medyceuszów i Portinarich. On sam nie był tak pewny siebie.

Na dziedzińcu także trwała budowa. Był olbrzymi. Po ukończeniu prac pokoje gościnne i część mieszkalna będą wystarczająco obszerne, by pomieścić właściciela z wszystkimi domownikami, gdyby zechciał przyjechać w odwiedziny. Pozostała część budowli zostanie prawdopodobnie przeznaczona dla stałych pracowników banku oraz na składy i biura.

Wewnątrz gmachu, na piętrze, w ciepłym pokoju ciemnym od gobelinów, Pigello Portinari i jego brat Accerito powitali gości z dostojną serdecznością. Żaden z nich nie mógłby służyć w rzymskiej armii. Zwłaszcza starszy Pigello. Chudy, łysiejący i pozbawiony podbródka, w niczym nie przypominał młodego Tommasa - z wyjątkiem, być może, długiego i spiczastego nosa. I upodobania do pierścieni: na niektórych palcach miał po dwa. Tyle że w pierścieniach Pigella lśniły duże, prawdziwe rubiny, diamenty i szmaragdy, a jego wywinięte rękawy nie ukazywały baraniej skóry. Pigello był bogaty.

Astorre i Juliusz usiedli w rzeźbionych krzesłach. Przyniesiono im napoje. Imię Tommasa pojawiło się w rozmowie i natychmiast z niej znikło. Kiedy nadszedł czas (a nie zwlekano długo), Pigello podszedł po lśniącej posadzce do wielkiego jak sarkofag i grubo rzeźbionego stołu, z którego wy dobył papiery, przejrzał kilka, a inne podsunął do podpisu. Później wyjął pęk kluczy i otworzył siedem zamków ogromnej skrzyni stojącej w rogu. Jej wieko, które musieli unosić dwaj mężczyźni, zdołał przedziwny mechanizm, przypominający Juliuszowi wymyślne zabawki Claesa. Pigello wyjął z niej worek.

- Złoto, jak sądzę - stwierdził. - Doradzałbym złoto. Wiem, że Messer Cicco mówił o florenach, ale nie są to dobre czasy dla pieniądza. Nie dziś.

Poprawa, oczywiście, kiedyś nastąpi. Panie Juliuszu, polecam to waszej uwadze. Później możecie wziąć któregoś z moich strażników, by odprowadzi! was do gospody. Załatwię to.

Kiedy potem opowiadał o tym Tobiemu, spotkał się z niedowierzaniem.

- Złoto? - powtórzył Tobiasz - *Doradził* wam, żebyście wzięli złoto, mimo że pieniądze byłyby dla niego bardziej opłacalne?

- Właśnie - odparł Juliusz, który dopiero co zakończył długą i hałaśliwą robotę związaną z wypłacaniem poborów i był zmęczony kłótniami. - Nie miej do mnie żalu, jeśli on zechciał być hojny. W końcu dzięki temu Astorre ulokował swój majątek u niego.

- Co? - spytał doktor.

- Pigello zaproponował Astorre'owi dwakroć wyższe odsetki niż Fleury i Astorre przeniósł swoje interesy do Meczydeusów. Uzyskałeś wotum zaufania. Medyceusze myślą, że Ferrante zostanie królem Neapolu. A może uważasz, że schlebiają nam ze względu na twego stryja?

- Mego stryja, księżęcego medyka? Nie - odparł Tobie. - Odwiedził mnie podczas waszej nieobecności i bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że stoję po przegranej stronie. Musisz spojrzeć na to z innego punktu widzenia. Ferrante upada, Astorre zostaje zabity i Medyceusze nic nikomu nie płacą. Mnie to szczególnie nie obchodzi, ale czy Lionetto nie przybył już do Italii? A jeśli tak, po której stronie walczy?

- A co? - zapytał Juliusz. - Jeśli przyłączył się do Andegawena i Francuzów, a nie Ferranta, wrócisz do niego?

- Z moim złotem? To pokusa - stwierdził Tobie. Zsunął kapelusz na tył głowy, a jego twarz z drobnym, okrągłym nosem, była zgaszona. - Powinieneś być przyprowadzić naszego geniusza od liczb, aby to zsumował. Gdzie był Claes wczoraj w nocy?

- Druga kolumna od lewej, trzecie imię od dołu - odpowiedział Juliusz. - Nie mam jeszcze kopii tego spisu, ale sprzedają go na podwórzu za cenę kufła piwa.

- No to bierzmy go - rzekł Tobie. - Odszukam Claesa. Czy on zawsze tak postępuje?

- Nie wiem. Nigdy jeszcze nie byłem z nim po raz pierwszy w żadnym mieście - odparł Juliusz. - Przypuszczam, rozgląda się za czymś.

- Bezpieczniej w grupie - stwierdził lakonicznie Tobie.

Po odejściu Juliusza nie kłopotał się posyłaniem po Claesa, wiedział bowiem od swego stryja, co Claes robi i gdzie jest. Nasunął tylko kapelusz na czoło, zdjął krótką, czarną szatę lekarską, otulił się płaszczem i wyruszył do przepięknej posiadłości Acciajuolich.

ROZDZIAŁ 14

Mediolański dom Acciajuolich znajdował się pomiędzy błotem i pyłem wokół katedry, a błotem i pyłem Wokół Castello, niedaleko kupieckiej piazza. Stały tam nienaruszone rzędy domów z podcieniami, z ociosanego kamienia, czerwonej cegły i gładzonego marmuru. Były wśród nich potężne gmachy z wystającymi okapami, łukowatymi oknami i herbami nad wejściem. Były kościoły, niektóre ogrodzone. Były wieżycy, schody, balkony, a na wyższych piętrach - drewniane dobudówki, wysunięte ponad ulice i niekiedy ocieniające je łukami.

Wielki dzwon Broletto rozbrzmiewał dźwięcznie, gdy Tobie opuścił zatłoczone pasaże handlowe i wszedł w uliczki, po których przechadzało się mniej kobiet, a mężczyźni, zatrzymujący się na chwilę lub pospieszający do domów, by schronić się przed zimnem, nosili kapelusze szerokie, wysokie albo wywinięte, bądź też czarne, zawodowe czapki; a ciepło zapewniały im ciężkie szaty narzucone na watowane adamaszki. Tobie zaglądał ludziom w twarze, jak to miał w zwyczaju, i wyciągał wnioski dotyczące zdrowia mieszkańców miasta. Teraz, gdy rządził nim książę, działo się tu nie najgorzej. Zabiedzeni, kalecy, poszkodowani na zdrowiu ludzie i tak nie mieszkali w tej dzielnicy. Można ich było znaleźć wśród czynszowych domów i warsztatów. Podobnie jak inne dolegliwości znane medykom, takie jak oparzenia i głuchota płatnerzy.

Niedola nie była jednak tym, co Tobie najlepiej zapamiętał ze studenckich odwiedzin w kuźniach. Pamiętał żar, łoskot i wesołość. Zimą w całym Mediolanie można było kupić pieczone kasztany. Pożywiał się nimi siedząc na ławie obok kowadła, machając nogami i pokrzykując do przyjaciół i do kowala. Myślał niekiedy, że to dzięki rozmowom z kowalami stał się takim medykiem, jakim był.

Domostwo Acciajuolich zbudowano wedle gustu bankierskich rodów. Rozrastało się raczej wszerek, a nie wzwyż i miało solidne, duże, podwójne drzwi, prowadzące nie do komnaty, lecz do krótkiego, sklepionego przejścia, kończącego się kwadratowym dziedzińcem, przyjemnym nawet podczas niepogody, z wiecznie zieloną roślinnością pośród kamyków i rzędem masywnych budowli po przeciwległej stronie, gdzie prawdopodobnie

mieściły się stajnie, a w nich - konie, przyprowadzone z takim wysiłkiem dla Pierfrancesca Medici z Florencji, który poślubił pannę z rodu Acciajuoli. Tobie słyszał skądś kwilenie jastrzębia. Z jednej strony wznosiły się schody z poręczą, prowadzące na piętro. Odźwierny, który nie okazał zdumienia na widok Messer Tobiasza Beventini, zaprowadził go po schodach na górę, skąd biegł wzdłuż ściany budynku wąski balkon. Niedaleko znajdowały się drzwi, które stanęły otworem, gdy się zbliżył. Za drzwiami stał jego stryj.

- I cóż, zasańcu - przemówił Giammatteo Ferrari da Grado. - Nie spieszyłeś się zbytnio. Połóż płaszcz tutaj. Czy jesteś przygotowany na to, co może się zdarzyć?

- Nie wiem, co może się zdarzyć - odparł zimno Tobie. - Mogę tylko powtórzyć: między tym chłopcem a mną nie ma żadnych więzi. Cokolwiek uczynił, sam za to odpowie.

W wieku niewiele starszym niż on, jego stryj Giammatteo był profesorem medycyny na uniwersytecie w Pawii, założonym przez księcia Mediolanu. Podczas swej trzydziestoletniej kariery Giammatteo nigdy nie porzucił nauczania, z wyjątkiem chwil, gdy służył obcemu księciu, swemu protektorowi. Albo wówczas, rzecz jasna, kiedy świadczył odpłatne usługi tym spośród szlachetnie urodzonych i sławnych, których prośby lub polityka poruszyły księżęce serce.

Kiedy Tobie, znany już ze swych umiejętności, odrzucił spokojne i zadowolające życie uniwersyteckie, wybierając szaleńczą włóczęgę w towarzystwie kupców i najemników, mistrz Giammatteo publicznie umył ręce, zapobiegając w ten sposób szarganiu jego nazwiska przez bratanka. To i inne rzeczy, które mówił, nie zaskarbiły mu serca Tobiego. Podobnie jak fakt, że pomimo przekroczonej sześćdziesiątki profesor był czerstwy i kwitnący, a jego wesoła twarz miała wszelkie zalety, których brakowało Tobiemu - łącznie z brodą i grzywą szpakowatych, brązowych włosów.

- Czy on tu jest? - spytał Tobie.

- O tak - odparł stryj. - Jak wiesz, przyprowadził konie dla Pierfrancesca. Messer Angolo i jego stara uznali za stosowne zaprosić go ponownie, zanim jeszcze posłali po mnie. Wielce układowy młodzieniec. Każdy z nas postawił sobie za cel rozmowę z nim. Okazuje wzruszającą wdzięczność za wszystko, co dla niego zrobiłeś. Twoja umiejętna opieka w Damme; twój akt miłosierdzia w Genewie. Wiemy, jak blisko jesteście z sobą. Rozumiesz zapewne, że skoro tak nagle opuściłeś kapitana Lionetto, można mieć wrażenie, że zwabiły cię pociągnięcia tego chłopca?

- Nie. Już o tym mówiłem. To pociągnięcia kapitana Lionetto wzbudziły we mnie odrazę - odparł sucho Tobie. *Pociągnięcia*, powiedział stryj z pewną przebiegłością. Zboczenia zawsze bawiły Giammattea. Tobie

poczuł się uspokojony. A więc dlatego go tu wezwano. Oznaczało to przynajmniej, że stryj nie wiedział nic o farbach do włosów, napojach miłosnych i ostrokrzewie. Ani o przypuszczalnym majątku, spoczywającym w rękach zagadkowej istoty, której zaufanie mógł pozyskać - lecz nie był tego pewien.

- A ty, jak słyszę, budzisz odrazę w kapitanie Lionetto - ciągnął pogodnie stryj. - Twój dawny kapitan jest w Mediolanie, w drodze do Piccinina. Lepiej bądź ostrożny. No cóż, nasz młody człowiek jest w prywatnych apartamentach z Messer Agnolem, jego siostrą i przyjaciółmi. Może poszedłbyś ze mną po niego?

- W prywatnych apartamentach? - powtórzył Tobie.

Profesor uśmiechnął się.

- Grają w karty, jak sędzę - dodał łaskawym tonem.

Bawialnią Acciajuolich była niewiele większa od malowanego gabinetu, choć miała piękny kominek, rozjaśniony blaskiem płonących głowni. Inne źródła światła umieszczono wokół karcianego stolika, przy którym siedziały cztery osoby, podczas gdy trzy pozostałe pochylały się stojąc za nimi. Kiedy profesor i Tobie weszli, jeden z graczy odwrócił się z roztargnionym uśmiechem i uniośł palec.

- Chwileczkę! Błagamy o wyrozumiałość. Marco, Giovanni! Może nasi goście napiliby się wina, kiedy będziemy kończyć partię?

Służący już odszedł. Wezwani w ten sposób mężczyźni byli dwoma spośród stojących gości; towarzyszyła im młoda, ładna panna. Tobie nie znał nikogo spośród nich. Z towarzyskim, lekarskim uśmiechem zaczął bacznie przyglądać się zebranym.

Wśród grających w karty ten, który przemówił, był niewątpliwie gospodarzem. Ów krępy, władczy człowiek o ziemistej cerze musiał być bankierem - Angolo Acciajuoli, wnuk Donata, księcia ateńskiego i krewny Messer Nicholaia, jednookiego Greka, podróżującego ze Szkocji do Brugii. Siedząca obok kobieta to z pewnością jego siostra Laudomia, żona nieobecnego Pierfrancesca. Być może przyrodnia siostra: urodziwa kobieta, o wiele lat młodsza od Angola i wystrojona zgodnie z florencką modą. Włosy i rękawy sukni przybrane klejnotami szły wdzięcznie w parze z odsłoniętym dekoltem i szyją.

Obok niej siedział ktoś znajomy, nie będący Grekiem ani Florentyńczykiem. Szczupły, śniady mężczyzna, młody, lecz skromnie ubrany, którego Tobie widział gdzieś niedawno w zupełnie innym stroju. W oddziale Anglików, zwolenników Lancastra. Wśród Anglików, którzy zatrzymali się, by ratować brata Gillesa i zaskoczyła ich przy tym pierwsza ze spowodowanych przez Claesa lawin.

Anglik - tutaj?

W chwilę później domniemany Anglik z uśmiechem przemówił do Claesa czystą francuszczyzną, będącą najwyraźniej jego ojczystą mową; a Claes, odpowiadając uprzejmie w tym samym języku, zwrócił się do niego: „Monsieur Gaston”. Kobieta z cichym śmiechem położyła kartę i także odezwała się do czeladnika, tym razem po włosku. Odpowiedział nie zwlekając; niezupełnie poprawnie, lecz z wyraźnym akcentem bolońskim, zaczerpniętym zapewne od Juliusza, zamiast swego dawnego sabaudzkiego. Dokładnie zrozumiał pytanie.

Oczywiście bawili się nim. Stryj Tobiego z pucharem w dłoni mruknął po łacinie:

- Czemużby nie spróbować tej mowy? Albo greki?

Claes uśmiechnął się, wpatrzony w karty.

- Oszczędźcie mi tego, maestro - powiedział. - Nie mogę jednocześnie chodzić na rękach i iść w zawody z takimi graczami. - Położył kartę i zerknął na Tobiego. Jego spojrzenie pełne było skrywanej uciechy. Gdyby mógł, Tobie odwołałby natychmiast nieopatrzne i rycerskie odruchy z Damme i Genewy, które związały go z tym niebezpiecznym szaleńcem. Wbił w Claesa podejrzliwy wzrok.

Przekłety młokos zachowywał się bez zarzutu. Z szacunkiem, lecz także z przebłytkiem ożywienia i prostego humoru, które bawiły starszych. Był schludny. Przy innych jego ubiór był ubiorem sługi; ale liberia Charettych była najlepsza z tych, na które wdowa mogła sobie pozwolić i pomimo długiej podróży błękitne sukno Claesowego kubraka zachowało wystarczającą sztywność, by uwydatnić jego proste, farbiarskie ramiona. Żołnierski pas otaczał miejsce, gdzie przedtem wisiał poplamiony fartuch, a wysoki kołnierz podkreślał proporcjonalną szyję i kark. Nic nie dało się zrobić z jego przeogromnymi oczyma i szerokim uśmiechem, ale nie było w nich nic z bezmyślności. Tobie odkrył to jeszcze w Brugii.

W grze przysłała kolej na młodzieńca. Dłonie trzymające karty miały tyle samo odcisków co zwykle, ale końce palców przynajmniej nie były niebieskie. Tobie przyglądał się tym palcom, błędząc nad wachlarzem podłużnych kart, z których wybrały jedną i położyły na stole.

Zapadło krótkie milczenie, którego Tobie, nie znając gry, nie potrafił sobie wytłumaczyć. Później kobieta imieniem Laudomia, o oczach szarych, zimnych i przejrzystych, spozrzała na niego z uśmiechem i powiedziała:

- Znowu!

- Arabski - oświadczył Claes. - Powiniście byli, pani, kazać mi przemówić po arabsku. Odebralibyście mi wówczas całą wygraną.

Karty były ręcznie malowane, w barwach czerwieni, błękitu i złota.

Talia, jak obliczył obie, była warta więcej niż wszystko, co Claes miał na sobie, od stóp do głów.

- Zaczekajcie- odezwał się Francuz Gaston. - Zanim położymy na stole to, co mamy w rękach: Niccoló, mój przyjacielu, jakie są nasze karty?

Niccoló?

Patrzył na Claesa, który oblał się rumieńcem i odpowiedział:

- Nie wiecie? Monsieur, poniesiecie wielką stratę.

Messer Agnolo drgnął. Uśmiechnął się, pochwywszy spojrzenie mężczyzny imieniem Giovanni, który podszedł i stanął obok niego.

- Powiedz mi, młody przyjacielu - rzekł Angolo - co mam w rękę?

- Lejce - odparł Claes bez złośliwości. - Cóż, monsieur, wzięliście dziewczynkę, której już nie położyliście na stole. Później zatrzymaliście trójkę i damę. To wszystko *bastoni*. Później...

Wymienił kolejno karty trzymane przez tamtego, po czym - na prośbę zebranych - także karty pozostałych. Jednocześnie Giovanni pochylał się nad graczami i sprawdzał. Wszystko się zgadzało.

Claes, jak się wydawało, odczuwał ulgę i zmieszanie zarazem.

- Zawdzięczam to farbiarni - powiedział. - Długie receptury są bardzo dobrymi ćwiczeniami dla pamięci. I rymowanki. Wyśpiewujemy je podczas mieszania farby. Kiedy dołączy się strofy o wszystkich, którzy nam przyjdą do głowy, to staje się bardzo długie.

Rozejrzał się usłużnie, jak gdyby gotów był także zaśpiewać na życzenie.

- Czy słyszysz, Giovanni? - zapytał Messer Agnolo. - Kiedyś byłeś farbiarzem. Będziemy od ciebie wymagać tego samego, kiedy usiądziesz z nami do gry.

Tobie wyczuwał, że na twarzy stryja pojawił się uśmiech. Stryj przemówił:

- Czy mogę przedstawić mego bratanka Tobiego, czy też mamy odejść, zanim rozpoczniecie następną partyjkę z tym obiecującym młodym rachmistrzem?

Gra wydawała się skończona. Gospodarz i jego siostra wstali i podeszli bliżej. Gości rozsadzono i przesadzono. Dokonano prezentacji. Ładna młoda kobieta miała na imię Caterina, a jej mąż, Marco Parenti, był kupcem z Florencji, sprzedającym jedwab do Aten i Konstantynopola. Ponadto był pisarzem. Co więcej, najwidoczniej nie dbał o to, że Caterina usiadła obok Claesa.

Giovarihi da Castro był chrzestnym synem papieża, zatrudnionym w kancelarii papieskiej. Ojciec Święty wykorzystywał jego doświadczenia zawodowe. Przedtem Messer da Castro był farbiarzem. Istniała tu pewna zbieżność. Był farbiarzem zamorskich tkanin w Konstantynopolu sześć lat wcześniej, przed najazdem sułtana. Udało mu się ująć z życiem. Miał szczęście.

Tobie miał nadzieję, że zachowuje spokojny wyraz twarzy. Był to przecież dom Acciajuolich. Cóż w tym osobliwego, jeżeli nawet wszyscy goście prowadzili kiedyś przedsiębiorstwa w Konstantynopolu, Atenach czy Morii? Przypomniał sobie o członku rodziny, dotychczas pomijanym milczeniem. Zwrócił się do da Castry:

- Mielicie więcej szczęścia niż Messer Bartolomeo, brat Greka ze... brat krewniaka Messer Agnola, tego, który podróżował po Europie zbierając fundusze na okup. Czy coś o nim wiadomo? Czy może się spodziewać oswobodzenia, kiedy złoto zostanie zebrane?

Od samej Brugii Grek i jego uwięziony brat żywo zajmowali Tobiasza. Był zaskoczony, gdyż da Castro zwlekał z odpowiedzią. Wreszcie odezwała się Laudomia, krewna jeńca:

- Drogi Messer Tobiaszu! Ten człowiek jest wolny już od miesiący. Meczydeusze zapłacili za niego okup i wielkodusznie zgodzili się zaczekać na zwrot pieniędzy.

- Do tego czasu, oczywiście, narosną odsetki - zauważył Tobie.

Monna Laudomia uśmiechnęła się. Papieski chrześniak ze śmiechem, pospiesznie wtrącił się do rozmowy.

- To jedyna rzecz, która nigdy nie stoi w miejscu. Ale, oczywiście, należało ustalić kwestię dalszej działalności handlowej Messer Bartolomea. Za opłatą, naturalnie. Na chrześcijan nałożono niebotyczne podatki. Ogólnie jednak rzecz biorąc, Bartolomeo Giorgio nic nie straci.

- Chcecie powiedzieć - zaczął Tobie - że on nadal prowadzi działalność w Konstantynopolu zajęтым przez Turków? Z którego wy musieliście uciekać?

Nastąpiła znowu chwila ciszy, po czym da Castro wzruszył ramionami.

- Albo religia albo interesy. Czasami trzeba wybierać. Nie. Nie zazdroścę Bartolomeowi majątku. Całkiem dobrze radzę sobie tutaj.

- A jeśli - ciągnął Tobie - wasz ojciec chrzestny rozpocznie krucjatę i odbierze Turkom Konstantynopol?

Messer da Castro miał zdziwioną minę.

- Wówczas powrócę do dawnego zajęcia, jeśli zechcę. A Messer Bartolomeo nie będzie już musiał płacić Turkom podatków. Szczęśliwe rozwiązanie.

- Jeśli przeżyje - stwierdził Tobie. - Czym się zajmuje? Czy także jest farbiarzem?

Ponownie zapadła cisza. I ponownie Laudomia Acciajuoli udzieliła odpowiedzi.

- Bartolomeo jest Wenecjaninem. Być może myślicie, że niełatwo usprawiedliwić krewnego, który dobrze żyje z poganami. Ale sułtan wyróżnia

kupców z Wenecji. Sułtan pozwala im zachować obyczaje i wiarę, a oni płacą mu za to sownie. Bartolomeo kupuje na wschodzie surowy jedwab i sprzedaje go lub wymienia w Konstantynopolu na jedwabne tkaniny u pośredników takich jak obecny tu Messer Marco. Zajmuje się także, na szeroką skalę, ałunem.

- *Ałunem?* - powtórzył Tobie. Odchrząknął głośno.

Laudomia Acciajuoli spojrzała na niego i dodała:

- Myślałam, że jego brat wspomniał wam o tym. Bartolomeo zarządza w imieniu sułtana kopalniami ałunu w Fokai.

Claes, ty sukinsynu, pomyślał Tobie. A kochany stryjaszek Giammatteo, który stoi i gapi się w sufit? Gdzie ja jestem? Jak im się zdaje, gdzie ja jestem? Co ja tu robię? Zachowujmy się jak gdyby nigdy nic.

- Teraz pojmuję, dlaczego z nadzieją myślicie o krucjacie - rzekł Tobie.

- Lub o innym źródle ałunu - odparła Monna Laudomia. - To wasze wielkie marzenie, Messer Giovanni, nieprawdaż? Aby papież, wasz ojciec chrzestny, pozwolił wam szukać złóż na swym terytorium? Pomyślcie, co by było, gdybyście znaleźli ałun!

Chrzestny syn papieża wstał i odpowiedział:

- Obawiam się, że to w tej chwili dość odległa perspektywa. Monna Laudomio, Messer Agnolo, muszę was opuścić.

Tobie nie był zdziwiony. Odegrał swoją rolę i teraz stał wpatrując się z roztargnieniem w gospodarza, wyprowadzającego papieskiego chrześniaka z pokoju. Stryj, z uśmiechem, który nie podobał się Tobiemu, uznał za stosowne znowu usiąść i po chwili Tobie zrobił to samo. Claes, otrzymawszy od doktora piorunujące spojrzenie, usadowił się pomiędzy Markiem Parenti a jego żoną i wiedli rozmowę po włosku.

Francuz, który grał w karty, zajął zydeł obok stryja Tobiego. Stryj nachylił się i rzekł:

- Tobiaszu, poznaj pana Gastona du Lyon.

- Znamy się już - powiedział Gaston du Lyon. - Pan Tobiasz i ja spotkaliśmy się kilka dni temu wśród śniegów, a teraz on zadaje sobie pytanie, dlaczego podróżowałem w towarzystwie Anglików.

Tobie nie chciał w tej chwili myśleć, jak może brzmieć odpowiedź.

- Mam nadzieję, żeście tylko przemokli, nic ponadto - powiedział.

- Nic złego się nie stało. Po prostu jechałem z wielmożnym panem Worcester dla bezpieczeństwa. Myślę, że był przekonany, iż jestem lojalnym poddanym króla Francji Karola, udającym się w zbożnym celu do Rzymu.

- Ale Claes wiedział, kim jesteście? - spytał Tobie.

- Byłbym zły, gdyby wiedział. Nie, nie wiedział. Był, jeśli nie skruszony, to przynajmniej uprzejmy, kiedy poznał moje pochodzenie.

- To znaczy?

- Och, jestem Francuzem - odparł Gaston. - Nie służę jednak królowi Francji, lecz delfinowi, jego synowi na wygnaniu. Jestem szambelanem delfina Ludwika i przybyłem do Mediolanu, by wziąć udział w lutowym turnieju. Żyję turniejami. To dla mnie wielka radość.

- Dla mnie nie. Zbyt wiele czasu spędzam na leczeniu ofiar - rzekł Tobie. Pomyślał o lawinie. Pomyślał o Claesie, tak usłużnie łątającym trzewiki i wysłuchującym wszystkich sabaudzkich plotek. Cokolwiek myślał naiwny pan Gaston, Tobie był pewien, że Claes dobrze wiedział, komu pan Gaston służy. Jeszcze przed lawiną.

Tobie był wzburzony, jak gdyby znalazł się w potrzasku. Claes, ładna młoda dama i jej małżonek przerwali rozmowę. Nioczekiwanie Claes wstał i zawołał:

- Panie Tobiaszu! Poznaliście Messer Marca i jego małżonkę. Czy wiecie, kim ona jest? Siostrą Lorenza!

- Lorenza? - powtórzył Tobie.

- Lorenzo Strozzi! Z domu Strozich w Brugii. Spotkało ich nieszczęście... stracili brata... a ja mam w sakwie, w gospodzie, listy od Lorenza do Monny Cateriny i jej matki. Dostarczę je jutro. - W poszanowaniu dla straty twarz Claesa przybrała wyraz niefrasobliwego współczucia. Zwrócił się do kobiety - Lorenzo tak bardzo tęskni za wami, pani. Próbuje go rozweselać, lecz on powinien wrócić do Italii.

- Zawsze to mówiłam - stwierdziła. - Mój brat usycha z tęsknoty, Marco. Pragnie mieć własne przedsiębiorstwo.

Claes wydawał się zaciekawiony. Messer Marco Parenti był zły. Tobie, poszukując wyjścia z sytuacji, usłyszał znowu głos damy i bardzo męzowski szept Messer Marca: „Nie tutaj. Nie teraz”.

Czyjaś dłoń spoczęła na ramieniu Tobiego i odciągnęła go na bok.

- A teraz - przemówił serdecznie wybitny stryj do ucha Tobiego - czy dostrzegasz, ile są warte odpowiednio poczynione znajomości? Ocenili młodzieńca wedle własnej miary. Przyznaję, że jest godzien uwagi. Winszuję ci twego podopiecznego. Powiedziałem Monnie Laudonii, że ty, jako mój bratanek, jesteś najrzetelniejszym człowiekiem, jakiego mogą znaleźć.

- Znaleźć? W jakim celu? - spytał Tobie. - *Podopieczny*? Nie mam z Claesem nic wspólnego. Do czego jest im potrzebny?

Stryj miał zdumioną minę.

- Jest uzdolniony - odparł. - Z pewnością wiesz, jakim wzięciem cieszył się w Brugii? - Urwał. - I zaiste wie znacznie więcej, niż powinien.

Tobie pomyślał o doktorze Quilico, uznał jednak, że stryj nie słyszał chyba o Quilico, który wie tak dobrze, co rośnie przy fokajskich złożach ałunu. I który skłonny był opowiadać po pijanemu chorym, przebiegłym

młodzieńcom i ich medykom o innych, nie odkrytych jeszcze złożach ałunu. Po chwili zdał sobie sprawę, że profesor mógł wiedzieć wszystko o Quico, jeśli Claes mu powiedział. Ale dlaczego Claes miałby mu o tym mówić?

- Proszę o wyjaśnienie - rzekł ostrożnie Tobie.

- Czy tak mówi medyk? - zapytał stryj. - Diagnoza, mój chłopcze! Widziałeś grę w karty. Młodzieniec przyswaja sobie obce języki, potrafi operować liczbami. Jaki mógłby być jako prywatny posłaniec?

Tobie stwierdził, że uśmiecha się z czystej ulgi. A więc o to chodziło. Posłaniec. Powinien był się domyślić. Przypomniał sobie sakwę, z którą Loppe nie rozstawał się podczas podróży i okazałe listy, związane i zapieczętowane. Osoba rzeźbiąca zawiłe łamigłówki mogła mieć palce dość zręczne, by zostać złodziejem lub fałszerzem. I spryt wystarczający do rozwikłania treści pism innych ludzi. Ci, którzy układali szyfry w książęcej kancelarii, byli właśnie takimi ludźmi.

- Czy oni chcą go opłacać czy zatrudnić? A może udać, że robią jedno i drugie, a później wrzucić mu jakąś truciznę do wina? - spytał z uśmiechem Tobie.

- Podejrzewam, że myśleli i o tym - odparł łagodnie stryj. - Ale przestali, kiedy okazało się, że jest przyjacielem mojego bratanka. Nastąpiło to po wezwaniu mnie, bym udzielił im rady. Byłem i jestem szczęśliwy, że mogłem pomóc.

- Moim przyjacielem? - powtórzył Tobie. - Dziękuję, ale ten nicpoń jest farbiarskim czeladnikiem.

- Cóż, uratowałeś mu życie. A przynajmniej tak mi mówiono - rzekł stryj. - Przyjechałeś z nim do Mediolanu. I okazałaś inteligentne zaciekawienie wiadomością zasłyszaną w Brugii. A może nie masz na tyle rozsądku, żeby pojąć, o co tu chodzi?

Uśmiech znikł z twarzy Tobiego. Nigdy już nie będzie snuł przypuszczeń. Mimo wszystko nie rozmawiali wyłącznie o usługach posłańców. Rozmawiali o ałunie i wiedzieli - nawet stryj - znacznie więcej niż Tobie. I próbowali go w to wciągnąć. Korzystna uгода z Claesem to jedna sprawa. Ale poddawanie się manipulacjom całego klanu Acciajuolich (w tym prawdopodobnie Claesa) to zupełnie co innego.

- Rozumiem - powiedział Tobie. - Jeśli mnie pytają, nie mam z tym nic wspólnego.

- Boisz się? - spytał stryj. - On się nie boi, twój młody Niccoló.

- Nie ma nic do stracenia - odparł Tobie.

- Słusznie - przyznał stryj. - Ale to bez znaczenia. Jesteś w to zamieszany. Tak czy inaczej, nie wywiniesz się.

- Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie - powiedział Tobie.

Po tej rozmowie Tobie dwukrotnie usiłował wyjść i dwukrotnie powstrzymał go stryj. Nikt nie zadawał mu pytań ani nie proponował niczego prócz jadła i napojów oraz niewinnej pogawędki, która rozwścieczyła go jeszcze bardziej. Nie mając sposobności, by udzielić wyjaśnień, odeprzeć zarzuty lub czemukolwiek zaprzeczyć, zadowolił się ignorowaniem Claesa, gdy tylko mógł. Oburzające było to, że kiedy w końcu udało mu się wymknąć, stryj narzucił mu towarzystwo Claesa. Giammatteo podkreślił, że wracają do tej samej oberży. Po zmierzchu bezpieczniej było dla bratanka i młodego człowieka wracać razem. Messer Agnolo pożyczył im latarnię.

Latarnię niósł Claes. Wściekły Tobie zszedł pierwszy po schodach i przeciął dziedziniec. Claes, idąc, potrząsał lampą. Cień Tobiego skakał od kolumny do kolumny i groteskowo skradał się wzdłuż ścian z wysoko uniesionym podbródkiem. Kiedy wyszli na ulicę, Tobie odwrócił się z głośnym przekleństwem i pochwyił nadgarstek młodzieńca, zatrzymując go. Następnie przyciągnął latarnię ku sobie i zgasił ją.

Przyćmione światło z ganku domu Acciajuolich padało na pełną wyrzutu twarz Claesa, który powiedział:

- Teraz nie odczytam spisu.
- Jakiego spisu? - warknął doktor. Później, oczywiście, przypomniał sobie.

Claes otworzył sakiewkę. W środku zaślniło srebro. Tobie odezwał się znowu burkliwym tonem:

- Grałeś o *pieniądze*?

- To o wiele ciekawsze - odparł Claes. - I tak daliby mi wygrać. - W rękę trzymał już listę. - Druga kolumna...

- Druga kolumna od lewej, trzecie imię od dołu - przerwał Tobie. - A raczej było tak wczoraj w nocy, prawda? W każdym razie nie chcę cię zatrzymywać. Wracam do gospody.

- I ja także - powiedział Claes. - Ale nie od razu. Tam nie można rozmawiać. Trzecie imię od dołu. To apteka w pobliżu St. Maria della-Scala. Tuż za rogiem.

- Nie mamy o czym rozmawiać - rzekł Tobie. - Nie ruszając się stąd na krok mogę ci powiedzieć, że nie chcę z tym mieć nic wspólnego.

Na twarzy Claesa odbiła się ulga.

- Taką miałem nadzieję - stwierdził. - Nie mam nic przeciwko waszemu styjowi, ale wyjaśniłem, że nie potrzebuję współnika. Teraz musimy tylko pomyśleć, jak was z tego wypłatać.

- Nie jestem wplątany - oświadczył Tobie po raz drugi.

- Naturalnie, że nie - powiedział Claes. - Musimy tylko ustalić, jak przekonać o tym innych. To nie potrwa długo i nie będziecie już musieli myśleć o ałunie.

Ałun. Cóż, pozbycie się tych bredni warto było kilku minut.

Apteka, rzecz oczywista, była zamknięta i ciemna. Tobie sztywno trzymał się z tyłu, gdy Claes zastukał delikatnie i w końcu z głośnym zgrzytem i szczękiem rygli drzwi uchyliły się nieco. Mężczyzna ze świecą w dłoni wpuścił ich do środka. Wydawało się, że jest sam. W izbie pod ścianą stało naprędce sklecone łóżko z dołkiem wygniecionym w miejscu, gdzie ów człowiek siedział i stół na krzyżakach, a na nim bochenek chleba i oliwki. Wiele sklepów wykorzystywało czeladników jako nocnych stróżów.

Było to pomieszczenie większe niż się wydawało. Przy drzwiach znajdowała się lada z wagą aptekarską, liczydłami, odważnikami i szalkami. Najczęściej używane leki i przyprawy w szklanych, cynowych i glinianych naczyniach wypełniały półki. Na zydłu stał brudny moździerz aptekarski.

Izbę wypełniała dusząca woń leczniczych syropów, siarki, salmiaku, maści i terpenetyny, zmieszanych z pieprzem, imbirem, cynamonem, anyżkiem, gałką muszkatołową, goździkami, kminkiem i szafranem. Tobie czuł zapach kandyzowanych owoców, farby, wosku, perfum, octu i rodzynek. Gdzieś była także musztarda, wyciąg z piołunu i mydło. Tobie kichnął.

- Na zdrowie - rzekł Claes.

Mężczyzna ze świecą zaprowadził ich na tyły sklepu. Minęli kolejne półki, gabinet i kilka bel jakiegoś sukna. Tobie kichnął ponownie.

- Na zdrowie - powtórzył Claes. - Czy to astma? Wasz stryj mówił mi, że leczył astmę księżny. I podagrę papieża. Powiada, że papież siedzi teraz z rurą wycelowaną w czubek głowy, a z tej rury płynie ciepła woda. Może powinniście to zastosować. Podobno papież zmienił się nie do poznania od tego nieszczęsnego pobytu w Szkocji, kiedy przemarzły mu stopy, a zęby zaczęły wypadać. Na zdrowie. Ale włosy nie. Długie, złote, wijące się włosy. Papież zachował swoje włosy bardzo długo. Na zdrowie. Czy nie odwiedziliście czasem Szkocji, Meester Tobie?

Przez niskie drzwi przeszli na tyły sklepu. Silna woń wzmogła się jeszcze. Z sufitu zwieszały się jakieś przedmioty. Pęk ziół musnął głowę Tobiego, który odskoczył i otrzymał lekki cios tłuczkiem. Za drzwiami dostrzegł łóżko, wiszącą zasłonę i jeszcze jedno łóżko. Odwrócił się na pięcie.

Ręka Claesa wśliznęła się pod jego ramię i skłoniła do ponownego obrotu.

- Tam nikogo nie ma - powiedział Claes. - Przyjdą dopiero za pół godziny. Nie znają flamandzkiego.

Wciągnął Tobiego do izby i zamknął drzwi za pomocnikiem aptekarza. Łóżko i niska, wyłożona poduszkami skrzynia ze stojącą obok świecą stanowiły jedyne sprzęty po tej stronie zasłony. Claes usiadł na skrzyni ściskając kolana. Tobie stał nadal.

- Zanim zaczniemy rozmawiać o tym, jak mam się wyplątać, pomówmy o tym, jak się wplątałem - powiedział. - Kto wciągnął w to mojego stryja?

Wielkie oczy młodzieńca miały łagodny wyraz.

- Przypuszczam, że Grek z drewnianą nogą - odparł. - Kiedy nie odpłynąłem na weneckiej galerze. Napisał do swych kuzynów Acciajuolich i przekazał im wiadomość o was.

- Dlaczego? - spytał Tobie i kichnął siarczyście.

- Boście wypytywali Ouilica. Pamiętacie? Medyka z galery, który pracował w Lewancie. Grek myślał, że Ouilico zainteresuje mnie koloniami. Nie zdawał sobie sprawy, że spotkali się tu: farbiarz, medyk i człowiek zajmujący się ałunem; i że możemy wysnuć pewne wnioski. Przypuszczam, że zafrasował się nieco - powiedział Claes. - Przypuszczam, że mógł mi się przydarzyć drobny wypadek, gdyby Grek nie odkrył, kim jesteście. Wasz stryj to ważna osobistość, czyż nie?

- Mniejsza o mego stryja - rzekł Tobie. Bezwiednie usiadł na łóżku. - Grek z drewnianą nogą... Czy wiedziałeś, że jego brat zarządza fokajskimi kopalniami ałunu?

- Wtedy jeszcze nie - odparł Claes. - Myślałem, że ma w nich udział Anzelm Adorne.

- Adorne? - powtórzył Tobie. Wykrzesał w pamięci obraz Adorna. Zamożny Brugijczyk o wspaniałej powierzchowności, właściciel Kościoła Jerozolimskiego, spokrewniony z dożami Genui.

- Ano tak - odparł Claes. - Genueńczycy utrzymują swą pozycję handlową w Lewancie od dwustu lat. Ród Zaccharia, Doria, da Castro, Camulio. Niemal równie długo Adorno należało do wielkich nazwisk na Chios. Jeśli was to zajmuje, powinniście byli poznać Prospera de Camulio, tu w Mediolanie. On także wiele wie o ałunie.

- Da Castro - powiedział Tobie. - W tym właśnie rzecz. Po co Giovanni da Castro przyszedł tu dzisiaj? Świat odczuwa brak ałunu. Najlepsze złoża są w Fokai i Wenecjanie oraz brat Greka, Bartolomeo, otrzymali od Turków prawa do ich wydobycia. Otwarcie innej kopalni z pewnością nie leży w ich interesie. Po co zatem przyjmują papieskiego chrześniaka, który ma nadzieję, że zgromadzi fundusze i odkryje złoża? Po co przyjmują ciebie czy mnie, skoro wiedzą, że Quilico mówił ci o drugiej kopalni i myślą, że ja także o tym wiem?

Wielkie oczy błyszczały. Claes wyczekiwał z zaciekawieniem, jak gdyby miał usłyszeć zakończenie dziecięcej bajki.

Tobie rozchylił usta i kichnął. Wyjął chustkę i poprzez nią dodał tak kąśliwie, jak tylko potrafił:

- Domyślam się, że ród Acciajuoli wspiera i ciebie, i Giovanniego da

Castro. W zamian za zyski z nowej kopalni mają zamiar płacić ci za pomoc w wybieraniu złóż.

Wytań nos. Claes rzekł: „Na zdrowie” i nadal wpatrywał się w niego ze zrozumieniem.

- Czy nie mam racji? - spytał Tobie.

- O nie - odparł Claes. - Przykro mi. Nie. Giovanni da Castro nie rozpoczął jeszcze poszukiwań ałunu. Nie spieszy się zbyt. Myślę, że znalazł się tam, ponieważ Acciajuoli cieszyliby się, gdybym go zabił. Naturalnie, że odkrycie drugiej kopalni szkodzi interesom kopalni fokajskiej.

- Więc kupują twoje *milczenie*? - spytał Tobie. Poczł skurcz lęku i otarł go chustką.

- I wasze, oczywiście - odrzekł Claes. - Myślę, że wiecie to samo, co ja. Tobie utkwił spojrzenie w dawnym czeladniku.

- Musiałbym się bardzo starać - powiedział - by utrzymać to wrażenie.

- Kupują także pewne informacje - oznajmił pogodnie Claes. - Mam nowy kontrakt. Sprzedałem im usługi kurierskie. Dlatego był tam pan Gaston, Marco Parenti i siostra Strozziogo. To nie ma nic wspólnego z ałunem. Zwykle interesy. Kompania Charettę dostarczy posłańców, a ja dostarczę oczekiwanych wiadomości. Powiedzieli, że mają nadzieję, iż wy pozostaniecie w Mediolanie, by pełnić nadzór. Niczego nie będziecie dostarczać. Będziecie po prostu podejmować pieniądze i robić dobrą minę. I ani słowa o ałunie. - Umilkł i z przejęciem zmarszczył czoło. Dodał: - Kłopot w tym, że jeśli nie zechcecie podejmować pieniędzy, pomyślę, że nie zamierzacie milczeć.

- Dziękuję bardzo - powiedział Tobie. - Wpłatałeś mnie w spisek mający na celu zachowanie ałunowego monopolu. Teraz znowu wciągasz mnie w szpiegostwo.

- Szpiegostwo? - powtórzył Claes. - Nic o tym nie wiem, panie Tobie. Szpiegują ambasadorowie, posłowie, specjaliści przedstawiciele. Nie obracam się w tych kręgach. Po prostu słyszę czasami, przypadkiem, co mówią kanceliści w biurach pośredników, kowale, furmani, którzy wiedzą, dokąd idą konie, gdzie gromadzi się żywność i komu wypłaca pieniądze. Ot, plotki. Kogoś takiego jak ja nikt nie zauważa.

- Claesie - zaczął Tobie - opowiedz mi o armacie, której przydarzył się wypadek w drodze do króla Szkocji. I o lawinie spadającej na Anglików spod znaku Lancastra. I o twojej sławnej smykałce do liczb i łamigłówek. Później zaś spróbuj mnie przekonać, że siedzisz w stajni ze słomą w uszach i wysłuchujesz plotek.

Claes, siedzący ze skrzyżowanymi nogami, nie spuszczał oczu. Wyglądał dokładnie jak ktoś, kto ma słomę w uszach. Wyglądał jak rośły, gładko

ogolony pustelnik, gotów wytłumaczyć, dlaczego potrzebuje nowego szałas. W sercu Tobiego wezbrała gorycz. Nie widział powodu, by nie oznajmić Claesowi wyraźnie, co o nim myśli.

- Oczywiście, chcesz być bogaty - powiedział Tobie. - Chcesz zmusić Brugijczyków, aby ci się kłaniali, zamiast cię bić. Chcesz strojów, klejnotów, kochanki, która nie jest dziewczką służebną; i chcesz chełpić się tym wszystkim przed Jaakiem de Fleury i jego żoną, przed Katelina van Borselen, kapitanem Lionetto i Szkotem Szymonem. Skradłeś pomysł Juliuszowi i wysłałeś go wraz z Astorrem bezpiecznie na wojnę, a sam masz wymówkę, by wrócić prosto do Brugii z tajnymi wieściami i odpowiadać tylko przed głupawym młodzieniaszkiem i wdową, która potrzebuje inteligentnego, zwawego, młodego człowieka do pomocy. Czy ożenisz się z nią, Claesie? - spytał Tobie. - Jestem pewien, że cię zechce. Masz takie szczęście do dziewcząt.

- Mówiłem już, że nie chcę współnika - odparł Claes. - Wy zostaliście w to wplątani przez pomyłkę. Nic więcej o tym nie usłyszycie.

Mówił teraz innym tonem. I nie wyglądał już jak ktoś, kto ma słomę w uszach.

- Mimo że ktoś tam wie, że wiem wszystko to, co ty wiesz? - zapytał szyderczo Tobie.

- Troszczę się wyłącznie o to, by zapobiec powstaniu nowej kopalni ałunu - odparł Claes. - Jeżeli się wycofacie, spadnie im kłopot z głowy. Jesteście jedynym człowiekiem, który mógł odnaleźć złoża.

Tobie szeroko otworzył zażawione oczy. Kichnął i nie usłyszał „na zdrowie”. Szybko i w napięciu rozmyślał przesłonięty chustką. Wysunął nos i powiedział:

- Rozumiem. To stąd farba od włosów, napoje miłosne i pogawędki o występowaniu roślin? Czy Quilico *nie* mówił ci, gdzie jego zdaniem może być ałun?

- Tylko tyle, że jest w Lazio, a to spory obszar wokół Rzymu, wewnątrz Stanów Papieskich. Dlatego popieranie da Castry jest bezcelowe. Gdy tylko złoża zostaną odkryte, będzie mógł nimi dysponować jedynie papież, nikt inny.

- Jak roztropnie z twojej strony, że mi nie powiedziałaś - rzekł Tobie. - Mogłem sam zająć się całym przedsięwzięciem przy poparciu stryja. Nadal mogę to zrobić, czyż nie? Odnaleźć złoża, jeżeli istnieją, i dowieść tego. Inaczej kompania z Fokai nie zapłaci za zatuszowanie sprawy, nieprawdaż?

Na twarz Claesa powrócił przyjazny wyraz.

- Nie widzę powodu, byście nie mieli tego uczynić, panie Tobie. Może ktoś skorzysta z tych wiadomości.

- Czemu nie ty? - spytał Tobie. - Mówiłeś, że nie potrzeba ci wspólnika.
- O - odparł Claes - miałem na myśli usługi kurierskie. Nie. Ludzie zaczęliby gadać, gdybym tygodniami wydeptywał wzgórze i rozpytywał wśród lewantyńskich kupców i wydobywców ałunu. Prędzej czy później inni i tak znajdą złoża. To obietnica szybkiego zysku dla kogoś, kto może poświęcić swój czas już teraz.

- Pojmuję - rzekł Tobie. - A co powiedziałaś ludziom z Fokai?

Claes opuścił nogi na podłogę i wsunął dłonie między kolana.

- Że otrzymają do wiosny dowód istnienia drugiej kopalni. Jeśli chcecie, powiem im, że ów dowód dostarczycie wy. Jeśli nie, powiem im, że kopalnia nie istnieje.

- Nie uwierzą ci - powiedział Tobie.

Claes uśmiechnął się tylko.

- Będziecie bezpieczni - powiedział.

Oczywiście, że będzie. Ze względu na Giammattea.

Światło świecy falowało. Pół godziny. Chyba już upłynęło.

- Wiesz, że zasłużyłeś na to, co się stało - rzekł Tobie. - Wprawiłeś to wszystko w ruch. Jeśli ci nie uwierzą, zrobią z tobą to, co ty miałeś zrobić z Giovannim da Castro.

- A zatem muszę się pospieszyć z wygrzebaniem kilku tajemnic dla ochrony? - zauważył Claes. Jego spojrzenie było bardzo przyjazne. - Jeśli nie chcecie podejmować decyzji już teraz, nie muszę mówić, że się wycofujecie. Przyjaciele z Fokai nie oczekują ode mnie wieści aż do wiosny.

To było sprytne. Tobiemu podobała się ta propozycja. I nie zachodziła potrzeba udzielania konkretnej odpowiedzi. Całkowicie lekceważąc kwestię ałunu, Tobie powiedział:

- Chcę, by dowiedzieli się *natychmiast*, że nie mam nic wspólnego z twoimi usługami kurierskimi.

- Rozumiem - odparł Claes. - To nietrudne.

- Zatem teraz możesz zatrzymać cały zysk - powiedział Tobie. - Co zrobisz z pieniędzmi?

- Zmuszę Brugijczyków, by mi się kłaniali, zamiast mnie bić - odparł Claes. - Część ulokuję.

- Tak? - Tobie wstał z łóżka i wygładził pomiętą szatę. - Jakaś drobna posiadłość? Udział w winiarni?

- Jedno i drugie. Co myślicie o ręcznej broni palnej? - zagadnął Claes. Tobie przerwał wybieranie piór z fałdów szaty.

- Zakładasz przedsiębiorstwo? - spytał.

- Cóż, już w nim jestem - powiedział Claes. - Pieniądze należą do

kompanii Charetty. Kapitan Astorre powinien mieć broń. Kredyt przyda się w kilku innych wypadkach, nie tylko przy kupowaniu posiadłości. Leuven potrzebuje większego kapitału.

- Wdowa? - zapytał Tobie. - Robisz to wszystko dla... Ona przyjmie pieniądze pochodzące z takiego źródła?

- Nie widzę nic złego w kontrakcie na usługi kurierskie - odparł słodko Claes.

- I ona także nie wie o planach związanych z ałunem? Jedyne Grek i Anzelm Adorne - powiedział Tobie. - Wiesz, zadziwia mnie ten Adorne. Człowiek, który buduje kościół, a jednocześnie ochrania turecki monopol! Nie zaprzeczysz, że tak to wygląda, nawet jeżeli zarządzają tym Wenecjanie? - Wtem coś nowego przyszło mu na myśl. - Chryste! Jeżeli mówisz prawdę, ochrania go na koszt *papieża*?

Miał nadzieję, że wygląda na wstrząśniętego. Obawiał się, że wygląda tak samo jak Claes.

- Nie mówiłem, że Adorne zna szczegóły - powiedział Claes. - Tak czy inaczej, handel i ambicje zazwyczaj są do pogodzenia. Ktoś stuka do drzwi.

Tobie słyszał.

- Nie uzgodniłeś...

Claes wstał. Rosły, promienny, o gładkiej skórze, wydawał się zdolny do wszelkich prób sił, o jakich Tobie słyszał. Mógł sobie wyobrazić Claesa nie szcędzącego wysiłku przez długie godziny z jedną lub kilkoma dziewczynami. Stały tu dwa łóżka. Tobie ujrzał przed sobą perspektywę nieskończonego zakłopotania.

- Nie martwcie się - rzekł Claes. - Nikt już nie wspomni wam o ałunie, chyba że to wy poruszycie ten temat. I o ile wam wiadomo, zajmuję się szacownymi usługami kurierskimi. Wracam do oberży. Jeśli zechcecie, zostańcie.

W jakiś sposób należy podkreślać swą pozycję.

- To zależy - odparł Tobie niespiesznie. Podszedł dumnie do drzwi, a gdy je otworzył, ujrzał drobną, uroczą osóbkę w naszyjniku z koralami i z obnażoną jedną piersią. - *Cateruzza!* - zawołał.

- Druga kolumna od lewej, trzecie imię od dołu - powiedział Claes. - Podobno przyjeżdżaliście do niej z samej Pawii. Pomyślałem, że zaciekawili was to, że nadal łączy handel z ambicjami. Zostawię wam latarnię.

Tobie stał w drzwiach sklepu i patrzył na Claesa, który przemknął się obok ziół i tłuczka, i wyszedł.

Tobie kichnął.

- Na zdrowie - powiedziała melodyjnie Cateruzza zza jego pleców. Zobaczył, że jej drugą pierś odsłoniło chyba jego kichnięcie.

Zamknął drzwi. Był zaskoczony. Czuł się okpiony. Miał chęć ulokować wszystkie niedawne błogosławieństwa natychmiast... prędzej niż natychmiast... na odkrytym i wymuskany łonie Cateruzzy.

Wówczas dopiero Tobiemu spodobało się w Mediolanie. Kilkakrotnie widział później Claesa, rozmawiającego o rzeczach przyziemnych. Nie było mowy o dziewczętach, ałunie i szpiegostwie.

Usługi kurierskie rozżłościły Juliusza. Nawet gdy wyjaśniono mu, ile pieniędzy wpłynie dzięki temu do skrzyń kompanii, wyrażał niezadowolenie. Oczekiwał, że Claes pojedzie z nim do Neapolu. Nie pojmował, dlaczego Claes, wcielony do oddziału Astorre'a, mógł nieoczekiwanie zająć się czymś zupełnie innym. Jeszcze bardziej drażniło go to, że Astorre nie wydawał się przejęty.

Jedyną osobą, która się tym przejęła, był Tomasz, liczący na towarzystwo Claesa w podróży na północ, kiedy wyjedzie, by zgromadzić resztę oddziału. I być może jeszcze kilku żołnierzy, którzy przywykli do serii Claesowych przedstawień, wyobrażających kapitana Astorre idącego jak burza przez księstwa Europy i gromadzącego wrzaskliwe kucharki, zmuszone do przyrządzania wołowej galarety, wędzonej szynki i smażonej wieprzowiny tak jak lubił - aż wreszcie żaden namiot nie mógł pomieścić jego kucharek, wychodków i brzucha. Claes także wybornie naśladował Lionetta, co niezupełnie zachwycało Tobiego.

Kapitan Lionetto przybył do Mediolanu i doszło już raz do publicznej utarczki między nim a jego dawnym medykiem. Lionetto miał nowy płaszcz, bramowany kosztakami, i cały lśnił od barwnych kamieni, które tym razem • z pewnością nie były szkiełkami. Ktoś był bardzo życzliwy dla Lionetta i Tobie podejrzewał, że to nie Piccinino, który go wynajął. Ani też Medyceusze, o których Lionetto opowiedział dwie gorszące historie i przyjął postawę pełną najgłębszej wzdargy. Zwłaszcza gdy usłyszał, gdzie Astorre ulokował pieniądze.

Tobie opowiedział Astorre'owi o tym spotkaniu, nie tyle po to, by zachwiać jego zaufanie do Medyceuszów, ile by obudzić w nim czujność na wypadek, gdyby Lionetto wysłał za Tobiem trzech ludzi z toporami. Psuło mu to przyjemność, jakiej doznawał na myśl o spędzeniu Bożego Narodzenia w Mediolanie, co z takim trudem załatwił. Juliusz także narzekał.

Tobiemu przypadło W udziale zwrócenie uwagi, że brat Gilles nie jest jeszcze w stanie podróżować. Wbrew nikłemu zainteresowaniu Astorre'a, ktoś musiał zajmować się nogą tego nieszczęśnika. Doktor podjął się tego zadania. Później miał przywieźć mnicha Medyceuszom do Florencji. Następnie zaś dołączyć do Astorre'a, Juliusza i innych w Neapolu, gdzie spędzą zimę obrastając tłuszczem, w otoczeniu pijawek rozmaitej maści. Wiosną rozpocznie się wojna. Astorre będzie walczył. Juliusz policzy rannych. On, Tobie, będzie ich leczył. Co w tym było nie w porządku?

- Chodzi o dziewczynę - powiedział Juliusz. - Prawda? Na Boga, nie jesteś lepszy od Claesa. Jego też nie widuję.

- Twój problem polega na tym - odparł Tobie - że wydaje ci się, iż tylko ty jesteś zapracowany. Dziewczęta? Claes przebywa w Castello i uczy się, jak być żołnierzem zwanym Niccoló. Kanclerz księcia nalegał, by to on zaopiekował się książęcymi przesyłkami. A ja? Ja jadę jutro do Piacenzy z Tomaszem i Manfredem. Mamy zamówić broń dla Fleury'ego, a ja będę kupował rusznice dla Astorre'a.

- Nie powiedział mi - mruknął Juliusz. - Z pieniędzy za *condottę*?

- Tak przypuszczam - odparł Tobie. - Albo to albo Claes znowu gra w karty o pieniądze.

Poklepał notariusza po ramieniu, które było tak twarde, że zapiekła go dłoń. Obracał ją w roztargnieniu, idąc do drzwi z zadowoloną miną; a Juliusz siedział, odprowadzając go spojrzeniem.

ROZDZIAŁ 15

Plotka, pospieszając przez Alpy wraz z odjeżdżającymi legatami papieskimi, dotarła do Brugii przed Tomaszem i Claesem. Mówiono o korzystnym kontrakcie, zawartym w imieniu kompanii Charetty przez kapitana Astorre, który posyłał teraz umyślnych na południe po żołnierzy. Mniej wiarygodna była pogłoska o uzyskaniu przez Charettych innego kontraktu: na dostarczenie zamówionych usług kurierskich między Flandrią a Italią, świadczonych przez... ale nie. Najwięksi panowie, najwięksi przedsiębiorcy północnych Włoch mieliby powierzać swe przesyłki Claesowi, temu roztrzepanemu, gamoniowatemu czeladnikowi, który wymaszerował z Brugii wraz z oddziałem najemników zaledwie przed trzema miesiącami? Czy to możliwe?

Feliks de Charetty, który tkwił z siostrami w Brugii, podczas gdy jego matka zmagająca się z przedsiębiorstwem w Leuven, usłyszał tę wiadomość jako jeden z pierwszych i uwierzył bez zastrzeżeń. Ufajcie Claesowi. Ich największe wspólne wybryki, najlepsze żarty wynikały z pomysłów Claesa. Feliks zazdrościł posłańcom uciechy, jaką będą mieli, zanim wszystko zwali się im na głowy, jak to było ze zbiornikiem wody. Usiłował wyobrazić sobie chłostę, którą Claes będzie musiał znieść tym razem.

Kiedy pierwszy wieśniak, przybyły przez bramę Św. Katarzyny oznajmił, że do Brugii wkracza wielka kawalkada nuncjusza papieskiego (małego biskupa Coppini), a z nią - zgadnijcie! - grupa z flagą Charettych, Feliks krzykiem przywołał siostry, po czym odszukał i wcisnął na głowę bobrowy kapelusz z wysokim denkiem.

Tilda, nadašana tak samo jak kiedyś, za życia ojca, jej matka, podeszła i podała bratu płaszcz, a później stała odprowadzając go tęsknym spojrzeniem. Gdyby była w wieku Katarzyny, rozkrzyczałaby się, że chce mu towarzyszyć; lecz trzynastolatki mają swoją godność. Katarzyna zaś podskakiwała ciągnąc siostrę za rękaw i podśpiewując. Od wyjazdu Claesa Katarzyna stała się kobietą. Myślała, że mogłaby poślubić Claesa, zwłaszcza gdy długo był nieobecny i przywoził jej podarunki z Italii.

Przybycie nuncjusza papieskiego zostało, rzecz jasna, obwieszczone

i gdy Feliks z kilkoma przyjaciółmi znaleźli się przy Bramie Św. Katarzyny, zastali tam już przedstawiciele księcia, panów de Ghistelle i Gruuthuse, burmistrzów, kanclerza Flandrii, dziekana z St. Donatien, Rektira i Skarbnika Nôtre Dame, duchownych z St Sauver oraz mnichów z zakonu braci mniejszych, augustianów, dominikanów i karmelitów, czekających w lutowym mrozie, podczas gdy trąby i bębny witały biskupa i jego świtę.

Z tyłu jechał zastępca Astorre'a, Tomasz, ociągając się nieco, by dyskretniej wkroczyć do miasta. Towarzyszyło mu pół tuzina żołnierzy i jakaś postać w spiczastym hełmie, olbrzymich nałokietnikach i lśniących nagolennikach, dosiadająca konia nie gorszego niż koń Tomasza. Postacią tą był Claes. Jego nowa zbroja poplamiona była łajnem gołębi, spłoszonych przez trębaczy. Złotobrazowa, okrągła twarz promieniała wciąż tym samym, beztroskim, zniewalającym uśmiechem. Co więcej - Tomasz także szczyrzył zęby. Tomasz!

Przepychając się łokciami przez tłum szacownych obywateli dziedzic Charettych wraz z koleżankami przedarł się na tyły, zdjął bobrowy kapelus i pomachał matczynym sługom.

- Co ty wyprawiasz? Wracaj do farbiarni! - zawołał i parsknął śmiechem. Za nim szczyrzyli zęby Jan Bonkle, Anzelm Sersanders, Lorenzo Strozzi, i dwaj młodzi Cantowie.

Czeladnik Claes uniósł dłoń w rękawicy, czyniąc zamaszysty i wymowny gest. Następnie przemówił głosem burmistrza:

- Chłopycy! Chłopycy! Pamiętajcie o wielkości waszego miasta!

Pośród żołnierzy i luźnych koni widać było teraz kilka jucznych mułów, stojących z wypchanymi sakwami na grzbietach. Lorenzo Strozzi przyjrzał się im pierwszy i powiedział:

- Myślałem, że posłańcy nie prowadzą handlu po drodze?

- Mówiłem mu - rzekł Tomasz.

- Handel? - powtórzył Claes. - To nie był handel, to była darowizna i pierwi to zaraz przyznacie. Pewna banda grasantów...

- Rabusiów.

- Rozbójników.

- Nie, skądże - odparł Claes. - Ktoś dokonał tego wcześniej i całą ich broń oraz pancerze tanio wyprzedawano w Dijon. Za pół ceny lub jeszcze mniej. Wspaniała okazja.

- Jak za to zapłaciłeś? - spytał Feliks. Jego szczupła twarz stała się jeszcze węższa.

- Z moich zarobków - odpowiedział Claes. - I zarobków Tomasza. Jeśli twoja matka nie zechce tych przedmiotów, odsprzedamy je z zyskiem. Ale, oczywiście...

- Co masz na myśli? Pracujesz dla niej. Te rzeczy są jej własnością. Chodź lepiej do domu - powiedział Feliks. Uśmiech powrócił na jego twarz.

- Zmyjesz brud z tej twojej blachy. Koniec ze skórzanymi getrami, co? A w łóżku księżniczki mówiące po włosku.

- Mówiące? - zaśmiał się Claes. - Gdy tylko dasz im czas na coś więcej niż westchnienia, jesteś skończony. Tomasz może ci powiedzieć. Jeśli przystaniesz, by odpocząć, zaczynają głośno wzywać ojców i masz, robią z ciebie księcia.

Tomasz wciąż szczyrzył zęby.

- To łgarstwo - rzekł - ale niegorsze z nich dziewczki. Claes ma słuszność.

- Przywieźliśmy coś dla ciebie - oznajmił Claes Feliksowi.

- Dziewkę? - zapytał Feliks. Ton jego głosu mówił wszystko. Pełna namysłu cisza świadczyła, że Claes dosłyszał i był pod wrażeniem.

- Nie - odpowiedział Claes. - Widzę, że ci się nie spodoba. Zabiorę go z powrotem. To jeżozwierz w klatce.

- To właściwie to samo - wtrącił Lorenzo Strozzi, zasępiając się ponownie. - Jak się miewa Meester Juliusz? I pozostali?

Biskupi orszak przesunął się naprzód, umożliwiając im wkroczenie do miasta; ruszyli z hałasem wąskimi uliczkami, gdzie pewna ilość dziewcząt i co drugi mężczyzna wykrzykiwali ku nim pozdrowienia.

- Meester Juliusz ma się znakomicie, o ile może o tym wyrokować tak skromna osoba jak ja - odparł Claes. - Spędza całe dnie w tym czy w innym pałacu, spisuje umowy, wyklóca się o pobory, stroje i premie oraz tańczy na paluszkach z wytwornymi damami.

- Czy Astorre także? - chciał wiedzieć Anzelm.

- Najwyborniejszy dworski tancerz w Italii - powiedział Claes. - Gdybyście widzieli Astorre'a ręka w rękę z księżną, wystrojonego w ciężki od kwiatów i falbany kapelusz, ze wstęgami tak długimi, że paziowie musieli je podtrzymywać z obydwu stron... popłakalibyście się z podziwu. A gdy mowa o doktorze, wasz szwagier powinien być czujny, Messer Lorenzo. Wasza siostra to najładniejsze dziewczę w Mediolanie, a Meester Tobiasz prędko to zauważył.

- Widziałeś Caterinę? - oczy Lorenza rozblęły. - A moją matkę? Czy były jakieś wieści o Filippo?

- A Loppe? A brat Gilles...?

- A konie? Widziałeś Lionetta?

- A dziewczki? Powiedz wreszcie, jakie są naprawdę?

Był to wesoły powrót do domu.

Jeszcze późnym wieczorem, kiedy wszyscy sobie poszli, a obydwie

oczarowane, zarumienione, zapatrzone siostry zostały w końcu namówione na udanie się do sypialni, Feliks usiadł przy ogniu w niewielkiej bawialni matki i mówił, mówił... a Claes słuchał. Ktoś o bystrzejszym oku obserwujący Claesa i wiedzący z jak daleka przyjechał, mógłby się zastanowić, po co tu siedział.

Część spraw została załatwiona. Nie było wdowy, zatem nie musiał przed nikim składać sprawozdania. Po rozładowaniu towarów żołnierze otrzymali przepustki - Tomasz także. Następnie Claes odbył obowiązkową wyprawę do farbiarni, gdzie przyjaciele długo klepali go po ramionach, a on odpowiedział na wszystkie mniej dociekliwe pytania zarządcy Henninca. Później zaś przemierzył całe miasto - jak nakazywał obowiązek posłańca - by dostarczyć listy. Niektóre drzwi były zamknięte, niektórzy kupcy nieobecni. Nie dostarczone dokumenty przyniósł z powrotem; będzie musiał zadbać o ich przekazanie. Musiał jeszcze złożyć kilka ustnych raportów. Niektórzy klienci, o dziwo, chcieli, by skorzystał z poczęstunku. Nazajutrz miał się spotkać z Angelem Tani. Nie, już dzisiaj. Zrobiło się bardzo późno.

- ... to się stało po wybuchu - mówił Feliks.

- Wybuchu? - powtórzył Claes. Najpierw, rzecz jasna, wysłuchał opowieści o dziewczynie. O dziewczynie, z którą - nareszcie - Feliks stracił dziewictwo. Nie była to, jak przypuszczał wcześniej, Mabelia, lecz ktoś nowy: dziewczka z Varsenare, przyjęta do posług kuchennych; i marynarze nie zdążyli jeszcze dobrać się do niej. (O tak, galery flamandzkie nadal tu były. Połowa żeglarzy była naturalnie zajęta uszczelnianiem i naprawami, a miasto zadbało o pracę dla pozostałych, niemniej dla tych cudzoziemskich wieprzy każda noc była nocą karnawału. Co przypomniało Feliksowi...)

- Już wkrótce ostatki. Tak, wiem. Będę tutaj. No i co? - spytał go wcześniej Claes. I dowiedział się wszystkiego ze szczegółami.

Dowiedział się, że od jego wyjazdu ojcowie miasta stracili wszelkie poczucie humoru i wyprawiali śmieszne brewerie nad każdą najdrobniejszą rzeczą, co z kolei złościło matkę Feliksa - jak to kobietę. A to wszystko, o czym mówił mu Juliusz? No cóż, załatwił to i owo. Znalazł kogoś, kto robi zapinki i kupili kilka arkuszy miedzianej blachy z Anglii, od ludzi z barki, która nie chciała wpływać do Calais. Jakaś kobieta zgodziła się zszywać hełmy. Był jednak kłopot ze sprzedażą uliczną, a Feliks nie wiedział, co przedsięwzięła dotychczas matka.

Drobiazgowo sprawozdanie dotyczące kłopotów ze sprzedażą. Niezwykle drobiazgowo sprawozdanie dotyczące owej wspaniałej dziewczyny o imieniu Grielkine. Feliks czuł się obowiązany powiadomić Claesa, że Mabelia jest teraz przyjaciółką Jana Bonkle. A gdy o tym mowa, Feliks przypomniał sobie, że Bonkle'owie są rodziną na poły szkocką; ale to nieważne. Ten

sukinsyn Szymon wrócił do Szkocji, wraz z biskupem Kennedy i armatą. Katelina van Borselen pozostała w mieście, wciąż niezamężna. Grek z drewnianą nogą wyjechał razem ze swą żebraczą miską. Feliks nie pamiętał jego imienia. Claes nie oświecił go w tej materii.

Leuven? Och... cóż... czego Claes chciał się dowiedzieć? Ach tak, matka właśnie tam przebywała. Spędzała tam połowę swego czasu. Mój Boże, tamtejszy zarządca był narowisty! Kiedy matka rozmawiała z tym człowiekiem, miało się wrażenie, że słucha się rozmowy Dawida z Goliatem. Wrr, wrr. Hau, hau. Nie. Mylił się. Dawid i przekłety Goliat. Feliks nie potrafił naśladować ich tak dobrze jak Claes. Jan i Anzelm, i wszyscy inni napluliby sobie do piwa ze śmiechu. Przenieśli się teraz do nowej gospody: pokłócili się z tym starym durniem w dawnym miejscu. To się stało po wybuchu.

- Jakim wybuchu? - spytał łagodnie Claes.

Feliks jednak znowu zmienił temat. Feliks zawsze opierał się sterowaniu. Ponieważ dużo już wypił, udało się go po chwili nakierować na ten sam temat, choć był lekko rozdrażniony. Wybuch. Był, no i cóż? Tępota i nieudolność, jak zwykle. Jedna z kadzi wystrzeliła niczym kula armatnia, druzgocąc pompę ssącą, rozbijając rurę odpływową i niszcząc cały kupon sukna wraz z wywarem purpury. Naprawa tego wszystkiego zajęła tydzień i matka przez dwa tygodnie nie przestawała się pienić. Bezżyteczne próżniaki! Zasłużyli na to, co im się dostało.

- A co im się dostało? - spytał Claes.

- Ogniór - odparł dowcipnie Feliks. Przez chwilę zanosił się śmiechem. - Najgorzej było z Ernoutem... pamiętasz tego idiotę? Inni stracili parę kawałków skóry tu i tam, ale to nic.

- Wydawało mi się, że widzę jakieś nowe twarze - powiedział Claes.

- Osobiście - rzekł Feliks - myślę, że to sami kuzyni Henninca, ale on wpada w gniew, kiedy to mówię. Znalazłem człowieka, który potrafi skroić taftę na modłę francuską. No, wiesz. Ale to kosztowne. Ile zapłaciłeś za tę broń, którą kupiłeś za pół ceny?

Claes jednak z niejasnych powodów zapadł w sen i nie usłyszał pytania. Feliks kopnął go kilka razy, lecz Claes tylko mruknął coś niewyraźnie i obrócił się na legowisku, które sobie umościł, a które było aż za dobre dla zwykłego wyrobnika, Feliks z pewnym trudem zdołał je unieść tak, że Claes wylądował na podłodze - i spał dalej. Feliks wiedział z doświadczenia, że nie da się go dobudzić. Podniósł dzban z wodą i w skupieniu zalał ogień. Następnie z pewną trudnością ruszył ku drzwiom i wspiął się po schodach do swej sypialni.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, Feliks nadal leżał w łóżku, Claes zaś wyszedł spokojnie, by złożyć wizytę w banku medycejskim, gdzie go zaproszono. Pozornie było to błahe wydarzenie. Tobiasz Beventini mógłby mieć inne zdanie w tej materii.

Angelo Tani, zarządca, wykazał podczas owego spotkania umiejętności, które docenili Medyceusze, gdy przyjęli go jako współnika zarządzającego przedsiębiorstwem w Brugii, dając mu wysokie udziały i prawo do jednej piątej zysków. Jego zastępcą był Tommaso Portinari, którego dwaj starsi bracia zarządzali bankiem medycejskim w Mediolanie. To Pigello Portinari w porywie szaleństwa powierzył temu młodokosowi funkcję pościańca. Dlatego Tommaso musiał przyjąć Claesa za dobrą monetę.

Angelo dobrze wiedział, że Tommaso Portinari jest zazdrosny; zazdrosny nawet o braci. Nie cieszyło Angela poczucie, że od czasu do czasu docierały do Florencji tajemnicze doniesienia o jego własnych niedociągnięciach, ale tolerował je. Ambicja była osełką czynu; a jego własne sprawozdanie złożone młodzieńcowi było nie do podważenia.

Tommaso miał pewne zdolności. Pozostawiony samemu sobie potrafił wywikłać się z procesu sądowego, ułagodzić klienta. Ale lubił także, gdy przełożeni go doceniali. Kiedy Tani powracał, napotykał nowe umowy, kilka pożyczek zastawnych, co do których on i jego przełożeni miewali wątpliwości. Skrytykowany Tommaso zaszywał się w kącie ze swym kompanem, tym głupcem Lorenzem Strozzi. W takich chwilach Angelo pocierał swą okrągłą głowę ze zwichrzonymi lokami, sięgał po pióro i wysyłał pracowitego Tommasa z jego delikatną, ascetyczną twarzą w podróż do Brukseli i Nieppe, by przypochlebił się księciu Filipowi, samowolnej księżnej i lepiej ubranym dworzanom.

To dobrze robiło interesom, a towarzyskie powodzenie radowało Tommasa. Niekiedy Angelo żałował, że Tommaso nie weźmie sobie żony, zamiast wciąż wplątywać się w długotrwałe związki z tęgimi, głupimi kobietami. Przypuszczał, że - jak każda dobra florencka matka - Caterina di Tommaso Piaciti zabroniła synowi żenić się z niewiastą nie pochodzącą z Florencji. Pigello miał już żonę i dwóch obiecujących synów. Nigdy nie wiadomo. Być może kiedy jedna z jego prostych kochanek urodzi mu syna-prostaka, Tommaso zapragnie, by przywieziono mu pannę młodą z Italii. A może właśnie nie chciał zakładać kolejnej gałęzi dynastii Portinarich, sięgającej już ponad dwieście lat wstecz. Angelo zastanawiał się często, jak czuje się Portinari służąc Medyceuszom? Ale ród Portinarich nigdy nie posiadał znacznego majątku ani miast, podczas gdy Cosimo zdobył jedno i drugie.

Angelo Tani wciągnął więc podwładnego do swego pokoju przed przybyciem nowego pościańca i powiedział:

- Myślę, Tommaso, że roztropnie byłoby zapomnieć o czeladniczej przeszłości tego chłopca, Claesa. Wydaje się, że dla tych z Mediolanu on jest użyteczny. Powinniśmy przyjąć go życzliwie.

Tommaso miał nowy pierścień. Kamień w nim pochodził ze Wschodu. Stanowił bez wątpienia dodatek do zakupionych przez Tommasa towarów z flamandzkich galer. Unosząc brwi, aż skryły się pod ufryzowaną grzywką, Tommaso rzekł:

- Będzie zdumiony i słusznie. Kiedy ostatnim razem widziałem go tu na dole, miał pod pachą nożyce, a smród jego fartucha można było wyczuć z wieży kościelnej.

- Nie namawiam cię, oczywiście, żebyś wniósł go na górę po schodach i umył mu nogi - powiedział Tani. - Ale uprzejme zwrócenie uwagi na fakt, że dostąpił zasłużonego wywyższenia... to byłoby na miejscu. Chyba że wolisz się z nim nie spotykać?

Daremne nadzieje. Upierścieniony i wymyślnie wystrojony Tommaso stał u boku Angela Tani, kiedy drzwi otworzyły się przed Claesem. Sługa Charretych nie nosił dzisiaj fartucha, a na nogach miał krótkie trzewiki zamiast drewnianych chodaków. Reszta jego ubioru z pewnością nie była lokatą kapitału. Przed wyruszeniem do Mediolanu wdowa przyodziała ich wszystkich w błękitne sukno i Claes najwyraźniej nosił je nadal: kubrak z usztywnionym kołnierzem, na to krótką, prostą kurtkę, a na głowie dwuskrzydłowy kapelusz. Był ogolony ręką cyrulika, a jego stara, postrzępiona sakiewka ustąpiła miejsca nowej, na mocnym rzemieniu; poza tym jednak nie rzucała się w oczy żadna szczególna zmiana. Jego naznaczone dołkami policzki błyszcząły.

- Macie nowy pierścień - odezwał się do Tommasa. - Książę Francesco ma podobny. I broszę do kompletu. Zrobił ją jeden z jego złotników. Ileście zapłacili?

Tommaso po chwili namysłu wymienił kwotę. Claes zagwizdał przeciągle i usiadł na ławie, którą mu wskazano.

- Nie mogliście postąpić lepiej! To prawdziwa okazja. Trzymajcie się tego dostawcy. Dziękuję wam, Messer Angelo. Zatem czytaliście listy? Czy wszystko w porządku?

- Są w doskonałym stanie, przyjacielu - odparł jowialnym tonem Angelo. Nalał wina do trzech pucharów, podał i usiadł obok Claesa. - Zważywszy zwłaszcza drogę i pogodę. No i niewątpliwie miałeś jeszcze inne przesyłki do przekazania.

- Można by pomyśleć, że cały świat pisze do swego pana - rzekł pogodnie posłaniec. - A same listy dla pana Nori w Genewie! Ośmielę się powiedzieć, że nawet Messer Pierfrancesco tyle do was nie napisał. Do tego,

rzecz jasna, listy, które należy przekazać do Lyonu. Wydaje się, że wszyscy dziś kupują hełmy w Lyonie. Ponoć nie są tak piękne jak mediolańskie, ale za to o wiele tańsze.

- Tańsze niż w Brugii? - spytał Tommaso.

Claes uniósł głowę znad pucharu.

- Musicie zapytać o to Justinianich. Z Wenecji. Słyszałem, że kupili pewną ilość. Lub może Messer Corner będzie mógł wam coś powiedzieć; przywiozłem dla niego list. Podobno Wenecjanie płacą gotówką. Oczywiście, mogą sobie na to pozwolić. Można płacić gotówką i udzielać kredytu, nieprawdaż, jeśli się jest tak bogatym jak oni... i Lukkijscy.

- Lukkijscy? - powtórzył Angelo Tani. - Wiemy, że lukkijscy kupcy w Brugii znają się na rzeczy, lecz ich miasto nie dorównuje zamożnością Wenecji.

Claes okazał lekkie zdziwienie.

- Z pewnością macie słuszność - powiedział. - Ale udzielają takich kredytów na jedwabie... nie dalibyście wiary. Tak czy inaczej, odpowiada to naszemu księciu i księżnej. Nie dziwiłbym się, gdyby cały dwór pokazał się w podobnych aksamitnych szatach na tegorocznej procesji wielkopostnej. Przekazałem panu Arnolfini gruby list (od jego mocodawców, jak przypuszczam), a on, gdy go otworzył, miał bardzo zadowoloną minę.

- Napij się jeszcze wina - zachęcił go szczodrobliwie Angelo Tani, nie patrząc na swego zastępcę. Teść Angela zarządzał medycejskim warsztatem jedwabniczym we Florencji. Nie dalej jak dwa lata temu napisał do Florencji, błagając o pozwolenie na sprzedaż jedwabiu na kredyt do Burgundii. Błagając. O pozwolenie na przysporzenie olbrzymich korzyści. Kiedy jednak nadeszła zgoda, była tak obwarowana zastrzeżeniami, że właściwie na nic się nie zdała. Ogólnie rzecz biorąc Tani postępował oczywiście zgodnie z praktyką kredytową kompanii. Umowa wyraźnie określała jego obowiązki. Miał pożyczać pieniądze jedynie kupcom lub samodzielnym rzemieślnikom. Kredytowana sprzedaż zagraniczna dla arystokratów i duchownych była zabroniona, chyba że za pisemną zgodą dwóch synów Cosima lub jego bratanka Pierfrancesca. Angelo przestrzegał reguł. Widział, że Tommaso także ich przestrzegał. Zawsze jednak istniały w interesach wyjątki.

Był zadowolony, że zaprosił młodzieńca. Doceniał bystry umysł Pigella. Odnosił się przychylnie do nowych usług kurierskich i zamierzał powiedzieć Pigellowi, że żywi nadzieję co do ich trwałości. Oparłszy się wygodnie, Angelo Tani zręcznie naprowadził rozmowę na temat obecnego rynku jedwabniczego, a następnie gładko przeszedł do sprawy innych pism, które młodzieniec miał dostarczyć. Padła wzmianka o Spinolach i Doriach. O Sabaudii. Cyprze i cukrze. O handlu skórami i skutkach angielsko-szkockiego rozejmu.

Chłopak zapytał o to. Zanim Angelo zdążył odpowiedzieć, jego zastępca uśmiechnął się ujmująco i od niechcienia błysnął pierścieniami.

- Nie licz na to, że twój szlachetny przyjaciel Szymon długo pozostanie z dala od nas. Szkocja nie może się zdecydować, czy ma hołubić króla Anglii Henryka czy yorkistowskich buntowników. W Veere co drugi dzień zjawiają się posłańcy i odbywają narady z van Bor selenami. Pozostały czas spędzają w Calais. Czy ktoś już wysłał cię z wiadomościami do Londynu? Zyskasz przez to kilku wrogów.

Angelo zaszurał nogami. Nie chciał niepokoić chłopaka ani odstraszać go od pobytu w Brugii. Buńczuczny Szymon wrócił do swego kraju, lecz jego osobliwy ojciec, tłusty francuski kupiec de Riberac, ciągle przyjeżdżał i odjeżdżał - jak głosiła plotka, kupował proch strzelniczy i ręczną broń. Tani nie był pewien, od kogo i na jakich zasadach. Podobno szkocki stryj Szymona lubował się w broni.

Angelo obserwował twarz młodzieńca, lecz nie znalazł w niej oznak niepokoju. Chłopak przemówił:

- Van Borselenowie pragną, by Henryk pozostał królem Anglii, czyż nie? Tak jak biskup Kennedy?

- Równie dobrze można uznać, że są bezstronni - odparł Angelo Tani.

- Podobnie jak twój jaśnie oświecony książę.

- Książę Filip? - upewnił się świeżo upieczony posłaniec ze znajomą, niestety, bezpośredniością Claesa. - Ale on podobno woli yorkistów. Inaczej nie używałby schronienia delfinowi. A gdy już o tym mowa, mają w Mediolanie pyszną menażerię. Przywiozłem jeżozwierza dla Meester Feliksa, ale on go nie chce, więc będzie to nagroda w loterii. Chyba że wy byście go chcieli, Messer Angelo.

- Mój Boże - rzekł Angelo Tani.

Tommaso uśmiechnął się i zaraz spoważniał, uświadamiając sobie, że słowa te są raczej wyrazem osłupienia niż zgorzienia.

- Mój Boże - powtórzył Tani. - Struś.

- Struś? - zapytał życzliwie Claes.

Przełożony banku zatrzepotał dłońmi.

- Nieważne. Życzenie z Mediolanu. Okazaliśmy pewien brak rozsądku, wysyłając cztery wspaniałe konie dla Messer Pierfrancesca i nie dołączając daru dla księcia.

- Ale Messer Pierfrancesco kupił te konie - rzekł Tommaso. - A książę ma własną stadninę.

- Naturalnie. Lecz Messer Pigello, twój brat, słusznie wytknął, że nie przystoi Medyceuszom, by występowali w Mediolanie z większą paradą niż książę. Powinniśmy byli jednocześnie posłać mu podarunek. Wystawny

podarunek. Messer Pigello ma na myśli strusia z menażerii księcia Burgundii. Dobrowolny dar jednego księstwa dla drugiego; Mediolan go doceni, a Burgundii nie będzie to wiele kosztowało. Zwierzę...

- Ptak - wtrącił Tommaso.

- ... to stworzenie - ciągnął Angelo Tani - zostałyby wysłane na nasz koszt. Tommaso ma jutro rozmawiać o tym z Messer Piętro Bladelinem.

- Z zadowoleniem zauważył, że Tommaso wyprostował się raptownie.

Posłaniec wstał.

- Widzę - rzekł - że macie wiele do omówienia i nie mogę zajmować całego waszego czasu. Dziękuję za wino, Messer Angelo, będę już szedł. Z radością słuchałem waszej rozmowy. W ten sposób można się wiele nauczyć, czyż nie? Słuchając wielkich ludzi mówiących o międzynarodowych interesach.

Wycofał się wśród pełnych szacunku ukłonów, tłumiąc śmiech, póki nie znalazł się na ulicy, tuż za rogiem. Stamtąd pospieszył na zupełnie inne spotkanie w lichej tawernie, od niedawna stale odwiedzanej przez młodocianą brugijską hałastrę.

Najpierw zelżyli go za to, że się spóźnił, a następnie za to, że był czysty; i poszturchiwali go dobrodusznie póki od nieustannej paplaniny o książętach nie załamało się pod nim krzesło. Kiedy wreszcie doszedł do słowa, opowiedział błyskotliwie historię o strusiu.

Wszystkowiedzący Anzelm Sersanders powiedział:

- Książę nie ma strusia w Brugii.

Młody Bonkle, kłótlivy z powodu poczucia winy, wtrącił:

- Skąd wiesz? Musi mieć, skoro Sforza zwrócił na niego uwagę.

- Nie, miał strusia, ale zdechł w zeszłym roku - powiedział Sersanders.

- Nieszczęsny Angelo będzie musiał wysłać coś innego.

- Mabelię? - zagadnął Claes.

Jan Bonkle oblał się purpurą. Claes wyszczerzył do niego zęby.

- Nie wyjechałaby stąd, prawda? Wszystko w porządku. Odrzuciłem prawo własności przed wyjazdem. Dobrze, a zatem co? Jeżozwierz Feliksa? Nie, książę ma już takiego.

- Zaczekajcie! - wykrzyknął Lorenzo Strozzi.

Nie rozmawiali o pieniądzach, więc zdumieli się wszyscy.

- Zaczekajcie! - powtórzył Strozzi. - Pamiętacie, co wam mówiłem?

Mamy strusia w Hiszpanii. Chyba że już zdechł. W Barcelonie.

- To był Loppe - zaoponował Claes.

- Nie! Struś. Messer Angelo może powiedzieć Pierre Bladelinowi, by książę kupił go i wysłał jako dar do Mediolanu. Nie będzie pochodził z książęcej menażerii, ale to bez znaczenia.

Popatrzyli po sobie. Claes szturchnął Lorenza w ramię i rzekł:

- Ty to masz pomysły! Oczywiście! Czemu sam o tym nie pomyślałem! Pójdę powiedzieć Messer Angelowi, gdy tylko się napiję.

- O, nie - odezwał się nieoczekiwanie Feliks. - Powiesz mu jutro. Zapomniałem. Matka wróciła z Leuven. Miałem ci przekazać, że masz natychmiast iść do niej.

Dziewka służebna, z dłonią na ramieniu Claesa, zapytała go właśnie, czego sobie życzy; a on najprawdopodobniej odpowiedział. Oboje uśmiechali się do siebie. Nie oglądając się, Claes stwierdził:

- Zapomniałeś mi powiedzieć.

- Nie - odparł Feliks. - Właśnie ci mówię. I lepiej się pospiesz, póki jest w dobrym nastroju.

- Może tylko wypiję pierwsze piwo? - zapytał przymilnie Claes - Połowę pierwszego piwa?

- Teraz - rzekł ostro Feliks. - Pracujesz dla niej.

Zabrzmiał chór głosów, przemawiających - niezbyt gromko - w obronie Claesa. Feliks pozostał nieugięty. Rozejrzał się, marszcząc brwi.

- On jest moim sługą - oświadczył.

Nie dało się temu zaprzeczyć. Claes wstał, wykrzywił twarz i doszedł powłócząc nogami, w przygnębieniu tak bardzo przypominającym zachowanie Henninca po nocy spędzonej na grze w kości, że wszyscy pożegnali go gwizdaniem i okrzykami.

Na ulicy wyprostował się. Jego uśmiech po chwili zadrżał i zmierzchnął. Później wyruszył równym krokiem drogą wiodącą ku domowi i wdowie.

ROZDZIAŁ 16

Po wyjściu z gospody Claes pożałował, że nie ma na sobie ciężkiej, wełnianej opanczy, pozostawionej rano w domu. Było zimno. Zimniej niż w Alpach, bo wilgotno. Teraz, w drodze do farbiarni, miał czas to zauważyć; inaczej niż poprzedniego dnia, kiedy w pośpiechu roznosił przesyłki.

Przedtem także często wyjeżdżał. Co kilka miesięcy kawalkada z domu Charettych wyruszyła z Brugii do Leuven. Później nadchodziły wielotygodniowe próby odciążenia Feliksa od polowań, od psiarni, tawern i burdeli, by zaczął uczyć się na wykłady. Juliusz, rzecz jasna, także był pomocny. Niekiedy, wspólnymi siłami, osiągalni powodzenie. Kiedy indziej zaś w tej samej chwili wszyscy tracili cierpliwość wobec wymagającego świata i wyruszyli na jakąś wyprawę, która przysparzała im później kłopotów. No, a teraz Juliusz był z Astorre'm i prawdopodobnie powinien od samego początku tam się znajdować. On sam natomiast wrócił do Brugii po trzech miesiącach. Po okresie nieobecności nie różniącym się od poprzednich. Wszystko powinno wyglądać tak samo.

Jeszcze niedawno wszędzie leżał śnieg. Zalegał w ciemnych narożnikach piwnicznych schodów, gromadził się na skraju ścieżek flisackich, podobny do spłowiejącej koronki. Tam, gdzie płynęła rzeka, lód ścigał zamrożone błoto jej brzegów, opasując je wiernie niczym koronkowy kołnierzyk. W miejscach, gdzie woda stała, gromadziły się pośrodku złączone tafle kry, wciąż na nowo rozbijane, by przepuścić nadpływające barki. Głuche uderzenia toporów rozbijaczy lodu rozlegały się przez cały dzień. Brzeg rzeki był ciemny i topniejący pod wpływem ciepła z domów, a wałęsające się koty czekały, aż niemrawe ryby wypłyną na powierzchnię. Można tam było także zobaczyć, jak każdej zimy, dziecięcą sukienkę wiszącą na palu wbitym u brzegu kanału, sztywną i zlodowaciałą. Niektórzy ludzie nie mieli zbyt wielu szat, nikt jednak nie zabierał czegoś takiego; przynajmniej do chwili odnalezienia rodziców utopionego dziecka i ustalenia, jak się nazywało. Czasami, oczywiście, było to niemowlę; wówczas nic nie wisiało na palu.

Claes minął Żurawia, beczynnego tego ranka, lecz choć pracownicy rozpoznali go pomimo błękitnej kurtki, on szedł dalej, machając do nich

pogodnie i przepraszająco. Pani nie powinna była zbyt długo czekać. Bramy domostwa Charettych stały otworem, lecz świta przybyła wraz z panią z Leuven rozproszyła się już i znikła z pola widzenia. Na dziedzińcu Claes dostrzegł ludzi, z którymi rozmawiał poprzedniego dnia, dzisiaj jednak nawet nie podnieśli głów. Prawdę mówiąc, aż dziw brał, jacy byli obojętni.

W domu było to samo. Z daleka zobaczył przechodzącą kucharkę. W pośpiechu mignęła tylko jej twarz. Zły znak. Nie było nawet Henninca, by powiedział mu, gdzie ma się stawić.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że wdowa nie czeka na niego w bawialni, jak to uczynił przedtem jej syn. Burza, jakakolwiek miała być, niewątpliwie wzbierała w kantorze. Podszedł do drzwi i nie słysząc żadnych dźwięków, zastukał ostrożnie, mówiąc: „Pani moja!”. Wystarczyło tu jedno słowo, by rozpoznać, kto mówi.

- Wejść - usłyszał głos matki Feliksa. W tym wypadku także wystarczyło jedno słowo.

Spojrzał na klamkę. Następnie nacisnął ją jak cięciwę kuszy i wszedł. Siedziała przy stole. Jej twarz, podobnie jak głos, była zimna i sztywna. Obok siedział mężczyzna. Uśmiechał się.

- Może zamierzasz utrzymywać - powiedział - że nie wiesz, kim jestem?

Claesowi przyszła do głowy pewna myśl, lecz zlekceważył ją. Nie było żadnych wątpliwości, kto to jest, mimo że nigdy dotąd nie stanęli twarzą w twarz. Mężczyzna liczący nie więcej niż pięćdziesiąt lat, tak potężnej budowy i tak nabity, że tkwił na trzcinowym krześle niczym dynia. Ale dynia bardzo obfitych kształtów. Jego szata sięgała ziemi i obszyta była kunim futrem. Podbródki tonęły w fałdach muślinu, wатовanych zaszywek i futra, zarzuconego na masywne barki. Kapelusz, podwójne koło do wozu wypełnione upiętą materią, ozdobiony był lakierowanym herbem, wyszywanym od spodu klejnotami. Ten sam herb zwieszał się z wysadzanego szlachetnymi kamieniami łańcucha na ramionach mężczyzny. Twarz pod kapeluszem była szeroka i świeża, usta drobne, oczy roziskrzzone.

Jordan, wicehrabia de Riberac, bogaty i potężny kupiec z Francji, który brał udział (tak powiadano) w jesiennej uczcie na cześć dowódcy galerii flamandzkich. Tak, nie było wątpliwości. Monseigneur de Riberac, francuski ojciec szkockiego arystokraty Szymona.

Nikt się nie odezwał. Utkwione w Claesie oczy tęgiego mężczyzny wciąż błyszczały.

- Jesteście powszechnie znani, monseigneur - powiedział Claes.

Tęgi mężczyzna zwrócił się do wdowy.

- Bez drgnienia powieki! Widzicie? Pochwalam wasze nauki, pani. Ten

młodzieniec jest wzorem panowania nad sobą. Podobno nosi poczciwe, podwórzowe miano Claesa.

Bystre oczy zmierzyły Marian de Charety, która odpowiedziała nieprzyjaznym spojrzeniem. Claes zauważył, że miała na sobie suknię z materii sztywnej jak skóra, a jej włosy były dokładnie zakryte, jak gdyby zamknięte w puzderku. Rumieniec, zbyt mocny, by całkowicie zblednąć, kwitł lekko na obu policzkach, ponad którymi niebieskie oczy połyskiwały jak lazuryt.

- Podwórzowe? - powtórzyła. - Claes to po prostu skrócona forma imienia Nicholas.

- Przyznanie mu prawa do trzech sylab byłoby, jak sędzę, pewną przesadą - zauważył de Riberac. - Mimo wszystko flamandzka forma jest właściwa dla rzemieślników.

- To prawda - odparła wdowa - że nasi rzemieślnicy są więcej warci niż w innych krajach arystokracji, lecz Claes nie jest już rzemieślnikiem.

Siedziała nieporuszona, trzymając swój gniew na wodzy, ale nie skrywając go. Claes przyjrzał się jej, po czym przeniósł spojrzenie na mężczyznę. Starszego, niebezpiecznego mężczyznę, który powiedział:

- A zatem po ostatniej wyprawie został szacownym mieszczaninem? Kilku bardzo dziwnych ludzi uczyniło z niego chłopca na posyłki. No i cóż, chłopcze? Potrafisz szybko biegać, prawda?

- Jeśli muszę - odparł Claes.

- Z listami dla Medyceuszów. I innych. Otwierasz je, czyż nie? - zapytał tęgi mężczyzna.

- Nie, jeżeli są związane i zapieczętowane - odrzekł Claes.

Zimne oczy spoczęły na nim, a później, taksująco, na jego nieruchomych rękach.

- Chyba ci wierzę. Oczywiście, nawet jeśli je otwierałeś, nie umiesz czytać?

Dojrzał błysk w oczach pani, lecz nie potrzebował ostrzeżenia.

- Potrafię czytać - powiedział i dodał usługowym tonem: - Czytam te, które mogę otworzyć, chyba że są pisane szyfrem.

Mężczyzna uśmiechnął się i powiedział:

- Teraz jestem z ciebie zadowolony. Nasza rozmowa staje się coraz ciekawsza, nieprawdaż? Czytasz te, które możesz otworzyć i zdobywasz nie zaszyfrowane wiadomości. A potem przekazujesz je dalej. Komu?

- Ludziom, którzy mi płacą - odparł Claes z odcieniem zdziwienia. - Zarabiam pieniądze.

- To rozumiem. Ale czy zarabiasz je dla siebie, Claesie, czy dla chlebodawczyni? Nadal należysz do jej kompanii, prawda?

Claes uśmiechnął się do swej pani.

- Tak, oczywiście. Pani de Charetty daje mi pracę.

- A zatem pobierasz zapłatę i oddajesz jej wszelkie zyski. Jak to miło. Czy wydaje ci się, że ona i ja jesteśmy idiotami?

Chwila ciszy.

- Nie, monseigneur - odpowiedział ostrożnie Claes.

Tęgi mężczyzna poprawił się w krześle.

- Więc dlaczego się uśmiechasz?

- Ponieważ odbyłem już raz taką rozmowę - powiedział Claes. - Z medykiem, panem Tobiaszem. Zastanawiał się, czy chcę być bogaty czy mieć władzę, czy po prostu odpłacić ludziom za wszystko.

- I co mu powiedziałaś? - spytał tęgi mężczyzna.

- To, co chciał usłyszeć - odparł Claes. - Ale poróżniliśmy się i tak.

Znowu cisza. Po chwili mężczyzna odezwał się miękkiem głosem:

- Szpiegujesz. Czy nie tak?

- Już mówiłem - odrzekł Claes.

- Ach, tak - powiedział tęgi mężczyzna. - Ale dla siebie, nie dla tu obecnej pani. Spędzasz wiele czasu z Agnolem Acciajuoli. Czy mówiłeś o tym komukolwiek? Jaki pożytek przyniosą te spotkania kompanii Charetty? Zetknąłeś się... czy przypadkiem?... z Monsieur Gastonem du Lyon, szambelanem delfina, podążającym do Mediolanu, by uczestniczyć... w czymże to? W turnieju? A jeśli nagle porzuci turniej i wyruszy do Sabaudii, czy o tym także będziesz wiedział wcześniej? Czy tak? I sprzedasz tę wiadomość temu, kto zapłaci najwięcej?

- Byłbym idiotą, gdybym tak postąpił - rzekł z naciskiem Claes.

- Gdybym obraził księcia Mediolanu, Medyceuszów lub delfina, przestali by mi płacić, czyż nie? W takich interesach musi się, wiecie, przemyśleć podobne rzeczy.

Przez twarz pani przemknął uśmiech. To dobrze.

- Widzę, że twoje przemyślenia należą do głębokich. Skoro zatem po tak głębokim namyśle zarabiasz pieniądze dla swej chlebodawczyni, dlaczego lokujesz je wyłącznie we własnym imieniu? I to nie w Mediolanie, ale w Wenecji?

Claes spojrzął na chlebodawczynię. Później zwiesił głowę.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli odpowiesz - rzekła ostrożnie.

- Przekazu dokonali Medyceusze - powiedział Claes.

- Z Mediolanu do Wenecji. To wiem z własnych źródeł. Uważali najwyraźniej, że warto zapłacić pewną sumę za twoje usługi?

Claes wpatrywał się w swoje buty.

- Uważali, że warto, ponieważ podałem im nieprawdziwe odsetki, mówiąc o Wenecji. W jednym z listów, które otworzyłem. Nie był zaszyfrowany.

- Sfałszowałeś urzędowy list? - zapytał tęgi mężczyzna.
- Twarz Marian de Charetty ponownie pobladła.
- Claes, ty idioto - powiedziała. - Koniec z tobą.
- Ale wy tego nie rozgłosicie, pani moja - zapewnił ją z ożywieniem Claes. - A korzyści będą znaczne.
- Nie rozgłoszę - rzekła Marian de Charetty. - Ale czy nie pamiętasz, kim on jest?
- Pamiętam - powiedział Claes.
- Cieszę się - oświadczył tęgi mężczyzna. Uniósł rękę - Podejdź tu, prostaku.

Claes drgnął. Później posłusznie przeszedł do końca stołu i stanął nieruchomo.

Jordan de Riberac patrzył na niego.

- Dopuszciliś się dziecinnego zamachu na życie mego syna - powiedział.
- Nie udało ci się go zabić. Ale będziesz jeszcze próbował, nieprawdaż? Kiedy zdobędziesz pieniądze i pewną władzę, a ludzie nie będą cię już wyśmiewali ani wtrącali do twierdzy. To dlatego stałeś się nagle taki ambitny?

- Waszego syna? - spytał Claes. - Jak mógłbym zgładzić go skuteczniej za pomocą pieniędzy?

Oczy tęgiego mężczyzny wciąż były czujne.

- Walczyłeś z nim - powiedział.
- To on walczył ze mną - rzekł Claes. - O ile mi wiadomo, nie poświęcaliście mu przedtem uwagi, panie. Czemu więc teraz orędujecie za nim? Nie zmienicie w nim tego, co złe; na to jest za późno. Nie zmienicie tego także we mnie, bo nie wiecie nawet, na czym to polega.

- Nie doceniasz mnie - powiedział Jordan de Riberac. - Mógłbym zacząć od twego imienia.

- On w niczym nie zaszkodził Medyceuszom - wtrąciła Marian de Charetty.

Tęgi mężczyzna spojrział na nią.

- Fałszywie przedstawiając sytuację na rynku? To kradzież, pani, a wszyscy wiemy, jakie są kary za kradzież. Czy on wie, czym jest bękartem?

Spłonęła rumieńcem

- Wiem - powiedział Claes.
- Tak - mówił tęgi mężczyzna - cokolwiek myślę o moim synu... kiedy ktoś podnosi rękę na członka mojej rodziny, lubię dowiedzieć się wszystkiego o tym kimś. Myślę, że to zauważyłeś. Pomówmy więc o nieprawym łożu. Mówisz, że wiesz. Wiesz zatem o swej nieszczęsnej, głupiej matce, cudzołożącej ze sługami?

Rozległ się trzask, który wydała uderzająca w stół dłoń pani. Claes spojrzął na ową dłoń, a później na twarz. Była pąsowa.

- Panie wicehrabio, możecie odejść - powiedziała Marian de Charetty. Bystre oczy Riberaca spoczęły na niej.

- Dlaczego? To stara historia. Nikt nie podaje jej w wątpliwość. Dla was, pani, nie ma powodu do troski. Chłopak nie jest waszym krewnym. Jego dziadek wziął waszą siostrę jako drugą małżonkę. Jesteście jego cioteczną babką jedynie przez spowinowacenie, podobnie jak genewski kupiec Jaak de Fleury jest jego stryjecznym dziadkiem. Czy chętnie go odwiedziłeś, Claesie? - spytał de Riberac. - Przejeżdżaliście przez Genewę?

- Jego też nie zabiłem - powiedział Claes. - Zawiodłem jego żonę, ale to inna sprawa. Chyba zakłóćcie spokój mojej pani.

Nie wydawała się wdzięczna za te słowa. Oddychała szybko.

- Twoja pani potrafi zapewnić szlachetnemu panu eskortę do granic posiadłości, jeśli jego język da po temu podstawy - powiedziała. - Czy to wszystko, panie de Riberac? Chcieliście tylko ostrzec Claesa, by nie uczynił krzywdy waszemu synowi? Już wam mówiłam, monseigneur, że wasz syn jest człowiekiem mściwym.

- Nie lubicie go - rzekł tęgi mężczyzna, patrząc na nią badawczo.

- Jest urodziwy i z pewnością ma wielu przyjaciół - odparła. - Nie, nie lubię go.

- Podobnie jak panna Katelina van Borselen - powiedział. - Macie słuszną rację. Źle go wychowano. A kto ma to naprawić, jeśli nie ojciec? - Jego wargi rozchyliły się w uśmiechu, a później zacisnęły, ścieśniając podbródkę. Wydał usta w parodystycznym grymasie. - Ale ja mieszkam we Franq'i; i komu mógłbym zaufać, aby dopomógł mi tutaj? Kto byłby skłonny czuwać nad posunięciami Szymona, powiadamiać mnie, co on porabia, ostrzegać, jeśli wda się w nieprzystojne intrygi, poczyni niewłaściwe znajomości lub zapomni o honorze rodziny? - Umilkł i wykonał zamaszysty gest. - Kto, jeśli nie młody posłaniec, któremu grozi wykrycie jego sprawek? Ty, mój drogi Claesie, staniesz się cieniem mego syna bez jego wiedzy. Z najsłuszniejszych przyczyn, moim osobistym szpiegiem. Po to przyszedłem. Żeby zaproponować ci posadę.

Claes nie odpowiedział od razu. Nikt nie zamierzał go ponaglać. Przemysłał propozycję niczym łamigłówkę. Brakowało połowy elementów.

- Chcecie, bym go zabił, monseigneur? - spytał.

Tęgi mężczyzna uśmiechnął się, lecz nic nie powiedział. Claes dorzucił powoli:

- A może po tej rozmowie macie pewność, że go nie zabiję, ponieważ to sprawiłoby wam przyjemność?

Uśmiech mężczyzny stał się szerszy.

- Co za subtelnosc! Niedługo zacnę myśleć o tobie jako o Nicholasie. A zatem uczynisz to?

Siedzaca za stołem pani drgnęła lekko i natychmiast zastygła. Claes nie zwrócił na to uwagi. Stał przed tęgim mężczyzną i czuł serce bijące w podeszwach stóp. Po namyśle powiedział:

- Zapominacie o swej męskosci. Nawet rzemieślnik nie musi mieć do czynienia ze zwierzętami.

Mężczyzna wstał powoli, opierając dłonie na poręczach krzesła. Dorównywał wzrostem Claesowi, lecz był dwa razy grubszy. Uniósł się majestatycznie niczym miejski żuraw i stanął twarzą w twarz z młodzieńcem. Ze śladami dawnego wdzięku uniósł grube ramię i wyprostował je jak tancerz wysoko nad głową. Upierścieniona ręka zatoczyła łuk w powietrzu, jak gdyby w geście pozdrowienia. Potem de Riberac opuścił ramię. Dłoń pozostała skurczona. Ciężki pierścień z kwarcytem przejechał z wolna po policzku Claesa, od oka do podbródka, znacząc krwawy ślad. Później ręka cofnęła się i zawisła bezwładnie. Z pierścienia na posadzkę kapłała krew.

Marian de Charette zerwała się sięgając po dzwonek. Claes położył dłoń na jej ręce, powstrzymując ją. Tęgi mężczyzna uśmiechnął się do Claesa i przemówił tak, jakby nic się nie stało:

- Jeśli wymieniamy urazy - rzekł - niech ta będzie następna. Uczyniłem propozycję. Twoja grubiańska odpowiedź była błędem. W ciągu najbliższych tygodni zauważysz inne dowody mego zainteresowania twymi sprawami oraz sprawami twojej chlebobawczyni. Spostrzeżesz także, kiedy przykroję mego syna zgodnie z moimi wymaganiami.

- Jeżeli przeżyje - rzekł Claes. Puścił ramię swej pani. Krew kapiąca z jego policzka barwiła koszulę; uniósł dłoń w geście daremnej próby zatamowania tej krwi.

Tęgi mężczyzna spojrział na niego, a następnie na wdowę. Westchnął.

- Kto wie, co przyszłość przyniesie? - zapytał. - Zapamiętasz dzisiejszy dzień. Zwłaszcza, oczywiście, gdy spojrzysz w lustro. To nie jest twarz Nicholas, mój pachółku, nieprawdaż?

Marian de Charette wciąż stała i trzymała dłoń na uchwycie dzwonka. Jordan de Riberac powiedział z łagodnym uśmiechem:

- Pani, nie wykazaliście się rozsądkiem. Daj wam Boże dobry dzień.

Drzwi zamknęły się za nim. Głuchy odgłos jego ciężkich kroków ucichł w oddali. Nie prosząc o pozwolenie odejścia Claes usiadł raptownie i pochylił głowę. Jego splamione krwią dłonie splotły się między kolanami.

Nieczęsto tracił panowanie nad sobą. Jego ciało i umysł utrzymywały ścisły kontakt nawet w trudnych chwilach, które, jeśli ustępowały, to na osobności. Teraz stało się inaczej. Skóra paliła i piekła, jak gdyby w klatce

jego kości tkwiło gniazdo os. Uprzytomnił sobie, że Marian de Charetty stoi tuż obok i przemawia urywanym głosem.

- To była napaść. Dlaczego mnie powstrzymałeś? Wezwałabym straż miejską.

Nie zareagował i jej głos zamarł, ale nie odeszła. Coś dotknęło jego rozszarpanego policzka. Uniósł rękę w obronnym geście i natrafił na skrawek płótna. Pani cofnęła dłoń i lekko uściśnięła jego ramię. Druga jej ręka przesunęła się do nasady jego szyi i, rozwartą, przylgnęła do niej.

Trzymała tak swą ciepłą, mocną dłoń, jak przedtem przy swoich dzieciach. Zabrała ją, kiedy się poruszył. Zobaczył jej twarz, pochyloną nad nim. Była na pół uśmiechnięta, na pół udręczona.

- Mój drogi - usłyszał. - Co za powrót do domu. - Jej czoło pod sztywnym czepcem zmarszczyło się jak zmacona woda.

Mój drogi. Próbował o tym myśleć, lecz wszystko mu umykało. Płótno przesiąkło, ale wciąż trzymał je przy twarzy. Druga dłoń, zaciśnięta na kolanie, miała ochotę masować je i naciskać z całej siły. W końcu zdołał przemówić:

- Dlaczego on to zrobił?

Przed nim stał inny zydel. Uchwyt na jego ramieniu zelżał i pani de Charetty usiadła, wpatrując się w niego.

- Bo jest złym człowiekiem - odparła. - Nie mogliśmy cię ostrzec. Groził, że wyrządzi ci krzywdę. - Umilkła, a po chwili dodała: - Gdybyśmy tylko mogli cię ostrzec!

- Domyśliłem się chyba - powiedział. - Chciał urządzić zasadzkę. Miał nadzieję, że się czegoś dowie. - Jego umysł z wolna wznowił pracę. - Jego groźby nic nie znaczą. Ale nie powinniście byli wysłuchiwać ani gróźb, ani obelg. Wybaczcie. I obroniliście mnie.

Zanim skończył, jego myśli już błądziły gdzie indziej. Musiała pojąć, że jej pierwsza odpowiedź dotyczyła niewłaściwego pytania.

- To była próba - powiedziała. - Spodziewał się, że odmówisz. Claesie?

Podniosła się z krzesła. Później zastygła i odwróciła się w poszukiwaniu świeżej chustki. Wyjęła ją i dodała:

- Za chwilę przyniosę ci trochę wody.

Jego ubiór był splamiony krwią. Ze świeżym płótnem przy twarzy, bezskutecznie przytykał starą chustę tu i tam.

- Jeśli to* była próba - powiedział - jej wynik jest raczej przesądzony. - Nawet najłżejsze dotknięcie było bolesne. Różniło się to od chłosty, którą zwykle otrzymywał jego grzbiet. Blizna na całe życie, nakreślona pierścieniem. W dodatku: męskim pierścieniem. Nikt w to nie uwierzy. W każdym razie nie Juliusz. Może Tobie.

W końcu poczuł się na siłach, by wziąć sprawę w swoje ręce. Odwrócił się w stronę pani.

- Nie potrzeba tu strażników. Niewiele wam pomogą. Nie ma o czym mówić. Wdarł się tu do środka. Nie mogliście go powstrzymać. Głupotą byłoby zwoływanie połowy służby. Przykro mi tylko, że musieliście tego wysłuchać.

- Pozostaje kwestia twojej twarzy - powiedziała Marian de Charety.

- Nie - rzekł Claes. - Cóż mógłbym uczynić, by wyszło wam to na dobre? A wy nie powinniście nic robić. Nie dopuszczę do tego. On tu nie wróci. Prowadzi wojnę ze swym synem i usiłował nas w nią wplątać. Teraz już zna nasze stanowisko. - Umilkł. Chciał się uśmiechnąć, lecz szybko dał za wygraną. - Nie myślcie o tym, pani. Ja nie będę. To po prostu nieprzyjemny człowiek, który ma nieprzyjemnego syna i zbyt wielką władzę. Wiem, co się stało niedobrego. Nie zapytaliście go, czy jest spragniony.

Ona jednak nie pozwoliła się ponaglać.

- A groźby? - spytała. - Dla mnie nie brzmiały jak czcze słowa. Co ty robiłeś?

- Sami osądzicie - odparł Claes. - Pozwólcie, że się obmyję, a kiedy wrócę, wszystko opowiem.

- Wszystko? - powtórzyła. Wstała i ruszyła w stronę gabinetu. Odwróciła się z flaszką w dłoni. - Najpierw potrzeba ci trochę tego. Co piliście z Feliksem w tawernie? Piwo?

- Byłbym się go napił - odparł - gdyby chlebodawczyni nie wezwała mnie w chwili, kiedy moje usta dotknęły brzegu pucharu. - Chciał dodać: „Wasz syn ma bardzo słabe poczucie czasu”, lecz rozmyślił się.

- To najmocniejsze wino, jakie mam - powiedziała. - Nie mów Hennincowi, że zaczęłam je pić. Ta zima była ciężka. - Urwała, a później dodała: - Chyba dla wszystkich. Feliks bardzo dobrze się spisywał.

Claes opróżnił podany mu puchar jednym długim haustem i pozwolił, by pani napełniła go ponownie. Zabrał go ze sobą do sypialni, w tej chwili pustej, i przez chwilę stał w milczeniu przed odłamkiem lustra, zanim wyruszył na poszukiwanie wody. Pani zaoferowała mu pomoc, lecz on był przyzwyczajony do takich historii. Mniej więcej.

Nie zwlekał. Oczyszczył głębokie, poszarpane nacięcia, zmienił koszulę i zdrapał plamki z kubraka i pończoch, przykładając do twarzy świeże kawałki płótna, podczas gdy krwawienie ustawało i zaczynało się na nowo. Posmarował ranę maścią i przysypał ałunem. Miał właściwości ściągające. Był to także drobny gest osobistej obrony.

Następnie wrócił do biura pani i zastał na stole tacę zastawioną jadłem oraz wino. Pani miała na sobie jedną ze zwykłych sukien, zakrywającą ją od

podbródka do ziemi, lecz nie tę samą co przedtem - z miększej materii. Była dość błada i niezwykle opanowana. Nie był bardzo głodny, lecz chętnie napił się jeszcze wina.

- Powinam pozwolić ci milczeć - odezwała się - ale najpierw może przedstawi mi swoje sprawozdanie. Czy mówienie sprawia ci ból?

- Nie, gdy mówię o tym, o czym chcę mówić - odparł pewnym tonem Claes.

Nie była to prawda. Twarz bolała i krwawiła, i wciąż przykładał do niej płótno. Potrzebował jednak rozmowy, by czymś zająć myśli. Położył już przed nią na stole raporty Astorre'a; dokładną kopię mediolańskiego kontraktu i obsady posterunków w Neapolu, spisy ludzi i koni, zapasów i wyposażenia, starannie przepisane dla niej przez Juliusza. Claes usiadł na wysokiej ławie i poświadczył wszystkim.

Pani usiadła z talerzem przy swoim stoliku. Jedząc trzymała w drugiej dłoni pióro i notowała podawane przez Claesa liczby.

On zaś wciąż popijał wino, lecz nie tyle, by stać się niedbałym. Punkty następowały jeden po drugim. Czarny Loppe dotarł bezpiecznie do księcia i jest tu list w jego sprawie. Towar dla Medyceuszów przybył bez uszczerbku, w tym także konie. Juliusz był z Astorre'm. Doktor pozostał w Mediolanie, by zająć się bratem Gillosem po wypadku. Bardzo drobnym wypadku.

Zapytała o to i usłyszała krótkie sprawozdanie, w którym nie było mowy o lawinach ani Gastonie du Lyon. Nie wypytawała o szczegóły również krótkiego sprawozdania z transakcji dokonanych w domu Jaaka de Fleury. Claes napomknął o jakiejś broni, kupionej tanio po drodze na północ na wypadek, gdyby Astorre potrzebował dozbroić swoich ludzi albo uzbroić nowych. Zadawała pytania, a on odpowiadał, lecz nic ponadto. Jeszcze nie.

Później zaczął mówić o swej pracy; i mówił dokładnie. Dostarczył rachunki i listy, i dostrzegł pewne zapotrzebowanie na dobre usługi kurierskie. Potrzeba będzie dodatkowych ludzi i koni na zmianę, lecz on był już w stanie pokryć koszty. Wymienił mediolańskich klientów. Był wśród nich Pigello Portinari i florency przyjaciele Pierfrancesca Medici. Otrzymał obietnicę od Strozzych, Genuńczyków, Wenecjan, a nawet Kurii. Sam sekretarz księcia był pod wrażeniem i powiedział, że może od czasu do czasu powierzy Claesowi przesyłki. Trzeba będzie mieć kogoś w Brugii, by szkolił posłańców i nadzorował zmiany doręczycieli. Może w Mediolanie także. Pani powinna zdecydować, kto to ma być. Oto dotychczasowe kwity, a tu - odpisy -umów.

Odłożyła pióro i zaczęła przeglądać kwity, czyniąc to coraz wolniej. Położyła ostatni z nich na stole i popatrzyła na Claesa.

- To bardzo wysokie sumy - powiedziała.

- Tak, moja pani - przyznał Claes. Wytrzymał jej błękitne spojrzenie.

- Dobrze wiesz, że to niezwykła zapłata, jak na usługi kurierskie - ciągnęła. - Bo to w rzeczywistości nie są usługi kurierskie, prawda? Mówił o tym Jordan de Riberac. Tutaj opłacono wiadomości już otrzymane oraz zamówione, z góry. Czy tak?

Wiedział już wcześniej, że będzie musiał jej to wyjaśnić.

- Każdy kraj płaci za wieści i każdy posłaniec otwiera przesyłki. Możemy czerpać korzyści równie dobrze jak inni - powiedział.

- Uwierzyłabym ci, gdyby de Riberac nie wspomniał o tym. Wymienił nazwiska: Acciajuoli i Gaston du Lyon. Żadnego z nich nie ma w papierach.

- To dlatego, że są klientami pośrednimi - odparł. - Poznałem Gastona du Lyon, który może polecić nas delfinowi. Rodzina Acciajuoli to florency przyjaciele Pierfrancesca Medici. Medyceusze są klientami i mam nadzieję, że nakłonią brujijską filię do korzystania z naszych usług. Dzisiaj rano widziałem się z Anzelem Tani.

Nie udało się zmienić tematu. Pani powiedziała:

- Czekam, byś mi wytłumaczył, dlaczego Riberac wspomniał o nich z takim naciskiem. Jak się domyślam, Acciajuoli są krewnymi człowieka, którego zraniłeś w Damme?

Jego policzek zaczynał puchnąć.

- Ci, których spotkałem, pochodzą z Florencji - powiedział. - Inni członkowie tej rodziny zamieszkali w Grecji i zostali przed najazdem Turków księżętami Aten i Koryntu. Później, rzecz jasna, uwięziono ich lub wygnano. - Zerknął na nią. Uniosła brwi i nie opuszczała ich. - Albo prowadzą za zezwoleniem handel z Turkami - dodał niechętnie. - Do tego nawiązał wicehrabia.

- Jaki handel? - pytała.

- Rozmaity - odparł. - Na przykład jedwab. Sprowadzają go już z Lukki, a Medyceusze również lada chwila rozpoczną negocjacje. Oczywiście, jako chrześcijanie nie powinni tego robić.

Dostrzegł, że próbuje odczytać wyraz jego twarzy, po czym odwraca wzrok.

- No i co? - spytała - Dlaczego tak obchodzą cię Grecy, a ty ich? Nie sprzedajemy jedwabiu. A swoje szaty farbują w Konstantynopolu.

- To się przyda, jeśli papież rozpocznie krucjatę - powiedział. - Myślę o powiązaniach.

Wpatrywała się w niego.

- Nie chcesz, bym wiedziała. Ale jeżeli coś się nie uda, będę zgubiona wraz z tobą. Słyszałeś Riberaca.

- Nie ma nic, o czym powinniście wiedzieć - odparł.

- A inne rzeczy, o których mówisz? Listy, które przewożysz? Nie znam

drugiego człowieka równie jak ty zręcznego w otwieraniu listów, podrabianiu pieczęci i odczytywaniu szyfrów. Dzięki Bogu, przynajmniej Medyceusze są bezpieczni. Co miesiąc zmieniają szyfr, a na dodatek używają hebrajskiego.

Zapadła cisza, podczas której Claes obracał czubkiem noża kawałek mięsa. Nie myślał o odpowiedzi i po chwili zapłacił za to.

- Loppe! - wykrzyknęła Marian de Charetty - Loppe należał kiedyś do Żyda? A ty szpiegujesz, oczywiście. Prawdopodobnie dla wszystkich i przeciw wszystkim. Medyceusze dowiedzą się o tym. Zawisniesz jako człowiek bogaty. A raczej: zawisłbyś, gdybym pozwoliła temu trwać nadal. To nie może trwać. Wrócisz, odwołasz tę umowę i dołączysz do Astorre'a w Neapolu. Czy słyszysz?

- Jak możecie mnie powstrzymać? - zapytał.

- Mogę wyprzeć się ciebie - powiedziała.

- Wówczas otrzymacie część moich zysków w podarunku. Możecie się mnie wyprzeć, jeśli naprawdę się lękacie. Ale teraz nie musicie jeszcze tego robić. I, pani moja, nie wierzycie chyba, że mógłbym narazić was na niebezpieczeństwo?

Siedziała sztywno wyprostowana, wpatrując się w niego. Powiedziała:

- Podwójna gra jest śmiertelnie niebezpieczna, Claesie. Podwójna gra, kiedy ma się takiego wroga jak de Riberac, jest głupotą. Twój klient jest ludźmi potężnymi i zazdrośnymi. Wspomniał coś o delfinie. Jeśli delfin zwerbuj cię, lecz będzie miał powody, by wątpić w twą lojalność, możemy równie dobrze zamknąć przedsiębiorstwo i udać się na wygnanie.

- Wiem o tym - rzekł Claes. - Tego niebezpieczeństwa można uniknąć. Gdy mowa o delfinie, nie ośmieliłbym się go zwodzić. Jak na księcia jest 0 wiele za bystry.

Zapadło milczenie, którego nie rozumiał. Pani wybrała kawałek mięsa i bawiła się nim.

- Feliks przyznałby ci słusność - powiedziała. - Przez miesiąc dom aż huczał od pochwał pod adresem delfina. Albo pod adresem jego psiarni. Co na jedno wychodzi.

Czekał. Ponieważ nie dodała już nic więcej, powiedział:

- Zatem długo przebywaliście w Leuven. Feliks z pewnością dobrze się bawił.

- No tak, oczywiście, on i delfin poznali się w Leuven - rzekła rezolutnie wdowa. - Ale powiadam ci, że nic nie dorównało zaszczytowi pierwszego zaproszenia na dwór Genappe. Myślałam, że Feliks zemdleje. Ty pewnie omdlewałeś słuchając. Przypuszczam, że opowiadał ci o tym przez całą noc.

- Opowiadał - przyznał Claes - ale z przykrością muszę wyznać, że połowę przespałem. Może Feliks kiedyś mnie tam zabierze. To zależy od waszego postanowienia w sprawie usług kurierskich. Jeśli pozwolicie mi świadczyć je dla was, nie będę mógł wrócić z Tomaszem do Astorre'a.

- Jak rozumiem, porzuciłeś już służbę u kapitana Astorre i stawiasz mi ultimatum - powiedziała Marian de Charety. - Albo świadczysz usługi kurierskie dla mnie albo beze mnie. Ciekawa jestem, w jaki sposób zamierzasz zbierać pieniądze na własną rękę?

Życie upływało na rozpoczynaniu i powściągnięciu uśmiechów.

- Od Medyceuszów - odpowiedział jej. - Ale, naturalnie, mielibyście prawo do wypłat na żądanie. Plan i pierwsze wydatki pochodziły od was.

Zamyśliła się, po czym spytała:

- Będziesz coś przewoził osobiście?

- Niewykluczone - odparł. - Muszę zatrzymać się w Brugii na parę tygodni, by tego dopatrzeć. Potem muszę wyjechać do Mediolanu, by potwierdzić umowy. Później zaś będę prawdopodobnie spędzał czas pomiędzy dwoma miastami. O ile Brugia zechce mnie przyjąć od czasu do czasu. A chyba zechce. To leży w jej interesie.

Wiedział, jak uparta jest wdowa. Przez chwilę muskała wargi piórem, po czym odłożyła je.

- Przedsiębiorstwo potrzebuje pieniędzy - powiedziała. - Astorre i Juliusz napracowali się i zawarli znakomitą *condottę*. Z tego, co mówisz, mogę sobie wyobrazić, ile pracy włożyłeś w swoją listę. Sporządziłeś ją dla kompanii i byłaby to nędzna kompania, gdybyś nie otrzymał od niej podziękowania i nagrody. Tak, masz moje poparcie. Tak, możesz prowadzić swe usługi dla kompanii Charety, pod warunkiem, że będę stale powiadamiana, z dnia na dzień, z minuty na minutę, o każdym twoim kroku, Claesie, mój przyjacielu. - Urwała. - Nie lękasz się? Nawet po tym, co się dzisiaj stało?

Nie usiłował ukryć ulgi. Nie była to jedynie ulga; to było szczęście. Rozpromienił się, co otworzyło ranę w policzku. Przyłożył do niej chustę i uśmiechnął się spoza niej do swej pani.

- Nie będziecie żałować - powiedział. - Naprawdę. Mniejsza o dzisiaj. Już nie powróci. Mam wam coś zabawnego do opowiedzenia.

Zamiast odwzajemnić uśmiech, była zagniewana.

- Coś zabawnego - powtórzyła. - Chętnie posłucham. O czym to ma być? O Turkach? Wojnie w Italii? O Feliksie? Szymonie? Panu de Riberac? Wybuchu?... Nie, wybuch zostawimy na inny dzień, razem z kilkoma innymi problemami. Czego dotyczy twoja zabawna historia?

Jej głos brzmiał chrapliwie. Claes zauważył nagle, jaka jest wyczerpana i zła na siebie, zamiast na niego. Przycisnął mocniej chustę i obdarzył wdowę najcieplejszym, najszerszym, najbardziej zniewalającym uśmiechem, na jaki mógł się zdobyć.

- Cóż - powiedział - cóż, właściwie jest w niej mowa o strusiu.

ROZDZIAŁ 17

Tamtego popołudnia cała Brugia bawiła się rozciętą twarzą czeladnika Charettych, który odjechał, by stać się żołnierzem. Pierwsi zauważyli to domownicy, kiedy rosły chłopak zaczął z tupotem biegać w górę i w dół po schodach, gromadząc papiery i inne rzeczy niezbędne do wypełnienia wszystkich powierzonych mu obowiązków przed świtem. Ci, którzy widzieli go poprzedniego dnia tuż po przyjeździe lub rozmawiali z nim na podwórzu, przysięgali, że jego twarz była wówczas nietknięta. Nie było to dzieło jakiegoś nietolerancyjnego męża, gdyż Claes ostatnią noc przespał w domu. Jeden czy dwóch kupców przybyło po listy, a także przyszedł w odwiedziny ten gruby francuski szlachcic, ale wdowa wezwałaby straż miejską, gdyby gruby pan uczynił coś takiego, lub krzyczałaby na Claesa, a tak nie było - gdyby on sam ją rozgniewał.

Pytany, jak to się stało, Claes za każdym razem opowiadał inną historię. Niektóre z nich były naprawdę znakomite. W żadną nie można było wierzyć ani przez chwilę. Prawdziwy żartowniś był z tego Claesa.

Claes myślał o pozostaniu w domu, ale miał zbyt wiele do zrobienia, a Feliks nie wrócił - co oznaczało, że wciąż siedzi w tawernie. Po upływie kolejnej godziny jego twarz spuchła, na pół przesłaniając jedno oko. Zaciśnął sakiewkę, narzucił opończę i wyruszył do miasta odbywać wizyty. Każdy, kogo spotkał, znajdował inne dowcipne dla jego widowiskowej szramy; najpopularniejsze zaś były baty otrzymane od wdowy.

Wydawało się, że spotkał tego dnia wszystkich znajomych, jakich miał w Brugii; ale to dlatego, że nie wykonywał dawnych obowiązków. Było to przedziwne uczucie w tak znajomym miejscu: słyszeć rozkazujące bicie dzwonów i nie być posłusznym. Nie wyławiać sukna z kadzi, nie ruszać pędem w zawody z innymi, prześcigając ich, póki południowe kuranty nie ogłosiły pory obiadowej. Nie tłoczyć się wraz z innymi podczas posiłków i modłów; nie składać raportów majstrowi lub chlebobodcom; nie należeć już do bezpiecznej grupy. Grupa, do której należał obecnie, nie była bezpieczna.

Jak podejrzewał, Feliks nadal był tam, gdzie go zostawił. Przyszedł po niego, bo ktoś musiał to zrobić. Miejsce nie było przyzwoite: gospoda,

w której nie podawano wina, a tylko piwo dla wyrobników; wyrobnicy zaś nie przepadali za bogatymi młokosami, takimi jak Feliks, którzy zajmowali ławy przez cały dzień i skupiali na sobie uwagę karczmarza. Zanim Claes przyszedł, Feliks i jego kompania najedli się i oddali wyzywającemu pijaństwu. Kiedy wszedł do środka, paru co czujniejszych przyjaciół zauważyło jego rozciętą twarz i w paroksyzmach śmiechu zaczęli natychmiast prześcigać się w dociekaniach, skąd wzięła się rana. Podnoszący się Feliks usłyszał imię matki wplecione w jakieś nieprzystojne wymysły, skoczył więc i pochyliwszy głowę zaatakował bykiem mówiącego.

Potrzeba było aż trzech, by go w końcu uspokoić i skierować jego napastliwość ku ulubionej obecnie kręgielni. Po drodze Feliks zmienił zdanie i ślizgając się na oblodzonym bruku i zamrzniętych smugach błota, bezlitośnie poprowadził kolegów wśród prószącego śniegu w stronę Rynku, gdzie długa kolejka zamrzniętych i mrukliwych uczestników loterii ciągnęła się wzdłuż skarbcza, zakręcając obok kościoła St. Donatien. Kilku chodzących parami, dobrze zbudowanych mężczyzn w miejskiej liberii, pilnowało, by tłum - mimo że zamrznięty i zniecierpliwiony - karnie oczekiwał w kolejce.

Stojący nieruchomo dziedzic Charettych wpatrywał się uporczywie w tłum, po czym nagle wyszczerzył zęby. Jak się okazało, podczas ostatniej śnieżycy Feliks został osaczony przed gospodą i obrzucony kulami ze śniegu przez grupę pijanych robotników. I oto byli tutaj. Oczekiwali na kupony loteryjne dla swego chlebobdawcy. Byli bezbronni, chyba żeby chcieli porzucić miejsca w kolejce.

- Feliksie - powiedział Anzelm Sersanders.
- Feliksie - powiedział Bonkle.

Feliks schylił się i nie zwracając na nich uwagi, zaczekał tylko chwajnie, aż odwróci się najbliższy strażnik - i dopiero wtedy zaczął rzucać. Chybił jednak, co Claes z ulgą zauważył.

- Za mało jest jeszcze śniegu - powiedział. - Chodź. Colard tam stoi i macha do nas.

Skrybowie i sprzedawcy ksiąg gromadzili się zazwyczaj na placu przed kościołem St. Donatien, ale podczas niepogody zwiłali stragany i wchodzili do budynku. Izdebka Colarda mieściła się nad krużgankiem i pobierała własne myto od odwiedzających ją żołądków, gdyż panujący tam żar budził mdłości, zwłaszcza w połączeniu z dymem świec i płonących szczap, nie wspominając już o chemicznym odorze inkaustów.

Ponieważ był to dzień roboczy, opary i płomienie kłębiły się wewnątrz, odpychane podmuchami zimnego powietrza i śniegu od otwartego okna, z którego machał. Kiedy po kilku minutach wspięli się schodami na górę,

siedział znowu przy stole, przy którym zwisały jak stare proporce zawiązane podkolanówki. Podwinął rękawy koszuli do łokci, a rozczochrane włosy przypominały plusz z tej strony, która podczas pisania znalazła się nazbyt blisko świecy.

Z językiem wysuniętym w zdrowej, rumianej twarzy, kończył właśnie linijkę schludnego francuskiego rękopisu, poruszając włóchatym nadgarstkiem nad welinową kartą, podczas gdy oczy unosiły się zerkając na łacińskie dzieło, rozłożone na podpórcie.

- *Pokuta Adama* - przeczytał Feliks. - No, masz! Czy są obrazki?

Tłumacz rozchylił usta nie chowając języka i tak trwał przez dłuższą chwilę. Później powiedział:

- Mam dwa słowa do końca. Zaczekaj. Nie - dodał. - Nie ma obrazków.

- Oho! Łgarz! Znalazłem jeden! - oznajmił Feliks.

- Odłóż to!

Nie zwracając nań uwagi Feliks wziął miniaturę do ręki i zaczął przyglądać się jej ze znawstwem. Obracał ją na wszystkie strony.

- Adama namalowałeś jak należy - rzekł Feliks. - Ale Ewa! Musisz przenieść tę jej rękę w inne miejsce. Tak to mogłaby w ogóle nie być Ewa. To mógłby być drugi Adam.

- On potrzebuje modelki - powiedział Claes. Pamiętasz? Colard ma krótką pamięć.

Colard odwrócił się, pozostając wciąż w pozycji skryby, z oczyma błyszczącymi wściekłością po obu stronach gęsiego pióra, które trzymał.

- Odłóż to. To nie mój malunek.

- Mogę przyprowadzić mu modelkę - podsunął Jan Bonkle.

- Ale to nie on malował - przypomniał Claes.

- A kto? - chciał wiedzieć Anzelm Sersanders.

- Nikt, kogo znacie. W każdym razie, ma modelkę - powiedział Colard, dając za wygraną. - Ona trzyma tak rękę przez cały czas. Gdyby potrzebował Adama do pary, polecę mu któregoś z was, bydlaki. Mam trochę piwa, a jeśli go nie chcecie, nie róbcie tego, co powiem.

Była to wielokrotnie wypróbowana procedura. Pomogli mu znaleźć piwo i kufle, wspinając się na kufry, skrzynie i sterty papieru, szperając wśród chwiejnych stosów manuskryptów na półkach. Anzelm, który obchodził właśnie urodziny, posłał - też zgodnie ze zwyczajem - po parę pieczonych gołębi z musztardą; a później siedzieli i dokuczali Colardowi, który pochłonał o wiele więcej jadła niż przypadało nań z podziału.

- Najedz się do syta - rzekł posepnie Feliks. - Od środy będą już tylko węgorze.

- Ale mamy jeszcze zapusty! - powiedział pogodnie Jan Bonkle. Był

pogodnym młodzieńcem. - No to jak, Collinet? Z kim idziesz? - I ponieważ oblał się purpurą.

- Ależ nie, Jannekin - odezwał się złośliwie Feliks. - Są ciekawsze sprawy. Kto idzie z tobą? Jeżeli Mabelia, lepiej bądź czujny. Nasz Claes dostarczył jej dobrej zabawy. Wysokiej jakości. Możesz ją stracić.

- Zamknij się! - zaperzył się Jan. Claes, któremu rzucił szybkie spojrzenie, uśmiechał się szeroko bez widocznej urazy, choć sprawiło to, że na całym policzku wystąpiły kropelki krwi i musiał, klnąc, poszukać chustki. Jan dodał: - Mabelia robi to, co zechce. Nie będzie jej ze mną. Wiecie, że nie po to są zapusty.

- Ojciec wystawił cię na przetarg małżeński, tak? - zapytał Feliks. Wszyscy wiedzieli, że po to właśnie były zapusty. Wyjątkowy czas, kiedy bogaci i biedni tłoczyli się razem na ulicach Brugii, tańczyli i poznawali - nieoficjalnie, bez zobowiązań z żadnej strony - młode kobiety, którym nie byli przedstawieni.

O, nie mieszały się stany. Jakkolwiek szczelne były ich maski, szlachetnie urodzonych można było rozpoznać - po szatach, po sługach w liberii. Wielcy panowie mogli oczekiwać gościny w zacnych domach - z muzyką, poczęstunkiem i tańcami. Każdy zaś szlachcic, który spotkał na ulicy damę, mógł (zgodnie ze zwyczajem) ukazać swe imię na papierze i jeśli wyraziła zgodę, towarzyszyć jej przez cały wieczór w wybranych rozrywkach, pod tym wszakże warunkiem, że składał obietnicę milczenia.

Takie były dobrze wypróbowane reguły. Pary spotykały się ze względu na swobodą, względnie przestrzegając zasad przyzwoitości, czego wynikiem bywały często korzystne zaręczyny. Najmłodszych jednak pilnie strzeżono. W wieku lat trzynastu czy czternastu dziewczęta i chłopcy ulegali porywom i z tego powstawały nieszczęśliwe małżeństwa.

- Cóż, Jan jest dorosły - powiedział Colard Mansion. - Powinien się ożenić. Ty też. Co zamyśla twoja matka?

Feliks wbił w niego wzrok.

- Czy ty robisz to, co ci każe twoja matka? Nie chcę utkwic przy następnej babie. Należy mi się trochę swobody. Zabieram Grielkine, a jak myślałeś?

Claes otworzył usta.

- A ty zabierasz Tildę i Katarzynę - dodał zadziornie Feliks.

- Czyżby? - spytał Claes. - Kto tak powiedział?

- Ja tak mówię - odparł Feliks. - Nie muszę robić wszystkiego, co matka każe. Chciałbym, żeby sama wyszła za mąż.

- Naprawdę? - zdziwił się Jan. - Z kim wybiera się na zapusty?

- Z Oudeninem, jeżeli on postawi na swoim - odparł Feliks. - Ale nic

z tego nie będzie, oczywiście. Nie. Ona chce się wydać za bogacza. Za kogoś, kto ma ziemię, posiadłości, tytuł.

- Kogoś takiego jak Jordan de Riberac? - zagadnął Claes.

- Czemu nie. On jest przecież bogaty - powiedział Feliks. - I mógłby powstrzymać swego syna, tego zgniłka Szymona, od ciągnięcia nas po sądach co pięć minut.

- Brednie, Feliksie - rzekł Azelm Sersanders. - Jeśli nie podoba ci się, że matka rządzi twoim życiem, to nie spodoba ci się także przekazanie całej kompanii w ręce ojczyma. W końcu jesteś dziedzicem.

Loki Feliksa okalały wysokie kości policzkowe, a jego oczy były mętne od piwa.

- Bylebym miał psy, piwo i broń, niech kto chce bierze sobie ten przeklęty., interes - powiedział.

- Broń? - powtórzył Claes.

Feliks zaśmiał się soczyście.

- Myślałeś, że Astorre zrobi z ciebie żołnierza? Astorre?

Jan Bonkle popatrywał to na jednego, to na drugiego. Sersanders, dostrzegając w twarzy Claesa łagodne zaskoczenie, podjął się wyjaśnić.

- Po twoim wyjeździe Feliks stał się biegły w pojedynkach. Prawda, Feliksie? Tyle że pani nie chce zapłacić za twoje wyposażenie... jeszcze.

- To drobiazg - rzekł Feliks. - Prawdziwy mężczyzna może obejść się bez wyposażenia. Żadnych drągów, co, Claesie? Może miecze? Albo tępe włócznie, jeśli potrafisz jeździć konno. Potrafisz?

- Musisz zapytać Tomasza - odparł Claes. - Zazwyczaj niesie mnie przez pół drogi, a potem zeskakuje, gdy tylko upewni się, że koń biegnie na wszystkich czterech nogach. Kto cię nauczył walczyć?

Sersanders wtrącił z uśmiechem:

- Jeśli zdołasz wydusić to z Feliksa, będziesz wiedział więcej niż my. Znalazł sobie mistrza w Leuven. Jedyнным kłopotem są nieco zbyt wysokie koszty, dlatego rozumiemy, co on ma na myśli. Jeśli zapusty przyniosą mu bogatego ojczyma, nie będzie szczególnie zważał, kto to taki. Czyż nie, Feliksie?

- Oudenin - rzekł Claes. - Zawsze to mówiłem. Feliks może ożenić się z jego córką. Colard, dlaczego do nas machałeś?

- Co? - spytał Colard, który podniósł arkusz welinu i zagubił się w nim. Położył go na stole.

- Machałeś do nas - powtórzył cierpliwie Sersanders.

- Machałem do was - rzekł Colard. - Wiadomość. Twój wuj cię wzywa. A także Claesa, jeśli ma jakieś listy. Jest u Giovanniego Arnolfini.

- Colard - powiedział Claes. - Jesteśmy tu od godziny. Może nawet dwóch.

- Nic nie szkodzi - odparł Colard. - Prawda jednak, że niewiele już pozostało światła. Może lepiej idźcie.
- Może lepiej pójdziemy - zgodził się z powagą Sersanders. - Claesie.
- Tak, idę. Feliks?
- Co - Feliks otworzył oczy.
- Co mówiłeś o twoich siostrach i jutrzejszym dniu? Matka prosiła cię, byś zabrał je na zapusty, tak?
- A ja mówię tobie, że masz je zabrać zamiast mnie - odparł Feliks. Otworzył oczy nieco szerzej. - Chyba nie zamierzasz udawać, że możesz odmówić?
- Feliksie! - wtrącił Sersanders. - To nie jest uczciwe. A twojej matce wcale się nie spodoba. To jest...
- Będzie musiała się z tym pogodzić - powiedział Feliks. - Nie ma nikogo innego. Oudenin byłby zachwycony, oczywiście, ale to dzięki Bogu ostatnia osoba, którą matka by o to poprosiła. Jest zawsze Henninc; ale zgodzicie się, że nawet Claes będzie lepszy niż on. Pomijając twarz. Swoją drogą, w jaką burdę znowu się wdałeś?
- Napadł mnie jeżozwierz - odrzekł zwięźle Claes. - Dobrze, zabiorę dziewczęta, ale pod jednym warunkiem. Powiesz matce, powiesz matce, że mnie o to prosiłeś i uzyskasz jej zgodę. Inaczej kładę się z objawami morowej zarazy.
- Sami jesteście morową zarazą - powiedział łagodnie Colard Mansion.
- Czy bylibyście tak dobrzy i przestali zasłaniać mi światło?

Rozstali się na zewnątrz: Feliks ciągnął za sobą Bonkle'a, kierując się poniewczasie do nieszczęśliwie przezeń wybranej kręgielni. Claes z Anzelmem Sersandersem wyruszyli na zachód, w stronę placu, a później na północ, ku lukkijskiemu domowi konsularnemu, w którym mieszkał bogaty kupiec Arnolfini, podejmujący właśnie wytwornego Anzelma Adorne, wuja Sersandersa.

Niełatwo było iść szybko. Śnieg przestał padać i zamienił się w błoto koloru sepii pod stopami stłoczonych robotników, wysłanych przez miasto i cechy do przystrajania ratusza, dzwonnicy, portu i wszystkich domów, wobec których mieli zobowiązania, przygotowując je do jutrzejszych ostatnich, zapustnego wtorku, kończącego karnawał.

Drabiny, niesione przez nielicznych, przemieszczały się ciężko z ulicy na ulicę, objijając po drodze narożniki budynków. Wózki pełne papierowych lampionów walczyły o miejsce z taczkami pełnymi świec. Pojawiły się chwiejne stragany, przeznaczone do odżywiania tłumów, mających w świetle dziennym asystować przy ciągnięciu losów loteryjnych, a w mroku nocy

- świętujących zapusty. Pojawiły się, zostały ustawione - i runeły. Urzędnicy z wieściami usiłowali przedrzeć się przez miasto, zgodnie ze swym obowiązkiem, i ogłosić te wieści. Kto zbankrutował. Kto umarł, kto się żeni, kto potrzebuje piastunki. Ciekawe wiadomości dla tych, którzy zdołali je dosłyszeć.

Mężczyźni z chorągiewkami wbijali gwoździe. Malarze malowali. Od gospody do gospody turkotały wózki z beczkami wina i piwa, ciągnięte przez spասione konie, a niektóre z nich przystrojono już opadającymi na jedno oko kitami z piór. Sznur pokrzykujących uliczników biegł za dwukółką z beczką, w której niegdyś było piwo, a teraz - Poppe, sprzedawca nieczystego postnego imbiru, objeżdżający za karę ulice, z powodu swej omyłki.

Anzelm przyjaźnie cisnął weń śniegową kulą, która zmyła z jego czoła ślady jajka; i wraz z Claesem przystanęli, rzucając śniegiem w tkacza Witkena, stojącego przy słupie, przywiązanego i przyozdobionego własną, wybrakowaną wełną - dla przypomnienia, że przedzenie podczas mrozów jest niezgodne z prawem.

Obydwie ofiary bez zajadłości zakłęły w odpowiedzi. Ktoś mijał się z prawem. Ktoś zostawał ukarany. Ktoś musiał to znieść. Gdyby to samo przytrafiło się młodemu Claikine, Poppe i Witken wywarliby na nim wesołą zemstę. Być może z pomocą błota.

Lukkijski dom stał przy tej samej ulicy co dom Pierre Bladelina; za Bursą, pełną obwieszczeń o loterii, w pobliżu domu kupców z Genui. Kiedy stanęli w drzwiach, Sersanders, ku swemu zdumieniu, został odesłany z pewną misją. Jego znakomity wuj prosił, by był tak łaskaw odnaleźć i pocieszyć swoje kuzynki Katelijne i Marie, będące z bratem na ślizgawce, na pobliskim jeziorze Minnewater; i powiedzieć im, że ojciec wkrótce przybędzie.

Uprzejmy, młody Sersanders nie miał nic przeciwko małym kuzynkom, choć niekiedy uważał, że dość się już nasłuchał o paryskich wyczynach ich brata Jana. Będąc jednak przy tym człowiekiem spostrzegawczym, wyszedł bez słowa sprzeciwu, zostawiając Claesa.

Prowadzony przez lokaja Claes przemierzył lukkijską siedzibę i znalazł się na niewielkim dziedzińcu, skąd wspiąwszy się po schodach dotarł przed oblicze trzech mężczyzn siedzących przy długim, przykrytym ozdobnym obrusem, stole. Jednym z nich był gospodarz, Giovanni Arnolfini. Drugim Anzelm Adorne. Trzeciego znał z widzenia jako Williama, przełożonego kupców angielskich w Brugii. Stanął nieruchomo, powściągnąwszy z łatwością odruch pobudzający go do uśmiechu.

- Claesie, mój drogi! - przemówił Messer Arnolfini. - Co się stało z twoją twarzą?

Pytanie to było bez wątpienia coraz bardziej uciążliwe. Nieuprzejmy człowiek mógłby zapytać o to samo pana Arnolfini. Minęło dwadzieścia pięć lat od chwili, gdy Jan von Eyck namalował tę bladą twarz z dołkiem w brodzie, bezzęsmi powiekami i długim, rurkowatym nosem o czubku przypominającym owoc agrestu. Giovanni Arnolfini z przyszłą małżonką u boku.

Cóż, Monna Giovanna z pewnością nadal paradowała w rudych włosach ułożonych w rogi, ale Messer van Eyck nie żył już, a Messer Arnolfini wydawał się pół żywy. Niezmienione zostało tylko wypukłe zwierciadło - choć niedawno pokryto je emalią - oraz posrebrzany kandelabr z sześcioma świecami, płonącymi równo pod sufitem.

Wszystko szło gładko Messer Arnolfiniemu i jego krewnym w Brugii, Londynie i Lukce. Z kupca bławatnego przedzierzgnął się w pośrednika finansowego księcia Filipa. Co roku otrzymywał **15 000** franków z książęcego podatku od wszystkich towarów (na przykład angielskiej wełny) przyływających do Calais i odpływających stamtąd. Kupował materiały na szaty dla francuskiego delfina. I pożyczał delfinowi pieniądze.

- To był wypadek, monseigneur - powiedział Claes. - Czy życzye sobie wieści z Mediolanu?

Bladą, inteligentną twarz rozjaśnił uśmiech.

- Już je otrzymałem, w listach, któreś dla mnie zostawił. Życzyłem sobie, by poznał cię Messer Edward, angielski wysłannik. I mam dla ciebie polecenie. Listy, które wiesz z Italii dla Monseigneur delfina, mają być dostarczone mnie.

W odpowiedzi tej zawarto cztery informacje, z których można było skorzystać. Pierwszy ruch był oczywisty.

- Z miłą chęcią, monseigneur. Czy macie te polecenia na piśmie? Arnolfini miał.

- A co z bronią, monseigneur? - spytał Claes.

- Z bronią? - Kupiec pochylił się nad stołem i palcem wskazał zydel po drugiej stronie. Claes usiadł i odpowiedział:

- Z bronią Jego Wysokości delfina. Ubiegłorocznym podarunkiem szlachetnego księcia Mediolanu. Wysłannicy delfina wyruszyli z nią na północ, o ile wiem w jesieni, lecz musieli pozostawić ją w Genewie. W zakładzie zastawniczym. Aby móc opłacić jego podróż do domu.

- I cóż? - spytał Arnolfini. Jego dwaj goście przyglądali się pięknemu belkowaniu sufitu.

- Miałem przy sobie złoto - ciągnął Claes - więc ją wykupiłem. Spoczywa bezpiecznie w Hotel de Charetty wraz z listami do Jego Wysokości delfina. Dostarczę je niezwłocznie.

- Wykupiłeś tę broń z własnych pieniędzy? - zapytał Arnolfini.
- Oczywiście - odparł Claes. - Za radą pana Gastona du Lyon, który przebywa w Mediolanie na turnieju.

Zapadła cisza. Messer Arnolfini spytał:

- Czy masz, mój drogi Niccoló, weksel zastawny? Na piśmie?

Claes miał go w sakiewce.

- Zatem - rzekł Arnolfini - pozwól, gdy dostarczysz tę broń, bym zwrócił ci poniesione wydatki w imieniu *el mio Monsignore el Delphino*. Teraz zechciej nam opowiedzieć o tych, których spotkałeś w drodze. Na przykład biskup Terni, wielmożny Francesco Coppini?

- Wybitny duchowny - odparł Claes. - Powierzono mu zbieranie grosza na krucjatę Jego Świątobliwości. Mam na myśli obszary Flandrii. Jego Świątobliwość powiedział już, że nie oczekuje wsparcia od Anglii szarpanej wojną domową ani od Szkocji, leżącej na najdalszych krańcach oceanu. Niemniej kazał biskupowi Coppini popłynąć tam w miarę możliwości, choć jest on nieduży.

- Dokąd popłynąć? - zapytał Anglik biegle po flamandzku, czego należało się spodziewać po synu pełnego Flamandów Norfolku, który w dodatku od piętnastu lat pracował w Brugii. Claes wiedział, jak wszyscy, o przyjaźni Anglika i Adorna, datującej się od lat młodzieńczych. A także o przyjaźni Anglika z księgarzem Colardem. Wpatrując się w niego, Claes odrzekł:

- Przypuszczam, że biskup Coppini ma płynąć do Anglii, Meester Willemie. Po to, by pojednać króla Henryka z jego krewniakami Yorkami. Możliwe też, że popłynie do Calais, by pojednać syna księcia Yorku z królem Henrykiem. Nie wiem, ponieważ nie spotykałem się z wielmożnym biskupem. Choć, oczywiście, wszyscy często widywaliśmy w Vigevano jego kapelana.

- Ach, tak - rzekł Messer Arnolfini. - A czy kapelan biskupa rozpaczał także, że wojna w Anglii zostanie zawieszona, a dzielne angielskie wojska wyruszą przeciw barbarzyńskim hordom?

Uśmiech wciąż sprawiał ból, więc Claes powściągnął go.

- Odniosłem wrażenie, monseigneur - powiedział - że kapelan biskupa pokłada wielkie zaufanie w jego możliwościach, gdy mowa o rozstrzygnięciu angielskiego sporu. I to rozstrzygnięciu w samą porę, by angielskie wojska pewnie ruszyły do walki. Lecz z kim...

- Tak? - odezwał się Anglik

-- Z kim miałyby walczyć - ciągnął ze smutkiem Claes - tego, monseigneur, nie zdołałem dokładnie wybadać.

Z jego wypowiedzi dowiedzieli się, tak jak tego chciał, wszystkiego,

0 czym pragnęli wiedzieć. Ci trzej ludzie nie stali bowiem po stronie angielskiego króla Henryka z rodu Lancastrow, lecz pretendenta z rodu Yorków, a zatem także po stronie francuskiego delfina, księcia Mediolanu 1 króla Ferrante z Neapolu. Do niego miał wyruszyć Astorre z nowo pozyskaną kompanią, by stoczyć bitwę.

Pewnej pomysłowości wymagało teraz naprowadzenie rozmowy na jego własne zainteresowania wojenne, lecz po pewnym czasie udało mu się to. Pokornie wysłuchiwał rad zebranego towarzystwa. Później rozmowa przerwana została na loterię miejską, w której niedawno wygrała wdowa po Meester van Eycku oraz przyjaciel Anglika.

- Mam więc nadzieję, przyjacielu, że nie zwlekałeś z kupnem losu - rzekł Adorne. - Kto wie, co możesz wygrać?

Claes nie kupił jeszcze losu, ale zrobi to wkrótce.

- Chodź ze mną. Najpierw odnajdziemy moje rozbrykane dzieci - powiedział wuj Sersandersa. - Nie zapomnisz dostarczyć listów i broni Messer Arnolfiniemu?

Nie zapomni. Trzej mężczyźni wstali. Pożegnano się. Niezupełnie ku swemu zdziwieniu Claes ruszył ulicami miasta ku zatoce u boku wielkiego Anzelma Adorne, z ascetyczną twarzą zatopioną w futrzanym kołnierzu.

- Przyniosłeś mi listy od krewnych w Genui - powiedział Adorne. - Czy masz jeszcze jakieś wieści?

Rozdzielili się, omijając stertę worków.

- Monseigneur, cóż mogę wam rzec? - odparł Claes, gdy znowu szli obok siebie. - Wasz krewniak Prosper Adorno zostanie dożą, kiedy król Francji utraci panowanie nad Genuą. Któż jednak może powiedzieć, kiedy to nastąpi? Messer Prosper ma wielu przyjaciół, lecz oni nie życzą sobie, by ich wymieniać.

- Dopóki są przyjaciółmi - stwierdził Adorne. - Wiesz, moja rodzina dała Genui wielu dożów. Dzięki lewantyńskim powiązaniom handlowym nigdy nie cierpiała niedostatku. Ale najazd Turków odmienił wszystko.

- Utrata Fokai - rzekł Claes. - Słyszałem o tym w Mediolanie. Wielu Mediolańczyków o tym mówi. Wydaje się, że to hańba, Meester Anzelmie, iż Wenecja czerpie z tego dochody. Oczywiście ród Acciajuolich tak nie myśli. Jest jednak tak wspaniały człowiek jak Messer Prosper de Camulio, który tylko czeka na sposobność. Brugia także na tym cierpi, oczywiście. I przedsiębiorstwo Charettych, tak jak wszystkie inne.

- Tak - powiedział Adorne. - Słyszałem, że troszczysz się o interesy twej pani. To godne pochwały.

Claes przybrał tak jawny wyraz zadowolenia, jak tylko zdołał bez wspomagania się uśmiechem.

- Moja pani jest najlepszą chlebodawczynią - odparł - lecz ja nie mam doświadczenia. Monseigneur, czy mógłbym kiedyś zasięgnąć waszej rady? Pani de Charetty pragnie rozbudować przedsiębiorstwo, a mnie się wydaje, że widzę pewien sposób.

- Chcesz dokonać lokaty? - zapytał Adorne. - Nie jestem już, o czym może wiesz, urzędnikiem miejskim. Posiadam jednak pewną wiedzę o własności i towarach na rynku. Może powinniśmy się spotkać w tej sprawie.

- Monseigneur, jak mam wam dziękować? - rzekł Claes. - To spotkanie przyniesie korzyść nam obydwu. Jestem tego pewien. Spójrzcie! Oto wasze dzieci i siostrzeniec Anzelm.

Przybyli już, niestety nad jezioro. Na białej tafli zamarznętego Minnewater widać było pokrzykujące postaci dwóch starszych panien Adorne oraz markotne oblicze ich brata Jana. Towarzyszył im nie tylko kuzyn, ale także grupa z Zeeland. Sekretarz i kapelan wielmożnego pana de Veere przyprowadził małe książątko - Karola, a wraz z nim przybyły krewne jego ojca: Katelina i Gelis van Borselen.

Młodzi ludzie dostrzegli Anzelma Andorne. Ze zmiennym szczęściem ruszyli na łyżwach w jego stronę. Pierwsza zjawiła się Katelina van Borselen, którą Claes widział przedtem trzykrotnie. Chichoczącą z wielmożnym Szymonem w Damme. Pogardzającą grecką mową Greka w domu Adorne'ów. Przepraszającą... tak czy inaczej, ale przepraszającą... w domu jego pani za sprowokowanie wybuchu Szymona.

I to ona, ostrzegła go jako pierwsza przed Jordanem de Riberac.

Wydawała się dziś w lepszym nastroju i wyglądała lepiej: na jej ożywionej twarzy z wyraźnie zaznaczonymi brwiami i kragłym podbródkiem kwitły rumieńce, a pasma ciemnobrazowych włosów wymknęły się spod kaptura i spływały wzdłuż policzków jak u małej Katelijne. Wsunęła je z powrotem, zatrzymawszy się zręcznie przed Anzelmem Adorne; i pozdrowiła go z uśmiechem. Później przeniosła spojrzenie na Claesa, zmarszczyła brwi, a następnie uniosła je.

- A oto nasz świeżo upieczony poseł. Słyszałam, że przechrzczono cię na Niccola. Wygląda na to, że z pomocą noża.

Jej głos nie brzmiał zaczepnie, lecz Adorne, który przywiązywał dużą wagę do dobrego wychowania, zmarszczył się i odsunął na bok, by porozmawiać z dziećmi; Claes zaś pozostał na brzegu jeziora.

- Mówicie o mojej twarzy, pani? - spytał ostrożnie. - Położyłem się, a ktoś przejechał po niej łyżwą.

Miał taki sam wyraz twarzy jak Juliusz, gdy żałował, że się zapomniał. Ponieważ Claes bynajmniej nie czuł wrogości, dodał:

- Był to drobny wypadek. Imię też jest dziełem przypadku. Mediolań-

czycy woła je od brzmienia flamandzkiego. Nie powstrzymało to nikogo przed nazywaniem mnie Claesem.

- Czy jakkolwiek inaczej - wtrącił Anzelm Sersanders, który nadjechał ze świstem źle dopasowanych łyżew. - Spójrz, pożyczylem je. Chcesz spróbować?

Zachwiał się na nogach. Mała, pulchna dziewczynka licząca trzynaście lub czternaście lat wyciągnęła piąstkę i oświadczyła:

- Ślizgałeś się ze mną!

- No to poślizgaj się teraz z Claesem - powiedział Sersanders. - On bardzo dobrze jeździ.

- On jest sługą! - stwierdziła pulchna dziewczynka.

Claes uśmiechnął się do niej.

- Po to właśnie jest służba - powiedział. - Pojadę obok ciebie, a ty będziesz mi mówiła, jak mam ci służyć. Popatrz. Będę się ślizgał jak zarządca Bladelin. To wielki pan, ale też jest tylko sługą księcia. On tak jeździ.

Skończył przywiązywanie pożyczonych łyżew i zszedł na lód, odwracając się do dziecka i ściągając twarz tak, by przypominała Bladelina, który ma właśnie przemówić do wielkiej damy. Bolało, ale warto było. Oddał wymyślny pokłon, chodząc do niebezpiecznie rozkołysanej pozy i zaofiarował dziecku ramię, wypowiadając słowa wytwornego zaproszenia z pracowitym francuskim akcentem. Był to jeden z łatwiejszych głosów do naśladowania. Oczarowana twarz dziewczynki uniosła się ku niemu, a następnie ku Katelinie van Borselen. Nieco zbyt późno pojął, że to musi być jej siostra. Ach, co tam. Powtórzył: „Szlachetna pani, czy mogę mieć zaszczyt?” - i ujmując przychylną dłoń dziewczynki odjechał wraz z nią.

- Zrób to jeszcze - powiedziała.

Pokazał więcej Pierre'a Bladelina. Pokazał obydwu burmistrzów. Ślizgał się śmiało, naśladując rozpustnego książęcego bratanka, strojnego i pewnego siebie, póki wreszcie nie upadł z hukiem. Ślizgał się ze skupioną powagą, jak syn księcia, daleki od rozpusty hrabia Charolais - co pobudziło małego Karola, jego chrzestnego syna, do spazmatycznego śmiechu. Ślizgał się, naśladując Jehana Metteneve, który właśnie rozwija belę płótna i wymienia cenę; i rektora Donatien, usiłującego dotrzymać innym kroku w Procesji Krwi Świętej; i ludzi napędzających koła żurawi po zbyt wielu kuflach piwa.

Przyjaciele prosili o jedną z jego specjalności: Olimpię, damę prowadzącą miejski dom publiczny, ale on odmówił. To był pokaz dla dzieci, które teraz otaczały go kręgiem, trzymając się za ręce i piszcząc. Naśladował, kogo tylko chciały, wyłączając obecnych oraz ich rodziców. Bywał już w życiu bity. Trzymał też Gelis przy sobie w kręgu, czyniąc z niej swą partnerkę. Jej blada, nalana twarz jaśniała podnieceniem.

Zabawę przerwał w końcu Adorne, wzywając swą rodzinę i czekając, aż zabawiający ich młodzian spojrzy na niego.

- Nie zapomnij, Claesie, mój przyjacielu-powiedział-że masz zanieść ,, listy Messer Arnolfiniemu.

Odczekał, póki młodzieniec nie zatoczył koła, obejmując dziewczynkę, za nim zaś podążyła chmara zawiedzionych dzieciaków. Młoda panna van Borselen, która stała obok czekając na siostrę, nie mówiła nic. Chłopak wreszcie się zbliżył. Mała Gelis ściągnęła brwi i powiedziała:

- Chcę się dalej bawić.

- Z pewnością tak - odparła Katelina von Borselen - lecz nie możesz zamęczać swego towarzysza. Musi zachować siły na jutrzejsze zapusty, kiedy będzie zabawiał nieco starsze damy.

W rozgrzanym policzku ponownie otworzyła się rana i Claes przycisnął do niej chustkę, jednocześnie zaś, siedząc, zaczął zdejmować łyżwy jedną ręką. Sersanders podszedł, by mu pomóc, gadając przez ramię:

- Ach, zapusty. Nigdy nie zgadniecie, z jakimi wspaniałymi damami Claes spędzi jutrzejszy dzień. Czy mam powiedzieć?

- Chodź. Gelis - rzekła panna van Borselen.

- Z kim? - spytała Gelis.

Anzelm Sersanders uniósł oczy.

- Z Matyldą i Katarzyną, młodszymi siostrami Feliksa de Charetty. Feliks właśnie to ogłosił. Czy nie będą się wszyscy świetnie bawili?

- Ja też chcę iść - powiedziała Gelis.

- Przecież idziesz - podkreśliła jej siostra. - Idziesz z Karolem.

- Idę z tym człowiekiem - oświadczyła Gelis.

Claes, który miał niesłychany wprost kłopot ze zdejmowaniem jednej łyżwy, zakrył chustką całą twarz.

- Ale on jest... - zaczęła Katelina i urwała. - Ale co się stanie z Karolem, jeśli nie będzie miał z kim pójść? To byłoby niegrzeczne.

- Ma ojca Dierica i Meester Lievina - odparła siostra. - I wiele innych dzieci, o czym dobrze wiesz. Chciałabym pójść z kimś starszym.

Nie dało się już dłużej zajmować łyżwą. Claes uniósł głowę i na nieszczęście napotkał chmurne spojrzenie Kateliny van Borselen. Odwrócił się ku pulchnej dziewczynce i powiedział:

- Cóż,* panienko, czemu nie miałybyś iść ze swą uroczą siostrą?

Uroczą siostrą oblała się rumieńcem, a on pożałował swoich słów. Oczywiście na pewno ma już towarzysza. A jeśli nie, rodzice się postarają, by spotkała jutro na swej drodze kilku odpowiednich kandydatów. Miała dziewiętnaście lat i była niezamężna.

Sytuację rozstrzygnęła starsza i mądrzejsza głowa. Anzelm Adorne przemówił:

- Może będzie najlepiej, jeśli pani de Charetty pozwoli córkom przybyć jutro wieczorem do mnie na rodzinne przyjęcie. Z radością powitamy naszego przyjaciela Claesa jako dodatkowego strażnika.

- Ale... - zaczęła dziewczynka.

- ...I oczywiście zapraszam młodą panienkę, jeśli zechce na chwilę pozostawić swego kuzyna Karola.

- Idę z nim - powiedziała Gelis.

Claes zakołysał się unieźlenie, usiadł prosto, po czym dźwignął się na nogi. Odezwał się do Anzelma Adorne:

- To uprzejme z waszej strony. Pani de Charetty będzie bardzo wdzięczna i zapewniam, że ja także. O której godzinie...?

- Chodźmy tędy - rzekł pan z Hotel Jerusalem . - Jan zabierze dzieci do domu. Pani, zechciejcie wybaczyć...

Katelina van Borselen wybaczyła mu, wpatrując się z irytacją w Claesa.

- Ponieważ wspomniałeś o broni - powiedział Anzelm Adorne, gdy się oddalili - przyszedł mi na myśl skład, który Kawalerowie utrzymywali w szpitalu Św. Jana. Tutaj. Mój ojciec był Furtianem. Powiadał, że szpital zamierza ograniczyć zbiory i postawić tam łóżka dla chorych.

- Być może - przyznał Claes. Wiedział, w której wieży trzymana jest broń. Przyjrzał się jej w zamyśleniu, kiedy przechodzili obok. - Jeżeli broń jest stara lub w złym stanie.

- Przeciwnie - odparł Adorne. - Pokazałbym ci, gdybym miał klucz. Zbroje płytowe, hełmy, nagolenniki. Kolczugi z czasów Hannequina, w dobrym stanie. Piki i włócznie. Nawet miecze.

- Cóż, mogę was zapewnić, monseigneur - powiedział Claes - że wielu by się z tego ucieszyło. Nie ma pieniędzy na uzbrojenie, od czasu zakupu nowych armat. Kapitan Astorre kupuje teraz w Piacenzy. Od Messer Agostina, który odlewa działa dla samego Ojca Świętego. Jedno nazywa się Sylwia, od jego imienia, drugie Vittoria na cześć matki papieża, a trzecie Enea od imienia papieża w czasach jego... zanim zaczął potrzebować armat. Ta Enea może przebić kamienną kulą dwudziestostopowy mur.

- Lepiej niż działo z Mons? Dowiesz się niedługo - ciągnął Adorne - że dotarło bezpiecznie do Szkocji, czego w końcu od niego oczekiwano. Tu się rozstajemy. A przynajmniej musimy rozstać się tutaj, jeśli masz z pewnością dostać los na loterię. A jutro przyprowadzisz dzieci swej chlebobawczyni do Hotelu Jerusalem, gotowe do zapustów. Powiedzmy, o zachodzie słońca?

- O zachodzie słońca - powtórzył Claes; przekrzywił głowę i odprowadził Adorna wzrokiem. Był szczęśliwy.

Miał zanieść listy delfina panu Arnolfini i dostarczyć wykupioną broń. Musiał wrócić na Rynek i zakupić (kolejny los) loteryjny. Musiał dopaść Feliksa, otrzeźwić go i zacząć się dowiadywać, co jest nie w porządku z Meester Olivierem, niepokojącym zarządcą z Leuven. Musiał zacząć ostrożnie badać rozmaitych przedsiębiorców, których imiona łączono z posiadłościami i możliwością odkupienia ich.

Ślizganie zaostrzyło jego głód, lecz jednocześnie go wzmocniło. Ranek wraz ze swymi groźbami wydawał się odległy. Zatrzymał się na dwadzieścia minut w jednej ze swych ulubionych oberży, gdzie zjadł flaczki i wypił kufel piwa w towarzystwie licznych znajomych, w tym Tomasza, który wydawał się uradowany, że go widzi. Następnie pełen energii wyruszył drogą, którą sam sobie wytyczył.

ROZDZIAŁ 18

Przybycie galer weneckich i czas karnawału. Dwa cudowne wydarzenia w roku dziecka, za którymi Katelina van Borselen tęskniła na wygnaniu w orszaku wygnanej królowej Szkocji. Przypomniła sobie, że myślała o tym w domu ojca, tu, w Brugii, tuż przed ową przechadzką po ogrodzie, kiedy Szymon z Kilmirren próbował ją obejmować. A ona, głupia, niezależna istota, stawiała mu opór.

Wtedy był wrzesień, pora galer. Teraz był luty i czas karnawału, podczas którego zapadnie decyzja w kwestii wysłania jej do Bretanii jako damy dworu owdowiałej księżnej, jeszcze jednej siostry króla Szkocji. Kolejnej szczęśliwej, może trzydziestoletniej wdowy. Podobno podczas zrękowin jej przyszły małżonek nie zmartwił się wcale ostrzeżeniem, że jego narzeczona odznacza się daleko posuniętą tępotą i nie zna języka. Pewien arystokrata stwierdził, że mu to odpowiadało. Wystarczyło, by umiała odróżnić jego koszulę od podwiązek. Dwukrotnie uczynił ją matką, zanim uczynił ją wdową, musiała więc uzyskać pewne rozeznanie.

Cóż, jeżeli Katelina chciała być wdową, musiała najpierw być żoną; a dzisiaj, oczywiście, miała nadarzyć się sposobność. Tak powiedziała matka - kobieta o silnym charakterze, której Katelina nie lubiła, a która wzięła właśnie w swoje ręce sprawy przyszłości córki. Z listy odpowiednich kawalerów wybrała trzech - w obliczu zdeklarowanej obojętności Kateliny - i złożyła matce każdego z nich przyjacielską wizytę. Teraz także, kiedy Katelina siedziała z rodzicami oglądając z góry plac targowy, młodzi mężczyźni z dobrych domów prawdopodobnie obserwowali ją z dołu, ustalając, który z nich po zmierzchu stanie dziś w masce na jej drodze z rulonikiem w ręku. A może ustalali wszyscy razem, że są już zajęci gdzie indziej.

Plac okalały domy podobne do tego: ich właściciele opuszczali je podczas świąt publicznych, aby znakomici obywatele mogli zasiąść w nich i radować się widokiem z okien, pokrzepiając się przy tym zapasami z domowych spiżarni. Wygoda, którą należało cenić zwłaszcza wówczas, gdy padał śnieg - tak jak dzisiaj. Gobeliny zwieszające się z parapetów okiennych były przyprószone bielą, a śnieg osiadał na czerwonych facjatkach na piątym

i szóstym piętrze, plamił brązową cegłą i wtulał się w ozdobne kamienne obramowania okienne i drzwi.

Dach składu portowego po drugiej stronie zmienił się w białą, gładką stromiznę; posagi przy miejskiej studni miały białe czapy, a biała szata okryła czworokątny bastion starego gmachu kupieckiego w rogu placu; nad nim zaś wznosiła się władczo bryła dzwonnicy.

Z dachu owej dzwonnicy obwieszczano dzisiaj wyniki loterii. Byli przy tym obecni rajcy i urzędnicy miejscy oraz obydwaj burmistrzowie. Stali na drewnianej trybunie, wzniesionej przed budynkiem, a wraz z nimi strażnicy skarbu, ceklarze i przedstawiciele straży miejskiej. Wszyscy przyodziali najstrojniej sze kapelusze i najobfitsze szaty lśniące błękitem, zielenią, kosztowną purpurą i jeszcze kosztowniejszą czernią. Tłoczyli się pod baldachimem przybranym kępkami zieleni i chorągiewkami. Po obu stronach ustawiono kosze pełne płonących z trzaskiem smolnych szczap, - a obok - podręczne stoliki, na których pojawiały się co pewien czas cynowe dzbany i parujące misy.

Dla Ojców Miasta nie był to najwygodniejszy sposób spędzania ostatnich. Z drugiej strony, właściwie przeprowadzona loteria mogła przynieść miastu niebagatelną sumę. Zawsze znajdowali się szcudrzy ofiarodawcy, zwłaszcza teraz, w przeddzień wielkiej próby.

Dwaj strażnicy miejscy unieśli ostrożnie w górę klatkę z jeżozwierzem. Tłum na placu i w pobliskich ulicach był tak gęsty, że widzowie nie mogli się poruszyć. Okazywali swoje podniecenie krzykami, a ich głowy w czepcach i kapeluszach falowały jak pole koniczyny w podmuchach wiatru. Podnoszone w górę dzieci wymachiwały ramionami - tylko one miały tyle miejsca.

Jeżozwierz nie mógł, rzecz jasna, przydać się do czegokolwiek pracze, murarzowi czy rybakowi, podobnie jak na przykład rękawiczki, kielich, bęben albo sokół. W takich wypadkach nagrodę przeliczano na pieniądze. Katelina spostrzegła ojcowskiego zarządcę, stojącego cierpliwie w tłumie lepiej przyodzianych osób i czekającego na wiadomość, kto wygrał pięknego hiszpańskiego rumaka. Wiedziała, że pozostali wpatrują się w ofiarowaną przez księcia Ewangelię, psa gończego lub święty obraz. Czasami jakiś zamożny rzemieślnik - szewc, rzeźnik, krawiec lub cieśla - zdobywał i zatrzymywał taką nagrodę; mógł to również być szlachcic z Brugii lub spoza miasta, gdyż loterię ogłaszano na wszystkie strony świata. Przeważnie jednak nagrodę stanowiły pieniądze, a każde obwieszczenie witały okrzyki bezmyślnej radości.

Katelina zauważyła, że jeżozwierz wzbudził poruszenie w grupie więziennych strażników z twierdzy Steen, którzy jak się wydawało - wygrali go

jako nagrodę; lecz także wśród ludzi ubranych w jednokowy błękit kompanii Charetty. Spozstrzegła, że kobiety z domu Charettów założyły nowe szale, a robotnicy mieli nowe czapki i kurtki z naszytymi kokardkami. Ich chlebodawczyni, drobna, krągła i uprzejma, jak Katelina pamiętała z pierwszego ich spotkania, cieszyła się opinią bystrej kobiety interesu, surowej dla swych robotników i nie lękającej się stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, by wypowiedzieć swoje zdanie, jeśli miała ochotę. Znała jednak również zasady dobrego zarządzania: ulec od czasu do czasu i okazać wielkoduszność.

Samej wdowy nie było, rzecz jasna, na placu targowym, choć Katelina dostrzegła jej syna, Feliksa, w niebywale fałdzistej szacie, gęsto przybranej czarnym i białym futrem oraz w przekrzywionym kapaluszu, z którego zwisały ogony gronostajów. Ryczał z śmiechu, trzymając mocno ramiona dwóch przyjaciół, z których jednym był przyodziany posłusznie w błękity postawny czeladnik imieniem Claes. Ten, który wyruszył do Italii na wojnę, po czym, nie wiadomo dlaczego, powrócił. Ten, który tak rozbawił Gelis wczoraj na ślizgawce.

Można było z daleka dojrzeć szeroką, czerwoną szramę na jego policzku, choć opuchlizna już nieco skłęśla. Był nieuprzejmy, gdy Katelina zapytała go o nią. Oczywiście nie sformułowała pytania tak, jakby to zrobiła zadając je komuś równego stanu; lecz on nie miał prawa czuć się dotkniętym. Poszła przecież do wdowy w tamten jesienny wieczór specjalnie do niego, gdyż myślała, że Szymon go skrzywdził. Cóż, przynajmniej tym razem Szymon nie ponosił odpowiedzialności. Szymon był w Szkocji.

Młody Feliks zawył ponownie, przyciągając jej uwagę. Spozstrzegła, że Claes coś wygrał. Część zbroi. Nie, coś mniejszego: pojedynczą, kolczastą rękawicę, którą wręczył mu jeden z ludzi w żółtych czapkach, pacjent Szpitala Św. Jana, skąd zapewne ów fant pochodził. Stojąc na mównicy i odpowiadając z uśmiechem na pytania, w czapce zsuniętej w tył, Claes wyglądał jak żołnierz, którym nie był. Część pisków ze strony patrzącego tłumu dobywała się niewątpliwie z kobiecych gardeł. Wydawał się tego dokładnie świadom, lecz nie odwrócił się, by pomachać.

Sęk w tym - myślała Katelina przyjmując podany jej kandyzowany owoc i dając go swej małej, nienasyconej siostrze - sęk w tym, że ów młody kobieciarz był dość inteligentny; ostatnia rzecz, jakiej można pragnąć u sługi. Rozum był przywilejem, jeżeli w ogóle, kochanków. U małżonka byłoby to zbyt piękne.

Powróciła myślami do trzech nazwisk z matczynej listy dopuszczalnych konkurentów. Dwaj byli mężczyznami w średnim wieku, mającymi odziedziczyć skromne włości: jeden w pobliżu Gentu, a drugi niedaleko Courtrai. Trzeci, najlepszy, należał do rodziny Gruuthuse, jednej z najstarszych

i najpotężniejszych w Brugii. Cztery lata temu weszła do niej przez małżeństwo kuzynka Małgorzata. Guidolf de Gruuthuse, czarujący piętnastoletni chłopiec, posiadał już spore doświadczenie. Gdyby go poślubiła, miałyby przed sobą dwadzieścia lat wypełnionych rodzeniem dzieci mężowi 0 cztery lata młodszemu od siebie. Mało prawdopodobne, by została bogatą wdową.

Przyszło jej do głowy, że była mało przewidująca odrzucając z taką pasją starszego konkurenta, czekającego na nią w Szkocji. Przekonała się nawet, czując ukłucie sumienia, że ojciec nie był w tej kwestii tak nieczuły, jak sądziła. Zdała sobie sprawę, że wyrosła w końcu z różanego świata dziecinnych romansów. Rzeczywistość była inna. Człowiek musiał przystosowywać się do niej, starając się odnieść jak największe korzyści.

Odwrociła oczy od rozgorączkowanego motłochu i skierowała je ku uprzywilejowanym oknom i balkonom, szukając herbów dojrzałych panów z Gentu i Courtrai oraz armaty wojennej, żywiołowego symbolu rodu Gruuthuse.

Marian de Charety spędziła ten dzień z dwiema córeczkami, Tildą i Katarzyną. Wraz z innymi członkami cechu farbiarzy, ich żonami i dziećmi, przyglądała się przez pewien czas rozdawaniu nagród loteryjnych, a gdy dobiegło końca i tłum się przeczodził, pozwoliła dziewczętom, by prowadziły ją od straganu do straganu, kupowały i jadły, co tylko chciały. Oglądały karłów i akrobatów, wrzucały monety do czapki człowieka z tresowanym psem, zgadywały, ile waży świnia, widziały w klatce mężczyznę z dwiema głowami, kobietę z brodą, zwierzę, które było pół-koniem a pół-krową i miało grzywę oraz wymiona dające się doić. Sprzedawano ser zrobiony z tego mleka i Katarzyna chciała kupić trochę, ale matka się nie zgodziła.

Napotkała po drodze Lorenza Strozzi i przypomniawszy sobie, zapytała uprzejmie, jak mu się wiedzie w kwestii przywozu strusia dla Tommasa. Słuchając odpowiedzi (dowiedział się od pewnego kapitana okrętu, że ptak nadal jest w Barcelonie, i wysłał drogą morską i lądową wiadomość, by jak najszybciej dostarczono go do Sluis) przypatrywała się jego wąskim, ściągniętym ramionom i ziemistej, pełnej przejęcia twarzy, myśląc - jak zawsze - o Feliksie. Dziecinny, nieodpowiedzialny, irytujący Feliks nie wydawał się przynajmniej zastraszony jak ci młodzi Włosi, działający w pełnym>blasku rywalizacji różnych gałęzi ich licznych rodzin w Londynie, Florencji, Neapolu, Rzymie.

Jako matka próbowała wychować i wykształcić jedyne go syna, lecz gdy Feliks był nieposłuszny lub stawiał opór, szalała ze złości. Czy jednak to, co widziała przed sobą, było lepsze? Alessandra, matka Lorenza, pozostawiona

w dystygowanej nędzy w rodzinie Florencji po śmierci skazanego na banicję męża, nigdy nie przestała wywierać nacisku na trzech synów i dwie córki.

Najmłodszy syn nie żył już. Filippo, najstarszy i najzdolniejszy, zdobył najlepsze wykształcenie i osiadł zaszczytnie w Neapolu, w rodzinnym przedsiębiorstwie kuzyna ojca, Niccola di Leonardo Strozzi. Lorenzo przybył tu z Hiszpanii, by pracować dla brata Niccola, kierującego filią Strozzych w Brugii. Nauczeni jednak przez Alessandrę oraz własną dumę i ambicję, jej synowie uważali tę pracę za nazbyt słuźebną. We Florencji Alessandra wyprzedawała majątek, śląc im pieniądze i dobre rady, a Lorenzo i jego brat pisali listy, spiskowali, planowali, walczyli z losem i byli nieszczęśliwi.

Żaden z nich nie mógł wrócić do Florencji, z której wygnano ich podobnie jak ojca. Żaden z nich nie myślał o ożenku, podobnie jak Tommaso Portinari. Żadnych zaręczyn, zanim nie trafi się dobra żona rodem z Florencji. Gdyby zaś stary Jacopo Strozzi zmarł w Brugii, czy Lorenzo jako syn kuzyna dziedziczyłby po nim? Nie, przedsiębiorstwo przejdzie w ręce jego brata z Neapolu. A brat z Neapolu, przyjrząwszy się dwudziestosiemioletniemu, spragnionemu pieniędzy Lorenzowi, może pomyśleć, że bezpieczniej będzie samemu mianować nowego zarządcę, Lorenza zaś pozostawić Medyceuszom, by wykonywał polecenia **dotycząca** na przykład strusi.

Kiedy Lorenzo zakończył monolog, powiedziała z uśmiechem:

- Z pewnością macie towarzystwo na dzisiejszy wieczór? Feliks mówił, że jest zajęty, lecz nie wyjawiał imienia dziewczyny.

- My idziemy z Claesem - odezwała się Katarzyna z ustami pełnymi piernika.

Dla Lorenza dzieci były nieprzeniknącą tajemnicą. Przypominając sobie bez wątpienia kilka zapalczywych sporów, zarumienił się i rzekł:

- Tak, słyssałem o tym.

Marian poczuła rozbawienie.

- Zaplanował to Feliks, o ile mi wiadomo - powiedziała bez zastanowienia i dostrzegła błysk w uniesionych oczach Tildy. - Prawdę mówiąc - dodała gładko - zostali zaproszeni na przyjęcie do Adornów, co sprawia radość im wszystkim. Och, mieć znowu trzynaście lat!

- Wy możecie zawsze mieć trzynaście lat - rzekł Lorenzo.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć i kiedy skłonił się przed nią, pozwoliła mu odejść i dołączyć do przyjaciół.

Po południu, gdy zrobiło się chłodniej, zabrała dziewczęta do domu, by wypoczęły i posiliły się; i by matka mogła doprowadzić do porządku ich

sukienki, gładko uczesać długie włosy i ułożyć zgodnie z ich linią brzeży kosztownych czepeczków - szkarłatnego u Tildy, błękitnego u Katarzyny. Aksamitne skrzydełka, opadające na ramiona, nadawały dziecięcym twarzom odcień ujmującej czystości, a obszyte złotą nicią fałdy materii z tyłu uwydatniały proste dziecięce barki skryte pod płaszciami. Schłodne sukienki z prostokątnymi wycięciami przy szyi także były z aksamitu, a wąskie mankiety bramowane gronostajami. Jej córki nie przyniosą wstydu Adonom.

Jedna miała teraz trzynaście lat, druga dwanaście; nie były już dziećmi. Przypomniało jej o tym gniewne spojrzenie łagodnej zazwyczaj Tildy. Co miała poczuć? Pojmowała aż za dobrze, że Feliks zrzucił na Claesa obowiązek towarzyszenia dziewczętom. Robił to jednak już przedtem i Claes potrafił go przechytryć. Nie wierzyła, że Claes jest nieświadom uczuć Tildy. W stopniu większym niż inni ludzie potrafił przeniknąć cudze myśli. To Tilda powiedziała jej o szkatułce, którą widziała otwartą w izbie Claesa, a w niej - posrebrzaną szkandełę w kształcie jabłka. Podarunek przywieziony z Mediolanu. Dla kogo?

Srebrne jabłko nie zostało jednak nikomu wręczone, a przynajmniej nie w tym domu; i obawiała się, że wie, dlaczego. Co za tym idzie, wygodnie mu było spędzić ten długo wyczekiwany wieczór neutralnie, z jej córkami. Gdy jednak przyszedł po nie, był bardzo wesoły: twarz wokół zaognionej szramy miał pogodną, błękitne pończochy, kubrak i kurtkę wyczyszczone, a w czapkę wetknął jeden z gronostajowych ogonków Feliksa.

Prócz tej służbowej liberii nie widziała u niego żadnych nowych strojów z wyjątkiem sakiewki i trzewików, które nosił. Dla przyjaciół był tylko starym Claesem, chodzącą ścierką do garnków. Dla Marian de Charety był to owoc świadomej decyzji: oznaka nieagresji w chwilowym powrocie do stada. Mogła sobie wyobrazić reakcję Feliksa, gdyby Claes wrócił w stroju mediolańskim najświeższego kroju.

Zastanawiała się, czy Claes tęskni za takimi rzeczami i doszła do wniosku, że nie. Przynajmniej na razie. Gdyby zatęsknił, bez wątpienia przyczyną tego będzie kobieta. Mała służka, Mabelia, związała się z Janem Bonkle - to wymknęło się Feliksowi. Była niemal pewna, że sam Feliks znalazł sobie podobną dziewczynę. Nie mogła się tym zajmować. Juliusz, w wielu sprawach tak pomocny, tym razem zawiódł. Była to również jedna z nielicznych dziedzin, w których duma nie pozwalała uczyć się od Claesa.

Czy młodzieńcy wyrastali z takich namiętnych kaprysów? Czy może ładna buzia z za żywopłotu zawsze będzie ich wabić - aż do chwili, gdy zdrowy rozsądek nakaże im założyć rodzinę, bo inaczej starość zaskoczy ich z pustymi rękami? I jeszcze później? W jakim wieku mężczyzna gotów był się

ustatkować, widząc, że musi zapewnić sobie bezpieczeństwo? U niektórych mogło to nigdy nie nastąpić. ;

Jej dom był pusty. Jako żona Cornelisa prowadziła dom otwarty dla jego przyjaciół, podczas gdy młodzi wychodzili w strojach karnawałowych i spędzali noc na niewyjawionych rozkoszach. Jako wdowa korzystała już z gościnności innych farbiarzy; lecz nie chciała przyłączyć się do nich tego wieczoru w ich domach, wpisując się w starsze pokolenie, pokolenie Cornelisa, do którego nie należała. Nie chciała także wtapiać się w tłum na placu targowym - tłum par, kochanków - jako matka, wdowa, przyzwoitka. Pozostawanie samej w domu także nie było przyjemne.

Dlatego odczuła miłe zaskoczenie, kiedy w godzinę lub dwie po zmroku przyszedł do niej sługa rodziny Adorne z zaproszeniem do Hotelu Jerusalem na ten wieczór. Cała młodzież wyszła, rzekł służyący, a pani Margriet pomyślała, że pani de Charetty może być teraz wolna i zaczekać u nich na powrót córek. Gdyby zechciała, może także przenocować.

Poprosiła sługę, by zaczekał, a sama przygotowała się prędko, zamknęła drzwi na podwójne rygle i pozostawiła dom pod opieką odźwiernego. Później wyszła na dobrze znaną ulicę i przystanęła na chwilę. Obok przystanął posłusznie sługa Adornów z pochodnią w rękę. Ale dzisiaj światło było niepotrzebne. Śnieg zniknął zewsząd z wyjątkiem dachów, gdzie tworzył migotliwe wzory zabarwione kolorami brzoskwini* róży, bzu i liści z papierowych latarni, które przycupnęły niczym ptaki przy oknach, drzwiach, murach i krosztynach na każdej ulicy.

Dzisiaj latarnie paliły się nad wszystkimi bramami, a nisze na rogach ze świętymi figurkami jaśniały podsycanym światłem. To samo czyniły w odpowiedzi wieże i wieżyczki kościołów, rysujące się w migotliwym blasku na tle czarnego, lodowatego nieba. Nawet tutaj, z dala od środka miasta, ulica zatłoczona była ciepło odzianymi, zaróżowionymi ludźmi; skądś dobiegała muzyka.

Marian de Charetty wyszła na ulicę. Noc, która przedtem nie obiecywała niczego, teraz obiecywała towarzystwo. Przynajmniej tyle.

Pod tym samym zaczarowanym niebem były czeladnik imieniem Claes zabawiał z wprawą kilkoro różniących się od siebie młodych osób, których opiekunowie wiedzieli o dzieciach mniej niż on. Pomagało mu rozkoszne światło latarni. Kroczyli z twarzami uniesionymi ku górze. Z każdego mostu, pełnego malowanych posągów, rozgałęzionych świateł i wiecznej zieleni, spoglądali na odbitą w wodzie krainę czarów. Wstęgi kanałów lśniły podobnie jak twarze dzieci, odbijające pochwycone światło.

Drugim po światłach przedmiotem zachwytu był plac targowy, znacznie bardziej podniecający niż podczas ciągnięcia losów, z nikłymi światełkami przy straganach, gdzie sprzedawano same cuda - owoce, migdały w cukrze, orzechy, figi i rodzynki. Stragany miały chorągiewki - i chorągiewki otaczały cały plac; powiewały na dachu Waterhalle i starego ratusza, oświetlonych latarniami.

Było tak wiele świateł i ludzi, że nie czuło się zimna, lecz na wszelki wypadek na rogach ulic ustawiono kosze z płonącymi szczapami, a w niektórych straganach można było dostać gorące napoje i zupę. Trzej mężczyźni ciągnęli piecyk na kółkach, wpychając z jednej strony ciasto, a z drugiej wyjmując gorące placki z szybkością diabłów dokładających do piekielnego ognia, podczas gdy klienci otaczali ich zwartym kręgiem, jedząc i popluwając, z twarzami czerwonymi w blasku płonących głowni.

Kosze z węglem drzewnym stały także na drugim końcu: na trybunie opróżnionej teraz dla miejskich grajków - trąbki, piszczałki, bębny, kotły i smyczki - i miejskich śpiewaków, z szarfami od kapeluszy spowijającymi ich drogocenne gardła. Ich pieśni nie usłyszałoby się w tawernie, lecz gdy dołączyły bębny i smyczki, dzieci zaczęły tańczyć na ulicy, a za nimi starsi; i cały krąg rozpoczął wiejski taniec, szybko przerwany, gdyż o tak wczesnej porze wszystko przebiegało jeszcze według ustalonego porządku.

Rozebrano już, oczywiście, drewniany podest: tkacz Wltken zakończył dwudniową pokutę, a Poppe oficjalnie dotarł do kresu upokorzenia przez beczułkę, choć nadal siedział w niej, pijany, pod burzliwą opieką przyjaciół. Później na plac wkroczyli marynarze z linami, których używali zawsze do pokazów chodzenia po linie wysoko na dzwonnicy; niektórzy z nich byli pijani, choć - należało mieć nadzieję - nie ci, którzy przywiązywali liny ani ci, którzy mieli na nich tańczyć. W tej chwili młode damy w towarzystwie Claesa były już niezmiernie podniecone.

Do tej chwili także wydarzyły się różne rzeczy.

Po pierwsze: Jan Adorne wyszedł z domu. Jako student nie szukał żony; lecz mając lat piętnaście znajdował się bez wątpienia na tropie czegoś innego niż grupa dziewczątek. Dziewczątka, które wcale tak o sobie nie myślały, poczuły urazę.

Dwie córki Adornów były dobrze wychowane i zaprzyjaźnione z Claesem. Rozmawiał z nimi, bawił je i wymyślał różne rzeczy: przedstawiał je ciekawym ludziom (o ile nie powstrzymał go ojciec Bertouche) i pozwalał robić to, co je interesowało - a na co matka nigdy nie wyraziłaby zgody - kiedy ojciec Bertouche nie patrzył. Lubiły jego żarty i jego szerokie, zręczne dłonie, które opiekuńczo prowadziły dziewczęta poprzez tłum. Były oczywiście już za duże, by brał je na barana, lecz od czasu do czasu obejmował dzieciną talię Katelijne i unosił ją, by lepiej widziała.

Ojciec Bertouche kaszał w takich chwilach lub stukał Claesa w plecy. Kaszel był po części oznaką dezaprobaty, po części zaś silnego przeziębienia. Bolały go także nogi i wyraźnie tęsknił za wygodną izdebką w Hotel Jerusalem. Kapelan zatem stanowił niewielką pomoc, zwłaszcza że panny de Charetty wcale nie zwracały nań uwagi: Katarzyna była nieprzytomna z podniecenia, a Tilda stała się wybranką Claesa, oddzieloną tego wieczoru od reszty świata.

Claes popełnił błąd. Jego przyczyną było - jak przypuszczała chlebobawczyni - wyraźne zrozumienie pragnień jej starszej córki. Zranić dzisiaj Tildę traktując ją jak wszystkie inne dzieci, było nie do pomyślenia. Dlatego oznajmił, że jako starsza z siostr Feliksa zajmie tego wieczoru miejsce matki i będzie mu oficjalnie towarzyszyć. Tilda zarumieniła się z radości, a on, zabawiając inne dzieci, dbał o to, by składać jej żartobliwie dworne dowody szacunku, którymi mogła się cieszyć nie traktując ich poważnie. I wtem Katarzyna, pod wpływem hałasu, świateł i niecodziennej sytuacji zaczęła szaleć.

Podczas wybuchów Feliksa Claes zabierał go z widoku publicznego i znajdował sposób, by młodzieniec mógł wyładować energię. Inaczej było jednak z dziewczynką, wyrrywającą rękę nieszczęsnemu kapłanowi i pchającą się w gęsty tłum - w tej chwili już nie tak karny i trzeźwy, falujący pod naporem młodych panów szlchetnego rodu w jedwabiach, futrach, groteskowych i przedziwnych maskach. Przechadzali się grupami, od domu do domu, wraz ze sługami i muzykantami, w nastroju zachęcającym do odciągnięcia na bok nieuważnego dziecka, które na nich wpadło lub do pochwylenia i uprowadzenia dziewczynki.

Claes chwycił ją dwukrotnie i zaniósł z powrotem wśród huraganu śmiechu i pisków. Za drugim razem Tilda uniosła rękę i otwartą dłonią uderzyła siostrę w twarz, aż Katarzyna krzyknęła głośno i spojrzała na nią ze łzami w oczach, przykładając dłoń do policzka. Panny Adorne przyglądały się im obydwu, a od strony kapelana dobiegły odgłosy jak gdyby koń kłusował po błocie.

- Ejże! - odezwał się Claes otaczając ciepłą dłonią nadgarstek Tildy i unosząc jej zaciśniętą piąstkę. - Spójrzcie tylko na tę dłoń! Przestraszyłem się! Jak mam towarzyszyć damie, która w każdej chwili może mnie pobić? - Odwrócił się w stronę chichoczącej już Katarzyny. - Ojoj, i spójrz na ojca Bertouche! Nie może przecież zajmować się wszystkimi, kiedy ja muszę gonić ciebie. Powinien teraz zabrać wszystkich do domu; i stracimy w ten sposób linskoczków, ognisko i fajerwerki. No i nie wysłuchałyście jeszcze wróżb.

- Chcę posłuchać wróżb - powiedziała Katarzyna.

- Ale nie mogę ci przecież ufać - odparł Claes. - Będę więc musiał pilnować, byś znowu nie uciekła. - I trzymając ją mocno za rękę odpiął pas, po czym zaczepił go o jej pasek i przypiął luźno do siebie.

Tego właśnie pragnęła. Jej łzy obeschły; ujęła go za ramię i pociągnęła w stronę astrologa. Tilda kroczyła sztywno u jego boku.

- Matka spoliczkowałaby ją teraz - powiedziała. - Nie była już jego niekwestionowaną i wyłączną towarzyszką. Katarzyna podskakiwała z drugiej strony.

- Oczywiście, policzek jest potrzebny, kiedy zbliża się niebezpieczeństwo, a wszystko inne zawiodło. Dobrze jednak wypróbować inne środki - zauważył Claes.

- Feliks cię bije - stwierdziła Tilda. Po chwili milczenia, zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: - Oczywiście, matka tego nie robi.

Podniosła się wrzawa: linoskokczowie ukazali się na wierzchołku dzwonnicy, płos Marii, Katelijne, Katarzyny, ojca Bertouche i nawet Matyldy uniosły się mimowolnie. Claes wydał niedostrzegalne westchnienie ulgi i rozbawienia, które rozdarło jego policzek. Wtem rozległ się rozkazujący głos, przenikliwy niczym gwizd:

- Ach, więc tu jesteś? Gdzie się podziewałeś? Miałeś się mną zająć! Nawet nie próbowałeś.

Herodzie, gdzie jesteś? Łatwiej było przejść przez Alpy z jucznymi koźmi. W stronę Claesa posuwała się, wlokąc z trudem futrzaną szubę, niska i zażywna osóbką, którą skądś znał... Ach, Gelis. Młodsza panna van Borselen, z którą bawił się na ślizgawce i która usiłowała zawładnąć jego osobą na dzisiejszy wieczór. Dzięki Bogu, tuż za nią przepychał się przez tłum sługa w liberii i służka w płaszczu i białym czepku. Stojąca obok Tilda odwróciła głowę, a zaraz po niej kapelan.

Latorośl van Borselenów spojrzała srogo na Claesa. Wystarczyło przystawić im worek do twarzy. Worek z odrobiną owsa - i już były szczęśliwe.

- Przyniosłam płaszcz i maskę, na wypadek, gdyby nie było cię stać. Tu są. - Służący, nie przyciągając niczyjego spojrzenia, podał jej duży zwój bardzo dobrej materii, bogato ozdobionej piórami. Wręczyła to Claesowi.

- Panienko, witamy cię z radością - rzekł Claes. - Mieliśmy nadzieję, że cię spotkamy. Lecz jak na maskaradę, jest nas zbyt wielu. Znasz panny de Charetty? I panny Adorne, oczywiście. Ojcie Bertouche...

Ojciec Bertouche, zagłębiwszy zaczerwieniony nos w chustce, popatrywał z urazą na swoje stadko, którego liczebność mogła, niestety, jeszcze wzrosnąć.

- Naturalnie nie bierzemy udziału w żadnej maskaradzie - powiedziała. - Doprawdy, rozważaliśmy właśnie, czy nie wrócić do domu po tym przedstawieniu.

- Chcę do domu - powiedziała bezbarwnie Tilda. Z drugiej strony Claesa wyrzała nadaśana twarzyczka Katarzyny. Dwie panny Adorne szeptały u boku księdza. Starsza, Matylda, szepnęła coś i stanęła w pąsach.

- Co? - zapyta ojciec Bertouche.

Panna van Borselen spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem.

- Ona mówi, że jej siostra musi iść do domu - powiedziała. - Czy nie ma z wami dziewczki służebnej?

Kapelan odsunął chustkę od nozdrzy, a jego górna warga załśniła barwą ochry w świetle lampionów. Sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

- To zwyczajna sprawa - uśmiechnął się Claes. - Mogę ją odprowadzić, jeśli chce czuć się swobodnie. Znam tu mnóstwo dziewcząt.

Nieszczęsna, mała panna Adorne wydawała się równie wstrząśnięta jak kapelan.

- Chcę do domu - powiedziała zduszonym głosem.

- Dobrze - rzekła Gelis van Borselen. - Weź moją służkę. Matten, idź z nimi. Pomóż panience, jeśli zajdzie potrzeba. Nie musisz tu wracać.

Chryste.

- Wszyscy udamy się do Hotel Jerusalem - oznajmił Claes.

Pulchna dziewczynka wpatrzyła się w niego.

- Nigdzie nie idę - powiedziała. - Odesłałam sługę do domu. Jeśli nie chcesz dotrzymać obietnicy, zostanę sama. Obiecałeś.

Grupka wokół Clesa topniała z niepożądaną, choć zrozumiałą prędkością. Odwiązawszy Katarzynę i wypowiedziawszy kilka słów do Tildy i wycofującego się kapelana, Claes wychwycił najważniejsze zdanie i zdążył skoczyć za znikającym sługą, by przyciągnąć go za ramię do siebie. Sługa był przerażony. Nie bez przyczyny.

- Kazałam mu odejść - oznajmiło dziecko. - Inaczej usłyszysz to i owo od mojego ojca.

- A ja mu każę zostać - powiedział twardo Claes. - Inaczej twój ojciec usłyszysz to i owo ode mnie. Skąd pochodzi ta maska i płaszcz?

- Pożyczyłam je - dziewczynka uniosła podbródek, poprawiając nieco własny wizerunek.

- Nie wątpię. Jeżeli oddasz je na czas, być może nikt nie powie ani słowa. Zatem ja coś zaproponuję. Spędzimy dziesięć minut tutaj, przy linoskokach. Później dziesięć minut na tańcach z moimi przyjaciółmi. I dziesięć minut na ognisko i fajerwerki. A potem zabierzemy cię do domu, do siostry.

- Nie nocuję dzisiaj u Kateliny - powiedziała Gelis. - Zatrzymam się u pana de Veere, tam, gdzie mieszka Karol. Czy chcesz wiedzieć dlaczego?

Nie była złym dzieckiem. Nieoczekiwanie zabłysła przed nim obietnica spędzenia godziny lub dwóch tak, jak chciał. I z kim chciał.

Spokojnie wysłuchał tego, co miała mu do powiedzenia i wydało mu się to niemal tak ciekawe, jak jej.

ROZDZIAŁ 19

Kiedy dzieci rozeszły się do domów, maski zapełniły ulice. Wśród barchanów stopniowo zaczęły pojawiać się grube płaszcze z podbitego futrem aksamitu, z połyskującymi perłowo rękawami, złotą frędzlą i podszewką z jedwabiu. Nieopodal filcowych czapek, przyzwoitych kapturków i białych beretów przemykały się gryfy, trefnisie, orły. Jednorożec oglądał się za czyjąś zgrabną kostką lub statek pod pełnymi żaglami przepływał obok ze śmiechem; jakaś koza lub Karol Wielki zatrzymywali się, by rzucić monetę i wziąć kandyzowany owoc.

Kateliny van Borselen nie było jeszcze wśród nich. Jej płaszcz leżał na stole przy wielkim oknie w domu rodziców. Co pewien czas spoglądała przez okno, by sprawdzić, czy wybrani przez matkę trzej konkurenci nadal czekają. Dom był pusty, pozostali jedynie odźwierni. Mieli go chronić, gdyż inni służący dostali wolne lub byli z jej rodzicami w domu pana de Veere. Mieli także chronić ją, Katelinę, na wypadek gdyby jej towarzysz nie przybył lub okazał się osobą niepożądaną. Bądź też na wypadek (nie tak niezwykły), gdyby dwaj kawalerowie wszczęli spór, a ona pozostała z niczym.

Zazwyczaj jednak nie było w tym nic przykrego. Konkurent podawał rulonik z nazwiskiem i zostawał wybrany lub uprzejmie przeproszony. Dzięki masce nie tracił twarzy w obecności oczekującego rywala. Chyba że był tak pewny siebie, iż przyprowadził służbę w liberjach i z pochodniami, paziów i pachółków. Katelina zauważyła, że to właśnie uczynił Guildolf de Gruuthuse.

Nie zauważyła jego przybycia. Czekał już pod okapami sąsiednich domów. Był bez płaszcza. Powyżej karku widać było jedynie zwierzęcą skórę, otwory na oczy i kły wspaniałego lamparciego łba. Poniżej światło lamp wydobywało krótką, futrzaną szatę i niedbały zarys pończoch, odsłoniętych od połowy uda aż po stopy. Jedna dłoń w rękawicy spoczywała na biodrze. W drugiej, oświetlonej, trzymał zwitek papieru. Za nim zaś, z armatami Gruuthuse'ów na plecach, stało sześciu służących w liberjach. Jeden z nich trzymał lutnię ze wstęgą jak kota za ogon.

Pomyślała sobie, że musiał dopiero co stanąć w tym miejscu, gdyż grupa,

z którą przybył, nadal była widoczna; nawoływała się ze śmiechem. Katelina patrzyła na mijających ją ludzi, którzy wymieniali wesołe uwagi. Była to rzecz zwyczajna. Kiedy ona się pojawi, on powróci do rycerskiej fantazji. Powinna zejść. Powinna najpierw upewnić się, że nie ma innych konkurentów (czy to możliwe?). Katelina niepostrzeżenie wyjrzała przez okno.

Był inny konkurent. Mężczyzna wyższy i tęższy niż Guildolf, czekający spokojnie z rulonikiem w ręku przy bramie jej domu. Nie było z nim służących, nie miał herbu. Nie widziała go dokładnie, gdyż owinał się płaszczem od maski po stopy. Samej maski nie było wyraźnie widać w mdłym świetle. Wydawała się zrobiona z piór.

Po chwili wahania Katelina wzięła płaszcz i wolno zeszła po schodach ojcowskiego domu. Przemierzyła dziedziniec i odbyła rozmowę z jednym z odźwiernych. Otworzył bramę, a ona wyszła.

Postawny mężczyzna w płaszczu stał najbliżej, musiała jednak przyjąć obydwu. Katelina odwróciła się ku odległemu lampartowi i złożyła staranny ukłon, lecz na początek zajęła się - naturalnym biegiem rzeczy - najbliższym, bezimiennym wielbicielem. Wykonała kolejny wyrafinowany dyg i wyciągnęła dłoń po papier.

Ukląkł i wyczył go jej. W świetle przybranie głowy okazało się sowa maską. Na ruloniku papieru widniało imię konkurenta z Courtrai - co było o tyle dziwne, że wydawał się jej przedtem niski. Po drugiej stronie ulicy Guildolf de Gruuthuse ruszył ku niej, wytwornie krocząc po kostkach bruku.

Tak... Nie było innych. Musiała wybierać między zwierzęciem a ptakiem. Obok niej ptak, który uniósł się z klęczek, zachichotał cicho. Konkurenci musieli milczeć. Katelina usłyszała krótkie zdanie, wypowiedziane w miękkim flamandzkim z podskórną nutą francuską.

- Wybierz go, jeśli chcesz, lecz on gra na lutni jak rzeźnik, a co rano przy śniadaniu wyciska przyszcze. Dlatego wziął lamparta. Zanim zdejmie maskę, przywykniesz do nich. Resztę skóry chowa do nocy poślubnej.

Zachłysnęła się. Usiłując zapanować nad sobą miała łzy w oczach. Ponętne nogi i lamparcia głowa podeszły blisko. Bogactwo Gruuthusów. Dwadzieścia lat porodów. Pryszcze.

Katelina van Borselen ponownie dygnęła przed Guildolfem de Gruuthuse, lecz zwitek papieru wsunęła delikatnie z powrotem w dłonie ofiarodawcy.

- Jestem zaszczycona, panie - powiedziała - lecz wyprzedził was kto inny. Niech Bóg da wam szczęśliwy wieczór i noc, a może kiedyś wszyscy wychylimy w przyjacielni kielichy.

Był w najwyższym stopniu zakłopotany. Widziała, że raczej nie wychyli

już kielicha z nią czy kimkolwiek z jej rodziców. Miała nadzieję, że matka, twórczyni tej klęski, może naprawić ją z równą łatwością - i była przekonana, że tak się stanie. W końcu to przecież jej matka wysłała trzy zaproszenia. Ktoś musiał się rozczarować. Pomysł, że zawód może odczuć troje ludzi, nie był przez matkę brany pod uwagę.

Katelina nie dbała o to zbyt. Znaczenie miało dla niej tylko to, czy ona sama nie będzie rozczarowana wydarzeniami tego wieczoru. Wykonała głęboki dyg, a młody Gruuthuse skłonił się i odszedł wraz ze swą nieco rozproszoną świtą o rozdziawionych ustach. Człowiek z lutnią wykonał za plecami pana niefrasobliwy gest, a Katelina miała nadzieję, że źle go rozumie. Cichy, przeciągły odgłos spod maski jej towarzysza świadczył, że i on to zauważył. Pojęła, że wybrała prostaka i poczuła silne ukłucie żalu.

Być może mężczyzna to dostrzegł. Tak czy inaczej, złożył przed nią wymyślny i głęboki ukłon, podał jej ramię i przykrywając jej dłoń swoją poprowadził dziewczynę ulicą, w ślad za bogato odzianymi dworzanami.

Pierwszym napotkanym domostwem, które stało otworem, był dom ksiązęcego zarządcy. W ostatnią noc karnawału szlachta nie potrzebowała żadnych zaproszeń; wystarczyły stroje, maski i klejnoty. Weszli do oświetlonego ogrodu, w którym kosze z węglem drzewnym podświetlały wino w kielichach. Z wysokiej wieży dobiegały dźwięki fletu, skrzypiec i wioli, wplatając się w rozmowy; towarzyszył im także mały, lecz gorliwy bębenek.

Ludzie przybywali, krążyli i odchodzili. Przez chwilę pod drzewami wił się korowód tancerzy z uniesionymi i złączonymi ramionami, a rękawy powiewały pod koronami olbrzymich i pięknych nakryć głowy. W tę mroźną, lutową noc kobiece głowy kwitły niczym kamelie i lilie; lub wydawały się smakołykami w rodzaju dyni, pulchnych bułeczek oraz stosów słodyczy, przybranych dziegłem.

Tego wieczoru Katelina nie miała swego stożkowatego nakrycia głowy: pokojówka nałożyła na jej głowę cienką, złotą siatkę, a włosy zaplotła w gruby warkocz, wplatając weń wstążki. Warkocz był tak długi, że aksamitne spódnice Kateliny przyciskały go, kiedy siadała. Tego wieczoru jej poczwórny złoty naszyjnik z Lyonu spoczywał na nagiej skórze zamiast na nieodzownej wszywce z gazy; i miała pierścienie niemal na wszystkich palcach.

Zauważyła, że jej towarzysz nie nosi nawet sygnetu. Potwierdziło to jej wcześniejsze domysły; chociaż przestrzegał przyjętych zasad i milczał. Wiedział, czego wymaga dobre wychowanie. Na początku nie żądała od niego wiele. Później wyszli od Bladelina i udali się do nowo zbudowanego dworu Ghistelhof, a stamtąd do domu Vasqueza, następnie zaś przenieśli się z pałacu Jeana de Gros do Siedmiu Wież i siedziby cechu łuczników;

wreszcie zapuścili się do wielkiej posiadłości Gruuthusów - nie spotykając lamparta - i zakończyli wędrowkę w ogrodach samego Princehof jako goście nieobecnego hrabiego Charolais. Wówczas dopiero spróbowała włączyć się w tańce - i stwierdziła, że nie ma powodu do zmartwień, ponieważ jej towarzysz znał taneczne figury i zręcznie je wykonywał. Kiedy pragnęła czegoś orzeźwiającego, usługiwał jej ceremonialnie - a także napotkanym przyjaciółom.

Chwilami, podczas mniej oficjalnych spotkań, usługiwał na różne inne sposoby - a oni zachłystywali się ze śmiechu patrząc, jak podrzuca ich talerze i sprawia, że noże to pojawiają się, to znikają. Z ulgą stwierdziła, że nie jest prostakiem, lecz bawi ludzi. Nie zdejmował płaszcza i nie próbował jej tknąć - nie licząc muśnięć dłoni lub łokcia. Zauważyła tylko w pewnej chwili, że starał się, by piła dużo wina.

Nie martwiło jej to. Pozwoli, by wieczór rozwijał się zgodnie ze znanym jej wzorcem. W pewnej chwili on odprowadzi ją do domu - pustego, jeśli nie liczyć odźwiernych, którzy rozpoznając w nim przypisanego jej towarzysza, wpuszczą obydwójce do środka. Zaprowadzi go do matczynej bawialni i w podzięce za towarzystwo poczęstuje winem, a potem poprosi o możliwość ujrzenia jego twarzy. On zaś zdejmie maskę.

Dziewczęta, które jej o tym opowiadały, rzadko wdawały się w opisy tego, co następowało później. Jeżeli dokonywano podboju, ródzina kawalera odwiedzała krewnych przyszłej panny młodej i dochodzono do porozumienia.

Wszystko to działo się nazajutrz. To zaś, co następowało owego wieczoru, było najwyraźniej sprawą poufną. Nie mogło jednak zdarzyć się zbyt wiele. Dom był pusty, lecz nie pozostawał pusty na całą noc. W zwykłych okolicznościach i tak nie miało to większego znaczenia. Zapraszało się wybranego kawalera do domu, a on przychodził. To oznaczało małżeństwo. Proste, jeśli przyprowadziłaś właściwego mężczyznę. Nie takie proste, jeśli nie był właściwy.

Katelina była zmęczona. Kiedy potknęła się po raz drugi, jej towarzysz podtrzymał ją i powiedział:

- Jesteście zapewne znużeni, pani. Czy odprowadzić was do domu?

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od chwili powitania i nie mogła w nich wyśledzić akcentu Courtrai.

- Tak będzie lepiej - odparła. - Lecz najpierw zdejmijcie maskę.

Stanęli twarzą w twarz. Czekąca, aż mężczyzna wykona jej polecenie. Lecz maska z nieruchomymi oczyma sowy zakołysała się w geście dobitnej odmowy. Katelina stała przez chwilę czekając, czy jej towarzysz nie podda się w końcu; a gdy trwał nieporuszony, odwróciła się i ruszyła przed siebie,

marszcząc brwi. Zrównał się z nią po chwili i ujął znowu jej łokieć, za co była mu wdzięczna.

U bram jej domu odzwierny rozpoznał maskę, a ponieważ miał doświadczenie, życzył tylko obojgu dobrej nocy i bez uśmiechu otworzył drzwi. Poszedł przodem, by odryglować drzwi na korytarz i upewnić się, czy płoną wszystkie lampy.

Katelina zaprowadziła gościa do matczynej bawialni. Dużo wypiła, lecz myśląc o tej chwili starała się utrzymać dobrą formę; on także, czego była świadoma, od czasu do czasu odchodził w ustronne miejsce. Kolejna - choć mniejsza - cecha człowieka doświadczonego. Teraz miała się wreszcie dowiedzieć, skąd pochodzi owa znajomość rzeczy.

Ogień przygasał. Podeszła, by go podsyć, a mężczyzna rzekł niezmiennie swym flamandzkim: „Uważajcie na płaszcz”. Zaczekała, pozwalając mu, zanim przyklekła, odpiąć szatę z tyłu. Czuła jego palce muskające jej rozwichrzony warkocz. Kiedy poprawiała ogień, mężczyzna przemierzył komnatę i złożył jej płaszcz na zydlu.

Kiedy odwracała się wstając, oczekiwała po nim tego samego - lecz on nie zdjął niczego. Odezwała się więc:

- Przyjmijcie nagrodę, panie, za swe rycerskie służby dzisiejszego wieczoru. Obawiam się, że jest nią jedynie puchar dobrego wina, lecz przynajmniej możecie spocząć i pozwolić, bym go wam podała. - Z uśmiechem sięgnęła do kredensu, mężczyzna jednak stał nieporuszony. Wyjęła dwa puchary i flaszkę, i skierowała się w stronę kominka. - Rozumiem - powiedziała po chwili. - Pod twarzą sowy kryje się twarz sowy?

Jego płaszcz był niebieski, gruby i sięgał aż do ziemi. Nawet nie próbował go zdjąć. Pochyliła się z pewnym zniecierpliwieniem, postawiła puchary i flaszkę - i poczuła, że luźne pasmo włosów opada jej na ramię. Przechyliła głowę, by je odgarnąć i wtem zrozumiała. Zdejmując płaszcz mężczyzna rozplótł jej włosy.

Odwróciła się i spojrzała na niego pytająco. Natychmiast znalazł się tuż za nią, a sowa maska niemal jej dotykała.

- Kolej na resztę tych różowych koronek - powiedział.

Wyrwała się i odskoczyła. Jej ruch był tak gwałtowny, że pozostawiła w jego ręku swój naszyjnik.

- O nie - powiedziała. - To nie należy do umowy.

Sowa maska ani drgnęła. Nie było wiadomo, czy mężczyzna jest przestraszony, zły czy po prostu cierpliwie czeka.

- Nie zawierałem umowy - rzekł. - Bez pośpiechu ruszył w jej stronę. Stała się pomiędzy krzesłem a ścianą.

- Ależ tak - powiedziała. - Z moją matką. Otrzymaliście zezwolenie na

jeden wieczór w moim towarzystwie. Musicie się tym zadowolić. Jeśli chcecie czegoś więcej, możecie jutro odwiedzić matkę - brakło jej tchu.

Zatrzymał się obok krzesła.

- Jeśli *chcę*? - zapytał - Przecież to wy chcieliście tego, pani. Wiedzieliście od początku, że nie przybyłem z Courtrai. Wprowadzając mnie do domu wiedzieliście, że nie jestem jednym z trzech kawalerów wybranych przez waszą matkę. Nikt ze mną nie zawierał umowy. Nikt prócz was nie dawał mi pozwolenia, bym się tu znalazł. A co było waszym celem, jeżeli nie to?

- Nie to było moim celem - powiedziała Katelina.

- Zatem chodziło o przyjemną rozrywkę? Lecz ja milczałem przez cały wieczór. A może powodem było nasze wzajemne zrozumienie? Ale nie przebywaliśmy jeszcze sam na sam. Dlaczego więc przyprowadziłaś mnie tu, pani, jeśli nie po to, by zaostrzyć mój głód, a nasycić swój? Słodka pani, cały świat zna cię jako dziewicę i podejrzewa, że nie jest ci to miłe. Po co trwać w dziewictwie?

Zaczynało się dziać nie tylko źle, ale - bardzo źle. Nawet jego głos uległ zmianie.

- Być może trudno w to uwierzyć - rzekła Katelina - lecz wcale nie myślałam o gwałcie. - Umilkła. - O małżeństwie owszem. - Czy on zarygłował drzwi?

Spod maski dobiegł głośny śmiech.

- Byłaś gotowa rozważyć oświadczyzny człowieka, za którego mnie uważałaś? Brednie, moja pani. Być może cię poślubię, lecz najpierw muszę zaznajomić cię z pewnymi szczególnymi zaletami tego stanu. Myślę, że później bez zbytnich nalegań zechcesz zostać moją żoną. Podobno - ciągnął mężczyzna w masce sowy - posiadam niezwykłą moc. A ponieważ mój syn nie potrafi cię zadowolić, oddaję swą całą moc do twojej dyspozycji.

- Wasz *syn*? - powtórzyła Katelina.

Gdy to mówiła, suty płaszcz został odrzucony. Dworne ręce, które usługiwały jej tak zręcznie, uniosły się ku zabawnej masce. Dłonie, które wiodły z tańca w taniec i pochwyciły tak mocno i zdecydowanie jej szatę, teraz ujęły z obu stron maskę i zdjęły ją ostrożnie. Spod maski wynurzyła się pełna łaskawości, szeroka twarz Jordana de Riberac.

- Czy istotnie tak nie lubisz Szymona? Czasami nie jestem pewien. On jednak czuje się zbyt urażony, by składać propozycje; a tak czy inaczej, musi najpierw zakończyć pewien drobny spór. A raczej: wydaje mu się, że musi. Kiedy tu wróci, przekona się, że ktoś już go zakończył. Tamten prostaczek ma wciąż dwoje oczu, ale przypomni sobie o mnie za każdym razem, gdy spojrzy w lustro. Gardzę pospółstwem i ludźmi, którzy przestają z pospółst-

wem - rzekł wicehrabia de Riberac. - Zauważysz to, pani, gdy przyjedziesz do Francji. Inaczej nie mógłbym płodzić z tobą dzieci.

Claes. Ten człowiek naznaczył Claesa. Co on jeszcze mówił? Położyła obie dłonie na oparciu krzesła przed sobą.

- Chcecie mieć dzieci - zaczęła - by wyrugować...

- Jedyńy syn - przerwał jej z łaskawym uśmiechem - cóż to za wyzwanie rzucone losowi! Człowiek majątny potrzebuje więcej niż jednego dziedzica.

- Macie małżonkę - rzekła Katelina.

Jordan de Riberac nadal się uśmiechał.

- Jest wiele sposobów - odparł - by pozbyć się żony. Kobiętę dającą mężowi dzieci miłuje i mężczyzna, i Bóg, czego dowiedzimy obydwójce, jeśli Bóg dozwoli. Drzwi są zaryglowane, a odźwierni przekupieni, panno Katelino. Zdejmę szaty, a ty z łaski swojej dorzuc trochę drewna do ognia. Czuję chłód ciągnący od posadzki.

Główne drzwi były zaryglowane. Lecz drugie, po przeciwnej stronie, dały się otworzyć - i prowadziły ku schodom, podwórzu i bocznej furtce, o której Katelina wiedziała.

Podeszła do ognia, jak gdyby chcąc go podsycić. Riberac *istotnie* zdejmował szaty. Odpiął kłamrę płaszcza i zaczął wysuwać masywne ramiona z jego fałd. Nie zwlekała dłużej. Skoczyła ku bocznym drzwiom i pobiegła schodami, przeskakując po dwa na raz, zakasawszy po drodze suknię i rękawy.

Usłyszała, że zaklął i ruszył za nią. Jego kroki zadudniły u szczytu schodów, gdy ona zbiegła z ostatnich stopni do ogrodu. Drzewa, skrzynki, nieszczęsna fontanna - zagroziły jej drogę. Stopy grzęzły w śnieżnych zaspach. Nie mogła znaleźć furtki; w końcu odszukała ją i stwierdziła, że rygle zamarzły. Szarpiąc je słyszała za sobą kroki Riberaca.

Pierwszy rygiel ustąpił... a po nim drugi. Otworzyła furtkę i wybiegła na ulicę Steen, jarzącą się od świateł, gdzie tłoczyli się rozbawieni ludzie. Najbliżej stojący odwrócili się z uśmiechem, kiedy pospiesznie opuszczała spódnice. Była bezpieczna. Nie musiała wzywać pomocy. Wystarczy przebyć plac i dotrzeć do Hotel de Veere, gdzie byli rodzice i Gelis. Pomyślała, że kłamstwem było stwierdzenie Riberaca, jakoby przekupił jej odźwiernych; to mogło jednak poczekać do jutra. Dzisiaj nie było już po co wracać do domu przy Srebrnej Ulicy.

Wtopiła się w rozśpiewany tłum szlachetnie i nisko urodzonych; i obejrzała się. Jordan de Riberac wyszedł przez furtkę i stał bez płaszcza i kapelusza, szukając jej wzrokiem. Nie próbował już jej ścigać, lecz wpatrywał się w nią nieporuszony ponad głowami ciżby. Później masywny kształt drgnął i z rozmysłem, wlokąc za sobą swój cień, ruszył w przeciwnym kierunku.

W jej własnym domu zaproponował jej jednocześnie gwałt i małżeństwo. Po spędzonym z nią wieczorze. Po jej serdecznym zaproszeniu.

Oszukał ją, oczywiście. Imię, które przeczytała, nie było jego imieniem. Nie pytał jej rodziców o zgodę. Będzie musiała opowiedzieć o tym rodzicom, gdyż potrzebuje ich ochrony. Ale nikt inny nie powinien się dowiedzieć. Oczyma duszy ujrzała minę matki. Syn pana de Courtrai - o czym matka wiedziała - był niższy od ojca Szymona o sześć cali.

Spostrzegła, że drży i przyspieszyła kroku, w czym pomógł falujący tłum. Pewnie już czas na ognisko i fajerwerki. Bardzo prawdopodobne, że gdzieś tu jest mała grupa z domu pana de Veere, z Karolem, Gelis i krzepiącym kręgiem służby. I oto w pewnym oddaleniu pojawiła się Gelis we własnej osobie. Sama Gelis; tylko w towarzystwie pobladłego sługi. Gelis, wykrzykująca coś ostrym, podniesionym głosem, z wyrazem szalonego niepokoju na pulchnej twarzy, pełnej gorącego błagania; wokół kłębili się obojętni, rozbawieni przechodnie.

Katelina ponownie zakasała spódnice i ruszyła biegiem ku siostrzyczce. Zawołała ją po imieniu i rozpostarła ramiona, a dziecko przepychało się w jej stronę, walcząc łokciami. Bez łez, bez krzyków Gelis powiedziała:

- Nie chcą mi wierzyć. Widzieliśmy to z okna. Dwóch ludzi zabrało Claesa. Chyba go zabili.

Z małą Gelis i jej sługą na karku, Claes dobrnął - jak sądził - do męczącego zakończenia szczególnie męczącego dnia. Żyjąc tak jak żył, nie byłby zdziwiony jeszcze innymi komplikacjami. O niebezpieczeństwie nie pomyślał wcale.

Chwile spędzone z dziewczynką nie były w istocie takie ciężkie. Znalazł przyjaciół, którzy tańczyli z nim w kółku; zaprowadził ją w miejsce, skąd mogła oglądać akrobatów, a potem spotkał znajomego, który zgodził się zabrać ich na wieżę kaplicy św. Krzysztofa, by popatrzyli sobie na fajerwerki. Łatwo było sobie z nią poradzić, kiedy dostała to, czego chciała. Tak jak z każdym.

Później utracił panowanie nad biegiem wypadków.

Zaprowadził Gelis i jej sługę na wieżę. Potem zbiegł na dół, by odnaleźć znajomego i podziękować mu. Chciał wrócić, lecz fala zagapionych przechodniów omal nie zbiła go z nóg. Kiedy tłum się przeredził, Claes spostrzegł, że przebył pół drogi do Waterhalle, a w dodatku służy jako podpora dwóm pijaczkom, którzy nie chcieli go puścić. Aż wreszcie jeden z nich uniósł niepewnie ramię, które musiało być zakończone czymś innym

niż dłoń, gdy bowiem opadło na głowę Claesa, poczuł jedynie pierwszy błysk bólu - tak szybko stracił przytomność.

Obudził go chrapliwy oddech i pojął, że to on sam tak dyszy; klatka piersiowa drżała i wydobywał się z niej jęk, ponieważ prawie nie było powietrza. Powracające z wolna pozostałe zmysły powiadomiły go o rozdzierającym bólu głowy i rozciętego policzka, a następnie o prawdopodobieństwie nie tylko ślepoty, ale też całkowitego paraliżu.

Podczas gdy walczył o oddech, rozum zmagał się z tym niepodobieństwem. Nie był sparaliżowany. Członki zdrewniały, ponieważ leżał skurczony i miał bardzo mało miejsca; a nic nie widział, bo było ciemno. Rozprostował zmartwiałe palce i wymacał ściany swego więzienia. Były drewniane.

Prawdopodobnie trumna. Lub coś, co mogło się nią stać. Usta miał szeroko otwarte, jak ryba. Czuł, że wargi są nabrzmięte, a nozdrza rozdęte i suche. Bolała go szyja i pierś. Fala słabości wezbrała w nim i opadła. Mógł przebić się przez drewno, jeżeli nie było zbyt grube. Jeżeli to rzeczywiście nie była trumna. Jeżeli to nie był grób, z wszystkich stron otoczony ziemią.

Spróbuj.

Kolana miał już podciągnięte pod brodę. Podciągnął je jeszcze trochę, a następnie uderzył stopami w ścianę więzienia. Napotkał całkowity, nieugięty, absolutny opór. Taki odgłos po uderzeniu mógł równie dobrze wydać metal. Nic. I kolejna fala słabości, która uświadomiła mu, że nie ma już siły, by podjąć następną taką próbę.

Czy to jest tak grube w każdym miejscu? A wieko? Przesuń się. Oddychaj powoli. Podnieś rękę, potem drugą. Zbadaj.

Nie tylko drewno, lecz i znajomy zapach. Niczego prostokątnego. Zapach nie przypominał woni rozkładu. Był równie nieuchwytny jak przynosząca go łyżeczka powietrza i kojarzył się z czymś szalenie powszechnym. Z dziewczętami. Z oberżami. Z dawnymi, dobrymi czasami. Zapach małmazji. Nie był w trumnie. Był w beczce.

Zachciało mu się śmiać, lecz co chwilę tracił świadomość. Jego mózg pomyślał: „Jeżeli...”

Zapomniał, co miał na myśli.

Potem przypomniał sobie. „Jeżeli to jest beczka...”

To było ważne, więc uchwycił się tej myśli. Zacisnął dłonie. Oddychał przeciągle i płytko oparami alkoholu. Znowu zachciało mu się śmiać i musiał to powściągnąć. Jeżeli to była beczka, powinna mieć szpunt.

Poszukaj. Zasztywniałe ręce prześliznęły się po szorstkich zaokrągleniach. Żadnego szpuntu. Przesuń się. To było trudniejsze. Wymagało ruchu, po którym nastąpił półsen, przebudzenie i kolejny ruch. Kiedy spał, głowa i pierś przestawały go boleć. Po co miał się ruszać?

Przyczyna wyleciała mu z głowy. Troska zelżała. Leżał dysząc od czasu do czasu i przyciskając rękę do piersi. Musnął coś wierzchem dłoni. Coś zrobione z niczego. Otwór.

Szpunt. Szukał dłonią szpuntu.

Z niezmierną ospałością dźwignął rękę i wsunął palce w otwór. Przez otwór. Natrafił na inne drewno, nie szpunt. Ściankę innej beczki... dwóch beczek.

Siedział wewnątrz baryłki z otworem z jednej strony.

Lecz baryłka ta stała do góry nogami wśród innych i otwór był zakryty. Nie było wyjścia. Jeśli chciał zaczerpnąć powietrza, musiał beczkę przewrócić. Ale nawet gdyby mu się to udało, inne beczki z góry mogły i tak zasłonić otwór. Wysiłek związany z przewracaniem beczki pochłonie, być może, cały zapas powietrza. Jeżeli zemdleje, grozi mu uduszenie.

No dobrze. Skoro i tak musiał zużyć to powietrze, to czemu nie krzyknąć? Lecz - jak daleko dotrze krzyk ze sterty beczek? Czy te beczki w ogóle znajdowały się w Brugii? Czy ktoś może przechodzić obok? Ktokolwiek? A gdyby tak skorzystać z tej samej siły i spróbować zmienić położenie beczki? Może hałas okaże się równie dobry.

To nie było myślenie; raczej coś w rodzaju długiego, niespokojnego snu. Osiągnął ten stan. Starannie wciągnął w płuca całe powietrze ze swego więzienia. Następnie uniósł się i runął całym ciałem na zaokrąglone ścianki, kierując się w bok, ku dołowi, i wkładając w to wszystkie siły.

Drewno uderzyło o drewno. Wewnątrz beczki odgłos zahuczał echem niczym armata Cambiera, rozsadzając jego pulsującą głowę. Zaszczekał zębami, gdy beczka zazgrzytała o beczkę i gdy rozległ się kolejny, donośny stuk. Jego beczka uderzyła o swą sąsiadkę, a później spadła na nią jeszcze inna.

Trzecie zderzenie zatrzęsło nim jak pisklęciem zamkniętym w skorupce. Barki i kolana załomotały o dębowe klepki, a rozcięty policzek odczuł impet uderzenia. Jęknął, lecz wiedział już, co się stało. Beczka przechyliła się nieco.

Odtąd nie miał pojęcia, co się dzieje, gdyż beczka zaczęła drgać i podskakiwać pod ciągłymi, nieznośnymi uderzeniami - niczym drzewo pod ciosami topora. Jego umysł, omdlały z bólu i braku powietrza, przestał mówić mu cokolwiek. Podobnie jak padające drzewo, beczka przechylała się coraz bardziej ociążale. Ciosy padały rzadziej, były wolniejsze i potężniejsze. Ostatni, tuż ponad jednym z jego ramion, był wyczuwalny poprzez błękitny materiał de Charetych. Krawędź innej beczki przebiła jego więzienie i oparła mu się na ramieniu.

Nowa błękitna kurtka. Pani każe ją zacerować. Przyda się komu innemu. Albo Feliksowi do wysłania psiej budy. Zapadał w sen. Biedna Tilda. Ocknął się nagle.

Nie dyszał już ciężko. Bolała go głowa i ramię. Prawdę mówiąc, bolało go całe ciało. Ale przestał dyszeć, ponieważ ostatecznie uderzenie rozszczepiło jego beczkę, wpuszczając strumień powietrza. I światła. Jeszcze więcej powietrza i światła wpadało na wysokości jego brzucha, gdzie widniał odsłonięty otwór po szpuncie.

Udało się. Mógł oddychać. Gdziekolwiek się znajdował, docierało do niego powietrze. Mógł krzyżeć tym powietrzem; nabrać go w płuca i pęknąć; zacząć toczyć się bezmyślnie ku wolności, gdyby musiał. Wystarczyło odetchnąć, przytknąć oko do otworu, stwierdzić, co to za miejsce i wydostać się stąd.

Głowa pulsowała bólem, lecz prawie nie był tego świadom. Miał tylko jedno pytanie do swego anioła stróża. Świętego Mikołaja. Świętego Claikine. Nie śmieć się. To tylko opary wina. Nie śmieć się, lepiej odpowiedz: dlaczego światło wpadające przez otwór jest czerwone?

Stopy do góry, ramiona w dół, głowa w dół. Oko przy otworze. Odpowiedź brzmi: światło jest czerwone, bo na zewnątrz coś się pali.

Ogień na podwórzu bednarza lub browarnika? To niebezpieczne, przyjacielu Nicholasie. Są jednak strażnicy, rogi, w które można dać, tłumy ludzi i wiadra wody... Tłumy? Wszyscy są na placu targowym i świętują zapusty.

Byłem na placu. Uderzono mnie w głowę na placu. Niepodobna, by dwóch ludzi przeniosło mnie przez tłum aż na podwórze browaru. Nie musieli tego robić. Na placu stała platforma na kółkach, pełna beczek. Wystarczyło, że w ciemności przykryli mnie beczką, jak motyla siatką. Przybili wieko i zanieśli na platformę. I tam zostawili.

Platforma w zapusty? Tak, pełna beczek ze smołą, przeznaczonych do rozpalenia wielkiego ogniska. Ogniska, które nie było - jak na obszarach śródlądowych - kupką chrustu. Nie w Brugii. Brugijczycy co roku przywiązywali starą barkę do mostu Św. Jana, napełniali ją beczkami ze smołą i podpalali.

Znajdował się na tej barce; a w ogniu, wśród ryku płomieni i zebranego tłumu, nikt nie usłyszy głosu palonego człowieka.

Masz powietrze. Masz rozum, lubisz myśleć. Skorzystaj z tego.

Otwór po szpuncie, przez który spoglądał, ukazywał mu świeżo rozpętane piekło na dziobie barki. Szczeliny nad jego ramieniem, po przeciwnej stronie, przepuszczały zaledwie przygaszone światło. Tędy zatem - i to szybko. To, co było tylko światłem w otworze beczki, stawało się obeszła-dniającym żarem, gdy beczki ze smołą zapalały się jedna po drugiej, rozbłyśkały i stawały w płomieniach.

Kopnął, tym razem z całej siły; lecz dno i klepki ani drgnęły. Być może

wieko przybito w pośpiechu? Uniósł pięść nad głowę i uderzył. Gwoździe ustąpiły. Jedna połowa odpadła. Nie było czasu na nic więcej. Wysunął wolną rękę, znalazł punkt oparcia i odepchnął się, odrywając swoją beczkę od baryłki-intruza. Kolejne przesunięcia znowu go popchnęły i omal nie złamały wystającej ręki.

Wciągnął ją do środka w chwili, gdy rozpęd przybrał na sile. Jego beczka staczała się wraz z innymi. Przez na pół otwarte wieko docierały do niego fale okrzyków. Cała Brugia zgromadziła się wzdłuż kanału, by oglądać ognie i fajerwerki...

Chryste...

Jeśli zsuwa się we właściwą stronę, może spaść z barki razem z baryłkami.

Jeśli coś jeszcze stuknie w półotwarte wieko, może go to zabić. Jeśli przez pół otwarte wieko wleje się woda, może go to zatopić. Może lepiej byłoby jednak zostać i dać się usmażyć?

Myśl ta bardzo go rozbawiła. Zdał sobie sprawę, że jest niemal pijany. W tych okolicznościach było to jeszcze śmieszniejsze. Wstrząsany śmiechem i czkawką objął się o ściany beczki, która toczyła się i podskakiwała wraz z innymi. Kiedy wpadła do kanału, widział przez chwilę rozkołyszany tłum na brzegu, z twarzami rozjaśnionymi światłem i uniesieniem. Rozległy się dobroduszne pohukiwania, kiedy zobaczyli, że niezdarni strażnicy miejsca zgubili kilka źle ustawionych beczek z płonącej łodzi. Niczym brylanty jaśniały dwie twarze spotkanych koło Św. Krzysztofa pijaków. Tym razem oni byli trzeźwi a on - odurzony.

Kanał był na poły zamrożony. Część beczek wpadła do wody, część zaś stoczyła się na krę. Jego beczka należała do tych ostatnich. Jej dno zapadło się i wylądowała na boku. Dwie klepki zatrzeszczały, lecz obręcz trzymały je mocno. Uświadomił sobie niejasno, że nadal tkwi w swoim więzieniu, które siłą rozpędu sunie dalej po lodzie. Jeśli go dostrzegą, pochwycą rzecz jasna beczkę i wrzucą z powrotem do ognia. Musi więc zacząć krzyczeć.

W chwili, gdy doszedł do tego wniosku, beczka zatrzymała się, przechyliła - i z pluskiem wpadła do lodowatej wody. Woda zaczęła wlewać się do beczki jednym otworem, a wylewać drugim, zalewając go i niemal dusząc, gdy znalazł się w rozkołysanej sadzawce. Beczka dryfowała, uderzając o brzeg. Nikt jej nie wyciągał. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Claes rozmyślał, czując zawrót głowy. Po chwili wyprostował nogi i wystawił je przez rozbite dno beczki. Woda była paraliżująco zimna. Rozpostarł łokcie wewnątrz beczki i poruszając nogami popłynął w stronę brzegu. Gdzieś w pobliżu był wodopój, zejście z brzegu do wody, przeznaczone dla koni. Tam będzie mógł wymknąć się z beczki i wtopić

w tłum. Na pół pijany, przemoczony, mając dwóch wrogów o kilka kroków od siebie. I być może jeszcze tego kogoś, kto im zapłacił.

Było mu teraz tak zimno, że ledwie mógł oddychać. Kolejna ironia losu, ale zabrakło mu tchu, by się śmiać. Beczka stuknęła o wodopój, którego szukał; wymacał nogami grunt i - ogłupiały z zimna - spróbował wydostać się z beczki. Właśnie usiłował to zrobić, na samym skraju pochyłości, kiedy światło wpadające z góry przesłoniły poruszające się postacie, ktoś pochwycił jego beczkę dość mocno oburącz i nasadził z powrotem, a po chwili wyrwano resztę wieka.

Zanim zdążył rozpoznać tego kogoś, jego głowę zakrył jakiś przedmiot, wciśnięty od góry. Znajomy głos odezwał się gniewnie:

- Czy musimy na każdym kroku spotykać tego pijaka? Ty! Czy zwiesz się Poppe, przyjacielu? - Głos Kateliny van Borselen.

Poppe. Sprzedawca pierników siedzący w beczce.

- Wy trzej, popatrzcie - dodała. - Nie może nawet utrzymać się na nogach.

Nie wiedziała, czy będzie mógł iść. Podniósł się powoli na nogi, osłonięty beczką; a jego głowa wystawała otulona czymś, co dziewczyna wcisnęła na nią. Maską karnawałową. Z mnóstwem piór. Rozległ się męski głos:

- Odprowadziłem Poppego do domu wiele godzin temu. Myślałem, że jest w domu.

- Wydostał się. Nie widzicie?

Chryste. Głos dziecka. Siostra. Muszą tu być obie panny van Borselen.

Gelis. Oczywiście. Gelis na pewno widziała wszystko z wieży. Rozpoznała dwóch niby-pijków. Ostrzegła siostrę, by go nie wydała. Ale jak zamierzały wyjaśnić, skąd się wziął przemoczony Poppe w ociekającej wodą beczce? Nie musiały wcale tego wyjaśniać. Wystarczy, że otoczy go pomocny tłum, który myśli, że to Poppe. W ten sposób nikt go nie skrzywdzi. Dopóki nie znajdą się przed domem Poppego.

Beczka była niezmiernie ciężka. Może ta, w której odbywano kary, miała uchwyty wewnątrz? Albo specjalne wieko; albo oparcia na ramiona? Tę musiał na poły dźwigać, podczas gdy ludzie obijali się o niego z obydwu stron i z tyłu. Wydawało się, że odprowadza go tłumek chętnych. Popularny człowiek, ten Poppe. Zastanawiał się, gdzie on mieszka. Zauważył, że potyka się co chwila i gdyby nie ciżba, słaniałby się przez całą drogę. Od czasu do czasu dostrzegał przez szczeliny w masce nieładną twarz dziecka, pobladałą z niepokoju. Niekiedy także twarz starszej panny, ze zmarszczką pomiędzy czarnymi brwiami, lecz bez śladu niepokoju. Raczej z wyrazem najwyższego skupienia.

Ludzie zaczęli zwalniać. Przystanęli. Dom Poppego. A Poppe niewątp-

liwie śpi tam we własnym łóżku, z nim zaś żona i cała rodzina. Dlaczego panna nie okazuje niepokoju? Dostrzegł, że podeszła bliżej. Mała Gelis zbliżyła się z drugiej strony. Ktoś powiedział: „Podnieście!”.

Beczka uniosła się w górę, a panna rzuciła natychmiast:

- *Wychodź i uciekaj!*

Musiał wyznać, że w tym przypadku raczej zakolebał się niepewnie i runął jak długi na twarz. Uwolnił się od beczki dopiero, gdy ktoś - panna Katelina - złapała go za ramię, odciągając w bok. Beczka pozostała z tyłu, pozornie zamieszкана.

- To Gelis - powiedziała panna. - Zaraz ją postawi i zniknie. Nic jej nie będzie. Gelis zawsze daje sobie radę. Kazałam jej iść do Veere'ów.

Jego zęby dzwoniły. Drgania sprawiły, że pękała mu głowa. W zlodowaciałej twarzy wczorajsza rana była jak zadana toporem. Jego mózg także był skutym lodem.

- Dojdziemy boczną drogą do Srebrnej Ulicy. Dom jest pusty - powiedziała.

Pamiętał, że zaskoczyło go, iż van Borselenowie nie ryglują furtki. Pamiętał, że wprowadzono go do kuchni oświetlonej żarem wielkiego paleniska; że zatrzymał się jak wryty w progu; pojął, dlaczego przystanął; i równym krokiem wszedł do środka. Równy krok nie jest odpowiednim określeniem. Nie mógł powstrzymać drżenia. Pamiętał bardzo wyraźnie pannę mówiącą: „Rozbierz się!”.

- Nie - odparł.

Musiał przyznać, że nie traciła czasu. Wydobyła drewnianą kadź, nalała do niej kilka dzbanów wody, po czym owiniętymi w szmatki dłońmi zdjęła znad ognia wielki kocioł, a następnie napełniła kadź parującą wodą.

- Idę przebrać się w suchy strój. Rozbierz się i wchodź - powiedziała.

Zacna, błękitna materia rozdarła się, gdy próbował ją zdjąć. Zrzucił po prostu ubranie nie rozdziewając się. Nawet przy tej czynności musiał oprzeć się o kuchenną ścianę. Przytrzymał się brzegu cebrzyka, lecz mimo to ześliznął się do wody z gwałtownym pluskiem. Objął ramionami kolana, złożył głowę na rękach, a jego zmysły odpływały, powracały i wreszcie opuściły go na dobre. Ogień, który panna podsyciła przed wyjściem z kuchni, zapłonął mocno, utrzymując ciepło kadzi i jej zawartości.

Zapadł w sen.

ROZDZIAŁ 20

IM o dłuższym czasie Claes, urodzony jako Nicholas, obudził się i leniwie poruszył głową wspartą o ramię.

Kuchnia. Dobrze utrzymana i wyposażona kuchnia w zasobnym domu, wypełniona zapachem pieczonych kurcząt.

Obrócił głowę w drugą stronę.

Drewniany cebrażnik. Wyszorowany do białości stół, na którym leżała wiązka łożowych świec; pod nim zaś stały dwa zapasowe łóżka. Na ścianie - patelnie, garnki z żelaza i miedzi oraz żelazne i drewniane przybory o długich rączkach. Uchylona, rzeźbiona szafa, w której stały misy z drewna, gliny, cyny i mosiądzu oraz kilka cynowych talerzy. Na podłodze stał miedziany dzban z wodą, wiadro i skrzynia z lodem do przechowywania mięsa. Beczka cukru. Beczka soli. Ława - a na niej młoda kobieta o brązowych włosach, w luźnej szacie.

A on był nagi i siedział, obejmując kolana, w kadzi pełnej wody.

Umysł nie od razu odpowiedział mu, co się stało. Dziewczyna okazywała wyniosłość i całkowity spokój z domieszką rozbawienia. Nie mając pojęcia, jakiej reakcji oczekuje z jego strony, odwzajemnił równie spokojnie jej spojrzenie. Z wysiłku zakreśliło mu się w głowie. Głowa już go bolała. Bolało go całe ciało. Odwrócił wzrok od dziewczyny i jego spojrzenie zabłądziło ku palenisku. Suszyło się tam, rozpostarte, jego ubranie.

Przypomniał sobie wszystko. To była Katelina van Borselen, przebrana w suchą szatę. Przebrana w koszulę z cienkiego płótna i luźną pelerynkę zarzuconą na ramiona, z rozpuszczonymi włosami.

No dobrze. Zacznijmy od początku. Dla spokoju sumienia upewnił się, że jego obecna pozycja jest jeszcze względnie przyzwoita. Przypomniał sobie jej słowa, gdy weszli: że dom jest pusty. Powrócił do niej spojrzeniem i przekonał się, że nadal patrzy na niego. Nie obserwowała go. Patrzyła tak, jak Colard patrzył na malunek przyniesiony przez cudzoziemca.

- Wydaje się, że spałem - powiedział.
- Przez godzinę - odparła. - Dom jest nadal pusty.
- Dziękuję za wysuszenie ubrania.

- Za godzinę lub dwie będzie gotowe do włożenia - oznajmiła. - Wyjdź z kąpieli. Mam trochę gorącego bulionu.

Często bywał w podobnym położeniu, w łaźniach i poza nimi, i kończyło się to igraszkami. Tamte dziewczęta nie były jednak Katelina van Borselen, a jemu nie groziła utrata życia. A zatem nie było to takie, jak się wydawało. Postanowił być całkowicie szczery.

- Wprawiacie mnie w zakłopotanie - powiedział.

Spojrzała na niego wzgardliwie.

- Czy myślisz, że nigdy nie widziałam mężczyzny? Moi rodzice śpią w odstępionym łożu; i moja służba, i krewni.

Nie było w pobliżu żadnego ręcznika. Pewnym ruchem położył dłoń na brzegu kadzi, wstał i wyszedł z wody. Mogła sobie do woli oglądać jego plecy, gdy niespiesznie szedł w stronę paleniska. Sięgnął po wilgotną jeszcze koszulę, owinał ją wokół bioder i starannie zawiązał rogi. Jego palce nosiły ślady długotrwałego moczenia i czuł się, jakby ktoś poodpinał mu mięśnie. Położył dla uspokojenia rękę na gzymsie i odwrócił się z uśmiechem.

- Tak - odezwał się. - Słyszałem coś o bulionie.

Nie ruszyła się z ławy.

- Sam sobie weź, jeśli masz ochotę - odparła zimno. - Grzeje się nad ogniem.

Zostawiał za sobą mokre ślady. Zauważyła je, lecz w obecnym nastroju nie dbała o to. W izbie i tak było bardzo ciepło. Claes znalazł kociołek na łańcuchu, zamieszał w nim i podszedł do szafy ściennej po dwie miski, oszczędzając powracające siły. Potrzebował tego bulionu i miał nadzieję, że zdąży się posilić, zanim wrogość przekształci się z jakichś przyczyn w otwartą wojnę. Napełnił pierwszą miskę i zręcznie postawił wraz z łyżką na stole przed dziewczyną.

- Zechcecie także coś zjeść, pani? - zagadnął.

Sprawił jej tym pewien kłopot. Odparła krótko:

- Obydwoje zjemy przy stole.

Po drugiej stronie stołu także stała ława. Zaniósł tam swoją miskę i usiadł.

- Boże chroń gospodynię - rzekł.

Nie wydawała się złaźniona bulionu. Claes uniósł miskę i natychmiast wypił jej zawartość, gęstą, ciepłą i pożywną, spłukując smak małmazji i wody z kanału. Odstawił miskę i powiedział:

- Dwukrotnie uratowaliście mi życie. Najpierw nad kanałem, a teraz tą zupą. Nie podziękowałem wam jeszcze.

Nie miał wątpliwości, że chciała zadawać mu pytania. Sam chciał zadać kilka. Na przykład: kto prócz niej i Gelis widział, co się stało? I skąd się tam wzięła bez towarzystwa? I dlaczego, uratowawszy go, nie podniosła krzyku,

nie wezwwała rodziców i straży miejskiej? I dlaczego znajdował się tutaj? Gdyby w grę wchodził ktokolwiek inny, wszystko byłoby jasne. Do tej zagadki, jak do medycejskich szyfrów, należało podejść okrężną drogą. Mógł jedynie wypowiedzieć uwagę i mieć nadzieję na nawiązanie rozmowy.

Nic się nie nawiązało. Panna Katelina w milczeniu zanurzała i wyjmowała łyżkę. Czekał grzecznie.

Była przystojną i ładnie zbudowaną dziewczyną; przypominała figurkę z toczzonego drewna. Jej piersi pod koszulką były drobne i krągłe jak hiszpańskie pomarańcze. Jego spojrzenie przemknęło po niej, zanim skierowało się w inne miejsce. Płótno było tak cienkie, że można było pod nim dostrzec, jak skóra z białej staje się różowa. Wzrok Claesa spoczął wreszcie w jego własnej misce, co dało mu czas do przywrócenia wewnętrznej dyscypliny.

Wiedział, jaką cieszy się opinią - zresztą zasłużoną. Lubił dziewczęta. Lubił je oczywiście za to, że dostarczały mu największej i najmniej kosztownej spośród życiowych przyjemności; ale lubił także ich towarzystwo, cenił ich zdanie. Zachęcał je do rozmowy. Ta dziewczyna była dziewicą. Był tego pewien. Niewielkie miał z nimi doświadczenie. Takie dziewczęta, jeżeli nawet tego chciały, były zazwyczaj zbyt młode, by odpowiadać za siebie; nie wykorzystywało się ich. Starszym kobietom wyświadczał niekiedy przysługę.

Ta dziewczyna nie wydawała się skora do rozmowy. Zaczynała już żałować tego, co uczyniła. Łatwo będzie sprawić, że sytuacja stanie się nieznośna i panna pokaże mu drzwi. Odrobina grubiaństwa załatwi sprawę. Co ona zrobi? Trzeba jej dopomóc.

- Nie wiecie, moja pani, czy Meester Szymon jest w Brugii? - zapytał. Jej dłoń z łyżką zamarła.

- On nie jest za to odpowiedzialny - odparła. Zarumieniła się i dodała szorstko: - Nie ma go w Brugii.

Nie była dziewczką służebną i domyśliła się, o co mu chodziło. Teraz każe mu wyjść. Odsunął miskę i zaczął się podnosić. Wtedy przemówiła z nieoczekiwaną gwałtownością:

- Chcieli cię żywcem spalić.

Opadł ponownie na ławę.

- Nie powiodło się im dzięki wam, pani - odparł ostrożnie. - Chyba wiem, kim są. To się już nie powtórzy. Nie tracie się. Powiedzcie siostrze, że wszystko będzie dobrze. - Wpatrywał się w nią. Nie mogła być na ulicy sama. Musiał się dowiedzieć, czy ktoś jeszcze wie. - Czy siostra przyszła po was? - zapytał.

Pytanie to poruszyło ją. Bezwiednie odsunęła miskę, wstała i za jego

plecami podeszła do ognia. Grzała się tam, nie zauważony przez niego, pasiasty ręcznik. Pochyliła się i wzięła go, podczas gdy Claes przyglądał się jej z ławy. Blask ognia przeświecał przez fałdy jej koszuli i Claes zauważył, że zostawiła pelerynę na ławie. Odwróciła się z rozłożonym ręcznikiem w rękę. Nie odpowiedziała. Sama zadała pytanie:

- To on rozciął twój policzek?

Claes nie poruszył się nawet.

- Szymon? Nie.

- Nie Szymon. Ojciec Szymona, Jordan de Riberac.

Ogłuszyło go to, jakby znowu znalazł się w beczcze. Wczoraj jeszcze nie wiedziała, skąd wzięła się jego szrama. Dzisiaj potrafiła to połączyć z osobą Jordana de Riberac. I dać do zrozumienia - bo z pewnością to miała na myśli - że obydwoje wiedzą, iż Jordan de Riberac ponosi odpowiedzialność za dzisiejsze wypadki. A jednak nie wzywała pomocy.

Trzymała ręcznik przed sobą, jak gdyby dla dodania otuchy.

- Spotkaliście go dziś wieczorem? - zapytał - Pana de Riberac?

- Zaproponował mi małżeństwo - odparła.

Małżeństwo! Spojrzał na nią zupełnie zbity z tropu. Poblask ognia migotał i lśnił na jego skórze niczym miniaturowa zorza polarna.

Powiedziała to z goryczą. Jak gdyby Jordan de Riberac proponował jej prócz małżeństwa coś jeszcze. Jeżeli tak, to raczej nie na ulicy. A zatem to było tutaj, w pustym domu. Ale jakim sposobem Jordan de Riberac dostał się do domu z niestrzeżoną dziewczyną? Istniała tylko jedna możliwość. Claes rozluźnił ręce.

- Był w masce? - zapytał łagodnie. - I powiedział, że zamierza mi zaszkodzić?

- Coś w tym rodzaju - odparła ze znużeniem. - Powiedział, że zakończył spór Szymona z tobą. Tak było, oczywiście. Myślał, że ci dwaj cię zabiją. Gelis i ja możemy to poświadczyć. Powiem matce i ojcu. Zostanie ukarany. - Zwijająca ręcznik w dłoniach. Chciała, by ukarano Riberaca.

- Być może zapłacił komuś za usunięcie mnie - stwierdził Claes - lecz jaki istnieje dowód? Czy ktoś jeszcze słyszał jego groźby?

Przy ogniu stał zydel; usiadła na nim. Jej brązowe włosy połyskiwały czerwono w blasku płomieni i falowały od zaplatania w warkocz.

- Był tutaj - powiedziała. - Rozmawiał tylko ze mną. Towarzyszył mi przez całą wieczór. Myślałam... że to ktoś inny.

Tyle zdołał już odgadnąć.

- A ci dwaj, którzy mnie napadli? - zapytał. - Potrzebni byłiby świadkowie lub ktoś, kto ich zna czy też może skojarzyć ich z Monseigneurem. Inaczej oskarżenie połączy jedynie wasze imię i jego w sposób,

który się wam nie spodoba. On jest zdolny do brzydkiego przekręcania tego, co zaszło.

- Nie wiem - powiedziała. - Nie wiem, kim byli ci ludzie. Czy nie ma przeciw nim żadnych dowodów?

- Żadnych, które by się na coś przydały - odparł Claes. - Posłuchajcie: nie ma potrzeby, abyście czynili coś jeszcze w tej sprawie. To przecież moja bitwa, choć raduje mnie, że przez chwilę była także wasza. Inaczej już bym nie żył. Teraz zapomnijcie o tym, co się ze mną działo. Powiedzcie tylko rodzicom, że wicehrabia was oszukał i złożył niegodną propozycję. Nie będzie was już niepokoił.

Przyglądając się dziewczynie dostrzegł w jej twarzy ulgę i rozczarowanie zarazem. Powiedział to, czego po nim oczekiwała. Było w niej także pewne zdecydowanie.

- Teraz nie ma znaczenia, czy wicehrabia lub ktokolwiek próbuje mnie zdobyć. Wkrótce zostanę wydana za męża. Na wypadek, gdybym nie powiedziała wszystkiego. W istocie szkoda, że nic się nie stało. W tej chwili to już wszystko jedno.

A zatem dowiedział się, po co tu jest. Miała dziewiętnaście lat, była inteligentna i samodzielna; lecz w tej kwestii rozumowała jak Gelis. Przemówił więc do niej jak do Gelis, łagodnym tonem:

- Czy dostanę ręcznik?

Zapomniała o nim na chwilę. Później, przypomniawszy sobie, podeszła i z wahaniem otoczyła ręcznikiem barki Claesa, tak jak to prawdopodobnie zaplanowała wcześniej. Jej dłonie ociągały się i drżały lekko. Uniósł rękę, dotknął dłoni dziewczyny - i nie puszczając jej palców, posadził na ławie obok siebie. Odblask płomieni wymownie przeświecał przez płótno jej szaty. Zatem, Claesie, będziesz potrzebował dyscypliny za dwoje. Zobaczmy, jak sobie z tym poradzisz.

- O pani, świat jest pełen oblubieńców - powiedział. - Nie bądźcie dla nich okrutni tylko dlatego, że niektórzy spośród zalotników wzbudzili waszą niechęć.

- Nie bierzesz żony - stwierdziła.

Nie chciał prowadzić jej dalej tym tropem. Wybrał inny, przemawiając do niej prosto i przekonująco:

- Kiedyś się ożenię. Oczywiście, nikt nie powinien oczekiwać zbyt wiele. Kimkolwiek jednak jest moja przyszła żona, mogłaby w przyszłości żałować, gdyby uległa zachciance.

- Ja oczekuję zbyt wiele - powiedziała. - To, czego pragnę, nie istnieje. A zatem...

A zatem oficjalna rozmowa na nic się nie zda i to, o czym mówią, musi

być powiedziane wyraźnie. Żałował, że tak ma być. Dlatego, że w końcu będzie nim pogardzała. Puścił jej dłoń i sam teraz stanął skąpany w blasku ognia.

- Uważacie więc, że mogę pełnić funkcję zastępcy? Dziękuję, lecz nie czuję się pochlebiony - odparł jej. - I jesteście w błędzie. Wielu mężczyzn może was uszczęśliwić.

Ona także odrzuciła wszelkie udawanie.

- Pokaż mi, jak - rzekła Katelina van Borselen. - To moja zachcianka. Za nic nie odpowiadasz.

Stał i spoglądał na nią z góry.

- Oczywiście, że odpowiadam. Należymy do różnych stanów. Mogą być konsekwencje.

- Nie będzie żadnych konsekwencji - powiedziała. - Inaczej nie przyprowadziłabym cię tutaj. Czy jest coś jeszcze, czego się boisz? A może przywykłeś do lepszych niż ja? W takim razie, czy możesz polecić mnie któremuś z przyjaciół?

Mówiła, podobnie jak wtedy w Damme, niezwykle szorstko. Na jej rzęsach lśniły łzy.

- O, mój Boże - wyrwało mu się; i ukląkł, ponownie ujmując jej obydwie dłonie. - Posłuchajcie - rzekł. - To, co stracicie, stracicie na zawsze.

- Będziesz się tym przechwalał? - spytała. Po chwili zaś: - Nie... wybacz. Jestem pewna, że znam cię lepiej.

- Wcale mnie nie znacie - odpowiedział z rozpaczą. Pachniała czymś pięknym i nieuchwytnym. Usiłował uspokoić ręce i zmusić umysł do pracy. Nieoczekiwanie wyrwała mu jedną dłoń i położyła na jego nagim ramieniu, a następnie zsunęła ją w dół, muskając obolałe mięśnie pleców; coraz niżej.

Czy możesz polecić mnie któremuś z przyjaciół?

- Pokażę wam, pani, jak to jest - powiedział. - Tak stopniowo, jak tylko potrafię, byście mogli mnie powstrzymać, zanim posunę się zbyt daleko. Później będę próbował przestać, jeśli mi każecie. Gdybym tego nie uczynił, musicie użyć siły. Nie wiem, ile wiecie o mężczyznach.

Opierała policzek o jego twarz i poczuł jej przelotny uśmiech. Czuł też mocne bicie jej serca. Kiedy przemówiła, wydawało się, że boli ją gardło.

- Gelis powiada, że zdaniem wszystkich dziewcząt, które zdołała wypytać, jesteś najbardziej namiętnym kochankiem w Brugii. I zawsze im mówisz, że możesz przestać, ale nie zdarza się, żeby któraś tego chciała.

Była dzieckiem. A ponieważ dwaj mężczyźni potraktowali ją okrutnie, a matce brakło serca, będzie musiał ją uwieść.

Albo na odwrót.

Albo: ani tak, ani tak. Zaniesie ją do sypialni na górze i złoży na łóżku, jak

to będą czynili przyszli kochankowie. Później - na tyle uważnie, na ile pozwoli mu kipiąca energia - rozbierze ją, zacznie pieścić i przeprowadzi, najśłodziej jak potrafi, przez zawile początki gry miłosnej. Następnie zaś - jeżeli ona go nie powstrzyma - zamierzał zjawić się z całą mocą tam, gdzie był potrzebny, tak by zapamiętała na całe życie nową rozkosz, nie nowy ból.

Jak w przypadku większości jego bardziej udanych planów, wszystko potoczyło się tak jak chciał; tyle że zmorzył go sen, a tego nie miał w planie. Zważywszy jednak okoliczności, było to usprawiedliwione.

Obudził się w łożu, ze śpiącą dziewczyną w ramionach; jej długie włosy oplatały jego ciało. Nawet w śnie jej twarz wyglądała inaczej: zabarwiona ciepłym rumieńcem, pełna spokoju i zadowolenia. Wokół ust wciąż błąkał się uśmiech i Claes uśmiechnął się w odpowiedzi, niewątpliwie z tego samego powodu. Po chwili, powróciwszy do rzeczywistości, spojrzął w okno. Dzięki Bogu, nadal ciemno. Domownicy zapewne nie wrócą przed świtem, a rodzice jeszcze później. Powinien był jednak opuścić ten dom już dawno temu.

Zazwyczaj wiedział dokładnie, jak długo ma trwać gra miłosna. Kiedy należy doprowadzić ją do punktu szczytowego. Ile czasu poświęcić na późniejsze uprzejmości. Ten wypadek nie należał jednak do zwyczajnych. Trzeba było przede wszystkim posprzątać kuchnię i zabrać swoje rzeczy.

Ostrożnie wyswobodził się z uścisku dziewczyny i cicho wyszedł do kuchni. Klepsydra powiedziała mu, że do świtu pozostały mniej więcej cztery godziny. Nie tracił czasu na ubieranie, lecz szybko zabrał się za porządkowanie. W końcu kuchnia wyglądała tak jak wtedy, gdy Katelina wpuściła go tu z ogrodu. Nikt nie zauważył zniknięcia rosołu. Ani ręcznika, który z ważnych przyczyn znalazł się na górze. Claes rozejrzał się i z wahaniem podniósł swoje rzeczy. Mógł ubrać się tutaj i wyjść - co by uczynił, gdyby nie usnął. Teraz jednak musiał odejść inaczej.

Nie był pewien, jak ma postąpić. Wydawało mu się, że jest szczęśliwa. Była szczęśliwa; przynajmniej co do tego mógł mieć pewność. W chwili uniesienia przywarła do niego, jak gdyby zatrzasnęły się za nią bramy niebios. Później mówiła niewiele; leżała i gładziła go jak nowo nabyty przedmiot. A on zasnął.

Był z tego zadowolony. Wiedział, jak zachowują się w łóżku szlachetnie urodzone kobiety. Niektóre nie czyniły tajemnicy ze swych pragnień i były przyjazne i szczerze zarówno w ramionach mężczyzny, jak i poza nimi. Inne chciały kochanka-sługi, który karciłby je w łóżku, a poza nim wiłby się u ich stóp. Ta dziewczyna nie należała do żadnej z owych kategorii. Zastanawiał

się, czym było dla niej to, co uczynił. Być może nigdy nie wyjdzie za mąż, lecz będzie brała kolejnych kochanków. Aż do chwili, gdy przestanie zważać na kalendarz i uprzejmości; a wówczas nadejdą kłopoty i zguba.

Być może wszystko skończy się dobrze. Być może, jak ciekawskie dziecko, zaspokoiła swój głód wiedzy i zaczeka teraz na odpowiedniego męża. Nawet z utęsknieniem. Uśmiechnął się lekko, myśląc o mężczyznach - młodszych i starszych - których podsunie jej rodzina. Może powinien był sprawić się nieco gorzej. Była jednak uroczą dziewczyną, pięknie zbudowaną i śmiałą. Jaka była prócz tego - nie wiedział, podobnie jak ona wbrew wszelkim swym twierdzeniom nie znała jego. Podczas całej znajomości zamienili zaledwie kilka zdań. Ani ona ani nikt inny nie wymagał od niego zdolności myślenia. Z tym pogodził się w pełni.

Postanowił wrócić i uchylić drzwi sypialni. Jeśli chciała, żeby oszedł, wystarczyło udawać sen. Jeżeli nadal śpi, nie będzie jej budził. Tak czy inaczej wiedziała, że może liczyć na to, iż przy następnym spotkaniu on powita ją tak, jak sługa winien powitać panią.

Smuga światła pod drzwiami świadczyła, że dziewczyna wstała i zapaliła świecę. I być może ubrała się także. Trzymał swoje rzeczy przewieszane przez jedno ramię; to musiało wystarczyć jako wypełnienie nakazów przyzwoitości. Chciał zakończyć tę sprawę, tak czy inaczej. Otworzył drzwi.

Wstała, zapaliła nową świecę, podniosła prześcieradło z podłogi, lecz nie ubrała się. Uniosła głowę, siedząc na łóżku. Patrzył na linię jej łydki, kolana i uda; na wszystkie miejsca, w których spoczywały jego dłonie i usta. A później na białą skórę ramion, kruche żebra i drobne piersi, krągłe jak pomarańcze. I rozchylone wargi. Uśmiechała się. Wstała i zauważył, że oddycha dość niespokojnie. Podeszła do niego, wpatrzona w jego rękę i chroniące go, zwinięte ubranie.

- Trzeba je porządnie poukładać - powiedziała. - W każdym razie, przeszkadzają nam.

Wytrąciła rzeczy z jego rąk na podłogę i sama zajęła ich miejsce.

Tym razem nie było żadnych zalotów. Następnym razem było ich wiele. Trzeci raz, kiedy niebo za oknem zaczęło się rozjaśniać, przemienił się w rozpaczliwą, zaciętą walkę, którą Claes na próżno starał się powściągnąć i opanować.

W pewnej chwili na dole trzasnęły drzwi. Walczyła z nim, zmuszając, by nie przerywał. Po ostatnim spazmie znieruchomieli na długą chwilę. Leżeli, a bicie ich serc wstrząsało łóżem. Gdyby wówczas otworzyły się drzwi, nie drgnęliby nawet.

Drzwi pozostały zamknięte. Szuranie jednej pary nóg gdzieś w dole oznaczało kogoś ze służby, skupionego na noszeniu wody i rozpalaniu ognia dla powracającej pani. Katelina, z paznokciem wbitym w skórę, przemówiła:

- Nie odchodź. Jest stąd przejście do ogrodu. Matka nie wróci przez wiele godzin.

Leżał nieruchomo, zakrywając twarz. Tyle mógł zrobić, by zapanować nad sobą. Uniósł głowę znad ramion i rzekł:

- Pani...

- *Pani!* - powtórzyła Katelina van Borselen.

Przewrócił się na bok i spojrzał na nią. Była teraz blada, niepodobna do zarumienionej, po raz pierwszy uwiedzionej panny. Jej skóra była wilgotna, włosy splecione, pod oczyma miała niebieskawe, głębokie cienie.

- A jak miałbym mówić? - zapytał. - Odebrałem wam coś drogiego. Dałem być może to, czego pragnęliście. Jeśli źle się stało, to trudno. Lecz gdyby takich nocy miałyby być więcej... byłyby to zachłanność z obu stron.

Nie myślała dotychczas o swej dumie. Zobaczył, że przyszło jej to do głowy dopiero teraz.

- Gdybyś był... adwokatem - zaczęła - czy... poślubiłbyś mnie?

Zabrzmiało to rozbrajająco i okrutnie zarazem. Z czułością ujął jej dłoń i odparł:

- Nawet gdybym był adwokatem, stałabyś dla mnie zbyt wysoko, pani. Zamknęła i ponownie otworzyła oczy.

- Słyszałam, że jesteś bystry - powiedziała. - Myślę, że jesteś nawet inteligentniejszy niż im się wydaje. Na pewno mogłeś zostać urzędnikiem! Dlaczego wybrałeś rzemiosło?

- Bo to lubię - odrzekł Claes. - Nauczyłem się czytać i pisać. Ale moja matka umarła. Mam wszystko, czego potrzebuję.

- Sądzę, że kłamałeś - powiedziała - kiedy twierdziłeś, że kiedyś zechcesz się ożenić.

- Tak - odparł - skłamałem. Nie znaczy to jednak, że mogę raz jeszcze wejść między ciebie, pani, a twego przyszłego małżonka.

- Nie chcesz? - spytała dziecinnie.

Usiadł.

- Czy zażądałabyś tego ode mnie? - spytał otwarcie. - Od sługi?

I ona także usiadła z wysiłkiem.

- Nie jesteś sługą - powiedziała. - W moich oczach pozostaniesz Nicholasem.

- Ponieważ uczyniłem to, co uczyniłem - odparł - wzdrgasz się myśleć o mnie jako o Claesie.' Ale jestem sługą. W dodatku marnym. Znadto cię rozbudziłem, Katelino. To jednak, co ogarnęło mnie, ogarnie pewnego dnia kogoś innego. Nie potrzeba ci doskonałego męża. Wiesz, że nosisz rozkosz we własnym ciele.

Nie odpowiedziała. Patrzyła, jak Claes się ubiera; przypuszczał, że po raz pierwszy widzi męczyznę okrywającego ciało. Zapewne zastanawia się, czy po raz ostatni. Nie miał nic więcej do dodania ani do zrobienia. Kiedy był gotów, stanął obok łoża, pochylając głowę. Wtedy Katelina przemówiła:

- Jordan de Riberac zabiłby cię chyba, gdyby się dowiedział.

Przyszło mu to już na myśl. Odpowiedział:

- Nie będzie wiedział. Nie ma się czym trapić.

Jej twarz była bardzo blada.

- Dlaczego tak napiętnował twoją twarz? - spytała.

- Chciał, żeby śledził Szymona. Odmówiłem.

- Dlaczego?

- Dlaczego odmówiłem? Ponieważ, gdyby Szymon zginął, nie chcę być o to oskarżony. Urocza rodzinka. Nienawidzą się wzajemnie.

- Claesie? - odezwała się nieswoim głosem, lecz gdy spojrzał na nią, powiedziała tylko: „Uważaj na siebie.

- Oczywiście - odparł. - Muszę iść.

Siedziała bardzo spokojnie, owinięta prześcieradłem jak habitem. Nie próbował jej obejmować. Pochylił się tylko, ujął jej palce i ucałował je jak człowiek dobrze wychowany.

Zadrżała, a on pospiesznie wyszedł.

Nie zauważył, że raz jeden nazwał ją Katelina. Nie pojmował w najmniejszym stopniu, co uczynił.

ROZDZIAŁ 21

Ocieężały i szary pierwszy dzień Wielkiego Postu wstał nad Brugią, a z kominów zaczęły unosić się niechętnie pierwsze smugi dymu. W jasnym, uporządkowanym domostwie Adornów dzieci zostały obudzone, uczesane i ubrane, po czym wysłane na mszę do Jerusalemkirk wraz z rodzicami, służbą domową i gośćmi. Następnie goście zjedli śniadanie i odeszli; w tym także wdowa de Charetty z dwiema córkami, które wykonały zręczny dyg i zostały ucałowane przez panią Margriet.

Niezwykłe ciche dzisiaj dziewczynki odprowadził do domu sługa, podczas gdy matka udała się do ratusza, gdzie miasto miało w zwyczaju czcić ów dzień ucztą, na której podawano ryby słodkowodne i dobre wino. Nie wiedziała, gdzie byli jej mężczy domownicy i jak spędzili noc; ani nie dbała o to.

Tilda przepłakała tę noc. Nikt nie winił ojca Bertouche za doprowadzenie do domu czterech dziewczynek (dzisiaj leżał w łóżku). Szkoda, że mała van Borselen narzuciła się tak obcesowo, lecz Claes niewątpliwie został w końcu oswobodzony od jej towarzystwa. Ktoś ze służby - lub może siostra Katelina? - musiał odszukać małą Gelis i odprowadzić do domu. Nie była to sprawa Marian de Charetty.

Podejrzewała, że Feliks spędził całą noc ze swą nową dziewczyną. Podejrzewała także, że będzie musiała jak najszybciej z nim porozmawiać, inaczej połowa dziewczek służebnych w Brugii będzie twierdziła, że to on jest ojcem ich dzieci. W braku ojca najlepszy wpływ w tych okolicznościach będzie miała żona.

Potrzebowała pomocy przy Feliksie. Ale żony mają ojców. Na razie potykała się o lichwiarza Oudenina na każdym kroku. Wróciła do domu po obiedzie, w porze dorocznego sprawozdania miar i wag; i przekonała się, że Claes ją wyprzedził. Krzątał się już po podwórzu, rozebrany do koszuli i bardzo starego kubraka. Zostawiła go tam i weszła do kuchni, gdzie zastała Feliksa przymilającego się do jednej z kobiet służebnych. Wygrał na loterii wór dzwonek i chciał, by je ponaszywała na ubrania Claesa.

Kobieta właśnie prasowała w kuchni rzeczy Claesa i cerowała wielkie rozdarcie. Powiedziała, że ktoś go wepchnął do kanału i najwyraźniej w to

wierzyła. Feliks, mający oczy szkliste z niewyspania, najwyraźniej w to nie wierzył. Jego matka również nie uwierzyła. Claes miał taką samą minę jak Feliks, a czerwona blizna przecinała ziemisty policzek.

Środa popielcowa. Zawsze nienawidziła tego dnia.

Później nastąpiła krótka scena, podczas której Claes przyszedł po swoje rzeczy i zobaczył, że cały jego kubrak i kurtka są obszyte dzwonekami. Zmuszony przez Feliksa i jego przyjaciół do ubrania się w nie, wyszedł od razu na ulicę i po pewnym czasie wrócił ze stadem kóz, które dźwiękiem dzwonek wprowadził do domu, a następnie do sypialni Feliksa, gdzie stały beczki i wypróżniając się niespokojnie. Feliks był zły, lecz przyjaciele, rycząc ze śmiechu, zmusili go do uznania żartu. Człowiek, opłacony niewątpliwie z funduszy przeznaczonych na naukę Feliksa, posprzątał potem pokój, kto inny zaś odpruł dzwoneki - i Claes w swym dawnym odzieniu wziął klucze od jednej z piwnic i zaprzęgnął konia do wozu. Po chwili wdowa zobaczyła wóz wytaczający się z podwórza: powoził Claes, a obok siedział jeden z parobków.

Feliks wyszedł nie spotkawszy się z nią i nie zapytawszy o pozwolenie. Henninc, zagadnięty ostro w sprawie wozu, stwierdził, że nic dobrego nie wyszło z przerabiania czeladnika na żołnierza. Pół roku temu był to poczciwy chłopak, który nigdy by nie pomyślał, że może bez pytania wyjechać wozem swej pani, kiedy powinien pracować.

- Po co był mu potrzebny? - zapytała.

- Ano, pojechał po swoją wygraną na loterii - odparł Henninc. - Dostał tylko żelazną rękawicę, ale to zaledwie fant. Może weźmie teraz tarczę albo hełm.

- Albo drugą rękawicę - stwierdziła Marian de Charetty. - W tym wypadku wyjdzie chyba na głupca ze swoim wozem? Dobrze. Mamy inne troski. Pokażcie mi, które miary i wagi się zmieniły.

Wóz nie wracał dość długo. Katarzynę zabrali na spacer przyjaciele, a kiedy wróciła, opowiadała, że na placu stoją stragany z suszonymi owocami i że spotkała tam pannę van Borselen w jeszcze gorszym humorze niż zazwyczaj. Tę grubą Gelis. Gelis nie miała prawie nic do powiedzenia o Claesie jako towarzyszu karnawałowego wieczoru; jedynie to, że wynudziła się jak jeszcze nigdy w życiu i sama wróciła do domu. Nie mówiła z kim poszedł Claes, ale wiecie? Gelis miała nową szkandelę do grzania rąk. Zgadnijcie co?

Oczywiście, posrebrzane jabłko. Marian de Charetty zastanawiała się ze znużeniem, czy Claes podarował je przed naszyciem dzwonek czy potem? A może przez całą noc nosił je z sobą? Nigdy nie wiadomo, kogo w noc zapustną trzeba będzie przekupić - lub wynagrodzić.

O zmierzchu, kiedy wszyscy byli już w domu, wóz wjechał na dziedziniec i usłyszała szcęk otwieranych drzwi do piwnicy. Rozległo się tupanie, które trwało przez dłuższy czas. Później parobek z wesołą miną zastukał do jej drzwi i oznajmił, że nadeszły właśnie nowe, dobre towary i czy pani nie zechciałaby ich obejrzyć? Otuliła ramiona szalem, wzięła lampę i wyszła, podzwaniając pękiem kluczy. Wiatr wciskał się pod szczelny welon i starannie ułożone fałdy, które łopotwały pod jej brodą. Claes był sam w piwnicy; klęczał pomiędzy workami, a obok płonęły świece. Zamknęła drzwi.

Odwrocił głowę i powiedział:

- Wziąłem tego parobka, bo jest trochę przygłupi. Myśli, że połowa z tego to wełna. Spójrzcie.

Podeszła do niego i pochyliła się. Niektóre worki były już opróżnione. Claes uniósł wieka stojących za nimi skrzyń. Ujrzała wiązki słomy, wśród których mignął jej matowo jakiś metal. Żelazny pancerz, a pod nim następny. Naramienniki, powkładane jeden w drugi, nagolenniki, nałokietniki. Worek pełen czegoś, co wyglądało jak kapusta, lecz było hełmami typu niemieckiego. Kolejna skrzynia z fragmentami ciężkiej zbroi. Marian de Charette zatrzasnęła wieko tej skrzyni i usiadła na niej bez słowa.

Claes pospiesznie otworzył ostatni wór i przejrzał jego zawartość. Później wziął świecę, obrócił ją niedbałym ruchem i postawił obok swej pani.

- I cóż?

- Słyszałam, że wygrałeś na loterii rękawicę - powiedziała.

Skórę miał posiniaczoną, z odgnieceniami od schylania się i noszenia. Nikt jednak nie potrafił uśmiechać się tak jak Claes. Postukał w beczkę, po czym usadowił się na niej.

- Tu są jeszcze dwa tuziny rękawic ze Szpitala Św. Jana. Gdyby ktoś chciał wiedzieć, wygrałem je na loterii. Kupicie wszystkie ode mnie, a Tomasz zawiezie je na południe, do Astorre'a. Oczywiście zabierze i resztę rzeczy, pomieszanych z tym, co kupiłem w drodze na północ. Pozwala nam to wyposażyć o pięćdziesięciu ludzi więcej niż jest w umowie. Oni dostarczają koni, a my broń.

Rozmawiał z nią jak równy z równym, co czynił teraz często. Odwróciła oczy od jego podwiniętych rękawów i pokrytych fioletowymi sińcami ramion.

- A ile mam ci zapłacić za beczkę rękawic? - spytała. - Chyba lepiej, żebym wiedziała.

- Niewiele. Są stare. Wpiszę je do księgi rachunkowej. Oczywiście, nic mi nie płacie. Wszystko to pochodzi z arsenału przy szpitalu, na mocy porozumienia z rodziną Adornów. Nie ma żadnych umów na piśmie i nikt z nas nie wie o niczym prócz beczki rękawic.

W piwnicy było zimno, a trzy czy cztery zapalone świece niewiele dawały

ciepła. Była jednak zbyt uparta, by pozwolić mu wymknąć się z tym wszystkim. Splotła ręce na kolanach i zapytała:

- Czym więc za to zapłaciłeś?

- Obietnicami - odparł. - Opowiem wam o spotkaniu z Messer Adornem. Natrafiłem na coś ciekawego w Mediolanie. Coś, co przyniesie korzyść rodzinie Adorne i kompanii Charetty. Messer Adorne nie zna jeszcze szczegółów, lecz zechciał dokonać lokaty. I tak jak mówiłem, możemy wysłać dodatkowo pięćdziesięciu żołnierzy, niezależnie od tego, czy nasze plany się powiodą czy nie.

- Ach, tak - stwierdziła. - O ile zrozumiałam, chciałeś, bym kupiła Astorre'owi oddział wojska. Ale nie widzę tu broni.

- Nie - przyznał Claes. - Cóż, mówiłem wam, że Messer Tobie jedzie do Piacenzy. Otrzymał zamówienie na zakup broni palnej i prochu dla Thibaulta i Jaaka de Fleury. Poprosiłem go, by kupił także pięćdziesiąt *schiopetti* dla kapitana Astorre. Palną broń ręczną.

- I zapłacił za nie? - spytała.

- Wiecie - odparł jej Claes - to wspomniały układ. Bank Medycejski wspiera Mediolan i króla Neapolu Ferrante, więc mediolański zarządca, Pigello, brat Tommasa, chętnie wypłaci nam z góry pieniądze na zakup broni i żołd dla dodatkowych pięćdziesięciu ludzi, zwerbowanych przez Tomasza. Potem pójdziemy do księcia Mediolanu i zaproponujemy mu pięćdziesięciu uzbrojonych, wysmienitych żołnierzy, pod warunkiem podpisania kolejnej condotty. Następnie otrzymanymi za nią pieniędzmi spłacimy Pigella i rusznikarzy, i jeszcze nam zostanie.

- Kapitan Astorre nie został więc dopuszczony do tego olśniewającego planu?

- Nie lubi broni palnej - odparł Claes. - Ale Messer Tobie owszem. I Tomasz.

- Natomiast Meester Juliusz nie? - powiedziała wdowa. - A może zapomniałeś, że w mojej kompanii znajduje się sówicie opłacany notariusz, który ma się zajmować, jak początkowo myślałam, właśnie sprawami zamówień, umów i zakupów?

Jego uśmiech przekształcił się w wieloznaczne, pełne namysłu wyducie warg. Uniósł ręce i splótł je na czubku głowy, chroniąc oczy przed nieistniejącym deszczem.

- To nie jest aż tak trudne pytanie - oświadczyła - o ile nie cierpisz na ból głowy.

Opuścił ręce. Uśmiech powrócił, potwierdzając celność jej słów.

- *Jest* trudne, gdy mowa o Juliuszu. To człowiek inteligentny. Wysłucha raczej was lub Tobiego niż mnie.

- To znaczy - przerwała szorstko - że Tobie ocenia cię właściwie, a Juliusz nie. Czemu nie powiesz tego?

- Czy Feliks pił? - zapytał nagle.

Nigdy nie pozwalał, by między nimi narastało nieporozumienie. Pamiętała o tym.

- Tak - odparła. - Brakowało mu ciebie. Te dzwonki... kozy...

- Przepraszam - powiedział. - Nie miałem zbyt wiele czasu na szukanie miejsca, od którego mógłbym zacząć. Dajecie mi pieniądze?

- Nie na turnieje - odpowiedziała. Kiedy nadal na nią patrzył, dodała:

- Ani na gronostajowe ogonki.

- Zatem... - zaczął i urwał nagle. Po chwili i ona usłyszała głos Feliksa za drzwiami.

- Czy powinniśmy...?

- Nie - odparł Claes. - Niech wszystko zobaczy. Żadnych szczegółów. Po prostu drobna, uboczna transakcja, którą ma zachować w tajemnicy. Zrobi to. To w końcu jego kompania.

- Ale... - zaczęła.

Drzwi otworzyły się ukazując Feliksa i jego gronostaje. Płytko osadzone oczy patrzyły podejrzliwie.

- Słyszałem, że jesteście tutaj - powiedział.

- No, mam nadzieję - oznajmiła Marian de Charetty. - Bo nakazałam, aby przysłano cię tu, gdy tylko raczysz się zjawić. Gdzie byłeś?

- W mieście - odparł. - Co to wszystko ma być?

Wziął świece od Claesa i obszedł piwnicę, słuchając matki. Wrócił ze spiczastym hełmem i niespodziewanie wsadził go na głowę Claesowi, który skrzywił się z bólu. Feliks cofnął się rechocząc.

- Tylko jedna rzecz jest gorsza od tego - powiedział - i miałeś ją na sobie, kiedy wróciłeś. Może byś sobie wybrał ekwipunek i odkupił od nas?

Marian de Charetty zeszywniała i otworzyła usta. Claes odezwał się pospiesznie:

- Mam wszystko, czego mi trzeba. Poza tym, sam będziesz chciał wziąć sobie to, co najlepsze.

Feliks uśmiechnął się krzywo.

- Najlepsze z czego? Przecież to pancerze dla żołnierzy taplających się w błocie na polu walki.

- Omyliłem się - stwierdził Claes.

- No pewnie - oświadczył Feliks. - Chyba nie myślisz poważnie, że mógłbym się pokazać...

- Oczywiście - rzekł Claes. - Widzisz, ja ćwiczyłem się u kapitana Astorre. Wyleciało mi z głowy, że ty nie.

- Zimno mi - wtrąciła Marian de Charetty. - Feliksie, weź tę lampę i odprowadź mnie do drzwi. Wystarczy, Claesie. Zgaś świece i zamknij piwnicę.

Claes podniósł się posłusznie i ruszył, by zdmuchnąć świece. Syn, zwrócony plecami do matki, z twarzą okrytą szkarłatem zastąpił mu drogę.

- Co chcesz powiedzieć przez to, że Astorre uczył ciebie, a nie mnie? - zapytał. - Jak ci się wydaje, po co matka go wynajęła?

- Twój ojciec go wynajął - odparł Claes. - Jako straż osobistą.

- Czego może cię nauczyć zwykły strażnik? - Feliks zawsze bez trudu zmieniał punkt widzenia, zwłaszcza gdy był wściekły. - Mój Boże, wystarczył tydzień w towarzystwie drugorzędnego, pospolitego najemnika, a już robisz mi wykłady o sztuce walki. Szlachcic nie ćwiczy się w walce na tyłach podwórza. Uczestniczy w turniejach! Czy myślisz, że to Astorre nauczył mnie tego, co umiem?

Claes, słuchając cierpliwie, przechylił się i zdmuchnął świecę za plecami Feliksa.

- Kto cię zatem nauczył? - zapytał.

Feliks nabrał tchu i zamilkł. Po chwili rzekł:

- Nie bierzesz zapłaty za docieklivość. Masz wykonywać polecenia. Zgaś te świece.

Odsunął się na bok. Claes zdmuchnął świece, a Feliks podszedł z lampą do drzwi. Matka szła za nim. Z ciemności dobiegł ich głos Claesa:

- Kapitan Astorre ćwiczy także uczestników turnieju.

Feliks odwrócił głowę i wybuchnął krótkim, chrapliwym śmiechem.

- I myślisz, że jesteś w tym lepszy niż ja?

- Nie mam konia. Ani włóczni - głos Claesa zabrzmiał dość smutno.

Feliks zwrócił się całkowicie w jego stronę.

- To żadna przeszkoda - powiedział. - Pożyczę ci. Wyszukasz sobie przyzwoitą zbroję. Umówmy się, że to na kredyt. Każę postawić ogrodzenie z murami... powiedzmy, jutro... i zobaczymy, co potrafisz. Ze stosownymi zakładami, oczywiście. Jeśli starczy ci odwagi.

- Feliksie! Claesie! - powiedziała Marian de Charetty.

Jej syn z lampą w dłoni przemknął obok niej, przeciął podwórze i załomotał w drzwi domu, pozostawiając dziedziniec i piwnice w ciemnościach. Marian słyszała za sobą cichy śmiech Claesa. Rozległ się trzask i z tyłu zabłysł płomyk świecy, osłaniany od wiatru jego dłonią. Zdjął już hełm i miał nieco poważniejszą minę.

- Chciał mieć zbroję rycerską - powiedział. - Na pewno już ją ma. Myślałem o Bractwie Białego Niedźwiedzia. O ich wielkim turnieju po Wielkanocy.

Utkwiła w nim wzrok.

- Nie odważy się chyba?...

- Może się odważyć. Przy odpowiednim poparciu będzie się nadawał. Anzelm Adorne był niewiele starszy, kiedy wziął włócznię do ręki.

- Ale on był wyćwiczony! Cały ród Adornów ćwiczył się u wielkich mistrzów.

- Może Feliks także szkoli się u wielkiego mistrza? Nie byłbym zaskoczony. Jest bardzo pewny siebie. Dobrze będzie jednak sprawdzić, jak sobie radzi.

Claes ruszył na przód, lecz jego pani pozostała w miejscu.

- A ty, jak sobie radzisz? - spytała.

- Nie za dobrze - wyznał Claes. - Mam nadzieję, że siły będą wyrównane. Tak czy inaczej, on musi wygrać. Nie ma się czym martwić. Feliksowi nic się nie stanie. I po raz pierwszy zbiorę cięgi w pełnej zbroi. Przydałaby mi się kiedyś w Steen, powiadam wam.

Przygotowanie nieszczęsnego pojedynku między Feliksem a sługą jego matki zajęło dwa dni. Zajmował się tym głównie Feliks. Zaczął werbować przyjaciół i ze zgrzytaniem zębów sposobić się niczym do międzynarodowej wojny. Pod wpływem owych przyjaciół oraz mijającego czasu zapomniał, jak zwykle, o złości i oddał się zabawie. Postanowił urządzić popis, pochwalić się zbroją i odnieść bezwzględne zwycięstwo nie wymierzając nadmiernej kary swemu poczciwemu, choć nieco zbyt pyskatemu przyjacielowi Claesowi. I, rzecz jasna, wygrać zakład, którego przedmiot stanowiła - dzięki matczynym naleganiom - jedynie para rycerskich rękawic.

Kiedy pora się zbliżała, uświadomił sobie, że ma do dyspozycji tylko taki ekwipunek, jaki był w domu. Poradził sobie z tym, lecz nie mógł się oprzeć wydobyciu z kryjówki swego przepysznego hełmu z orlą głową i czerwonym pióropuszem. Kazał Guildolfowi de Gruuthuse mówić, że pożyczył ten hełm od niego. Zaczął z niecierpliwością oczekiwać pojedynku. Kilku przyjaciół, podnieconych przygotowaniem, dosiadło ojcowskich koni i zapytało, czy mogą się przyłączyć. Podjechało także paru strażników, którzy z poważnymi minami ostrzegali, że tego rodzaju spotkania bez odpowiedniego zezwolenia są zabronione, nawet jeżeli służą wyłącznie zabawie. Na słowo „zabawa” Feliksa trochę poniosło i Jan Bonkle musiał ułagodzić strażników, wciskając im pewną sumę pieniędzy.

Dzień wstał zimny i wilgotny. Zdawało się, że cały dom opustoszał.

Nie, co za brednie. Pomieszczenia farbiarni wypełniali ludzie, tak jak należy, podobnie foluszarnię, a dom drżał od tupotu stóp służby. Nie było jednak Feliksa ani Claesa, ani towarzyszącej im młodocianej hałustry, ani

kilku leniwych koni, ani tacek pełnych rycerskiego ekwipunku, ani mnóstwa proporców jeszcze ociekających farbą.

Już znacznie wcześniej Marian de Charetty przestała czuć lęk w obliczu tej niedorzeczności. Z całej sprawy zniknął wszelki jad. Byli na tyle dorośli, by panować nad sytuacją; i ufała, że Claes nie pozwoli, by jej synowi czy jemu samemu stała się rzeczywista krzywda. Stojąc teraz przy oszklonym oknie widziała poprzez wzór z nierównych rombów jaśniejącą podnieceniem twarz syna, a obok - Claesa, maszerującego i pohukującego w zastępstwie nieobecnego kapitana Astorre, który właśnie tak by się zachował w porywie pasji. Pozostali: Bonkle, Sersanders, Cant i młody Adorne zwiłali się w paroksyzmach śmiechu. Widziała - wiedziała - że nic nie maści pogody Claesa.

Wrócili po czterech godzinach, nietknięci - jeśli nie liczyć zwichnięcia nadgarstka (Sersanders) - przynosząc rachunek za trzy świny, które Feliks przegonił i potraktował odwrotnym końcem proporca po ich przypadkowym wtargnięciu w szranki i spłoszeniu jego rumaka. Zatrzymali się także w drodze powrotnej, by pochwalić się ekwipunkiem i wypić na cześć turnieju. Do tego wniosku Marian de Charetty doszła słuchając nieregularnego szczękania, poprzedzającego jej sługę Claesa, który z trudem wspinał się po schodach do gabinetu. Gromko załomotał do drzwi i wszedł przepraszając za to, że wciąż ma na dłoniach rękawice: założyli się, że nie zdejmując ich wychyli kielich. Jego twarz była szkarłatna, a blizna purpurowa.

- Jeśli musisz usiąść - rzekła wdowa - to krzesło jest najmocniejsze. A zatem poszło wam dobrze?

Usiadł. Odgłosy przypominały stawianie na stole kolejnych talerzy. Był rozpromieniony.

- Przypuszczam, że tak. Nie wiem, kiedy tak się uśmieiałem... Tak, bardzo dobrze. Bez żadnych kłopotów. Prócz świń. My... muszę wam powiedzieć o świniach. - Opowiedział jej o świniach, a ona odmawiała mu uśmiechu. Jego twarz, podrapana, zroszona potem i łzami rozbawienia, była obrazem nieładu; nie mógł jej otrzeć, ponieważ nie był w stanie sam zdjąć rękawic, a wdowa nie miała zamiaru mu pomóc.

Nie wydawało się, aby go to martwiło.

- Cieszę się, że mieliście tak przednią zabawę - powiedziała. - Zapewne było to o wiele ciekawsze niż zarabianie na życie w farbiarni.

Pomimo oparów trunku przykuła jego uwagę.

- Wybaczcie mi, pani moja - przemówił.

Gdyby była równie szczerą jak on, powiedziała mu to, co myślała. Powiedziała by z wyrzutem: „Dlaczego tak często bywasz taki zadowolony?”.

Zamiast tego zapytała go:

- Co z Fekliksem? Bo chyba po to było to wszystko?

- Ma świetne zadatki i wiele śmiałości - odparł. - Niezmiernie wiele śmiałości.

- Lecz brak mu jeszcze umiejętności, by stanąć do turnieju Białego Niedźwiedzia? - zapytała matka Feliksa.

- Bardzo wiele mu jeszcze brakuje. Nie. Za wcześnie. A ponieważ jest śmiały, nie będzie zważał na swe słabe strony. Podejmie ryzyko i wpędzi się w niebezpieczeństwo. Musi zostać powstrzymany przed wielkanocnym turniejem. Powstrzymany za wszelką cenę - zakończył Claes.

Milczała, próbując wyobrazić sobie, jak zabrania Feliksowi rzeczy, której on tak bardzo pragnie.

- Jakże tam może istnieć niebezpieczeństwo? - zapytała. - Stępione miecze, włócznie z zabezpieczonymi końcami...

- Ludzie nadal giną - odparł. - I zdarzają się rzeczy nieprzypadkowe. Gdyby tak ktoś chciał zniszczyć wasze przedsiębiorstwo?

Wpatrywała się w niego bacznie. Wstała, obeszła stół i wyciągając rękę odezwała się gniewnie:

- Zdejmij te rękawice, na miłość boską. Przedsiębiorstwo nie opiera się na Feliksie. - Z chrzęstem ściągnęła jedną rękawicę. - Tak czy inaczej, kto posunąłby się aż tak daleko?

- Feliks dziedziczy po was - rzekł Claes podsuwając jej drugą rękawicę, a potem spojrzął na chustkę, którą mu podawała. - Już drugi raz musicie dawać mi chustkę. Pewnie dziwi was jak schludnym jestem zwierzęciem.

- Umilkł i dodał po chwili: - A gdy o tym mowa, jeśli pamiętacie ów pierwszy raz, przypomnijcie sobie też pewne wyraźne groźby.

Stała z rękawicami w obu dłoniach.

- Jordan de Riberac?

Claes wbił wzrok w chustkę.

- Ostatnio natknąłem się na dwóch jego ludzi. W dość przykry sposób. I nie myślcie nawet o urzędowych skargach: niczego nie da się dowieść. Zresztą teraz i tak wyjechał do Francji. Lecz to mnie zastanowiło. Na przykład ten wybuch w kadzi, kiedy nie było mnie tutaj?

Usiadła, kładąc rękawice na kolanach i patrząc na niego.

- Czułem, że to nie wypadek - ciągnął. - Obejrzałem nową kadź i pompę. Były nieprawdłowo połączone. Za parę dni zdarzyłby się kolejny wypadek.

- Kto...? - zaczęła.

Potrząsnął głową.

- Ktoś, kogo Henninc nie znał, ale z odpowiednimi listami polecający-

mi. Powiedziałem mu, żeby zlecał naprawy tylko tym ludziom, których dobrze zna. Oczywiście, każdego można przekupić. Jeśli zaś tutaj działo się coś złego, może się także coś zdarzyć w Leuven.

- Już się zdarzyło - powiedziała.

- Tak też myślałem - rzekł Claes. - Nie miałem wiele czasu. Zastanawiałem się jednak, czy nie powinienem obejrzeć sobie nowego zarządcy. OHvier, czy tak? Może Feliks zechce jechać ze mną. Chciałbym także wstąpić do Genappe.

Leżący szesnaście mil na południe od Brukseli niewielki, otoczony fosą zameczek Genappe był do niedawna ulubioną rezydencją myśliwską księcia Burgundii. Niedawno zaś delfin Ludwik, dziedzic tronu francuskiego, zaczął szukać schronienia u drogiego wuja, a drogi wuj podarował mu Genappe, by było jego domem, dopóki będzie miał chęć przeciwstawiać się ojcu.

Claes mówił o odwiedzinach u delfina Francji. Jej sługa Claes. Nieprzeciętny, na pół pijany, całkowicie opanowany Nicholas. Który tak często bywał taki zadowolony.

Najwyraźniej nie widział w tym nic osobliwego.

- Cóż - powiedziała - dopilnuj lepiej, by rzetelnie zacerowano twój niebieski kubrak.

Spojrzenie wielkich oczu wyrażało podziw; wydatne usta rozciągnęły się w promiennym uśmiechu pełnym całkowitego i niezmaconego zrozumienia. I zapytał:

- Może przy sposobności naszyć z powrotem te wszystkie dzwonki?

ROZDZIAŁ 22

Wielkanoc tego roku przypadała w połowie kwietnia. Claes postanowił, że wyprawa do Genappe nastąpi tuż przedtem. Na wypadek, gdyby okoliczności miały ulec zmianie, stał się nagle bardzo zajęty.

W połowie marca Marian de Charety była już zamożną właścicielką trzech składów w sąsiedztwie dawnego, winiarni niedaleko targu rybnego oraz - za cenę, która ją przeraziła - domu i spichrzy przy Spangnaerts Straete. Spangnaerts, czyli Ulica Hiszpańska, leżała w samym sercu najważniejszej dzielnicy kupieckiej w Brugii, nie opodal mostu Św. Jana. Kanał oddzielał ją od siedzib angielskich i szkockich kupców, a kilka kroków - od urzędu celnego, Bursy, konsulatu Florencji, Wenecji i Genui oraz od siedziby Bractwa Białego Niedźwiedzia. Tuż obok znajdował się dom należący do Anzelma Adorne.

Feliks miał za zadanie nadzorować odnawianie winiarni. Zabrał się do tego ze zdumiewającą werwą, wprowadzając kilka znakomitych ulepszeń i dając powody do troski jedynie nadmierną surowością wobec służby i gości. Młodemu Metteneye zdarzyło się zwymiotować na jedną z nowo nabytych ław - i ze zdziwieniem skonstatował, że znalazł się na ulicy, słysząc przy tym, że może wrócić dopiero wówczas, gdy nauczy się zatrzymywać to, co wypił tam, gdzie należy. Matka Feliksa, którą odwiedziła pani Metteneye, musiała złożyć wyrazy ubolewania.

Pieniądze na to wszystko wzięły się po części z pożyczek, a po części z zysków, jakie przynosiła Claesowi lokata w mediolańskiej filii Medyceuszów.

Tomasz, który wrócił pod koniec lutego z dwustoma ludźmi i końmi, zastał oczekujące go kwatery, piwo, jadło i obrok dla zwierząt, a także sznur mułów z bronią i ekwipunkiem. Tomasz, trzecie pokolenie żołnierzy bez ziemi pozostałych we Francji po serii wybaczalnych angielskich porażek połączonych z niewybaczalnymi rozejmami, poczuł jeszcze większą sympatię do cudzoziemców, którzy wcale nie byli tacy źli - pod warunkiem, że od czasu do czasu kopało się sukinsynów tam, gdzie naprawdę boli.

Po tygodniu obłądnego zamieszania Tomasz i jego niewielka armia

wyjechali, by zabrać z Mediolanu pana Tobiego i ruszyć na południe do Neapolu i Astorre'a. Razem z nimi wyruszył w drogę niezwykle krzepki kapelan z północnych Niemiec, imieniem Godscalc; oraz węgierski kusznik Abrami, obaj wyszukani przez Claesa. Wyjaśnił, że funkcja kapelana będzie pomocna w urzędowej pracy Juliusza i powstrzyma Tobiego od wtrącania się, przypominając zarazem oddziałom, że nieposłuszeństwo rozkazom Astorre'a oznacza nagłą śmierć i ogień piekielny. Abrami zaś miał pomóc Tomaszowi w wyobrażaniu sobie, że wszystkiemu da radę, podczas gdy sam zajmie się sprawami, z którymi Tomasz nie daje sobie rady.

Marian de Charetty słuchała, pytała, wyrażała sprzeciw, dyskutowała i od czasu do czasu wygrywała.

Pompa na podwórzu została ustawiona prawidłowo, a człowiek sprowadzony z Alost wyłącznie w celu pilnowania sprzętu zaprzyjaźnił się z Lippinem i słuchał rozkazów Henninca. Henninc był zadowolony, a ów człowiek, który zdawał sprawozdania bezpośrednio wdowie i często otrzymywał zupełnie inne rozkazy, był dyskretny i zręczny. Nikt nie miał pewności, z którego ogniwa w łańcuchu kontaktów Claesa wziął się ten człowiek. Marian wiedziała, że Godscalc był bratem kapelana cechu malarzy; podejrzewała, że podsunął go Colard Mansion. Węgier, o dziwo, spokrewniony był z żoną pewnego marynarza ze Sluis. Nowy zastępca Henninca, mówiący bez akcentu po flamandzku, używał nazwiska Bellobras, co niezmiernie bawiło Feliksa.

Wdowa także miała ochotę się uśmiechać, kiedy nie trapiła się pożyczkami. Nigdy dotąd nie zaznała tak prężnego rozkwitu: ani w czasach dzieciństwa, ani za życia Cornelisa. Zazdrościła Claesowi jego usposobienia. W najgorszych przypadkach czeladniczego żywota zawsze był pełen ożywienia. Zatrudniając go teraz jako koniuszego - pozornie - budziła się co rano czujna i wyczekująca, zastanawiając się, jakie to zdumiewające bitwy będzie musiała stoczyć, jakie nowe nabytki, doświadczenia, przygody zmieszczą się w tym dniu przed jego zamknięciem. Nigdy nie odczuwała rozczarowania. Nie spotkała dotychczas nikogo, kto działałby z równym rozmachem w tak wielu odmiennych dziedzinach. Rozumiała teraz dawne wybryki jako najzwyczajniejsze marnotrawstwo całej tej siły żywotnej i mogła jedynie czuć wdzięczność, że już się nie zdarzały. Ważna była oczywiście szybkość działania, ponieważ z uwagi na swe usługi kurierskie musiał powrócić do Mediolanu. To również zorganizowano. Poprosiła, by dostarczać jej najświeższych wiadomości - i tak też było, aż do przesady. Wydawało się, że polega to na wynajmowaniu jeźdźców i rozstrząsaniu wiadomości o koniach, kwaterach, opłatach i innych posłańcach. Brugijskie filie kilku banków, także medycejskiego wyraziły chęć powierzenia pewnych przesyłek kom-

panii Charetty, na mocy umowy. Jeden z nowych posłańców udał się już na południe z silną strażą i okazałą sakwą.

Lecz zarządcy tacy jak Angelo Tani potrzebowali osobistej obsługi, a Claes gotów był się jej podjąć. Sam mógł zawieźć listy. W każdym razie musiał złożyć sprawozdanie Mediolanowi i uporządkować sprawy tej filii przedsiębiorstwa. Tani oczekiwał, że Claes wyruszy, gdy tylko nadejdą ostatnie wieści z Londynu. I gdy Tommaso otrzyma zapewnienia co do strusia. Czy ptak został wsadzony przez kompanię Strozzi na pokład katalońskiego okrętu na Majorce?

Galery flamandzkie, zatrzymawszy się w Brugii na zbyt długi czas, odważnie wyruszyły do Londynu, by po załadunku angielskich towarów udać się w drogę powrotną do Wenecji. Wątpliwości budziło tylko, czy król Henryk zajęty wojną w swoim kraju, nie przyjmie galer pod własne dowództwo. Kupcy w Brugii, Londynie i Southampton czekali niecierpliwie.

Biskup Coppini w swej świątobliwej, pokojowej misji, schodził po drodze na brzeg w opanowanym przez Anglików Calais i wiódł rozmowy z angielskimi buntownikami: hrabią Warwick i Edwardem, synem pretendenta Yorków. Ponoć widziano w Calais pewną liczbę Szkotów. Ponoć król Szkocji zmienił zdanie i rozmawiał potajemnie z obiema stronami angielskiego konfliktu, a nie wyłącznie z rządzącym Lancastrem - i posłał do księcia Burgundii umyślnych zapytaniem, czy nie ma jakichś armat do zdobycia.

Podobno król Szkocji wyprawił do Brukseli posłów w kupieckim przebraniu, a jednym z nich miał być Szymon z Kilmirren. Pamiętacie Szymona, który narobił tyle zgiełku o psa po tym, jak przyłapano młodego Claesa z dziewczką w piwnicy? Który w Sluis trzymał stronę Lionetta przeciw Astorre'owi i ludziom Charettym? I który niemal zadźgał młodego Claesa krawieckimi nożycami? A może było odwrotnie...

Plotki te dotarły do uszu wdowy. Była właśnie u bławatników omawiając kontrakt dotyczący barwienia przędzy - jednej z nielicznych gałęzi przedsiębiorstwa, którymi nadal zarządzała osobiście. Później nastąpiły trzy inne spotkania w różnych częściach miasta, dokąd odprowadził ją Claes - i gdzie nie było sposobności, by rozmówić się w cztery oczy. Kiedy wracali z trzeciego spotkania w St. Lievens, wysłuchał jej i nie okazał niepokoju.

- Wielmożny Szymon? Nie ma z wami zatargu. A ja niebawem znajduję się poza jego zasięgiem. Najprawdopodobniej będzie miał dość roboty z własnym ojcem, zwłaszcza jeśli knuje coś z polecenia króla Jakuba lub biskupa Kennedy'ego. Słyszałem dzisiaj kilka dobrych wieści.

Jeszcze rano skłoniłaby go do wyczerpującej rozmowy o Szymonie z Kilmirren. Teraz pozwoliła na zmianę tematu, oszczędzając własne siły.

Dobre wieści mogły oznaczać cięższą pracę, a ona była wyczerpana. Nikt nie prowadził negocjacji z podwładnymi. Dopóki - jak mówił Claes - Feliks nie będzie gotów. Niewątpliwie Claes miał słuszność. Feliks, mistrzowsko prowadzący winiarnię, musiał zyskać motyw, by zająć się mniej powabnymi stronami przedsiębiorstwa. Mogło to potrwać dość długo. A tymczasem jeszcze, o czym matka wiedziała, Feliks nadal ćwiczył się w tajemnicy w swym ulubionym rzemiośle rycerskim. Dlatego po chwili dość beznamytnie odpowiedziała Claesowi:

- Tak? Jakie wieści?

Radził sobie już z koniem bez trudu. Jadąc swobodnie odwrócił głowę w błękitnej czapce i wyszczerzył zęby.

- Cztery nowe spotkania. Nie, żartowałem... Kapitan Lionetto, obecnie u kondotiera Piccinino, nawiązał oficjalne stosunki handlowe z przedstawicielami Thibaulta i Jaaka de Fleury, naszych dobrych przyjaciół z Genewy. Czy nie są siebie warci?

- Nie jestem aż tak życzliwie usposobiona - rzekła jego chlebodwczyni.
- Powiadasz, że Piccinino wynajął Lionetta? Zatem walczy on, tak jak i my, po stronie króla Ferrante. I on także zgarnia garściami złoto od księcia Mediolanu i papieża. Kiedy wojna dobiegnie końca, ktokolwiek ją wygra, Jaak de Fleury będzie bogatym człowiekiem a Lionetto dorobi się majątku. Taka jest zasada, nieprawdaż? Niezależnie od tego, kto zwycięży, najemnicy biorą pieniądze. Dlatego właśnie namówiłeś mnie do wysłania dodatkowych ludzi dla Astorre'a.

- Abyście także dorobili się majątku - oznajmił radośnie Claes. - Tak czy inaczej, wieści są dobre. Co chcecie robić jutro?

- Nic - odparła przezornie Marian de Charetty.

- No cóż, to dobrze - powiedział Claes. - Pomyślałem, że pojedę do Leuven, tak jak mówiliśmy. Feliks może jechać ze mną, aby w razie czego zwolnić nowego zarządcę. A później udamy się do Genappe.

Bezwiednie ściągnęła wodze, a następnie spięła konia, zanim stajenni zdążyli podbiec. Jeździła lepiej niż Claes. Jej płaszcz był doskonale dopasowany, a kaptur przypięty do czepca z kornetem, spod którego nie wymykał się ani jeden włos. Czaprak konia miał błękitną barwę Charettych i obrzeżony był czerwienią - a wędzidło i uzdę zdobiło srebro.

- Feliks nie pojedzie z tobą do Genappe - powiedziała. - A kto mówi, że zwolnię Oliyiera? Jeszcze go nawet nie widziałeś.

- Ja? - spytał Claes. - Mnie to osobiście nie dotyczy. Ale Feliks może sam wydać wyrok w tej sprawie. Smak piekła i szubienicy. Potęgą właściciela.

- A Genappe? - zapytała matka Feliksa.

- Jadę tam - uśmiechnął się Claes. - A Feliks nie puści mnie samego.

Cztery dni później OHvier, zarządca Charettych z Leuven, został zwolniony. Poprzedzając tę decyzję przesłuchanie trwało prawie cały dzień, a o zwolnieniu postanowił pewny siebie jongheere Feliks de Charetty. Olivier, do którego dotarły pewne pogłoski z Brugii, był już częściowo spakowany i pozwolono mu to dokończyć, po podpisaniu kilku dokumentów. Wieczorem już go nie było.

Młody wspólnik, którego Claes przypadkiem przyprowadził dla sprawdzenia rachunków, chętnie zgodził się zająć tymczasowo miejsce zarządcy, co wiele ułatwiło. Feliks pozostawił Claesa, by mu wszystko objaśnił, a sam odszedł, by opowiadać uniwersyteckim przyjaciom o życiu w kupieckim świecie. Kiedy wrócił o świcie do domu, w biurze zarządcy nadal paliły się świece, co uważał za marnotrawstwo wosku, gdyby go ktoś zapytał. Był jednak zbyt śpiący by otworzyć drzwi i wyłosić skargę.

Kiedy nazajutrz wstał z łóżka, ujrzał pusty dom i nieco zimnego jadła na stole. Wyjrawszy na zewnątrz zobaczył wyjątkowo czyste podwórze, a pośrodku grupę ludzi, którzy stali i słuchali Claesa siedzącego na taczkach i przemawiającego. Szpakowaty pośrednik handlowy, z którym grywał niegdyś w kręgle, stał obok, pełen uprzedzającej grzeczności. Tymczasem przemowa dobiegła końca. Ludzie zaczęli się rozchodzić, a Claes z pośrednikiem podeszli razem do straganów zastawniczych i spichrzy. Feliks zszedł na dół.

- O, jesteś - rzekł Claes. - Jeżeli już zjadłeś, powinniśmy ruszać w drogę. Ci, którzy mieszkają w pałacach, nie lubią czekać. Stare perskie porzekadło. Czy potrzebujemy kogoś? Sami możemy jechać do Genappe. Ty posadzisz mnie na konia, a ja wyszukam ci obiad.

Bitwa o Genappe rozpetęła się na nowo. Pierwszą salwę oddała jeszcze w Brugii matka Feliksa. Kazała synowi jechać z innymi do Leuven i wraz z Claesem przyjrzeć się metodom nowego zarządcy. Miał pozostać z Claesem, który chciał odwiedzić Genappe, a później wrócić do domu. Feliks z miejsca odmówił i matka kazała mu wyjść z pokoju.

Druga salwa pochodziła od Heninca. Kogo Feliks zabiera do Leuven i Genappe? Ale on nie jedzie.

Henninc zdumiony. W takim razie musi chyba zapytać tego młodego wiercipiętę Claesa, z kim chce jechać? Myślał, że wdowa ma więcej rozsądku, z przeproszeniem jonkheere Feliksa, i nie pośle sługi z taką misją. Claes w Genappe! Jaśnie wielmożny delfin będzie się dziwił, jak nisko upadli brugijczycy.

Znowu u matki. Oczywiście, jeżeli Feliks nie dba o to, kto ma być przedstawicielem rodziny, Claes będzie musiał sam pojechać do Leuven. Ona nie mogła opuścić Brugii. Sprawa Oliviera była pilna. Co do Genappe, Claes wiedział o tym więcej niż ona.

Zaczął szukać Claesa. Znalazł go. Oznajmił Claesowi, że rozumie, oczywiście, konieczność złożenia wizyty w Leuven, aby sprawdzić, jak się sprawuje nowy zarządca. Ale kto i dlaczego mówił o odwiedzinach u delfina?

Delfin? Genappe. Słowo to skłaniało do kłapania zębami, co też Feliks uczynił.

Ach, Genappe! Tak, słusznie. Claes wybierał się w odwiedzinach do przyjaciela, lecz nie był to, rzecz jasna, delfin, lecz zwykły żołnierz służący delfinowi. Nazywał się Raymond du Lyon. To nie potrwa długo. Jazda z Leuven zajmie jedno popołudnie, a sposobność ujrzenia Raymonda może się już nie nadarzyć. Jeżeli Feliks naprawdę nie chce, nie musi z nim jechać.

Feliks (jak sam orzekł) z wielką niechęcią myślał o podróży do Leuven, nie mówiąc już o osłanianiu wyprawy sługi do Genappe. Wiedział jednak, że Leuven jest ważne. Nie mógł pozwolić, by nisko urodzony czeladnik stał się przedstawicielem rodu Charetych. Pojedzie.

Zrezygnował ze swych planów, odwołał spotkania i wyjechał z Brugii z Claesem i jego skromną czeladką w podłym humorze, który trwał przez dwa z trzech dni podróży. Wreszcie w Brukseli Claes wyszukał mu niezgorszy zamieszkanie i oberżę, gdzie podawano smakowite jedzenie, a żona oberżysty chciała się dowiedzieć, jak wygląda prowadzenie lepszej tawerny w Brugii. Zanim znaleźli się w Leuven, Feliks był już w stanie prowadzić interesy.

Teraz jednak Genappe znowu pojawiło się w planach.

- Nawet nie pomyślisz o chlebobawczyni, co? - zagadnął Feliks.
- Wykorzystujesz jej czas i konie do jakichś prywatnych odwiedzin, podczas gdy jej przedsiębiorstwo w Leuven upada, a ona nic o tym nie wie. Wracam natychmiast do Brugii, by zdać sprawozdanie, a ty ze mną. To rozkaz.

- Dobrze - odparł Claes ugodowo. Kwietniowe słońce powlekło brązem jego skórę, a w dołeczkach odbijał się niewzruszony błękit liberii. - Będę jednak musiał posłać kogoś do delfina z wyjaśnieniami. Oczekuje nas dziś wieczorem.

- Co? - spytał Feliks.

- Spałeś - zaczął Claes - kiedy przyszła wiadomość od mego przyjaciela Raymonda. Jaśnie wielmożny delfin chce się spotkać z nami obydwoma. Dla kogoś takiego jak ja to wielki zaszczyt.

- Byłby, gdybyś tam jechał - oznajmił krótko Feliks. - Ale pojedę ja. Powiem, że jesteś chory.

Claes nie protestował. Feliks tego nie lubił. Claes dodał jedynie tym samym pojednawczym tonem:

- Ależ oczywiście, możesz im to zaraz wytłumaczyć. Tam czeka eskorta, która ma nam towarzyszyć do Genappe. Niestety, już z nimi rozmawiałem,

ale może uwierzą, że zachorowałem. Mogę nagle upaść. - Zmierzył dziedziniec badawczym spojrzeniem i cofnął się, kładąc ręce na biodrach, pozostając w gotowości.

Feliks dostrzegł nagle, jak nedorzeczne jest to wszystko. Jak śmieszne. Porzucił dąsy i stęknął, a Claes natychmiast podniósł oczy, uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Czy myślałeś, że uda ci się wmówić wszystkim, że ten głupi hełm wypożyczył ci Guildolf de Gruuthuse? Gdyby należał do niego, już byś miał wszędzie pryszcze. Daruj sobie. Nie masz wyjścia. Nigdy nie potrafiłeś należycie zełgać.

- Czy matka...? - zaczął Feliks.

- Oczywiście, że twoja matka wie, że masz coś w zanadrzu - rzekł Claes. - Wie'o tym pół Brugii. Wieść głosi, że delfin przybył tu na polowanie, spotkał ciebie, porozmawialiście sobie o psach i przypadłeś mu do gustu. Byłeś w Genappe, a on prosił jednego ze swych mistrzów, by nauczył cię nieco szermierki. Później ktoś pożyczył ci zbyteczną broń. Dlaczego musisz zachowywać to w tajemnicy?

- Dostałem zbroję - powiedział Feliks. - W podarunku. Wiedziałem, że matka nie pozwoli mi jej zatrzymać. Że interesy ucierpią, bo klienci pomyślą, że Charrety spiskuje z delfinem. Wiesz, że tak ludzie mówią. Każdy kraj, który nienawidzi Francji, ma w Genappe agentów spiskujących z delfinem. Żeby mógł odzyskać ziemię z rąk ojca. I żeby obsypał ich łaskami, kiedy po śmierci ojca zostanie królem Francji.

- Chcesz powiedzieć, że ty nie spiskujesz z delfinem? - spytał Claes. - Zawiodłeś mnie. Myślałem, że przyłaczę się do ciebie i także dostanę ekwipunek.

Feliks wybuchnął śmiechem.

- Nie sądzę, byś się do tego nadawał. Ale wiesz? Coś mi przyszło do głowy.

- Co? - spytał Claes.

- Następnym razem przekażesz zyski mnie, a nie matce, a ja kupię zbroję. Wtedy nie będę miał długu u nikogo.

- Masz zupełną słuszność - powiedział Claes. - Potem twoja matka może sprzedać zbroję i odzyskać pieniądze.

- Nie bardzo - stwierdził Feliks.

- Pomyślmy o czym innym - pocieszył go Claes. - Później. Chodź. Jeśli mamy jechać, ruszajmy do Genappe.

Urocze, pagórkowate okolice Leuven były dla Feliksa i jego sługi bardziej znajome niż wietrzna równina Brugii. Teraz, wczesną wiosną, każdy zakręt na drodze niósł radość, a dla Feliksa i obietnicę. Zapomniał o niezręcznej obecności Claesa. Feliks był kimś - zapraszali go książęta.

Claes, który dobrze znał Feliksa, obserwował go wdającego się w rozmowy z członkami straży delfina, którzy udzielali uprzejmych odpowiedzi. Żaden z nich nie dorównywał dziedzicowi farbiarni Charettych bogactwem i szykownością stroju. Claes, który usiłował nie przyglądać mu się zbyt dokładnie, dojrzał kątem oka futrzane obramówki i fiołkowe falbany. Kapelusz Feliksa był, oczywiście, bardzo wysoki.

Claes miał nadzieję, że Feliks dobrze się bawi w drodze, wcale bowiem nie był pewien, co ich czeka w Genappe. Dotychczas delfin korzystał z pośrednictwa Arnolfiniego. Takie spotkanie - o ile się odbędzie - zadzierzgnie bezpośrednią więź między Genappe a Mediolanem. Jeżeli się odbędzie, jaki przyjmie obrót? Claes nie miał doświadczenia z książętami. Najmożliwszym arystokratą, z jakim zeszłej zimy spotkał się osobiście, był hrabia Urbino - a widywał go przelotnie, podczas ćwiczeń, które nie dawały umysłom pola do popisu. Umysły, do których przywykł - nie licząc swych współpracowników oraz Feliksa i jego przyjaciół - należały do ludzi takich jak Juliusz i wdowa. Rozmowy z Anzelmem Adorne wymagały nieco większej czujności. To samo było z Grekami: Acciajuolim i tą kobietą, Laudomia. Profesor był kimś nowym, lecz tylko na początku: jego umysł popadł w rutynę. W mniejszym stopniu dotyczyło to także Tobiego.

Arystokraci... Kłopotliwa była jedynie odmienność obyczajów, która przesłaniała z początku sposób, w jaki mieli zamiar dobrać się do ciebie. Z pewnością dotyczyło to Jordana de Riberac, jak na ironię: najwyższej postawionego z wszystkich ludzi - prócz Urbina - z jakimi Claes miał do czynienia.

A teraz - królewski syn. Królewski syn, który według Marian de Charetty czynił wszystko, by wydawać się zgrzebnym, swojskim, nawet pospolitym; i który okazywał ostentacyjną pobożność. Lecz to on mając lat dwadzieścia jeden stanął na czele wojsk, władał Delfinatem, knuł spiski w celu przejścia dóbr ziemskich w Italii i na przekór ojcu-królowi poślubił nieładną dwunastolatkę z dynastii sabaudzkiej ze względu na ziemie jej ojca, stanowiące dobre zaplecze wojenne. Postępował na przekór własnemu ojcu w tak wielu sprawach, że król Francji zastraszył wreszcie księcia Sabaudii, każąc mu wyrzec się zięcia Ludwika i uznać króla Francji za swego suzerena. Delfin Ludwik uciekł do Burgundii. Do Genappe, gdzie z Mediolanem i hrabią Warwick spiskował przeciwko królewskiemu ojcu i nie życzył sobie, naturalnie, by rzecz rozniosła się zapośrednictwem tępawych posłańców.

Claes dowiedział się wiele o delfinie, z rozlicznych źródeł, lecz najbardziej pomogła mu wdowa. Nastąpiło to w chwili, gdy wreszcie przyparła go do muru i zapytała o przyczynę wyjazdu, a on jej odpowiedział.

- Posłańcy zawsze stanowią zagrożenie. Wszyscy wiemy zbyt wiele.

A tu, nieoczekiwanie, nie tylko człowiek delfina Gaston du Lyon, ale także Medyceusze i Sforzowie korzystają z moich usług. Zdrowy rozsądek każe zastanowić się: dlaczego? Z kim się widuję? Jak wiele wiem?

Była wstrząśnięta. Po chwili zrozumiał przyczynę i dodał pośpiesznie:

- Ale Feliks, oczywiście, nie zdaje sobie sprawy, że mówi więcej niż powinien. Jestem tego pewien. Jeśli go jednak ostrzeżemy i nie pojedzie przez to do Genappe, pomyśla, że mamy coś do ukrycia.

- Dlaczego zatem i ty jedziesz? - spytała.

- Nie dlatego, że on jest w niebezpieczeństwie. Jedyne po to, by pokazać, że wiem, co się dzieje. Nie prosiłem delfina o spotkanie. Chciałem tylko zabrać Feliksa w odwiedzin do Raymonda, brata szambelana. Na tym rzecz polega. Jeśli delfin zechce zobaczyć się z nami, wezwie nas.

- A jeśli zechce zobaczyć się z tobą, Nicholasie? - zapytała wówczas wdowa. - Raz już pytałam cię o niego. Powiedziałeś wtedy, że jest o wiele za bystry i nie da się oszukać.

Kiedy nazywała go „Nicholasem”, musiała być albo rozgniewana albo przestraszona. Pamiętał poprzednią odpowiedź. I jedno, i drugie; on czuł to samo. Zapomniał o pytaniu.

- Cóż, będziesz musiał wybrać, prawda? - rzekła. - Claes czy Nicholas? Które oblicze ukażesz delfinowi?

Był jedną osobą, nie jarmarcznym dziwolągiem, wybuchnął więc śmiechem. Tak czy inaczej, nie było wątpliwości, że cokolwiek się działo, miał być poddany wyczerpującej próbie - i to na nowym poziomie. Uważał to za uśmiech losu, póki nie zrozumiał, że jest to zasadniczy dowód jego braku doświadczenia. Teraz nadeszła pora wyjazdu do Genappe. Słuchał Feliksa, powtarzającego mu po raz kolejny.

- I przyklękasz *trzy razy*. Po wejściu i przed wyjściem. Pamiętaj, na miłość boską, i nie przynieś mi wstydu. - Znowu wybuchnął śmiechem, sądząc, że Claes najprawdopodobniej nie zapamięta. Nieszczęsny Feliks. Nieszczęsny Claes. Powodzenia, Nicholasie.

ROZDZIAŁ 23

Wkrótce potem Claes zauważył, że nieskazitelna eskorta, przysłana po niego i Feliksa, oddaliła się znacznie od drogi wiodącej do Genappe. Przez pola i zagajnik dojechali do miejsca, w którym - tuż za świeżą łączką - rozbrzmiewały liczne głosy, tętent kopyt i szczekanie podnieconych psów. Ktoś zadał w róg.

Zwrócona ku Claesowi twarz Feliksa pod niebotycznym kapeluszem zaróżowiła się z radości.

- Łowczy jaśnie wielmożnego delfina! - zawołał. - Z całą pewnością. Nikt inny nie mógłby tu polować. Zaraz zobaczysz. Konie czarne jak krucze skrzydło. Innych tam nie ma. I psy. Ma nową parkę...

- Monsieur ma słuszość - odezwał się dowódca oddziału. Milczał od godziny i Claes spojrział na niego ze zdumieniem. Dowódca nadal zwracał się do Feliksa - Dlatego właśnie mój pan, delfin, nalegał byśmy pojechali tą drogą. Łowy nie sprawią wam, panie, przykrości?

Claes obrzucił spojrzeniem fiołkowe falbany, wатовaną tunikę obrzeżoną kunim futrem, ozdobioną frędzlami szyszkę na głowie Feliksa, mogącą obłamać dolną gałąź sosny.

- Drogi kapitanie, będę zaszczycony! - wykrzyknął Feliks.

Kapitan z uśmiechem spał konia, który przeszedł z kłusu w cwał. Feliks uczynił to samo. W jego ślady poszli wszyscy prócz Claesa, który spadł z konia. Dowódca z Feliksem wysforowali się do przodu i wspięli na wzniesienie, nie zauważając upadku Claesa. Pozostali jeźdźcy, którzy to z pewnością widzieli, popędzili naprzód jak gdyby nigdy nic. Ostatni dosłownie musiał go ominąć. Pochylił się przy tym, pochwycił wodze Claesowego konia i poprowadził go za sobą.

Claes usiadł na trawie i zawołał za nim. Ostatni jeździec, prowadzący konia Claesa, oddalał się niewzruszenie w przeciwnym kierunku, pokonując wzniesienie długim, równym krokiem. Claes, siedzący z rękoma opartymi o kolana, z namysłem nabrał tchu i posłał za nim melodyjny zew. Jeździec znikł po drugiej stronie pagórka. Ostatnią częścią oddziału, jaką ujrzał Claes, były uszy jego konia na tle nieba.

Siodło, które spadło razem z nim, leżało nieco dalej na trawie. Obok stała

wbita w ziemię motyka, na której niedbale wspierał się jakiś człowiek. Jego stopy, najbliżej Claesa, obute były w połatane i znoszone trzewiki. Miał na głowie filcową czapkę; jego rękawy były podwinięte i nosił, chłopską sukmanę. Odwrócił pełną guzów bezzębną twarz.

- Patrzcie no tylko - przemówił. - Nowy sokół upuścił siodło. - Wysunął podbródek spomiędzy złożonych rąk i powoli odchylił głowę, wznosząc ku niebu zażawione oczy. Claes wciąż siedział na ziemi.

- Następnym razem może upuścić konia - powiedział. - Ja bym uważał.

Motyka drgnęła. Wargi, opinające dżiąsła, rozciągnęły się w grymasie, a krople śliny wzbity się w powietrze niczym mgła.

- Nie dziwiłbym się, gdyby upuścił człowieka - rzekł starzec. - Szukasz śmierci przesiadując tak na trawie. Cudzej trawie. W zeszłym tygodniu na tamtym drzewie powiesili człowieka.

- Ciekawe, co sadzicie - powiedział Claes.

Kolejne krople piany załśniły w peomieniach słońca.

- Jesteś głodny? - zapytał starzec.

Claes odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem. Jeśli nawet słysząc w nim było ulgę, nie dbał o to. Czuł ulgę.

- Zawsze jestem głodny - odparł.

- Wy, rosłe chłopaki - stwierdził starzec. - Wiele razy widziałem was przy żniwach. Przejadacie wartość całego plonu w czasie jednej kolacji. Są tam. Muszę odebrać ci miecz i sztylet.

- Gdzie je potem odnajdę? - uśmiechnął się Claes.

Na szczeciniastych policzkach coś zamigotało.

- Będą pod motyką, kiedy wrócisz.

- A siodło?

Starzec upuścił motykę. Gdy się odwrócił, widać było wiszący u pasa myśliwski nóż. Obosieczna klinga wydawała się całkiem nowa. Stary człowiek otrzepał dłonie, wytarł je o sukmanę i stał czekając, aż Claes podniesie się z ziemi.

- Znajdziesz sobie konia, zanim to siodło będzie się do czegoś nadawało - rzekł. - Popręg jest pęknięty.

Popręg, o czym dobrze wiedział, został przecięty. Claes nic nie mówił, lecz wstał, odpiął swój niepozorny miecz i nóż, i położył je obok motyki. Kiedy się wyprostował, napotkał wśród wyziewów potu i niepranego sukna, przypominających zapachy lombardu, spojrzenie zażawionych oczu.

- Idź do drzew wzdłuż strumienia. Smacznego. Smacznego, mój chłopcze. Z pewnością jesteś głodny.

Ludwik, delfin Francji, posilał się na świeżym powietrzu. Wśród drzew, do których prowadził strumień, wzniesiono z zeszłorocznego drewna

niewielką chatę myśliwską o dwóch izdebkach, obecnie niezamieszkaną. Grupa, bardzo nieliczna, rozsiadła się na spłachetku murawy, ginąc niemal w natłoku wiklinowych koszyków i upchniętych pomiędzy nie flaszek. Nieco dalej szczek wędzideł wskazywał, gdzie pasą się uwiązane konie.

Wszyscy byli odziani w proste stroje, choć materia ich myśliwskich kostiumów oraz jakość pasów, butów i ostróg wskazywała, że nie są sługami, mimo że nikt im nie służy.

Nie. Wszyscy służyli jednemu człowiekowi, siedzącemu najbliżej chaty, i zginali przed nim kolana. Człowiek ów nie obejrzał się nawet, gdy Claes podszedł bliżej. Uczynił to tylko jeden z obecnych, który następnie wstał i wyszedł mu naprzeciw. Claes nie znał tu nikogo, wiedział jednak, że człowiek siedzący tuż obok chaty to delfin, a wszyscy wokół są jego serdecznymi przyjaciółmi. A zatem - Bastard z Armagnac i pan na Montauban. Być może także Jean d'Estuer, pan de la Barde. Jean Bourre, sekretarz. I ktoś dobrze urodzony w roli osobistego strażnika... prawdopodobnie ów zbliżający się człowiek, który z bliska zadziwiająco przypominał kogoś napotkanego po raz pierwszy wśród śniegów Sabaudii.

- Monsieur Raymond du Lyon? - zapytał Claes. - Cieszę się, że was spotkam.

- I ja także, monsieur Nicholas - odparł tamten. Włosy pod rondem kapelusza były ciemne jak u Gastona i miał barki szermierza. W miłym, swobodnym uśmiechu odsłonił trzy ułamane zęby. - Ufam, że nie ponieśliście szkody wskutek naszego sposobu odłączenia was od reszty kompanii? Długo próbowaliśmy wymyślić inny, delikatniejszy.

- Do takich jestem najbardziej przyzwyczajony - stwierdził Claes. - Wasz brat może to potwierdzić.

Raymond du Lyon uśmiechnął się ponownie, lecz powiedział tylko:

- Jaśnie wielmożny delfin życzy sobie porozmawiać z wami. Chodźmy.

Księżę, który siedział na poduszce rozkładając krzywe nogi, doskonale pasował do opisu rozpowszechnionego poprzez plotki. Pod wąskim rondem kapelusza widać było cienki, haczykowaty nos, grube wargi, drobny podbródek. Ktoś nazwał go *najbardziej podejrzliwym człowiekiem na świecie*. Ładna Małgorzata ze Szkocji poślubiła go mając lat jedenaście, a rozpieszczana przez teścia, umarła buntowniczo jako dwudziestolatka, nieprzejednanie bezdzietna, na diecie z zielonych jabłek i octu. Brzydka Charlotta z Sabaudii, która wyszła za niego w wieku lat dwunastu, była już jako dwudziestolatka dwukrotnie w ciąży i nie miała żadnej sposobności, by być rozpieszczaną przez ojca Ludwika. Delfin nie widział ojca od trzynastu lat. Odkąd umknął do Burgundii, a jego ojciec wypowiedział sławny dowcip: *Księżę Burgundii wpuścił lisa, który powyjada mu kurczęta*.

Jadł je właśnie, zawinięte w serwetkę. Claes przybliżył się, a przypomniawszy sobie, że nie może przynieść wstydu Feliksowi, przyklęknął przepisowe trzy razy, delfin zaś odstawił danie i wytarł usta i ręce. Claes ucałował jego palce, pachnące i lisem, i kurczętami. Został usadowiony na trawie; dano mu kawałek kurczęcia, polany sosem. Pojawił się także drewniany kufel z winem z Bordeaux.

Delfin odezwał się po francusku. Jakaś wada w budowie podniebienia albo szczęki, lub może języka, sprawiała, że słowa były zatarte i nie zawsze wyraźne. Nie przeszkadzało mu to jednak przemawiać często i szybko.

- Mam kłopot i poszukuję młodego umysłu, mój dobry Nicholasie. Monsieur le Batarde, gdzie to jest?

Jeden ze szlachejnych panów wstał bezszelestnie, otworzył sakiewkę i podał delfinowi arkusz papieru. Nie, pergaminu. Pokrytego diagramami. Delfin podsunął go Claesowi.

- Naturalnie byłeś w Leuven ze swym młodym panem Feliksem. Widziałem cię na wykładach dobrego pana rektora - Monsieur Spierincta. Wykonał dla mnie ten wykres, czasami jednak mój nieszczęsny umysł jest tak zaprzątnięty innymi sprawami, że nie pamiętam klucza. Rozszyfruj mi to:

Była to przepowiednia astrologiczna po łacinie i grecku. Wszyscy wiedzieli, że delfin zatrudniał własnych astrologów. Jeden z nich był prawdopodobnie obecny.

Claes czy Nicholas? Nicholas utkwiał w delfinie poważne spojrzenie i rzekł:

- Tak, panie. mój. Złamałem szyfr Medyceuszów.

Poczuł za sobą ruch. Przed sobą widział oczy, które wydawały się ostrym myśliwskim nożem napotkanego starca.

- Cóż - powiedział delfin - wykonałeś ruch koniem, lecz pociągnąłeś za sobą mój powóz. Postępuj krok za krokiem. Czy możesz przetłumaczyć ten dokument?

- Przebaczenie, panie mój - rzekł Claes. Wziął arkusz i przebiegł po nim oczyma. Po chwili stwierdził: - Do tego miejsca mogę odczytać. Dalej musiałbym nanieść poprawki. Kopista popełnił błąd.

Ktoś z obecnych stanął u jego boku. Delfin przemówił:

- Słyszycie, panowie? Mój kopista popełnił błąd. Pokaż gdzie, Nicholasie.

To także było do przewidzenia. Kiedy delfin mówił, Claes dochodził metodycznie do ostatnich wniosków. Sprawdził wyliczenia. Później uniosł pergamin, używając kości z kurczęcia jako wskaźnika.

- Te liczby są błędne. Zamiast nich powinno tu być coś w tym rodzaju...

W połowie jego dalszej wypowiedzi człowiek stojący obok przerwał mu nagle. Jego twarz okrywał rumieniec.

- Jaśnie wielmożny delfinie, on ma słuszność - powiedziała.

Na chwilę zapadła cisza. Delfin wydawał się zaskoczony.

- Dajcie zatem chłopcu więcej wina i jadła! - zawołał. - Czy musi unosić kość, by wypominać nam brak gościnności? Nicholasie, mój przyjacielu, szczęśliwe to spotkanie. Stoimy na tej samej szachownicy. Pytanie brzmi tylko: czy po tej samej stronie?

- Monsieur Gaston wam powie, o panie - odparł Claes. - Pracuję dla obywatelki Brugii. Jej oddział najemny został wynajęty przez księcia Mediolanu, by wesprzeć króla Ferrante z Neapolu. Z moich usług kurierskich korzysta książę, kompania medycejska i wy sami, by przekazywać przesyłki i wieści. Dostarczyłem wam wiadomość od monsieur Gastona i wielmożnego księcia Mediolanu, i z rąk Messer Arnolfiniego otrzymałem godziwą zapłatę.

- To tylko pierwsza oznaka naszych ciepłych uczuć dla ciebie - uśmiechnął się delfin. - Taka więc musi opierać się na zaufaniu, nieprawdaż? Na przykład, jest rzeczą kłopotliwą, że wiadomość dla mnie od monsieur Gastona lub wielmożnego księcia mogła wpaść w inne ręce. A przecież, jak się dowiadujemy, mój znakomity ojciec doskonale wie, że monsieur Gaston przebywał w Mediolanie, a nawet, że w moim imieniu odwiedził Sabaudię.

- Delfin uniósł rękę i wykonał pół znaku krzyża grzbietem dłoni, zażegnując trwogę. - Nie żeby król, mój ojciec, miał mi to za złe. Moją rodzinę łączą z Sabaudią podwójne więzy; to naturalne, że krążą pogłoski. - Nie spodziewanie wysunięta ręka wpiła się w ramię Claesa jak szpony pikującego ptaka. - Ty, mój chłopcze, potrafisz to docenić. Thibault i Jacques de Fleury z Genewy to twoi krewni, o ile mi wiadomo.

- Monsieur Gaston zna moje położenie - odparł Claes. - Jestem nisko urodzonym pociotkiem. Nic im nie zawdzięczam, a oni wolą nie mieć ze mną do czynienia. Jest dziedziczka z prawego łóża. Nie mam nic do stracenia ani do wygrania, jeżeli postanowicie zdobyć ich posłuszeństwo.

- Oczywiście, wierzę ci - rzekł delfin - choć niezyczliwa osoba mogłaby twierdzić, że moja łapówka dla monsieur Jacquesa de Fleury trafi po części do twojej sakiewki. I że nawet przyjąwszy pieniądze rodzina ta może okazać się na tyle nieuczciwa, że będzie potajemnie służyć memu ojcu. Na razie...

Urwał, a Claes spuścił oczy.

- ... na razie monsieur Gaston powiada, że panowie Thibault i Jacques pozostali wierni księciu Sabaudii i memu ojcu. Zaproponował im znaczną sumę. Jak mówiłem, ojciec wie o wizycie mego szambelana. Prawdopodobnie dowiedział się od twego stryjecznego dziadka i jego rodziny. Ale ty twierdzisz, że nie masz z nimi nic wspólnego.

- Panie mój - rzekł Claes - wy też jesteście spokrewnieni z Andegawenami.

Ponownie wyczuł lekki ruch za plecami. Ponownie dostrzegł chmurne spojrzenie znad długiego, spiczastego nosa. Następnie delfin uniósł rękę, mocno trzepnął Claesa po ramieniu i cofnął dłoń.

- I znowu gramy w szachy - powiedział. - Każdy ruch posuwa nas do przodu. Czy jednak tylko to ma nas przekonać o twojej dobrej wierze? Czy nie zdarzy się tak, że wyciśniesz z nas wszystkie tajemnice i pieniądze, po czym umkniesz do swojej dobrej chlebobawczyni? Do Wenecji, na przykład. Najwięksi znawcy mówią, że odłożyłeś już sobie co nieco na życie; i wiemy, oczywiście, jak ceni cię ród Acciajuoli. Skąd mogę mieć pewność, że tajemnice mojej korespondencji będą bezpieczne w rękach kogoś, kto łamie wszelkie kody?

Delfin splótł palce, a jego spojrzenie było spokojne. Claes rozmyślał. Pozostali przerwali posiłek. Rozmawiali szeptem, pozornie nie zwracając uwagi na słowa delfina. Astrolog o nieznanym imieniu dołączył do ich grona. Zza drzew, gdzie pasły się konie, wyszedł jakiś człowiek; rozejrzał się i wycofał pospiesznie, lecz Claes zdążył go zauważyć.

- Cóż, panie mój, to właśnie jest kłopotliwe w przypadku posłańców - rzekł. - Nigdy nic nie wiadomo. Możecie wynagrodzić ich tak sownie, że będą was przedkładali nad wszystkich innych; nigdy jednak nie wiecie, czy ktoś inny nie robi tego samego. Możecie użyć gróźb, a jeśli popełni błąd, natychmiast go macie. Jedynym pewnym sposobem jest nie zatrudnianie go. Mojej chlebobawczyni, o panie, dobrze płaci księżę i Medyceusze. Nie ma potrzeby, abyście mnie zatrudniali.

Delfin zerwał źdźbło trawy i przyglądał się mu, odsunawszy na długość ramienia. Później zgiął rękę i zaczął obracać źdźbło w palcach.

- Masz zupełną słuszość. Czyż mógłbym oczekiwać korzyści przewyższającej takie niebezpieczeństwo?

Claes wpatrywał się w smagłą twarz księcia.

- Możecie, panie, najać mnie jedynie do przesyłek urzędowych, a inne powierzać bardziej wiarygodnym posłańcom, o ile ich macie.

Źdźbło trawy zawirowało.

- Cóż za godny ubolewania brak ambicji! Oto chłopak, który potrafi przechytrzyć astrologów, a nie wie, jak obrócić swe zdolności w gotówkę!

- Delfin uniósł głowę. - Jean, mon compere. Co możesz powiedzieć 0 szyfrach?

Bourre, sekretarz księcia. Jeden z siedzących mężczyzn wstał, zbliżył się i przykleknął.

- O wiele za mało, monseigneur.

- Tu oto mamy znawcę - źdźbło trawy wskazało Claesa. - Przyjacielu - delfin zwrócił się do Claesa - twe umiejętności warte są zapłaty. Czy nie pojmujesz tego? Wysokiej zapłaty. Pod warunkiem, że poświęcisz je wyłącznie naszej osobie. Messer Cosimo i Messer Cicco to moi dobrzy przyjaciele, lecz ich szyfry i tak są najlepsze na świecie. Twe zdolności potrzebne są nam, usiłującym nie pozostawać w tyle.

Claes podniósł swe spojrzenie z księcia na sekretarza i odparł pokornie:

- Oczywiście, monseigneur. To dla mnie zaszczyt. Sługa może osiągnąć tylko tyle, na ile pozwalają jego umiejętności, a w pewnych sprawach moje wtrącanie się mogłoby przynieść jedynie szkody. Monseigneur rozumie?

- Naturalnie - powiedział delfin. Uśmiechnął się do de la Barde'a.

- I jeszcze... - zaczął Claes nieśmiało.

- Tak? - tym razem delfin był nieco zniecierpliwiony.

- Proszę delfina o wybaczenie - rzekł Claes. - Im więcej jednak czasu poświęcam takim sprawom, tym mniej go mam dla Charettych. Monsieur Feliks, jak wiecie, jest zdolnym młodzieńcem i pewnego dnia godnie stanie na czele przedsiębiorstwa. Obecnie jednak pochłaniają go inne przyjemności.

Delfin wymownie uniósł ramiona.

- Słyszycie, przyjaciele? Oto z mej gościnności czyni mi się zarzut! Czy chcecie pozbawić mnie towarzystwa tego uroczego młodzieńca? Pochlebiam sobie, że i jego to zasmuci. Z jaką przyjemnością oglądał nasze psiarnie, ujeżdżał nasze konie, ćwiczył się w sztuce walki!

Claes milczał. Delfin opuścił ręce.

- Masz jednak słuszość. Wzywają go obowiązki. Jest potrzebny rodzinie. Nie będę już odciągał go od kadzi barwierskich. Ale co mam mu rzec?

- Wiem, że będzie zrozpaczony - powiedział Claes. - Nie wiem, czy mogę mieć czelność podsunąć memu panu wezwania monsieur Feliksa po raz ostatni w dniu świątecznej uczyty, kiedy nie sprawi kłopotu swą obecnością w Genappe? Na przykład w drugą niedzielę po Wielkanocy?

Oczy ich spotkały się na chwilę, po czym delfin odwrócił się do sekretarza.

- Oczywiście! Tak się stanie - oznajmił. - Mój przyjaciel, monsieur Bourre zanotuje to. Młody monsieur Feliks otrzyma zaproszenie. I dopatrzymy, by nam nie odmówił. Czy tego sobie życzysz?

- Dokładnie - odparł Claes. - Panie mój, to przyniesie korzyść wszystkim obecnym. Jestem wdzięczny.

- Dobrze! - rzekł delfin. Odrzucił źdźbło trawy i wstał, oparłszy dłoń na ramieniu sekretarza. Jego kolana nad cholewami butów wyraźnie zwracały się ku sobie. Szczupłe i umięśnione uda ginęły pod krótką tuniką myśliwską. Oczy spod wysokiego kapelusza, zwanego „głową cukru”, spoczęły na reszcie towarzystwa, która dźwignęła się na nogi, zamykając i porządkując kosze. Zza drzew dobiegł tętent koni. Delfin spojrział na Claesa, który także wstał, teraz jednak ukląkł raptownie.

- Rozumiemy się nawzajem - powiedział delfin. - Jesteś zacnym chłopcem i będziesz mi dobrze służył. Monsieur Bourre pośle po ciebie; i monsieur Arnoulphin, którego już znasz. Mam nadzieję, że zostałeś wynagrodzony za ekwipunek, który przywozłeś?

- Do ostatniego grosza na wekslu - odrzekł Claes z wdzięcznością. Delfin zmarszczył brwi.

- Powinniśmy byli postąpić z tobą lepiej! Panie de la Barde!

Najwytworniej spośród obecnych ubrany mężczyzna postąpił krok naprzód.

- Dopilnuję tego, monseigneur.

Delfin uśmiechnął się przelotnie do Claesa.

- Rozumiesz, moje dziecko? Nie odchodzisz z tej polany spowity w złotogłów, z pierścieniami na palcach czy choćby ze złotem w sakiewce. Ten dzień sprawi jednak, że nie będziesz człowiekiem ubogim. Pod warunkiem, że okażesz się lojalny, w co nie wątpię. Inna możliwość nie wchodzi w rachubę. Niech cię Bóg prowadzi.

Claes ucałował kościste palce, wstał, cofnął się - i wpadł na Raymonda du Lyon, który pochwycił go za łokieć, odwrócił i odprowadził kilkanaście kroków od polany. Czekał tam koń z naprawionym siodłem na grzbiecie.

- Upadek was ogłuszył, a pomógł wam chłop pracujący w polu. Łowy odbywają się niedaleko. Wiecie, gdzie leży broń?

- Pod motyką - odparł Claes. - Chyba że ktoś skradł motykę. Już za późno, by ruszać w drogę powrotną.

Raymond du Lyon odsłonił trzy ułamane zęby.

- Młody monsieur Feliks otrzymał już wiadomość przez lokaja. Delfin ubolewa, lecz zmienił plany i spotkanie nie może się odbyć. Przygotowano jednak pokój dla was obu w Wavre. Już opłacony.

- Monsieur Feliks będzie się cieszył - stwierdził Claes. Szybko odnalazł broń. Pożegnał brata Gastona du Lyon i odjechał. Miał wrażenie, że brak mu tchu, podobnie jak wtedy, w lutym, kiedy wyszedł z lodowatej wody. Gdzieś pod powierzchownym wstrząsem uczucie przyjemności walczyło o lepsze ze zdrowym rozsądkiem.

ROZDZIAŁ 24

W strojnej sukni i strzelistym nakryciu głowy, Katelina van Borselen ze swymi rodzicami i sporym orszakiem jechała pod sztandarem rodu Veere ulicami Gandawy. Miała przy sobie pisemną zgodę swego suzerena, księcia Filipa, na odwiedzenie Bretanii i podjęcie obowiązków damy dworu owdowiałej księżny szkockiej. Jutro udadzą się do Zeeland. Na dzisiejszą noc zamówili pokoje w jednej z większych gandawskich oberży. Kiedy wjeżdżali na dziedziniec, ojciec zatrzymał się znowu, by powitać znajomą osobę, a żona, córka i służcy raz jeszcze przystanęli posłusznie.

Wówczas Katelina zobaczyła, że znajomą osobą jest syn Marian de Charetty, za nim zaś stoją dwaj stajenni i Claes. Claes, którego nie widziała od owego poranka po zapustach. Claes, który z wielką dwornością wziął to, co mu wmusiła; a potem sięgnął po to samo drugi raz - co wspominała z zadowoleniem - już wyłącznie dla własnej przyjemności. Chyba, że był jeszcze sprytniejszy, niż jej się wydawało.

Ani tamtego ranka, ani później nie czuła wstydu z powodu tego, co się stało. Dokonała trafnego wyboru. Nie została potraktowana grubiańsko. Skłonna była wierzyć, że jej inicjacja miała - biorąc pod uwagę okoliczności - charakter łagodniejszy niż mogłaby mieć w małżeńskim łożu szlachetnego syna z Courtrai czy nawet Guildolfa de Gruuthuse, nie mówiąc już o Jordanie de Riberac i jego obmierzłym synu. Była Claesowi wdzięczna, choć pod jednym względem popełnił błąd. Tak jak powiedział - zanadto ją rozbudził.

Można by zatem pomyśleć, że po raz pierwszy skwapliwie zabrała się do wertowania uzupełnionej listy konkurentów, młodszych i starszych, narzuczanych jej przez matkę. Że zaczęła - pod wpływem odczuwanego niekiedy, przedziwnego bólu - szukać towarzystwa młodych mężczyzn, którzy odwiedzali jej dom, towarzyszyli jej krewnym i usiłowali się jej przypodobać. Niedorzecznością było, że tego nie czyniła. Podobno kacze piskłę, wyklute poza zasięgiem matki, pójdzie za pierwszą istotą, jaką zobaczy. Broń Boże, aby miała spędzić resztę życia szukając kogoś, kto umieszczony w wannie mówiłby jak... wyglądałby jak... obchodziłby się z nią tak jak ten chłopak, Claes.

Myślała zwłaszcza o następnym spotkaniu. Pomimo różnicy stanów Claes i ona nie mogli się nie zetknąć w ciągu najbliższych tygodni. Wierzyła, że nie będzie zbyt poufały. Okoliczności wymagały jednak pewnych dowodów uznania - nieco innej postawy, w szczególny sposób przyjaznej, nawet w miejscu publicznym. Musiała jakoś sobie z tym poradzić - i on także.

Tak czy inaczej stwierdziła, że ciekawi ją, co się z nim stało. Odkryła, że jako kurier znalazł się nieco wyżej na drabinie społecznej; że jego chlebodawcy pozwalali mu zdobywać doświadczenie w interesach wszelkiego rodzaju. Wolno było teraz Claesowi towarzyszyć Marian de Charety podczas spotkań z innymi przedsiębiorcami; i nie traktowano go wyłącznie jak służącego, lecz mógł siedzieć cicho z boku i czasami sporządzać notatki, jak gdyby był Meester Juliuszem. Szanująca się kobieta powinna mieć rzecz jasna, i służę, i osobistego strażnika. Ludzie wciąż się śmiali, gdy była mowa o Claesie.

Katelina słyszała wciąż o nim, a spotkanie nie następowało. Od tamtej karnawałowej nocy widziała go przelotnie tylko raz, następnego dnia, kiedy domowników przyciągnęło do okien niezwykle dzwonienie. Zwabiona ich wesołością także podeszła i zobaczyła przemykającego Claesa w pomiętym, niebieskim ubraniu, dziwacznie przystrojonego kozimi dzwoneczkami. Biegło za nim truchtem stadko kóz. Rozglądał się, dziarsko odpowiadając na gwizdy i radośnie odwzajemniając obelgi, a jego spojrzenie przeskakiwało po skrzydłach okiennic. Ze swego okna próbowała przekazać mu uśmiechem swobodę i życzliwość, którą czuła owego ranka; i ruchami dłoni chciała powiedzieć mu: „Wszystko dobrze”.

A teraz spotkali się ponownie. Wydawał się starszy. Było to niemożliwe - po upływie sześciu czy siedmiu tygodni. Rysy ludzkich twarzy, w zależności od wykonywanej pracy, kształtują się rozmaicie. Przebywanie w zamkniętych pomieszczeniach, w piwnicach i farbiarni, w cieple i wśród przykrych wyziewów, nadało jego twarzy - jak pamiętała - krągłszy i łagodniejszy kształt. Jego wyjątkowo duże oczy, patrzące na nią teraz, miały wyraz przyjazny... wyciszony, przepraszający, z odrobiną pokory. Przepraszając, gdyż - jak przypuszczała - nie przewidział, że się spotkają. Nikomu jednak nie stała się przez to krzywda. Ona jechała właśnie do Bretanii, a on najprawdopodobniej musi udać się niebawem do Mediolanu.

Świeża, poszarpana blizna nie dochodziła już pod samo oko, lecz zmieniła się w grubą, różową smugę, jak gdyby ktoś przeciągnął mu po policzku patykem zanurzonym w farbie. Miał na sobie ten sam kubrak i kurtkę, które suszyła wówczas przy ogniu. Rozdarcie zostało zaszyte, a cały ubiór był wyprasowany i zadbany.

Miody Feliks natomiast wyglądał tak, jakby przydarzył mu się jakiś wypadek. Połowa jego fioletowych falban była podarta, a na głowie miał kapelusz nie pasujący do reszty stroju. Katelina zobaczyła, że ojciec pyta go o coś. Stojący z tyłu Claes odpowiedział lekkim ukłonem na uśmiech jej matki. Później przeniósł spojrzenie na Katelinę, która uśmiechnęła się także, podczas gdy on wpatrywał się w spiczaste przybranie jej głowy.

Matka darzyła sympatią Claesa, który okazał się tak wzorowym towarzyszem dla Gelis w noc zapustów. Sługa, sownie opłacony, odprowadził dziewczynkę do domu tamtej nocy, jak gdyby nic się nie stało. Z odzwiertnymi w domu ojca sprawa była jeszcze prostsza. Wyglądało na to, że nikt ich nie przekupił. Widzieli Katelinę i jej zamaskowanego towarzysza wychodzących i powracających. Nie widzieli jego ponownego wyjścia, ponieważ - jak Katelina wyjaśniła matce - wyszedł niemal natychmiast przez furtkę. Matka, słuchając, odnosiła się dość surowo do córki z powodu odrzucenia Guildolfa de Gruuthuse. Katelina nie określiła jasno, czy jej odmowa nastąpiła na początku czy pod koniec wieczoru. Nie przypuszczała, by Guildolf był skłonny do przechwałek. Żadnemu z rodziców nie powiedziała w końcu o Jordanie de Riberac.

Wicehrabia de Riberac opuścił Brugię następnego dnia. Z pewnym trudem samodzielnie uzyskała tę wiadomość. Okazało się, że Claes także o to wypytywał. Poczła ulgę; uświadomiła sobie, że ktoś ją ochrania. Niedorzeczne uczucie. Jeśli było coś pewnego na świecie, to to, że Claes zginie, jeśli de Riberac kiedykolwiek dowie się o tym, co zaszło. Claes wiedział, że konieczne są środki ostrożności.

Tak czy inaczej, chronili ją rodzice. Tyle, że rodzice znowu rozmawiali o kandydatach do jej ręki. Tym razem nie było ucieczki. Teraz już nie mogła wybrać klasztoru. Wybrała Bretanię. Jeżeli bramy życia nie otworzą się przed nią, zmusi je do tego.

Nie. To już zrobiła.

Jej wspólnik w tym doświadczeniu był właśnie zajęty zamykaniem ich na nowo. Tak, jonkheere Feliks także nocuje w Gandawie. Nie, Claes żałował, lecz zamówił łoża dla jonkheere Feliksa i dla siebie w innej oberży, nie w tej. Czy nie powiedział o tym jonkheere Feliksowi? Pewnie zapomniał.

Ojciec, człowiek dobronny, nie namawiał młodzieńców do zmiany planów. Była to droga oberża. Zaprosił natomiast syna starego przyjaciela Cornelisa na kolację w rodzinnym gronie. Oczywiście razem z Claesem, który był tak opiekuńczy dla ich małej Gelis. Katelina pomyślała, że przyczyni się to istotnie do podtrzymania w Brugii przekonania o lepszym losie Claesa. Zachwycony Feliks przyjął zaproszenie, a jego uległy kwatermistrz nie odezwał się już ani słowem.

Ojciec nazywał go Claesem. Cała Brugia знаła go pod tym imieniem i być może nigdy nie nada mu innego. Katelina powzięła mocne postanowienie, by tak właśnie nazywać go w myślach - od tamtej nocy. Nie zapomniała tego, co jej powiedziała, a co było prawdą.

Rozstali się bez ceremonii; Feliks de Charetty i jego grupa odjechali, by pozostawić konie i rzeczy w innej gospodzie, której nazwy Claes jakoś nie mógł sobie przypomnieć. Później powrócili jako goście, by zjeść kolację z Florencjuszem van Borselen.

Ojciec Kateliny wynajął prywatną jadalnię dla swej rodziny i zaprosił także innych gości - gandawskich mieszczan z żonami; jednego z nich - z córką. Kancelista van Borselenów został z rozwąga posadzony obok Claesa. Izba była mała, z czystą, wyłożoną kafłami podłogą i długim stołem, przykrytym płóciennym obrusem z mereżką. Towarzystwo, zasiadłszy na trzech ławach, jadło, piło i wiodło przystojne rozmowy; a doskonali słudzy ojca Kateliny krzatali się przy stole. Katelina zauważyła, że jedyna w tym towarzystwie młoda panna spogląda na Claesa i odwraca wzrok, by po chwili znów zerknąć na niego. Nie dał poznać po sobie, że to dostrzegł, lecz Katelina była o tym przekonana. On i kancelista mieli sobie niezmiernie dużo do powiedzenia.

Matka - co było do przewidzenia - mówiła o Brukseli. Młody Feliks dorzucił kilka słów, lecz wkrótce zmienił temat i wdał się w szczegóły i dość przypoehlebny opis polowania z psami delfina. Gdy skończył, jej ojciec zaczął opowiadać o ponętach Leuven, o tamtejszych uczonych i - z uprzejmości - o filii przedsiębiorstwa Charettych, a zwłaszcza o tym, co jego zdaniem mogło wydawać się wdzięcznym tematem tak dla Feliksa, jak i dla Claesa.

- Ojciec - odezwała się Katelina - zapominasz, że Claes porzucił to zajęcie, by dostarczać przesyłki.

Matka poklepała ojca po ręce,

- Otóż to, Meester Florencjusz, istotnie zapomniałeś o tym. A to przepiękne srebrne jabłko z Mediolanu, które dostała Gelis? Słyszałam, że miasto jest wspaniałe. Ale książe kapelan był zgorszony, gdyż tamtejsze damy zbyt często używają bielidła. Jest człowiekiem o szerokich horyzontach, lecz farba... to było dla niego za dużo. Opowiadał nam o tym.

Ojciec Kateliny rzadko słuchał tego, co mówiła jego żona; obyczaj ten, jak często myślała, przyczyniał się do słodyczy jego charakteru. Teraz zapytał:

- Przesyłki? Zapewne bywasz dzięki temu w ciekawych miejscach. Czy pracujesz dla delfina?

W policzkach Claesa pojawiły się dwa zwodnicze dołeczki. Dziew-

czyna... kim była? Katelina nie słuchała, kiedy ojciec ją przedstawiał... dziewczyna zerknęła na nich i jej oczy powróciły do Claesa, który powiedział:

- Wiem, że jonkheere Feliks poluje z ogarami delfina, lecz gdy mowa o znajomości, nie mierzymy aż tak wysoko. Pracuję dla Angela Tani, banku Strozzych i Doriów.

- Może ty nie spotkałeś się z delfinem, ale ja tak - oznajmił Feliks. Jego loki, tym razem wyjątkowo mocno zakręcone, podskoczyły, gdy odwrócił głowę ku gospodarzowi i gospodyni. - Genappe to zachwycający zamek. Spodziewam się, że jest wam znany?

Nie był im znany, więc Feliks zaczął o nim opowiadać. Słuchając go Katelina powątpiewała, czy zna ów zamek tak dobrze i czy często w nim bywał. Pomyślała, że to właściwie wszystko jedno. Podejrzewano, że każdy spisek bierze początek w Genappe. Zbytnią zażyłość nie wyszłaby na dobre przedsięwzięciu Charetych.

- Wszystko to przemawia na korzyść zgodnego życia rodzinnego - wtrąciła matka - nawet jeżeli nie posiada się wielkich domostw, licznej służby i chat myśliwskich w każdym lesie. Na przykład król Francji: schorowany, pozbawiony miłości, choć ma dziesiątki jedwabnych szat i barwnych kubraków... a jego najbardziej zajadłym wrogiem jest własny syn.

- Trudno tu mówić o braku miłości, moja droga - odparł z uśmiechem ojciec Kateliny. - Proszę mi darować, ale to właśnie jej nadmiar, jak powiadają, stał się przyczyną choroby. Tak, to smutne. Synowska niechęć do ojca kiedyś mija. To rzecz naturalna u dojrzewającego mężczyzny. Jeśli jednak ojciec nienawidzi syna... jest to sprzeczne z naturą.

- Spójrz więc na księcia Burgundii! - rzekła matka. - Jednego tylko ma syna: czarującego, pobożnego, czystych obyczajów. Najznamienitszego pana w Niderlandach, wielkiej waleczności, żeglującego po najbardziej niespokojnych morzach, tęskniącego jedynie za chwilą, gdy dowiedzie swej wartości w bitwie. A popatrz, jak nienawidzi swego ojca; ojciec zaś jego! Ta ich straszliwa kłótnia! Gdyby nie delfin, byłiby się pozabijali. Nieszczęsna księżna opuściła pałac. A teraz, kiedy delfin zabiera młodego Karola na polowanie, księżę jest wściekły. Podobno król Francji powiedział żartem, że może adoptować książecego syna, skoro jego własny woli księcia niż rodzzonego ojca. Widzisz, do czego doprowadza posiadanie ziemi i władzy!

Goście, którzy poznali już żonę Florencjusza van Borselen, uśmiechali się ze znużeniem, przezornie zachowując milczenie. Katelina i jej ojciec wytrwali jak zwykle do końca przemowy. Wreszcie ojciec rzekł tylko:

- Radzę ci uważać na to, co mówisz, moja droga, gdyż Katelina może

zechcieć wziąć za męża żebraka, w obawie, że inaczej jej potomstwo zwróci się pewnego dnia przeciwko niej.

Nie wspomniał o Szymonie z Kilmirren, którego więź z własnym ojcem nazwał kiedyś „nienaturalną”. I o którym Katelina myślała niegdyś przelotnie jako o kandydacie na małżonka.

Feliks oblał się rumieńcem. Claes spojrział na niego, zawahał się i nic nie powiedział. Po chwili Feliks przemówił:

- Nie twierdzę, że słuszność leży po stronie delfina czy hrabiego Charolais. Ale mężczyźni nie zawsze chcą wykonywać rozkazy. To nie musi mieć nic wspólnego z ziemią czy władzą.

- Słusznie - przyznał ojciec Kateliny. - Nawet niewiasty czasami sprzeciwiają się rozkazom. W niektórych rodzinach jednak skutki bywają bardziej dalekosiężne. Niezgoda książąt może zgubić kraj. Kłótnia między ojcem i synem potrafi doprowadzić do upadku przedsiębiorstwa. Spór rybaka z synem może sprawić, że Łódź nie wypłynie w morze i stracą zarobek. Stąd królowie miewają licznych bękartów: aby, kiedy zawiodą ich synowie, mieć zaufanych mężczyzn tej samej krwi. Stąd człowiek posledniejszego rodu podtrzymuje więź z wujami i kuzynami, może ich bowiem kiedyś potrzebować. Wielu ma lepszych synów w siostrzeńcach czy bratankach niż wśród własnych dzieci.

Katelina nie słyszała dotąd, by jej ojciec tak mówił. Zdała sobie sprawę, że obecność bękartu Claesa uniknęła jego uwadze - i rozejrzawszy się zobaczyła tegoż bękartu, patrzącego na nią uspokajająco i z lekkim robawieniem. Nagły wybuch matki przykuł jej uwagę.

Matka była osobą wybuchową, a oni zazwyczaj czekali po prostu aż jej złość minie. Tym razem była głęboko oburzona na myśl, że jej małżonkowi mogłoby przyjść do głowy przedkładanie dziecka jakiejś kobiety nad jej drogie, z prawego łóża zrodzone córki. Była pewna, że inne damy przy stole czują to samo. Uważała, że liczba książęcych bastardów jest haniebnie wielka. Czy jej małżonek chciał powiedzieć, że dwie nieprawie córki delfina są częścią polityki państwowej?

Najważniejszy gość, mający pewne doświadczenia z rodziną van Borselen, zachował zimną krew i nieoczekiwanie odkrył, że pora jest bardzo późna i że on sam zasługuje na naganę nie pozwalając Meester Florencjuszowi i jego małżonce udać się na spoczynek. Sami jednak są temu winni - tak ujmująca była ich gościnność, tak zachwycające towarzystwo.

Goście wstali, a za nimi - z ociąganiem - Claes i Feliks. Nieznajoma panna potrzebowała pomocy Claesa, by wysunąć się zza stołu. Miał oczy głupie jak zamorska małpa. Właśnie tak. A mięśnie rozsadzające jego rękawy wzięły się z upychania płótna w kadziach. Dołki w policzkach zadrżały,

a dziewczyna powiedziała coś do niego, unosząc roziskrzony oczy. Odpowiedział jej. Uśmiechnęła się.

- Katelino! - przemówił ojciec - Nie śpij! Proszę cię, odprowadź damy.

Uczyniła to ceremonialnie i z pewną zgryźliwą uciechą. Patrzyła, jak mijają zewnętrzną bramę gospody, a później odwróciła się, by ruszyć za ojcem i jego sekretarzem. I wpadła na kogoś.

Prawie niewidzialna dłoń powstrzymała jej łokieć. Claes powiedział:

- Otrzymała w spadku trzy piekarnie w Alost. Co wy na to?

Ból zniknął jak zagięcie wygładzone żelazkiem. Katelina uniosła rękę, a gdy on opuścił swoją, pochwyciła ją i przytrzymała wbrew jego woli. Pochodnie z dziedzińca gospody oświetliły ich obydwój i zobaczyła jego oczy przeskakujące na jej ojca, który czekał na schodach, i znowu na nią. Ścisnęła jego dłoń w-cieniu. Uśmiechał się.

- Och, Matko Boża, musisz iść - powiedział. A w niej odezwał się inny ból.

Ojciec zawrócił i ze zniecierpliwionym wyrazem twarzy zaczął schodzić po stopniach. Katelina odezwała się głośno:

- A zatem, do jutra rana. Moja służebna da ci paczkę. Nie masz nic przeciwko temu, ojczu? Claes był tak dobry, że podjął się dla mnie pewnego zadania.

Ojciec także uśmiechnął się do niego.

- Zaczny z ciebie chłopak - rzekł. - Młody Feliks nie mógłby znaleźć się pod lepszą opieką. Żałuję tylko, że wyjeżdżasz z Brugii. Zew młodości, co? I ambicja... I jestem pewien, że dasz sobie radę.

Feliks, którego wezwała raczej natura niż młodość, i to z kłopotliwą gwałtownością, powrócił i wyraził ponownie podziękowania. Wyszli obydwaj, a zanim jeszcze opuścili dziedziniec, Feliks zbeształ Claesa za to, że nie pomyślał o wynajęciu pokoju w tej samej oberży. Claes, który zazwyczaj odgryzał mu się i pomagał odzyskać dobry nastrój, był tym razem mniej rozmowny niż powinien.

Zawinił tu van Borselen. Nie powinno się nigdy zapraszać służby do stołu. Potem myśla, że im wszystko wolno.

Katelina zamknęła się u siebie. Poddawanie młodych mężczyzn próbie, zwodzenie ich - to był przywilej damy. Jeżeli Claes nie przyjdzie, sprawa skończona. Jest sługą i tchórzem.

Jeżeli przyjdzie jutro do jadalni i rozgłosi wszem i wobec jej słowa, dowie się o nim czegoś nowego: że jest świętoszkiem.

Jeżeli przyjdzie prosto do jej pokojówki, ufając jej służbie, ufając jej

możliwości przepłacania, ufając jej dyskrecji - to będzie znaczyło, że jest nazbyt pewien, nazbyt pewien siebie i nierycerski. I wbrew wszystkiemu, co mówił, fałszywy.

Przyszedł przed świtem. Spała. Obudziła ją służebna. Kiedy otworzył drzwi i zamknął je jak najciszej za sobą, siedziała już wyprostowana, owinąwszy się ciasno prześcieradłem. Zapaliła świecę, osłaniając ją od strony drzwi. Rozpuściła także włosy, zdejmując siatkę, którą zakładała na noc. Zobaczyła swoje odbicie w jego oczach, jak gdyby wezwała go tu w charakterze zwierciadła. Jej włosy, prześcieradło i nagie ramiona.

Stanął w drzwiach i zapytał miękko:

- Czy są... jakieś kłopoty?

Jego głos brzmiał kojąco, lecz w wyrazie twarzy dostrzegła jednoznaczną troskę. Oczywiście. Dlatego przyszedł.

Honor wymagał, by wyprowadziła go z błędu i odesłała. Spragnione ciało zwyciężyło. Czuła suchość w gardle.

- Tak - odparła. - Są kłopoty.

Natychmiast zbliżył się do jej łoża i ukląkł, tak że ich oczy znalazły się na tej samej wysokości. Widziała połysk kilkudniowego zarostu nad jego wargami i wzdłuż szczęki. Pod oczyma, nawet gdy się nie uśmiechał, biegły półksiężycowate poduszcзки śmiechu, przyczajonego i oczekującego szczęśliwszej chwili.

Jej ręka leżała na przykryciu. Zobaczyła, że jego dłoń wysuwa się w geście zwykłej troski, by jej dotknąć; i wiedziała, że nie potrafi powstrzymać drżenia. Pod dotknięciem zadygotała od stóp do głów.

Po doświadczeniu jednej nocy umiała odczytać odpowiedź w jego łagodniejącej twarzy. Widziała, że usiłuje nad tym zapanować. Kiedy jednak zaczął się cofać, pochwyliła jego rękę. Prześcieradło zsunęło się do jej bioder. Gdyby ruszył ku drzwiom, musiałby wlec ją nagą za sobą. Aż na ulicę. Coś otwierało się wewnątrz niej; ciało zaczęło samo z siebie odmierzać rytm w dążeniu do szczytu, na który on miał ją wprowadzić. Zawołała: „Och, *pociesz mnie!*” - lecz już w chwili, gdy spieszył z odpowiedzią, pomyślała, że jest za późno.

Był doświadczony. Została ściągnięta z łoża na podłogę i w mgnieniu oka poczuła go w sobie, tym razem gwałtownie i nagląco. Przytrzymał ją, bliską szczytu, tonącą w spazmach rozkoszy. W ostatnich sekundach, z dzikim zapamiętaniem przekraczającym zwykłe miary czasu, przypieczętował to dołączając do niej.

Leżała pogrążona w nieświadomości, która mogła być snem. Kiedy się przebudziła, była z powrotem w łożu, okryta prześcieradłem. Jej ciało rozpląnęło się. Tam, gdzie przedtem tkwiła bolesna tęsknota, pulsował teraz

tępy, nieznany jej dotąd ból, zupełnie inny niż ostre, krótkie rwanie, które czuła za pierwszym razem. Przyszła jej do głowy dziwaczna myśl, że wtedy była tylko dziewczicą wziętą przez mężczyznę. Teraz w jakiś sposób stała się kobietą.

I znowu sprawił to Claes. Czy odszedł? Nie, to byłoby zbyt grubiańskie. Może czeka, ubrany, aż ona się obudzi?

Poruszyła się i natrafiła tuż obok na jego nagie ramię. Głowę miał wtuloną w poduszkę. Uczynił to, co należało, by wzmocnić i pozyskać jej zaufanie. Zapewne także z innych przyczyn. Nawet Claes nie mógłby osiągnąć tego stanu tak szybko, gdyby jej nie pragnął.

Czując jej ruchy poruszył się również, uniósł na łokciu i przesunął nie w jej stronę, lecz ku brzegowi łoża. Kiedy odwrócił się do niej, na pół siedząc, trzymał w dłoni puchar z wodą, zaczerpniętą z dzbana. Nie podał go jej od razu, tylko oparł o prześcieradło i powiedział:

- Czasami, kiedy jest tak, pierwsze ruchy mogą przyprawić o ból głowy. Lepiej przez chwilę poleżeć spokojnie.

Leżała czując, jak jej ciało uspokaja się, a z czoła znika brzemię. Nawet teraz nie ukrywał swego doświadczenia. Uniosła się nieco, wzięła puchar i napiła się wody. Claes wysunął się spod przykrycia, stawiając naczynie na podłodze. Katelina obserwowała grę jego mięśni pod skórą, od ramion przez żebra i łydźwie aż po uda, a kiedy odwrócił się do niej, nie kryła przed nim kierunku swoich spojrzeń.

- Widziałam raz młodego wołu podczas orki - powiedziała. - Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Jak wiele kobiet dzisiaj miałeś?

Milczał przez chwilę, lecz nie podciągnął prześcieradła, choć jego twarz przybrała spokojniejszy wyraz.

- Żadnej, pani - odparł.

- Rozumiem - Katelina nie spuszczała z niego oczu. - Stąd niewątpliwie... świetność... twego popisu. Gdyby mnie tu nie było, co byś zrobił? Poszedł do zamtuza?

Nie unikał jej spojrzenia.

- Samotni mężczyźni tak postępują - powiedział. - Za przyzwoleniem społeczeństwa. Pozostawiłem dziś Feliksa w jednym z takich domów.

- To znaczy, że zaoszczędziłeś dzięki mnie nieco pieniędzy?

Odczekał kolejną chwilę, ze wzrokiem utkwionym we własnych, zaciśniętych dłoniach i z jednym łokciem wspartym o poduszkę. Wreszcie powiedział:

- Mówiłaś pani, że masz kłopoty?

- Tak - odparła Katelina. Gniew i lęk zapierały jej dech. - Podoba ci się moje ciało.

Uśmiechnął się lekko do swoich rąk.

- A więc nie zdołałem tego ukryć - powiedział.

- Gdybym była twoją żoną, mógłbyś to robić dniem i nocą. Czy chciałbyś mnie poślubić? Czy może lepiej ci z innymi kobietami?

Podniósł oczy. Sięgnął po jej rękę i przyciągnął do siebie jej lekko zgięte ramię.

- Jesteś niezrównana, pani. Musimy jednak omówić kilka spraw. Nie powiedziałaś rodzicom o Jordanie de Riberac?

- Nie - odparła. - Powiedziałam, że towarzyszył mi młody Gruuthuse.

- Oczekują zatem, że go poślubisz - powiedział Claes.

Utkwiła w nim oczy.

- Czy nie pomyślałaś o tym? - zapytał. - A jeśli on bardzo chce pojąć cię za żonę, może ochoczo wyznać, że jest twym kochankiem. Widzisz, pani? Nie jesteś skazana na mnie. - Umilkł, lecz nie uśmiechał się jeszcze. Kiedy ona nie odezwała się ani słowem, podjął pieczołowicie: - Oczywiście, jeśli go nie chcesz, musisz powiedzieć rodzicom, co się naprawdę stało. Dopomogą ci, gdy wybierzesz innego męża i postanowisz odłożyć małżeństwo na później. Dobrze urodzone dziewczęta często wyjeżdżają za granicę w celu odbycia połogu, a dziecko oddaje się przybranym rodzicom.

Wszystko nagle wymknęło się jej z rąk. Uchwyciła się jednej rzeczy:

- *Powiedzieć rodzicom!* Obdarliby cię żywcem ze skóry!

Lekko wzruszył ramionami.

- Owszem, gdybym został we Flandrii. Ale są inne kraje. Jeśli nie chcesz poślubić młodego Gruuthuse, rodzice muszą wiedzieć, kto jest ojcem dziecka, by móc cię chronić. Jordan de Riberac był w twym domu przede mną. Wystarczy, że usłyszysz jedno słowo o tym wszystkim, a będzie próbował przyznać się do ojcostwa i przymusić cię, byś go poślubiła.

- Nie mógłby! - powiedziała ostro Katelina.

- Prawdopodobnie mógłby, chyba żebym potrafił dowieść mu, że straci na tym. Czy znasz Andro Wodmana?

Zeszłoroczna wojna na cześć dowódcy galer flamandzkich, podczas której poznała Jordana de Riberac. Ojciec przytaczający słowa Szkota nazwiskiem Andro Wodman, ze świty Riberaca. Pamiętała, lecz nie odpowiedziała.

- Nie? - spytał Claes. - Jest łucznikiem w straży przybocznej króla Francji. Widziałem go z wicehrabią de Riberac iw... otoczeniu delfina. Usiłował skryć się przede mną. Prócz tego - Claes cofnął dłonie i splótł je ponownie - pan de Riberac wie więcej niż powinien o Gastonie du Lyon, tajnym pośle delfina.

Claes w pobliżu delfina? Katelina odezwała się wreszcie:

- Co ty mówisz? Wielki Jordan de Riberac sprzedał się delfinowi bez wiedzy króla Francji?

- Tak myślę. Wicehrabia wie dużo, dużo więcej niż powinien.

Skąd Claes miał te wiadomości? Z pogłosek zasłyszanych w biurach, oberżach, domach publicznych? Aluzje i wymysły, sklecone w jedno mściwe fałszerstwo? Nie wspominał o tym wcześniej. Mógł nie wiedzieć. I przedtem, oczywiście, nie musiała bronić swej dobrej sławy. Blizna po uderzeniu Riberaca otworzyła połyskliwą smugę na jego policzku. Katelina spojrzała na nią, a później w jego oczy. Nie było w nich złośliwości. Uwierzyła mu.

- Masz zatem dowody - powiedziała.

- Zaledwie kilka faktów - odrzekł. - Nie szukałem niczego więcej. Ale odnajdę wszelkie potrzebne dowody, jeżeli de Riberac będzie ci groził lub spróbuje zmusić do postąpienia wbrew twjej woli. Muszę tylko o tym wiedzieć. Musisz mnie powiadomić, jeżeli będę mógł zrobić coś dla ciebie, pani. - Urwał. - Myślałem, że będziesz mną gardzić - dodał krótko.

Nie gardziła nim. Nie darzy się nienawiścią sługi. Była na niego zła, ponieważ w stosunku do samej siebie czuła wstyd i złość. Odezwała się:

- Po tym wszystkim, co powiedziałaś, z pewnością ty winienesz czuć do mnie odrazę. Zachęciłam cię do tego, co uczyniłeś. Powiedziałam, że to bezpieczne. Dziecko zrodzone z tego związku zniszczy raczej twoje życie, niż moje. Chyba, że mnie poślubisz, oczywiście.

Powiedziała to po raz drugi i po raz drugi oczekiwała odpowiedzi. Nie wiedziała, co ją zdradziło. Natarczywość? Złośliwa forma, jaką przybrał jej gniew zamiast wybuchu oskarżeń i udręki? Opuścił ręce i popatrzył na nią. Jego oczy przewiercały ją na wylot. Odwróciła głowę.

- Nie jesteś brzemienna i nie ma żadnych kłopotów - stwierdził beznamiętnie.

Była Katelina van Borselen, której od czasów dzieciństwa nie zdarzyło się spuścić głowy ze wstydu. Milcząc wbiła oczy w ziemię, a on odsunął się gwałtownym ruchem.

- Dlaczego? - zapytał.

Domyśliła się, że stoi obok łóżka. Nie zadał sobie trudu ubrania się ani przesłonięcia czymkolwiek. Gdy spojrzała na niego, stał wyprostowany i bezinteresownie naturalny, jak mężczyźni, których - wedle własnego twierdzenia - poznała; mężczyźni oczekujący wyjaśnienia, które mu się należało. Znał przyczynę, lecz tym razem chciał usłyszeć o tym od niej.

- Nie przyszedłbyś inaczej - powiedziała.

- A teraz, skoro przyszedłem, czy jest ci łatwiej?

Potrząsnęła głową.

- I co będzie? - spytał - Rzecz jasna, gotów jestem służyć ci we wszystkim. Lecz nie w tym.

Szukała czegoś na swoją obronę.

- Mówiłam o małżeństwie - powiedziała wreszcie.

- Poważnie? Nie, pani. Chciałaś tylko wiedzieć, które miejsce zajmujesz na nowo zdobytym terytorium. Jesteś niezrównana. Już to powiedziałem. Nie zamierzam się żenić. To także mówiłem. A małżeństwo ze mną to ostatnia rzecz, jakiej mogłabyś pragnąć. - Powstrzymał potok słów. Wyraz jego twarzy, lekko zniecierpliwiony, przeszedł teraz w rozbawienie połączone z irytacją. Westchnął. - Katelino, dostałaś właśnie to, czego pragniesz, a może ci to dać każdy mąż.

Ułożyła się kusząco na łożu, obezwładniona pragnieniem.

- Nie chcesz tego już ode mnie, choć jestem niezrównana?

- Oczywiście, że tak. Oczywiście, że chcę ciebie - odparł. - Ale nie zrobimy tego. Nigdy więcej. Wykorzystujemy siebie nawzajem jak sprzedajne dziewczki. Nie rozumiesz?

- Rozumiem - powiedziała. - Przyznaję, że tak jest. Nigdy już nie znajdziemy się we dwoje na osobności. Ale teraz jesteśmy tu po raz ostatni i możemy przynieść sobie nawzajem ukojenie. Proszę, przyjdź. Przyjdź tutaj. Proszę... wróć.

Nie mógł jej zaprzeczyć, myślała; tak jak nie mógł zaprzeczyć, że jej pragnie.

Pochylił się raptownie i zdmuchnął świecę, zdradzającą jego pragnienie. Później, jak gdyby nie istniało wcale, ubrał się w ciemnościach i podszedł do drzwi. Stojąc w nich, powiedział tylko:

- Żegnaj. Żegnaj, pani.

ROZDZIAŁ 25

Nazajutrz po raz pierwszy w życiu Claes publicznie stracił panowanie nad sobą. W drodze z Gandawy do Brugii należało pouczyć Feliksa, co ma powiedzieć matce. Claes przypomniał mu o przyczynach zwolnienia zarządcy z Leuven i wszystkich zmianach, jakie miał z pomocą Feliksa wprowadzić nowy człowiek. Feliks, osłabiony nocnymi hulankami, był rozdrażniony - z czym Claes zazwyczaj łątowo sobie radził.

Tym razem nie udało mu się rozbawić Feliksa, być może dlatego, że sam nie był w nastroju do wymyślnych pokpiwań. Feliks napadł na niego, podkreślając, że wie doskonale, co matka chciałaby usłyszeć, że nuży go ten temat, i że Claes i tak nie ma z tym nic wspólnego. Nauczony doświadczeniem Claes poniechał tematu i zajął się poprawianiem nastroju Feliksa i własnego. Dojeżdżali już do Brugii, gdy nagle Feliks, rozradowany, wspomniął o Mabelii.

Wszyscy, wszędzie, dokuczali Claesowi mówiąc o jego podbojach. Przyjmował to z filozoficznym spokojem. Nie musiał tłumaczyć się każdemu ze swoich uczuć do tej czy innej dziewczyny. Podczas trzymiesięcznej nieobecności jego prywatne sprawy - o ile je miał - należały tylko do niego, a od powrotu był zbyt zajęty, by zajmować się kwestiami osobistymi. Z wyjątkiem tych, których nie mógł uniknąć. W pierwszy dzień po powrocie do Brugii Feliks powiadomił go naturalnie, że Jan Bonkle zdobył uczucia Mabelii. Ponieważ Jan był sympatycznym chłopakiem, Claes pogodził się z tym i zadał sobie nieco trudu, by wyjaśnić sytuację z Janem i dać do zrozumienia dziewczynie - słodkiemu stworzeniu - że nie rości sobie żadnych praw do niej.

Nie spodziewał się żadnych rozmów o Mabelii z Feliksem, zwłaszcza w drodze powrotnej z Gandawy. Zaczęło się, prawdę mówiąc, od tematu na pozór bardziej niebezpiecznego. Podczas jazdy Feliks powiedział:

- A właściwie dlaczego nie miałbym wydobyć z ukrycia mojej zbroi? I tak wiesz o niej wszystko. Możesz mówić, że pożyczyłem ją od ludzi delfina. Jeżeli mi ją wyczyścisz, pokażę się w niej podczas turnieju Białego Niedźwiedzia.

- Zgłosiłeś swój udział? - spytał Claes.

- Przyjęli mnie. Jeszcze zanim wyjechalśmy. Zostały mi tylko dwa tygodnie. Chcę ćwiczyć się codziennie. To największy turniej we Flandrii. I Francji. I w ogóle w całej Europie. Wszyscy przyjadą. Pan de Ghistelle. Seigneur de Gruuthuse. Może nawet hrabia de Charolais. I tyłu Rycerzy Złotego Runa, ilu zdoła się wymknąć. Wiesz. Zwycięzca walki na kopie zostanie na rok mianowany Leśnikiem i będzie jeździł od domu do domu...

- To sporo kosztuje — zauważył Claes, mrugając oczyma. - Czy masz pieniądze? - mówił cicho, by nie słyszeli ich jadący z tyłu pachołkowie.

Feliks uśmiechnął się krzywo.

- Nie domyśliłeś się? No tak, to należy do spraw, o których wolałbyś nie wiedzieć. Jak Mabelia.

- Mabelia?

Uśmiech Feliksa pod pożyczonym słomkowym kapeluszem stał się szerszy.

- Kupiłem Mabelię od Jana Bonkle.

- Co takiego? - spytał Claes i gwałtownie wstrzymał konia. Pachołkowie za nim uskoczyli w bok. Feliks przejechał parę kroków, po czym, zauważywszy, że jest sam, zawrócił szczerząc zęby. Pachołkowie z wahaniem spoglądali na Claesa, który rozejrzał się, zobaczył kępę drzewi i rzekł krótko: - Będziemy tam jedli. Jedźcie i zaczekajcie.

Odjechali nie patrząc na siebie, póki nie znaleźli się poza zasięgiem wzroku. Feliks pozostał w miejscu; jego oczy błyszczały.

- Aha! - powiedział - Żałujesz, że o tym nie pomyślałeś?

Claes oparł się na pięściach, spoczywających na siodle.

- Przychylność Mabeli przeszła jak pieniądź z rąk do rąk? Sprzedana przez Jana Bonkle?

- Nie chciałem jej sprzedać - rzekł Feliks. - Ale kupił futrzany kapelusz nie mówiąc nic ojcu i nie miał czym zapłacić.

- Nieszczęsny Bonkle - powiedział Claes. - Jak zawiadomił o tym Mabelię?

Grymas na twarzy Feliksa zmierzchnął nieco.

- Skąd mam wiedzieć? Chyba powiedział jej, że to ostatni raz i że w przyszłości ma zgłosić się do mnie. Miała być gotowa na mój powrót z Leuven. Na dziś wieczór. - Jego twarz pojaśniała na tę myśl. Uśmiechnął się zniewalająco. - Wyjdzie taniej niż wczoraj, co?

Claes ani drgnął.

- A co z Grielkine? - zapytał.

Uśmiech znowu zamarł.

- Co? I cóż z tego? - rzekł Feliks. - Jakie prawo mówić, że nie możesz

mieć co noc innej, jeśli chcesz? Ty w każdym razie nigdy nie byłeś mu posłuszny.

- Powiedz mi - zaczął Claes - co zrobisz, jeśli Mabelia nie przyjdzie?

Feliks spojrzął na niego gniewnie.

- Oczywiście, że przyjdzie!

- Od Jana Bonkle do ciebie. Ot, tak po prostu. Wiedząc, że zapłacono za nią. Jeżeli przyjdzie, to czym jest?

- Jadę - oznajmił Feliks spinając konia. Claes wyciągnął ramię i pochwycił jego uzdę. Przerzucił wodze do jednej ręki. Koń Feliksa wzdrygnął się i tupnął kopytem. Feliks uniósł bicz, a Claes uderzył go wolną dłonią w nadgarstek. Feliks krzyknął i upuścił bicz, a ręka zwiła mu bezwładnie.

- Ty *skurwysynu!* Złamałeś mi rękę. Nie będę mógł...

- Za dziesięć minut wszystko przejdzie. Kiedy skończymy rozmowę - powiedział Claes. - Co zrobisz, jeśli Mabelia nie przyjdzie dziś do ciebie?

Feliks był błydy z wściekłości. Wpatrywał się w Claesa dysząc ciężko przez zaciśnięte wargi.

- Kupiłem ją - rzucił wreszcie. - Jeżeli nie przyjdzie, pójdę po nią.

- Do domu Adornów? - spytał Claes.

Feliks uśmiechnął się paskudnie.

- Niekoniecznie. Czasami musi dokądś wyjść.

- A zatem porwiesz ją, zaciągniesz w ustronne miejsce i zniewolisz. I będziesz to powtarzał za każdym razem, kiedy jej zapragniesz. A może myślisz, że po pierwszym razie ona da za wygraną?

- To bardzo prawdopodobne - odparł Feliks. Nienaturalny grymas trwał, podsycany wściekłością.

- Dopóki kto inny nie zechce jej kupić, a wtedy ty ją sprzedasz?

- Mówisz o tym jak o... co ty właściwie masz z tym wspólnego? - krzyknął Feliks.

- Mówię o tym jak o handlu niewolnikami, bo o to tutaj chodzi - powiedział Claes. - Traktujesz Mabelię tak jak Loppego. Gorzej. Nie sądzę, by ktoś niewolił Loppego. Stoisz na czele jednej z najlepszych kompanii kupieckich w Brugii, a jeżeli nie, to wkrótce staniesz. A tymczasem kupujesz i sprzedajesz młodą dziewczynę jak towar. Nie czynił tego nawet szlachetny Szymon. Może i odebrał jej dziewictwo, ale poszła z nim z miłości. Czy myślisz, że była ze mną dla pieniędzy? Albo z Janem Bonkle? Oczywiście, powinna wyjść za mąż. Oczywiście, nie powinna zmieniać kochanków jak... owszem, miewałem co noc inną dziewczynę. Ale przynajmniej nie było w tym zakłamania. Nikomu nie obiecujemy małżeństwa ani dozgonnej wiary. Czynimy to, mężczyźni i kobiety, jedynie dla samej miłości. Lecz twój pomysł... Po tym, co zrobiłeś, Mabelia stała się sprzedaną dziewczką... czy przyjdzie do ciebie czy nie.

Zapadła cisza. Claes siedział, oddychając szybko i nasłuchując echa własnego głosu. Myślał o tym, jakim jest głupcem. Nie zostawił Feliksowi żadnej furtki, żadnej możliwości kompromisu, żadnego sposobu ratowania własnej twarzy. W odróżnieniu od Feliksa wiedział, co go do tego popchnęło.

- Dobrze - odezwał się Feliks. - Odkup ją ode mnie. I nie wekslem na bank medycejski, ale gotówką. Dzisiaj.

Znowu cisza. Później Claes odparł cicho:

- Jak chcesz. Wybacz, ale muszę się spieszyć. Wiele jest do zrobienia.

Puścił wodze Feliksa, chwycił własne i spiął konia. Skierował go na gościniec, popędził do kłusu, a potem do cwału. Przejeżdżając obok lasku zobaczył zagapionych pacholków, którzy odwrócili się ku Feliksowi. Ale Feliks, jak się Claes domyślał, nie ruszył za nim.



Jeszcze za dnia Claes przekroczył Gandawską Bramę Brugii, wyprzedzając pozostałych o kilka godzin. I przedtem, i teraz był zdania, że Feliks powinien jako pierwszy opowiedzieć matce o Leuven. Ucieszył się więc stwierdziwszy nieobecność pani Charetty i jej córek, choć Henninc rozpoczął swoje powarkiwania, zanim jeszcze Claes zaprowadził spienionego konia do stajni.

Słuchał tej litanii idąc przez podwórze. Pompa znowu się zepsuła. Jedna z kadzi przeciekała. Trzech ludzi pobiło się w szopie, a reszta chodzi markotna. Człowiek, który sprzedawał wdowie pewną nieruchomość, chciał ją z powrotem i twierdził, że może dowieść, iż sprzedaż jest nieważna. Cały wór urzetu zapleśniał. Wdowa przyjęła nowego prawnika. Florentyńczycy, Lukkijczycy, a nawet sekretarz legata papieskiego byli u wdowy i umówili się, że główny kurier Charettych - czyli Claes - wyruszy wkrótce do Italii, bo ich kufry z korespondencją są niemal pełne. Czeka na niego przesyłka z Mediolanu, z pieczęcią tego łysego doktora. A oprócz tego Anzelm Adorne chce się widzieć z Claesem jak najszybciej, bez względu na porę jego powrotu.

- Co za powitanie! - mruknął Claes. Henninc prawdopodobnie uznał to za narzekanie, lecz tak nie było. Przepęłniała go niezwyklejsza radość na myśl o uporządkowaniu wszystkich spraw. Oddał pospiesznie konia i biegiem przemierzył budynek, wykrzykując pozdrowienia i połajanki na prawo i lewo, i chwytając po drodze paczkę od Tobiego.

Rozbierając się zaczął pisać list i przerwał w połowie, by przeczytać go od

nowa. Wyraz jego twarzy, gdy stał przez chwilę trzymając list w ręku, przypawiłby Henninca o wściekłość. Później zawiązał wokół pasa płachtę materiału i wyszedł naprawić pompę. Kiedy to robił, podeszło do niego kolejno czterech ludzi, by opowiedzieć o swych zmartwieniach. Zostali wezwani z powrotem do pracy przez wymuszanego młodzieńca o nosie podobnym do kosa, przyodzianego w czarną szatę sięgającą łydek, który uznał, że zapewne widzi przed sobą Claesa.

Claes przytaknął, prostując się i wycierając ręce w fartuch. Usiłował nakłonić wdowę, by zatrudniła kogoś do pomocy dla Juliusza; kogoś, kto mógłby go zastąpić, kiedy wyjeżdża z oddziałem. Było trzech kandydatów, każdy cieszył się dobrą opinią. I wdowa wybrała jednego z nich. Claes miał nadzieję, że jej wybór był trafny.

Mężczyzna pod trzydziestkę, o ostrych rysach twarzy, przemówił:

- Jestem Messer Gregorio. Posłałem po kogoś do naprawy pompy. Wolałbym, żebyś przyszedł teraz do mnie do biura i opowiedział o Leuven. Pani de Charetty wróci lada chwila. Chciałaby usłyszeć o tym jak najszybciej.

Wybór *był* trafny. Syn niejakiego Lombarda, przyjaciela nieżyjącego ojca pani. Studia prawnicze w Padwie. Kilka lat w charakterze młodszego kancelisty Senatu Wenecji. Powrót do Asti, a następnie wyjazd do Flandrii, gdzie jego ojciec miał zakład zastawny w Furnes. Można by rzec, że przywykł wyłącznie do kontaktów z przełożonymi.

- Już idę, Messer Gregorio - powiedział Claes. - Jonkheere Feliks pragnął być także obecny przy składaniu sprawozdania naszej pani. Zjawi się tu za godzinę.

Prawnik, który nie znał Feliksa, milczał przez chwilę.

- W takim razie - rzekł - możesz skończyć robotę przy tej pompie. Przyjdź do biura, kiedy nadjedzie jonkheere Feliks.

Claes skinął głową. Zaczekał, aż prawnik zniknie z zasięgu wzroku, po czym wypróbował pompę, która już działała. Zawołał kogoś, by po nim posprzątał, a sam zniknął w domu, by się umyć i przebrać w błękitną liberię. Później wrzucił do sakwy paczkę Tobiego, wypożyczył muła ze stajni i odjechał w stronę Hotelu Jerusalem. Po drodze odwiedził dwa miejsca.

Po powrocie do domu Marian de Charetty napotkała swego nowego prawnika, Meester Gregoria, który oznajmił, że jej pracownik Claes pojawił się przelotnie, lecz nie zgłosił się w biurze. I że młody panicz, jej syn Feliks, jest ponoć w drodze, lecz jeszcze nie przybył.

Claes powrócił bez Feliksa. Coś się musiało stać. Feliks próbował

wyrzucić Claesa? Może Claes przyjął inną pracę i wrócił tylko po swoje rzeczy? Nie. Przynajmniej zaczekałby na nią i stawiał jej czoło.

Oddała swemu nowemu doradcy prawnemu pokój ze stołem, z którego korzystał Juliusz. Podziękowała i powiedziała mu, by zaczekał na wezwanie. Udała się do swego gabinetu i dowiedziała się od Henninca, że pompa jest naprawiona, ale zamieszanie na dziedzińcu nie ustaje. Nie wspomniał ani słowem o Gregoriu, co oznaczało, że nadal chowa urazę. To, że Claes naprawił pompę i że wszyscy, z którymi rozmawiał, odzyskali pogodę ducha, oznaczało, że nie odchodzi. Mała Katarzyna będzie uradowana... nawet jeżeli nie uraduje to Tildy. Marian de Charetty otworzyła księgi rachunkowe i zajęła się sprawami przedsiębiorstwa.

Później nadjechał Feliks. Ubrany był w łachmany, jak stwierdził, ponieważ spadł z konia polując z ludźmi delfina. Zaczął jej o tym opowiadać. Ponieważ nie wspomniał o Claesie, podejrzewała, że dowiedział się już od Henninca, iż Claes wrócił i nie rozmawiał z nią jeszcze. Zanim zdążyła zadać pytanie, nowy prawnik Gregorio zastukał do drzwi. Przypomniała sobie, że chciała, by był obecny. Powinien wiedzieć, co się dzieje w Leuven.

Meester Gregorio nie zdołał nawet usiąść, kiedy w drzwiach stanął Jan Bonkle, młody przyjaciel Feliksa. Pani de Charetty wbiła weń wzrok. Jan Bonkle, zarumieniony, zatrzymał się w progu.

- Wybaczcie, pani - rzekł. - Słyszałem, że Feliks jest tutaj.

- Owszem - odparła - lecz obawiam się, że jest bardzo zajęty. Czy to pilne?

- Nie... Tak - odpowiedział Jan Bonkle, który łatwo tracił głowę.

- Feliks upomniał się o parytet w wysokości ośmiu szylingów, do wieczora. Nie mogę ci tyle zapłacić, sukinsynu.

Duże, płytko osadzone oczy Feliksa zwróciły się ku matce, błysnąwszy białkami. Jan Bonkle pobrał.

- To znaczy... proszę o wybaczenie, pani... mam taki sposób mówienia. Nie mogę tyle zapłacić, Feliksie.

- Zapłacić? Za co? - spytał Feliks.

- Za niego. Za nią - odparł Bonkle. - Wiesz przecież.

- Mnie? Dlaczego? - Feliks z wolna okrył się szkarłatem.

- Wybaczcie, pani - rzekł Bonkle. - Ale Claes powiada, że mam zapłacić parytet ośmiu szylingów do wieczora, bo inaczej...

- Inaczej co? - zagadnęła łagodnie Marian de Charetty.

Zapadła cisza.

Marian de Charetty wstała. Wybrała jeden klucz ze swego pęku, pochyliła się i otworzyła jedną ze skrzyń stojących pod ścianą. Wydobyła z niej woreczek i wagę z szalkami, i zniosła to do stołu. Odwróciła woreczek,

z którego wysypała się na zielony ryps sterta srebrnych monet. Zważyła je, kilka odrzuciła, a zważone monety wsypała do nowego woreczka. Wagę ustawiła tymczasowo na stosie listów, koło których leżała kopia rejestru wydatków z farbiarni. Ceny były skrupulatnie wpisane obok rzędu barwnych próbek wełny. Jak to w interesach.

- Ta waga była niedawno sprawdzana - zwróciła się Marian do Jana Bonkle. - Myślę, że można jej zaufać. - Jej głos brzmiał łagodnie, kiedy ważyła woreczek w dłoni. - Czy mam to dać wam, Feliksowi czy Claesowi.

- Mnie - powiedział szybko Feliks.

Spojrzała na swego pierworodnego, który tak nagle dojrzał.

- Z miłą chęcią - rzekła. - Ale musisz mi, oczywiście, powiedzieć, na co ci to potrzebne.

Cisza. Po chwili Feliks odezwał się niechętnie:

- Właściwie to się należy Janowi. Jestem mu to winien. To Jana.

Spojrzała na Bonkle'a.

- Czy tak?

Skinał głową, wyraźnie niezdolny do odpowiedzi.

- A zatem - podjęła matka Feliksa - daję wam to z radością w imieniu mego syna. Może spłacić mnie stopniowo i z niewielkimi odsetkami. Czy jesteś zadowolony, Janie?

Jan skinął głową.

- A zatem żegnam - powiedziała Marian de Charetty. - Feliksie! Opowiedz mi teraz, co słyhać w Leuven. Dokładnie. Z wszelkimi liczbami, jakie przywiozłeś. Zaczynj od początku i powiedz o wszystkim. - Znając Claesa myślała, że przynajmniej próbował go pouczyć. Ale najwyraźniej tak nie było.

Zanim Claes wjechał na podwórze, spotkanie było zakończone, biuro puste, Feliks znajdował się w swej ulubionej gospodzie, Messer Gregorio powrócił do pilnych spraw w swoim gabinecie a pani de Charetty zasiadła przy ogniu w salonie, tam, gdzie odnalazła ją kiedyś Katelina van Borselen. Tak jak wówczas wertowała papiery. O powrocie Claesa zawiadomiła ją służąca, pytając, czy go przyjmie. Było to przemyślne, ponieważ nie drażniło innych, o wyższej pozycji. Przypuszczała, że nie powinna, ściśle rzecz biorąc, przyjmować samotnie w swoim saloniku pracujących dla niej mężczyzn. Messer Gregorio, na przykład, nie wiedział, że Claes chowa się w jej domu od dziecka. Że w zeszłym roku pielęgnowała go w chorobie. I że stała obok, kiedy pewien wpływowy człowiek naznaczył go na całe życie.

Wszedł do środka. Szeroki, nieskrępowany uśmiech. Włosy przypominające wodorosty, ponieważ był spocony po męczącym dniu. Zmarszczyła nos. Uśmiech stał się nieco szerszy.

- Powiniennem błagać o przebaczenie - powiedział. - Ale czuję zapach pieniędzy.

Usiadła na krześle z wysokim oparciem i spojrzała na niego.

- Wolałabym ośmioszylingowy parytet.

- Ach - zrozumiał od razu. - Jan Bonkle? Kto mu zapłacił? Wy?

- Był to, jak się wydawało, dług rodziny Charetty - odparła. - Kto go zaciągnął i po co, tego dokładnie nie wiadomo. Wiadomo tylko, że odegrałeś w tym główną rolę. Powiedziałam Feliksowi, że spłaci mnie, kiedy będzie mógł.

Odrzucił głowę; śmiał się i śmiał.

- Feliks nigdy mi nie wybaczy. Pokłóciliśmy się po drodze. Naprawię to.

- Tak też myślę - stwierdziła. - Chcę ci powiedzieć, że nie mam pojęcia, co się właściwie wydarzyło w Leuven, prócz tego, że OHvier odszedł i Feliks zatrudnił kogo innego. Czy on w ogóle był przy tym?

- Tak - odparł Claes. - Ale ma pewne trudności z ogarnięciem wszystkiego. To przyjdzie z czasem. Czy moja pani życzy sobie, abym opowiedział o tym samym?

- Życzę sobie, żeby ktoś wreszcie o czymś mi opowiedział - oświadczyła Marian de Charetty. - Usiądź tam, nie za blisko. A potem powiesz mi też, co rozumiesz przez „zapach pieniędzy”.

Opowiedział jej nie tylko o Leuven, ale także o Tobie Beventinim, jego wuju, medyku Quilico, chrzestnym synu papieża, Prosperze Camulio de' Medici oraz o mediolańskich i konstantynopolitańskich krewnych Nicholaia Giorgio de' Acciajuoli, Greka z drewnianą nogą. To właśnie od niego pochodziły pierwsze zapowiedzi wielkiego pomysłu.

Siedziała bez ruchu. Wreszcie powiedziała:

- I Tobiasz wie, gdzie jest ta kopalnia?

- Tak - odparł Claes. Był zarumieniony, oddychał szybko, a jego oczy błyszcząły. - Nie przypuszczałem, że się dowie. I że zechce się z nami podzielić tą wiedzą. Dopomógł mu Messer Prosper. Jest ambasadorem w służbie, Mediolanu, a prywatnie przyjacielem rodu Adorno.

- I Anzelma Adorne? - zapytała - Stąd twoja wygrana na loterii. Wydawało mi się, że mówiłeś, iż jest to całkowicie w rękach Wenecjan?

- Na razie - odrzekł. Uniesienie opadło nieco. Pani nie okazywała zachwyty. Tonem zwykłego sprawozdania dodał: - Żaden Genuńczyk nie wie, gdzie jest kopalnia, prócz tego, że gdzieś w Stanach Papieskich. Wszelkie dowody dotyczące miejsca, rozmiarów i jakości są przygotowywane, sprawdzane i potwierdzane wyłącznie dla Wenecjan. Później oni zapłacą nam.

- Jak? - spytała.

- Na kilka sposobów. Trzeba to opracować. Po to muszę jechać do Mediolanu. Między innymi po to.

- Rozumiem - stwierdziła. Poprawiła się w krzesło, opuściła rękawy tak, że wtopiły się w fałdy jej sukni i założyła ręce na podołku. - Mówisz teraz o dochodzie z jedynej na świecie kopalni dobrego ałunu?

- Przynajmniej przez dwa lata - potwierdził. - Może mniej. Ale dochody będą. I pozwolą wam rozwinąć przedsiębiorstwo w coś, co warto posiadać.

- Tak... Przedsiębiorstwo - powiedziała. - Może powinniśmy zniżyć się do tego, co doczesne? Może powinniśmy dostrzec, co się dzieje z tym przedsiębiorstwem. Na przykład, czy słyszałeś o nieszczęśliwych zbiegach okoliczności na moim podwórzu?

Biały płomień podniecenia zgasł, lecz Claes zachowywał się zupełnie naturalnie.

- Tak - odparł. - Nie mogli znaleźć człowieka, który zwykle naprawia pompę. Przeciekającą każdą należało wymienić wcześniej. Drobiazgi. Meester Gregorio powinien dać sobie z tym radę.

- Słyszałeś o kłótni w szopie i o złym humorze Henninca? - spytała. - To z powodu Meester Gregoria. Ty mi go doradziłeś. Jestem pewna, że świetnie się nadaje do tej pracy. Ale nie przydał się jeszcze na nic w kontaktach z ludźmi. Słyszałeś o żądaniu zwrotu nieruchomości?

- Załatwiłem to - rzekł Claes. - Zajrzałem tam po drodze do pana Adorne. Przyjęli mylne założenia. Meester Gregorio także byłby tego zdania. Doprowadzi to do końca.

- Tak właśnie powiedziałam - przyznała Marian de Charetty. - Kiedy wyczułam, że mogą być kłopoty, odbyłam rozmowę z nim i Hennincem. Widocznie użyłam niewłaściwych słów. A co z Leuven?

- OHvier oszukiwał, tak jak mówiłem - odparł Claes. - Myślę, szczerze mówiąc, że płacono mu za to. Dlatego wziąłem Cristoffelsa. Oczywiście nie otrzymał tej posady. Musicie go zobaczyć i podjąć decyzję. Ale jest dobry, uczciwy, a ja ostrzegłem go przed drapieżnikami.

- Mówisz, jak sądzę, o Jordanie de Riberac? - wtrąciła. - Ostatnio byłeś o niego spokojny.

Wydał usta, a następnie zacisnął je.

- Nie wiem, o kim mówię. Ale kwitujące przedsiębiorstwa miewają rywali. Lepiej mieć się na baczności.

Marian de Charetty oparła się i popatrzyła na niego.

- Kiedy wracasz do Italii? Za tydzień?

Tym razem jego twarz pozostała bez wyrazu.

- Dopiero po turnieju Białego Niedźwiedzia - odparł.

- A zatem za dwa tygodnie - stwierdziła. - Tymczasem zaś pozostaję

z przedsiębiorstwem w Leuven, zagrożonym i prowadzonym przez nieznanego mi człowieka. Moje przedsiębiorstwo w Brugii nadal odczuwa skutki złego zarządzania i brak notariusza, a w tej chwili podlega innemu obcemu człowiekowi, który, choć może inteligentny, sprawia, że moi słudzy napadają na siebie. Nabyłam nieruchomość, która sprawia kłopot pod względem prawnym; i wdałam się w interesy kurierskie, w których tajemnica oznacza, prócz pieniędzy, fizyczne zagrożenie. Podjęłam wysokie pożyczki. Strażnik mego zmarłego męża, stojący dotąd na czele skromnego oddziału, który miał chronić innych kupców i zarabiać na życie w służbie sąsiednich książąt, zebrał niespodziewanie ludzi, broń i broje, i włączył się w międzynarodową wojnę, czyniąc mnie odpowiedzialną za zabójstwa i straty, także te spowodowane współzawodnictwem wrogich oddziałów.

- Spojrzała na Claesa, usiłując nie dopuścić znużenia do swego głosu.
- Podsunąłeś mi to wszystko, a ja się zgodziłam. Zaplanowałam to razem z tobą. Jestem ci wdzięczna i czuję się pochlebiona. Myślałeś, i słusznie, że chcę być bogata, że chcę rozwijać przedsiębiorstwo, chcę, aby kwitło; że pragnę przekazać synowi Cornelisa i mojemu coś wielkiego. Myślałeś, że mogę to rozwinąć, a Feliks w swoim czasie przejmie całość i poprowadzi.

- Umilkła i ponownie usiłowała zapanować nad drzeniem swego głosu.
- Ale, mój drogi, ja nie potrafię tego rozwinąć. Mimo że Cristoffels i Gregorio, i Henninc, nawet Astorre, Tomasz i Juliusz tam, w Italii, mogą mieć wiele dobrych chęci, nie są wystarczająco bystry, by pomóc mi rozwinąć to w odpowiedni sposób. Feliks zaś, jak wiem i jak ty zapewne także już wiesz, nie potrafi, nic nie chce tego zrobić, i chyba nigdy nie zrobi nic ponad to, co konieczne, aby przedsiębiorstwo przynosiło mu zysk, kiedy będzie potrzebował ośmiu szylingów na... na cokolwiek są mu one potrzebne. - Spojrzała Claesowi prosto w oczy. - Nie mogę tak prowadzić tej kompanii. Twoje wspaniałe *coup*, mistrzowskie pchnięcie, które ma zapewnić mi majątek, przekracza moje możliwości. Nie widzę sposobu, w jaki miałabym je wykonać.

- Myślałem, że Feliks szybciej dojrzeje - powiedział Claes. A gdy drgnęła, wyprowadzona z równowagi, dodał krótko: - No dobrze. Wiem. Nie dojdzie do tego wystarczająco prędko. Ale zapowiada się obiecująco. Widziałem. Nie należy wymagać od niego zbyt mało. Stąd bierze się część kłopotów.

Umilkła, a ona wtrąciła:

- Tego właśnie oczekuję od ciebie. Szczerych spostrzeżeń. Także o mnie.

Kolejna chwila ciszy. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w ogień.

- Tak - powiedział. - Jesteście dobrzy w zaprzęgu, który już biegnie,

lecz nie macie doświadczenia, gdy trzeba wprząc się w nowy. To nie wasza wina. Przedsiębiorstwo jest i tak nazbyt rozproszone. Miałem zamiar podsunąć wam myśl, gdy tylko Cristoffels uporządkuje sprawy w Leuven, byście sprzedali tamtą farbiarnię i zakład zastawny, i przenieśli punkt pożyczania i wymiany pieniędzy do Brugii, gdzie będziecie mogli zarządzać nim bezpośrednio. W pół roku wasi pracownicy przywykną do siebie nawzajem, a wy do nich.

- Ale ustaliliśmy przecież, że nie utrzymam tego wszystkiego sama przez pół roku. Nawet doskonałe zespoły rozpadają się i trzeba zatrudniać nowych ludzi. Temu także nie potrafię stawić czoła. A nawet gdyby zebrał się natychmiast najdoskonalszy zespół świata, nie umiałby dać sobie rady z dwiema planami dotyczącymi ąłunu.

Wciąż tonął w rozmyślaniach. Wreszcie powiedział:

- Nie. Zrobię to. Podróż nie jest aż taką niedogodnością. Ale macie słusność: musi za tym stać sprawnie działająca kompania tu, w Brugii.

Zastanawiała się, czy powinna podsunąć tę myśl.

- Kiedy byłeś nierozważny, rajcy miejscy pragnęli pozbyć się ciebie. Widząc to, czego dokonałeś w ciągu ostatnich siedmiu tygodni, nie będą mieli nic przeciwko temu, abyś pozostał.

- Nie - odparł Claes. - Jakoś udało mi się utrzymać z dala od lochów Steen. To nie jest jednak prawdziwa przeszkoda.

- Umowy, które zawarłeś? - wtrąciła. - Z pewnością znajdziemy innego dobrego posłańca.

Uśmiechnął się, nadal nie patrząc na nią.

- Nie takiego, który zna się na szyfrach - odrzekł. - I tak wiem już zbyt wiele. Medyceusze nie zgodzą się na zmianę. Ani delfin. W każdym razie to, czego się dowiaduję, jest korzyścią, a nie szkodą dla kompanii. Być może nawet zdołam znaleźć nieco czasu między podróżami i uporządkować sprawy w Brugii, dopóki wasz doskonały zespół ich nie przejmie - wykonał oszczędny i wymowny gest. - *Prawdziwą* przeszkodą jest to, że nawet najpodlejsi z waszych robotników nie zechcą słuchać moich rozkazów, nie mówiąc już o Hennincu czy Meester Gregoriu. A tym bardziej Feliks, Astorre, Tobie i Juliusz. Potrzebujecie kogoś takiego jak Gregorio. Kogoś bystrego i wzbudzającego szacunek. Nie mogę porywać się na zarządzanie kompanią. Nie mogę narzucać się obywatelom miasta i szlachcie. Mam dziewiętnaście lat, jestem nisko urodzonym czeladnikiem, który przypadkiem nauczył się czytać. I ludzie zaczną gadać - z uśmiechem uniósł głowę.

Wówczas powiedziała coś, czego - jak myślał - nie powie nigdy. Słowa przyszły łatwo, gdyż panowała cisza, a w takiej rozmowie przy płonącym ogniu nie było przymusu. Powiedziała:

- Możesz stać się obywatelem miasta przez małżeństwo.

Znała go równie dobrze jak inni. Wiedziała, że to urodzony komediant, urodzony aktor. Nigdy się nie dowie, bo on tego nie okaże, czy myślał o tej możliwości, czy oczekiwał takich słów, czy może obawiał się ich. Nie pochlebiała sobie, że pragnął usłyszeć te słowa. Jego oczy, utkwione w jej twarzy, mówiły jedno: że teraz on usiłuje zrozumieć, czego ona naprawdę chce.

- Nie bój się - powiedziała. - Prawdziwe małżeństwo byłoby jak kazirodztwo. Mówię tylko o formalności.

Odetchnął gwałtownie, jak gdyby wytknęła mu nieuprzejmość.

- Wybaczcie - rzekł. - Takich spraw... nie należy lekceważyć.

Zastanawiała się, co mógł dostrzec w jej oczach. Zachowała, na ile mogła, przyjazny i obojętny wyraz twarzy.

- Zaprosiłam cię tutaj, abyśmy coś rozważyli. Przybliż się nieco. Nie jest to rozmowa dla podsłuchiвачy.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem. Chciała widzieć go wyraźniej. Chciała okazać mu zaufanie. Wiedział, że powinien przysunąć swój zydeł, lecz nie za blisko. Uczynił to i usiadł krzyżując ręce na kolanach. W blasku ognia blizna na jego twarzy falowała niczym rzemień bicia.

- Mogę powiedzieć, co o tym myślę, najlepiej jak potrafię - przemówił.

- Taki krok przerazi wszystkich, którzy dla was pracują. Najlepsi będą chcieli odejść. Zostaną najgorsi, mając nadzieję, że wykorzystają sytuację. Ci, którzy nie będą mogli odejść, będą pracować z najwyższą niechęcią, tak dla was jak i dla mnie. Wasze córki będą w najlepszym razie zagniewane i wylęknione. Feliks opuści dom i poszuka współczucia u przyjaciół albo wyruszy za granicę.

- Kreślisz surowy obraz - stwierdziła. - Mów dalej. Co się jeszcze wydarzy?

- Dobrze wiecie. Miejscy przedsiębiorcy przyjmą mnie, bo będą do tego zmuszeni, lecz ich rodziny to inna sprawa. Wasi przyjaciele okażą się mniej gościnni niż kiedyś, i absolutnie nie będą mogli odwiedzić was tutaj. Przedsiębiorstwo wyraźnie wzbogaci się korzystając z wieści, które zbiorę w trakcie podróży; stanę się mniej poszukiwany jako posłaniec, przynajmniej w wysokich kręgach kupieckich. W miarę rozwoju przedsiębiorstwa konkurencja stanie się ostrzejsza. Współzawodnicy i dostawcy, którzy dotychczas byli dla was wyrozumiali, zaczną prześcigać się w próbach przechytrzenia nas obydwójga. I wy straciecie przyjaciół, i ja.

- Tak, oczywiście - odparła i dość sztywno uniosła się z zajmowanego tak długo miejsca. - Udzieliłeś wyczerpującej odpowiedzi. Nikt na tym nie zyska. A zatem sprzedam kompanię. - Wstał tak gwałtownie, że natychmiast

pojęła, co musi myśleć. - Rzecz jasna, najpierw zabezpieczę swoją przyszłość i zadbam o waszostko.

- Wielki Boże - powiedział. - Czy myślicie, że podejrzewałem was o zmuszanie mnie do czegośkolwiek? Utrzymywaliście mnie od dzieciństwa. Teraz, gdybym musiał, sam dałbym sobie radę. Ale największą radość sprawi mi możliwość służenia wam i kompanii.

Spojrzała na niego i rzekła:

- Przykro mi, ale nie mogę tego dłużej prowadzić. Wolę sprzedać, póki mam się jeszcze czym poszczycić.

- Zechciejcie usiąść - poprosił, a gdy nadal stała, trochę niepewnie, podszedł i posadził ją na krześle. Sam tym razem opadł na podłogę tuż obok, z głową na poziomie jej kolan, jak Feliks, kiedy był młodszy i bawił się u jej stóp. - Jeżeli sprzedacie przedsiębiorstwo, co zrobicie z pieniędzmi? - zagadnął. - Kupicie okazalszy dom? Będziecie zabawiać żony farbiarzy? Gromadzić księgi? Dacie Feliksowi tyle koni i ekwipunku, ile zechce? Zajmiecie się haftem? Wszyscy ci ludzie za oknem zostaną bez pracy, żadnych zainteresowań, żadnego miejsca w społeczeństwie prócz pozycji bogatej wdowy. Czy tego właśnie chcecie? To was zabije przed upływem roku.

- A zatem co? - zapytała.

- W sześć miesięcy stworzę wam godny zaufania zespół. Zawsze mogę pomóc go wymienić. Spędzę tu tyle czasu, ile będę mógł. Nazwijcie mnie swoim kancelistą, faktorem, sługą i podnóżkiem, czymkolwiek. Możecie to zrobić.

- Tak, oczywiście, że mogę - przyznała. - Mogę pouczyć Cristoffelsa, co ma robić. Sprzedać Leuven. Sprowadzić do Brugii pośredników finansowych... czy o tym mówiłeś?... i rozwinąć tę gałąź przedsiębiorstwa. Wyszkolić Gregoria. Otworzyć piwnice w nowej posiadłości. Pilnować Feliksa, o ile przeżyje turniej, i starać się, by nie zaprzepaścił gospody. Odegrać swoją rolę w światowym handlu ałunem. Wszystko o własnych siłach. Oczywiście, że mogę. - Słyszała swój głos coraz bardziej chrapliwy z powodu bólu gardła. Umilkła.

Claes odwrócił się plecami do niej. Nie musiała używać chustki. Jej policzki nie były wilgotne, choć oczy miała nieco zamglone od światła. Włosy Claesa, okolone blaskiem ognia, były już suche. Po rozczesaniu stawały się proste i gładkie, z dziwnymi wypukłościami i supłami na końcach, jakby je ktoś osmalił. Kiedy był mały i mieszkał z innymi czeladnikami na poddaszu, miał jak wszyscy chłopcy przygotowywać się do Mszy Świętej. Zawsze lubiła mu się przyglądać: wyróżniał się wzrostem spośród innych, miał śmieszny twarz z dołeczkami i baczne, dobroduszne

spojrzenie. Czesłała go, kiedy leżał ranny w gorączce. Leczył go wtedy Tobiasz. Między innymi dlatego zaproponowała medykowi pracę u siebie.

Claes zawsze swobodnie poczynił sobie z dziewczętami. Wiedziała o tym. Przypuszczała, że należy to do spraw przemilczanych, choć istniejących. Nie mogła udawać, że tego nie ma. Jako młody małżonek nie mógł przynosić jej wstydu potajnymi sprawkami w Brugii. Prawdopodobnie roztropnie przeniesie się z tym gdzie indziej. Nie miała prawa zmuszać go do wstrzemięźliwości. Mogła pożyć jeszcze ze dwadzieścia lat. Tego roku skończy czterdzieści.

Nie powiedziała tego, lecz przyszły jej oczywiście do głowy wszystkie opisane przez niego skutki uboczne. Nie martwiła jej pogarda żon farbiarzy. Nie miała bliskich przyjaciół. Oczywiście mogłaby utracić ludzi takich jak Juliusz i nowi zarządcy, którzy poczują, że naruszono ich pozycję. Lecz sam Claes ze swymi zdolnościami mógłby złagodzić wstrząs, przemówić ludziom do rozsądku, poradzić sobie z Tildą, a nawet z Feliksem. A gdyby ludzie odeszli, znalazłby nowych. Powiedział, że świat kupiecki zebrałby się do walki przeciw niemu. Gdyby to nastąpiło, nie miała wątpliwości, kto zwycięży. Wciąż na nowo zastanawiała się, jak to możliwe, że mądrzy mężczyźni nie widzą tego co ona.

Przypomniała sobie, że niektórzy to dostrzegli. I że sam Claes uchylił przed nimi tę furtkę. Oznaczało to, że i jego znużyły proste zdania i zwykłe towarzystwo, a prawdopodobnie nawet zwykli przyjaciele. Gdyby to przemyślał, mógłby odkryć, że wcale za nimi nie tęskni. Oczywiście przemyślał to. Za bezosobowymi sprzeciwami kryły się sprawy osobiste.

Dał jej czas na wzięcie się w garść, co uczyniła.

- Powinam ci była powiedzieć, że jestem z ciebie dumna - rzekła.
- Rozumiesz, że tylko ja odpowiadam za niepowodzenia. Oddałeś mi przysługę, której nie byłam warta i z której nie potrafię skorzystać. Ale ty myślałeś, że mogę, a to mi pochlebia.

Siedział wpatrzony w ogień, objąwszy ramionami ściągnięte kolana. Rozdarcie w kurtce, schludnie zaszyte, zaczęło się ponownie rozchodzić na jego prostych plecach. Słyszając jej głos rozluźnił nieco uchwyt nie zmieniając pozycji. Pomyślała, że jego twarz wygląda osobliwie staro. Odezwał się jakby jej nie usłyszał.

- Mielicie wielbicieli - rzekł.

Było to śmiało powiedziane, gdyż odpowiedź musiała brzmieć twierdząco. Nie chciała myśleć o przyczynach.

- Nie chcę żadnego z nich - oświadczyła.

- Z dwojga złego małżeństwo byłoby mniej kłopotliwe niż sprzedaż

kompanii - powiedział powoli. Stwierdziła, że dygocze z rozbawienia. Dostrzegł to i dorzucił z nikłym uśmiechem: - Dla was, rzecz jasna. Na początek to będzie tak, jakby prosić burmistrza i ceklarzy, by legli z jeżozwierzem Feliksa. Przez długi czas trzeba będzie okazywać troskę, przezorność, uwagę i umiejętność współdziałania; znosić liczne odmowy i przykrości. A ja będę musiał wyjechać niemal natychmiast, pozostawiając was z tym, co się będzie działo. Jeśli jednak Gregorio jest taki, jak się wydaje, mogę mu powierzyć część planów dotyczących ałunu. To go zobowiąże. Będzie pomocny.

Musiała mieć pełen niepokoju wyraz twarzy, bo umilkł i dodał po chwili:

- O ile, rzecz jasna, mogę powrócić do tego tematu? Nie jestem pewien, czy został ostatecznie wyczerpany. Nie daliście mi na przykład możliwości przedstawienia mego bezstronnego spisu korzyści wynikających ze wspólnego zarządzania. Zawsze was podziwiałem, szanowałem i czciałem. To moja główna korzyść. Doprawdy, nie wiem, czy potrzeba mi innych. Co więcej, mam wymówkę, by ujrzeć biskupa Coppini, który z całą pewnością udzieli zasadniczej dyspensy, jako że jesteśmy spowinowaceni. Mam na myśli to, że jestem nieprawym wnukiem pierwszej żony męża waszej zmarłej siostry. Czy ująłem to właściwie?

Gotów był odwrócić swoje postanowienie. Przypomnienie o powinowactwie wiązało się dla niego z przypomnieniem, że i tę sprawę należało rozważyć - obok różnicy wieku i stanu. Podobne mezalianse zdarzały się jednak w wielkich domach, gdzie własność musi zostać przekazana następcom bez względu na okoliczności.

Za kontrakt małżeński kupowała nie to, lecz jego zdolności dla kompanii. Miała dziedzica, Feliksa i córki. On miał prawdopodobnież wiele bękartów, beztrosko rozsianych. O tym także miała nie wiedzieć. Zdała sobie nagle sprawę, że myśli o sytuacji jako o fakcie dokonanym, jak gdyby jej propozycja została przyjęta - choć tak nie było.

Wstała z krzesła. Kiedy się poruszyła, on także odsunął się i stanął nie za blisko niej, bez uśmiechu.

- Czy możemy postawić sprawę jasno? - zapytała. - Ta kompania potrzebuje mężczyzny, by nią pokierował. Poprosiłam cię, byś zajął to miejsce jako mój mążonek. Jak myślisz, czy możesz to uczynić? - Zastanawiała się, czy wyczerpanie, które czuła, jest widoczne. Claes nie wydawał się zmęczony; jedynie cichszy niż zwykle. Nie podszedł bliżej. Pachniał koźmi, skórą i potem, lecz nie zmarszczyła nosa.

- Przemyślałem to - odpowiedział. - To najlepsze rozwiązanie, także dla mnie. Przynajmniej w tej chwili tak myślę. Pewne rzeczy mogą teraz umykać nam obojgu, bo jest późno i rozmawialiśmy długo. Czy nie powinniśmy

skończyć na dzisiaj? A jutro... może zechcielibyście przysłać po mnie, tak wcześniej jak sobie życycie? - Jego oczy znowu badały jej twarz. Dodał: - To nie jest niewdzięczność. Zdaję sobie sprawę, co mi ofiarujecie. Chciałbym, żebyście to jeszcze przemyśleli.

- Rozumiem - odrzekła. - Zgoda. Dam ci tyle czasu, ile zechcesz. Możesz mi odpowiedzieć dopiero, gdy będziesz odjeżdżał.

- Nie - odparł natychmiast. - Jutro, wczesnym rankiem.

- Poślę po ciebie jutro - powiedziała.

Jego napięta twarz nagle złagodniała. Uśmiechnął się wprost do niej, krzepiąco. Zawahał się przez ułamek chwili i rzekł:

- A zatem życzę wam dobrej nocy, moja opiekunko. Niechaj nie będzie smutna ani trudna dla was. Cokolwiek z niej wyniknie, nie spotka was żadna krzywda, jeśli tylko będę mógł temu zapobiec.

Nazwał ją *opiekunką*, nie podkreślając żadnego ze znaczeń tego słowa. Zawsze wiedział, jak należy postąpić. Prawie zawsze.

- Dobranoc - odrzekła mu. Uśmiechnął się i wyszedł z pokoju. Wpatrzona w zamknięte drzwi zastanawiała się, co jeszcze mógł powiedzieć, jaki gest wykonać; i zrozumiała, że żadnego.

Cała noc przed nimi, by wszystko rozważyć. A jutro - decyzja podjęta 0 świcie, by nie przedłużyć krępującej sytuacji. Albo - ktoś mógłby go winić? - ze względów czysto praktycznych. Skoro miał teraz prowadzić owe przerażające interesy z Wenecją, musiał zgromadzić istotne dane i przeprowadzić wiele obliczeń przed wyjazdem z Italii. Prócz tego różne inne sprawy czekały, by się nimi zająć. Wśród nich - Feliks.

Marian de Charetty opadła na krzesło. Odchyliła spowitą w materie 1 siatki głowę na wyściełane oparcie, opuściła rękawy na poręczce i ze smutkiem stwierdziła, że jej serce łomoce niczym uderzające w bęben pałeczki. Narzuciła mu to małżeństwo, lecz nie będzie żałowała. Nigdy.

ROZDZIAŁ 26

Jako pierwszy przeżył wstrząs Meester Gregorio z Asti, który znał swą nową chlebobawczynię, wdowę de Charetty, zaledwie od tygodnia. Robotnika Nicholasa nie znał wcale, prócz przelotnego spotkania koło pompy na podwórzcu. Odniósł wtedy wrażenie, że to młodzieniec niesolidny. Wydawało mu się także, że młody człowiek ma na imię Claes.

Wezwany bardzo wczesnym rankiem, zdążywszy zaledwie zawiązać tasiemki czarnej czapki i narzucić na siebie togę, Meester Gregorio otworzył drzwi biura i zastał w nim lekko zarumienioną panią, siedzącą za stołem. Stała na nim nadal waga, księgi rachunkowe, kałamarz i pióra. Był tam także zestaw próbek jasnej wełny. Przy końcu pompy siedział młodzieniec od pompy, ubrany w zwykłą, błękitną liberię Charettych. Głowę miał pochyloną i - o dziwo - przesuwiał piórem w dół kolumny cyfr czy może nazwisk na pierwszej od góry, sporej karcie papieru, których stertę trzymał na kolanach.

Uniósł oczy i uśmiechnął się, obejmując tym uśmiechem także panią de Charetty, która - jak na tak drobną, krągłą, niebrzydka kobietę - przybrała dość marsowy wyraz twarzy. Pani de Charetty chrząknęła i przemówiła:

- Meester Gregorio, dziękuję za przybycie. Nie jest to wprawdzie kwestia dotycząca interesów, choć chciałabym w imieniu kompanii wyrazić zadowolenie, że jesteście z nami, i nadzieję, że będzie się wam tu dobrze pracowało. Nicholas i ja potrzebujemy waszej pomocy w sprawie osobistej.

Z nami. My. Podczas wstępnej rozmowie mówiła o przedsiębiorstwie jako o czymś całkowicie należącym do niej. Syn nie był tu obecny. Był za to ten młodzieniec. Przedtem Claes, teraz Nicholas. Pomoc w sprawie osobistej? Meester Gregorio z Asti, który potwierdził swego czasu znaczną liczbę umów, legatów i najrozmaitszych poręczeń, czekał spokojnie. Wodził wzrokiem od chłopaka do miejsca tuż po niżej pasa swej chlebobawczyni. Wydawało się to niemożliwe ze względu na wiek, ale kto wie? Chyba że chłopak był świeżo rozpoznanym, nieślubnym synem.

- Z wielką radością uczynię co w mojej mocy - rzekł oficjalnie. Zauważył, że młodzieniec znowu uśmiechnął się do swej pani, a jej zdenerwowanie przeszło w coś podobnego do niechętnego rozbawienia.

- Muszę wam od razu powiedzieć, że nie wchodzi w grę ciąża ani adopcja - stwierdziła. - Claes, który będzie teraz używał pełnego imienia: Nicholas, jest nieślubnym synem dalekiej powinowatej. Zostało to stwierdzone ponad wszelką wątpliwość. Wychowywał się w tym domu od dzieciństwa, oczywiście w charakterze sługi. Zna przedsiębiorstwo jak własną kieszeń. Jest także, z czym musicie się pogodzić, młodzieńcem o niezwykłych uzdolnieniach.

Meester Gregorio uśmiechnął się uprzejmie. Ten Nicholas był z pewnością młodzieńcem o niezwykłej powierzchowności. Takie oczy, takie wydęte wargi widuje się wśród chorych umysłowo. I podobne, niskie choć szerokie, gładkie czoło. Miał bliznę na policzku. Nie przestając się uśmiechać, młody człowiek powrócił do swych papierów.

- Jak widzę, na pewno potrafi czytać i pisać - powiedział z uznaniem Meester Gregorio.

- Tak - odparła wdowa de Charety. - Oczywiście przeglądaliście księgi. Widzieliście, jakich transakcji dokonała ta kompania od połowy lutego i czytaliście notatki z posiedzeń, na które przychodziłam w towarzystwie Nicholasa. Powinniście wiedzieć, że wszystkie te spotkania zostały zaplanowane i ułożone przez Nicholasa, który zaproponował i oszacował przyszłe nabytki, po czym przeprowadził transakcje niemal do końca, prócz urzędowego przygotowania dokumentów i formalnej zgody, co należało do mnie. On robi to lepiej niż ja, Meester Gregorio. Najlepiej z wszystkich, których dotychczas zatrudniałam. Pragnie pozostać w kompanii. Mam nadzieję, że zasięgając rady nas wszystkich uczyni ją wielką i kwitnącą. Ale, jak widzicie, jego stanowisko nie daje mu żadnej władzy. Dlatego omówiłam z nim sposób, w jaki mogłabym mu to ułatwić. - Umilkła.

Gregorio z Asti, który gustował w kościelnych litaniach i wieczornych czytaniach z podziałem ról, poczuł, że ma do odegrania pewną rolę w tym czytaniu i nie powinien się jej wyrzekać.

- Chcecie go poślubić? - zapytał. - Doskonale! Będę zachwycony mogąc wziąć udział w zatwierdzeniu małżeństwa.

Popatrzyła na niego jak gdyby zza nieistniejących okularów. Tego ranka rękawy jej sukni były znacznie strojniejsze niż zazwyczaj, a włosy, nadal niewidoczne, okrywało coś podobnego do brokatowej dyni - zamiast zwykłego welonu, upiętego i usztywnionego tak, że przypominał maszynę obłęźniczą.

- Oczywiście w tej chwili powzięliście zamiar oznajmienia mi po weselu, że odchodzicie z kompanii. Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Potrzebujemy was. Czeka nas wkrótce spory zysk.

Nie wątpił w to. Zastanawiał się, od czego chłopak rozpocznie wyprzedzą. Jeżeli rzeczywiście wymyślił tamte transakcje, z pewnością był

zdolny. Mógł ożenić się z tą kobietą, wydoić przedsiębiorstwo i po miesiącu czmychnąć z workiem złota.

- Część pieniędzy - podjęła przyszła panna młoda - będzie pochodziła ze zwykłego rozszerzania się wpływów tej, istniejącej kompanii. Mimo że Nicholas przyczynił się do tego w znacznym stopniu i nadal będzie tu służył radą i pomocą, nie zamierza czerpać z tego korzyści. Wszystkie filie przedsiębiorstwa i wszystkie nieruchomości, jakie posiadam w tej chwili, także w Leuven, co odziedzyczyłam po ojcu, muszą być w pełni chronione, tak by dochody wpływały wyłącznie do mnie, a po mnie do mego syna. Wszystko, co robi Nicholas jako mój przedstawiciel, zostanie także przekazane kompanii, która będzie mu wypłacała uzgodnione wynagrodzenie.

To było ciekawe - zabezpieczała się. Młodzieniec nie okazywał załopotania. Oczywiście, dlaczego miałyby je odczuwać? Meester Gregorio rzekł:

- Wybaczcie. Macie chyba syna i dwie córki? Ich przyszłe dziedzictwo i posagi zależą od waszej woli.

Chłopak nabazgrał coś na papierze i spojrzął na kobietę.

- Właśnie - odezwał się. - Wiedziałem, że o czymś zapomnieliśmy. Mogę całymi dniami wylegiwać się na poduszkach ze złotogłowiu, a ty sprzedasz Henninca i obwieszysz mnie brylantami; tymczasem Feliks będzie musiał zebrać w swojej tawernie, Tilda zaś i Katarzyna poślubią zamiataczy ulic. Twoje wydatki i moje zarobki muszą podlegać kontroli. To oznacza radę powierniczą. To oznacza rzetelnie prowadzone księgi rachunkowe i sprawdzanie ich przez kogoś z zewnątrz. - Zwrócił się do notariusza - Doszliśmy razem do wniosku, że będzie to nie tyle ślub, ile przeróbka umowy prawnej. Dlatego jesteście nam potrzebni. Chcemy, by odbyło się to dzisiaj przed południem.

Ci laicy; zawsze wymagali podobnych rzeczy. Gregorio z Asti odrzekł mu:

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

- Mhm - odparł młodzieniec - tak mi się wydawało. Dałem znać Meester Anzelmowi Adorne. Gdy tylko uporamy się z najtrudniejszymi sprawami, pozostawię was z panią dla ustalenia i spisania umowy. Meester Anzelm wezwie miejskiego adwokata i być może któregoś z burmistrzów jako przedstawicieli. Będę mu towarzyszył w odwiedzinach u cechmistrza farbiarzy i u Meester Bładelina, a także u biskupa Terni, którego poprosimy o specjalne zezwolenie. Do niego także wysłałem wiadomość. Nim wybije południe, w Hotelu Jerusalem może zebrać się dosyć ludzi, by cywilna umowa została zawarta w odpowiedni sposób. Później biskup, lub, gdyby go

nie było, kapelan Meester Anzelma, odprawi mszę w Jerusalemerk. I już będzie po wszystkim.

Gregorio spojrzął na wdowę. Sprawiała wrażenie, jakby wbrew własnej woli była nieco oszołomiona. Miała słuszość przynajmniej w jednym. Ten człowiek miał głowę na karku. Był niebezpieczny. Notariusz poczuł drgnienie współczucia dla Marian de Charetty.

- Rozumiem - powiedział. - Zaplanowaliście to bardzo dobrze. Ale czy mogę zapytać, po co taki pośpiech?

Młodzieniec skierował ku niemu całkowicie szczere spojrzenie.

- Ponieważ wszyscy będą myśleli dokładnie to samo, co wy i rozpęta się zamieszanie. Kiedy dowiedzą się o tym żony, nie będzie mowy o ślubie: zastraszą swoich mężów. Potrzebujemy warunków, jakie panują w czasie zwykłego, handlowego posiedzenia, kiedy to spisuje się rzetelną umowę, chroniącą każdą ze stron.

- Prócz was, jak widzę? - stwierdził współczująco Gregorio. - Jeżeli, jak powiadacie, chcecie być pozbawieni wszelkich zysków materialnych, bezpośrednio lub pośrednio, przez przyszłą małżonkę; wyjąwszy ustaloną zapłatę. Z czego będziecie żyli, jeśli wasza żona, co nie daj Boże, umrze? Dziedzictwo przejdzie na jej syna, a on będzie mógł was zwolnić. Ponieważ nikt o nim nie wspomniał, domyślam się, że nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie?

- Jest to odrębna trudność - powiedziała Marian de Charetty. - Mój syn ma siedemnaście lat i jest bardzo uparty. Chcę, by to małżeństwo zostało zawarte, zanim on się dowie, o ile to możliwe. - Umilkła, a po chwili dodała: - Prawdę mówiąc, nie jesteśmy zgodni w tej kwestii. Nalegałam, aby tak postąpić. Nie dopuszczę, by Feliks wtrącał się do moich osobistych decyzji, zanim zdołam je wprowadzić w życie. Później i tak będzie wystarczająco przykry. Jeśli zaś prawo wymaga jego zgody lub obecności, musicie je obejść.

- Są sposoby, gdy Kościół jest przychylny - powiedział Gregorio. - Ale jeżeli wasz syn zapragnie zemsty, ta umowa daje mu władzę.

- Władza dana mu przez prawo jest mu potrzebna - stwierdził młodzieniec - byle nie naruszała praw matki. Niech nie będzie co do tego wątpliwości. Feliks nie sprawi kłopotu ani mnie, ani wam, kiedy go poznacie. Po prostu jest młody. A gdy mowa o pieniądzu, potrafię je zdobyć i bez Charettów, Meester Gregorio. Myślę, że pani wskazała nowe przedsięwzięcie. Zajmę się nim wraz z moimi współnikami, nie korzystając z pieniędzy kompanii, choć mam nadzieję, że przyniesie jej to korzyść. I wam także, jeśli tylko zechcecie. Dlatego właśnie, co was zapewne zdziwiło, Meester Anzelm udzieli nam pomocy. Możecie sądzić, że ręczy on za pewien poziom interesów, a ja jestem nieco mniej nieodpowiedzialny, niż

wam się początkowo wydawało. Tylko czas może tego dowieść. Tymczasem prosimy was jedynie o pomoc w sformułowaniu umowy. Czy to was przeraża?

Gregorio był zaskoczony. Czuł podziw zmieszany z obawą. Miał przemożną ochotę przyczynić się - jeszcze przed końcem tego spotkania - do sporządzenia dla tej przebiegłej pary takiego kontraktu małżeńskiego, który spełni wszelkie ich wymagania - dokładnie, całkowicie i zadowalająco. Kontraktu tak wiążącego, że niezależnie od sztuczek wymyślonych przez młokosa, od uroku jakiemu uległa ta kobieta - nie będzie mógł zostać zerwany.

A później - pomyślał sobie - później z radością zostanie tu przez pewien czas i zobaczy, co się będzie działo.

Jako drugi wiadomość otrzymał Anzelm Adorne, któremu wręczono przesyłkę tuż po tym, jak wstał z kolan i wyprowadził żonę, dzieci i służbę z porannego nabożeństwa w Jerusalemerkerk, prywatnym kościele, wzniesionym przez jego ojca i wuja. Paczuska zawierała kilka gęsto zapisanych stronnic; a przeczytawszy ów list, Anzelm Adorne położył dłoń na ramieniu żony i powiedział:

- Zanim rozpoczniesz domowe obowiązki, musimy porozmawiać. Później należy posprzątać w sali na dole. Będziemy mieli gości dziś przed południem.

Musiał chwilę poczekać, gdy pospieszyła do kuchni wydać polecenia. Potem przysłała do niego do sypialni.

Była odrobinę podniecona. Nie zaniepokojona, gdyż wszystkie dzieci miała w zasięgu ręki: nawet Jana, który przyjechał na Wielkanoc z Paryża. W ciągu szesnastu lat poznała swego uważnego, dwornego małżonka i jego dobre serce. Cokolwiek złego przydarzyłoby się ojcu Piętrowi w cichym odosobnieniu kartuzjańskiego klasztoru, lub komukolwiek z wujów, ciotek, braci, sióstr, niezliczonych kuzynów, siostrzenic, bratanic i bratanków rodu Adorne i van der Banck - powiedziałyby jej o tym natychmiast.

Nie myślała o interesach. Znała oczywiście niektóre z jego trosk. Margriet van der Banck miała czternaście lat, gdy została jego żoną; i była sierotą, lecz wychowanie odebrała rzetelne. Była dobrą gospodynią, dobrą matką, umiała prowadzić dom. Tym się zajmowała i nie wtrącała się do spraw męża. Chyba że dotyczyły ich wspólnej przyszłości, tak jak owa kwestia z ałunem. Opowiedział jej o wszystkim. Nadal wołałaby, żeby się do tego nie mieszał.

Przeraziła się więc, kiedy - oczekując nowych, podniecających pomys-

łów, spotkań, wiadomości o nabytkach - usłyszała o przedmiocie swego niepokoju. O negocjacjach w sprawie ałunu i o tym młodym, bardzo przywoitym farbiarzu imieniem Claes, który był tak miły dla Marii i Katelijne, w co niełatwo było uwierzyć, wymyślił cały ten niebezpieczny plan przy współudziale jakiegoś włoskiego medyka. Bardziej prawdopodobne, że wykorzystał go do zacieśnienia znajomości z Anzelmem. Choć Anzelm zdawał się wierzyć w zdolności tego chłopca.

Nie każdy jednak posiadał mądrość Anzelma. Anzelm poślubił ją mając lat dziewiętnaście, został brugijskim rajcą mając dwadzieścia i w tym samym roku zwyciężył w turnieju Białego Niedźwiedzia. Był mieszczaninem, lecz 0 arystokratycznym rodowodzie, spokrewnionym z dożami. Tamten był rzemieślnikiem. A teraz Anzelm mówił jej:

- Pamiętajsz chyba młodego Claesa z domu Charetych? List był od niego. Przybędzie tu lada chwila prosić o pomoc dla Marian de Charety. Przedsiębiorstwo tak się rozwinęło, że sama nie da rady nim zarządzać. Uważa, że Claes będzie najlepszym wspólnikiem, lecz on nie ma, oczywiście, odpowiedniego stanowiska. Postanowiła temu zaradzić proponując owemu młodemu człowiekowi małżeństwo.

Margriet nie mogła powstrzymać jęku. Anzelm uniósł głowę typowym dla siebie gestem.

- To ich sprawa, moja droga - rzekł. - Pani de Charety podjęła decyzję. Życzy sobie, by spisać i potwierdzić kontrakt małżeński jeszcze dziś rano, I prosi mnie o pomoc. Claes powiada, że pani waha się pytać o to, lecz on wie, że pragnęłaby uzyskać błogosławieństwo Kościoła. Zapytuje, czy pozwolimy, aby podpisanie kontraktu miało miejsce w naszym domu i by później odprawiono mszę w Jerusalemerk.

Margriet milczała przez chwilę, ponieważ przedtem bywała strofowana. W końcu jednak musiała dać upust uczuciom.

- Wydaje mu się, że jesteś jego dłużnikiem - zaczęła - inaczej nigdy by cię o to nie poprosił. Oto pierwsze złe skutki waszej współpracy.

Położył list i usiadł obok żony.

- Oczywiście, dlatego mnie poprosił. Ale jest jeszcze inna przyczyna. Wiem, że Marian de Charety postępuje słusznie. On potrafi pokierować jej przedsiębiorstwem jak nikt inny, ale w tej chwili nie ma odpowiedniego stanowiska.

- Wiesz jednak, że to nie wszystko - rzekła Margriet van der Bank.
- Poślubienie własnego czeladnika zamiast zatrudnienia wykształconego zarządcy lub wzięcia sobie męża równego wiekiem i stanem, uczyni z niej pośmiewisko całego miasta. Być może on jest najlepszym zarządcą, jakiego mogłaby znaleźć. Ale w ten sposób stawia przedsiębiorstwo na pierwszym

miejsu przed własnym honorem. Claes! Ujmujący chłopiec, ale tak niesforny, że połowę życia trwoni na odbieranie chłosty. Za każdym razem, kiedy wracał z Leuven, moje przyjaciółki zamykały na klucz dziewczki służebne. Co on zamyśla?

- Ustatkował się - powiedział Anzelm. - Sama pozwoliłaś mu w zapusty zaopiekować się naszymi córkami. Może dojrzał do ożenku. Może, moja kochana, przypadł sobie do serca - zawahał się - choć muszę przyznać, że w liście nie ma o tym ani słowa. Wszystko jest przedstawione jak kupiecka umowa.

- Może to *on* przypadł *jej* do serca - zauważyła Margriet. - Taka rozejdzie się pogłoska. Młody, krzepki mężczyzna, którego pociągają niewiasty. Z łatwością mógłby ją usidlić. Kupiecka umowa! Jakże by nie. Feliks wydziedziczony, a te nieszczęsne dziewczątka...

- Nie - przerwał Anzelm. - On to dobitnie podkreśla. Przedsiębiorstwo pozostaje własnością pani i jej rodziny. Jego prawnik oraz adwokat miejski spiszą umowę pozbawiającą go wszelkich zysków. Nie pragnie niczego prócz trudu zarządzania kompanią, co jest dla niego, jak sam twierdzi, dostateczną nagrodą. Wierzę mu. Właśnk to sprawiło, że postanowiłem mu pomóc.

- A zatem zamierzasz mu pomóc? - spytała. - No tak, to było do przewidzenia, zważywszy inne wasze sprawy. Podziwiasz go. Rzecz jasna, uczynię co w mojej mocy, gdyż jesteś moim mężem i żal mi tej nieszczęsnej kobiety, która będzie potrzebowała dobrego przyjaciela. Jej rodzina także. Co na to syn?

- Z listu wynika, że dowie się dopiero po uroczystości. Życzy sobie tego jego matka, nie Claes. A raczej Nicholas, bo tak go pewnie odtąd będziemy nazywali. - Wstał i pochyliwszy się ku niej, położył dłoń na jej ramieniu. - Czy zatem staniesz przy niej w czasie mszy weselnej?

- Kościół! - zawołała Margriet zrywając się na nogi. - Musimy przygotować kościół! Tak, stanę przy niej. Matrona będzie lepsza niż kobieta niezamężna, choć moglibyśmy kogoś takiego znaleźć. Na przykład Katelina van Borselen. Ale ona jest teraz w drodze do Bretanii. To wydarzenie rozwieje marzenia Gelis i kilku innych dziewczątek.

- Oraz dziewcząt - dorzucił sucho małżonek.

Tego samego dnia, kiedy w Brugii dzwony obwieściły południe, w domostwie Charetych folusznicy, farbiarze, rozciągacze i przecinacze, furmani, parobcy, stróże i stajenni zdjęli poplamione fartuchy pod czujnym okiem Henninca i udali się do siebie lub do kuchni Charetych, by spożyć lekki posiłek. Ponieważ Meester Gregorio i wdowa wyszli w niewiadomym celu, pracownicy farbiarni hałasowali nieco bardziej niż zazwyczaj, choć brak im było Claesa, który zawsze ich rozśmieszał. Któryś próbował

naśladować wdowę, tak jak robił to Claes, gdy Henninc nie słyszał; lecz nie był nawet w przybliżeniu tak doskonały.

W pojedynczej, wysokiej nawie Jerusalemekerk bicie dzwonów dotarło również do uszu ludzi zgromadzonych przed niezwykłym, barwnym ołtarzem, ozdobionym czaszkami i symbolami Męki Pańskiej. Stała tam niska postać Francesca Coppini, biskupa Terni, który kończył właśnie ceremonię ślubną. Na stole, przykrytym obrusem haftowanym przez samą Margriet van der Banck, stał posrebrzany krzyż zawierający kawałek drewna z krzyża Chrystusa, przywieziony z Ziemi Świętej przez ojca i wujka Anzelma. Po obu stronach ołtarza wąskie, podwójne stopnie wiodły w górę ku galerijce z białą balustradą, oświetlonej dzięki niewidocznym oknom wysoko na wieży. Miała ona naśladować i oddawać cześć świątyni z Grobem Pańskim, miejscu pielgrzymek rodu Adorne.

Zebrane towarzystwo swym wyglądem uczciło piękną budowlę. Margriet miała na sobie brokatową suknię z wysokim stanem i szeroką, gronostajową pelisę, a na głowie przybranie, spiczasto zakończone z dwóch stron. Anzelm i jego przyjaciele z rady miejskiej oraz cechów przybyli w odpowiednich szatach, spływających do kostek, z wyłogami i kołnierzami z futra lub satyny; w wysokich, filcowych kapeluszach różnych rozmiarów. Celowo nie było wśród nich żadnej kobiety.

Panna młoda miała na sobie ten sam strój, co o świcie, nie znalazła bowiem czasu na przebranie się: miękkie nakrycie głowy, osłaniające włosy, i usztywnioną suknię o schludnie zesnurowanych rękawkach i kwadratowym dekolcie, do której dodała bardzo piękny naszyjnik. Skóra, po raz pierwszy odsłonięta poniżej podbródka, była - jak zauważyła Margriet - jasna, gładka i zupełnie niebrzydka. Całość dopełniały miłe, błękitne oczy, zdrowe zęby i rumiane - jak zwykle - policzki.

Chłopiec także ubrany był w te same rzeczy, w których przyszedł rano, by wszystko ustalić. Przynajmniej nie była to niebieska liberia, która uczyniłaby z całej uroczystości nie tylko komedię, ale wręcz farsę. Ciemny kubrak z serży był prawdopodobnie jego własnością, zakupioną za własne pieniądze w Italii. Narzucił na to średniej długości szatę bez rękawów, jaką mógłby nosić kancelista, lecz o barwie ciemnozielonej, nie czarnej, gdyż taka mogłaby być dla niego zbyt kosztowna. Gładko przyczesane włosy wymykały się spod prostej, przekrzywionej czapki. Pończochy, również ciemnozielone, były bez łąt - co Margriet widziała u niego po raz pierwszy. Nigdy dotąd nie widziała go bez uśmiechu.

Po mszy odbyło się kłopotliwe weselne śniadanie przy stole nakrytym dla wszystkich w sali jadalnej. Ktoś wspomniał o flamandzkich galerach i rozmowa potoczyła się niepohamowanie, gdyż był to temat najbliższy

sercom i prtelom brugijskich kupców. A zatem ten głupiec, Alvisse Duodo, powiódł galery do Londynu, płynąc z powrotem w stronę Wenecji? A król Anglii, oczywiście, skonfiskował je, ponieważ potrzebuje okrętów do wojny ze swymi krewnym Yorkami. Angelo Tani i Tommaso omdlewali ze zgrozy. Nie tylko z powodu utraty sukna. Czy filia w Londynie otrzyma wysłane do nich piłki? Doria posłał trąbę i struny do klawikordu. Jacopo Strozzi dołożył wykałaczkę i karty do gry. Czy wszystko to zostanie wyładowane, czy może zostanie na okrętach, które będą musiały zawrócić w stronę cieśniny i popłynąć na spotkanie Anglików żeglujących z Calais?

Biskup Coppini mówił niewiele. To jemu powierzono zadanie dotarcia do Calais i pogodzenia tamtejszych Anglików z Anglikami w Anglii, którzy zajęli flamandzkie galery. Pomysł z pewnością znakomity. Z chwilą jednak, gdy to nastąpi i zostanie ogłoszony pokój, papież będzie mógł wysłać krucjatę dla odzyskania Konstantynopola, a król Francji, książę Burgundii i król Anglii (ktokolwiek nim będzie, zdobywszy sporną sukcesję) nie będą mieli żadnej wymówki: muszą posłać swoje floty lub wojska z pomocą papieżowi. Wówczas flamandzkie galery może zarekwirować tym razem książę Filip w Sluis, podobnie jak wszystkie szkockie barki, brygi portugalskie i niemieckie, karawele bretońskie oraz ciężkie statki z Hamburga. Jak kupiec mógł przetrwać w tych czasach? Potrzebował astrologa.

- Można skupować ryby - odezwał się pan młody, który jak dotąd wygłosił kilka przystojnych uwag i nie wydawał się przeraźliwie głupi. - Łodzie rybackie to chyba jedyne statki, które nie włączają się w krucjatę. Ale Post już się kończy, więc nie należy oczekiwać zbyt wielkiego zapotrzebowania. - Spodobał się im ten żart, a wypili już dość kandyjskiego wina z piwnic Meester Anzelma, by uśmieć się serdecznie. Jeden czy dwóch pomyślało nawet w skrytości ducha, że chłopak niechcący podsunął im myśl wartą rozważenia.

Wychodząc, wszyscy byli w dobrych humorach. Kiedy znajdują się w domach, będą skłonni - ze względu na własny udział - raczej bronić tego małżeństwa niż je obmawiać. Wszyscy znali warunki kontraktu, przyczyny, dla których został spisany i osoby, które na tym zyskały. Był to jedyny sposób, aby najpotężniejsze domy w Brugii poznały przynajmniej fakty.

Kiedy wyszedł biskup, burmistrz i prawnicy, Margriet van der Bank objęła pulchne ramiona panny młodej i zaprowadziła ją do swej komnaty, by pomóc w przygotowaniach do drogi powrotnej. Nowy notariusz, czujny Meester Gregorio, wyszedł już i podążył do domu Charettych. Pracownicy dowiedzą się o ślubie od samej pani, która oznajmi im to natychmiast po powrocie, mając męża u boku. Najpierw, ma się rozumieć, powie synowi i córkom.

Zniechęcająca perspektywa po tak ciężkim poranku. Pani była blada ze znużenia. Trudno było znaleźć jakiegokolwiek słowa. Margriet uściskała ją i próbowała milcząco dać do zrozumienia, że jest jej przyjaciółką. Ta mała wdowa po Cornelisie była dumną niewiastą. Nie padła Margriet w objęcia, lecz odwzajemniła lekko jej uścisk. Później odsunęła się i podziękowała cicho.

Potem, kiedy państwo młodzi odeszli, Margriet powiedziała wszystko Anzelmowi, lecz on - choć tego oczekiwała - nie powiedział, co zaszło, gdy odprowadził na stronę młodego Nicholasa. Doprawdy, nie było o czym mówić. Po odprowadzeniu gościa Adorne skorzystał ze swego biura, po czym wrócił do pokoju, gdzie pan młody zadrżał i usiadł raptownie, jak gdyby piorun uderzył przez okno. Później słysząc kroki Anzelma Adorne, odwrócił się ku niemu.

Anzelm zatrzymał się patrząc na niego z góry.

- Jak długo spałeś zeszłej nocy, przyjacielu Nicholasie? Wydaje mi się, że wcale.

Przerywając walkę mężczyźni niekiedy nabierali powietrza w taki sposób i gwałtownie wydychali je z obolałych płuc. Nicholas uśmiechnął się przy tym i potrząsnął głową. Anzelm zastanawiał się, gdzie i jak młodzieniec spędził ostatnią wolną noc. Ostatnią chłopięcą noc, prawdę mówiąc.

- Każdy pan młody może zabawić się z przyjaciółmi - dodał lekko.

Miał nadzieję, że chłopak pójdzie tym tropem. Lecz on zamiast tego błędził oczyma po komnacie, jak gdyby myślał już o paru innych sprawach.

- Och, nie - odparł. - Spędziłem tę noc w mojej izbie.

Anzelm Adorne patrzył na niego. Przynsunął sobie zydeł i usiadł, wciąż wpatrzony w ściągniętą twarz tamtego.

- Nicholasie? - zagadnął. - Nie żałujesz chyba swego kroku? Nie chciałbyś znowu pracować od dzwonu do dzwonu, obracać sukna w kadzi i obcować z prostytutkami i dziećmi? Byłby to grzech, zważywszy, co twoje zdolności mogą dać światu.

- Pieniądze? - rzucił Nicholas w stronę okna. - Byłem szczęśliwy nie posiadając nic. I mogłem także uszczęśliwiać innych.

- Oczywiście - rzekł Adorne - ale to było dzieło twej młodości. Nie poprzestałbyś na tym. Porzuciłeś to z własnej woli.

- Tak - przyznał Nicholas.

Anzelm Adorne obserwował go. Bezcelowe były słowa: To właśnie wybrałeś. Czy nie przewidziałaś, co będzie? Nie zdawałaś sobie sprawy, że jeszcze nie jesteś przygotowany do rządzenia? Pomyślał: „On będzie musiał umieć tym zarządzać ze względu na tę nieszczęsną kobietę. Co mu w tym pomoże. Z pewnością nie pijaństwo”.

- Sądę, że moja żona i pani de Charetty mają sobie co nieco do powiedzenia. Skoro czekasz tutaj, mogę pójść i sprawdzić, czy Maria i Katelijne skończyły nauki? Nigdy by mi nie wybaczyły, gdybym pozwolił ci odejść, zanim zobaczą się z tobą. - Umilkł i dodał po chwili: - Oczywiście, one o niczym nie wiedzą i nie troszczą się o to.

Anzelm Adorne był dobrym człowiekiem, który usiłował rozumieć uczucia innych. Czasami Margriet ostrzegała go: *Możesz znaleźć się zbyt blisko, Anzelmie. Niekiedy popełniasz omyłki.* Tym razem się nie mylił, choć młody człowiek po chwili milczenia powiedział tylko:

- Niczego bardziej nie pragnę.

Adorne wstał, wyszedł z pokoju i bez zbytniego pośpiechu odnalazł dzieci, które następnie zaprowadził do ich przyjaciela Claesa, czekającego z uśmiechem i nie dokończoną wełnianą plecionką w dłoniach.

Do chwili, gdy panna młoda była gotowa do wyjścia, Adorne nie dostrzegł żadnego uchybienia w zachowaniu jej nowego męża. Nicholas podziękował Anzelmowi i Margriet w sposób wyważony i szczery. Ze swobodą praktyka sięgnął po płaszcz pani i otulił nim jej ramiona. Uniosła ku niemu oczy, a jej rumieniec powrócił wraz z odwagą.

Dobry Boże, co za małżeństwo. Co za małżeństwo.

Adorne i Margriet pożegnali panią de Charetty i jej małżonka, niech ich Bóg prowadzi, kiedy odpływali barką do domu. Zajęty tą czynnością Anzelm nie zauważył swego młodego syna Jana, który wszedł właśnie do domu. Żarłoczny jak wszyscy żacy napychał usta resztkami pozostałymi po uczcie, wpytując przy tym służbę - i usłyszał niewiarygodną odpowiedź. Odpowiedź, której za żadne skarby świata nie zatrzymałby w tajemnicy.

ROZDZIAŁ 27

Południowe bicie dzwonów nie dotarło do uszu Feliksa de Charetty, który po bolesnej utracie dziewczki i sporej sumy pieniędzy ratował swój honor udając się do Poorterslogie, siedziby Towarzystwa Białego Niedźwiedzia. Towarzystwa, którego emblemat - umieszczony w niszy na zewnętrznym narożniku budynku - obejmował niegdyś, jak powiadano, ten głupi błazen Claes, tuż po przepłynięciu kanału i załuczeniu na śmierć kosztownego psa Szymona z Kilmirren.

To było jeszcze w czasach, kiedy Claes, choć głupi, bywał zabawny. Zanim zaczął wyliczać, co można, a czego nie można robić z dziewczkami takimi jak Mabelia. Prawdę mówiąc, Feliks nie żałował, że pozbył się kłopotu z Mabelia. Jak się okazało, nie chciała wcale odchodzić od Jana Bonkle, a Jan Bonkle nie chciał wyzbywać się jej. I on, i Jannekin byli wtedy nieco pijani.

Dzisiaj Feliks starał się nie tykać piwa, by wyrzeć korzystne wrażenie. Towarzystwo Białego Niedźwiedzia, którego wielki turniej otwierał porę turniejów po Świątach Wielkanocnych, było niezwykle ekskluzywne, a jego członkowie wywodzili się ze szlachty i zamożniejszego mieszczaństwa. Dopuszczano sukienników, bławatników i kuśnierzy; i właściciele ziemskich, ma się rozumieć. Nie tolerowano członków cechów, choć Bractwo czyniło wyjątki dla niektórych bogatych kupców i oberżystów. Jako syn kupca Feliks miał pewne szanse. Nie rozprawiał o farbiarni i foluszami. Przerażało go nieco, że ma wejść do tej okazałej budowli obok mostu nad kanałem, pozdrowić ludzi, których widywał w towarzystwie matki, i przyjąć ich zaproszenie na kielich wina.

Przyszło mu do głowy, że jeżeli ma tu przychodzić regularnie, będzie potrzebował więcej pieniędzy. Już potrzebował więcej pieniędzy, skoro musiał odbywać codzienne ćwiczenia, jak należało przed udziałem w turnieju. Miał zbroję i część niezbędnej broni. Musiał jednak mieć jeszcze kilka kopii i zapasową tarczę. Najważniejsze były oczywiście konie.

Powinien mieć dwa, i to wytrzymałe. W stajni był jeden, który niegdyś należał do ojca, choć ojciec niewiele walk widział w życiu i korzystał z konia raczej po to, by jeździć po mieście i pysnić się przed ludźmi, kiedy

nadchodziła jego kolej pełnienia straży przy murach. Feliks chciał zaciągnąć pożyczkę na drugiego. Pewien de Walie przebąkiwał coś o tym. Ale wiele znanych mu rodzin także zamierzało wziąć udział. Breydel, Metteneye, Bradericx, Halewyn, Themseke. Obyczaj przechodził z ojca na syna: uczestnictwo w turnieju i próba zdobycia trofeum w postaci rogu, kopii lub statuetki Niedźwiedzia. Za najlepszych dni przybywał do Brugii kwiat burgundzkiego dworu. Ludzie tacy jak Jacques de Lalain i Bastard Burgundzki.

Dreszcz przebiegł Feliksa, który jednak dzielnie odmówił wypicia kolejnego kielicha. Musiał zdobyć lepszego konia. I drugą tarczę. Czyż mógł używać byle czego w walce z wielkimi rycerzami? Zanurzył się chciwie w rozmowach o turniejach i wchłaniał wszelkie możliwe wiadomości o tym, jak i gdzie ćwiczyć się przed walkami. Powinien spotkać się z doświadczonym członkiem Bractwa, takim jak Anzelm Adorne, mimo że Adorne, potraktował go jak dziecko tamtego dnia, gdy Claes utopił armatę, wyłowił kapelusz tej dziewczyny i złamał pewnemu człowiekowi drewnianą nogę.

Zobaczył Jana Adorne, stojącego w drzwiach i dającego mu znaki. Pomyślał, że dobre i to. Jako piętnastolatek był chyba jeszcze za młody, by stawać w szrankach, ale na pewno bywał często z ojcem w Poorterslogie. Feliks wzniosł puchar zachęcającym gestem. Jego powiewający rękaw omal nie przewrócił flaszki. Ubrał się dzisiaj naprawdę wytwornie: z ramion spływały wstążki, a kubrak pod płaszczem był mocno watowany, co - jak słusznie twierdził krawiec - oddawało sprawiedliwość jego torsowi. Z myślą o zebranych tłumie włożył bardzo wysoki kapelusz, a nie jeden ze swoich najszerzych. Żałował tylko, że ma kołnierz zapięty tak wysoko pod szyją. Trudno mu było przez to spoglądać w dół i sprawdzać, czy jego rękawy nie przeszkadzają współbiesiadnikom.

Jan znowu pomachał, ale jeszcze nie wszedł. Rozzłoszczony Feliks przepchnął się w jego stronę i ujrzał przyczynę. Przyszli całą grupą. Był tam między innymi Bonkle, Sersanders i Lorenzo Strozzi. Lorenzo w zadziwiający sposób potrafił wymigiwać się od pracy u kuzyna swego ojca. A może dzwony ogłosiły południowy posiłek? Nie. On już go zjadł. Musi być później. Dotarł do drzwi i powiedział:

- No co? Nie wychodzę, jestem zajęty. Czego chcecie?
- Feliksie - odezwał się Jan.

Nic więcej. Inni wokół niego także się nie odzywali. Ich twarze miały dziwny wyraz. Cóż, żaden z przyjaciół Feliksa nie odznaczał się wybitną urodą. Ale wyglądali zabawnie. Jak gdyby mieli coś do powiedzenia i nie byli pewni, czy to świetny dowcip czy wielka klęska. Przez chwilę Feliks czuł niepokój, lecz wtem jeden z młodszych darmozjadów, trzymających się

z tyłu, wydał z siebie głośne, bulgocące prychnięcie, przypominające wrzenie gotowanej ryby w kociołku, i zgiął się w pół, chwytając za podbrzusze. Feliks z obrzydzeniem strząsnął parę kropli śluzu ze swych guzików.

Najwyraźniej nic złego się nie stało, jeżeli to miało być śmieszne. Feliks pomyślał, że to pewnie początek złośliwego kawału. Wymierzonego przeciwno niemu.

- Jeżeli nie macie mi nic do powiedzenia, wracam do środka - oświadczył. - Głupio postępujesz, Janie, przyprawdzając ten motłoch do klubu swego ojca. Bywaj.

Chciał wejść z powrotem, lecz jeden z miejskich ceklarzy, cierpliwie obchodząc grupę, znalazł się w drzwiach przed nim i Feliks musiał zaczekać. Otworzywszy drzwi usłyszał, ku swej wściekłości, krzyk Jana Adorne. To było nie do zniesienia. Sztywniejąc z gniewu Feliks odwrócił się po raz ostatni i plunął w stronę przyjaciół.

- Idźcie precz! Precz! Wynoście się! Nie chcę was widzieć.

- Feliksie! - wrzasnął Jan Adorne. - Czeladnik Claes ożenił się z twoją matką!

Feliks nie zauważył, że drzwi znowu się zamknęły.

- Co? - zapytał.

Inny chłopak powtórzył natychmiast, wymawiając słowa wyraźnie jak nauczyciel:

- Twoja matka poślubiła Claesa.

- Czeladnika Claesa - dodał głos z tyłu.

- W domu Jana. Dziś rano - zakończył uczynny chłopiec.

A więc to miał być złośliwy kawał. Feliks poczuł, że jego twarz nabrzmiewa. Za plecami jego tak zwanych przyjaciół woźnica wstrzymał konie i uśmiechnął się krzywo, a dwaj kupcy, którzy spierając się o coś wychodzili z Tonlieu, odwrócili się i patrzyli. Drzwi klubu otworzyły się ponownie i tym razem pozostały otwarte, w środku zaś głowy obecnych zaczęły się odwracać.

Na skrzydłach furii Feliks ruszył na przód, popychając przed sobą szurającą nogami grupę dręczycieli. Z poczerwieniałą twarzą, cichym głosem przemówił do nich:

- *Pokażę wam Claesa i moją matkę. Nauczę was przychodzić do klubu i wszczynać burdy w obecności moich przyjaciół. Kiedy skończę z wami, pożałujecie, żeście się w ogóle urodzili. Moja matka porozmawia z twoim ojcem, Janie Adorne!*

Odstąpili w tył na tyle, na ile mogli. Cisnęli się po drugiej stronie wąskiej ulicy, patrząc na niego. Za nim pewien bardzo zamożny pan ze swym

towarzystwem wspiał się po schodach i śmiejąc się z cicha wszedł do klubu, lecz drzwi pozostawił otwarte. Jego towarzysz przystanął, trzymając drzwi, a po chwili dołączyli doń dwaj inni.

- Cóż, powinienes sam rozmówić się z ojcem Jana. On ci powie, że to prawda.

Przedtem nieraz płatali sobie figle. Pakowanie się w tarapaty i wychodzenie z nich było rzeczą zwyczajną, podobnie jak burze gniewu, a nawet ukłucia lęku. Ale wśród chłopców i między chłopcami, nie przed bramą Poorterslogie. Straszliwy problem towarzyski zaczął już obezwładniać zmagającego się z nim Feliksa, nie będącego młodzieńcem szczególnie błyskotliwym. Po słowach Lorenza jego żołądek, dostrzegając coś zupełnie nie do strawienia, zaczął pulsować nagłym bólem, jak gdyby ugodziła go letnia błyskawica. Świadomość Feliksa utonęła w fali wściekłości. Nacierał wciąż na przyjaciół, wypływając z siebie gniewne słowa.

Nie cofali się już, choć ich postawa była niepewna. Pozwolili mu wymachiwać rękoma. Paru próbowało się odezwać, lecz Feliks przystawiał im pięści do twarzy. Było to niedorzeczne. Lorenzo, który opamiętał się pierwszy, pochylił się usiłując - w dobrej wierze - pochwycić ramię Feliksa. Feliks uderzył go boleśnie w rękę.

- Dobrze - rzekł Lorenzo gniewnie. - Jeżeli on nie chce wierzyć, to jego rzecz - i odszedł.

Młodszy chłopcy przysunęli się bliżej. Jan Bonkle odezwał się, zaczerwieniony:

- Och, dajcie spokój. Pogarszacie tylko sprawę. Nie powinienes być mówić o tym tutaj, Janie.

Jan Adorne odwrócił się i odrzekł:

- Ale musiałem! Nie chciał wyjść. Ma chyba prawo wiedzieć. No bo tak: pójdzie do domu i zobaczy...

- ... w łóżku... - wtrącił chłopiec, który wcześniej prychnął

- ... swego nowego ojca! - wyrwał się inny - Claesa! - Podtrzymywali się nawzajem i wybuchnęli śmiechem. Z tyłu, przy wejściu do Towarzystwa Białego Niedźwiedzia kilku mężczyzn popatrzyło po sobie w milczeniu, a wrzawa dochodząca z wnętrza klubu wyraźnie przycichła. Anzelm Sersanders, który to zauważył, pochylił się i tym razem zdołał złapać Feliksa za łokieć.

- Wynoście się wszyscy - powiedział. - Bonkle, pomóż mi. Janie, zbliż się tutaj.

Rozgorączkowany Feliks poczuł nagły chłód.

- Czy... to prawda? - zapytał.

Jan Adorne stanął po jednej stronie, po drugiej zaś Anzelm Sersanders

i Jan Bonkle. Kubrak Feliksa był rozpięty, koszula poplamiona, a pończochy - jak się okazało - lepkie i wilgotne. Grupa mężczyzn rozmawiała w progu Poorterslogie. Żołądek Feliksa podjechał do góry.

- Potrzebuję... - zaczął - To *nie jest* prawda?

Znajdowali się w sercu kupieckiej dzielnicy Brugii, lecz wyszukali dla Feliksa kąt, w którym mógł zwymiotować i - niestety - wysłuchać słów pociechy od pijanych flisaków. Później zaprowadzili go nad kanał i posadzili na brzegu, zanurzając w wodzie jego chustę. Dygotał.

- Nigdy dotąd nie postąpiliście tak podle - powiedziała. - To było niegodziwe. Brudny, podstępny, nikczemny... - łzy spływały mu po policzkach. - Mogliście wymyślić coś innego. - Zauważył, że popatrują po sobie. Kula, którą miał w żołądku, podeszła do gardła. - Idę do tawerny - oświadczył. - Nie chcę was więcej widzieć.

Nie poruszyli się i on także nie wstał. Dreszcz przebiegł jego ciało. Ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać.

Bonkle położył mu dłoń na ramieniu i wykrzywił się do Jana Adorne.

- Mów - powiedziała. - Niech usłyszysz, co wiesz.

Henninc, przyglądając się niezwykłym szatom swojej pani, powiadomił ją, że jonkheere Feliks poszedł do Poorterslogie. Dotychczas ani Henninc, ani inni domownicy o niczym nie wiedzieli. Po powrocie z Hotelu Jerusalem Nicholas zaprowadził panią od razu do domu i pozostał w środku. Służba nie mogła dowiedzieć się pierwsza, przed synem i dziedzicem. A syn, jak twierdził kwaśno Nicholas, powinien raczej dowiedzieć się o wszystkim w domu, nie na podwórzu.

Matka Feliksa milczała, rozmyślając o wieściach, które rozniosą świadkowie dzisiejszego poranka. Najpierw jednak z pewnością pójda do domów. I choć źle się stanie, jeśli Feliks usłyszysz o wszystkim w miejscu publicznym, duma nie pozwoli mu urządzać scen w takim, na przykład, Towarzystwie Białego Niedźwiedzia. I przyjdzie prosto do domu. Nicholas chciał, by Feliks wiedział wcześniej - i to chyba było roztropniejsze. Nie czynił jej wymówek. Przypuszczała, że nigdy nie będzie czynił jej wymówek w stopniu większym niż Henninc. To nie byłoby na miejscu; choć niekiedy zapominał się mówiąc o interesach i rozmawiał z nią jak równy z równą.

Postanowiwszy uporać się przynajmniej z jedną kwestią, poprosiła Meester Gregoria, by odszukał Tildę i Katarzynę, i przysłał je do jej sypialni. Przecwiczyła wcześniej, jak ma im o tym powiedzieć; i przekazać córkom w uproszczonej postaci to, o czym dowiedział się Adorne i inni. Ponieważ Claes jest mądry i wszyscy tak bardzo go lubią, poprosiła go

o pomoc w zarządzaniu kompanią, żeby mógł zostać z nimi na zawsze. Ale mężczyzna i kobieta muszą wziąć ślub, gdy są razem. Teraz Claes, którego odtąd mają nazywać Nicholasem, został jej nowym mężem. Ale, oczywiście, nigdy nie zastąpi im ojca. Muszą myśleć o nim tak jak ona. Jak o przyjacielu.

Katarzyna posmutniała. Teraz Claes będzie przywoził z Italii prezenty dla matki, a nie dla niej. Została pocieszona. Wszystko będzie jak dawniej. Każdy dostanie swój prezent, jeżeli będą jakieś prezenty. A Claes będzie po prostu pracował w domu, a nie na podwórzu. I trzeba mówić do niego: Nicholas. Katarzynie to wystarczyło.

Tilda, pobladła, zachowała się inaczej.

- Nikt spośród naszych przyjaciół nie ma matki, która wyszła za mąż za służbę - powiedziała.

Zanim Marian zdążyła się odezwać, jej młodsza córka wtrąciła z oburzeniem:

- Claes... Nicholas nie jest służą!

- A czym? - spytała Tilda. - Czy Feliks wie?

- Dowie się, gdy tylko przyjdzie - odparła Marian. - Tildo, obydwie z Katarzyną macie słuszość. Nicholas jest służą, gdyż urodził się wśród służby. Czy jednak znacie osobę, która miałaby tak mądrego męża? Wiecie, że jest inny niż wszyscy tutaj, na podwórzu. Nawet niż Henninc.

- Czy nie myślałaś o poślubieniu Henninca? - spytała cierpko Tilda.

- Czemu nie Oudenin de Ville? Jest ci bliższy wiekiem. Czy spodziewasz się dziecka?

Prerażona Marian spojrzała na córkę. Nie wiedziała, czego ma oczekiwać. Z pewnością nie tego. Usłyszała oburzony głosik Katarzyny:

- To nasza matka! Miała już wszystkie swoje dzieci.

- Doprawdy? - rzekła Tilda. - Cóż, może nasz nowy ojciec postara się o dzieci, choć podejrzewam, że nie będzie wiadomo, czy są jego czy Feliksa.

Zmierzyła matkę spojrzeniem. Słodka, cicha, trzynastoletnia dziewczynka.

- Co masz na myśli? - zapytała spokojnie Marian.

- Ty *naprawdę* nie masz pojęcia, co się dzieje - oznajmiła Tilda. - Czy nie wiesz, że oni sobie nawzajem sprzedają kochanki? Claes dostał Mabelię od Szymona z Kilmirren. Jan Bonkle dostał ją od Claesa. Feliks zaś odkupił ją od Jana. Po to mu był potrzebny ośmioszylingowy parytet.

Wtedy właśnie Nicholas otworzył drzwi. Marian wstała powoli. Tilda, która już stała, odwróciła się plecami do matki i podeszła do niego. Splunęła mu na ubranie i wyszła z pokoju.

Katarzyna wykrzywiła płacząco twarz.

- Ojej, te humory - powiedział Nicholas, wycierając się starannie

chustką. - Czy myślisz, że zostaną plamy? - usiadł nie przestając się wycierać
- Nie wiem. Jak ci się zdaje, Katarzyno? Czy ona przywyknie do tego? To bardzo trudne: ślizgać się z kimś i po chwili usłyszeć, że będziesz się ślizgać z tą osobą każdej zimy.

Katarzyna przytuliła się do matki, lecz jej twarz rozpogodziła się nieco.

- Ona mówiła, że sprzedałaś Mabelię Feliksowi - oświadczyła.

- Na pewno nie - Nicholas wyszczerzył zęby. - Byłem rozczarowany Mabelia. Czy wiesz, że wolała ode mnie Jana Bonkle? A potem, pewnego wieczoru, Feliks wypił za dużo i myślał, że może odkupić ją od Jana. Ale takie miłe dziewczęta jak Mabelia nie są na sprzedaż. Została nadal najbliższą przyjaciółką Jana. Czy masz jakiegoś bliskiego przyjaciela?

- Lubię ciebie - odparła Katarzyna.

- To dobrze - powiedział Nicholas. - Ale musisz dzielić się mną z Tildą i matką. Wiesz, Tilda jest rozdrażniona. Musimy po prostu siedzieć cicho i okazywać jej delikatność, dopóki do tego nie przywyknie. Zostań teraz z matką. Moja pani?

Posadziła sobie Katarzynę na kolanie, przysuwając policzek do jej roześmianej twarzy. Nie wolno mi zapominać. Nie wolno mi zapominać, że on jest ze mną. Nie jestem sama.

- Tak, Nicholasie?

- Poprosiłem, by Feliks, kiedy wróci, przyszedł do mnie, nie do matki. Czy zezwolisz na to?

Jeszcze wczoraj odmówiłaby mu. Dzisiaj wiedziała już, że nie da sobie rady z Feliksem. Bóg **świadkiem**, że i z Tildą nie mogła sobie poradzić. Skinęła głową.

- Wydaje mi się, że lepiej Tildę zostawić na razie w spokoju - dodał Nicholas. - Katarzyno, czy zechcesz spać dzisiaj z matką? Widzisz, Tilda jest rozzłoszczona i może powiedzieć coś, czego naprawdę nie myśli. Ale to przejdzie.

Katarzyna spojrzała na niego.

- Nie wiem - powiedziała. - Miałam nadzieję, że ożenisz się ze mną, ale myślę, że Tilda naprawdę chciała pewnego dnia wyjść za ciebie i mieć dzieci. To dlatego była taka zła o Mabelię. Zawsze wypytywała, czy Mabelia nie robi się grubsza i nie spodziewa się dziecka.

Nicholas ponownie wyszczerzył zęby.

- Jeśli nawet, to ojcem jest Jan Bonkle - powiedział. - Nie zamierzam mieć dzieci, zapewniam cię. Ty i Tilda wystarczycie mi aż nadto.

- I Feliks - dorzuciła Katarzyna.

- I Feliks - zgodził się Nicholas, zerkając na jej matkę ponad jej głową.

Ponieważ wieść szybko rozniosła się po Brugii jako drobny i smakowity

skandal, a w Feliksie, jak się ktoś już o nim wyraził, dojrzał mężczyzna - powrócił samotnie do domu tego samego popołudnia, przemierzył podwórze i wszedł do środka. Tam zastąpił mu drogę wypatrujący go od pewnego czasu Meester Gregorio.

- Młody panie...

Ten zwrot go zaskoczył. Potem uświadomił sobie, że to, co odbyło się w tak wielkiej tajemnicy, było zapewne nieznanie nawet tutaj. Czekał obojętnie, by wysłuchać, co ten człowiek ma do powiedzenia. Kapelusznik trzymał w dłoni. Sersanders pożyczyl mu płaszcz dla zakrycia zniszczonego kubraka i reszty stroju. Anzelm był dobry, mimo że jego wuj należał do grona zdrajców. Wszyscy przyjaciele okazali się w końcu nie najgorsi. Każdy gotów był przenocować Feliksa u siebie. Ale po nocy musiał nadejść poranek, a wraz z nim konieczność stawienia czoła starszym.

Gregorio, który wyglądał jak człowiek mający coś do przekazania, najwyraźniej zmienił zdanie. Zawahał się, po czym rzekł:

- Wybaczcie mi, jonkheere. Wydaje mi się, że doszły was pewne słuchy. Plecy Feliksa zeszytniały.

- Jak widzę, wiecie o tym - stwierdził.

Kanciasta twarz mężczyzny nie złagodniała.

- Wyłącznie dlatego, że zażądano ode mnie spisania umowy zabezpieczającej wasze interesy. Wasza matka miała nadzieję, że zostanie was tutaj, gdy wróci. Teraz prosi, abyście najpierw spotkali się z Nicholasem.

- Urwał. - Miała ciężki i niełatwy dzień.

- Z Claesem - powiedział Feliks.

- Pewien jestem, że nie dba o to, jakiego użyjecie imienia - rzekł Gregorio. - Mam wam przekazać, że on przyjdzie do waszej sypialni, kiedy pošlecie po niego.

Kiedy pošle po niego. Claes, nadstawiający pleców w cierpliwym oczekiwaniu na karę. Pokorny Claes, który nigdy nie miał żalu o udaremnione plany czy zniszczone przez innych zabawki. Aż do chwili, gdy zostanie zmuszony żalu - w taki sposób, że nie zapomni go do końca życia. Feliks otworzył usta, po czym przypomniał sobie, że dla stojącego przed nim człowieka Claes był mężem pani.

- Zechciejcie, proszę, powiadomić Nicholasa, by przyszedł do mnie za dziesięć minut - powiedział. - Chciałbym się przebrać. A później złożę wizytę matce.

Gregorio skinął głową i odszedł.

W swoim pokoju Feliks zastał Tildę, uśpioną na łożu. Jej twarz była spuchnięta od płaczu. Zajął się budzeniem siostry, a potem objął ją i gładził jej włosy, ona zaś próbowała mówić, od nowa zanosząc się płaczem. Siedziała

jeszcze u niego, kiedy obydwójce usłyszeli ciche stukanie do drzwi - na znak, że Claes przyszedł. Tułąc siostrę Feliks powiedział:

- Jesteś na to za młoda. Idź do siebie.

Tilda spojrzała na niego, a jej szlochy ucichły pod wpływem wstrząsu.

- Wszystko będzie dobrze - dodał. - Zaprowadzę tu porządek. Otrzyj twarz i wróć do swego pokoju. Czy jest tam Katarzyna?

- Chyba nie - odparła. - Nicholas powiedział jej, żeby spała dziś u matki. Je kolację na dole.

- Idź więc, Tildo - powtórzył Feliks. - Przyjdę później do ciebie.

Gdy wyszła, przebrał się, trochę niezdarnie, w czystą koszulę, czyste pończochy i kubrak. Otworzywszy drzwi zobaczył Claesa opartego o ścianę korytarza.

- Wiesz, gdzie sypiam - powiedział Claes. - Nie mam nic do ukrycia.

Feliks przytrzymał drzwi, po czym zamknął je za Claesem. Po raz pierwszy widział na Claesie ten ciemny kubrak, choć koszula nie była nowa.

- Dowiedziałem się na schodach Poorterslogie - oznajmił Feliks. - Być może ty sam to zaplanowałeś!

- Twoja matka myślała, że zastanie cię tutaj - rzekł Claes. - Mam ci coś do powiedzenia, a potem natychmiast do niej idź. Jesteś jej potrzebny.

- Jak ją do tego skłoniłeś? - spytał Feliks. Zadawanie pytań właściwie mijało się z celem. Wiadomo było, że Claes ma przygotowane wszystkie odpowiedzi. Feliks nigdy nie chciał przyznać, jak inteligentny jest Claes. Podobnie było z Juliuszem.

- Za wcześniej rozbudowałem przedsiębiorstwo - powiedział Claes. - Już wkrótce będziesz mógł nim kierować, na razie jednak twoja matka nie ma tu zaufanego człowieka. Zapropnowała mi posadę wspólnika w formie małżeństwa. To wszystko. Nie mam udziału w przedsiębiorstwie. Należy ono w całości do niej i do ciebie. Powiem ci coś, o czym dowiedzą się wszyscy: poważam i czczę twoją matkę, lecz nie będę dzielił z nią sypialni. Przedsiębiorstwo jest własnością rodziny. Jestem przyjacielem i faktorem tej rodziny.

- Od jak dawna to planowałeś? - zapytał Feliks.

- Po raz pierwszy była mowa o tym wczorajszej nocy, a postanowienie zapadło dziś rano - odparł Claes.

- I natychmiast zostało wprowadzone w życie, żebym nie mógł temu zapobiec? Prawdopodobnie mogę i teraz - stwierdził Feliks.

- Nie - powiedział Claes. - Umowa jest nienaruszalna. Wieść i tak się rozejdzie, a odwoływanie tylko pogorszyłoby sprawę nie zmieniając faktów. Pośpiech był wskazany, by uciąć plotki; prócz tego muszę niebawem wyjechać do Italii, a wiele jest tu jeszcze do zrobienia. Miałem nadzieję, że mi pomożesz.

- Był czas, że ją przedrzeźniałeś - powiedział nagle Feliks. - Był czas, że... - głos mu się załamał.

- To było dawno temu - odparł Claes. - Jestem tu od dziesiątego roku życia. Czy myślisz, że mógłbym skrzywdzić kogoś z was?

Feliks przypomniał sobie brzeg kanału i z jego gardła wydobył się odgłos przypominający śmiech pełen niedowierzania. Stał patrząc na Claesa, oddzielony od niego szerokością niewielkiej izby. Żaden z nich nie poruszył się w trakcie tej rozmowy. Feliks odezwał się po chwili:

- Nakłoniłeś ją do poślubienia robotnika młodszego o dwadzieścia lat i powierzenia mu swego przedsiębiorstwa. Na moich oczach. Jestem dziedzicem kompanii Charetty... żaden inny mężczyzna nie jest tu potrzebny. Ludzie się na to nie zgodzą. Nie będą dla ciebie pracowali. A ponieważ jesteś tylko sługą i do tego jej wychowankiem, miasto nie przełknie żadnych cudownych opowieści o tym, jak to pobraliście się dla dobra przedsiębiorstwa. Będą myśleli, że... że ona... - urwał i dodał po chwili: - Nie sądzę, by Tilda zechciała teraz wychodzić do miasta. - A gdy Claes po raz pierwszy wyraźnie drgnął, Feliks dorzucił zjadliwie: - I mówisz, że nie chcesz nas skrzywdzić. Pewnie, że chcesz. Za wszystkie te chwile, kiedy nadstawiałeś drugi policzek. Za wszystkie chłosty. Taką obmyśliłeś zemstę, prawda?

Miał dużo czasu, by to przemyśleć, nad kanałem i po drodze do domu. Nie o wszystkim powiedział przyjacielom, bo duma nie pozwoliła mu na to. Ale nie zaprzeczali, kiedy wykazał, że dla Claesa nadeszła wreszcie chwila rozkosznej zemsty. Nie mogli zaprzeczyć. To była prawda. Nie istniała żadna inna przyczyna. Matka była starą kobietą. A Claes, jeżeli się postarał, potrafił nakłaniać ludzi, by robili to, co on zechce. Zwłaszcza kobiety.

- Zemstę? - powtórzył Claes. - Za co? Nikt mnie nie skrzywdził. Lubię was.

Zawsze w ten sposób parował ciosy - bez walki. Tym razem to się na nic nie zda.

- Jeżeli nas lubisz, to dlaczego wplątujesz rodzinę w publiczny skandal? - zapytał Feliks. - Dlaczego wystawiasz moją matkę na pośmiewisko? Rujnujesz przyszłość Tildy i Katarzyny? Jak ci się wydaje, co czułem u wejścia do Poorterslogie? Jak będę się czuł stojąc z boku, podczas gdy mój własny sługa będzie zarządzał kompanią mej matki? Nawet przedsiębiorstwo na tym nie skorzysta, jeżeli rzemieślnicy nie zechcą służyć twoich rozkazów, a kupcy odwrócą się plecami i wyśmieją nas. Może i jesteś sprytny, ale czy twoje doświadczenie da się porównać z ich doświadczeniem? Zniszczysz wszystko, nie rozumiesz? I nie będzie miało znaczenia, że tak wielu udziałów w zysku nie przyjmiesz: i tak nic nie zostanie dla mnie ani dla mojej matki, ani dla sióstr.

- Gdyby nie to, twoja matka sprzedałaby kompanię albo poślubiła Oudenina - powiedział Claes.

- Jedno i drugie byłoby lepsze - odparł Feliks. - Ale skoro jest jak jest, wybierzemy najlepsze wyjście. Odjedziesz jeszcze dziś. Możesz wziąć jednego konia. Dam ci tyle pieniędzy, żeby wystarczyło do Genewy. Jaak de Fleury na pewno cię przyjmie. Jesteś bękartem jego bratanicy. A jeżeli nie, będziesz musiał sam sobie znaleźć pracę. Z pewnością nie będzie to trudne. Możesz poprowadzić komuś przedsiębiorstwo. Albo, skoro teraz umiesz walczyć, możesz przyłączyć się do jakiegoś oddziału najemnego. Trzymaj się jednak z dala od Astorre'a i naszej kompanii. Już do niej nie należysz. Nie zatrudniamy cię więcej i nie chcemy mieć z tobą nic wspólnego. Czy to jasne?

- Owszem - odpowiedział Claes. - Będziesz musiał porozmawiać o tym z matką. Ale co będzie, jeśli się nie zgodzi? To przecież ona zawiaduje sakiewką?

Feliks utkwiał w nim oczy.

- Grozisz mi? - spytał.

- Nie - odrzekł Claes. - Przynajmniej spodziewam się, że dostaniesz gdzieś pracę... Widzisz, dla niej jesteś pod każdym względem ważniejszy niż ja i zawsze będziesz ważniejszy. Jeżeli jednak każesz jej teraz wybierać między nami dwoma, zwykła duma sprawi, że wybierze mnie. Lepiej byłoby trochę zaczekać.

- Przyjaciele ojca... wypędzą cię z tego miasta - powiedział Feliks.

- Być może - odparł Claes.

- Henninc odejdzie.

- Sprowadzisz go z powrotem, kiedy zostaną wypędzony z miasta - powiedział Claes. - Posłuchaj. Jeden błąd i już po mnie, wiesz o tym... na długo zanim nadarzy mi się możliwość zrujnowania kompanii. Nie musisz pomagać ani okazywać aprobaty. Na zebrania mogę zabierać Gregoria. Podsunąłem ci tę myśl tylko dlatego, że w ten sposób możesz mieć mnie na oku. Ale twoje rady są mi potrzebne. Wyrzucenie OHviera to była najlepsza rzecz, jaka wydarzyła się w Leuven.

Zawsze miał odpowiedź. Cokolwiek byś wymyślił, on już na to czekał. Mógł uknuć wszystko. Niepodważalny kontrakt małżeński. A matka została tak omotana, że z pewnością uważa to za najlepsze wyjście. Jego zaś czeka podłe zadanie unieszczęśliwienia jej. Chyba że potrafiłby dowieść...

- Musimy powiedzieć robotnikom i służbie zanim zakończą dzienną pracę - powiedział Claes. - Uczyni to twoja matka. Nie musisz przy tym być. Ale może byś zechciał pójść teraz do niej i upewnić się, czy ona rzeczywiście tego chce. Jeżeli nie, nie będę występował przeciwko wam. Nie możesz rozzerwać małżeństwa, lecz ja mogę wyjechać. Gregorio zwoła potem ludzi i oznajmi im ostateczną decyzję. Czy tak będzie uczciwie?

- Niezbyt - odparł Feliks. - Miałeś cały dzień i noc, by ją do tego namówić. A wcześniej na pewno całe tygodnie przygotowań. Ja mam zaledwie kilka minut.

- Ale jesteś jej synem - rzekł Claes.

Pójdzie do matki. Nie wiedział, jak wyprosić Claesa z pokoju. W końcu po prostu podszedł do drzwi, otworzył je i odezwał się do Claesa:

- Idź do siebie i zaczekaj.

I Claes poszedł bez szemrania, jak gdyby nie był wcale mężem matki Feliksa. Feliks poczuł, że znowu ściska mu się gardło. Czekał, aż wróci do równowagi. Później wyszedł i zastukał do drzwi pokoju matki.

Samotność, odczuwana po raz pierwszy w wieku lat siedemnastu, jest czymś przerażającym.

Tyle już razy Feliks stał przed drzwiami ojcowskiego gabinetu, zbierając odwagę, by zastukać, wejść i stawić czoło Cornelisowi, rozgniewanemu z powodu jakiegoś występku, niegodnego jego jedyne go syna i hołubionego dziedzica.

Cornelis nigdy naprawdę nie znał Feliksa. Matka go znała i często obrywał od niej szturchańce mocniejsze niż od Cornelisa; ale zawsze była gdzieś w tle, pełna szorstkiego zrozumienia. Nawet w chwilach buntu przeciwko niej czuł się bezpieczny. Teraz to się skończyło. Miał w sobie taką pustkę, że jego dłoń nawet nie drżała, kiedy uniósł ją, by zastukać do matczynych drzwi. Miał w sobie chłód.

W braku odpowiedzi zastukał ponownie, niezbyt głośno. Wówczas zrozumiał, że dźwięk zasłyszany przed chwilą był jej głosem i że już po raz drugi powiedziała, by wszedł. Ostrożnie otworzył drzwi.

Matka była sama w gabinecie. Siedziała przy dużym stole. Tak sztywno siadywała podczas rozmów z Hennincem czy Juliuszem, bacząc, by całe światło z okna padało na Henninca lub Juliusza, a na nią prawie wcale. Jedyna różnica polegała na tym, że oparła łokcie na okrytym sukniem blacie i stuliła dłonie przy ustach, jak gdyby grzejąc palce oddechem. Feliks podejrzewał, że jej oczy badają sponad dłoni jego świeży ubiór i zmienioną twarz. Niech widzi, co mu zrobiła. Zasłużyła na to. Podszedł nieco bliżej i zobaczył, że jej oczy są zamknięte.

Skierował się prosto do stołu. Nie spojrzała na niego, tylko mocniej zacisnęła powieki. Potem otworzyła oczy i opuściła dłonie. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał tak, jakby miała język przyschnięty do podniebienia.

- Twój przyjaciel rozumie cię lepiej niż ja. Nicholas błagał mnie, żebym cię odszukała dziś rano i powiedziała o wszystkim.

Stanął przed nią i odrzekł:

- I tak byś to powiedziała.

Nie spuszczała oczu z jego twarzy.

- Spójrz na mnie jak dorosły człowiek na drugiego człowieka. Pomyśl o Nicholasie tak, jak myślałby dorosły mężczyzna. Rozważ wszystko, co wiesz o nim, o mnie i o sobie samym. My troje nie okłamujemy się nawzajem.

Stwierdził, że znowu zaczął równo oddychać. Wyprostował się lekko.

- Ale nie powiedziałaś mi. Przypuszczam, że po to, bym wam nie przeszkodził.

- Tak - przyznała. Bardzo chciał, żeby mówiła dalej, spierała się, próbowała wyjaśniać, bo wówczas mógłby podsycić swój gniew.

- A zatem nie dbasz o to, co czuję - rzekł jej. - Chciałaś tylko zawrzeć ten ślub, zanim dowiem się o tym. Wiedziałaś, że byłoby to... że byłbym...

- Wiedziałam, że uznałbyś to za rzecz niedopuszczalną. Tak. Dlatego miałam nadzieję, że wszystko ułożę w taki sposób, abyś chętnie o tym myślał. Feliksie, znasz dobrze Nicholasą. Czy myślisz, że próbowałyby schwytać mnie w małżeńską pułapkę dla własnych celów? Naprawdę?

Claes. Claes, przez cały Boży rok u jego boku. Lecz...

- Widzisz, on jest sprytny - powiedział Feliks.

Jej twarz złagodniała, jak gdyby wiedziała, ile go kosztowało powiedzenie tego.

- Jest także mądry. Jeżeli czujesz, że trudno ci będzie wejść między ludzi z podniesionym czołem, musisz wiedzieć, że on czuje to samo. Wie, co ludzie powiedzą. Ja również. Czy zatem nie domyślasz się, że musieliśmy mieć bardzo ważne powody, by tak postąpić?

- Przedsiębiorstwo - stwierdził Feliks. Jego głos brzmiał beznamiętnie, pozbawiony wzdargliwego niedowierzania, które odczuwał, kiedy jeszcze czuł cokolwiek. - *On* mi właśnie powiedział, że chodzi o utrzymanie przedsiębiorstwa, dopóki nie będę mógł go poprowadzić. Jak gdybym chciał, żeby tak się stało. Jak gdyby mój ojciec kiedykolwiek prosił cię... oczekiwał, żebyś...

- ... poślubiła jednego z jego czeladników - dokończyła matka. Usłyszał, że oddycha głęboko. - Nie - dorzuciła. - Twój ojciec nigdy by sobie tego nie życzył. Ale twój ojciec nie żyje. Ja jestem tutaj. Muszę także jakoś przeżyć swoje życie. To już nawet nie jest ta sama kompania, którą stworzył twój ojciec: różni się od niej znacznie i będzie się różnić jeszcze bardziej. Chcę w niej pozostać; spędzać dni na myśleniu o niej. Ale nie dam sobie rady sama. Póki ty nie będziesz gotów, musi się tym zająć mężczyzna. Nie chcę, by ktoś zajął miejsce twego ojca, Feliksie. Chcę tylko przyjaciela. - Umilkła, a po chwili dodała: - I obiecuję ci, że wszyscy będą wiedzieli, że Nicholas jest tylko przyjacielem.

Poczuł, że znowu pali go twarz. Takie oświadczenia mogą się stać w przyszłości konieczne. Wszystko to brzmiało tak rozsądnie. Tyle, że on był dziedzicem, a Nicholas liczył niewiele więcej lat niż on. I Nicholas, o czym wszyscy wiedzieli, był jego sługą.

- Mężczyźni w różnym wieku mają różne uzdolnienia - odezwała się znów jego matka. - Czasami trzeba stanąć z boku i patrzeć, jak inni odbierają nagrodę; lecz nasza kolej także musi nadejść. Tylko człowiek małoduszny przeszkadza drugiemu. W Nicholasie ty i ja mamy przyjaciela. W tobie mam syna. Czy cokolwiek na świecie może to zmienić?

Coś połaskotało go w policzek, ale nie pomyślał nawet, że płacze sam o tym nie wiedząc. Przemówił:

- Przed chwilą powiedział mi, że odejdzie, jeśli tego zechcesz. Że nie powinienem teraz oczekiwać, iż wybierzesz mnie, a nie jego; ale mogę cię o to zapytać po pewnym czasie.

Matka milczała. Po chwili odrzekła:

- Jak mogłabym wybierać? Jesteś moim synem. Zawsze wybieram ciebie, gdziekolwiek się znajdziesz. I czy radziłybyś sobie lepiej, Feliksie, gdyby Nicholas odszedł zaprzeczając wszelkie sposoby? Gdyby kompania upadła, a moja droga życiowa dobiegła kresu? Czy w ten sposób mężczyzna zajmuje swoje miejsce w świecie?

Ziębnięty podbródek przekonał go wreszcie, że *naprawdę* płacze.

- To się stało w Poorterslogie - powiedział i ściągnął wargi, by przemóc bolesny skurcz w gardle. Mrugając zerknął w stronę stołu i zobaczył, że matka znowu uniosła dłonie do ust, a następnie do czoła. Zakrywając twarz odezwała się:

- Przeżyłabym cały ten dzień jeszcze raz, byle ci tego oszczędzić. Powinieneś być się dowiedzieć. Myliłam się. Gwoli uczciwości, to ja powinnam odejść. Być może pewnego dnia ty i Nicholas postanowicie mnie opuścić. Zasłużyłam na to.

Oślonięte dłońmi usta zadrgały, jak gdyby w wymuszonym uśmiechu. Kiedy jednak opuściła ręce, zobaczył, że jej twarz lśni od łez, a nowe łyżłobią ścieżki w policzkach. Wówczas znalazł się przy niej i otoczyli się nawzajem ramionami, przyciskając do siebie wilgotne policzki. Po raz pierwszy przyznała się przed nim do błędu. Jak przed dorosłym człowiekiem. Sama powiedziała.

W trakcie urywanej wymiany zdań, która teraz nastąpiła, usłyszał samego siebie mówiącego, że pragnie, by matka była szczęśliwa. Dowiedział się - bez słów - że szczęście matki wiąże się w pewien sposób z Nicholasem. Nie było to dla niego zupełną nowością. W końcu z tego wynikało prawie całe jego nieszczęście. Dzielił się Nicholasem już wcześniej, zwłaszcza z kobieta-

mi. Z głową na kolanach matki pozwalał, by gładziła jego włosy, póki nie powróci do równowagi. Później powiedział:

- Przypuszczam, że klamka zapadła. Jeśli chcesz, będę ci pomagał.

Dojrzały mężczyzna może okazywać wielkoduszność. Był jej synem, jej wybrańcem. Ona zaś była kobietą, na tyle słabą, by potrzebować pomocy Claesa, jego sługi. Mógł jej tego oszczędzić. Co właściwie z tego wyniknie i jak, właściwie, miał stawić czoło przyszłym wypadkom - o tym wolał na razie nie myśleć. Dzisiaj jego nieszczęsna matka mogła na nim polegać.

Czekał, by ucałowała go w czoło. Zawahała się, a następnie tylko poklepała go po ramieniu, kiedy dźwignął się na nogi. Jej oczy, wpatrzone w niego, były wilgotne i niespokojne. Pociągnął nosem, pochylił się i obdarzył ją stanowczym pocałunkiem.

ROZDZIAŁ 28

Messer Gregorio, który pracował w milczeniu, obserwując jednym okiem otwarte drzwi, usłyszał kroki swej pani i wstał, zanim jeszcze weszła do pokoju. Chciała go prosić, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, by zwołał wszystkich pracowników i służbę w największym z pomieszczeń farbiarni, i postawił obok ławy skrzynię, na której będzie mogła stanąć. Mówiła spokojnie i bez drżenia, choć miała zaczerwienione powieki. Na koniec dodała:

- Henninc wam pomoże. Prosiłam, by przyszedł do mnie, bo chcę, żeby dowiedział się pierwszy.

Bez zarzutu. Rzecz została od początku do końca przeprowadzona bez zarzutu. Błędem było jedynie odwlekanie chwili powiadomienia syna. Nie wydawało się możliwe, aby własny sługa owego syna zdołał to naprawić.

Gregorio z Asti wykonał polecenie, a niebawem dołączył doń Henninc z zapłonioną twarzą i ściągniętymi wargami. Żaden z nich nie odpowiadał na pytania podwładnych. Wkrótce do farbiarni zaczął napływać z domu i podwórza hałaśliwy niczym stado szpaków tłum pracowników kompanii: od farbiarzy po chłopców trzymających gwoźdźdiki, od monarszego autorytetu kucharki po pomywaczki szorujące podłogi i zrywające warzywa.

Wyszła do nich pani w wytwornym stroju. Nie towarzyszył jej nowy małżonek. Młodzieńcem, który wyszedł za nią na podwórze i podał jej ramię, był - jak stwierdził oszołomiony Gregorio - jej własny syn, Feliks de Charetty, z pobladłą twarzą i w kurtce nie dobranej do kubraka. Kiedy dochodzili do budynku farbiarni, szcęknięta brama i twórca całego zamieszania zdecydowanym krokiem przemierzył podwórze. Głowy odwróciły się ku niemu. Gregorio zobaczył, że w uśmiechach nie ma urazy. Claes, spóźniony, pędzi przez podwórze. Obecnie, co prawda, kurier i dostojna osoba, ale to przecież Claes. Z pewnej odległości, wysoki i dobrze zbudowany, wyglądał imponująco. Z bliska, oczywiście, było inaczej.

Rozglądając się wszedł do farbiarni. Gregorio nie mógł odnaleźć w jego twarzy nawet cienia tryumfu, wstydu czy zakłopotania. Nicholas rozglądał się najwyraźniej za nim, Gregoriem i Hennincem. Stali w pobliżu pani i jej syna, lecz nie tuż obok. Nicholas przepchnął się w ich stronę i stanął tam

z twarzą zwróconą ku wdowie. Weszła na skrzynię i wszyscy natychmiast ucichli.

Nie było to dla nich zupełną nowością. W końcu kierowała przedsiębiorstwem po śmierci męża. Zaczęła od podziękowań za ich pomoc i lojalność. Mówiła o trudnych chwilach po śmierci małżonka, o zmianach, których pragnęli pracownicy, o przedsięwzięciach korzystnych i niekorzystnych finansowo. Powiedziała, że ostatni rok dowiódł, iż przedsiębiorstwo Charetych prosperuje bardzo dobrze i jeżeli czasy się nie zmieniają, będzie jeszcze lepiej. Być może stanie się naprawdę zamożną kompanią. Mówi im o tym z radością, żywi bowiem nadzieję, że wszyscy tu pozostaną i będą mieli swój udział w przyszłym dobrobycie.

W swych poczynaniach otrzymała cenną pomoc. Przede wszystkim od zarządcy Henninca. Od Meester Juliusza, którego obecnie nie ma, lecz niebawem powróci i będzie jej służył pomocą. I od jednego z nich. Od Claesa, którego obecnie, odkąd został posłańcem, nazywają Nicholasem. Przez ostatnie pół roku wiele dobrych posunięć związanych z prowadzeniem przedsiębiorstwa pochodziło od Claesa. Ma do tego talent. Mógłby zaferować ten talent każdej kompanii i pomóc jej osiągnąć wielkie powodzenie. Żeby jednak skłonić go do pozostania w kompanii Charety, ona sama, właścicielka uczyniła pewien ważny krok.

Nicholas jest młodzieńcem, którego czeka wspianała przyszłość. Dlatego pani de Charety czyni go swym współnikiem w zarządzaniu kompanią. Henninc będzie, jak przedtem, kierował wszelkimi pracami i udzielał Nicholasowi cennych rad, tak jak dotychczas jej. Meester Gregorio zastąpi tymczasem Meester Juliusza i pomoże mu po powrocie. A jej syn Feliks stanie u boku Nicholasa, by go dopilnować i w stosownym czasie zająć miejsce matki jako właściciel.

Tu umilkła, a wokół rozległy się szmery, okrzyki, ludzie odwracali głowy. Gregorio dyskretnie przyjrzał się swym towarzyszom. Henninc, wciąż zarumieniony, skierował spojrzenie prosto przed siebie, nie patrząc na nikogo. Młody Feliks stał sztywno wyprostowany u stóp matki i wpatrywał się w ciżbę tak, jakby nienawidził tych ludzi. Obok trwał nieruchomo Nicholas, całkowicie pochłonięty obserwacją. Obserwował wszystkich - począwszy od małżonki, a skończywszy na ludziach, z którymi pewnie zaprzyjaźnił się przy kadzi barwierskiej.

- Będziecie musieli okazać Nicholasowi zrozumienie - przemówiła wdowa - i pomóc mu w miarę waszych możliwości, ponieważ podjął się dla nas olbrzymiego zadania. Myślę, że możecie mi być wdzięczni za to, że nie sprowadziłam wam obcego człowieka. Znacicie się wzajemnie. Jest z nami od dawna. Jego nowe stanowisko pociąga jednak za sobą innego rodzaju kłopot.

Jak wiecie, jestem wdową i istotą słabą jak każda kobieta. Nie pragnęłam męża, który zadowalałby tylko mnie, a was być może wcale; wy zaś, na swój sposób, jesteście dla mnie także rodziną. Teraz staje przede mną kwestia dzielenia domu i większości spraw z nowym współnikiem.

Feliks spuścił oczy. Nicholas natomiast uniósł głowę spoglądając ku podwyższeniu. Marian de Charetty popatrzyła na niego z uśmiechem. Spokojnym głosem ciągnęła:

- Istniało jedno rozsądne rozwiązanie tej sprawy. Zapytałam go, czy zechce, bez uprzedzeń w stosunku do przedsiębiorstwa nie przynoszącego mu dochodów, połączyć swe stanowisko z małżeństwem. Zgodził się. Dzisiaj rano zawarliśmy umowę małżeńską.

Cisza. Później - odgłos przypominający kwilenie, lecz zakończony cichymi pomrukami. A jeszcze potem - kaskada słów. Dały się słyszeć wysokie głosy kobiet. Gregorio widział uśmiechy na kobiecych twarzach. I myśl, tak oczywista, jak gdyby ją wesoło wykrzyczano: Krzepki chłopak w łożu! To dobrze dla wdowy!

Wdowa zaś stała wśród nich uśmiechnięta. Był to sztywny, lecz szczery uśmiech. Jeżeli nawet drżała, nie było tego widać. Miała odwagę. Przede wszystkim, oczywiście, nie postąpiłaby w ten sposób, gdyby nie miała odwagi.

Jakaś kobieta zawołała piskliwie: „Trzy razy hurra na cześć pani!” - i kobiety zaczęły wiwatować, a większość mężczyzn przyłączyła się dopiero przy trzecim „hurra”. Ich twarze były zmienione, jak gdyby mieli właśnie ruszać w bój. Nie wiedzieli jeszcze, co czują. Nazwą swoje uczucia dopiero kiedy będzie po wszystkim, a oni przycupną razem w jakimś kącie.

- Dziękuję wam - rzekła Marian de Charetty. - Uznałam, że należy uczcić tę okoliczność. Widzę, że słońce jeszcze nie zaszło. Jeżeli wyjdziecie teraz na podwórze, Henninc wezwie kilku z was do pomocy przy wynoszeniu beczki wina, abyście mogli wypić za nasze zdrowie. I wasze własne. I za powodzenie kompanii.

Było po wszystkim. Syn pomógł pani zejść ze skrzyni. Kilka osób niepewnie ruszyło w jej stronę. Ścisnęła kolejno dłonie, uśmiechając się i przemawiając krótko. Henninc odszedł w milczeniu, by wykonać polecenia. Nicholas odprowadził go wzrokiem. Po chwili zobaczył, że paru śmiazków zbliża się do niego. Otaczająca go grupa rosła stopniowo.

Gregorio widział, że Nicholas nie próbuje podejść do pani, by podkreślić, że nowożeńcy przyjmują powinszowania. Sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał rzucanych na próbę żartów. Chętnie za to odpowiadał na pytania o pracę, swoją i innych. Mówił nawet z pewnym podnieceniem, tak że zaraził nim kilku rzemieślników, którzy przysunęli się bliżej i zaczęli wypytywać go

dokładniej. W końcu Nicholas wyszedł na zewnątrz, otoczony szerokim kręgiem ludzi, i usiadł na jakiejś pustej beczce, podczas gdy oni otoczyli go tłumnie. Po chwili rozległy się śmiechy. Kolejni ludzie podchodzili coraz bliżej.

Pani stała otoczona przez dostatecznie dużą liczbę składających życzenia, by podział był sprawiedliwy. Messer Gregorio podszedł do miejsca, gdzie stała wraz z synem, i odezwał się:

- Winszuję wam, pani. Sam książęcy zarządca nie mógłby przemówić lepiej ani przemyślniej.

- Feliks był moim doradcą - odparła. - Czy przyniesiono wino?

Przyniesiono. Tłum otaczający Nicholasa rozproszył się z wolna - lub raczej przesunął tak, że ośrodkiem stała się teraz ława, na której postawiono puchary. Wino zostało rozlane. Wdowa wzniosła swym kielichem toast za kompanię, ludzie zaś - za zdrowie pani. Później z synem u boku oddaliła się w stronę domu. Zaciekawiony Gregorio czekał. Nicholas zwrócił się do niego:

- Chciałbym, oczywiście, zostać i popić sobie z przyjaciółmi, ale powinniśmy chyba udać się do domu, wy i ja. Powiedziałem Hennincowi, że mogą wszyscy pić do woli przez pół godziny, a potem żeby przyszedł do nas.

Gregorio zachował poważny wyraz twarzy. Z dużym wysiłkiem stłumił chęć zapytania prosto z mostu, jak zdołali przekonać Feliksa de Charetty. Sądząc z jego miny, nie był może całkowicie nawrócony, lecz przynajmniej skłonny do współpracy. Zamiast tego Gregorio zapytał jednak:

- Co was zatrzymało?

Ramię w ramię weszli do domu.

- List od... dostałem list - odparł nowy pan. - Później powiem o tym pani. Muszę jak najprędzej wyruszyć do Italii. Nazajutrz po turnieju.

- Kłopoty? - zagadnął Gregorio.

- No cóż... poniekąd. Miałem nadzieję, że będzie mi dany dłuższy czas, by wszystko ułożyć. To nie jest sprawiedliwe dla was ani dla naszej pani. Przed wyjazdem postaram się doprowadzić do końca, co tylko będę mógł. Pod pewnym względem dobrze się stało, że wyjeżdżam wcześniej. Wrzawa zdąży przycichnąć. Ludzie mogliby wszcząć publiczny spór ze mną, ale nie z panią.

- Kto mógłby wszcząć publiczny spór z wami? - spytał Gregorio.

- Osoba, o której myślicie - odparł Nicholas bez urazy. - Musimy przejść do bawialni. Czekają tam szczególnie dobre wino.

- A Italia? - rzucił pospiesznie Gregorio. - Jakie kłopoty wiążą się z Italią?

- Takie - odpowiedział nowy pan - że Jacopo Piccinino przeszedł na inną stronę.

Było to tak odległe od farbiarni, wesela i wina w bawialni, że Gregorio zmarszczył brwi.

- Ten kondotier? - zapytał - Z pewnością wynajął go przedtem Ferrante, król Neapolu... Tak, już rozumiem. Kompania Charety i kapitan Astorre wspierają teraz osłabioną armię. Piccinino przeszedł na stronę Andegawenów?
- Tak. Piccinino wspiera teraz księcia Kalabrii.
- Stali obydwa w progu.
- Co możecie uczynić? - spytał Messer Gregorio wpatrując się w Nicholasa.
- Gołymi rękami zawrócić wzbierającą falę wojen - odrzekł Nicholas.
- Nie; u Piccinina jest człowiek imieniem Lionetto. Za nic nie chciałbym, żeby znajdował się po niewłaściwej stronie.
- Nie rozumiem - stwierdził Gregorio.
- To nie ma znaczenia - powiedział wesoło niezwykły młodzieniec.
- Możecie teraz odwrócić się na pięcie i wyjść. Ostrzegam was. Nie zostawajcie z tą kompanią, jeśli lubicie spokój.

Zmrok przyniósł znużenie Marian de Charety. Rozmowy i ustalenia trwały cały wieczór. Tilda, która nie przyszła napić się wina w bawialni, zjawiła się w porze kolacji i zasiadła z Feliksem, Katarzyną, Nicholasem i matką. Chociaż z zastygłą i spuchniętą twarzą, Tilda przynajmniej odpowiadała na pytania; a usiadłszy obok matki, mocno trzymała ją za rękę. Nicholas zostawił ją w spokoju i rozprawiał o pojedynkach.

Pomysł ten w widoczny sposób zagnieżdził się w głowie Feliksa i przybrał tam swój kształt. Zamiast odpowiadać monosylabami, syn pani zaczął wieść prym w rozmowie. Nikogo nie zdziwiło, kiedy odezwał się dość głośno:

- Czy nie mówisz, że przekonamy się, matka i ja, jak znakomicie zacznie prosperować przedsiębiorstwo? Przypuszczam, że w tym wypadku stać nas będzie na dodatkowe konie i, powiedzmy, tarczę?

Spokojna odpowiedź Nicholasa zderzyła się z ostrą odmową Marian. Spojrzała na Nicholasa, który powiedział:

- Czemu nie? Przecież jest głową kompanii. Powinien dobrze pokazać się przed Towarzystwem Białego Niedźwiedzia.

Otworzyła szeroko oczy.

- Myślałam... - zaczęła i urwała raptownie.

- Myślałaś, że przedsiębiorstwo nie może sobie na to pozwolić? Ja też tak sądziłem. Ale dzisiaj po południu nie wypito nawet połowy tego, co myślałem i wesele wyszło nam tanio. - Wyszczrzył zęby. Tilda, zaintrygowana, spoglądała to na jedno, to na drugie. Marian pojęła, że inni będą na pewno oczekiwali od niego oszczędności i zmniejszenia wydatków. Podstępnie wymógł na niej akt szczodropliwości.

Później, po skończonym posiłku, kiedy Tilda i Feliks odeszli, a Katarzyna usnęła na wielkim łożu matki, Marian znalazła się po raz pierwszy sama przy kominku ze swym mężem. Był przy niej przez cały dzień, ale równie dobrze mógł to być Henninc. Tylko że Henninc nawet przez tysiąc lat nie zdołałby osiągnąć tego, co Nicholas zdołał od wczorajszej nocy. Ani Cornelis.

Choć, oczywiście, Cornelis dał jej noc poślubną. Ona sama zaś oświadczyła, że nie odbędą nocy poślubnej. Zgodził się i nawet nakłonił Katarzynę, by spała u niej. Urządził wszystko tak, by ludzie dowiedzieli się jednoznacznie, na jakiej podstawie opiera się ich małżeństwo. Wiedziała, że czyni to ze względu na nią.

Z tego samego powodu będzie musiał wkrótce opuścić jej pokój i odszukać komnatę, którą urządził dla siebie w innym skrzydle. Powróciła, upewniwszy się co do Katarzyny, napełniła winem ostatni kielich i w świetle ognia zobaczyła, że Nicholasowi opadają powieki. Zastanawiała się, czy on także przeżył bezsenność, czy może spędził ją w pewnym sobie śnie bez marzeń.

- Wybacz - odezwał się nagle. - Na pewno także czujesz zmęczenie.

Mówił do niej tak, jakby spotykali się dotychczas jedynie przy sposobności zakładającej urzędową zabawę. Jak gdyby nie pielęgnowała go w chorobie, kiedy leżał w malignie na górze.

- Nie wiem, czy istnieje na świecie coś, o czym chciałabym rozmawiać - powiedziała. - Ale jednak... tak. Turniej.

- On nie weźmie w nim udziału - oznajmił Nicholas. - Daję na to moje słowo.

- A wszystkie te wydatki? - spytała z nieco szerszym uśmiechem. - Dwa konie? Tarcza?

- Zauważ, jak hojnie szafowałem twymi pieniędzmi - powiedział. - To mu da... to mu pomoże odnaleźć się wśród przyjaciół.

- Masz na myśli to, że może się przechwalać, iż cię wykorzystuje?

- Coś w tym rodzaju. W każdym razie zasługuje na to - zamknął oczy. - Chryste Panie, muszę iść - powiedział nagle i wstał.

Zawahała się. Marian, obolała ze zmęczenia, próbowała nie dopuścić do dalszej rozmowy. Żeby nie zakończył dnia w sposób równie umiejętny co wyrafinowany, na co ona musiałaby równie umiejętnie odpowiedzieć.

- Chyba będziesz spała - stwierdził. - Cały ranek spędzę na podwórzu lub w biurze. W razie potrzeby przyślij po mnie.

Obdarzył ją jednym ze swych zaskakujących, szczodrych uśmiechów. Jego oczy pozostały senne. Odpowiedziała mu uśmiechem i słowami: „Dobranoc, Nicholasie”. Odprowadziła go spojrzeniem do drzwi. Odwrócił się z dłonią na kłamec, odetchnął głęboko, lecz nic nie powiedział; uśmiechnął się tylko.

Powinna była zostawić go w spokoju. Zapytała jednak:

- Co ci przyszło na myśl?

Stał w drzwiach i uśmiechnął się nieznacznie.

- Łaska, o którą postanowiłem nie prosić.

Była mile zaciekawiona. Ton jego głosu mówił wyraźnie, że nie ma się czego obawiać.

- Ale teraz zmieniłeś zdanie - powiedziała. - Co to takiego?

- Nie znam barwy twych włosów - odrzekł jej.

Uniosła podbródek. Skóra piekła ją od żaru ognia. Spojrzenie szeroko otwartych oczu, sennie spoczywające na niej, było pod każdym względem rozbrajające: pełne ciepła, psotne i błagalne. Wyszorowana i ogolona twarz podczas mszy ślubnej; przyczesane włosy i oczy rozradowane z powodu tego niewinnego spisku.

Marian de Charety wstała i z uśmiechem popatrzyła w oczy temu dziecku, Claesowi, odpinając okragłe, miękkie nakrycie głowy, które nosiła przez cały dzień.

Nie miała rano czasu przypiąć go od spodu, jak to zwykle czyniła. Zdjęła ciężki beret, potrząsając ułożonymi włosami, które opadły jej na piersi, plecy i ramiona. Miały taki sam kolor jak jej rękawy: ciemny brąz wpadający gdzieś w czerń, zmieszana z żółtymi barwami ziemi i odcieniami cynobru. Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakich się nauczyła: farbowanie sukna tak, by odpowiadały jej włosom. Kiedy bywały rozpuszczone w nocy, Cornelis porównywał je do chińskiego jedwabiu.

Teraz drugi małżonek obrzucił je długim spojrzeniem wielkich oczu i rzekł z prostotą:

- Tak... spodziewałem się tego.

Zdała sobie sprawę, że musiał wiedzieć, jaki odcień mają jej włosy. Zakrywała je, lecz niekiedy jakieś pasmo wymykało się spod czepca. Dlatego musiał być pewien, że nie pojawi się w nich żadna siwizna, by ją zawstydzić. Tego właśnie się obawiała jako milczącego zakończenia dnia. Ale nawet jeżeli rozumiała tok jego myśli, nie mogła go winić za przyczynę. Z uśmiechem przemówiła:

- Następnym razem będą czarne. Zmieniam barwę co pięć dni. Po cóż byłaby mi potrzebna farbiarnia?

Wyszczrzył zęby.

- Myślę - powiedział - że to może być przyczyna dla unieważnienia. Do jutra.

Zamknął drzwi, a ona usiadła, otulona peleryną włosów.

ROZDZIAŁ 29

Gdyby Wielkanoc nie przypadła tego roku w połowie między zadziwiającą zmianą stanu cywilnego a turniejem Białego Niedźwiedzia, położenie Marii de Charetty byłoby trudniejsze. Tymczasem jednak, od rana następnego dnia po ślubie właścicielka kompanii Charetty jak zawsze wytrwale obchodziła składy, targowiska i biura, a wśród ulic rozbrzmiewało wściekłe terkotanie krosien, sapanie pomp, dudnienie wozów i wózków. Miasto załatwiało ostatnie sprawy, by przygotować się do wypełnienia zaleceń Kościoła i radowania się z nadchodzącym świętem.

Ludzie przyjmowali Marian chętnie - z czystej ciekawości; a prawdziwi przyjaciele robili co mogli, by czuła, że postąpiła słusznie, cokolwiek o tym po cichu myśleli. Rozpoczynając transakcję przedsiębiorcy często rzucali równie wesołe co zdawkowe uwagi, jak to teraz będą musieli uważać, skoro znalazła doradcę w tym młodym człowieku. Przyjaciele rodziny Adorne oraz ci, którzy darzyli ją szacunkiem, byli uprzejmi i ostrożni zarazem.

Jedynie dzieciom obce było i jedno, i drugie. Słyszac chichoty za przęsłem mostu, pod schodami lub w głębi korytarza wiedziała, że odzwierciedla to reakcje dorosłych: rozmowy wstrząśniętych matek albo zdumionych służebnych. Tylko raz poczuła się naprawdę zraniona: kiedy trzy dziecięce dyszkanty wywiodły śpiewkę *Mankebele! Mankebele!...* Kulawa Izabela była legendarną już lichwiarką i rajfurką. Marian nie sprawdziła, czyje to dzieci i nikomu o tym nie wspomniała.

Zgodnie z obietnicą Nicholas spędził pierwszy ranek po ślubie w obrębie domu i odtąd spędzał tu zawsze część dnia. Była to kwestia wielkiej wagi. Wzburzenie na podwórzu musiało się uspokoić; należało ukoić zranioną próżność i stworzyć nowy porządek, który byłby do przyjęcia i który utrzymałby się pod nieobecność Nicholasa.

Obydwoje potrzebowali do tego Gregoria; i właśnie jemu Nicholas poświęcił większość czasu i zachodu. Jego prawnicza biegłość nie budziła wątpliwości. Musiał jednak dowieść, że potrafi porozumieć się z pracownikami kompanii. Nicholas obudził jego ciekawość, lecz Marian wiedziała, że wynika to z cynizmu prawnika. Przed dalszym wprowadzeniem go

w sprawy przedsiębiorstwa należało zaskarżyć sobie jego lojalność. W ciągu dwóch tygodni, nie licząc Wielkanocy, Nicholas razem z Gregoriem kontynuował rozpoczęte dzieło przebudowy przedsiębiorstwa. Znalezione najemców dla jednej z nowo nabytych posiadłości. Polecono robotnikom wyremontować i poprzerać część pozostałych. Potrzebne były większe i bardziej dostępne składy towarów. Farbiarnia, zarządzana przez Henninca, Bellobrasa i Lippina, których nadzorowała Marian de Charety, rozrastała się nad brzegiem kanału, gdzie w mniejszym stopniu dokuczały odpadki i smród.

Pozostała tam właściwa część przedsiębiorstwa oraz biuro. Lecz kosztowny dom przy Spangnaerst stał się ostatecznie ośrodkiem administracyjnym przedsiębiorstwa. Marian de Charety miała tam swój gabinet, wystarczająco obszerny, by przyjmować w nim klientów i przyjaciół. Najwygodniejsze pomieszczenie przeznaczono na kancelarię. Nicholas i Gregorio mieli tam swoje stoły, a oprócz tego zatrudniono dwóch kancelistów, chłopca na posyłki, ochmistrzynię oraz człowieka do cięższych prac i opieki nad niewielką stajnią.

Marian wiedziała, że to wszystko jest potrzebne. Nawet kiedy przedsiębiorstwo było mniejsze, prowadzenie najniezbędniejszych choćby rejestrów wiązało się z nieustanną walką, a żądanie, by Juliusz połowę swego czasu spędzał z Feliksem, nie sprzyjało poprawie sytuacji. Pogorszył ją jeszcze pierwszy od roku przegląd oddziału Astorre'a. Kontrakty wymagały zaksięgowania i to przynajmniej w dwóch kopiach. Człowiek, który walczył dla kogoś, musiał być wpisany do ksiąg: imię, miejsce zamieszkania i miejsce pobytu krewnych, broń, wyposażenie bojowe i opis jego konia z wszelkimi szczegółami. Rejestry te gromadzono na bieżąco na półkach obok ksiąg rachunkowych farbiarni i zakładu zastawnego oraz kopii ksiąg z Leuven, które należało sprawdzić i poprawić. Podczas jednego z krótkich i treściwych spotkań, jakie nastąpiły w owych dniach, Nicholas zapytał, czy nie można by posłać po pośrednika Cristoffelsa, by omówić przyszłość filii w Leuven.

Gregorio także miał tu co nieco do powiedzenia. Nicholas nie zwierzał mu się ze swych dalekosiężnych planów, które dźwigał wyłącznie na własnych barkach. Marian de Charety sądziła, że zna większość jego poczynań. Składała jej wierne sprawozdania. Czasami jednak, widząc dopiski na listach wysyłanych do Genewy, Mediolanu, Wenecji czy Florencji, nie mogła opanować niepokoju. W tym wypadku ważył się na zbyt wiele. Lecz on uspokoił jej obawy. Czynił to we własnym imieniu i gdyby mu się nie powiodło, ucierpi tylko on i jego korespondenci. Ale Marian nie wyzbyła się troski.

Mogła się także domyślić, że nie było to zwykłe żeglowanie. Kiedy bez

niej wyruszał dokądś w sprawach przedsiębiorstwa, mężczyźni często pytali go o upoważnienie - albo dlatego, że nie wiedzieli o jego nowym stanowisku albo po to, by zbić go z tropu. Pewnego dnia przysłano do niej umyślnego po potwierdzenie. Rozgniewała się, lecz Nicholas odniósł się do tego wyrozumiale. Powiedział, że woli to niż kupców darzących go uśmiechami i fałszywymi liczbami.

Dowiedziała się od Anglika Williama, że Nicholas spotyka się z Colardem Mansionem - i zastanawiała się, czy nie powierza przyjacielowi pisanie listów, które wahałby się powierzyć pisarczykom. Nieco później, czytając pozostawione przez niego papiery, zauważyła, że jego pismo - niegdyś nazbyt pospieszne, by było wyraźne - stało się teraz pismem nie mniej pospiesznym, lecz znacznie bardziej czytelnym.

O dziwo, znalazł czas także na inne sprawy. Towarzystwo łucznicze pod wezwaniem Św. Sebastiana, niezbyt elitarne, przyjęło go w swoje szeregi i spędzał tam godzinę dziennie strzelając do tarczy i zapoznając się z innymi członkami Towarzystwa. Odwiedzał także pewnego gisera, który wykonał częściowo zamówienie Astorre'a na broń, i który był swego czasu znanym zbrojmistrzem. Feliks powiedział matce, że Nicholas najwyraźniej odnawiał obecnie swą krótką znajomość ze sztuką wojenną. Aby zabezpieczyć pieniądze, które zamierzał zarobić - tę myśl podsunął matce Feliks.

Rozejm zawarty w dniu jej ślubu okazał się nietrwały. Teraz Feliks podrzucał matce wszelkie plotki, jakie zasłyszał o Nicholasie. Nie mogąc go powstrzymać, wychodziła czasami z pokoju. Niewiele było dotychczas rzeczy, o których by nie wiedziała. Na szczęście Feliks często przebywał poza domem i ćwiczył. Zdobył resztę wyposażenia bojowego, znacznie wspanialszego i bardziej kosztownego niż nakazywałby rozsądek. Nie sprzeciwiała się jednak, ponieważ nie czynił tego Nicholas. Z biegiem dni, w miarę zbliżania się pory turnieju, usiłowała nie myśleć o nim, nawet kiedy Feliks z błyskiem w oku przy każdym posiłku wymieniał wszystkie znakomitości biorące udział w zmaganiach.

Z błyskiem w oku i lekliwym wyzwaniem. Jeżeli przed jej małżeństwem był wystawiony na ciosy, to teraz był wystawiony podwójnie - przez swą brawurę. Myślała o nim z bólem, zastanawiając się, jak sobie daje radę, rozdarty między pogardą dla matki a obowiązkiem bronienia jej. Pewnego dnia wrócił do domu z sińcem na policzku, lecz nie wyjaśnił, skąd się to wzięło. Żona jednego z klientów opowiedziała z podziwem o tym, jak to drogi Feliks stanął niedawno w obronie matki, gdy pewna źle wychowana dziewczucha z Damme zapomniała się nieco. Córka właściciela zakładu zastawnego. Córka Oudenina.

W domu Feliks spędzał czas z siostrami lub Hennincem i jego

zastępcami. Na Gregoria nie zwracał uwagi, przypuszczając (i słusznie, jak podejrzewała matka), że Nicholas właśnie podbija jego serce. Z samym Nicholasem Feliks nie rozmawiał, ale obserwował go często i długo. Kiedy to robił, wyraz jego oczu dziwnie przypominał Marian Cornelisa. Był taki... wyrachowany.

W Święta Wielkanocne nie przyjmowała ani nie składała odwiedzin. I tak czyniła to rzadko od śmierci Cornelisa. Nadeszły jednak zaproszenia. Jedno pochodziło od rodziny Adorne, proponującej spędzenie tego dnia w Hotel Jerusalem. Tilda i Katarzyna towarzyszyły matce i Nicholasowi. Feliks był zajęty gdzie indziej. Marian była wdzięczna za ich postawę, pełną spokoju i życzliwości.

Inaczej było w domu Wolfaerta van Borselen. Przede wszystkim był on mężem szkockiej księżniczki - jednej z sześciu królewskich sióstr, dzięki którym król Szkotów miał się sprzymierzyć z połową Europy: z Francją, Sabaudią, Bretanią, Tyrolem i Zeelandią.

Marian de Charetty poznała księżniczkę i jej małżonka; wiedziała, że zamieszkują posiadłość w Veere i nigdy nie porzucają oficjalnego tonu podejmując gości w wysokim domu z facjatkami, do którego zaproszono na kolację ją i Nicholasą.

Kiedy nadszedł ów dzień, pani de Charetty stała w sypialni, patrząc na rozłożone wokół suknie i rozważając, co ją czeka. Spodziewała się ujrzeć ich syna Karola, ośmioletniego chłopca. Prawdopodobnie spotka Ludwika, pana de Gruuthuse, którego żona była z domu van Borselen; i, być może, Guildolfa, krewniaka Gruuthuse'a, jeszcze nieznanego. Florencjusz van Borselen i jego żona będą tam z pewnością, lecz bez córki Kateliny, przebywającej obecnie w Bretanii. Marian przypomniała sobie zajście w Damme, w którą wplątana była ta dziewczyna, i które dla Nicholasą zakończyło się chłostą.

Feliks, Juliusz i Claes. Kłopot, jaki sprawili.

Jej oczy zwilgotniały. Roztropnie skierowała myśli na kwestię wyboru sukni; a nie był to wybór trudny. Najlepsza suknia; najbardziej wymyślne nakrycie głowy. Zakrywające, jak zawsze, jej prawdziwe włosy. Nie żywiła co do tego żadnych złudzeń. Nic typowego dla panny młodej; nic młodzieńczego; nic odmiennego, by oszukać gapiów. To, że w ciągu samotnego wieczoru rozpuściła włosy dla własnej przyjemności, nikogo nie powinno było obchodzić.

Na prośbę samego Nicholasą sprawdziła jego garderobę. Feliks rozpowiadał drwiąco, że przyjaciel Nicholas ostatnio stale odwiedza krawca. Ponieważ ciągle nosił takie same rzeczy, mogła się tylko domyślać, że były mu potrzebne pewne uzupełnienia. Później zauważyła, że jego kubraki,

kurtki i pończochy, choć w tych samych, stonowanych barwach, są teraz lepiej skrojone i uszyte z porządnego sukna, tak jak przystoi zarządcy jej domu. Prócz tego sprawił sobie jedną długą szatę, obszytą niezbyt kosztownym futrem. Przewidywał zatem coś, o czym Marian nie pomyślała.

Była na tyle zaciekawiona, że przejrzała księgi rachunkowe, lecz nie znalazła w nich żadnej z tych rzeczy. Niewielkie to miało znaczenie. Mógł zarobić i wydać pieniądze w kilka godzin, o czym ona nie musiała wcale wiedzieć. Czuła jednak, nie wiadomo dlaczego, że zapłacił za to wszystko w jakiś inny sposób. Powstrzymała się od uwag, oglądając i chwając strój. I Nicholas, i jego szata będą na miejscu w każdych okolicznościach.

Okazało się, że wieczór minął niezmiernie miło, choć za cenę pewnego napięcia i ciężkiej pracy. Dom pełen był ludzi i płonących woskowych świec, a ponad gwar wielu głosów wybijały się dźwięki trąbek. Byli tam wszyscy, których się spodziewała; i nie tylko. Zaczęła rozmawiać z żoną Ludwika de Gruuthuse, bystrą i przyjaźnie nastawioną kobietą, która opowiedziała, jak bardzo zaintrygował jej męża młody Nicholas i jego zainteresowanie prochem strzelniczym.

Poznała Guildorfa de Gruuthuse, który się jej spodobał i który, w wieku lat piętnastu, był pod wieloma względami starszy od Feliksa.

Spotkała ojca Kateliny van Borselen, który obdarzył ją komplementem i rzekł, że z niecierpliwością oczekuje dalszych wieści o prężnych usługach kurierskich świadczonych przez młodego Nicholasa. W Brugii dało się zauważyć coraz więcej Szkotów, przybywających na Procesję Krwi Świętej i Targi; i dziwne byłoby, nie znalazło się wśród nich kilku nowych klientów, pragnących wysłać listy do Italii.

Spostrzegła i tutaj dość liczną grupę Szkotów, co było rzeczą naturalną. Wylie, George Martin. Mężczyzna nazwiskiem Sandy Napier, rozmawiający z Nicholasem. Przypuszczalnie niektórzy z nich towarzyszyli w ubiegłym roku w Damme biskupowi Kennedy. Zastanawiała się, czy ktoś pamięta sprawę czeladnika Claesa i armaty, i co sobie o tym wszystkim myślą. Widziała w twarzy Napiera jedynie wzmożone zaciekawienie.

Przy kolacji znalazła się obok Jeana de Ghisteltes, Grand-Veneura Flandrii, żonatego z siostrą Gruuthuse'a. Nicholas, który obecnie nie zwracał już na siebie uwagi wybuchami gromkiego śmiechu, siedział dość daleko, między hrabią Franckiem a bardzo młodym, pulchnym dziewczętakiem, w którym Marian rozpoznała po namyśle młodszą córkę Florencjusza van Borselen. Gelis, która tak rozgniewała Tildę w noc karnawałową. Marian de Charety z uśmiechem spuściła oczy. Gdyby Nicholas nie potrafił tak umiejętnie postępować z dziećmi, byłoby jej go żal.

Współczucie nie zaszkodziłoby mu w owej chwili. Gdy tylko dostrzegł

kamienną twarz pulchnej dziewczynki, przyglądającej mu się z sąsiedniego miejsca przy stole, Nicholas wiedział, że niewiele dzieli go od katastrofy. Kiedy jego pani przyjęła zaproszenie, domyślał się, oczywiście, że coś takiego może się zdarzyć. Zabezpieczył się częściowo, odwiedzając przedtem w interesach Florencjusza van Borselen z małżonką, by wy badać, jak się odniosą do jego przyspieszonego ślubu. Pomyślał, że żona mogłaby pluć jadem na osobności, lecz przy nim poszła w ślady męża, który okazał uprzejmą obojętność.

Feliks, oczywiście, dawno już rozgłosił o kolacji w Gandawie. Uważny słuchacz mógłby się nawet domyślić, że Nicholas należał do tego towarzystwa. Nic w tym jednak nie było obraźliwego. Obrażliwe mogłyby okazać się inne sprawy. Na przykład to, że w noc zapustną siostry van Borselen właściwie uratowały mu życie. A fakt ten nie wyszedł na jaw z kilku powodów.

Między innymi dlatego - o czym Gelis mogła wiedzieć - że jej siostra Katelina postanowiła spędzić karnawałowe popołudnie sam na sam z wicehrabią de Riberac. I że on, w odpowiedzi na jej zaproszenie, próbował ją zniewolić. Drugim powodem, który Gelis z pewnością знаła, było to, że on - Nicholas - spędził wieczór w jej domu sam na sam z jego siostrą. Nie podejmował tam żadnych celowych prób, bez wątplenia jednak zrozumiał zachcianki Jordana de Riberac.

Pochlebstwami nic tu teraz nie wskóra. Ani swym osobistym urokiem. Nowo poślubiony małżonek Marian de Charetty zgarnął poły bramowanej futrem szaty i zwrócił się do tęgiej dziewczynki siedzącej obok głosem, którego nikt nie mógł podsłuchać:

- Bądź cicho i wysłuchaj mnie, bo inaczej powiem wszystko o twojej siostrze i panu de Riberac.

- On nic nie zrobi! - Jej twarz pokraśniała.

- Powiem, że zrobił - odparł Nicholas. - Skończmy z tym jak najprędzej.

Po pierwsze, pani de Charetty nie zamierza mieć dziecka. Rozumiesz?

- Ale będzie miała - rzekła Gelis van Borselen.

- Po drugie, nic ci do tego, lecz tak się składa, że jest to układ ludzi interesu, więc nie będzie miała żadnego dziecka.

- Może je mieć - upierała się Gelis.

- Nie - powtórzył spokojnie.

- A więc musisz pozbyć się Feliksa - rzuciła. - Podczas turnieju w następną niedzielę.

Zastanawiał się już, czy jakiś cynik nie rozpowszechnił takiej pogłoski. Nie chciał sprawdzać tego przy biesiadnym stole.

- Nic mu się nie stanie - odrzekł.

- Wiesz, że nie jest aż tak dobry. Wypróbowałeś go celowo. Potem kupiłeś mu cały ten ekwipunek.

- A zatem nie wolno mi dopuścić, by stała mu się krzywda - powiedział Nicholas. - Inaczej ludzie będą winić mnie.

- Pozbawiłeś go dziedzictwa, prawda? - spytała.

Diabelski bachor.

- Możesz obejrzeć sobie małżeński kontrakt - odparł. - Nie pozbawiłem go dziedzictwa. I on, i jego matka nadal czerpią wszelkie korzyści z przedsiębiorstwa. Gdyby obydwójce jutro umarli, ja nic nie dostanę.

- To miło - stwierdziła, wpatrując się w jego szatę.

- Mam kwit w sakiewce - powiedział Nicholas. - A teraz przestań wtykać nos w nie swoje sprawy i pamiętaj, że mogę dokuczyć twej siostrze o wiele bardziej niż ty mnie.

- Już to zrobiłeś - odrzekła Gelis.

Ustawiono przed nimi talerze z jadłem. Wprawne ręce z flaszками wina wysunęły się spoza ich pleców.

- Niewątpliwie posłałaś jej wiadomość przez gołębia - powiedział Nicholas.

- Napisałam do niej - rzekła Gelis. - Chyba jeszcze nie dostała wiadomości ode mnie. Przesłała list dla ciebie. Przeczytałam go.

- Pewnie domyślała się, że to zrobisz - stwierdził. - Czy dasz mi go do przeczytania, czy może nie?

Siedziała na nim. Wielokrotnie poskładany plik kart papieru, pozaginany teraz i z całkowicie przełamana pieczęcią, został wydobyty i wręczony mu. Nicholas włożył pismo do sakiewki.

- Powiedz mi jedno - zwrócił się do dziewczynki.

- Co takiego?

- Czy uważasz, że pani de Charetty także skrzywdziła twoją siostrę?

Twarz dziewczynki, odzyskawszy swą zwykłą ciastowatość, obróciła się ku niemu.

- A co ona ma z tym wspólnego? To ty zrobiłeś to, co zrobiłeś - powiedziała Gelis van Borselen.

Sytuacja stała się jasna.

- Aha - rzekł Nicholas. - Myślałem, że oczekujesz ode mnie małżeństwa z twoją siostrą.

- *Małżeństwa!* - powtórzyła siostra Kateliny i zaśmiała się nieprzyjemnie. - Damy nie wychodzą za mąż za czeladników.

- A zatem przyznajesz - zaczął Nicholas - że jeżeli ktoś tutaj ucierpiał, to pani, która mnie poślubiła?

Gelis spuściła oczy.

- Postąpiła głupio - powiedziała.
- Pod tym względem, być może. Pod każdym innym, nie. Czy zamierzasz wyrządzić jej przykrość?

Była bystrym dzieckiem.

- Jesteś bezpieczny - oświadczyła. - Nie mogę nic zrobić nie narażając dobrego imienia Kateliny albo twojej niemądrej pani, nieprawdaż? Ale spotkanie ze mną nie sprawiło ci przyjemności. Następny list z Bretanii także nie będzie dla ciebie przyjemny, jeżeli go nawet otrzymasz. A jeszcze mniej się ucieszysz, kiedy Feliks zginie w pojedynku i ciebie obarczą winą za to. - W tej chwili nabrał tchu, lecz nie dopuściła go do głosu. Jej oczy błyszczały. - Och, wiem, mówiłeś, że nic mu się nie stanie. Ale ja ci powiem, że tak. I powiem ci dłaczego, jeśli jeszcze nie wiesz. Właśnie nadeszły imiona Szkotów. Szkockich uczestników turnieju. Jest wśród nich najlepszy rycerz, jakiego mają. Szymon z Kilmirren.

- Niech pomyślę... - rzucił Nicholas - Już pamiętam. To ma coś wspólnego z psem.

- I z dziewczką imieniem Mabelia - dodała złośliwie Gelis.

Tej samej nocy w swojej izbie Nicholas przeczytał list z Bretanii.

Zauważył, że Katelina ufała siostrze w stopniu nie większym niż on. Nawet dla wszystkowiedzących oczu list nie zawierał żadnych osobistych treści. Podróż okazała się znośna. Zajęcie zapowiadało się dość zabawnie. Katelina dołączyła urywki dworskich plotek, w tym także znaną mu już historię o synu księżnej, który odziedziczył faworytę po królu Francji, a ona - zdaniem dworu - zarazi go wstydliwą chorobą najpóźniej we wrześniu.

Wrzesień? Zatrzymał się przy tej dacie, a potem przypomniał sobie, że zapustna noc poprzedziła środę popielcową, zatem nawet dla domyślnych młodszych sióstr nie mogło w tym tkwić żadne ukryte znaczenie.

Najważniejsza wiadomość i oczywisty cel listu rozśmieszył go bardzo, choć nieoczekiwanie. Odłożywszy papier, obiecał sobie, że odwiedzi jutro Lorenza Strozzi. Nie przekazał matce Feliksa wieści o Szymonie. I tak wkrótce o tym usłyszy. Lecz, o dziwo, wiadomość tę przyniósł Nicholasowi Gregorio, kiedy spotkali się w nowym budynku po długim i pracowitym poranku.

Na niecały tydzień przed wyjazdem Nicholas zaczął wreszcie odbierać przesyłki. Jacques Doria, chłodny i władczy kolega Anzelma Adorne, przesyłał przez niego sakwę do Genui. Angelo Tani i Tommaso, pierwszy rzeczowy, a drugi uszczypliwy i zamknięty w sobie, przyjęli z oburzeniem odmowę wyjazdu przed poniedziałkiem. Arnolfini przekazał listy do Lukki i Sforzów, z lekkim rozbawieniem, lecz bez komentarza. Także Arnolfini wręczył Nicholasowi złoto od delfina, obiecany wcześniej zadatek za

przyszłe usługi. Nicholas kupił za to kilka ubrań i człowieka. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Tego ranka wszedł do nowo nabytego budynku przy Spangnaerts i skierował się do swego biura, klepiąc po ramieniu każdego zapracowanego kancelistę. Pozdrowił siedzącego przy sąsiednim stole Gregoria, sam opadł na krzesło i wydobyl papiery. Pracowali do południa, kiedy to rozległo się bicie dzwonów i młodzieńcom pozwolono zejść na posiłek.

- Muszę was o coś zapytać - odezwał się Gregorio.

- Tak? - rzucił Nicholas, nie odrywając pióra od papieru.

- O niedzielny turniej - ciągnął Gregorio. - Krążą plotki, że naszego Feliksa czekają trudne chwile. Przybywa pewien Szkot, który uważa go za osobistego wroga.

- Tak. Szymon z Kilmirren. - Nicholas posypał piaskiem zapisaną kartę i uniósł głowę, napotyając niezwykle surowe spojrzenie ciemnych oczu. - Jest jednym z ludzi, przed którymi chciałem was ostrzec. Uważajcie na niego, kiedy mnie nie będzie. Bardziej zależy mu na skrzywdzeniu mnie niż Feliksa, lecz postaram się nie dopuścić ani do jednego, ani do drugiego. Przyrzekłem matce Feliksa, że on nie weźmie udziału w turnieju. I nie weźmie.

- Trzeba go będzie porwać - stwierdził sucho Gregorio. - Bo inaczej się nie wycofa.

- Och, nigdy nie wiadomo - powiedział Nicholas. - A teraz ja mam do was pytanie. Nie spędziliście ostatnich dwóch nocy u siebie, prawda?

Czarne oczy nabrały jeszcze surowszego wyrazu.

- Czy pobieram zapłatę także za nocne godziny?

- Brugia - zaczął Nicholas w odpowiedzi - to samo serce flamandzkiej plotki. Jeżeli urządzacie damę w podobny sposób, oznacza to zazwyczaj trwalszą więź. A jeśli nawiązaliście trwałą więź w jednej dziedzinie, wydało mi się, że moglibyście zechcieć tego samego w innej dziedzinie. Na przykład z kompanią, dla której pracujecie.

Czekał, podczas gdy Gregorio przyglądał mu się badawczo.

- Szpiegujcie mnie?

- Nie ma potrzeby - uśmiechnął się Nicholas. - Kochanka Tommasa mieszka obok waszej przyjaciółki. Tommasa Portinari. Możecie rano usłyszeć dzwonenie jego pierścieni, gdy wychodzi. Nie przypuszczam, byście chcieli mnie z nią poznać?...

Było jeszcze za wcześnie na poruszanie tego tematu, lecz nie miał zbyt wiele czasu. Wiedział, że prawnik jest bystry. Miał nadzieję, że odrzuci pomysł o jakimkolwiek wcześniejszym sprawdzaniu jego kochanki. I zrozumie, że oto jego kochanka może wy badać Nicholasa, który sam o to prosił.

I o którym niewątpliwie wiele słyszała, a z całą pewnością miała co do niego głębokie zastrzeżenia. Gregorio uniósł brwi. Nie uśmiechał się - czynił to rzadko. Lecz nie był także pochmurny.

- Teraz? - zapytał.

- Dlaczego nie? - odparł Nicholas.

Po pierwszym wstrząsie (właśnie myła głowę) spotkanie przebiegło nadspodziewanie dobrze, a dziewczyna ugotowała i podała doskonały posiłek. Miała na imię Margot. Była dystygowaną osobą. Nie brakowało jej inteligencji. Nadażać za pełną przekomarzań rozmową, z wyjątkiem trzech wypadków, gdy Nicholas napomknął o miejscu, osobie i przedmiocie związanych z kompanią Charetty. Z zadowoleniem spostrzegł wówczas jej zakłopotanie, którego zresztą oczekiwał.

Później, po wyjściu, przemówił:

- Ona bardzo mi się podoba. Kiedy przedsiębiorstwo się rozwinie, będziecie mogli wynająć jej lepszy dom.

Gregorio kroczył powoli.

- Nie jestem pewien, czy raduje mnie wasz postępek - oznajmił.

Niewiele więcej pozostawało im do powiedzenia. Nicholas szedł obok Gregoria, który dodał:

- Przypuszczam, że był to jedyny sposób, byście zdążyli się upewnić. Czy to znaczy, że ona znajdzie się pod obserwacją?

- Czyją, na Boga? - spytał Nicholas i wyszczerzył zęby. - Może Tommasa; byłaby to dla niego gratka. Ale nie. Mówiłem już, że złożę wam ofertę i właśnie to czynię. Jest związana z moim przedsięwzięciem, nie kompanii Charetty. Oznacza to, że ja podejmuję ryzyko, lecz kompania będzie miała udział w zyskach. Problem polega na tym, że konieczne jest zachowanie całkowitej tajemnicy. Mam współnika, który przebywa teraz w Italii i potrzebuję prawnika, na którego milczenie mógłbym liczyć. Jeżeli powinie mi się noga, wy nadal będziecie mogli pracować dla pani... chyba że to się stanie z waszego powodu. Nie sądzę, aby tak było. Zdarza się jednak, że ludzie dopuszczają się zdrady.

Gregorio nie odpowiedział od razu.

- Nikt nie może twierdzić - zaczął wreszcie - że poróżniwszy się z jednym panem, nie podejmie pracy dla innego. To się zdarza. Moje postępowanie może się wam nie spodobać, kiedy poznacie mnie bliżej. Mogę być przeciwny waszym planom, gdy o nich usłyszę. Ale powiem wam jedno. Tak się składa, że prawo interesuje mnie bardziej niż pieniądze. A prawnik nie utrzyma się długo, jeśli zdradza cudze tajemnice. Mogę odejść, ale nie wyjawię waszych poczynań.

- To dobrze - rzekł Nicholas. - Dziś w nocy, kiedy wróćcie, przyjdźcie

do mnie, a ja powiem wam to, czego nie wiecie. Najprawdopodobniej zechcecie wówczas spakować się i odejść. Tymczasem jednak muszę wstąpić do Lorenza Strozzi. Jedzenie było *wysmienite*.

- Musicie jeszcze kiedyś przyjść - powiedział prawnik. Wydawało się, że mówi to szczerze.

* * *

Lorenzo Strozzi nie rozmawiał z nikim z domu Charettych od czasu owego przykrego wydarzenia przed Poorterslogie i usiłował przekonać stróża z Ridder Straete, by mówił, że go nie ma. Potem jednak z gniewną rezygnacją wbił wzrok w Nicholasa, który wszedł do biura i bez zaproszenia usiadł na krześle. Również bez zaproszenia, powiedział, dlaczego przyszedł.

Po trzecim słowie Lorenzo przestał przerywać. Po dziesiątym jego twarz wyrażała już tylko zgrozę. W końcu spojrzał po prostu na Nicholasa i powtórzył:

- *Okręt rozbity!*

U wybrzeży Bretanii. Tak twierdzi mój informator, ale strusia uratowano i pozostaje w dobrym zdrowiu. Chyba tylko jego wyciągnięto bezpiecznie na brzeg. Kłopot w tym, że został zatrzymany do czasu ustalenia wysokości roszczeń, zwłaszcza że dotyczą one także rozbitego statku. Trudna sprawa. Niewielu Bretończyków wie, czym karmić strusia.

- A opiekun? - zapytał Lorenzo. - On musi mieć opiekuna. Ktoś chyba poruszył tę kwestię? To dar dla księcia Mediolanu. Posłaniec! Musimy pchnąć posłańca.

- Czy chcemy, by książę dowiedział się o naszych kłopotach? - zagadnął Nicholas. - Pamiętaj, że to Medyceusze podjęli się dostarczenia strusia księciu, ty zaś powiedziałaś... - urwał. - Zapłacili ci za strusia, a ty to wydałaś?

Lorenzo Strozzi wpatrywał się w niego.

- Na cóż mógłby to tutaj wydać? - zapytał z goryczą. - Posłałem pieniądze do Florencji, żeby matka odłożyła je na nasze przedsiębiorstwo. To, które Filippo i ja chcemy założyć w Italii. Za własne pieniądze. Nie dzięki małżeństwu ze starymi kobietami.

- Nie znam nikogo, kto by tak postępował - powiedział Nicholas. - A roztropna dama nigdy nie odda nowo poślubionemu małżonkowi majątku należącego do niej i jej rodziny. Nie bądź głupcem. Czy chcesz, żebym się dowiedział, co się dzieje w Bretanii czy może sam się dowiesz? Jeżeli nie znajdziesz innego okrętu, ten ptak, być może, będzie musiał podróżować pieszo. Chyba że dostanie się komuś z miejscowych. Może go wtedy odkupisz.

Lorenzo wytrzeszczył oczy.

- Czy strusie chodzą? - zapytał.

- Nie wydaje mi się, żeby latały - stwierdził Nicholas. - Chociaż myślę, że ten mógłby się nauczyć, gdyby mu dano tydzień lub dwa. Gdyby pofrunął nad Calais, Anglicy przerwaliby wojnę. Okręty zderzałyby się z sobą.

- Może dla ciebie to błaha sprawa... - zaczął Lorenzo.

- Dobrze już, dobrze - przerwał Nicholas. - Wiadomość, która ma dotrzeć do Bretanii. Gdzie jest, w czyich rękach, czy jest karmiony i czy chodzi. Można by pomyśleć, że mówimy o ostatnim bękarcie książęcym... Lorenzo, wszystko będzie dobrze, nie bierz sobie tego tak do serca. Dowiem się, jak sprawa wygląda i porozumiem się z Medyceuszami, żeby cię nie nękali. Co z Caterina i twoją matką? Wyruszę w poniedziałek, gdybyś chciał przekazać listy. Bez opłaty. Zapłacisz mi strusimi jajami.

Nie był pewien, czy Lorenzo miał mniej strapioną minę, kiedy się żegnali niż przy powitaniu - ale wydawało mu się że tak.

ROZDZIAŁ 30

Do niedzieli pozostały cztery dni. Nicholas powiedział Gregorio-wi o kopalni ałunu, na co prawnik pobladł i przez pół godziny nie mógł wrócić do siebie. Wreszcie rumieniec znowu zabarwił policzki Gregoria, który zaczął robić notatki. Nicholas zauważył później, że Gregorio marszczy brwi, ilekroć spojrzy na niego. Marian de Charetty, powiadomiona, że prawnik stał się już pełnoprawnym członkiem obydwu kompanii, poprosiła go na rozmowę do swego gabinetu. Wyszedł stamtąd nieco spokojniejszy. Wciąż jednak marszczył brwi na widok Nicholas'a.

W czwartek matka Feliksa przejrzała ostateczną listę uczestników turnieju Białego Niedźwiedzia i znalazła na niej miano Kilmirren. Odkrycie, że wie już o tym całym dom, wprawiło ją w gniew. Z rozmysłem nie ponawiała niespokojnych próśb, kiedy Nicholas był w pobliżu - co nie zdarzało się teraz zbyt często. A po niedzieli (cokolwiek się stanie tej niedzieli) i tak utraci Nicholas'a. Kiedy nie myślała o Feliksie, myślała o tym.

Wiedziała, że Nicholas musi jechać. Znaczne sumy, które otrzymywał i jeszcze znaczniejsze, które mu obiecywano, zależały od wszelkiego rodzaju wieści, które zabierał z sobą do Mediolanu. Musiał spotykać się z Medyceuszami w sprawie pieniędzy, które wypłacili z góry Tobiaszowi na zakup broni palnej i Tomaszowi, by zwerbował pięćdziesięciu dodatkowych żołnierzy. Musiał odebrać spisana na nowo condottę i ustalić lokatę dla pieniędzy, które ona przyniesie.

Z wiadomości pozostawionych przez Tobiasza, Tomasza, Juliusza i Astorre'a, musiał wywnioskować, gdzie znajduje się oddział, jakie są jego potrzeby i zamysły.

Musiał, oficjalnie i nieoficjalnie, zebrać od nowych znajomych informacje, które przywiezie z powrotem, wraz z przesyłkami. Niektóre zapisane trudnym szyfrem i niezmiernie ważne. Inne, będące jedynie zestawieniem cen rynkowych, przydatnym nie tylko dla ich przedsiębiorstwa. I jeszcze inne, pochodzące między innymi od Acciajuolich i związane z planami, które budziły w niej lęk.

Będą mu towarzyszyli dobrzy, silni strażnicy, choć nie zwartym oddziałem bojowym, który wyruszył z Astorrem. I tym razem nie była to

zima. Będzie poruszał się szybciej. Ale nawet jeżeli będzie poruszał się bardzo szybko, podróż potrwa co najmniej dwa miesiące, może dłużej. Zostawi ją samą z wrogim Szymonem. Być może nawet z Jordanem de Riberac. Taka możliwość budziła w niej niepokój. Po krótkim namyśle przyszło jej do głowy, że istnieje inne wyjście.

Gdyby się tak nie zamartwiała, mogłaby przeprowadzić swój plan w inny sposób. Ale ponieważ była zmartwiona, złapała Nicholasa w piątek o świcie, kiedy świeży i radosny zbiegał po schodach i przemówiła do niego:

- Usiądź tutaj.

Byli sami. Otaczały ich puste izby. Posłusznie usiadł na wskazanym stopniu i przybrał postawę uważnego słuchacza. Usadowiła się kilka stopni poniżej i złożyła ręce na podołku.

- Czy masz zaufanie do Gregoria? - zapytała.

- Tak - odparł - mam.

- A gdyby miał sam kierować przedsiębiorstwem przez dwa tygodnie? Czy Gregorio mógłby to zrobić?

- Nie - odpowiedział.

- Myślałam...

- Nie, pani moja - powtórzył Nicholas. - Nie pojedziesz ze mną.

Westchnęła z irytacją. *Zawsze* wybierał krótszą drogę. Odezwała się tonem, którym zwykle przemawiała do Henninca:

- Nie do samego Mediolanu. Zamierzam pojechać z tobą tylko do Dijon i odwiedzić męża mojej siostry, a potem do Genewy, do mego szwagra Jaaka i jego drogiej małżonki. Czy nie sądzisz, że powinnam ich zawiadomić, kogo poślubiłam?

- Nie, nie sądzę - odparł.

- Moich jedynych krewnych? - spytała Marian de Charetty. Obserwowała go, podczas gdy on zastanawiał się, jak sobie z tym poradzić.

- Twoja siostra nie żyje a Thibault ma blisko siedemdziesiąt lat i dawno już postradał zmysły. Takie odwiedziny tylko przygnębią i ciebie, i prawdopodobnie jego. Nie troszczył się o mnie od śmierci mojej nieszczęsnej matki.

- Miał córkę z drugiego małżeństwa - rzekła. - Z moją siostrą. Jego twarz była opanowana.

- Adelinę? Miała pięć lat kiedy odesłano mnie do Jaaka. Na pewno jest już mężatką.

- I nie chcesz jej zobaczyć? - zapytała Marian de Charetty. - Ani ojca twojej matki, póki żyje? Czy tak bardzo zawinił, odsyłając cię do Jaaka?

Przynajmniej zrobił coś dla ciebie później, kiedy dowiedział się, jak cię traktują. Kazał cię wysłać do naszego domu.

Zmienił się na twarzy i odrzekł:

- Tak. Muszę mu za to podziękować. Ale nie muszę się z nim spotykać. Czy mi wybaczysz? Czy pozwolisz? Jeżeli odczuwasz mocną potrzebę odwiedzenia go, mogę cię tam pozostawić wraz ze strażą, która odprowadzi cię bezpiecznie z powrotem.

- A Jaak w Genewie? - zapytała.

Uśmiechnął się nieoczekiwanie.

- Nie wiem, jakie są twoje zamysły. Na pewno nie nawiedzanie chorych. Czy przypadkiem nie będziesz próbowała ich olśnić w moim imieniu?

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Częściowo. Dlaczego nie miałabym się zabawić? Co Jaak może teraz zrobić mnie czy tobie?

- Znieważyć cię - odparł. - A ja nie będę stał bezczynnie.

- Wciąż się go boisz? - spytała.

Chwila ciszy.

- Potrafię go teraz zrozumieć - rzekł.

- Mam na myśli fizyczny lęk.

- O, fizycznie czuję lęk. Tak. Nadal.

- Chciałbyś móc z nim walczyć? Pobić go? Pokonać?

Wielkie oczy wyrażały jedynie zdziwienie.

- Jaak de Fleury jest starszy ode mnie o lat trzydzieści - powiedział. - Co najmniej. Jeżeli wciąż się go boję, to już nigdy nie przestanę się bać. Jakie działanie miałyby w tym wypadku cel?

Przełknęła ślinę. Otworzyła usta i znowu przełknęła.

- Zapytałam cię, co do niego czujesz, ale to nie znaczy, że oczekuję od was obu trzymania ust na kłódkę w sprawie mojego małżeństwa. Zdecydowanie chcę go odwiedzić. Nie sądzę, by stała ci się przez to krzywda. Jeśli zaś on mnie obrazi, możesz bronić mnie słowem. Wiesz że potrafisz.

Milczał.

- Thibault jest stary i chory - ciągnęła. - Odwiedzenie go będzie po prostu aktem łaski. Utrzymawał cię i twoją matkę. Odesłał cię dopiero wtedy, kiedy nie był w stanie opiekować się tobą. - Urwała. - Wiem, że potrafisz wyperswadować mi ten pomysł - dodała po chwili. - Ale ja naprawdę chcę jechać. W obydwa miejsca. Nie wpominałabym o tym, gdybym myślała, że może ci to zaszkodzić.

Oparwszy łokcie na kolanach zakrył usta obiema dłońmi i wpatrywał się ponad jej głową w mroczny korytarz. Liczyła że będzie umiał odczytać wszystkie argumenty, których nie wypowiedziała; i wytłumaczyć sobie jej

motywy. Gdyby zrozumiał je mylnie, tym lepiej. W końcu dostrzegła, że podjął decyzję - jak gdyby wypowiedział ją głośno. *Tak. Mogę temu podołać.* Lecz nie wyraził zgody natychmiast.

- Co pomyśli Feliks? - zapytał.

- Nic pochlebnego dla żadnego z nas - odparła Marian de Charety.
- Ty żądałeś tryumfalnego objazdu, a ja uległam. Małoduszna zemsta na Jaaku de Fleury. I ostrzeżenie, oczywiście. Teraz Jaak nie tknie małego Claesa, za którym stoi wdowa de Charety.

Już wcześniej domyślił się właściwego powodu.

- Chciałbym, aby Feliks znał nas równie dobrze, jak my znamy jego. Tak. Oczywiście. Jeżeli tak bardzo tego pragniesz, zrobmy to.

Następną godzinę spędził na podwórzu, po czym niespodziewanie opuścił je, by odprowadzić Gregoria na Spangnaerts. Przed południem umówiony był na spotkanie z Jehanem Metteneye.

Krażyły rozmaite plotki na temat sposobu, w jaki Nicholas mógł wciągnąć Gregoria w interesy. Marian nie miała jednak pojęcia, jak zdołał przezwyciężyć naturalne uprzedzenie Jehana Metteneye. Jego żona nie rozmawiała z nią ani z Nicholasem od dnia ślubu. Nicholas i ta ładna dziewczyna, przyłapani w piwnicy. Starła się o tym nie myśleć. Mężczyźni to mężczyźni. Niekiedy żałowała, że Cornelis był tak statecznym człowiekiem. Przypuszczała, że Jehan Metteneye także ma swoje tajemnice, które po odpowiednim ubarwieniu wymieniał na zwierzenia Nicholasa w łaźni lub na strzelnicy. Młody człowiek musiał imać się wszelkich dostępnych sposobów, by wzbudzić żywe zaciekawienie Jehana Metteneye. To, o czym nie wiedziała, nie raniło jej serca.

Tymczasem zaś należało pomyśleć o Feliksie i turnieju Białego Niedźwiedzia. Jej syn spał. Nie pomoże mu samym martwieniem się o niego. Musi robić plany, jak gdyby wiedziała, że wyjdzie z niedzielnych potyczek nietknięty, szczęśliwy, zwycięski. Jak gdyby naprawdę miała wyruszyć w poniedziałek w dwutygodniową podróż po Burgundii i Sabaudii.

Jeżeli tak, to musiała sporządzić przerażająco długie spisy i ustalić wiele rzeczy. Sprawy, którymi zwykle się zajmowała, będą musiały przejść pod nadzór Gregoria. Dlatego, oczywiście, Nicholas tak wcześniej udał się na Spangnaerts. Musiała pamiętać, że on jest tylko człowiekiem i z pewnością nie podoła całemu brzemieniu, którym go obarczała. Dotychczas jednak nie zauważyła, by istniały granice jego wytrzymałości.

Tego samego przedpołudnia, kiedy trzech ludzi wjechało konno na jej podwórze, rozmawiała z Hennincem w gabinecie i nie zwróciła uwagi na niewielkie zbiegowisko za oknem. Pięć minut później zarumieniony Feliks wpadł do pokoju.

- Matko!

Za nim stał wytwornie odziany mężczyzna w aksamitnym stroju jeźdźca i wymyślnym kapeluszu, przepasany szarfą ozdobioną drogimi kamieniami. Znała go. Roland Pipę z dworu Karola, hrabiego Charolais, krnąbrnego syna księcia Burgundii.

Wstała i dygnęła. Henninc cofnął się i przywarł do ściany. Skarbnik skłonił się dwornie.

- Matko! - powtórzył Feliks - Hrabia pyta... Der Roland przywiózł mi zaproszenie od pana de Charolais. Osobiste zaproszenie. Na wielkie łowy. Wyjątkowe łowy w Genappe, na niedzielę. Muszę jechać. Natychmiast.

- Taki zaszczyt! - zawołała Marian de Charety. Usadowiła gościa, posłała Henninca po wino i usiadła sama, zapłoniona, uśmiechnięta, z zapartym tchem. Obraz mieszczańskiej matki, oszołomionej łaskawością, której doświadcza jej mieszczański syn.

Obraz matki dziękującej Bogu, że jej syn nie będzie mógł teraz znaleźć przyczyny, dla której miałby stawać naprzeciw wrogich kopii w niedzielnym turnieju Białego Niedźwiedzia. Kiedy bowiem następca twego suzerena rozkazuje, nie istnieją żadne wymówki. Matki dziękującej Bogu - pomyślała - i komuś jeszcze.

Znacznie później, kiedy Nicholas wrócił, Feliksa już nie było. Podwórze aż szumiało. Nicholas usiadł i wysłuchał opowieści pracowników farbiarni. Większość z nich była rozczarowana. To bardzo dobrze, oczywiście, że wielcy panowie zobaczą wreszcie, co jest warta rodzina Charetych. Ale co z wyjątkową przyjemnością i dumą, jakie mogliby czuć stojąc w tłumie podczas turnieju i mówiąc: „Tam! Tam jest nasz młody pan!”.

Ktoś, z kim Nicholas dzielił niegdyś miskę kapusty, odezwał się:

- A może byś tak go zastąpił, Claesie? Zbroja jest.

- Dobry pomysł - rzekł Nicholas. - Zwyciężyłbym w każdej próbie sił. Zostałbym Nadleśniczym. Pokażę wam. Hej, a może wszyscy weźmiemy w tym udział?

Kiedy pani wyrzała przez okno, by sprawdzić, co jest przyczyną całej tej wrzawy i śmiechu, ujrzała rozpięty sznur i ludzi, którzy nosili się wzajemnie na barana, szarżując na siebie z kopyściami w charakterze włóczni i w kociołkach na głowach. Złamali żerdź, a nad dziedzińcem popłynął karcący głos Henninca. Jedna z szarżujących postaci zdjęła hełm i Henninc umilkł, widząc małżonka swej pani.

Nicholas zeskokczył na ziemię.

- Zapłacę za żerdź. Nie powinienem być odciągając ludzi od roboty. Po prostu radowaliśmy się zaszczytem, jaki spotkał jonkheere Feliksa.

Robotnicy, szczerząc zęby, zaczęli się rozchodzić. Jeżeli trzeba, popracują dłużej i wszystko odrobiją. Marian de Charetty zauważyła, że są w świetnym nastroju, a Henninc, znający swoich ludzi, potrafił to wyczuć. Uśmiechnął się także, choć z przymusem i powiedział:

- Szkoda, gdy chodzi o turniej, lecz słusznie mówisz, że i zaszczyt, przyjacielu Nicholasie.

Później Nicholas wbiegł po schodach na górę, zastukał do jej drzwi i uchylił je.

- A nagroda? - zapytał. Zmarszczyła nos. - Wiem - dodał. - Tym razem to zapach ulgi. Już myślałem, że mój misternie uknuty spisek zawiedzie.

- Ale miałeś plany zastępcze - powiedziała.

- O, tak. Trzech układaczy psów i kochankę Gregoria. Nie pytałem jeszcze Gregoria o pozwolenie - uśmiechnął się szeroko. - Czy nie zasłużyłem na specjalne, mocne wino? Feliks pojechał?

Jej podbródek drżał, kiedy uśmiechnęła się do niego. Napięła mięśnie.

- Czy obejdą się z nim dobrze? - zapytała.

- Oczywiście, że tak - odparł. - Tak naprawdę, to spotka się z delfinem. Prawdopodobnie po raz ostatni. Ale oni są dobrze wychowani. Niczego mu nie poskapią - urwał. - Niestety, nie będzie tu ciebie, kiedy wróci. Czy mu powiedziałaś?

- O naszym tryumfalnym objeździe? Tak. - Odwrócona do niego plecami szczerze nalała mu wina.

- Gdy się nad tym zastanowi, będzie zadowolony. Zostanie panem do twego powrotu. I nie będzie musiał patrzeć na mój odjazd.

Podawała mu wino i stała przez chwilę, trzymając swój puchar.

- Nie wiem. On nie ma szczególnie złożonej natury. Myślę, że odczuwa to trochę tak jak Tilda. Obydwoje lubią wysługiwać się tobą.

Czuł ulgę. Zabawne dołki w policzkach powróciły po dwudniowej nieobecności.

- Gdybym nie wiedział, kiedy trzymać się z daleka, zapłaciłbym za to już tutaj, nie musząc uganiać się za rozkoszami gdzie indziej. Feliks powinien poznać rozkosze możliwych. Zwłaszcza teraz. Powinien był pożyczyć mi zbroję. Zabrałbym ją do Genewy. Wpadłem na pewien pomysł.

Podeszła do krzesła i usiadła.

- Teraz potrafię to znieść. Tak?

- Może wyruszylibyśmy w niedzielę, podczas turnieju? Drogi będą wolne. Chyba że chcesz to obejrzeć.

- Nie - zadrzała Marian.

- A więc?

- Nie znajdziemy nikogo do pomocy - powiedziała. - Wszyscy będą oglądali turniej. Nie zdziwiłabym się, gdybyś nie znalazł nawet strażnika, który wyprowadzi nas z miasta.

Już w chwili, gdy zaczął ją przekonywać, wiedziała, że wszystko sobie zaplanował. Kolejne plany zastępcze. Zwolnił strażnika i wynajął innego, a także eskortę dla niej - od byłego fechmistrza, który kierował teraz odlewnią metalu. Jej osobista służba zgłosiła chęć wyjazdu, podobnie jak kucharka z domu przy Spangnaerts: Gregorio znajdzie zastępczynię. Na pakowanie może przeznaczyć jutrzejszy dzień.

Wpatrywała się w niego i w końcu zapytała:

- Kiedy przybywa Szymon?

- Jutro - odparł, szczerząc zęby. - Ale nie wydostaniemy się stąd tak wcześnie. I gościńce będą zatłoczone.

- On nadal tu będzie, gdy wrócę - powiedziała. - I prawdopodobnie także de Riberac.

Łagodny uśmiech nie zniknął.

- Być może cię straszyli, ale pamiętaj, że to ja jestem ich prawdziwym celem. Tak czy inaczej, nie przyjdą razem. Nie znoszą się nawzajem. A jeżeli nawet przyjdą, Gregorio wie, co ma robić. Na czas mojej nieobecności przeniesie się do biura Juliusza. Wieczorami nie otwieraj nikomu.

- Doprawdy? - spytała.

- Z wyjątkiem zaproszonych gości, rzecz jasna. Drogi rozkoszy leżą wszędzie... a przynajmniej powinny.

Szeroki uśmiech nie pozwalał traktować jego słów poważnie. Zastanawiała się z humorem, kto mógłby dla niej przemierzać owe drogi. Gregorio miał już kochankę. Metteneye był oblegany. Wszyscy klienci byli już żonaci. Pozostawał, jak przypuszczała, Oudenin. No i może jeszcze Henninc. Skarciła się w duchu. Nicholas zatroszczył się o jej bezpieczny powrót. Troski o to, co będzie tu robiła po powrocie, raczej nie należało oczekiwać.

U boku niezwykle pięknej, młodej damy, na czele podwójnego orszaku, Szymon z Kilmirren jechał w sobotę hałaśliwymi ulicami Brugii. Paż, giermek i stajenni nieśli za nim tarczę i broń i prowadzili jego wspaniałe konie. Jeźdźcy w liberiach wiodli juczne muły i dźwigali proporce ze złotymi frędzlami, które łopotwały i powiewały od samego Calais.

Sam Szymon przyodziany był w zbroję i trzymał hełm z zielonym pióropuszem przerzuconym przez ramię. Twarz o jasnej cerze i czystych, delikatnych rysach, wyrażała subtelne znudzenie. Ludzie odwracali się

i patrzyli. Złoto odkrytych włosów i lśniące srebro cyzelowanej zbroi nie należały do widoków codziennych, nawet w gronie wielkich kawalerów. Zwłaszcza w gronie wielkich kwalerów, którzy nierzadko poświęcali oko lub garnitur zębów na ołtarzu boga udawanej wojny.

Po przejeździe Szymona ulica znowu zatętniła życiem. Uczestnicy turnieju, słudzy, konie, damy i strażnicy, widzowie przybywający do Brugii z miejsc oddalonych o wiele mil - wszystko to co roku oznaczało ciężką pracę, rozkwit handlu i, oczywiście, pieniądze. A także poklask dla wpływowego miasta Brugii, goszczącego sam kwiat rycerstwa. Natchnięci zarówno dumą jak i myślą o własnej korzyści cieśle stukali młotkami dzień i noc, stawiając na placu targowym bariereki i podwyższenia. Malarze wykańczali herby i chorągwie, a urzędnicy miejscy dotrzymywali kroku przedstawicielom Białego Niedźwiedzia, pilnującym przystrajania i oczyszczania ulic, a także przygotowań do biesiady, procesji, ceremonii i przedstawienia, zabawiania i kierowania rozproszoną elitą rycerstwa.

Jutro zawodnicy, każdy ze swym orszakiem, przejdą w procesji od opactwa Eckhout, mieszczącego się za domem Ludwika de Gruuthuse, do barierki wokół placu targowego. Dzisiejszą noc Szymon z Kilmirren spędzi jak zwykle w domu Jehana Metteneye, razem ze swym proporcem, tarczą herbową i pióropuszem zdobiącym parapet okienny sypialni, jak to było w zwyczaju.

Najpierw uwolnił się od Murielli i towarzyszących jej dam, odprowadzwszy ją do domu jej gospodyni. Dość mu się podobała. Była bogata: jej brat ze Szkota stał się Anglikiem, prowadząc działalność kupiecką w Calais. Muriella była ciemna, co stanowiło kontrast z jego świetlistą jasnością, i uderzająco piękna w purpurowych szatach i niezwykłym nakryciu głowy, przypominającym wielkiego motyla. Szymon wiedział jednak, że nic nie może się równać ze złotymi włosami, zielonym pióropuszem i srebrzystą zbroją.

Brata Murielli, Jana Reida, bynajmniej nie odstręczała myśl o małżeństwie siostry, choć było oczywiste, że chętnie oddałby dziewczynę za tytuł arystokratyczny. Szymon napomknął jednak, że jego utytułowany stryj ze Szkocji jest już stary, a utytułowany ojciec we Francji, choć - niestety! - oddalony od jedyne go syna i dziedzica, posiada dobrze utrzymane i rozległe włości. Była to, oczywiście, broń obosieczna. Majątek ojca został już prawdopodobnie już przekazany w testamencie jakiemuś zakonowi lub kochance, by nie dostał się w ręce nie lubianego syna. Chociaż ojciec nie mógł chyba pozbawić swego dziedzica ziemi, mógł to z pewnością uczynić król Francji, gdyby dowiedział się, co Szymon porabiał w Calais. Niemniej Jan Reid okazał zaciekawienie. Pozwolił Szymonowi zabrać Muriellę

- w towarzystwie odpowiedniej przyzwoitki - jako swą damę na czas turnieju.

Obecność przyzwoitki na razie mu nie przeszkadzała. Dziś wieczór miała się odbyć wielka, oficjalna uczta w oberży Pod Znakiem Księżyca, nieopodal placu targowego. Nadleśniczy, ubiegłoroczny zwycięzca, z pewnością paraduje już po mieście z heroldami, piszczałkami i doboszami, zwołując wielkie damy i panny z dobrych domów, które Bractwo zapraszało na ucztę.

Szymon zamierzał pójść tam z Muriellą. Biesiada zakończy się o przyzwoicie wczesnej porze, tak że będzie mógł odprowadzić ją do domu. A później podaży tam, gdzie zostanie radośnie powitany - jak zwykle bywało przed turniejami. Znajdzie w owym miejscu coś dla siebie - coś szybkiego, wprawnego i niekłopotliwego. W ten sposób człowiek nie tracił czasu ani przedtem, ani potem. Pragnął dobrze się spisać nazajutrz - ze względu na swą damę.

Później dama ujrzy w nim zwycięzcę, zatańczą razem i będą dzielić puchar wina podczas uczty przed powrotem do zimnego łoża. Może wówczas ona zacznie rozmyślać o krótkiej podróży powrotnej w jego towarzystwie. Będzie podziwiała jego dzielność. Będzie marzyła, jak to czynią damy, o poddaniu go próbie. I w którymś z przydrożnych zajazdów znajdzie - był tego pewien - słodki i przemyślny sposób usunięcia drobnej przeszkody w postaci przyzwoitki.

A potem, jeśli nadal będzie miał na to ochotę, poprosi brata o jej rękę oraz posag, przyrzeczony mu w trzech czwartych.

Na razie, rozmieszczając służbę, konie i ruchomości w domu Metteneye^, Szymon okazywał nienaganną uprzejmość pani Metteneye, figlarnej i zabieganej, tak jak ją zapamiętał. Nie było już, rzecz jasna, dziewczki imieniem Mabelia. Kobieta nie wspomniała ani słowa o niej czy o historii z pachołkiem Claesem. Od wyjazdu z Brugii podróżnicy podążający do Szkocji odszukiwali go i raczli krzepiącymi opowieściami o powrocie do zdrowia jego przyjaciela. Później zaś - o tym, jak opuścił Brugię i wyjechał do Italii jako żołnierz. Przypuszczalnie był to koniec tego maciwody.

Jan z Kinloch, szkocki kapelan, rychło pozbawił go złudzeń. Przyodziały w splamioną czerń podszedł do Szymona na stopniach i zamiast usunąć się na bok, skorzystał ze sposobności i pochwalił wspaniałą zbroję, o której tak wiele słyszał oraz wytworny kubrak i rękawy godne samego króla. Następnie zauważył, bez szczególnego poruszenia, że Szymon z całą pewnością jest wielce ciekaw najnowszych wieści o młodym Nicholasie.

Jeżeli ten człowiek szukał wspólnego tematu, omylił się. Szymon odrzekł mu na to:

- Wybaczcie, nie wiem, kogo macie na myśli - i spojrzął w dół schodów. Nadchodził Metteneye. Wybawienie.

- Och - ciągnął Jan z Kinloch - pamiętacie chyba młodego Claesa? Kto by pomyślał, kiedyśmy go tu już opłakali, że sprawy przybiorą taki obrót?

Znaczenie uśmiechu Kinlocha zostało wyjaśnione. Szymon odwzajemnił ten uśmiech, spoglądając na kapelana i na Jehana Metteneye, który już wchodził po stopniach. Z nutą uprzejmego rozbawienia Szymon powiedział:

- Słyszałem, że jest w Italii. Czyżby dorobił się majątku? Został dowódcą?

Obydwaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Kinloch stanął z boku, a Metteneye zajął jego miejsce. Musnął palcem pierś Szymona.

- A co? - rzekł. - Nigdy byście nie zgadli. Nie! Ten młody nicpoń jest tutaj, w Brugii. Ożenił się z wdową de Charetty i zarządza całym przedsiębiorstwem.

- *Ożenił się?* - powtórzył Szymon. - Nie wierzę.

- Całkowicie zgodnie z prawem - potwierdził kapelan. Uśmiechał się szeroko, niech go diabli. Dostał, czego chciał. Szymon zaniechał nawet prób ukrywania swoich uczuć. Kapelan ciągnął: - Są spowinowaceni, oczywiście, ale otrzymają dispensę. Ciekawe, dlaczego biskup Coppini nie wspomniał wam o tym w Calais. Celebrował mszę ślubną. Razem z kapelanem Anzelma Adorne.

Coppini, ty sukinsynu. Nie... oczywiście nie mógł wiedzieć o Mabelii, armacie i psie. I nożycach. Ale wiedział o tym Anzelm Adorne - i poparł to małżeństwo. Małżeństwo! I kto teraz będzie bawił się kosztem Claesa spośród tych, którzy przybędą na turniej? Metteneye mówił o nim z pobłażliwym rozbawieniem. Metteneye, który usiłował przedtem sprawić Claesowi lanie jak najlepszy z obywateli.

Obydwaj mężczyźni nie odrywali oczu od Szymona, który powiedział:

- Czuję się zaskoczony, zważywszy ile sprawiał kłopotu. Między nim a tą nieszczęsną kobietą musi być ze dwadzieścia lat różnicy. Powiadacie, że zarządza przedsiębiorstwem?

- Ano - rzekł Metteneye - nie uwierzylibyście, ile dokonał. Zakupił broń i ekwipunek, zebrał spory oddział i wysłał go na wojnę do Neapolu. Zapoczątkował prywatne usługi kurierskie między Flandrią a państwami włoskimi. Rozwinął farbiarnię i zakład zastawny. Kupił dom i zatrudnił nowych kancelistów...

- I to wszystko za pieniądze wdowy? Nie wiedziałem, że jest aż tak zamożna - zauważył Szymon.

- O, miała co nieco - odparł Metteneye - ale większość opiera się na obietnicach i pożyczkach. Oto zaleta szybkiego rozkręcenia usług kurierskich i zebrania kompanii starego Astorre'a. Stoją za tym Medyceusze i inni, dla których on pracuje. Pożyczanie mu pieniędzy jest dla nich korzystne.

Kapelan stał, szczerząc zęby. Inni ludzie gromadzili się u stóp schodów. Szymon przemówił:

- Z pewnością zauroczył tę nieszczęsną damę. Mam nadzieję, że nie obudzi się pewnego dnia, aby stwierdzić, że nie ma już męża, przedsiębiorstwa i pieniędzy.

Jehan Metteneye przytaknęła ruchem głowy.

- Tak też mówi moja Grieta - powiedziała. - Może to i prawda. Ale dokonali cudów z tym swoim domostwem. Powinniście przejść się tamtędy jutro, zanim wyjadą.

- *Wyjadą?* - powtórzył Szymon. - Chcecie powiedzieć, że młody żonkoś opuszcza Brugię przed turniejem? Myślałem, że ujrzę go w oknie z najlepszym widokiem, spowitego w złotogłów. Lub nawet kruszącego kopie dla swej starszawej małżonki. Podobno jej syn znajduje się wśród uczestników, więc i bękart bez ziemi nie powinien mieć z tym kłopotu.

Nie było to stwierdzenie zbyt roztropne. Rodzina Metteneye, podobnie jak Charetty, miała mieszczański rodowód i nie posiadała dóbr ziemskich, pomimo że ród był stary.

- Nie mam nic przeciwko turniejom - rzekł Metteneye. - Metteneye'owie zawsze brali w nich udział i mój Pieter zjawi się tam jutro. Ale pewne sprawy mają pierwszeństwo. Młody człowiek, jak pojmuję, zabiera żonę w odwiedziny do Fleurych w Dijon i Genewie. To ich krewni i bez wątpienia ważni klienci. A co do młodego Feliksa...

Kapelan cofnął się z uśmiechem. Lekko zarumieniony Metteneye udzielił dalszych informacji:

- Młodemu Feliksowi trafiło się, można rzec, coś lepszego niż udział w turnieju. Otrzymał osobiste zaproszenie na łowy u hrabiego de Charolais. Dostarczył je dworski skarbnik. Niestety, wypada to w tę samą niedzielę, cóż więc miał począć? Uważam jednak - ciągnął Jehan Metteneye - że przybędzie jutro ktoś, z kim warto się zmierzyć. Ale my tu was zatrzymujemy, a wy się pewnie spieszycie.

Istotnie, spieszył się nieco, lecz skorzystał z rady, by przejść się obok dużego, dobrze utrzymanego i uporządkowanego domostwa Charettych, okolonego długim murem. Odwiedził kilka osób. Następnie zaś udał się w zadumie do ciemnowłosej, godnej Murielli.

Wieczór upłynął mu znośnie. Uczta była obfita, a najbliższe sąsiedztwo zadowalające. Zabawiał ich ze swadą i nie przestawał przekomarzać się ze swą młodą damą, przystrojoną klejnotami, które z pewnością nie pomniejszały go w oczach brugijskich wielmoży. Przyniósł Murielli różę od kogoś, kto przechowywał dla niego podobne rzeczy, a ona pozwoliła mu ucałować swą dłoń. Później starał się nie budzić w niej większego samozadowolenia

i poświęcił parę chwil szczególnej uwagi damie towarzyszącej jego sąsiadowi. Przyjmowała to ciepło.

Zgodnie z jego przewidywaniami biesiada nie trwała długo. Odprowadził troskliwie swą damę do domu i pożegnał ją z dworną delikatnością. Odwróciła się jeszcze w drzwiach kwatery, ściskając mocno różę. Stał, oczywiście, przed domem. Złożył ukłon. Następnie odprowadził towarzyszącą mu służbę i ruszył mniej uczęszczanymi ulicami, anonimowy w swym płaszczu z kapturem. Jego myśli krążyły leniwie wokół białej skóry i ciemnych włosów panny Reid oraz innych oczywistych słodyczy, które miała do zaoferowania. Dotarł do domu Betkine płonąc od nadmiaru energii, która, spożytkowana, dała mu kilka chwil niezwyklej rozkoszy, lecz nie uległa wcale rozproszeniu.

Nie mógł zostać przez całą noc. I tak przebywał tam dwukrotnie dłużej niż zamierzał i wyszedł sporo po zapadnięciu zmroku. Stukanie młotków w światło pochodni i głosy wyęzających siły robotników ucichły. Plac targowy był rzęsiście oświetlony, a dobiegające z różnych stron szepty wskazywały, gdzie stoją miejscy strażnicy pilnujący stert drewna, deszczułek i płótna, w oczekiwaniu na brzask nadchodzącego dnia turnieju. Słychać było i inne odgłosy. Chrząkanie wszędobylskich świń. Kocie wrzaski. Dochodzący zza oświetlonego okna, stłumiony płacz niemowlęcia. Chóralne chrapanie spomiędzy szpar w okiennicach. Pluskanie wody w kanale. Szelest śmieci na wietrze. Głuchy odgłos samotnych kroków na moście. Z kilku stron - dalekie szczekanie psów.

Utracił tu kiedyś pięknego psa. I ładną, pulchną dziewczynę.

Wiatr wzmógł się nieco, przynosząc osobliwy hałas, który zastanowił stojącego nieruchomo na placu Szymona. Można by pomyśleć, że na skraju miasta odbywa się próba jutrzejszego turnieju. Pomniejszone odbicie pomruków i krzyków tłumu, nikłe jak tchnienie morza w skorupce małża.

Przyniósł je kolejny podmuch wiatru. Szymon nasłuchiwał w skupieniu, dostroiwszy pozostałe zmysły, by zaostrzyły jeden - zmysł słuchu. Nagłe uderzenie dzwonu na wieży ogłuszyło go na chwilę i niemal pozbawiło przytomności.

Później rozległo się drugie gwałtowne uderzenie, które wstrząsnęło dzwonnicy. I trzecie. I czwarte.

Ktoś krzyknął. W oknach zapłonęły światła. Trzasnęły drzwi. Dzwon bił nieustannie. Nad nim wzniósł się głos, wydający polecenia niczym Bóg Wszzechmogący z samego szczytu wieży. Człowiek, gadający przez wielką tubę. Wielki dzwon pożarowy. I obwieszczenie przez tubę: płonie farbiarnia i dom rodziny Charetty.

Oczywiście w czasach, gdy budowano domy z drewna, kryte strzechą,

pożar mógł strawić całe miasto w ciągu godziny. Dziś cegła, kamień, dachówki i gonty mogły mu się oprzeć, ale schody i przybudówki były drewniane, a wewnątrz domów - stropy i ściany.

Miasto dobrze znało swoje obowiązki. W każdej dzielnicy znajdował się skład wiader i mioteł. Mężczyźni, wezwani przez tubę, wiedzieli, co robić. Brugia była miastem, które żyło z handlu suknem, które dzień i noc siedziało na belach płótna, poukładanych w piwnicach razem z innymi towarami, składowanymi przez kupców.

Pomieszczenia zakładu zastawnego były pełne materiałów - ze względu na zastawione tam stroje. A farbiarnia zawierała, oczywiście, nie tylko sztuki płótna i motki przędzy. Były tam także barwniki. Baryłki żółtego szafranu. Worki suszonych orzechów galasowych do uzyskiwania pięknej, kosztownej czerni; oraz brazyliny, dającej purpurę. Paczuszki ziół; wiązki żółtej rezedy zwieszającej się z krokwi. Misy ze sproszkowanym urzetem i zbrylonymi ziarnkami. Pęcherze z jagodami szakłaku i morwy, i z jasnozielonym szakłakowym barwnikiem. Beczki z laka, gumą i żywicą. Szopy pełne popiołu i pustych beczulek po winie, przeznaczonych do oskrobania i spalania. Rozrzucone po dziedzińcu drewniane kadzie, narzędzia i ramy do rozpinania płótna. Gręple do kutnerowania ułożone w wysokie sterty. I sznury napiętej przędzy oraz rozciągnięte sztuki kolorowego płótna, łączące dom, farbiarnię i skład towarów w jeden niekończący się wzór, podobny do magicznej, wełnianej układanki.

Szymon z Kilmirren odwrócił się i ruszył w stronę, z której dobiegały teraz wyraźne, choć dalekie odgłosy, słyszalne pomimo wzmagających się wokół, ostrych dźwięków. Tam, gdzie było widać po kolorze nieba, że istotnie wybuchł pożar i że się wzmaga.

Mijali Szymona biegnący, na pół ubrani ludzie, szczękając wiadrami. Stał przez chwilę, po czym bez pośpiechu ruszył ich śladem. Cokolwiek miało się stać, i tak się stanie, zanim on tam dotrze.

Co było, oczywiście, prawdą. Kiedy znalazł się na miejscu, ogień opanował już dom i szerzył się na podwórzu. Ulica, gdy na nią spojrzął, była falującą masą krzyczących, półnagich ludzi.

W bramie i na dziedzińcu tłoczyli się mężczyźni. Wyprowadzano konie. Migwały wiadra. Srebrne łukii kaskady wodne przecinały powietrze i rozpląwały się w białej, syczącej parze. Ogień posuwał się naprzód, a sznur wiader i ludzi zaczął się cofać. Płonące iskry z budynku wlatywały w powietrze i osiadały na workach i skrzyniach, wyciągniętych na podwórze. Przepchnąwszy się głębiej, Szymon minął mężczyznę w średnim wieku, (w szlafmocy na głowie), wlokącego worek z owadzym barwnikiem. Na jego wielkim, nagim brzuchu widniały czerwone plamy. Szymon zwrócił się do kogoś z pytaniem:

- Co się stało z mieszkańcami domu?

Zapytany mężczyzna zbierał rozsypane po ziemi księgi rachunkowe, które musiały przedtem zostać zrzucone z okna na piętrze.

- Obudziły nas psy - powiedział. - Chyba wyprowadziliśmy wszystkich.

- Miał na sobie rozpięty, czarny kubrak i krótkie spodnie. Jego twarz **0** garbatym nosie także była czarna i zapadnięta z wysiłku.

- Posłuchajcie - rzekł Szymon - ja to zrobię. Idźcie, zobaczcie, co jeszcze da się uratować.

Zaczekał, aż mężczyzna się odwróci, po czym zaczął starannie ciskać księgi, jedną po drugiej, prosto w ogień. Następnie, gdy żar zmusił wszystkich do cofnięcia się, stanął wraz z innymi na ulicy **1** przyglądał się płonącemu przedsiębiorstwu Charettych. Krzyki i tupot nóg rozległy się po obydwu stronach, gdzie polewano i opróżniano najbliższe domy.

Zebrany wokół tłum rozdzielił się na małe grupki, milczące, jeśli nie liczyć stłumionego płaczu kobiet, szukających pocieszenia. W jednej z grupek Szymon zauważył mężczyznę, z którym przed chwilą rozmawiał, stojącego obok niewysokiej, przystojnej kobiety o pięknych włosach. Tuliły się do niej dwie ładne dziewczynki o spuchniętych twarzyczkach. Zauważył je natychmiast ze względu na puste miejsce, pozostawione wokół jak gdyby dla okazania szacunku. Wtedy zrozumiał, oczywiście, kto to jest.

Ogień osiągał właśnie szczyt swego piękna. Połączenie przedziwnych i cennych substancji stworzyło czerwonopomarańczowy stos niezwyklej jasności, przez który przeświecała solna zieleń, cytrynowa żółć i migotliwy fiolet. Od czasu do czasu ponad huk i trzask wzbijała się z sykiem srebrzysta wstęga, złocisty pióropusz lub purpurowa strzała, rozsiewająca iskry. Wszystko to odbijało się w zalanym wodą podwórzu.

Później zmienił się kierunek wiatru i cuchnący całun dymu z płonących materii okrył drogę. Tłum, jak gdyby obudzony, zafalował. Dom, na pół zwęglony, na pół stojący jeszcze w płomieniach, nie stanowił w tej chwili żadnego zagrożenia. Pobliskie budynki były bezpieczne: zaroiło się wokół nich od pojedynczych postaci. Kobieta, z pewnością Marian de Charety, stała nieruchomo i patrzyła na nich. Szymon dostrzegł mężczyznę w czarnym kubraku, który powiedział coś do niej łagodnie, po czym odsunął się nieco i rozejrzał dokoła. Wkrótce otoczyli go ludzie. Będzie musiał, oczywiście, znaleźć schronienie dla wszystkich domowników wdowy.

Ale ona przecież nie była już wdową; i dało się wyraźnie zauważyć, na kogo czeka. Na kogoś ważniejszego niż mówiący o swojej rozpacz i stratach pracownicy. Po chwili, rzecz jasna, jakaś postać oderwała się od ostatniej grupy uczernionych sadzą mężczyzn, powracających po zakończonych

wysiłkach, i skierowała zdecydowane kroki mocnych, bosych stóp w stronę kobiety i jej córek. Ów wieczny młokos i bękart; ów Nicholas.

Jakikolwiek mógł być wyraz jego twarzy, kryła go lepka warstwa sadzy i potu. W miejscach widocznych spod rozwiązanej koszuli skóra była poparzona i brudna. Potem Szymon dostrzegł błysk jego zębów, a wyższa dziewczynka puściła rękę matki i podbiegła do niego. Nicholas mocno otoczył ją ramieniem i ucałował w czoło. Później, z dziewczynką u boku, postąpił krok naprzód i wolnym ramieniem przygarnął kobietę i młodsze dziecko do siebie, w takim samym, milczącym uścisku. Długie, rozwiane włosy matki otoczyły ich chmurą.

Nie było słyhać słów, które wypowiedział, lecz oczy słuchającej go kobiety mówiły wszystko. Doprawdy, żaden obserwator nie mógłby mieć wątpliwości, co skłoniło ją do małżeństwa. Młodociany małżonek odsunął się delikatnie i zawołał mężczyznę w czerni, który odwrócił się, odpowiedział, po czym rozejrzał się i widząc Szymona wskazał go palcem.

W swym czarnym płaszczu atłasowym biesiadnym stroju, lekko pogniecionym przez Betkine, Szymon czekał, aż Nicholas podejdzie i stanie przed nim. Twarz młodzieńca pod warstwą brudu była blada.

- Świat pełen jest takich tłustych kasków, jak to przedsiębiorstwo, czemu więc zenić się z czymś, co tak cuchnie po podgrzaniu? Słyszałem, że miałeś zamiar czmychnąć jutro w bezpieczne miejsce. No ale widzisz, i tak się spotykamy.

Mogli go nazywać teraz Nicholasem, lecz nadal wyglądał jak chłopak, który ciągle bierze chłosty.

- Gregorio powiada, że pozostawił wszystkie księgi pod waszą opieką - rzekł.

- Gregorio? - powtórzył rozglądając się Szymon.

- Prawnik w czerni. Nie wiedział, rzecz jasna, kim jesteście - powiedział młodzieniec.

Szymon odnalazł wzrokiem ubranego na czarno mężczyznę i uśmiechnął się do niego. Mężczyzna ruszył ku nim.

- Och, jeszcze jeden pracowity wykwintniś, unurzany w szczytach - zauważył Szymon. - Powiedz mu, żeby się nie zbliżał. O ile, oczywiście, to jego masz na myśli. Nigdy go nie widziałem, podobnie jak twoich nieszczęsnych ksiąg. Czy jesteś pewien, drogi Nicholasie, że twój prawnik nie uznał za korzystne wrzucenia ich w ogień? Takie rzeczy się zdarzają.

Gregorio podszedł do nich. Zwrócił się do młodzieńca, którego - niech Bóg ma w opiece - zmuszony był uważać za swego pracodawcę.

- Co z nimi zrobił?

- Cisnął w ogień, jak mi się wydaje - odparł Nicholas. - Ten szlachetny

pan zwie się Szymon z Kilmirren. Mogę tu w tej chwili powtórzyć, co kiedyś mówiłem. Jeżeli będzie próbował wejść do któregoś z naszych budynków, zaczepiać naszych robotników lub rozmawiać z panią wbrew jej woli, powinieneś natychmiast wezwać Meester Metteneye'a i Meester Adorna.

Szymon spojrział w okrągłe oczy tego człowieka, wielkie i jasne jak bąble w usmolonej twarzy.

- Z pewnością istnieje zniewaga, która wymusiłaby na tobie postawę godną mężczyzny - powiedział. - Ale, na Boga, nie mam pojęcia, co to mogłoby być. W moim dość urozmaiconym życiu nie spotkałem jeszcze, Meester Gregorio, sługi równie tchórzliwego jak ten, który mieni się waszym panem.

Uśmiechnął się i odwrócił. Nie usłyszał żadnej riposty. Nie obejrzał się, by sprawdzić, czy młodzieniec odprowadza go oczyma.

Po chwili Gregorio przemówił:

- Domyślam się, że masz swoje powody.

Nicholas obrócił się w jego stronę.

- Nie wiem, czy je mam - powiedział. - Mam teraz na głowie co innego niż sprzeczki.

- Księgi... - zaczął Gregorio.

- Nie są niezastąpione. A jeżeli chcesz zapytać, czy to on podłożył ogień, odpowiadam: nie wiem.

- Ale *masz* zamiar się dowiedzieć?

- Nie. Ty się tego dowiesz - odparł Nicholas. - Otrzymasz wszelką pomoc. Miasto poważnie traktuje takie sprawy. Nie spodziewam się jednak, by cokolwiek znaleziono.

- I pożyczki - ciągnął Gregorio. - Zabezpieczenia pod wszystkie pożyczki, dochody potrzebne do ich spłacenia...

- Owszem - rzekł Nicholas. - To się stało w najgorszej możliwej chwili. Podpalacz, kimkolwiek jest, liczył na to. Liczył także, że połowa z nas spłonie żywcem. Ale nikt nie spłonął i tylko to jest ważne.

Podeszła do nich pani z córkami.

- To nie był chyba... - zaczęła.

- Przyszedł złożyć wyrazy ubolewania. No, niezupełnie. Później o tym pomówimy. Teraz zobaczymy, co można zdziałać.

Nicholas wyjechał do Genewy we wtorek, zaledwie dwa dni po planowanym wcześniej terminie. Towarzyszyła mu wynajęta straż z mułami i jego własnymi końmi, uratowanymi ze stajni wraz z uprzężą. Ze stajni także wyniesiono jego juki, spakowane już do podróży oraz wyprowadzono

(wbrew wszelkim radom) pojedynczy wóz, załadowany belami sukna dla Jaaka de Fleury.

Nicholas zostawił worki i skrzynie przygotowane do tej samej podróży przez Marian de Charety. Znajdujące się w nich stroje i ozdoby były teraz jedynymi, jakie miała. O jej podróży nie było w tej chwili mowy. Początkowo wraz z Gregoriem przypuszczali, że i Nicholas nie pojedzie. Podczas owej najdłuższej nocy w jej życiu nie miała kiedy o tym pomyśleć. Gościnni mieszczanie przyjęli jej bezdomnych podopiecznych. Jeden z burmistrzów przybył w szlafmicy, prowadząc miejskich medyków, by opatrzyli poparzenia. Rozstawiono straż wokół tłącego się jeszcze budynku, by chronić to, co mogło być warte uratowania, gdy popioły ostygną. Winrik, który wymieniał pieniądze, zebrał przyjaciół i stanął obok tej części domu, gdzie wśród ruin znajdowała się sterta stopionego srebra ze skrzynki z drobnymi monetami. Jutro przyjdą przedstawiciele mennicy i być może uda się odzyskać część ich wartości. Reszta - skrypty dłużne i kwity zastawne - przepadła w całości. Podobnie cała zawartość pomieszczeń farbiarskich, z wyjątkiem worka czy dwóch z najcenniejszymi barwnikami, które Henninc wyciągnął własnoręcznie.

O świcie pani de Charety, Nicholas i Gregorio, usmoleni i wyczerpani, zbrali się w nieopłaconym jeszcze miejscu cudownego schronienia przy Spangnaerts - i usiedli wokół wyszorowanego stołu, jedząc zupę i rozmawiając. Nie było to szczególnie roztropne, lecz Marian de Charety, zbyt była znużona, by usnąć, zasłużyła sobie na przepędzenie najgorszych obaw próbami snucia planów, skoro miała u boku mężczyzn, którzy chcieli jej wysłuchać i służyć pomocą.'

Gregorio, rozbudzony poczuciem osobiwej i mocnej więzi, obserwował Nicholasa podejmującego za panią jej decyzje. Do Majowych Targów pozostały niecałe dwa tygodnie, coś jednak da się wymyślić. Przedsiębiorstwo z Leuven dostarczy nieco towaru na sprzedaż. Cech pomoże w uzyskaniu kredytów na zakup i najprawdopodobniej także w znalezieniu jakiegoś miejsca. Budynek przy Spangnaerts i inne posiadłości, które Nicholas zakupił, nie nadawały się na farbiarnię. Ten pierwszy stanie się jednak odtąd ich domem i biurem, a inne wolne pomieszczenia posłużą za schronienie niektórym pracownikom. Część pomieści winiarnia Feliksa. Reszta może pojechać do Leuven.

Przedsiębiorstwo w Leuven, zamiast ulec stopniowej likwidacji, zostanie na razie utrzymane pod zarządem Cristoffelsa. Obszerne, rozrastające się wciąż zabudowania, w których prowadzono rozmaite interesy nie były opłacalne w Brugii. Powinni teraz rozejrzeć się za czymś lepszym, gdy mowa o barwiarstwie, pośrednictwie i handlu. Farbiarnia lepsza niż florenckie.

Branie w zastaw cennych przedmiotów, wymagających bezpiecznego, lecz nie tak obszernego miejsca przechowywania. Sposobności pożyczek na wysoki, skrzętnie ukrywany procent.

Gregorio wiedział, że Nicholas sprzyja takim poglądom. Tyle zdołał zauważyć jeszcze na długo przed pożarem.

- Mówisz o obracaniu pieniędzmi w połączeniu z kupieckim zbytkiem. Nie mam nic przeciwko temu. Ale skąd weźmiesz pieniądze, by to w tej chwili rozpocząć? Masz wiele osób na utrzymaniu. Jesteś zadłużony, gdy mowa o tym i innych budynkach. Spłonęło sukno już sprzedane; klienci będą się spodziewali odszkodowań. Podobnie z materiałami, które wzięłeś na kredyt. Przedmioty przejęte w zastaw spłonęły, co każdą pożyczkę zamienia w stratę; a ci, którzy zechcą zwrotu towarów, wniosą skargi na ciebie. Nabyłeś broń na kredyt. Koszta, których będzie wymagał oddział najemny, mogą być wyższe niż zyski. Jeżeli twój dowódca zostanie pojmany lub żołnierze pobici w walce, będziesz płacił sązyny okup i rekompensaty. Możesz znaleźć się bez środków niezbędnych do zastąpienia ludzi, ekwipunku i koni, i wywiązania się z reszty kontraktu bądź uzyskania następnego. Narazasz się na to niebezpieczeństwo nie posiadając w tej chwili żadnego przedsięwzięcia jako zabezpieczenia.

Gregorio umilkł i odwrócił oczy od ściągniętej, zastygłej twarzy wdowy. Znalazła jednak tej nocy chwilę, by upiąć ładne, brązowe włosy i narzucić płaszcz podróżny na nocną koszulę. Zastanowił się, czy pozwolić jej odejść na spoczynek pokrzepionej młodzieńczym fantazjowaniem, lecz uznał, że lepiej zawsze stawić czoło rzeczywistości.

- Pani - podjął - przykro mi to mówić, ale jedyną rzeczą, na jaką możecie sobie pozwolić, jest zwolnienie pracowników, łącznie ze mną, i wyjazd do Leuven po odsprzedaniu nowych nabytków i spłaceniu choć części wierzycieli. A Nicholas nie może teraz, rzecz jasna, brać pod uwagę swoich planów związanych z ałunem.

Skończył mówić i uniósł głowę z wyrazem szczerego ubolewania na twarzy. Pani utkwiała w nim błękitne oczy. Później spojrzała na Nicholasa, który powiedział:

- Nicholas nie tylko bierze pod uwagę plany związane z ałunem, lecz na dodatek wyjeżdża we wtorek, by wprowadzić je w życie. Tylko to może nas uratować. Czyż nigdy nie tonęły okręty? Czy nie było powodzi, głodu? Dla nas jest to katastrofa, lecz inni jej nie odczuli. Pomogą nam. Zwiększą kredyty. Uczynią to, jeśli nie z braterstwa, to dla własnej korzyści. Zadbam o to. Zapominasz o słynnych umowach kurierskich. Być może nie mamy na sprzedaż zbyt wiele sukna... ale za to mamy informacje.

O tym Gregorio zapomniał.

- Przesyłki? - zapytał.

- Są tutaj, przy Spangnaerts - odparł Nicholas. - Miałbym nieco inną minę, gdyby tak nie było.

- We wtorek? - spytała pani.

Nicholas odwrócił się w jej stronę.

- Farbiarnia zawsze znajdowała się w twoich rękach. Znasz przedstawicieli cechu, znasz te sprawy najlepiej z nas wszystkich. Mamy cały jutrzejszy dzień i poniedziałek, żeby to przemyśleć: ty, Gregorio, Henninc i ja. Cristoffels jest w drodze. Za kilka dni wróci Feliks. - Umilkł na chwilę. - Będzie lepiej dla wszystkich, jeżeli teraz wyjadę. Oczywiście, nie do Dijon. Zawiozę sukno do Genewy i ruszę prosto do Mediolanu. Postaram się wrócić jak najwcześniej, wierzcie mi.

- Do Genewy! - powtórzyła pani ostrym tonem.

- Zamówili sukno - powiedział Nicholas. - Przydadzą się nam pieniądze.

Gregorio, któremu opadały powieki, wyprostował się w krześle.

- Jeśli mowa o Thibaulcie i Jaaku de Fleury - rzekł - nie zapłacili za ostatnią partię towaru. Chyba lepiej byłoby zostawić sukno na Targi.

- Może masz słuszość - przyznał Nicholas. Patrzył na panią i wydawało się, że odczytuje w jej twarzy coś, czego Gregorio nie zauważył. Zwrócił się ponownie do niej. - Czy zapomniałaś o Feliksie? Mieliliśmy szczęście, że go tu nie było i że nie mógł popisywać się swą straceńczą odwagą. Kiedy wróci, dowiesz się, ile popełniliśmy błędów.

Pani uśmiechnęła się, po czym wstała i z wolna ruszyła w stronę niewielkiego saloniku, gdzie przygotowano dla niej posłanie.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią, Gregorio odwrócił się do swego towarzysza.

- Ona ci wiele zawdzięcza - rzekł. - Podobnie jak całe przedsiębiorstwo. Ale posłuchaj mojej rady. Inteligencja nie wystarczy, by wyprowadzić kompanię z tego zamętu. Potrzeba tu doświadczenia i ostrożności. Takie plany były zawsze z natury niebezpieczne. A ty nadal chcesz się ich trzymać. Szybko się uczysz. Jeszcze szybciej zyskujesz pewność siebie. Wciąż jednak brakuje ci doświadczenia.

Nicholas popatrzył na niego. Ku zaskoczeniu Gregoria uśmiechnął się jednym ze swych najszerszych, wszechogarniających uśmiechów. Zakończył go rozdzierającym ziewnięciem.

- Goro, przyjacielu - przemówił - czy myślisz, że tego nie wiem? Ale jeżeli to, co mówisz, jest słuszne, a przecież jest, będziemy potrzebowali znacznej sumy pieniędzy... i to szybko. I może brak mi doświadczenia, ale mam zamiar zdobyć te pieniądze.

ROZDZIAŁ 31

Zupełnie nieświadom faktu, że przedsiębiorstwo Charettych legło za nim w zgłiszczach i że - co gorsza - wdowa nie jest już wdową, Tomasz, zastępca kapitana, podążył na południe, by wziąć udział w wojnie wraz z czterema szwadronami kopijników i pięćdziesięcioma strzelcami, chętnymi - jeśli nawet nie w pełni przygotowanymi - do użycia rusznic, przyrzeczonych mu przez tego diabelskiego młodzika Claesa.

Wraz z Tomaszem jechali dwaj ludzie, Godscalc i Abrami, także wyszukani przez Claesa. Tomasz przekonał się, że jest z nich zadowolony. Abrami, węgierski kusznik ćwiczony w Niemczech, wiedział o broni palnej więcej niż sam Tomasz. Godscalc zaś był nie tylko kancelistą, lecz i kimś w rodzaju aptekarza. Kiedy zepsuł się Tomaszowi środek przeciw gzom, jak to często bywało, Godscalc czynił cuda z pomocą maści i proszków. Droga na południe nie była dla Tomasza przykra, pomimo czeredy koniuchów i służby, co zawsze wiązało się z długą kampanią.

Była to zła strona wyprawy. Dobrą stroną stanowiły kobiety. Wdowa zawsze pozostawiała te sprawy jemu i Astorre'owi, i nawet dość rzadko podawała w wątpliwość ich rachunki. Mimo wszystko, trudno żądać od wojownika, by dbał o wyżywienie, mełł ziarno na mąkę czy prał sobie koszule. To było zadanie dla kobiet. A po skończonej walce mężczyzna miał ochotę na coś więcej niż kości i wino w wolnych chwilach.

W Neapolu, oczywiście, kobiet nie zabraknie. Wojska oczekujące bitwy przyciągały je jak konie przyciągają przeklęte gzy - a jeśli nawet nie one same, to walki, jakie się o nie toczyły. Dlatego opłacało się przywieźć kilka własnych dziewczek. Były nawet ze dwie żony, jedna z niemowlęciem przy piersi. Było to jedyne dziecko w obozie, choć bywało, że pojawiały się inne. To zależało od ojców. Mężczyzna dostawał tylko jedną płacę. Sam decydował, czy chce żywić za nią większą liczbę gąb.

Tomasz i jego grupa przekroczyli Alpy bez kłopotu.

W Mediolanie czekała na niego broń oraz pewna niespodzianka - lecz taka, która nie zmartwiła go zbyt.

Do Neapolu dotarł pod koniec kwietnia, po wielu taktycznych wykrętach. Miasto było niemal niewidoczne spoza gęstej, lepkiej mżawki.

Posłał przodem umyślnego, by zawiadomić Astorre'a o swoim przyjeździe i miał nadzieję, że znajdują się dla nich przyzwoite kwatery o suchych polepach i bez nadmiernej liczby szcurów.

Zamek był wystarczająco wielki, by pomieścić wszystkich dowódców i kapitanów, razem z aragońskim bękartem, królem Ferrante. Zakwaterowanie żołnierzy było już inną sprawą. Niektóre miasta umieszczaly ich na zewnątrz, między murami a wałami obronnymi, budując tam szałas. Czasami trzeba było mieć własne namioty. Niekiedy także wmuszano żołnierzy rodzinom.

Tomasz ucieszył się na widok Juliusza, notariusza wdowy, czekającego u bram wraz z jakimś dobrze ubranym mężczyzną, który okazał się komisarzem Neapolu. Z pewnym zadowoleniem zauważył, że ów mężczyzna szybko objechał schludnie zgromadzone oddziały, wozy i ekwipunek, a powracając skinął głową. Przydzielono Tomaszowi zbrojnego jeźdźca, po czym, razem z Juliuszem, zajęli się rozmieszczaniem ludzi.

Podczas tych czynności nie dało się pogawędzić. Kapitan Astorre pojechał na zwiady. Tego Tomasz zdołał się dowiedzieć. Notariusz zapytał go, jak przebiegła podróż i czy w Brugii wszystko w porządku, na co Tomasz odparł, że owszem i spytał, czy kapitan Astorre wciąż jest tym samym łajdakiem. Juliusz uśmiechnął się przelotnie, odpowiadając, że tak; nie będzie kłopotów z rozpoznaniem kapitana.

Popatrując na Juliusza, Tomasz zauważył w nim wyraźną zmianę. Notariusz był zawsze - jak na kancelistę - dobrze zbudowanym mężczyzną o grubych rysach, a jego twarz byłaby odpowiednia dla zawodowego żołnierza. Astorre nie jeden raz powtarzał, że nie zdziwiłoby go, gdyby wdowa pewnego dnia wzięła go sobie do łóża, a oni wszyscy zyskali pana *IO* Meester Juliuszu. Jeżeli nawet, to wdowa bez wahania wysłała go do Italii, a on pojechał bez szemrania. I jeżeli była w Brugii kobieta, która zbliżyła się do Meester Juliusza bardziej niż na odległość stołu, Tomasz jeszcze o niej nie słyssał.

Co się zatem zmieniło? Notariusz utracił pewną iskierkę zuchwalstwa, ot co. Iskierkę, dzięki której pakował się w tarapaty z Claesem i z młodym Feliksem. Być może tęsknił za nimi. Albo był zazdrosny o Claesa - o jego schludny, błękitny strój kurierski, o to, że bankierzy witają go łaskawymi skinieniami, zamiast żeby Henninc targał go za uszy. Mógł także poróżnić się z Astorrem, o co nie było trudno, zwłaszcza dla ludzi nie będących żołnierzami. A może po prostu znużył go Neapol i deszcz. Neapol i deszcz mogły okazać się nużące dla mężczyzny, którego nie zajmowały kobiety. Tomasz, który między Brugią a Neapolem przespał się co najmniej dwa razy z każdą dziewczką jadącą na wozie, współczuł Juliuszowi.

Juliusz także współczuł samemu sobie. Był znudzony Neapolem, znudzony deszczem, a najbardziej wyczerpało go trzymiesięczne towarzystwo zapalczywego Syrusa de Astariis, pokazującego mu, jak zmusić przełożonych do chodzenia na palcach, podczas gdy oczekiwali na przybycie reszty kompanii.

Podobnie jak reszta psterj armii królewskiej, grupka łuczników i konnicy Astorre'a spędziła większą część zimy w Neapolu, jeśli nie liczyć sporadycznych wypadów w celu prześledzenia nielicznych ruchów nieprzyjaciela, dowodzonego przez księcia Jana z Kalabrii i Orsiniego, księcia Taranto.

Przebywając w mieście wiedli rozmaite gwałtowne, wewnętrzne spory, nie mówiąc już o otwartych bijatykach, dzięki którym utrzymywali formę. Od czasu do czasu liczyły ich potężne osobistości, kontrolujące rozmaite wojska, walczące po stronie króla Ferrante. Żadne drugorzędne działania nie niepokoiły Astorre'a, który po prostu sam rządził swoim niewielkim oddziałem, co potrafił doskonale. Z biegiem tygodni Juliusz zdał sobie sprawę, że z utęsknieniem oczekuje powrotu Tobiasza, który miał ruszyć na południe po wyleczeniu brata Gillesa i który, jak dotąd, nie pojawił się wcale. Od trzech miesięcy.

Juliusz zrozumiał, że brak mu Tobiasza. Brakowało mu go, ponieważ Tobiasz był jedyną cywilizowaną istotą ludzką, z którą mógł rozmawiać o rodzinie Charetty. O wdowie i Feliksie. I o tym krnąbrnym, ciągle obrywającym Claesie, który powinien być tutaj, dotrzymywać mu towarzysztwa i słuchać, co ma do powiedzenia. No i czynić pewne postępy. Późnym wieczorem, w izdebce kapitana na zamku, Juliusz zasiadł wreszcie z Tomaszem i dwoma nowymi ludźmi, Godscalcem i Abramim i rzekł:

- No dobrze. Mówcie, co słyhać nowego?

- Tak też myślałem, że będziecie ciekawi - mrukał Tomasz. - Trzysta florenów miesięcznie ponad to, co ustalone. Co wy na to? - Juliusz wytrzeszczył oczy na Tomasza. - Dla strzelców - Tomasz zmarszczył brwi. - A coście myśleli? Kapitanowi przyrzeczono w umowie dziewięćset florenów. Teraz doszło nam pięćdziesięciu wyćwiczonych ludzi. Otrzymałem obietnicę od książęcego sekretarza. Dodatkowe trzysta florenów. No niech tylko kapitan usłysz.

Juliusz ostrożnie spróbował przypomnieć sobie wszystko o Tomaszu.

- Astorre będzie zachwycony. Wdowa także. To dobre wieści, Tomasz. Czy omówiliście to z Meester Tobiaszem?

Tomasz był w nastroju dość wylewnym, a tak czy inaczej, nigdy nie uważano go za człowieka podejmującego trud czytania.

- Pomógł mi Meester Godscalc - odparł. - Meester Tobiasza nie było. Juliusz utkwiał w nim oczy.

- Nie ma go w Piacenzy? Ani we Florencji? Czy brat Gilles nie opuścił Mediolanu, Tomaszu?

Tomasz wyszczerzył zęby.

- Powinniście posłuchać opowieści o bracie Gillesie! Ale nie, wyleczył się już i wyjechał podobno do Florencji. A Meester Tobiasz był w Piacenzy, bo zamówił dla nas broń. Ale nie spieszył się zbyt. Mówiono nam, że wrócił do Mediolanu dopiero pod koniec lutego - urwał.

- No i co? - ponaglił szorstko Juliusz.

Tomasz znowu się uśmiechnął.

- No i wyjechał. Do Abruzzi.

Juliusz wpatrywał się w niego. Oczyma duszy ujrzał zachodnie wybrzeże Italii, od Rzymu aż po Neapol, w którym się właśnie znajdował, czyniąc w zamku przygotowania do walki w imieniu króla Ferrante. I także oczyma duszy zobaczył drugie, wschodnie wybrzeże i odpowiedni pas ładu, zwany Abruzzi. Pas ładu budzący duże zaciekawienie, krążyły bowiem pogłoski, że zmierza w tamtą stronę wojsko Jacopa Piccinino, opłacanego obecnie przez księcia Jana z Kalabrii i mającego zamiar połączyć swe siły z księciem w przygotowaniach do bezkompromisowej napaści na Neapol.

- Po co Tobiasz pojechał do Abruzzi? - zapytał Juliusz.

Krzywy uśmiech Tomasza trwał jak przyklejony.

- O, to żadna tajemnica - odrzekł. - Przyłączył się do kapitana Lionetto. Wrócił do człowieka, u którego był, zanim przeszedł do kapitana Astorre. Niech no kapitan Astorre o tym usłyszy! Nic go nie powstrzyma. Jeżeli nie zakują go w kajdany, ruszy z gołymi rękami na hrabiego Piccinino, kapitana Lionetto i Meester Tobiasza razem wziętych.

Juliusz rozmyślał o tym przez całą bezsenną noc. Nie powinien się dziwić. Od czasu Bolonii przywykł do tego, że ludzie go zawodzą. Wiedział, że każdy troszczy się o siebie i niczego więcej nie należy oczekiwać. Nie znał Tobiasza zbyt dobrze. Zauważył, że jest popędliwy, niecierpliw i często brak mu wyrozumiałości, lecz postępuje uczciwie i wydaje trafne osady. Juliusz przyzwyczał się do jego towarzystwa w większym stopniu niż myślał. Powinien był przewidzieć, że w końcu wygra pieniądze.

Kiedy wrócił Astorre z grupką żołnierzy, okazało się, że wie już o Tobiaszu. Zbył sprawę paroma zdawkowymi przekleństwami. Bardziej zmartwiłaby go utrata koniuszego. No i mieli teraz tego Godscalca, a on był aptekarzem, czyż nie? Znał się na maściach i ranach? Co za różnica - ten medyk czy inny.

Taka reakcja była do przewidzenia u kogoś w rodzaju Astorre'a. Juliusz, który nauczył się rozumieć każde uniesienie brody i błysk krzywego oka, zauważył jednak coś więcej. Zaczekał, aż znaleźli się na osobności i wtedy zapytał:

- Co cię trapi? Czy zapowiada się już prawdziwa bitwa? Wróg w polu widzenia?

- O, nie sądzę - odparł Astorre. - Książę Jan zebrał spore siły i sprzyja mu wielu baronów w zamkach warownych, bo nie wszyscy lubią króla Ferrante. Nie jesteśmy jeszcze na tyle silni, by dokonać wypadu i ich rozgromić.

- Czy możemy pozwolić sobie na czekanie? - zapytał Juliusz. - Piccinino maszeruje już wschodnim wybrzeżem. A król Francji zebrał podobno wojska pod Lyonem, gotów przekroczyć granicę i pomóc kuzynowi Janowi.

- Może tak - rzekł Astorre - a może nie. Powiedziałbym, że ma teraz pełne ręce roboty z Anglią i Burgundią, i nie jest w stanie ot tak sobie wysłać żołnierzy do Italii. A co do hrabiego Piccinino... musi najpierw przedostać się do południowej części Abruzzi, a potem przejść całą Italię, by połączyć się tutaj z przyjaciółmi. Będzie to trudniejsze niż mu się wydaje, zwłaszcza jeżeli armia mediolańska podąży jego śladem na południe. Nie. Jeśli oczekujesz bitwy, poczekasz sobie jeszcze.

- A zatem otrzymałeś jakieś inne wiadomości? - zagadnął Juliusz.

- O, tak - odparł Astorre. - Otrzymałem. Tomaszu, chodź tu i siadaj. Meester Juliusz ciekaw jest moich nowin, więc powinien je usłyszeć. Ty też. Wtedy zdecydujesz, czy przyłączyć się do Lionetta jak Tobiasz. Wiem już, dlaczego to zrobił. Na Boga, wiem już teraz.

Tomasz wlepił oczy w Astorre'a. Juliusz, czując zupełną pustkę w głowie, także utkwiał w nim spojrzenie.

- Claes - powiedział Astorre.

- Claes okazał się szpiegiem? - spytał Juliusz bardzo powoli.

- Szpiegiem! - powtórzył Astorre. Głowy zaczęły odwracać się ku niemu. Zamiast wrzeszczeć zasypał ich gradem słów. - Może i tak. Uwierzę teraz we wszystko, co usłyszę o tym bydlaku. We wszystko. Tomaszu, jak ci się podoba myśl o pracy dla Claesa? O dopraszaniu się paru groszy na wino? Dziękowaniu za nową parę butów?

Policzki zdumionego Tomasza okrył rumieniec. Juliusz także poczerwieniał lekko, snując gwałtowne domysły. Claes, posłuszny kurier; najczęściej bity i najweselszy sługa w Brugii. Claes, który miał smykałkę do liczb i który, być może, wreszcie posłuchał jego dobrych rad.

- Czy zaczął pomagać w prowadzeniu przedsiębiorstwa? - spytał Juliusz - Czy pani przeniosła go do biura?

- Do *biura*? - ryknął Astorre. - Matko Najświętsza! Ta szalona kobieta wzięła go za *męża*!

Juliusz wybuchnął śmiechem. Śmiał się przez cały czas, kiedy Tomasz zadawał pełne niepokoju pytania, na które Astorre odpowiadał wyczerpująco i zapalczywie, kreśląc wizję czekających klęsk; od obrazy godności po niechybny upadek przedsiębiorstwa, przez co wszyscy pójdą z torbami.

Chyba że potrafia znieść fakt, iż będą wykonywali rozkazy zadufanego w sobie, młodego byczka, który posiadał, na Boga, jeden jedyny talent, 0 którym wszyscy wiedzieli, na Boga, i z którego korzystał, na Boga, by dostać to, czego przyzwoici ludzie nie mogli dostać.

Później Juliusz przypomniał sobie, że otrząsnął się na tyle, by zwrócić uwagę, że przynajmniej Tobiasz musiał wyjechać z Mediolanu z przyczyn innych niż niefortunne wesele pani, które się jeszcze wówczas nie odbyło. Lecz trzęsący się z gniewu Astorre nie chciał słuchać.

- Jeżeli był ślub, to dlatego, że musieli się gzić bez umiaru! Ten skurwysyn Claes! Może Tobiasz namówił go do tego? Może *Lionetto*? Może to *Lionetto* jest nowym kapitanem Charetych i jedzie właśnie na południe, by nas rozgromić i zaoszczędzić nowożeńcom wypłacania nam zarobków? Zabiję!

- Kogo? - chciał wiedzieć Juliusz.

- Wszystkich! - ryknął Astorre z niezwykłą logiką, po czym oddalił się i upił do tego stopnia, że wyzwał do walki najroślejszego mężczyznę, jakiego mógł znaleźć - i zwyciężył.

Uspokajanie go zajęło Juliuszowi dwa dni i powiodło się w pewnej mierze, gdyż nie minęła kapitanowi - z korzyścią dla króla Ferrante z Neapolu - tła się wewnątrz uraza, która pchała go, jak przepowiedział Tomasz, do rzucania się w pojedynek na oddziały nieprzyjaciela.

Sam Juliusz nie czuł gniewu ani zawiści, lecz narastające zadowolenie i ciekawość. Zaczęło się - jakakolwiek byłaby przyczyna, zaczęło się. I co z tego teraz wyniknie?

* * *

*

Tydzień przed tym, jak wieść o jego małżeństwie dotarła do Juliusza, Nicholas wyruszył do Mediolanu. Zostawił w Brugii dzielną niewiastę i dwie zapłakane dziewczynki. Zostawił także Gregoria, który lada chwila spodziewał się Cristoffelsa. Miał zaufanie do nich obydwu. Mogli i bez niego rozpocząć dzieło odbudowy. A za trzy-cztery dni Feliks powinien zakończyć pobyt w Genappe i szybko wrócić do matki.

W trzy dni po odjeździe Nicholas młody zarządca Cristoffels przybył z Leuven do Brugii. Nie wiedział nic o pożarze i spodziewał się, że wdowa i jej nowo poślubiony mąż wyjechali już do Dijon i Genewy. Ogłuszony wieściami o losie farbiarni, Cristoffels nie od razu odpowiedział na wyraźne pytania wdowy o syna Feliksa. Później, opanowawszy się nieco, uspokoił jej obawy. Jonkheere ma się dobrze. W Genappe z całą pewnością bawił się wyśmienicie. Po wyjeździe z Genappe odwiedził Leuven i zmienił

konie przed podróżą wraz ze służbą na południe. To jest, nie wiedząc o pożarze i związanej z tym zmianie planów matki, jonkheere Feliks wpadł na pomysł pojechania za nią i Meester Nicholasem. Do Dijon, a jeżeli tam ich nie zastanie, to wprost do Genewy.

W tym miejscu Cristoffels umilkł nie dowierając wyrazowi twarzy pani I zerknął na Gregoria, który nie udzielił mu jednak żadnej wskazówki. Pani przemówiła po chwili:

- Ciesz się, że wiem, gdzie Feliks jest. Zastanawiałam się, czy za nim nie pojechać. Ale wkrótce spotka Nicholasa i dowie się o wszystkim. Można go tu oczekiwać w przyszłym tygodniu.

Cristoffels milczał dyskretnie. Przekazał dokładnie słowa Feliksa, który zamierzał dogonić matkę i jej męża. Nie opisał wyrazu twarzy Feliksa wypowiadającego te słowa.

Sam Feliks, kierując się w stronę Dijon, pokazywał taką samą twarz służącym, którzy wskutek tego powstrzymywali się od zwykłej paplaniny i z rezygnacją poddali się posępnemu nastrojowi, który często panował w podróży, gdy jonkheere się dąsał.

Nie popasali długo w Dijon i odjechali bez matki i Claesa. Nie, Nicholasa. Tak należało o nim teraz mówić, inaczej obrywało się od młodego Feliksa. Nie dziwota, że jonkheere był w takim stanie: jego duma nie tolerowała ani słowa krytyki wobec starej, a szalał ze złości na Claesa. Nicholasa. Dobry Boże, jak można było pamiętać o nazywaniu go Nicholasem, skoro nie tak dalek jak dwa miesiące temu grywało się z nim w kości o dziewczęce podwiązki?

Feliks nie zastał matki w Dijon, musieli więc udać się do Genewy. I nie trudno zgadnąć, dlaczego. Stara chciała się pochwalić nowym mężem, a jonkheere miał zamiar jej to zepsuć. Tak to wyglądało dla kogoś, kto znał młodego Feliksa. Mały sukinsyn nie był taki zły. Prawdę mówiąc, czasami budził współczucie. W każdym razie wtedy, kiedy nie szły w ruch jego ostry język i bicz.

Była połowa maja, pora jagniąt i świeżo farbowanej zieleni, kwitnących sadów, czystych, rwących rzek, tętniących życiem leśnych ostępów. Podążający na południe Feliks nie zauważał niczego. Nocował w zajazdach, wyszukanych przez służbę i sięgał do sakiewki po pieniądze na jadło, napoje, noclegi, myta i jałmużnę, i myślał o swej matce i Claesie. Nicholasie.

Przybywszy do Genewy, zaczął rozglądać się za domem, obejściem, składami i stajniami Jaaka de Fleury, którego bratanica spółdziła Claesa ze służką.

Feliks nie znał Jaaka de Fleury ani jego żony Esoty, dla których Claes pracował w dzieciństwie. I których Claes zapragnął teraz odwiedzić,

niewątpliwie wystrojony jak lalka za pieniądze Charetych. Nie Claes, lecz Nicholas, żonaty z właścicielką kompanii i zamożny.

Wszystko bowiem wyglądało inaczej niż Feliks oczekiwał tamtego dnia w gabinecie matki, kiedy w poważnej rozmowie dwojga dorosłych ludzi pogodził się z przynależnością Nicholasa do rodzinnego grona. Nicholas nie przyłączył się do grona rodzinnego. Stał na jej czele. Nie był przyjacielem matki - był jej panem. Nicholas, sługa Feliksa, który tak omamił jego matkę, że błagała jego, Feliksa, by stanął z boku i pozwolił Nicholasowi skorzystać z życiowej możliwości! Z możliwości obnoszenia taniego tryumfu w obliczu krewnych. *Oto moja stara żona. A to jej syn, Feliks, ale nie zwracajcie na niego uwagi. Teraz ja kieruję przedsiębiorstwem.*

Podśledzał rozmowę Cristoffelsa o tym wyjeździe matki. Na początku był tak wstrząśnięty, że nie wiedział, co począć. Teraz jednak, jeżeli płakał, to z gniewu. Starł się zatrzymać swoje myśli, zanim mogło do tego dojść. Kupiec nigdy nie okazuje uczuć. Tak się dobija targu. Tak się bierze górę nad przeciwnikiem.

Gdy znaleźli właściwy dom, stróż nie chciał ich wpuścić i Feliks musiał sam pójść przodem, używając całego swego autorytetu. Jaak de Fleury mógł uważać się za wielkiego kupca i pośrednika, lecz brał sukno Charetych, kupował i sprzedawał towar tak samo jak kompania Charety. Matka Feliksa, cokolwiek by mówić, była jego szwagierką, a Feliks de Charety bynajmniej nie pragnął od niego żadnych ustępstw.

Niemniej należało wpuścić dziedzica Charetych bez dyskusji. Chyba że jego matka i Nicholas byli już w środku. Chyba że to Nicholas był przyczyną opóźnienia lub nawet odmowy...

Nie. Ktoś nadchodził. Postawny mężczyzna w wytwornej szacie z brokatu o powłóczystych rękawach, w jedwabnym, wzorzystym kubraku i wysokim kapeluszu, większym i dwukrotnie droższym niż kapelusz Feliksa. Miał złoty łańcuch na ramionach i liczne choć dyskretne ozdoby. Jego kości policzkowe lśniły niczym kragłe guzy na rękojęści mizerykordii. Tylko oczy, duże i ciemne, o gęstych rzęsach, były matowe pomimo przelotnego uśmiechu, który odsłaniał wspaniałe zęby.

- Słyszałem - rzekł Jaak de Fleury - że młody krewniak przybył w me progi. Pospieszylem natychmiast. Jestem bardzo zapracowany. Mój stół ugina się od papierów. Mam gości o wyznaczonych godzinach i wiele listów do napisania, lecz po tej wiadomości porzucam wszystko. Młody krewniak chce ze mną mówić. Jak rozumiem, wy nim jesteście?

Feliks wpatrywał się zafascynowanym wzrokiem w niezwykle zdrowe zęby mężczyzny.

- Tak - odpowiedział.

Zdrowe zęby odsłonił kolejny uśmiech, za którym krył się cien znużema.

— Tak - powtórzył Jaak de Fleury. Jego głos brzmiał zachęcająco. - Mam nadzieję, że wolno mi będzie pochwalić ten doskonały kapelusz. Doprawdy, u nas w Genewie to rzecz niezwykła, oglądać takiej urody strój. I taki wytworny krój kurtki!

Za plecami Feliksa jeden ze służących przestąpił z nogi na nogę. Było mu gorąco. Zastanawiał się, dlaczego ten człowiek trzyma ich w progu i rozmawia o strojach.

- Dziękuję, monsieur - powiedział Feliks. - Polowałem w Genappe.

Ciemne oczy spojrzały na niego baczniej. Nastąpiła krótka chwila ciszy. Później wąskie usta rozciągnęły się w dobrodusznym uśmiechu.

- W Genappe! - powiedział Jaak de Fleury - Mój młody krewniak na łowach z delfinem! Może nieco blasku spłynie także na skromną rodzinę z Genewy? A teraz powiedz, jak się nazywasz, mój chłopcze?

- Mówiłem już waszemu zarządcy - odparł Feliks. - Jestem Feliks de Charety z Brugii. Spodziewałem się, że zastanę u was moją matkę.

- Matkę! - powtórzył z rozbawieniem jego powinowaty. - A to niespodzianka! Jesteś Feliksem de Charety... oczywiście, istnieje między nami powinowactwo... przez czyjeś małżeństwo. Masz słuszność. I spodziewałeś się zastać matkę w tym domu?

- Nie ma jej tu? - zapytał Feliks. Było mu gorąco i czuł coraz silniejszą złość. Być może ten człowiek był bogaty i - na pozór - przyjazny, lecz stał nadal na dziedzińcu, upierścienioną dłonią dotykając uchylonej bramy, podczas gdy Feliks de Charety tkwił w progu, wraz ze służbą i końmi.

- Ależ skąd! - odparł de Fleury. - Nie pisała też, że przyjedzie, nieszczęsna niewiasta. Bez wątpienia potrzebuje pomocy.

- Jesteście w błędzie - powiedział Feliks. - Matka nie potrzebuje niczyjej pomocy. Po prostu wybierała się na południe z... po prostu chciała was odwiedzić.

- Drogi młodzieńcze - zaczął Jaak de Fleury tonem tak zmienionym, że Feliks zapatrzył się na niego, zapominając o urazach. - Drogi młodzieńcze, skoro spędziłeś kilka dni w Genappe czy to możliwe, że nie dotarły do ciebie wieści z Brugii? Czy nie wstąpiłeś do Brugii przed wyruszeniem na południe? Czy nie słyszałeś tej strasznej, strasznej nowiny?

- Co takiego? - spytał Feliks. Słudzy po obu jego stronach postąpili krok naprzód. Wszyscy trzej gapili się głupkowato na przepyszną postać stojącą przed nimi.

- Mój biedny, biedny chłopcze - rzekł Jaak de Fleury. - Przedsiębiorstwo Charetych przestało istnieć. Spłonęło doszczętnie w zeszłym miesiącu, w przeddzień turnieju Białego Niedźwiedzia.

I wówczas zostali zaproszeni do środka. Słudzy z końmi i bagażem zniknęli. Z bijącym sercem Feliks ruszył za Jaakiem de Fleury po schodach i przez korytarze, wpadając na kupca, gdy ów zatrzymał się, by odpowiedzieć na pytania i zostając z tyłu, kiedy obmyślał następne.

Droga pani, jego matka, oraz siostry uszły z życiem. Nikt nie zginął. Dom, obejście, towary - wszystko przepadło. Tragedia. Tragedia tym bardziej, że pani jest, wedle wszelkich danych, głęboko zadłużona z powodu paru nieostrożnych posunięć. Pan de Fleury słyszał jeszcze inne pogłoski, lecz nie chciał ich powtarzać, by nie obrazić syna damy. O jej małżeństwie z pewnym pomywaczem. Brednie te naruszały dobre imię kompanii i jej przedstawicieli.

- Lecz teraz, oczywiście, nie ma już kompanii Charetty - zakończył Jaak de Fleury, wprowadzając zadumanego gościa do bawialni i wskazując mu krzesło. - Niestety. Zatem plotki nie mają znaczenia. Wina?

- Muszę wracać - powiedział Feliks.

- Ależ naturalnie. Najpierw jednak napij się wina i odpocznij. Moja żona zaraz je przyniesie. Esoto! Esoto! Jest tutaj Feliks de Charetty, któremu niedawno spaliło się przedsiębiorstwo w Brugii. Moja żona - kupiec zwrócił się łagodnie do Feliksa - była bardzo przywiązana do twej matki. Oto i ona.

Duchem przebywając w Brugii, Feliks stał nieruchomo i bezmyślnie. Do pokoju weszła kluchowata niewiasta, blada niczym kleik wlane w długą kizkę z jedwabiu. W farbowane włosy miała wpięte wstążki. Podbiegła truchtem do Feliksa, unosząc pudrowane ramiona w fałdzistych rękawach, i objęła go. Jego nos zarył się w ciało, jak gdyby wessała go próżnia. Uwolnił się, łapiąc gwałtownie oddech.

- Feliks! - zakrzyknęła Esota de Fleury, kładąc dłonie na jego ramionach. - Sierota!

Z nowym łękiem w oczach Feliks odwrócił głowę. Jaak de Fleury uśmiechnął się kojąco.

- Esoto! Chłopiec gotów pomyśleć, że jego matka nie żyje. A ona jest zdrowa i cała. Straciła wszystko, lecz jest zdrowa.

Oczy Esoty były bystre, lecz zbyt małe w szerokiej twarzy. Nie odrywała ich od młodzieńca. Ujawszy go za rękę, poprowadziła w stronę ławy i posadziła obok siebie, trzymając oburącz jego dłoń.

- A jednak sierota! - powiedziała. - To nikczemne małżeństwo, wymuszone na Bogu ducha winnej wdowie! Czy potrafisz nam wybaczyć? Twa matka zniewolona przez pacholka z naszej kuchni!

Jaak de Fleury zastąpił małżonkę w nalewaniu gościowi wina, po czym odwrócił się i zauważył:

- To tylko pogłoski, Esoto. Nie mówmy o tym.

- To prawda - oświadczył Feliks.

Obydwoje utkwili w nim oczy. Po chwili zdał sobie z tego sprawę i wziął się w garść. Odetchnął głęboko.

- Nikt nie został zniewolony - rzekł. - Jeżeli krążą podobne plotki, byłbym wam zobowiązany, gdybyście im zaprzeczyli. Nicholas i moja matka zawarli niedawno związek małżeński wyłącznie dla dobra przedsiębiorstwa. Pomimo niskiego urodzenia Nicholas ma, zdaniem mej matki, bardzo bystry umysł i może pomóc jej w kierowaniu przedsiębiorstwem.

Kobieta puściła jego dłoń.

- Nicholas! - powtórzyła z rozbawieniem.

- Przypuszczam, że sam sobie nadał to imię - odezwał się z namysłem kupiec. - My, rzecz jasna, myślimy o nim jak o kimś z kuchni. Taki uśmiech losu nieczęsto się zdarza. Dla dobra przedsiębiorstwa, powiadasz? Zatem jest teraz jego współwłaścicielem, razem z twoją matką?

- Nie... Otrzymuje jedynie zapłatę. Otrzymywał... odtąd niewiele będzie z tego miał - powiedział Feliks. - Nie mamy już nic.

- Prócz długów - dorzucił Jaak de Fleury. Usiadł z kielichem w dłoni i przyjrzał mu się w zamyśleniu. - Chyba, że są jakieś pieniądze, o których nie wiemy. Wspomniałeś coś o bystrym umyśle.

- Są posiadłości - rzekł Feliks. - Jest Leuven. I inne lokaty. Coś z pewnością da się zrobić. Wszyscy o tym pomyślimy.

- Nie sądzisz, że gdzieś mogą być pieniądze? Gotówka? Przedmioty? Pytam o to - powiedział Jaak de Fleury - gdyż w wypadku podpalenia ktoś zazwyczaj ponosi korzyść, a tutaj najwyraźniej nikt nic nie zyskał.

- Podpalenia? - powtórzył Feliks. Jego żołądek, który uspokoił się już nieco, znowu zaczął dawać mu się we znaki. Włosy, starannie zakręcone tego ranka, oklapły pod wpływem ciepła. - Ktoś *podłożył* ogień?

- Tak powiadają - odparł kupiec. - Nie twoja matka i nie ty, co do tego nie ma wątpliwości. Może ktoś, kto żywi urazę do nowego pana? Któżby inny? Choć muszę rzec, że zastanawiałem się nad... o, słyszę jakieś głosy z dołu. To zapewne twój ojczym.

Feliks nawet nie powtórzył pytająco tego słowa. Wpatrywał się tylko w swego dręczyciela.

- Nicholas - uśmiechał się Jaak de Fleury. - Przecież *jest* twym ojczymem, prawda? Czy nie wiedziałeś, że jest w Genewie i składa wizytę w domu Francesca Neri, człowieka Medyceuszów? Ciekaw byłem, czy mogę się go spodziewać w mych skromnych progach. Po twym przybyciu, drogi chłopcze, posłałem umyślnego do Francesca, by upewnić się, że Nicholas wstąpi tutaj. Nie chciałyby chyba rozminąć się z nim. I muszę przyznać, muszę przyznać - powtórzył kupiec podnosząc się i stawiając kielich na stole

- że nie posiadam się z ciekawości. Że też po takim nieszczęściu nie pozostał w Brugii, pomagając żonie w potrzebie i korzystając ze swego bystrego umysłu, o którym tu słyszeliśmy! Co go sprowadza do Genewy? I dokąd zamierza się stąd udać? Być może jego zarobki są wysokie, lecz zapewne istnieją jakieś granice. Jakie to wszystko zajmujące.

Stał nadal, gdy otworzyły się drzwi, a Feliks także uniósł się z ławy. Jaak de Fleury uśmiechnął się do siedzącej małżonki.

- Esoto, moja droga - przemówił - pamiętasz Claesa, który jest teraz ojczymem Feliksa? Ze względu na Feliksa chciałbym, abyś przyjęła go w bawialni. Jestem pewien, że tego nie nadużyje.

Wysoki mężczyzna stojący w drzwiach wszedł do środka i Feliks ujrzał przed sobą Nicholasa, nie Claesa. Nicholasa o skórce ogorzałej od przebywania na wolnym powietrzu zamiast w parnych pomieszczeniach farbiarni. Nicholasa, odzianego nie w błękit Charettych, lecz w śmiałe brązy i zielenie bezrękawnika narzuconego na kubrak, mocne buty z cholewami oraz skórzany bandelot z mieczem w prostej pochwie. Nicholasa w miękkim berecie, naciągniętym na wilgotne, kędzierzawe włosy barwy kurzu. Mierząc komnatę, jego oczy przyjrzały się kobiecie i spoczęły na Feliksie. Feliks wyczytał w nich kilka uczuć. Ostatnim, najwyraźniejszym z nich, była troska.

- Nie jesteś zdziwiony? - spytał Feliks.

- Nie, skoro przybywasz tu prosto z Genappe - odparł Nicholas.
- Twoja matka została w Brugii.

- Słyszałem o tym - powiedział Feliks. - Dom spłonął. Co ty tutaj robisz?

- Upominam się o zwrot długów. I sprzedaję sukno - odrzekł Nicholas. Nie naśladował nikogo, nie robił min, nie żartował, nie uśmiechał się nawet. Przemawiał tak, jak zwykł mówić od chwili, gdy matka wprowadziła go w interesy. Przemawiał jak wszyscy ci okropni kupcy, z których niegdyś on sam, Feliks i Juliusz czasami stroili sobie żarty.

- Zwrot długów? Od kogo? - zapytał Feliks. Zapomniał o obecności Jaaka de Fleury i jego żony za swymi plecami.

- Od Thibaulta i Jaaka de Fleury, mam nadzieję - odparł Nicholas.

Zza pleców Feliksa odezwał się Jaak de Fleury:

- Mój drogi Claesie! Rozumiem waszą pilną potrzebę. Obawiam się jednak, że nie jesteśmy nic winni twej pani.

Nicholas spojrzął w tamtą stronę.

- Zamieniłem po drodze kilka słów z waszym zarządcą, panie de Fleury. Poprosi kancelistę o sporządzenie spisu należności. W wypadku, gdybyście nie mogli załatwić sprawy od ręki, będę prosił o potwierdzony przez notariusza dokument, ustalający wysokość długu. Przywiozłem także sukno, któreście u nas zamówili, monsieur. Moja pani przyjmie zapłatę

natychmiast. Jestem pewien, że zechcecie dołożyć wszelkich starań, by jej pomóc.

Jaak de Fleury uśmiechnął się. Światło, odbite od wydatnych/kości policzkowych, padło na jego żonę, sługę nalewającego wino i dwóch stojących przed nim młodzieńców.

- Pójdźcie - przemówił. - Siadajmy. W takich sprawach nie należy zbyt szybko spieszyć. Przede wszystkim, w Genewie trudno w tej chwili o pieniądze. Jestem doprawdy zdziwiony, że przywiozłeś sukno tu, na południe. Sądziłem raczej, że na brugijskich targach możesz uzyskać wyższą cenę. To zależy, oczywiście, od tego, na co przeznaczysz pieniądze. Lub skrypty dłużne.

- Myślałem, że to oczywiste - powiedział Nicholas. - Muszę odbudować przedsiębiorstwo.

- Naturalnie - przyznał Jaak de Fleury. - Wracasz zatem do Brugii z zebranymi pieniędzmi... moimi i bez wątpienia medycejskimi. A nie spłacone długi? Czy wrócisz po nie?

- Zostaniecie powiadomieni, monsieur, gdzie i jak uregulować należności - odparł Nicholas.

- Słyszałem, że cenisz sobie Wenecję - rzekł Jaak de Fleury. - Czy to tam mają zostać przekazane pieniądze za sukno?

- Zostaną przekazane do Brugii - oznajmił Feliks. - Jeżeli ktoś jest nam winien pieniądze, ja je zabiorę.

- Bez strażników? - zapytał Jaak de Fleury. - Zręczny Nicholas i jego zbrojni ludzie nie będą ci towarzyszyli. Mówiłeś o powrocie do Brugii, on natomiast nie wspomniał o tym ani słowem. Dowiedziałem się od Medyceuszów, że Nicholas zmierza właśnie w przeciwną stronę: na południe, do Mediolanu. A później... kto wie, gdzie znajdzie się wraz z pieniędzmi?

Nicholas poruszył się, lecz nie zamierzał siadać. Nieoczekiwanie zrobił minę, z rodzaju tych, które - jak pamiętał Feliks - towarzyszyły podejmowaniu decyzji wbrew woli. Nicholas zwrócił się do Feliksa:

- Czy powiedział, że to ja podłożyłem ogień?

- A zrobiłeś to? - spytał Feliks. Kupiec mógł mieć słuszość. Nicholas poślubił matkę, wymienił wszelkie możliwe aktywa na gotówkę, ukrył ją gdzieś, po czym zniszczył przedsiębiorstwo wraz ze wszystkimi dowodami. Nie przyznałby się do tego, gdyby zamierzał powrócić do Brugii. Lecz pewien, że umknie, mógł uczynić takie wyznanie. Wówczas Feliks gotów był go zabić.

- Nie - odparł Nicholas. - Byli inni kandydaci. Twoja matka wie o nich. Nie mogę tego dowieść, więc lepiej będzie, jeśli wrócisz od razu z pieniędzmi do Brugii. Weź moją eskortę, to Brugijczycy. Wynajmę innych.

- Nie wynajmiesz - powiedział Feliks. - Wracasz ze mną do Brugii.

Zaraz. Przywiązany do siodła, jeżeli to będzie konieczne. Pan de Fleury z pewnością mi pomoże.

Jaak de Fleury wstał i z namysłem podszedł do drzwi, gdzie odwrócił się, przesłaniając wyjście.

- Z miłą chęcią - rzekł.

Nicholas popatrzył na niego ze smutkiem.

- To niezręczne - powiedział.

- Powstrzyma cię od sztuczek, ty nikczemniku - odezwał się z gniewem Feliks.

- Nie - odparował Nicholas. - Oczywiście, odjechać nie będzie trudno, ale nie dasz rady odebrać pieniędzy i dokumentów beze mnie. Kanceliści pana de Fleury są niewątpliwie poza wszelkim podejrzeniem; miałem na myśli to, że wiem, co się nam należy i jak to sprawdzić. Czy nie dałoby się zaprowadzić mnie, choćby w ciężkich kajdanach, do miejsca, gdzie trzymane są księgi? A może ktoś mógłby je tu przynieść?

Jego głos brzmiał równie poważnie jak przed chwilą, lecz w twarzy było coś, co budziło nieufność Feliksa. Zawahał się. Jeżeli Nicholas przyjechał tu po pieniądze, to istotnie nikt nie potrafił wyciągnąć ich zręczniej niż on. Feliks musiał tylko przejąć te pieniądze i odprowadzić Nicholasa pod strażą do matki. A później zobaczy, o co chodzi z tymi tajemniczymi, ukrytymi skarbami w Wenecji. W Wenecji!

W końcu przyprowadzono do bawialni kancelistów z księgami i wniesiono stół, przy którym zasiadł Nicholas, a naprzeciwko rozbawiony Jaak de Fleury, otoczony przez pracowników. Przez następne pół godziny kupiec nie przestał okazywać rozbawienia, naznaczonego niekiedy wyraźnym znużeniem, gdy padały, jedno po drugim, uprzejme pytania i przeglądano stronę po stronie, tak że palec Nicholasa mógł wskazywać z subtelną wyrazistością dowody, iż to on ma słuszność w tym sporze. Czy raczej - w tej dyskusji. Nicholas nigdy nie wdawał się w spory. Zastrzeżenia padały ze strony kancelistów pana de Fleury, którzy od czasu do czasu zerkali na chlebobawcę, gdy okazało się, że popełnili błąd.

W takich chwilach kupiec szedł na ustępstwa. Ostatecznie wykaz należności Thibaulta i Jaaka de Fleury wobec kompanii Charety objął sumę dwukrotnie większą niż pierwotnie oszacował zarządca. Znalazło się nawet nieco srebra na poczet długu. Złożono je w szkatule razem z dokumentami podpisanymi w obecności miejskiego notariusza. Obgryzając paznokcie Feliks patrzył, jak zamykano szkatułkę. Nicholas odwrócił się ku niemu.

- Feliksie, chciałeś zabrać to do Brugii. Pojadę z tobą. Oto szkatułka i klucze. Im szybciej wrócimy, tym lepiej.

Okrągłe oczy błazna wpatrywały się w niego. Pragnął uciec od tłustych,

wyperfumowanych rąk kobiety i mrocznego, rozbawionego pojrzenia jej męża. Powiedzieli, że Nicholas wybiera się do Italii. Może nadal tak było. Kiedy znajdą się na gościńcu, nic go nie powstrzyma od odebrania Feliksowi pieniędzy i zawrócenia na południe. Towarzyszyli mu uzbrojeni ludzie.

Nicholas najwyraźniej uznał, że ma już wszystko za sobą. Że udało mu się zyskać zaufanie Feliksa. Odezwał się z uśmiechem:

- O ile sobie przypominam, chciałeś przytroczyć mnie do siodła. Pan de Fleury z pewnością ci pomoże. Mogły nawet dać ci paru swoich ludzi, jeśli nie ufasz moim. Czy jednak uważasz to za absolutną konieczność?

Jak wszyscy słudzy, był zbyt pewny siebie. Feliks słysząc to pomyślał, że te środki ostrożności można jak najprędzej wprowadzić w życie; odwrócił się więc do pana de Fleury i powiedział mu o tym. Nicholas okazał wielkie zdziwienie. Nadal miał zdziwioną minę, kiedy pan de Fleury nie tylko wyraził zgodę, lecz podjął natychmiastowe działania. Jeden ruch jego głowy sprawił, że zarządca stanął w przyjaznej pozie tuż obok Nicholasa. Pan Jaak wyszedł z komnaty wraz z kancelistami, by wezwać swych ludzi, zebrać zapasy żywności, broń i konie. Szkatułka nadal stała na stole, a więc Feliks nie opuścił bawialni. Z nadludzką cierpliwością znosił poklepującą go dłoń Esoty de Fleury.

Nicholas stał nieruchomo obok swego strażnika. Po dłuższej chwili któryś pisarczyk przyszedł po zarządcę i panią de Fleury. Miał przy sobie klucz od bawialni. Zarządca popatrzył spode łba na Nicholasa i wyszedł, lecz pani nie okazywała pośpiechu. Gestem ręki odesłała pisarczyka, a gdy się zawahał, powtórzyła ów gest z większym gniewem. Feliksowi było żal tego człowieka. Poczł nawet lekki niepokój, kiedy tamten wyszedł i zamknął drzwi od zewnątrz na klucz. Pozostawił szkatułkę, więc i Feliks został w niewygodnym dlań towarzystwie Esoty de Fleury i ojczyrna-sługi.

Czekał na powrót Jaaka de Fleury. Wydawało się, że długo nie nadchodzi. Nicholas chodził tam i z powrotem po pokoju, a Feliks go obserwował. Widział Nicholasa podchodzącego do okna i kiwającego głową komuś znajomemu na dziedzińcu, jak gdyby nie miał żadnych zmartwień. Istotnie - dopiero po chwili, gdy Nicholas zawrócił z chustką w dłoni i złożył dworny ukłon przed panią domu, coś wydało się Feliksowi dziwne i odwrócił głowę.

Wtedy jednak chustka opasywała już ciasno wydatne, umalowane usta pani, a Feliks zobaczył ramię Nicholasa zbliżające się do jego głowy wraz z masywną fłaszka w plecionym koszyku. Feliks chciał krzyknąć, lecz poczuł na ustach dużą, znajomą dłoń, pachnącą atramentem jak ręce Collineta Mansiona.

Cios przyniósł jedną niedorzeczną myśl, zanim Feliks w ogóle przestał myśleć. Jeśli jest tutaj Collinet Mansion, Claes musi być gdzieś w pobliżu.

Claes mu pomoże.

ROZDZIAŁ 32

Feliks de Charetty, który opuścił dom w połowie kwietnia udając się do Genappe na łowy z hrabią Charolais i delfinem, nie powrócił. Cała Brugia wiedziała, że chłopiec wyruszył na południe z zamiarem doświadczenia matki i młodego człowieka, który mu niegdyś zwykł towarzyszyć. Nicholasa, który ożenił się z panią.

Znaleźli się tacy, którzy uważali za dziwaczne, że Nicholas odjeżdża sobie tuż po pożarze. Choć, oczywiście, wdowa znajdowała dużą pomoc u tego pracowitego, nowego notariusza Gregoria oraz u Cristoffelsa, cenionego przez pośredników handlowych, którzy się z nim zetknęli wcześniej. Było istotnie zdumiewające, czego wszyscy dokonali w ciągu kilku tygodni, by postawić przedsiębiorstwo na nogi.

Niemniej w Marian de Charetty dało się dostrzec różnicę. Cokolwiek by myśleć o jej małżeństwie, ten młodzieniec miał głowę na karku i był pożyteczny. A teraz wyjechał - i on, i jej syn. Tkwiła w tym jakaś tajemnica. Tak czy inaczej bowiem młody Feliks odszukał Nicholasa. Dowiedział się o pożarze. Z pewnością chciał jak najszybciej wracać, by pocieszyć matkę i pomóc w zaprowadzeniu ładu. Tymczasem jednak maj dobiegł końca, był już pierwszy tydzień czerwca, a Feliks nie przyjeżdżał.

W domu przy Spangnaerts dwie dojrzewające siostry Feliksa nie widziały powodu do troski. Jak stwierdziła matka, Feliks i Nicholas mogli się minać. Być może Feliks przebył długą drogę, zanim dowiedział się o pożarze. Katarzyna z przyjemnością uczestniczyła w Majowych Targach i Procesji Krwi Świętej bez Feliksa - gdy już przeboleła utratę przedmiotów, które lubiła: sukien, najstarszych zabawek, własnoręcznie uszytej kołderki oraz szkatułki, otrzymanej w prezencie od człowieka z Gdańska.

Teraz ludzie często dawali jej prezenty, ponieważ budziła współczucie; ona zaś w zamian opowiadała im wszystko o pożarze, a zwłaszcza o najstraszniejszych chwilach. Opowieść stawała się coraz ciekawsza **w miarę jak** Katarzyna przypominała sobie różne rzeczy - i zawsze pojawiali się nowi ludzie, którzy gotowi byli posłuchać.

Tilda także wracała do równowagi, choć nieco wolniej, ponieważ przepadły na zawsze przedmioty należące niegdyś do ojca. Niekiedy też,

nocami, rozmyślała o Feliksie i przypominał się jej nóż brata oraz jego popędliwość. Miała nadzieję, że gdy się spotkają, Nicholas powie Feliksowi to, co trzeba - jak zwykle. Początkowo myślała, że Nicholas uczynił coś strasznego i nikt już nie będzie z nim rozmawiał. Później obarczyła winą matkę. Od pożaru zaś matka budziła w niej taki smutek, że przebaczyła obydwojgu. Przynajmniej po powrocie Nicholas zamieszka w tym samym domu, a matka będzie szczęśliwa.

Tyle, że ani Feliks, ani Nicholas nie powrócili aż do początków czerwca; a Tilda żywiła nadzieję, że nie będą zbyt długo zwlekali. Miała nową suknię, gdyż stare spłonęły; musiała wszyć w nią klejone płótno. Ale matka, oczywiście, nie wspominała w tej chwili o zamążpójściu, oznaczało ono bowiem posag, a w pierwszej kolejności należało postawić na nogi kompanię. I choć niekiedy matka wyglądała mizernie i przemawiała szorstko, ponieważ była bardzo zapracowana, pewnego dnia powiedziała, że wszystko jest na najlepszej drodze, zgodnie z zamierzeniami Nicholas. Tilda pomyślała wówczas, że zaraz usłyszy coś o konkurentach do jej ręki, lecz matka po prostu wstała i wyszła.

Anzelm Adorne i jego żona także mówili o Nicholasie, choć nie tak swobodnie, gdyż nie we wszystkim byli zgodni co do planu wiążącego ich z tym młodzieńcem. Poza domem jednak Anzelm spędzał wiele czasu na rozmowach, zwłaszcza w konsulacie Genui, w towarzystwie Doriów i Spinolów.

Ludzie Medyceuszów, Angelo Tani i jego zastępca Tommaso, przyjęli wysłanników wdowy i okazali daleko idącą pomoc w kwestii pożyczek oraz wyrozumiałość, gdy mowa o długach - tak jak przepowiedział Nicholas. Od czasu do czasu pytano też Jacquesa i Lorenza Strozich, co się dzieje z mediolańskim strusiem. Wieści o strusiu Lorenzo Strozzi czerpał od siostrzyczki Kateliny van Borselen. Według ostatniego listu z Bretanii struś jeszcze żył, lecz został skonfiskowany i nie można go było wsadzić na statek, dopóki nie ustalono jego sytuacji prawnej.

Gelis van Borselen, która uznała za niezbędne częste odwiedziny w Brugii i regularnie zaglądała do Hotelu Jerusalem oraz na Spangnaerts, zaprosiła Lorenza Strozzi do domu swego ojca, by przeczytać mu fragment listu Kateliny. Uważała, że Lorenzo Strozzi jest chimeryczny, lecz nie pozbawiony romantyzmu. Ponoć przysiągł, że się nie ożeni, dopóki nie będzie miał własnego przedsiębiorstwa. Gelis z niecierpliwością oczekiwała kolejnych rozmów o strusiu.

Nic nie mówiła rodzicom ani Lorenzowi o pozostałej części listu Kateliny. Był to pierwszy list z Bretanii od czasu poślubienia przez Nicholas starszej kobiety. Gdy jednak Gelis złamała pieczęć i rozłożyła list,

nie znalazła w nim nic o Nicholasie i jego małżeństwie, gdyż jej listy nie dotarły jeszcze do Kateliny. Ani niczyje inne. Któryś okręt musiał zatonać.

Będzie musiała opisać wszystko jeszcze raz. Dodając wieści o tajemniczym pożarze u Charettych i o tym, jak to Nicholas umknął na południe trzy dni potem; i o zniknięciu młodego Charetty. Nie zabito go w pojedynku (za co obwiniono by Nicholasą, jak sam zauważył), lecz po prostu wysłano dokądś z Brugii i ślad po nim zaginął. A za to, rzecz jasna, nikt nie mógł winić Nicholasą.

I pomyśleć, że podobną osobę ona i Katelina z takim trudem wyłowiły z kanału w noc zapustną. Katelina nie powinna była zabierać go do domu. Nie była przecież mężatką. Gdyby nie zachowała ostrożności, mogłaby popsuć sobie opinię i nawet Guildolf de Gruuthuse gotów rozejrzeć się za inną. Z tego, co pisała, dwór w Beratanii nie był lepszy niż gdzie indziej, a księżę Franciszek i król Francji mieli tę samą kochankę. Antoninę Jakaştam. Katelina pisała tak, jakby widywała się z nią codziennie. Prawdopodobnie owa kobieta była dla niej wytchnieniem po starej księżnej, siostrze króla Szkocji, która wydawała się równie zrzędliva co ocieżyła umysłowo i nie chciała wracać do domu po śmierci małżonka.

Katelina pisała, że na dworze jest pełno Szkotów, próbujących dobrać się do resztek posagu księżnej, który nigdy nie został wypłacony. Jordan de Riberac przybył pewnego dnia w sprawach dotyczących króla Francji, który był mu winien pieniądze i polegał na nim we wszystkim. Jordan de Riberac często jeździł nad morze i dokonywał przeglądu okrętów. Katelina pisała, że zachowała się tak, jakby go nie znała, on jednak miał czelność ucałować jej rękę i gawędzić z nią w obecności księżnej jak gdyby nigdy jej nie znieważył ani nie próbował uśmiercić Nicholasą. Katelina prosiła, by powiedzieć Nicholasowi, żeby do niej napisał.

Katelina była głupia.

Pod koniec pierwszego tygodnia czerwca przybył do Brugii posłaniec od medycejskiego zarządcy z Genewy, z dokumentami dla Angela Tani. Przywiózł także dla Marian de Charetty list od małżonka. Nicholas spieszył ją zapewnić, że wszystko jest dobrze, a Feliks bezpieczny w jego towarzystwie. Dodawał, iż ze względu na pieniądze, które wieźli, wydawało się, że najlepiej będzie, jeśli Feliks podaży wraz z nim do Italii, skąd powrócą razem. Ponadto Feliks zdobędzie nieco doświadczenia, które może mu się przydać. Dalej następowały szczegółowe informacje i trafne uwagi dotyczące spraw handlowych. Pozdrowienia na końcu były takie jak należy. Był to miły list. Marian de Charetty wywnioskowała z niego, że Feliks źle się zachował i Nicholas postanowił poradzić sobie z tym w taki właśnie sposób. Nie obawiała się o Feliksa. Niepokój, który czuła, wypływał z tego samego

źródła co u Tildy. Feliks mógł skrzywdzić kogoś, kto stał mu na przeszkodzie.

Feliks de Charetty, leżący bez przytomności nad Jeziorem Genewskim, nie był w stanie nikogo skrzywdzić, kiedy układano i pisano kolejny list do jego matki. W następnych dniach także trudno było powiedzieć, że stanowi zagrożenie dla kogokolwiek prócz samego siebie, kiedy próbował oswobodzić się od konia, do którego był przywiązany, lub wydostać go z konwoju. Głowa nadal pulsowała bólem po ciosie otrzymanym w domu Jaaka de Fleury.

Nadal nie wiedział, w jaki sposób Nicholas wyprowadził go stamtąd, a potem z Genewy. Cenna szkatułka z pieniędzmi spoczywała, rzecz jasna, w rękach Nicholasa. Otaczali go uzbrojeni ludzie, wynajęci przez Nicholasa. Dwaj słudzy Feliksa także tam byli, nieco lżej związani, gdyż - jak przypuszczał - nie mieli powodu uciekać, by wyruszyć bez grosza w powrotną drogę do domu. Od chwili, gdy odzyskał przytomność na grzbiecie cudzego konia, pędzili jak gdyby sam diabeł ich ścigał.

Jaak de Fleury z pewnością wysłał na ratunek swoich zbrojnych. Lub przynajmniej zdał się na pierwszego napotkanego oficera księcia Sabaudii. Lada chwila zostaną dopędzeni i zatrzymani.

Nie zostali. Jakiegokolwiek sztuczki użył Nicholas, nie minął ich po drodze żaden konny oddział mścicieli. Kied znużone konie potykając się ruszyły znad jeziora ku wzniesieniu wiodącemu w stronę przełęczy, Feliks zrozumiał, że nikt mu nie pomoże. Jeżeli chciał zawieźć do domu tę szkatułkę i odzyskać resztę pieniędzy Charettych, z których go ograbiono, musiał zadbać o to sam.

Tej nocy jego nowy wróg czuł się na tyle bezpiecznie by zaryzykować nocleg w oberży. Siedząc ze związanymi rękami i nogami na prowadzonym za uzdę koniu, Feliks widział jednego ze zbrojnych, wysłanego przodem, by zapowiedział ich przybycie.

Odmówił dania słowa, że nie ucieknie. Nie chciał z nikim rozmawiać. Pamiętał, że na pierwszym postoju wypłuł wino podane mu przez Nicholasa, a gdy rozwiązano mu ręce, natychmiast z tego skorzystał, by pochwycić Nicholasa za gardło. Nie odważyli się więc wprowadzić go do zajazdów. Odpoczywali i pożywali się pod gołym niebem, w bezpiecznej odległości od gościńca. Aż do tej chwili.

Feliks zastanawiał się, jak Nicholas zamierza powstrzymać go przed narobieniem zamieszania w miejscu publicznym, lecz okazało się to nader proste: został dodatkowo zakneblowany i otulony płaszczem z kapturem,

a następnie wciągnięty do środka jak gdyby był pijany. Czuł zapach jadła, węgla drzewnego i piwa; słyszał wielojęzyczną paplaninę, stukanie podkutych butów, szcęk tac i kufla. Jego stopy natrafiły na schody i przyszło mu do głowy, że mógłby odepchnąć się od nich kopniakiem; lecz nie zdążył, gdyż czyjeś silne ręce ujęły go pod ramiona i wciągnęły na górę. Przypomniał sobie Claesa podnoszonego w ten sposób. Na pokładzie flamandzkiej galery. Tuż przed wrzuceniem go do morza.

Czyżby był aż tak zawzięty? Przez cały ten czas? Czy żywił urazę i nienawiść wobec niego i Juliusza, i Jaaka, i matki?

Otworzyły się jakie drzwi, za które prowadzono Feliksa, podtrzymywanego czyjąś ręką. Drzwi się zamknęły, odcinając odgłosy z dołu; obrócono klucz w zamku. Feliks szarpnął trzymające go ramię i potrząsnął głową niczym bojowy rumak, chcąc zrzucić z niej kaptur. Jego głowę przeszył ból. Poczul na ramieniu drugą rękę. Stawiają opór zachwiał się i został popchnięty gwałtownie na niskie łożo. Potem zsunięto mu kaptur, lecz opasający usta kawałek płótna pozostał.

Nicholas stał nad nim i patrzył.

- Słyszysz, jak tu cicho? - odezwał się. - To dlatego, że drzwi są bardzo grube. Prócz tego stoją tuż za nimi moi ludzie. Szkoda więc czasu na krzyki. Potrzebuję trochę jadła i snu, i ty także. Ale najpierw chcę z tobą porozmawiać.

Od pewnego dnia nurtowało Feliksa pytanie, dlaczego Nicholas natychmiast nie zabił i jego, i służących. Chyba po prostu dlatego, że bał się pościgu. Teraz, skoro udało mu się wymknąć, będzie mógł uśmiercić Feliksa w korzystniejszych okolicznościach, być może obarczając winą kogoś innego.

Feliks nie miał ochoty rozmawiać ze swoim mordercą. Wypracowanym gestem zamknął oczy, zanim tamten skończył mówić, wysunął podbródek i wyciągnął się na łożku. Miarą wielkości kupca była jego osobista godność. Miał także nadzieję, że wygląda na znudzonego. Jego serce i płuca, dalekie od znudzenia, odmówiły współpracy.

- No cóż, jeżeli mam cię przeproszać, mógłbyś przynajmniej otworzyć oczy - powiedział Nicholas. - Czy głowa bardzo ci dokuczka?

Cisza. Skrzypnięcie zydlu. I znowu głos Nicholasa, nieco bliższy. Zadźwięczała w nim nuta pokory.

- Nie mógłbym chyba tak sobie leżeć, gdybym był na twoim miejscu - rzekł Nicholas. - Z pewnością myślisz, że zamierzam cię poćwiartować i wysłać matce po kawałeczku. Uderzyłem cię w głowę, bo musiałem cię stamtąd wydostać. Musiałem cię wydostać, bo nie mogłem pozwolić ci wracać samemu z pieniędzmi i nie mogłem też jechać z tobą. Nie mogłem

jechać z tobą, bo muszę dotrzeć do Mediolanu. Muszę dotrzeć do Mediolanu, bo twoja matka, Anzelm Adorne i wielu innych ludzi bierze udział w otoczonej najściślejszą tajemnicą transakcji handlowej, dzięki której staniesz się tak bogaty, że pożar przestanie w ogóle się liczyć. Ale tylko jeżeli uda mi się dotrzeć do Mediolanu. I jeżeli nikt obcy się o tym nie dowie. Nikt w rodzaju Jaaka de Fleury.

Feliks leżał nieruchomo. Bolała go głowa. Nicholas ciągnął:

- Skoro tyle już usłyszałeś, zdejmę knebel. Mam sztylet, Feliksie. Wiem, że cię nie przekonałem, ale nie zdołasz mnie obezwładnić. Chcę tylko, żebyś mnie wysłuchał. Potem odpowiem na każde pytanie. A jeszcze potem oddam ci sztylet. Będziesz mógł wyjść, jeśli zechcesz.

Jego dłonie uniosły głowę Feliksa, który otworzył oczy. Knebel zniknął z wyschniętych ust. Feliks poczuł mdłości i przełknął ślinę. Nicholas nalewał coś z flaszki do kielicha.

- Możesz wypluć, jeśli chcesz - powiedział - ale to dobre kandyjskie wino i potrzebujesz go. Patrz, wypięłem trochę. Teraz ty wypij zatrutą połowę.

W jego głosie zadźwięczał śmiech. Feliks się nie uśmiechał. Pociągnął łyk z pucharu, który przystawiono mu do warg. Ręce miał nadal związane.

- Teraz poczekam, aż dasz mi nóż - przemówił do Nicholas - otworzę drzwi, a twoi ludzie zabiją mnie, kiedy stąd wyjdę.

- Możesz najpierw zabić mnie - powiedział Nicholas. - No, skup się wreszcie. Ktoś cię uderzył w głowę czy co?

- Zacznę ci wierzyć - odparł Feliks - kiedy rozwiążesz mi ręce, odeślesz swoich ludzi i pozwolisz mi wezwać oberżystę, by pomógł w odwiezieniu cię pod strażą do Genewy. W Genewie będziesz mógł mówić, co zechcesz.

- Nie o monopolu na ałun - powiedział Nicholas. Miał skupione spojrzenie, a czoło zmarszczone jak zawsze w chwilach, kiedy chciał, by rozmówca o czymś pamiętał. - Jesteś znany, wiesz, że swego uporu. Nie przypominasz Jana ani Sersandersa, ani nikogo z nas. Miałem przecucie, że mógłbyś zapomnieć o tym, jak tajne są nasze plany i zacząć o nich opowiadać. Ale jesteś kupcem, chodzi o twoje przedsiębiorstwo i skoro już znalazłeś się tutaj, możesz równie dobrze jechać do Mediolanu i być przy tym do końca. Czy pamiętasz Greka z drewnianą nogą?

Kandyjskie wino było rzeczywiście dobre. Nicholas napełnił puchar i Feliks opróżnił go ponownie. Czuł ciepło w żołądku, a ból głowy zelżał. „*Czy pamiętasz...?*” Nicholas zapytał tak, jak częstokroć przedtem, kiedy wspominali jakieś wydarzenie, które on ubarwiał. Urywany ruchem barku wyczarował postać surowego, brodatego, utykającego Greka i tamtej śmiesznej sprawy. Z zatopioną armatą i królikami. Z nocą w Steen. Z popękanyimi wodociągami.

Feliks usiadł z pucharem w dłoni, wsparty o poduszki.

- Monopol na *ałun*? - powtórzył.

- Tak - Nicholas znowu usiadł na zydlu, trzymając flaszkę oburącz. Wpatrywał się w nią uważnie. Jego głupie dołki ukazały się nieoczekiwanie w policzkach i natychmiast zniknęły.

- O co chodzi? - spytał Feliks.

Nicholas podniósł oczy.

- O nic - odparł. Feliks czekał gniewnie. - To znaczy... po prostu rozmyślałem. Żałowałem, że ty nie siedzisz na moim miejscu, a ja nie jestem Feliksem de Charety.

- Synem swej matki - rzucił ze złością Feliks. Po co mówił mu właśnie teraz, że chciałby być Feliksem de Charety? Wielu ludzi chciało.

Udało mu się w każdym razie przypomnieć sukinsynowi, kto jest kim. Otwarte oczy spochmurniały i Nicholas spuścił głowę.

- To było głupie z mojej strony - rzekł. - Przepraszam. Mówiłem o *ałunie*. Widziałeś go w farbiarni. Biały proszek w beczkach. Wszyscy potrzebują go do utrwalania koloru sukna. Zmiękcza skóry i wzmacnia pergamin. Można dzięki niemu uzyskać lepsze szkło i papier.

- Wiem o tym wszystkim - powiedział Feliks.

- Nie byłem pewien, czy wiesz - odparł Nicholas. - Wiesz zatem także, skąd pochodzi. Ten gorszy z Afryki. I Hiszpanii. I zachodniego wybrzeża Italii, z wulkanicznych okolic, takich jak Lipari czy Ischia. Najlepszy zaś z bizantyjskiej i tureckiej części wybrzeża Morza Śródziemnego. Od setek lat rządzą tam Genuńczycy. Oczywiście o tym także wiesz. Od dawna przywoziły *ałun* do Brugii genueńskie statki, a sprzedają zajmowali się Adornowie i Doriowie, krewni rodów Adorno i Doria z Genui. To właśnie łączy Anzelma Adorne ze Szkocją. Antoniotto Adorno, doża Genui, odwiedził w ubiegłym stuleciu Szkocję, żądając spłaty należności za *ałun*.

- Czy dlatego próbujesz mordować Szkotów? - spytał Feliks. - Przez *ałun*?

Kupiec w żadnym wypadku nie powinien okazywać zaciekawienia podobnym wstępem do rozmowy. Porwanemu kupcowi można było wybaczyć, skoro serce tłukło mu się mocno z podniecenia.

- Kiedy skończę, sam wyciągniesz wnioski - powiedział Nicholas - A teraz posłuchaj. Musisz najpierw dowiedzieć się nieco więcej o *ałunie*. Na przykład: im jest czystszy, tym lepszy i cenniejszy. A najlepszy, o ile mi wiadomo, pochodzi ze wschodnich krańców Morza Śródziemnego. Złóża znad Morza Czarnego znajdowały się pod nadzorem genueńskich kolonii kupieckich, założonych w Caffie i Trebizondzie za zgodą cesarzy bizantyjskich. Najlepszy *ałun* na świecie wydobywany jest na południe od Konstan-

tynopola, nad Zatoką Smyrneriską, w miejscu o nazwie Fokaja. Przed prawie dwustu laty odkryli to miejsce bracia Zaccaria z Genui, wysłani wcześniej do Konstantynopola. Ale rodzina utraciła panowanie nad kopalnią, a bizantyjscy Grecy zajęli ich miejsce w Fokai i na Chios, pobliskiej wyspie, co zupełnie nie odpowiadało genueńskim kupcom. Zatem jakieś sto lat temu uzbrojona flota genueńska odbiła Chios i Fokaję, zakładając tam coś w rodzaju spółki kupieckiej z siedzibą na Chios, prowadzonej przez rodziny, a następnie spadkobierców tych kupców, którzy opłacili flotę. Między innymi ród Adorno z Genui.

- Dziękuję za lekcję - rzekł Feliks. - To się działo wieki temu, a teraz i tak siedzą tam Turcy. Cza zawarłeś umowę z Turkami?

- Adornowie to zrobili - odparł Nicholas. - I inni Genueńczycy, wydobywający ałun z kopalni na wyspie Chios. Turcy zawładnęli większością tych ziem i Ałunowa Kompania Fokajska, żeby przetrwać, musiała płacić sułtanowi dwadzieścia tysięcy złotych dukatów rocznie. Pięć lat temu Fokaja wpadła w ręce Turków, a Genueńczycy zatrzymali Chios, lecz utracili wszystkie kopalnie ałunu.

- A więc zawarłeś umowę z Turkami - stwierdził Feliks. Przypomniał sobie, że jako chłopiec uciekał z domu przed monotonnym głosem ojca opowiadającego o podobnych rzeczach. Teraz słuchając zapomniał nawet o głodzie. Handel i pieniądze. Monopol, powiedział.

- Wenecki kupiec z Konstantynopola zawarł umowę z Turkami - odrzekł Nicholas. - Miał tam farbiarnię i wiedział o ałunie. Powiadomił Turków, że może wydobywać ałun z fokajskich kopalni, jeżeli otrzyma zezwolenie. Odpowiedzieli mu, że pomyślą o tym, pod warunkiem, iż zbierze dość pieniędzy, by się wykupić. Nazywał się Bartolomeo Giorgio, czy też, jak wymawiają to Weneccjanie, Bartolomeo Zorzi. - Umilkł. Często to robił, kiedy chciał podkreślić, że powiedział coś istotnego.

Feliks po namyśle wykrzyknął:

- Grek z drewnianą nogą!

- Nicholai Giorgio de' Acciajuoli - uśmiechnął się Nicholas. - Zbierający pieniądze na okup za swego brata, Bartolomeo Giorgio. Zbierał je zwłaszcza w takich miejscach, jak Brugia i Szkocja, potrzebujących ałunu.

- Polubił cię, bo mu złamałeś nogę - powiedział Feliks. - I proponuje nam za pośrednictwem brata szczególnie tanie dostawy ałunu?

- Tak, proponuje nam tanie dostawy ałunu - odparł Nicholas. - Regularne dostawy. Wielkie zapasy ałunu, jeżeli zechcemy. A chcemy.

- Dlaczego? - spytał Feliks; a gdy Nicholas nie odpowiedział od razu, dodał: - Och, to pewnie tajemnica?

- Tajemnica? - powtórzył Nicholas. - To korzystny interes, który

przyniesie krocie tobie i twojej matce. Jeżeli powiesz o tym jednej osobie... choćby *jednej*... twoja matka straci wszystko i zostaną jej same ochłapy. Powiem ci, w czym rzecz, ale musisz zrozumieć, co to znaczy.

- W zamian za moje milczenie. O, wiem, co to znaczy - powiedział Feliks. Gdyby tylko Nicholas odwrócił od niego oczy!

Nie odwracając oczu Nicholas ciągnął:

- Kiedy wrócisz do Brugii, Gregorio, twoja matka i Anzelm Adorne potwierdzą, że to, co ci mówię, jest prawdą. W Mediolanie pomagał mi Meester Tobie.

- Tobie? - spytał Feliks.

- Medyk. Dlatego, że zna się na ziołach. I dlatego, że Acciajuoli i Adorno znają ludzi, którzy pracowali w fokajskich kopalniach ałunu, a Tobie miał wymówkę, by znaleźć się w Italii, gdzie mógł rozejrzeć się i porozmawiać z nimi... Posłuchaj mnie, Feliksie. Nikt jeszcze o tym nie wie, ale pewne wzgórza na północ od Rzymu kryją olbrzymie złoża doskonałego ałunu. Najlepszego na świecie. Lepszego niż ałun z Fokai.

Feliks poczuł, że coś wzbiera w jego sercu. Głos miał ochrypły. Zapytał:

- Tobiasz kupuje je dla nas? Na to potrzebne są pieniądze?

Nicholas spuścił oczy.

- Feliksie, nikt nie może kupić tych złóż, ponieważ leżą na terenie Stanów Papieskich. Właściciele tych ziem są lennikami papieża. Gdy tylko rozejdzie się wieść o odkryciu, papież wykupi prawa i wydierżawi kopalnię, czerpiąc z niej zyski. A zyski będą ogromne. Wystarczające, aby wysłać nową krucjatę.

- Ale jeżeli to ty odkryłeś złoża, papież Pius zapłaci tobie. Nam. Tobiaszowi.

- Z pewnością - powiedział Nicholas. - Ale to wszystko. Kto inny zajmie się wydobywaniem. Przedsiębiorstwo Charetych nie ma na to środków. Nie miało ich nawet przed pożarem. A kiedy kopalnie zaczną działać, papież zyska monopol na ałun.

- Nie - zaproponował Feliks. - Sam to powiedziałeś. Bartolomeo Zorzi wydobywa ałun w Fokai. Dla Wenecji, płacąc haracz Turkom.

- To prawda - przyznał Nicholas. - I przypuszczam, że niektórzy chrześcijanie, na przykład wszyscy kupcy z Brugii, Genui i Florencji, dali się zwieść kupując towar od niego. Gdy jednak papieski ałun pojawi się na rynku, który wierny wyznawca Krzyża zechce kupować od Półksiężycy? Zwłaszcza jeżeli papieskiemu ałunowi towarzyszyć będzie odpuszczenie grzechów, a tureckiemu ekskomunika. Ceny także pójdą w górę.

- I co? - spytał ochoczo Feliks. *Co to za gra? Co to za heca?* pytał w myślach sam siebie. Życie składało się z przygód. Życie polegało na

podejmowaiu ryzyka, przyjmowaniu propozycji, czerpaniu zysków. Życia nie można było spędzać w domu z matką.

- Zatailiśmy odkrycie nowych papieskich kopalni ałunu - powiedział łagodnie Nicholas. - A Wenecjanie zapłacą nam za to. Będziemy dostawali tyle ałunu, ile zechcemy, jak długo zechcemy i po bardzo korzystnych cenach. Chyba że odkrycia dokona ktoś inny. To może potrwać dwa lata i przynieść nam zapasy ałunu, które przydadzą się, kiedy ceny zaczną rosnać.

Feliks zamyślił się. Uświadomił sobie, że myśli od dłuższej chwili. Serce biło mu mocno. Zauważył, że Nicholas przygląda mu się z lekkim uśmiechem.

- Dłatego jedziesz do Mediolanu? - zapytał Feliks.

- Jadę także jako kurier - odparł Nicholas. - Muszę dostarczyć i odebrać kilka przesyłek, za co otrzymam zapłatę. Ale... tak. Tobie przesłał mi próbki. Widział je Adorne i twoja matka. Teraz muszę porozmawiać z Wenecjanami. Nie z Florentyńczykami, którzy natychmiast ujawniliby papieskie kopalnie i sami zaczęli wydobywać surowiec. Właśnie z Wenecjanami, którzy sprawują nadzór nad ałunem fokajskim.

- I dlatego ulokowałeś pieniądze w Wenecji? - spytał Feliks sennie.

- Częściowo - odrzekł Nicholas. - Kiedy zaczynałem, nie wiedziałem, że sprawy tak się potoczą. I że pozostanę w Brugii.

- Chciałeś wyjechać? - mruknął Feliks.

- Wydalono mnie - powiedział Nicholas. - Za niewłaściwe zachowanie. Na pewno pamiętasz.

- Ale ty wróciłeś i ożeniłeś się z moją matką - stwierdził Feliks.

Rozmawiali jak mężczyzna z mężczyzną. Feliks myślał przez chwilę, że Nicholas odpowie mu teraz jak mężczyzna mężczyźnie. Lecz on, choć się zawahał, odpowiedział tylko: „Tak”.

Później nastąpiły kolejne pytania i odpowiedzi. W trakcie rozmowy Nicholas rozwiązał Feliksowi ręce. Zjedli przyniesiony posiłek. Pośleli łoża, wystarczająco obszerne, by pomieścić pięć osób. Wtedy Nicholas powiedział:

- Kazałem uwolnić dwóch twoich ludzi i powiedzieć im, że postanowiłeś jechać do Mediolanu z własnej woli, lecz jeśli w to wątpią, mogą przyjść i porozmawiać z tobą. Widocznie poszli spać nie kłopotując się tym. Czy postąpiłem słusznie?

- Chyba tak - odparł Feliks. Jadło, ciepło, wino i senność sprawiły, że słowa przychodziły mu z jakimś trudem. - Miałeś oddać mi swój sztylet.

- Zapomniałem - rzekł Nicholas. - Masz. Którą stronę łóżka wybierasz?

Ale Feliks leżał już w łóżku i nie odpowiedział na pytanie, choć myślał, że to zrobił.

ROZDZIAŁ 33

Tym razem okiennice Mediolanu nie otwierały się na powitanie kawalkady przedstawicieli Charettych. Po pierwsze, było zbyt upalnie. Po drugie, współzawodniczący kapitanowie przeważnie dawno już wyjechali, każdy w stronę swego pola bitwy: jedni na południe, do Neapolu, inni pospiesznie na wschód za wyklętym hrabią Piccinino.

Na tych, którzy nie byli kapitanami, nie wywarł wrażenia widok młodego kupieckiego syna i jego faktora, pomimo licznej eskorty. Feliks został natychmiast wpuszczony do miasta przez Porta Vercellina i zyczliwie powitany w oberży pod Kapeluszem dzięki glejtom, które miał Nicholas, opatrzonym zawiłymi podpisami Medyceuszów i wielmoży burgundzkich.

Feliks jednak nie miał o tym pojęcia. Przez siedem dni jechał u boku Nicholasa, rozmawiając o interesach jak dojrzały mężczyzna ze swym zarządcą. Na pytania Feliksa Nicholas udzielał długich, wyczerpujących odpowiedzi, które bynajmniej nie były nudne. Rozmawiali o Hennincu i Bellobrasie, o Gregorciu i Cristoffelsie z Leuven. Nicholas wielokrotnie pytał Feliksa o zdanie. Od czasu do czasu Nicholas, któremu zależało na tym, by Feliks zrozumiał wszelkie mające się odbyć negocjacje, ponawiał irytujące próby nauki włoskiego.

W sporach z Nicholasem pojawiały się u Feliksa echa matczynych diatryb i dociekań wraz z ojcowską niecierpliwością. Nicholas nie zachowywał się uniżenie, lecz wpadał w taki sam rozsądny, rzeczowy ton, jakim zazwyczaj Juliusz przemawiał do swej chlebobawczyni. Feliks pochwalał to. Wstyd, gniew i lęk odczuwany w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zaczęły częściowo zanikać.

W Mediolanie, gdzie zamiast powietrza wdychano murowy i ceglany pył, Nicholas miał odwiedzić cztery miejsca jako przedstawiciel kompanii Charetty, a Feliks mógł towarzyszyć mu podczas każdej wizyty, gdy wyraził taką chęć. Feliks wyraził taką chęć - kiedy wreszcie zzuł buty, rozpiął kubrak, napił się wina i miał przed sobą całonocny odpoczynek. Rzucił się na łóżko w gospodzie, pozostawiając Nicholasowi troskę o jedzenie i towarzyszących im ludzi.

Nicholas, wciąż w butach, z zadowoloną miną powiedział, że zaplanuje

wszystko na jutrzejszy dzień. Tymczasem zaś, czy Feliks nie chciałby być przy dostarczaniu przesyłek? Znużenie walczyło z resztkami podejrzliwości i zwyciężyło.

- Zrób to sam - mruknął Feliks i niemal od razu zapadł w sen. Obudził się o świcie; Nicholas spał smacznie na zapasowym łóżku i nie dało się go dobudzić. Na skrzyni, obok kapiącej świecy, stał zimny, na pół zjedzony posiłek. Feliks rozgrzebał go, od czasu do czasu upuszczając coś na ziemię, gdy jednak Nicholas nadal nie chciał otworzyć oczu, wino zaś okazało się doskonałe, Feliks postanowił wrócić z butelką do łóżka. W końcu musiał się wyspać przed jutrzejszymi spotkaniami. Dzisiejszymi.

Tego samego dnia przed południem Cicco Simonetta, głowa kancelarii dworu mediolańskiego, mógłby poczuć się zaniepokojony faktem, iż rozprawia o przedsiębiorstwie Charettych z osiemnastolatkiem o ostrych rysach, znającym jego język w stopniu wysoce niezadowolającym, gdyby nie otrzymał przedtem wystarczającego ostrzeżenia. Ponieważ je otrzymał, obliczono gładko wymagane płatności za nową condottę i niezbędne dokumenty przeszły z rąk do rąk. Jakie papiery przeszły z rąk do rąk poprzedniej nocy, po dostarczeniu ustnych i pisemnych sprawozdań - o tym nie wspomniano.

Messer Cicco, choć zapracowany, usposobiony był przyjaźnie. Ciekawiło go wszystko, co Feliks miał do powiedzenia o swym ostatnim pobycie w Genappe. Zapytał Feliksa, czy spotkał może w Genewie szambelana delfina, Gastona du Lyon. Zaprzeczenie Feliksa zderzyło się, ku jego zaskoczeniu, z twierdzącą odpowiedzią Nicholasa, który nie tylko znał tego człowieka, lecz zawdzięczał mu to i owo.

Później dołączył do nich inny przedstawiciel książęcego rodu - Messer Prosper Schiaffino de Camulio de'Medici, prawa ręka księcia (jak orzekł z uśmiechem Messer Cicco) w misjach dyplomatycznych we Francji. Rozmawiali o obronie królestwa Neapolu (w której brał udział dzielny kapitan Astorre) i rosnących nadziejach, że Francja i Sabaudia nie będą w stanie dotrzymać obietnic i nieprzyjacielowi zabraknie pieniędzy i żołnierzy.

Feliks napomknął o bogatych zbrojach i ekwipunku oddziału Charetty oraz o biegu kapitana Astorre, swego sekretarza Juliusza i medyka Tobiasza Beventini z Grado.

Cicco Simonetta di Calabria, który nie zdołał zapamiętać wszystkiego, rzekł, że pomoc Messer Tobiasza w sprawie Lionetta godna była najwyższego uznania.

Feliks, spowity w płótno i napuszone słowa niczym mumia egipska w bandażu, nie mógł już siedzieć bardziej sztywno. Powtórzył jednak: „Lionetto!” - tonem pełnym niepokoju i zdumienia.

- Messer Tobiaszowi, który znał kapitana Lionetto od dawna - zaczął Nicholas - Jego Świątobliwość powierzył mijsę nakłonienia kapitana, by porzucił nikczemne oddziały hrabiego Giacomo Piccinino i przeszedł na naszą stronę. Misja się powiodła. Kapitan Lionetto zmienił zdanie. Opuścił hrabiego Piccinino i w tej chwili towarzyszy hrabiemu Urbino.

- Nie wspomniałeś o tym - wtrącił Feliks. - A Tobiasz?

Messer Cicco, unosząc dłonie omdlewającym gestem, odpowiedział za Nicholasa:

- Obawiam się, że dzielny doktor utracił sposobność walki za Neapol. O ile znam pana z Urbino, zatrzyma waszego Meser Tobiasza na swoje usługi. Jeżeli tak, otrzymacie zapłatę umożliwiającą wynajęcie innego medyka. Tymczasem zaś wasze zasługi nie pójdą w zapomnienie. Czy przystąpiacie do wojny, Messer Feliksie?

Messer Feliks oblał się rumieńcem.

- Niczego bardziej nie pragnę - odparł.

- Odwaga godna pochwały - rzekł Cicco Simonetta. - I winniśmy to uszanować. Odbyliście długą podróż i być może pragniecie odświeżyć swe umiejętności? Z radością powitam was na naszym dziedzińcu, a nasi mistrzowie podejmą się wszelkich ćwiczeń. Niccoló, nasz plotkarz, wie, czego potrafimy nauczyć.

Nicholas (Niccoló?) nie musiał wyjaśniać Feliksowi, co potrafia mediolańscy mistrzowie. Pochłonięty zawieraniem umów słyszał Nicholasa, pokornie zgadzającego się w imieniu ich obydwu na spędzenie wieczoru z Messer Prosperem de Camulio de' Medici. Był zły na Nicholasa. Nicholas powinien był powiedzieć mu o doktorze. Jednocześnie zaś kanclerz księcia wydawał się zadowolony. Wieczór w towarzystwie książęcego ambasadora mógł okazać się nudny, lecz interes to interes. Feliks miał nadzieję, że przekupki trzymają stragany otwarte do późna. Czasami w nowo poznanym mieście można było kupić listy adresów. Gdy jednak wspomniał o tym Nicholasi, ten zaczął się tylko śmiać, choć nie powiedział dlaczego.

W towarzystwie Nicholasa Feliks opuścił Arengo i wyszedł prosto w piekące mediolańskie słońce. Zapomniał chwilowo o skargach. W Mediolanie wszystko było wielkie. Feliks ujrzał przed sobą największy kościół, jaki widział w życiu. Był w połowie wzniesiony i otoczony rusztowaniami, po których uwijali się murarze o brązowych plecach i w przepaskach na biodrach. Skakali z deski na deskę jak mewy na Żurawiu w Brugii. Trzeba było uważać, na wypadek gdyby koło linowe ugrzęzło i wiadro zostało przedwcześnie opróżnione. Stukot młotków dobiegał, jak twierdził Nicholas, z warsztatów, do których dostarczano marmur.

Feliks chciał obejrzeć cuda Pałacu Medycejskiego, do którego mieli udać

się w drugiej kolejności. Założył barwione pończochy i najlepszą tunikę koloru żółtego, a ponadto kupił tego ranka słomkowy kapelusz, by chronić twarz przed słońcem. Niecierpliwie oczekiwał spotkania z braćmi Tommasa, którym Tommaso zazdrościł, a którym Feliks miał od niechcenia powierzyć szkatułkę ze srebrem i wekslami, do przekazania Tommasowi w Brugii.

Po drodze do pałacu Nicholas wstąpił do notariusza i wyniósł trzy paczki papierów, za które zapłacił srebrem. Później zaprowadził Feliksa do gospody w pobliżu Piazza Mercanti i zamówił wino, sam zaś otworzył paczki i przejrzał zawartość. Okazało się, że papiery zawierają dwa komplety weksli, dostarczonych przez Jaaka de Fleury, dokładnie skopiowanych i potwierdzonych. Jedna kopia była dla nich. Druga miała znaleźć się u Maffina, agenta Fleurych w Mediolanie, by ułatwić przyszłą wymianę. Oryginały zabierali teraz, by sprzedać je Medyceuszom za pośrednictwem Pigella Portinari.

- *Sprzedać?* - upewnił się Feliks.

Nicholas ponownie spakował papiery, jak gdyby nieświadom faktu, że powiedział coś godnego uwagi.

- No cóż, to najlepszy sposób odzyskania naszych pieniędzy - zauważył.

- A przynajmniej Monsieur Jaak to odczuje. Być może masz ochotę wlec się co pół roku do Genewy i próbować je odebrać, ale nie sądzę, by było warto. Lepiej pozwolić Medyceuszom wycisnąć srebro z Jaaka de Fleury poprzez ich filię w Genewie.

Feliks wytrzeszczył oczy.

- Dlaczego Medyceusze mieliby tak postąpić? - zapytał.

Nicholas odłożył sprawunki i skinał na oberżystę.

- Zawsze tak postępują. Ściąganie długów to ich specjalność. Dokładnie tak samo obchodzą się z bullami papieskimi. Tak czy inaczej, mają mi coś do zawdzięczenia. Ułożyłem dla nich szyfr, którego nikt na świecie nie odczyta. Nawet ja sam.

Feliks nie odrywał od niego oczu.

- Chcesz powiedzieć, że Medyceusze wypłacą ci wszystkie pieniądze, które jest nam winien Jaak de Fleury?

- No, wszystkie, do których się przyznał - odparł Nicholas. - Przecież po to tu jesteśmy, czy nie? Żeby zgromadzić pieniądze na odbudowę twojego przedsiębiorstwa. Dlatego nie mogłem wracać od razu do Brugii.

- Myślałem, że to z powodu...

- Tak. Dlatego także. Ale nie myśl głośno - przerwał mu Nicholas.

- Chodźmy. Pigello i Accerito czekają na ciebie.

Palazzo Medici okazał się długą, niską budowlą z rzędem wymyślnych

okien nad czymś w rodzaju muru obronnego z ciosanych kamieni. Feliks myślał, że dostaną wina, włoskim obyczajem, z dużego miedzianego dzbana stojącego w cieniu portyku; lecz portyk był dopiero w budowie, a wino i tak zamieniłoby się w galareteę.

Wyszedł do nich Pigello Portinari, o takim samym nosie jak Tommaso, lecz wypchany i opakowany w zupełnie innym sklepie, co prawdopodobnie następowało w wypadku, gdy ktoś był dostawcą i finansistą książęcego dworu. Miał spadziste czoło i worki pod oczyma. Wydawał się łysy jak doktor Tobiasz, lecz czubek jego głowy przykrywała okrągła czapeczka. Miał na sobie, prócz koszuli i pończoch, krótką tunikę, gdyż było gorąco. Obniżony pas maskował obfity brzuch smakosza. Feliks poczuł doń dużą sympatię.

Także i Messer Pigello był zachwycony, że Messer Feliks zaszczycił go osobiście; zaprowadził ich obu do swego gabinetu. Na stole miał już przygotowaną szkatułkę ze srebrem od pana de Fleury, którą Niccoló przyniósł mu wczoraj wieczorem na przechowanie, a teraz Messer Feliks miał sam sprawdzić jej zawartość. Miał jeszcze kilka dodatkowych weksli z kancelarii książęcej. Czy to o tych dokumentach mówił Niccoló?

Feliks zauważył, że Messer Pigello używa liczb arabskich, dodając je szybko na skrawku papieru; to samo czynił Nicholas, sprawdzając rachunki. Na wekslach widniały sumy podane w statecznych rzymskich cyfrach, trudniejszych do przeinaczenia. W pewnej chwili wszedł Accerito, drugi z braci, a Feliks ucieszył się, że może przestać udawać, iż on także dokonuje obliczeń - i pograżyć się w lekkiej rozmowie. I tak widział już dosyć. Cokolwiek jeszcze mogło się dziać, Nicholas nie oszukiwał go. Czynił go bogatym.

Nie siedzieli długo: tyle, by zakończyć transakcję i zjeść kilka kandyzowanych orzechów oraz wypić nieco nadzwyczajnego wina, podawanego w ciężkich pucharach, przypominających od zewnątrz czaszki pomarańczy. Messer Pigello, kłaniając się Feliksowi i Nicholasowi, wygłosił zręczne pochlebstwo odnośnie małżeństwa pani de Charetty i zauważył, że wbrew smutnym wieściom o pożarze, kompania będzie rosła w siłę pod tak mądrymi rządami.

Wiadomości rozchodziły się szybko. Temat tak bolesny w rodzinnym mieście, tutaj, w otoczeniu ludzi interesu, utracił wagę. Feliks skinął głową, a Nicholas zaledwie zdążył podziękować, kiedy rozmowa zeszła na inne tory.

Feliks przypomniał sobie potem, że usiłował śledzić przyjacielską wymianę zdań na temat wschodnich rynków jedwabniczych. Ponieważ jedwab chiński niełatwo było zdobyć, Konstantynopol usilnie poszukiwał jedwabiu na sprzedaż. Spółki z Chios mogły sprzedać go wszędzie. Konsul

florencki w Trebizondzie mógł zyskać na tym majątek. Z tego wszystkiego Feliks rozumiał zaledwie połowę. Mimo to jednak ludzie bliscy zyskania majątku zawsze budzili w Feliksie ciepłe uczucia. Oczywiście florency Medyceusze posiadali *botteghe* jedwabniczy. Marco Parenti, żonaty z siostrą Strozzych, był kupcem jedwabnym. Podobnie rodzina Bianchi z Florencji.

Nazwiska, których Nicholas wcześniej nie wymieniał, nic na razie nie znaczyły dla Feliksa. Słuchał, lecz równie chętnie zwiedził w towarzystwie Messer Accerita na pół ukończony pałac. Powrócił głęboko poruszony malowidłami na ścianach i suficie, marmurowymi posadzkami i tym, że nikt nie zwracał na to wszystko uwagi. Zastał Nicholasa gotowego już do odejścia i uśmiechającego się do Messer Pigella. Dołki w jego policzkach zaznaczały się niczym guziki.

- Cóż za niespodzianka! - rzekł Nicholas. - Księżę napomknął mi nawet o tym. Nie wiedzieliście, że chce mieć tresowanego strusia?

- Nie, póki nie otrzymałem wieści od Tommasa - odparł Pigello.

- Najwyraźniej trzeba było posłać aż do Hiszpanii po to zwierzę.

- Ptaka - wtrącił Feliks. Przeniósł spojrzenie z Nicholasa na Pigella.

- I nastąpiło pewne opóźnienie w dostarczeniu go.

- Okręt się rozbił - powiedział Nicholas. - Sprawa jest, niestety, przedmiotem sporu. Ale ptak, o ile mi wiadomo, żyje i ma się dobrze.

Nie wydawało się, by Pigello Portinari był głęboko przejęty.

- Jestem pewien - rzekł - że Messer Strozzi i mój brat zdołają w jakiś sposób sprowadzić go do Mediolanu. Oczywiście każda pomoc w tej sprawie będzie przyjęta z wdzięcznością.

- Dziękuję za zaufanie - odparł Nicholas - ale mam teraz pełne ręce roboty. No i za nic nie chciałbym pozbawić Messer Tommasa zasłużonego tryumfu. Struś, zdrow i cały w Brugii, gotów do odpłynięcia w charakterze daru księcia Filipa dla księcia Francesco. To będzie duże osiągnięcie.

Kiedy znaleźli się na *via dei Bossi*, Feliks zaczął:

- Struś...

- Tak? - Nicholas w podskokach przemykał między spoconymi ludźmi, a na widok ładnej dziewczyny wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Medyceusze w ogóle nie słyszeli o strusiu - ciągnął Feliks. - Messer Cicco nie wspomniał o tym ani słowem.

- Nie - przyznał Nicholas zza placów Feliksa. Wynurzył się od strony straganu, trzymając trzy pomarańcze, którymi zaczął żonglować, rozpraszając po drodze najrozmaitsze grupy kumoszek, dobrze ubranych wielmożów i kupców, zapalczywych mężczyzn w sutannach, służących, robotników, kramarzy i dzieci. Dwaj mężczyźni grający w szachy na balkonie spojrzeli w dół, gdy pomarańcza przeleciał im koło uszu i spadła.

- Ale w liście, który dostarczyłeś Tommasowi, była mowa, że książę chce strusia - powiedział Feliks.

- Tak - zgodził się Nicholas. Biegły już za nim trzy psy i kilkoro dzieci.

- A więc wymyśliłeś to sobie? - dopytywał się Feliks. - Wymyśliłeś to wszystko? Nikt nie potrzebuje strusia?

- Skądże - odparł Nicholas. - Ja go potrzebuję. I Tommaso. I Lorenzo. A gdy Kancelaria dowie się o tym, książę także będzie chciał go mieć. Gdyby nikt go nie zechciał, oddamy go jako fant na loterię, tak jak twojego jeżozwierza. Przywiązany go do wodnego koła i będziemy patrzyli jak połyka wiadra. Zaprzężemy przy Żurawiu. Będzie bagrował kanały. Winrik może chować w nim pieniądze. Każdy powinien mieć strusia. Albo pomarańczę. Łap!

Nie złapał i owoc wpadł do fontanny, którą właśnie mijali, a woda ochlapała Feliksowi nos.

Nie miał nic przeciwko temu. Przez chwilę - jak długą? - był z nim znowu Claes.

Lecz to Nicholas - nie Claes towarzyszył Feliksowi tego wieczoru w domu Prospera de Camulio de' Medici.

Powiał właśnie silny wiatr, który sprawił, że pomimo kurzu przyjemnie było kroczyć wąskimi uliczkami w cieniu czerwonych okapów i balkonów, pomiędzy krętymi schodami, na których stały donice z barwnymi kwiatami. Jerzyki zataczały kręgi nad głowami ludzi, rojne niczym komary, a kiedy pikowały, ich daleki świergot zamieniał się w cienki, wibrujący gwizd. Dom Messer Camulia znajdował się w południowej części miasta, niedaleko wewnętrznego, opasującego je kanału. Pomiędzy tym a drugim pierścieniem wznosiło się kilka ważnych świątyń i hospicjów, rozmieszczonych nad specjalnymi odnogami kanałów, umożliwiającymi barkom dopływanie niemal do serca miasta. Bracia Portinari wspierali dwie z owych świątyń, w zamian korzystając z łask.

Handel. Bogactwo. Sława. W świetnym humorze i pełen ufności Feliks de Charetty przemierzał brukowane ulice u boku Nicholasa, słuchającego z uwagą dokładnej opowieści Feliksa o popołudniu spędzonym na książęcym dziedzińcu na pół odbudowanego Castello z książęcym mistrzem sztuki rycerskiej.

Później znaleźli się w Casa Camulio, budowli z tarczą herbową nad bramą i niewielkim, ciepłym, zalanym blaskiem słońca dziedzińcem wewnętrznym, otoczonym kolumnami i podcieniami. Tam właśnie - jako że słońce już tak nie przypiekało - zostali zaproszeni przez Prospera de

Camulio, by spojczyli przy fontannie. Towarzyszył mu tylko jeden człowiek. Czterej mężczyźni, bez niewiast, jedli i rozmawiali. Grupka mężczyzn przyciszonymi głosami rozmawiała o pieniądzach.

Prosper de Camulio de' Medici, mężczyzna trzydziestoparoletni, odznaczał się stylem, który Feliks zaczął postrzegać jako styl dyplomatów i polityków. Był lekko odziany w płócienną koszulę i tunikę z delikatnej materii, a przepasany jedwabną szarfą z wyhaftowanymi fiołkami, pochodzącą z pewnością z Francji. Towarzyszył mu Genuńczyk nazwiskiem Toma Adorno. Camulio i Adorno. Feliks wiedział, co ich łączy, gdyż powiadomił go o tym Nicholas.

Toma Adorno był niskim, krępyim mężczyzną w średnim wieku, a jego jasne włosy spłwiowały niczym blade wodorosty pod słońcem Lewantu. Nie miał w sobie ani krzty smukłego, zagadkowego uroku Anzelma Adorne; a jednak (jak powiedział Nicholas) musiało istnieć pokrewieństwo między nim i Anzelmem.

Zasiedziały od tak dawna w Brugii, szanowany i przepysznie flamandzki ród Adorne nie musiał szukać innych korzeni. Sześć pokoleń wstecz jednak (według Nicholasa) kupieccy przodkowie Adornów, utraciwszy Akkon, musieli opuścić Ziemię Świętą. Jedni udali się do Flandrii, inni zaś do rodzinnej Genui. Jeszcze wcześniej wprawni żeglarze i kupcy z rybackiej osady Camoglio niedaleko Genui zaczęli osiedlać się na terenach genueńskich kolonii, a pewien Vivaldo de Camulio prowadził sprzedaż sukna w Bizancjum.

Cztery pokolenia wstecz, za czasów pradziadka Anzelma z Brugii, Gabriel Adorno został pierwszym w rodzinie dożą Genui, a jego krewni i znajomi kupcy opanowali wyspę Chios i wydobyć ałunu w Fokai. W ciągu kilku lat zamieszkał także na Chios niejaki Niccolò de Camulio. W późniejszym okresie rodzina ta miała połączyć się przez małżeństwo (jak twierdził Nicholas) ze spadkobiercami Antonia de' Medici, a z tego związku zrodził się Niccolò de Camulio de' Medici, notariusz miasta Genui, zajmujący się także ustalaniem przywilejów i wpływów z Fokai i Chios. Z tej samej linii pochodził Prosper de Camulio, goszczący Feliksa i Nicholasa.

Obecnie fokajskie kopalnie ałunu znajdowały się w rękach Turków, lecz na Chios nadal rządili Genueńczycy, a wśród genueńskich kupców na wyspie byli: Baldassare, Paulo, Raffaele, Niccolò Giuliano i Toma Adorno.

W tych dniach Francuzi zajęli Genuę. Ale wśród wygnanych Genueńczyków, żywo zaciekawionych sytuacją na Chios, był Prosper Adorno, hrabia Rendy, pan Ovada i Ronciglioni, człowiek o najmocniejszych podstawach, by zostać następnym dożą genueńskim. Toma był jego kuzynem, a on sam był dalekim krewnym Anzelma Adorne. Od dawna

darzył przyjaźnią i poparciem Prospera de Camulio i nosił to samo chrześcijańskie imię. Wśród genueńskich buntowników był pierwszym popieranym sekretnie przez księcia Mediolanu, jako że książę także pragnął wypędzenia Francuzów z Genui.

Był także człowiekiem, którego posiadłość odwiedził niedawno doktor Tobiasz, by omówić - według Nicholasa - nader ciekawą kwestię ałunu.

Ałun łączył Tomę Adorno z Camuliem. Ałun i polityka państwowa w wymiarze, który budził w Feliksie lęk i podniecenie. Podniecenie wywoływała perspektywa bogactw. Lęk pojawiał się wówczas, gdy patrzył na Nicholasa i przyznawał od czasu do czasu przed sobą samym, że jest tu coś, czego nie pojmuje.

.Lęk ów i nikła znajomość włoskiego kazały też Feliksowi siedzieć cicho, podczas gdy inni mówili. Nie była to towarzyska pogawędka. Niepokojący wydawał się w niej pewien cień urazy. Nicholas pozornie nie zwracał nań uwagi. Skrupulatnie przystąpił do rzeczy, pokazując i objaśniając genueńskim słuchaczom nakreślone na papierze pomiary złóż ałunu odkrytych niedawno w Stanach Papieskich przez kompanię Charetty, wraz z ich szacunkową wartością. Pomiary i szacunki były podpisane i kontrasygnowane przez Wenecjan. Feliks widział je po raz pierwszy.

Prosper de Camulio pierwszy uniósł głowę znad papieru i rzekł:

- Dowiadujemy się stąd, oczywiście, że Wenecjanie widzieli już złoża i dostrzegają w nich zagrożenie dla swego monopolu na turecki ałun. O ile, rzecz jasna, podpisy są prawdziwe.

- Człowiek, który to podpisał, Caterino Zeno, jest teraz w Mediolanie - powiedział Nicholas. - Czeka w pobliżu na wezwanie, które nastąpi, gdy uzyskam waszą zgodę na jego i moje warunki. O ile, rzecz jasna, uważacie go za godnego rzeczownika Wenecji.

Tym razem odpowiedział Adorno:

- Jego przodkowie władali Konstantynopolem. Jeśli Wenecja go przy-
syła, znaczy to, że traktują rzecz poważnie. Nie mówiliście, gdzie znajdują się owe złoża. Wydaje się jednak, że Wenecjanie je widzieli.

- To Wenecjanie zostali poproszeni o zapłatę w zamian za zatajenie tej kopalni - odparł Nicholas. - Dla Wenecjan byłoby wygodnie zawrzeć ugodę bezpośrednią z moją kompanią; opłacić moje milczenie, co uczynią, i zapewnić mi ałun w ramach koncesji, co także uczynią. Jeżeli nie będę nalegał, nie muszą sami uwzględniać w swych warunkach kupców z Genui.

- Ale wy ich uwzględnicie, w zamian za godziwą zapłatę. Czemu Genua? - spytał Toma Adorno. - Czemu nie kupcy z Lukki? Albo z Mantui?

Nicholas siedział, wsunawszy wielkie dłonie między kolana, okryte

solidnym materiałem, i utkwwszy w Genuńczykach niewinne spojrzenie dużych oczu.

- Pani de Charetty zawsze uważała, że rody Adorne i Doria oraz inni genueńscy kupcy w Brugii postępują uczciwie z posiadaczami farbiarni. Ograniczyłem zaś koncesję do samej Genui, gdyż inaczej stałaby się bezwartościowa. Nie zapłacilibyście mi za włączenie w to waszych konkurentów.

- A wy, oczywiście, pragniecie zysku - stwierdził Messer de Camulio.

- Nie pomyśleliście o udaniu się z tym do papieża? Dzięki tak bogatym złożom mógłby sfinansować krucjatę i odbić kopalnię w Fokai. Świat byłby wówczas pełen taniego ałunu, bez żadnego monopolu.

Feliks spojrzął na Nicholasasa.

- Myślałem o tym - uśmiechnął się Nicholas. - Czy jednak krucjata oswobodziłaby kopalnię w Fokai? Czy w ogóle mogłaby się odbyć, skoro Neapol, Anglia, Francja i Burgundia znalazły teraz dla wojsk pilniejsze zadania? Wiele wojen między chrześcijanami musi dobiec kresu, zanim Turcy zaczną lękać się papieża.

- A chrześcijańskie sumienie? - spytał Messer de Camulio. - Chroniąc interesy Wenecji, ochraniać interesy Turków.

- Któż tego nie czyni? - odparł Nicholas. - Zachód potrzebuje towarów z Turcji. Turcja jeszcze bardziej potrzebuje wymiany handlowej i, by nie utracić tej możliwości, nie posunie się zbyt daleko w działaniach wojennych, jeśli nie zostanie do tego zmuszona. Królowie wszczynają wojny, lecz kupcy z całą pewnością są zwolennikami trwałego pokoju.

- Rozumiem - rzekł Messer Camulio. - Czemu więc nie zażądacie koncesji bezpośrednio od Turków?

Feliks rozdziawił usta i zamknął je z powrotem. Nicholas odpowiedział:

- Mógłbym tak postąpić, oczywiście, gdybym był przedstawicielem większej kompanii. Mógłbym żądać za swoje milczenie niemal każdej sumy i wymusić wszelkie możliwe koncesje dla kogokolwiek, nie wyłączając zmiany przywilejów. Nie posiadam takiej potęgi, lecz posiada ją Wenecja. Mam jednak nadzieję, że Wenecja uczyni to za mnie.

- Ciekaw byłem, czy tak mi odpowiecie - rzekł Prosper de Camulio.

- A zatem wasz plan ostatecznie wyróżni Wenecję?

- Wenecjanie otrzymali przywileje od Turków - odparł Nicholas.

- Tego nie zmienię. Nasza koncesja będzie oznaczała dla nich mniejsze zyski. Sprawiedliwość wymaga, by wynagrodzili to sobie w kontaktach z Turcją. I tak dobrze na tym wyjdziemy, i wy, i moja kompania.

Toma Adorno potarł podbródek.

- To prawda - powiedział. - Mielicie szczęście, Meser Niccoló.

Zdołaliście dokonać odkrycia, które będzie trzymało w szachu rozliczne bogate przedsiębiorstwa... przynajmniej przez pewien czas. Myślę, że macie słuszość. Cena, którą Kościół nałoży na swe towary, dalece przewyższy haracz płacony Turkom. Tymczasem cena ałunu dla was i dla Genui spadnie, na czym zyskają w pewnej mierze wszyscy sukiennicy. Nie znajduję w waszych warunkach żadnego punktu spornego. Pragnąłbym jednak wiedzieć, w jaki sposób zamierzacie wyłączyć z tego Florencję. Gdy tylko Medyceusze zauważą nasze koncesje, zaczną doszukiwać się przyczyn. Pamiętajcie, że to papiescy bankierzy. Jeśli dotrze do nich wieść o istnieniu tej kopalni, rozgłoszą ją z wszystkich wież.

- Myślałem i o tym - rzekł Nicholas. - Koncesje mogą mieć rozmaite przyczyny. Nawet sama Florencja prowadzi nieustanne negocjacje z Wenecją odnośnie cen włoskiego jedwabiu. Można z łatwością wytłumaczyć Florentyńczykom, że nasz tani ałun jest wynikiem handlowych poprawek. Do ksiąg rachunkowych możecie wpisywać, cokolwiek zechcecie.

- Przypuszczam, że tak - przyznał Toma Adorno. - A teraz dobrze byłoby, abyście przedstawili nam dokładnie swoje warunki i byśmy mogli je omówić, zanim postanowicie wciągnąć Lukkę i Mantuę na listę wybrańców. Później pošlemy po waszego patrona, Caterio Zeno. Jak rozumiem, jego przyjacielem jest Alvise Duodo z galer weneckich? A krewnym Marco Zeno, który osobiście dowodził galerami?

- Szlachetni panowie - przemówił Nicholas tonem łagodnego szacunku - znacie go lepiej niż ja.

Nikt nie wspomniał - ponieważ nie wiedzieli lub uznali, że nie ma to związku ze sprawą - o najważniejszym aspekcie życiowym Messer Caterina Zeno z Wenecji. Elementem tym była po prostu tożsamość jego pięknej żony, Violanty. Także w rozmowie nazajutrz rano nie padła żadna zmianka, kiedy to odbyło się umówione spotkanie, podczas którego ratyfikowano umowę dającą kompanii Charetty natychmiastowe bogactwo, wraz z obietnicą rozsądnych aktywów w przyszłości, w postaci koncesji i opłat.

Prosper de Camulio wezwał mediolańskiego przedstawiciela, mającego przekazać pieniądze do Brugii. Feliks, o oczach zapadniętych z niewyspania po nocy wypełnionej niekończącymi się rozmowami, kontrasygnował to, co było do podpisania i umknął najszybciej jak mógł, by w Castello wyładować nieco tłumionego podniecenia.

Znacznie później Nicholas dołączył do niego na dziedzińcu. Przebywał tu już w zimie przez kilka tygodni. To tłumaczyło okrzyki, jakimi go powitano i śmiech towarzyszący jego błazenadzie, kiedy przymierzał się do pierwszej próby sił. Potem wyszedł mistrz turniejów i rzucił mu miecz, topór i włócznię; następnie posadził go na koniu i odbył z nim próbę

Nicholas, o dziwo, nie spadł z konia. Pokrzykując razem z innymi Feliks zatonął w rozmyślaniach. Gdy wreszcie kazano mu dosiąść konia i zmierzyć się na kopie z dawnym sługą, chwycił za broń bez gniewnego uniesienia, które towarzyszyło mu podczas owego pojedynku na niby, który odbyli w Brugii. Walka także wyglądała inaczej. Feliks dokładał wszelkich starań, lecz tym razem nie wysadził Nicholasa z siodła, choć sam Nicholas dwukrotnie omal nie wysadził Feliksa. W pewnej chwili nadszedł ktoś z kancelarii pytając o Nicholasa, który poprosił mistrza o pozwolenie odejścia i opuścił dziedziniec.

Nie powrócił. Feliks domyślał się, że ustalano kwestię powrotu do domu. Tym razem podróż miała trwać krócej, on zaś przyniesie matce wspaniałe wieści. Medycejskie listy wierzytelne zostały już wysłane do Brugii przez posłańca. Weneckie i geneueńskie przekazy pieniężne zabierali ze sobą. Rozebrany do pasa Feliks posilił się w cieniu drzew z nowymi przyjaciółmi, odbył - z poczucia obowiązku pogawędkę z kimś poznanym wcześniej, ubrał się w zamyśleniu i stawiał się na wezwanie w Arengo u Cicca Simonetty. Później powrócił do gospody.

Nicholas był tam już; siedział w ogrodzie pod baldachimem dzikiego wina, w towarzystwie kilku ludzi z ich straży. Feliks natychmiast rozpoznał jego śmiech. Gdy Nicholas nie wstał w odpowiedzi na jego wołanie, Feliks sam podszedł do grupy, napił się piwa i poczuł, że także ma ochotę się pośmiać. Jakiś czas potem w izbie, którą dzielili, Feliks zdarł z siebie poplamioną koszulę i zaprzagnął odpowiedzi na kilka pytań

Nicholas zawsze udzielał odpowiedzi. Tym razem rzekł:

- Powiedziałem strażnikom, że jutro wracamy do Brugii. Wynająłem dla bezpieczeństwa kilku dodatkowych ludzi, lecz poza tym wszystkie papiery wartościowe zostały skopiowane, na wszelki wypadek. Zastanawiałem się, czy nie zechciałbyś wrócić sam.

Feliks stał z koszulą w rękę, wytrzeszczając oczy.

- Masz wszystkie pieniądze - dodał Nicholas.

Feliks zapomniał o Genewie. Zapomniał o wszelkich podejrzeniach.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał.

- Pomyślałem sobie, że ktoś powinien odszukać Tobiego i podziękować mu - odparł Nicholas. - To on wszystko załatwił. Spodziewałem się, że zastanę go tutaj. Wiele mu zawdzięczamy i chcę się upewnić, że jest zdrow i cały.

- Tobiasz? - zapytał Feliks. - On jest w innej części kraju. Z hrabią Urbino i Lionettem.

- Tak myślą ludzie - rzekł Nicholas.

- A moja matka? - dopytywał się Feliks.

- Będziesz przy niej - odparł Nicholas. - Ma rzetelnych pomocników. Teraz pieniądze wszystko rozwiążą.

- Przecież ona mnie nie potrzebuje - powiedział Feliks. - Tylko pieniądze.

- A co by wybrała? Jak myślisz? - zagadnął go Nicholas.

- Czy ty w ogóle masz zamiar wrócić do Brugii? - Feliks zmienił temat. Nicholas wyszczerzył zęby.

- Chyba muszę wrócić, prawda? Inaczej roztrwonisz cały majątek na broje. Oczywiście, że wrócę. Przede wszystkim dlatego, że nie mam pieniędzy.

Cisza. Feliks stał, mnąc w dłoni koszulę.

- Dlaczego ożeniłeś się z moją matką? - spytał wreszcie.

Duże oczy nie unikały jego spojrzenia. Nie dostrzegł w nich podstęp. Po chwili usłyszał odpowiedź Nicholasa:

- Dlatego, że powinienem był tak postąpić.

- Rozumiem - Feliks spuścił oczy. Potem dodał: - Przypuszczam, że matka pragnie, byśmy wrócili obodwaj. Ale ma ludzi do pomocy. Moglibyśmy znaleźć kogoś, kto by zawiózł jej pieniądze.

- Moglibyśmy, oczywiście - przyznał Nicholas. - Ale dlaczego? Czy chcesz zostać w Mediolanie?

Podłoga zasłana była papierami. Nicholas usiadł, skrzyżował nogi i zaczął zbierać papiery, składając je na kolanie. Nie zapytał: „Czy chcesz jechać ze mną?” W duszy Feliksa pewne ulotne pragnienie, niedawno obudzone, nieoczekiwanie zmieniło się w postanowienie.

- Chcę jechać do Neapolu - powiedział Feliks. - Chcę walczyć razem z Astorem i Juliuszem.

Nicholas ułożył papiery i uniósł głowę.

- Cóż, czemu nie? - odparł - Powinieneś zdobywać doświadczenie.

Feliks przestał mieć koszulę.

- Myślisz, że mogę jechać?

Nicholas trzymał teraz stertę papieru na obu skrzyżowanych łydkach.

- Jeśli tego chcesz... To będzie krzywdzące dla twojej matki, ale ona przywykła do takiego postępowania. O ile nie wyręczysz się mną dla spokoju sumienia. Nic jej po mnie, jeśli cię zabiją.

Feliks stał, marszcząc brwi. Nicholas zaczął przeglądać papiery.

- Nie dam się zabić - oświadczył Feliks. - Zwłaszcza ze względu na tę furę pieniędzy. Czy myślisz, że pozwolę ci wydać to wszystko? Ale...

Więcej nie wyjaśniał. Nicholas najwyraźniej go zrozumiał. Powiedział:

- Wiesz, jak bardzo Juliusz potrzebuje dyscypliny. W końcu może się okazać, że to całkiem dobry pomysł. Prawdopodobnie znajdę się w Brugii

przed tobą. Nie masz nic przeciwko temu, abym kupił sobie jakąś niezgorszą zbroję?

Odchylił głowę w tył, a jego oczy przypominały sowie. Feliks odłożył koszulę, uśmiechnął się krzywo, obszedł łóżko i usiadł na nim, spoglądając z góry na Nicholasa i jego papiery.

- Chcesz się mnie poprostu pozbyć - powiedział. - Nie wiesz, co zaszło dzisiaj w kancelarii.

- Nie wiem - przyznał ulegle Nicholas.

- Wezwał mnie Cicco Simonetta - zaczął Feliks - i zapytał, czy przyjmę podarunek od księcia dla pani de Charetty. Zaproponował mi pieniądze.

Siedzący teraz na podłodze Nicholas skupił teraz na nim całą uwagę.

- I co? Powiedziałeś mu, że pieniądze cię nużą? - zapytał.

- Powiedziałem - odparł Feliks - że zamiast pieniędzy wolałbym poprosić o pewną wielką przysługę. O zwrócenie nam śpiewającego niewolnika z Gwinei, za którego towarzystwem zatęskniła moja matka.

W przeciętej blizną twarzy zaszła pewna zmiana.

- Loppe? - spytał Nicholas. - Nie wiedziałem, żeście się spotkali.

- Z pewnych względów - rzekł Feliks - podobało mu się u nas. Źle się teraz czuje w Mediolanie, odkąd nie ma brata Gillesa. Boi się, że zostanie odesłany do Cosima, do Florencji. Myślę - rozmarzył się nagle Feliks - że Afrykanin w odpowiednim stroju zawsze sprawia dobre wrażenie.

- I co? - chciał wiedzieć Nicholas.

- Messer Cicco z chęcią zgodził się oddać Loppego. Powiedziałem, że mam nadzieję przysłać na jego miejsce coś, co przyniesie księciu jeszcze większe zadowolenie.

- Doprawdy? - zdziwił się Nicholas. - Co to takiego? Worek darmowego ałunu? Ozdobny hełm? Kurtkę obszytą gronostajowymi ogonkami? A może... Feliksie! Co, twoim zdaniem, chciałby dostać książę?

- Coś, co według ciebie zamówił, a czego naprawdę nie zamówił - odpowiedział Feliks. - Powiedziałem, że książę powinien posiadać strusia.

Ludzie na dole zastanawiali się przez chwilę, czy dwaj młodzieńcy z Flandrii nie zabijają się nawzajem - takie tupania i wrzaski dobiegły nagle z góry. Gdy jednak niedługo później obydwaj zeszli na dół, rozchełstani i zarumienieni, starszy obejmował ramiona młodszego i okazało się, że pękają ze śmiechu.

ROZDZIAŁ 34

Owdowiata i bezdzietna księżna Bretanii, która zawarła związek małżeński w bardzo młodym wieku, nie była osobą ani zbyt starą, ani zbyt mądrą. Jej niezjąca siostra Maria, która poślubiła króla sąsiedniej Francji, była równie głupia, lecz nauczyła się lubić literaturę i poetów. W istocie, jej młody dwór zyskał sobie pewien rozgłos z uwagi na zamiłowanie do poezji, które traktowano jako przejaw dziecinnej nierozwagi.

Wdowa Izabela, choć nader skłonna do wybuchów gniewu i gwałtownych uczuć, była damą o płytkiej umysłowości i z łatwością można było oderwać jej myśli od większości spraw, z wyłączeniem mocnego pragnienia, by nie zostać odesłaną do Szkocji. Jej niewielki dwór, w przeciwieństwie do dworu siostrzeńca, był cichą zatoką, której toń rzadko mąciły sprawy publiczne. Księżnej pozwolono zatem dołączyć do grona kotów i dam dworu przedstawicielkę rodu van Borselen, związanego z Burgundią. Było to pewne ustępstwo. Bretania była wasalem Francji, niezbyt przyjaźnie nastawionej wobec Burgundii. Burgundią zaś podobno nie darzyła przyjaźnią francuskiego protegowanego, króla Anglii z rodu Lancastrów.

Niemniej książę Bretanii, zmierzwszy Katelinę van Borselen wprawnym okiem, opowiedział się z całego serca za tym by pozwolono jej zaczekać na jego ciotkę. Nie dowie się niczego niebezpiecznego. Być może nawet przejmie bretoński sposób myślenia. Chętnie zobaczyłby jej lśniące włosy wyjęte z siatki... a także resztę... lecz Antonina znowu nie wpuściłaby go do sypialni. Prócz tego wolał, by jego kobiety miały mocniejsze rumieńce.

Prawdę rzekłszy, w kwietniu nowa dama dworu księżnej wdowy szczyciła się lepszą cerą. Zmiana - ta i kilka innych - nastąpiła w maju. A teraz, w połowie czerwca, Katelina nie miała już najmniejszych wątpliwości. Nosiła pod sercem dziecko sługi-bękarta Claesa. Nie powinna doznać aż takiego wstrząsu, gdyż w przebłytku świadomego wyzwania zdała się na los szczęścia. Skłamała Claesowi. Powiedziała mu coś, co mogło nakłonić go, by uczynił to, co uczynił.

I cóż teraz? Biedna, głupia siostra księżnej-wdowy spożywała zielone jabłka i piła ocet, by uchronić się od macierzyństwa. Katelina mogła

wpróbować jeszcze ostrzejsze środki. Znajdowała się w Bretanii, daleko od domu; nikt by się nie dowiedział. Każdy dwór posiadał kogoś, kto znał się na rzeczy... cyrulika, akuszerkę, którzy ingerowali w prawa natury. Ale musiałyby być pewna, że się im powiedzie. Zdarzało się niekiedy, że dziecko przeżyło i rodziło się kalekie. Czasami umierała matka.

A gdyby tak donosiła to dziecko? Będzie musiała opuścić dwór, znaleźć przyjaciół, którzy ją ukryją, i wyniańczyć je. Tak czyniły kobiety majątne. Ona nie miała żadnych dochodów. Nie widziała sposobu utrzymania czegoś takiego w tajemnicy. Rodzina zostanie skazana na straszną hańbę. Dla ich dobra dziecko musi mieć ojca. Katelina potrzebowała zatem jak najszybciej bogatego i potężnego kochanka. Lub małżonka, oczywiście.

Bogaty i potężny kochanek znajdował się w zasięgu ręki. Odgadywała marzenia ojca, że pewnego dnia jego córka być może zostanie zamężną lub niezamężną matką burgundzkiego księcia. Nie widział nic złego w dłuższym romansie z rozwiązłym księciem. Im wyżej jednak urodzony kochanek, tym mniej pochlebi mu przyście na świat - po siedmiu miesiącach - syna lub córki. Doświadczenie zaś sprawi, że będzie się wzdrygał przed uznaniem i wychowaniem dziecka. Małżonek natomiast, związany umową, mógłby zlekceważyć kalendarz i cieszyć się pospiesznie spółodzonym dziedzicem, nie chcąc zyskać sobie miana dudka.

Katelina pragnęła wyjść za mąż. Miała nadzieję, że podejmie decyzję w Bretanii, z dala od nacisków rodziny. Od tego była wolna z całą pewnością. Wyjechała w kwietniu i nie otrzymała dotychczas żadnych listów. Przez pierwsze tygodnie, zanim nie upewniła się co do swego stanu, podobało jej się życie, które wiodła na dworze: niewymagające towarzystwo księżnej-wdowy, poznawanie komedii i aktorów kolejnego dworu, wybór własnej roli. Nauczyła się unikać księcia i nawiązała przyjaźń z jego kochanką. Dlatego pierwsze odwiedziny Jordana de Riberac były dla niej w dwójnasób przykre.

Później cieszyła się, że wówczas nie wiedziała jeszcze o swoim stanie. Przyjechał bez uprzedzenia. W kwietniowy poranek zjawił się w sali audiencyjnej księżnej-wdowy. Owa niewielka komnata zmieniła się nagle w muszlę okrywającą jego masywne kształty. Miał na sobie szatę z lukkijskiego aksamitu. Szarfy na kapeluszu haftowane były złotem. Twarz o licznych podbródkach była czerstwa i uśmiechnięta, lecz oczy rozbierały Katelinę do naga.

W czasie ostatniego pobytu pana de Riberac w Brugii podczas karnawału Claes niemal zginął w płomieniach. W czasie ostatniego spotkania z Katelina pan de Riberac ze spokojem zgłosił gotowość odebrania jej cnoty na kuchennej podłodze, jeszcze zanim ją poślubi. To, czego mu

odmówiła, oddała tej samej nocy Claesowi. Tego jednak Jordan de Riberać nie mógł wiedzieć. Gdyby się dowiedział, nie kaleczyłby jego twarzy ani nie wynajmował dwóch nieporadnych zbirów. Zabiłby go osobiście.

Terz zaś, jak się wydawało, składał tylko księżnej-wdowie grzecznościową wizytę. Wizyta trwała pół godziny, a gość rozmawiał z wszystkimi damami dworu. Katelina nie mogła wyjść. Nie sądziła, by zechciał odezwać się do niej, lecz uczynił to - z zimnym spojrzeniem i ujmującym uśmiechem:

- Kogóż widzę! Mademoiselle! Czy wasze wdzięki nie znalazły jeszcze amatora? W każdym razie nie w Brugii, gdzie trzyma się błaznów w beczkach jak ryby, o czym mi mówiono. Mądrze uczyniliście przybywając do Bretanii. Dokonajcie tutaj wyboru. Zaczekajcie, aż powietrze oczyści się i odświeży, nim wyruszyście do Flandrii.

- Nawet w Bretanii, monseigneur, powietrze nie jest tak świeże, jak mogłabym sobie życzyć - powiedziała.

To było dziecinne. Nie wywołało żadnego wrażenia. Riberać po prostu odparzył wszystkich obecnych jeszcze szerszym uśmiechem.

- Brugia! - powtórzył. - Miejsce dla drobnych rzemieślników i parzącej się służby. Mędrzec oczyściłby miasto z jednych i drugich. Zapomnijmy o Brugii. Zaczekajcie na noc zapustną w Nantes, droga pani. Przrzekam, że przewyższy ona wszystko, czego dotychczas doświadczyliście.

Odwróciła się nie czekając na odpowiedź. Wiedział. Wiedział o czymś.

Po jego odejściu, gdy księżna i jej kocięta już spały, Katelina opuściła wdowie apartamenty i udała się do komnat gościnnych, gdzie spodziewała się zastać księżęcą kochankę. Król Francji najwyraźniej był zadowolony, że żadne francuskie tajemnice nie przedostaną się z dworu księżnej-wdowy do Flandrii. To, że flamandzka tajemnica mogłaby przedostać się do Francji, powinno być dla niego przyjemnością.

Antonina de Maignelais wiedziała naturalnie wszystko o Jordanie. We Francji, moja droga, pełno było zawsze takich Szkotów, którzy przybywali, brali udział w wojnach i pozostawali tu, by się wzbogacić. Wdzięczni królowie nadawali im dobra ziemskie, tak jak temu Riberaćowi. Przebiegły człowiek z żyłką handlową w krótkim czasie nawiązywał znajomości, zdobywał flotę, gromadził majątek. A nagroda? Przychylne ucho króla Francji, moja droga, we wszelkich sprawach finansowych oraz niektórych mrocznych tajemnicach jego skarbcza. Jego obecnie panująca Wysokość często posyłał go do Bretanii dla rozwikłania spraw siostry pierwszej żony. Antonina stwierdziła, że ona osobiście woli mężczyzn nieco mniej otyłych.

Katelina, jak to czyniła większość ludzi w obecności tej damy, przytaknęła. Kiedy Agnieszka Sorel, wielka metresa króla Francji, zmarła przed dziesięciu laty, jej miejsce zajęła kuzynka Antoniny, Madame de Villequier;

niektórzy twierdzili, że nastąpiło to zanim owdowiała, inni, że później. Gdy zaś porywy króla osłabły, znajdowała dla niego młodsze towarzyski łoża. Czyniła to nadal i często widywano ją zarówno u boku króla jak i księcia. Plotkowano, że przekazała księciu wrzody z królewskiej nogi. Była inteligentna, szczerza i praktyczna.

- To niezupełnie kwestia otyłości - rzekła Katelina. - Czy on cieszy się zaufaniem?

Powieki z szyderczym ubolewaniem opadły na błyszczące, umalowane oczy.

- Moja droga, wiesz chyba lepiej! - powiedziała Antonina. - Jeżeli na dworze pojawi się choć jedna osoba, której można ufać, nie spoczniemy, póki jej nie odmienimy. Dzierżąc jednak sznurki mennicy nasz drogi Jordan posiada, jak przypuszczam, tyle pieniędzy, ile zapagnie. Skoro o tym mowa... pomyślmy. Co jeszcze mogłoby go pociągać?

- To samo stanowisko pod rządami następnego króla? - podsunęła Katelina.

Umalowane oczy błędziły po komnacie.

- Ach - odezwała się Antonina - powiedz mi, czy są to tylko pogłoski?

- Nie - odparła Katelina. - Widziano go w Genappe. Wie o szambelanie delfina coś, czego mógł dowiedzieć się jedynie w Genappe. Trzyma przy sobie przynajmniej jednego łucznika Gwardii Szkockiej.

- Skąd wiesz? - zapytała Antonina.

- Nie ma żadnego wpływu na mnie ani na moją rodzinę - odparła Katelina. - Ale próbuje nakłonić mnie do małżeństwa.

- Dlaczego? - spytała Antonina - Jesteś, oczywiście, bardzo piękna, Ale to człowiek bogaty i może wybierać spośród wielu we własnym kraju.

- Aby pozbawić swego szkockiego syna dziedzictwa - powiedziała Katelina. - Pragnie mieć innych dziedziców. Kiedy będzie ich miał, jego obecny syn może nie pożyć długo.

- I wybiera damę z Flandrii. Z Burgundii - rzekła Antonina. - Co za szczęście, że jest gruby i nie pociąga cię. Podwójne szczęście. Grubych łatwiej zauważyć i zaczynają się plotki.

- Nie zajmuję się plotkami - powiedziała Katelina.

- Wiem o tym - odparła Antonina. - Lecz i ty dobrze wiesz, moja droga, że w Bourges, gdzie przebywa król, to plotka tworzy mury, fosa i zaludnia strzelnice. Plotka, moja droga, a nie cegły i zaprawa.

To wtedy Katelina napisała do Gelis list, który miał zostać przekazany Claesowi. Przypadkowemu czytelnikowi mogło się wydawać, że list ów dotyczy przede wszystkim zaskakującego rozbicia się okrętu ze strusiem. W ciągu następnych tygodni Antonina nie powróciła do tematu Jordana.

Później, gdy Katelina stwierdziła, że jest brzemienna, nie uczyniła nic, by sprostować czy przekreślić pogłoski, które sama zapoczątkowała.

Z tego, co mówił Claes, była w nich część prawdy. Antonina opowie o tym królowi Karolowi. Król zaś wynajdzie własny sposób wypróbowania lojalności wicehrabiego Jordana de Riberac. Jeżeli pogłoski były prawdziwe, jeżeli był człowiekiem delfina i zdrajcą, dosięgnie go odpowiednia pomsta za to, jak potraktował Katelinę. I za to, co uczynił i próbował uczynić Claesowi.

Claes... Pragnęła nazywać go Nicholasem, a on dowiódł, że to pragnienie nie przynosi jej szacunku. Teraz, kiedy miała jeszcze ważniejszą przyczynę, by schować dumę do kieszeni, zdała sobie sprawę, że się buntuje. Pamiętała Claesa - mężczyznę i kochanka, który nie zdradzał oznak służalczości, za to miał w sobie wiele pogody. Niezależnie od wszystkiego był Nicholasem.

Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, co on uczyniłby z dzieckiem. Nie miał powodu, by wiedzieć, na co się zanoszą. Próbowała przemówić do niego inaczej. Uwierzyła, gdy oznajmił jej, że nie ma zamiaru się żenić. Stanowczo odrzucił taką możliwość. Ale skoro dziecko miało przyjść na świat?

Co czułby Claes, gdyby zapobiegła narodzinom dziecka? Pozbycie się go było jej prawem, tak jak podjęcie ryzyka jego poczęcia było jej postanowieniem. Gdyby urodziła je w tajemnicy, czy Claes chciałby o tym wiedzieć? Być może nie. A być może wzięłby dziecko, gdyby się o nim dowiedział. Dla dobra dziecka mógłby nawet ogłosić, kto jest matką.

Gdzie on sam się wychował? Tak niewiele o nim wiedziała. Przez kilka lat, jak się jej wydawało, przebywał z matką. Potem znalazł się u jakiegoś dalekiego i srogiego krewniaka. Nie. Ktoś tak wychowywany nie zechce oddać obcym swego dziecka. Trzeba go więc nakłonić, by uwierzył, że dziecko nie jest jego. Chyba że...

Chyba że... Minął drugi miesiąc, jej oczy stały się większe i głębsze, a kości policzkowe nieco bardziej wydatne. Niekiedy spóźniała się rano do swych obowiązków, lecz nigdy ich nie opuszczała. Poznała wielu mężczyzn, żaden jednak jej się nie spodobał. Nie brała sobie kochanków, ale wciąż myślała o jedynym, jakiego miała.

W drugim tygodniu czerwca, kiedy wiedziała już, że musi coś zrobić, wrócił Jordan de Riberac. Tym razem księżna-wdowa konferowała na osobności z astrologiem i nie potrzebowała przy tym damy do towarzystwa. Katelina siedziała sama w sąsiedniej komnacie, jedynie z paziem przy drzwiach. Gruby mężczyzna, dopełniwszy zdawkowych uprzejmości usiadł obok.

Jego oczy ponownie ją rozbierały, od szyi po kibić i jeszcze niżej. I tym razem coś dostrzegły.

- I cóż, pani - odezwał się Jordan de Riberac - gdzie wasz małżonek?
- Myślicie, że powinnam go mieć? - spytała Katelina. - Czy może ponawiacie swe oświadczyzny, panie de Riberac?

- Liczba konkurentów nie jest chyba zbyt wielka - rzekł z uśmiechem.
- Pewien jestem, że ksiązę chętnie zacieśniłby znajomość, lecz nie może was przecież poślubić, a w dodatku, jak słyszałem, stan jego nogi jest istotnie opłakany. Gdy zaś mowa o innych, wiadomo wam z pewnością, jak sprawy stoją. Mieliście jakieś wieści z domu?

Ton jego głosu skłaniał ją do przytaknięcia. Instynkt nakazywał trzymać się prawdy.

- Nie - odparła. - Wydaje się, że listy zaginęły.

Uniósł brwi.

- Rozumiem. Może zatem będę pierwszym, który powiadomi was o poczynaniach waszych obiecujących przyjaciół. Mój syn. Zacznijmy od mego syna. Wygląda na to, że Szymon jest o krok od wielce obiecującego związku z damą imieniem Muriella, córką Jana Reida, możnego kupca. Ciekawym, czy jest płodna? Szymon nie przepada za dziećmi. Obawiam się, że musicie porzucić czarowne złudzenia, które niegdyś żywiliśmy obydwój. Mój słodki Szymon nie przybiegnie na wasze wezwanie. Kto jeszcze? Słyszałem, że rodzina Gruuthuse naciska mocno na młodego Guildolfa, by dokonał wreszcie ostatecznego wyboru. Jest bardzo młody. Myślę jednak, że przełknął odmowę i przyszedłby do was, gdyby nie przebywał wraz z rodzicami w Brugii, gdzie go zostawiliście przyjeżdżając tutaj. Biedny Guildolf - Jordan de Riberac westchnął. - Nie ma nikogo więcej, prawda? Pozostali dwaj kandydaci, wyszukani przez rodziców, nie spodobali się wam; zatem z pewnością nie będzie wam żal, że obydwaj zawarli umowy z wybranymi dziewczętami. O ile mi wiadomo, nikt inny nie zdołał przekroczyć zakłętego kręgu panińskiej powściągliwości. Chyba że uwzględnimy młodego czeladnika Claesa.

- Nie sądzę - powiedziała Katelina.

- Nie? - powtórzył tęgi mężczyzna. - Po tym, jak wraz z siostrą zadałyście sobie tyle trudu, by go wydobyć... *dwukrotnie?... z wód kanału?* Pochwalam, oczywiście, ten miłosierny uczynek. Gdyby jednak wcześniej uśmiercił mego syna z pomocą nożyc, mógłbym żywić inne uczucia.

- Myślałam, że los syna jest najmniejszym z waszych zmartwień - rzekła Katelina.

- Ależ nie! - zaprzeczył tęgi mężczyzna. - Okazuję mu wiele troski. Może nie modłę się o jego zdrowie, lecz wolałbym wiedzieć, kiedy i w jaki sposób je utraci. Nie chciałbym zostać pozbawionym praw rodzicielskich w tej materii. Nie sądzę jednak, by Claes przysporzył mi trosk, gdy o tym

mowa. Claes to nieudacznik. Wciągnięty w nieskończony kierat ambicji i kłębki. Spójrzcie na jego ostatnie posunięcie.

W milczeniu uniosła brwi. Tęgi mężczyzna westchnął.

- Czy dacie wiarę, że nakłonił swą chlebobawczynię do małżeństwa? Przekupiono świadków, syna utrzymywano w bezpiecznej niewiedzy, przygotowano dokumenty notarialne dotyczące całego majątku. Za jej miłującym przyzwoleniem. Słyszałem, że jest jak odurzona. I że jedynego dziedzica wywabiono na południe, gdzie może znaleźć sobie żołnierski grób. Plan zasługiwał by na wyrazy skromnego uznania, gdyby nie to, że w podnieceniu popełnił błąd, pozwalając, by spłonęło przedsiębiorstwo panny młodej, jej dom, pieniądze i wszystkie księgi rachunkowe. Mało prawdopodobne, by zdołała spłacić długi. Wszystko przepadło... prócz małżeństwa.

Żołądek Kateliny podszedł do gardła, lecz gniew, nienawiść, lęk i duma pomogły jej się opanować. Poznawała po jego twarzy, że dostrzegł to wszystko i nie czuł zakłopotania. Gdy wrócił jej głos, powiedziała:

- Winszuję wam. Przenoszenie drobnych wiadomości z miejsca na miejsce. Ufam waszej dokładności. Zdumiewa mnie tylko, że pożar u Charrettych był dziełem przypadku.

Rozważył jej słowa z przejętym wyrazem twarzy.

- Myślicie, że nie był? Młody człowiek z pewnością miał rywali. Lichwiarza Oudenina. Może jeszcze kogoś. To urodziwa kobieta, choć już niemłoda. Słyszałem, że tworzyli wzruszający obraz: młody małżonek na pół rozebrany, obejmujący swą żonę w nocnej koszuli na zgliszczach miłosegno gniazdka. Rozumiecie zatem, dlaczego pytam o waszego małżonka?

- Rozumiem was bez trudu, panie de Riberac - odparła Katelina.
- I powtarzam: czy to są ponowne oświadczenia? Mogłoby mnie to zaciekawić.

Żrenice jego oczu, utkwione w jej twarzy, były przenikliwe i czarne.

- Doprawdy? - spytał miękko Jordan de Riberac.

- Z drugiej strony jednak - ciągnęła Katelina - mogę się okazać bezpłodna, wy zaś możecie być już niezdolni... i wszystkie wasze plany pójdą na marne. Nie. Po głębszym zastanowieniu naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić okoliczności, w których skłonna byłabym to znieść. Cóż, o czym teraz pomówimy? A może nie mamy sobie już nic do powiedzenia? Pójdę i zapytam, czy księżna-wdowa zechce was przyjąć.

Uniosł się, kiedy wstała i trwał nieporuszenie, spoglądając na nią z góry. Przez chwilę zastanawiała się, co by uczyniła, gdyby podniósł rękę i rozciął jej policzek pierścieniem jak Claesowi. Ale on tylko odwrócił się na pięcie i ruszył przez niewielką komnatę ku drzwiom, gdzie zajął miejsce dworzani-

na, oczekując wezwania na audiencję. Katelina nie widziała go później wychodzącego z komnat ani z pałacu.

Antonina de Maignelais odnalazła ją w komnacie, którą dzieliła z innymi i zaprowadziwszy do ławy w wykuszu okiennym, wdała się z nią w nieszkodliwą pogawędkę. W połowie rozmowy zauważyła:

- Panu de Riberac udało się spotkać z tobą sam na sam. Czy żywi jakieś podejrzenia?

- Był ciekaw, czy teraz nie wyszłabym za niego - odparła Katelina.

- Nie. Nie okazywał podejrzliwości. Ale coraz mniej mu ufam.

- Masz wyczucie - stwierdziła faworyta księcia Bretanii. - I przyznając ci rację. Zasięgnięto dyskretnie języka. Rozesłano umyślnych. Banki także miały co nieco do powiedzenia. Na tym jeszcze nie koniec. Trzeba czekać na wiadomości ze źródeł burgundzkich, a to wymaga czasu i pieniędzy. Wydaje mi się jednak, że za dwa miesiące wielmożny pan de Riberac będzie myślał o czymś zupełnie innym niż nowa żona.

Pewną pociechą była świadomość, że wicehrabia doświadczy, choćby częściowo, spustoszenia, które zsyłał bliźnim z taką gorliwością i artyzmem. Katelina pomyślała, że złości go wyróżnienie Claesa, nawet krótkie i polegające na małżeństwie z małą wdową. Złość została jednak złagodzona przez przyjemność, wynikającą z opowiedzenia jej o tym. Nie mógł, rzecz jasna, wiedzieć, do czego użyła Claesa. Oczywiście, że go użyła... i nie należało oczekiwać od sługi niczego ponad to, że z jej łóżka skoczy wprost do łóża pierwszej osoby, która wprowadzi go w kręgi mieszczańskie - nawet gdyby to miała być stara kobieta z dużą rodziną.

Półnagi, obejmujący wdowę. Być może i ona przygotowała mu kąpiel i schowała ubranie. Mogła być stara, mogła być brzydka... i tak postarałby się dla niej. Wiedziały o tym wszystkie dziewczęta w Brugii. Mabelia. Ona sama.

Miał na imię Claes. Nigdy nie był Nicholasem. Jej pierwsze dziecko miała za ojca Claesa, czeladnika-bękarta o zwodniczym języku i przepastnym, niewinnym spojrzeniu, za którym kryła się przebiegłość i bezwzględna ambicja. Kierat ambicji - tak, lecz z pewnością nie klęski. Ten tęgi mężczyzna był w błędzie. Z napotkanych kobiet i mężczyzn Claes powoli i starannie budował drabinę, po której wspinał się od stanowiska czeladnika do pozycji kupca, a następnie na szczyty, wyznaczone przez jego miłość własną.

Nie potrzebował Kateliny. Jej nazwisko i pozycja bez pieniędzy były dla niego bezużyteczne. Potrzebował tego, co otrzymał - właścicielki niewielkiego przedsiębiorstwa, której stanowisko społeczne, choć pomniejsze, należało teraz i do niego. Pożar mógł go powstrzymać. Mogły też nastąpić

inne próby zepchnięcia go z drogi. W przeciwieństwie jednak do tęgiego człowieka Katelina potrafiła docenić Claesa pod wieloma względami. Wiadomość o jego małżeństwie dopełniła obrazu. Teraz go poznała. Tylko śmierć mogłaby go zatrzymać. Nie potrzebował Kateliny ani, tym bardziej, dziecka, które nosiła. Problem rozwiązał się sam.

Katelina van Borselen po cichu zajęła się własnymi sprawami. Ci, którzy ją znali i lubili, spostrzegli, że jest bardziej zamknięta w sobie i spędza więcej czasu w swej komnacie niż przedtem. Wywołano ją pewnego dnia, by pełniła, jak zwykle, funkcję tłumaczki podczas jednej z niekończących się rozmów o wianie księżnej-wdowy.

We Francji miało się odbyć spotkanie. Szkoccy pełnomocnicy zbiorą swe żądania i przybędą, by omówić z siostrą króla jego sprawy. Sir William Monypenny, oczywiście. Biskup Kennedy. Być może Flockhart. A także urodziwy, złotowłosy mężczyzna, ulubieniec księżnej-wdowy, który nie pojawiał się od przybycia Kateliny, lecz teraz przywrócił rumieniec jej bladym policzkom.

- Przyjdź, Katelino! - wołali przyjaciele - Przyjdź i poznaj Szymona z Kilmirren!

Trwał drugi tydzień czerwca. W całej Europie wojska wprawione w ruch niczym gra dziecinna w drewnianym pudełku, podążały skocznie ku swemu przeznaczeniu.

Feliks, dziedzic kompanii Charety, przybył do Neapolu pod koniec czerwca i dołączył do oddziałów pod wodzą kapitana Astorre i notariusza Juliusza. Jako swego osobistego sługę przywiózł postawnego Murzyna imieniem Loppe. Wraz z nim przybył również dar dla króla od księcia Mediolanu: tysiąc ośmiuset konnych żołnierzy, przeznaczonych do armii papieskiej i do tego, by pomóc królowi Ferrante w oczyszczeniu z nieprzyjaciół ziemi wokół Neapolu. Ośmielony Ferrante opuścił mury Neapolu, rzucając wrogowi wyzwanie.

Nie postąpił mądrze, lecz dopisało mu szczęście. Książę Jan z Kalabrii z niezwykłą dlań ostrożnością nie podjął walki. Zagrożony wycofał swe wojska do niewielkiego miasteczka Sarno, leżącego na zboczu wzgórza w zakolu rzeki, zaledwie trzydzieści mil na południe od Neapolu, i pozwolił się oblegać. Armia króla Ferrante, wspomagana przez wojska papieża i księcia Mediolanu oraz liczne kompanie najemne, łącznie z oddziałem kapitana Astorre, postanowiła wziąć miasto, jak zwykle, głodem.

Mogłoby im się nawet powieść. Niestety, król Ferrante od pewnego czasu nie płacił swoim najemnikom i chwilowo nie było na to widoków.

Z obozu wroga zaczęły napływać kuszące oferty. Ludzie zaczęli dezertować.

Z pewną dozą ubolewania i - większą - lekkomyślnego optymizmu, król Ferrante postanowił, że zamiast przedłużać oblężenie, powinien przypuścić atak. Zamierzał go nieco powściągnąć, a przynajmniej tak mówił później. Ale jego znudzeni, nieopłacani żołnierze myśleli inaczej. Przez pewien czas nie było wiadomo, że pod Sarno stoczono decydującą bitwę.

Toczono wówczas inne decydujące bitwy. Jedna, bezkrwawa, miała miejsce w Anglii, gdy prowadzeni przez biskupa Coppini i hrabiego Warwick yorkiści spod znaku Białej Róży przybyli z Calais i tryumfalnie wkroczyli do Londynu. Pozostawało tylko odszukanie osoby króla - Lancastera (któremu, gdy mowa o różach, najodpowiedniejszą wydawała się czerwona) i jego żony, siostry księcia Jana z Kalabrii.

Księżę Mediolanu był zachwycony. Yorkiści odnieśli się z pełnym zaufaniem do rad i przywództwa biskupa Coppini, legata papieskiego w Anglii i Flandrii, tajnego agenta księcia Mediolanu. Biskupowi Coppini, ciężko pracującemu na kapelusz kardynalski, zabrakło sympatycznego atramentu.

Jakub, król Szkocji, dawno już doszedł do wniosku, że powinien zadawać się z obiema stronami angielskiej wojny, by po jej zakończeniu zyskać przyjaciela od Róży. Przyczyną zadawnionych skarg było zajęcie przez Anglików dwóch dobrych szkockich miast: Berwick na wschodnim pograniczu i Roxburgh na południu. Królowi Jakubowi i jego doradcom wydawało się, że skoro Anglicy są obecnie tak zajęci, można będzie coś zyskać dzięki krótkiemu, szybkemu atakowi na garnizon angielski - powiedzmy, w Roxburgh.

Król Jakub odbył z mistrzem artylerii poważną rozmowę, w wyniku której wytoczono i przygotowano do drogi dwa wielkie działa z Mons. Król Jakub obejrzał je osobiście: starą Meg i nową Martę. Pogładził je dłonią. Nikt nie miał podobnych armat. Może tylko turecki sułtan. Gdyby nie był królem Szkocji, mającym sześć głupich sióstr, zostałby królem i mistrzem kanonierów.

ROZDZIAŁ 35

Podażając samotnym szlakiem Nicholas, niegdyś Claes, i nigdy samotny, odbył długą i wyczerpującą podróż na wschód i południe Italii, od Mediolanu po Urbino, a stamtąd ruszył śladem dwóch armii, znaczących ziemię bliznami. Człowiek, jadący na południe przez Stany Papieskie w dusznym upale wczesnego lata dostrzegał na każdym kroku spustoszenia, których dokonały wojska hrabiego Piccinino, spieszącego, by pomóc w zniszczeniu Neapolu.

Na początku lipca Nicholas dotarł do rzeki Tronto i ze Stanów Papieskich przedostał się do Abruzzi, ziem leżących na wschodzie, pomiędzy Apeninami a morzem, i wchodzących w skład Królestwa Neapolu. Tutaj spalone chaty i dymiące zamki były dziełem wojsk papieskich i mediolańskich pod wodzą hrabiego Urbino. Wojska te Nicholas dopędził i niemal wpadł na nie, gdyż zatrzymały się w drodze.

Na południe od rzeki Tronto, równoległe do niej płynęła rzeka Tordino. Na jej brzegu armie mediolańska i papieska rozbiły obóz na równym terenie, twarzą w twarz z wojskami hrabiego Piccinino, które zatrzymały się na przeciwległym wzgórzu.

O zmierzchu Nicholas dotarł do kresu podróży. Po prawej stronie niebo nadal płonęło barwami dogorywającego słońca ponad czarnymi grzbietami gór. Miał przed sobą miasto namiotów, rozjarzonych jedwabnych kwiatów; szeregi chorągwi sterczały sztywno niczym kolce jeża. Nicholas widział żmiję i orła Alessandra i Bosia Sforzów; krzyż i półksiężyc w lazurze i złocie na papieskim sztandarze; a przede wszystkim - orła Federiga, hrabiego Urbino, dowódcy wojsk. Na wzgórzu leżały rozsypane niczym skry z paleniska namioty nieprzyjaciela - i można się było jedynie domyślać, gdzie powiewa chorągiew hrabiego Jacopa Piccinino.

Nicholas zamierzał wkroczyć tam dopiero rankiem, lecz został zauważony, gdyż zanadto się zbliżył. Jego pewnego siebie zachowania nie należało lekceważyć. Zaprowadzono go pod strażą do obozu wraz z pachołkami i końmi, później zaś do namiotu, którego szukał.

Tobie Beventini z Grado siedział w kubraku i krótkich spodniach, trzymając jedną nogę w wiadrze, a światło świecy odbijało się od jego łysiny.

Oglądał uważnie swą drugą stopę, trzymając ją w kościstych dłoniach. Jego wargi pod kształtnymi nozdrzami wydawały się bardziej ściągnięte niż zazwyczaj. Za nim stała prycza, a obok stolik, na którym leżała podręczna apteczka, stał rząd słoików, miska i plik poskładanych papierów. Prócz niego w namiocie nie było nikogo.

- Zwykle jest ich pięć - powiedział Nicholas.

Doktor uniósł głowę. Jego jasne, okrągłe oczy nie zmieniły się wcale.

- Przybywasz w porę - rzekł. - Chyba że masz hemoroidy.

- Moi pachołkowie mają - oznajmił skwapliwie Nicholas. - Czy tym właśnie się zajmujesz?

- Jestem specjalistą od pośladek Świątego Cesarstwa Rzymskiego - % odparł Tobie. - Nie potrzeba im medyka. Potrzebują kogoś, kto wymyśliłby konia nowego kształtu. Posłuchałeś mojej rady i ożeniłeś się z nią.

- Zawsze słucham twoich rad - powiedział Nicholas. - Ty zaś posłuchałeś mojej... i namówiłeś hrabiego, by przekupił Lionetta. I to niezłą sumą... sprawdziłem u mediolańskiego agenta Maffino. Astorre musi być wściekły. Myśli chyba, że dostałeś połowę szklanych rubinów Lionetta. Czy mogę wejść, czy może twoja noga zastąpi mi drogę?

Medyk Tobie troskliwie umieścił drugą stopę w wiadrze.

- Jesteś sam? - zapytał.

- Jeśli nie liczyć dwóch pachołków z hemoroidami - odparł Nicholas. Wszedł do namiotu i rzucił juki na słomę koło pryczy. - Posłałem Feliksa do Neapolu, do Astorre'a.

W namiocie było duszno. Z wiadra unosiła się para.

- Bardzo głupio postąpiłeś - powiedział Tobie.

- Nie może na zawsze pozostać dzieckiem - odrzekł Nicholas. - Wyruszał właśnie spory oddział mediolański. Nie spodziewali się walki.

Z wiadra dobiegło kilka kolejnych, powolnych pluśnieć.

- Paliło się u was - stwierdził Tobie. - Czy ktoś podłożył ogień?

- Znam sprawcę - powiedział Nicholas. - To ja jestem celem. Dopóki będę tutaj, im w Brugii nic się nie stanie. Teraz, kiedy już mamy pieniądze, przedsiębiorstwo znowu stanie na nogi.

Tobie rozluźnił ściągnięte wargi i wybałuszył okrągłe, jasne oczy. Obiema dłońmi oparł się o zydeł, uniósł ociekające wodą stopy i delikatnie umieścił je na ręczniku.

- Usiądź, proszę - powiedział. - Na łóżku. Ale nie usypiaj, zanim mi nie powiesz. Czy jestem bogaty?

Nicholas usiadł, okazując ostrożność człowieka, który przejechał sześćdziesiąt uciążliwych mil w straszliwym upale, i który nie czuje się najlepiej.

- Nie aż tak jak ja, ale możesz mieć nadzieję, że uda ci się uciec od cudzych pośladek - powiedział. - Co ci się stało w nogę? Wypробowujesz nowy lek na hemoroidy? A może moczysz pacjentów w kadzi, a potem ugniatasz nogami?

Tobie uniósł jedną stopę i zaczął ją osuszać.

- Cieszę się, że jesteś taki zadowolony - mruknął. - Mam nadzieję, że zostanę wynagrodzony za jeżdżenie po całym Lazio z dwoma pijanymi górnikiemami Zorzich. Zatem Messer Caterino Zeno był pod wrażeniem?

- Wszyscy byli - odparł Nicholas. - Podzieliliśmy się z Genuńczykami.

- *Co takiego?* - wrzasnął Tobie, zaciskając ręcznik na małym palcu u nogi.

- A jak myślisz, dlaczego powiedziałem ci o Camuliu? Musimy współpracować z innymi kupcami w Brugii. Potrzebujemy Anzelma Adorne. I rodu Adorno. Wenecja może w każdej chwili poróżnić się z Turcją. Przydadzą się nam przyjaciele na Chios, obserwujący poczynania Wenecjan.

Łysina doktora błysnęła. Kępki włosów za uszami najeżyły się i spłynęły potem.

- Powinienem był sam się tym zająć - jęknął. - To ty powinieneś włóczyć się po tych wszystkich pagórkach z dwoma górnikiemami i szkłem powiększającym. Udziały tracą wszelką wartość, kiedy Tolfa zostanie odkryta. Ten podróżnik da Castro rozpoczął już poszukiwania ze swym przyjacielem astrologiem. Wiedziałeś o tym?

- Nie - odparł Nicholas.

- A ów przyjaciel astrolog, mój nieoszacowany kolego, to Zaccaria. Wiedziałeś o tym?

- Nie - odparł Nicholas.

- Nie... - powtórzył doktor. - No to pomyśl. Genuą rządzą teraz Francuzi. Francuzi chętnie napadliby na Burgundie. Francuzi chętnie pozbyliby się Sforzy i osadzili swojego człowieka na książęcym tronie Mediolanu. Podobno prosili Wenecję o pomoc. A zatem: żadnych Adornów, żadnych Sforzów, żadnego sposobu, by postraszyć Wenecjan nowymi kopalniami ałunu. Jeżeli Wenecja pomoże Francji w podbiciu połowy Italii, kolejny papież będzie Francuzem, a Wenecjanie sami skorzystają z nowego ałunu.

Nicholas już wcześniej otworzył sakiewkę. Siedział, trzymając oburącz papier, który zeń wydobyl i czekając aż Tobie umilknie. Potem pochylił się i podał mu papier. Pokrywały go jakieś liczby. Tobie wziął go i zaczął czytać.

- Twoja część - rzekł Nicholas. - Ulokowana tak jak chciałeś.

Tobie wytarł wierzchem dłoni nos, z którego ciekło. Zaczął czytać ponownie, a jego palce zostawiały wilgotne ślady na papierze.

- Nie sędzę, by Wenecja zechciała pomagać Francji, a ty? - odezwał się Nicholas. - Nie sędzę, by Francja mogła pozwolić sobie na atakowanie kogokolwiek, póki Lancastrowie i ich zwolennicy nie zwyciężą w Anglii. Będą jednak musieli się pospieszyć z tym zwycięstwem, bo król Francji jest podobno niezdrów. Po jego śmierci delfin zostanie królem. Gaston du Lyon jeździ tam i z powrotem, ponieważ Mediolan i delfin zamierzają zawrzeć przymierze. A później ktoś odnajdzie, oczywiście, złoża w Tolfie. Być może nawet Zaccaria. Ale jeszcze nie teraz. Tę zapłatę otrzymaliśmy za milczenie. Jeżeli dostaniemy choć jedno zamówienie, naprawdę duże, to nam pomoże. I jest jeszcze sprawa jedwabiu.

- Jakiego jedwabiu? - spytał Tobie. Nadal wpatrywał się w dokument.

- Żeby rozproszyć wątpliwości Florentyńczyków. Omówiłem to z Wenecjanami. Florencja otrzymuje także pewną ilość taniego ałunu, lecz w zamian za dostawy taniego jedwabiu dla Zorziego w Konstantynopolu. Florencja chce również prowadzić handel na Morzu Czarnym, ale nie mają konsula. Wenecja nie chce, aby go mieli. Jeżeli cesarz Trebizondy i Medyceusze będą nalegali, Wenecjanie dopilnują, aby agentem została kompania Charetty.

Tobie powoli odłożył papier.

- Łamanie szyfrów - stwierdził.

- Uczciwy handel - uśmiechnął się Nicholas. - Mogliśmy zainwestować w statek. To by się podobało Feliksowi. Juliusz poprowadziłby całe przedsięwzięcie. Musiałby nauczyć się tureckiego.

Jasne oczy doktora mierzyły go badawczym spojrzeniem, jak gdyby szukając choroby.

- Chyba kpisz sobie ze mnie - odezwał się. - Rozmyślasz o innych wyjściach, na wypadek, gdybym to ja miał słuszość i Francja zajęła Italię? Wkrótce jednak delfin może zostać królem.

- Pewnego dnia Feliks stanie się głową przedsiębiorstwa Charettych - powiedział Nicholas. - Podejrzewam, że będzie surowszym zwierzchnikiem niż stary Cornelis kiedykolwiek zdołał być.

Doktor wstał. Podszedł boso do wejścia, zabębnił w słupek, a gdy przyszedł służący, posłał go dokądś z wiadrem i listą poleceń. Odwrócił się, usiadł i naciągnął pończochę.

- Nocą zdarzają się utarczki na równinie. I w dzień także. To nic poważnego. Pokrzykują na siebie, rzucają wyzwania, ale nic ponadto. Dopóki ktoś nie przyśle nam więcej wojsk, nie damy rady przejść do Neapolu obok tego sukinsyna. Lubisz kury?

- Na właściwym miejscu - odparł Nicholas. - A co? Masz jakieś?

- Dwadzieścia tysięcy - oznajmił Tobie. - Wzięliśmy też mnóstwo

mulów. I wołów. I owiec. Zauważyłeś chyba, jak wyglądają pola po tej stronie Tronto. Zboże równo ścięte, powiązane w snopy. Ci Urbinati znają się nieźle na uprawie roli.

Otworzyły się drzwi. Doktor ubierał się dalej, podczas gdy rozłożono i nakryto stół, ustawiając na nim srebrne naczynia. Pojawił się dzban wina i puchary. Ktoś wniósł drugą pryczę. Nicholas wstał i usadowił się przy stole.

- Co zrobili ze zbożem? - zapytał.

- Zawieźli na targ - odparł Tobie. - I sprzedali potrzebującym wieśniakom i ich potrzebującym panom za grube pieniądze. Tylko po to, żeby mieć z czego żyć. Powinieneś zobaczyć, jakie skarby zgromadzili dowódcy. Nie zapytałeś, czy jestem u Lionetta.

Teraz, kiedy zaczął jeść, Nicholas poczuł taki głód, że rozboleły go szczęki.

- Nie musiałem - odrzekł. - Przecież jesteś trzeźwy. Dlaczego pozostałeś w Abruzzi?

- Prosił mnie o to hrabia Federigo - powiedział Tobie. - Dowódca.

- I co?

- To dość niezwykły człowiek jak na kondotiera - ciągnął Tobie. - Słyszałeś o nim. Rządzi Urbino, a to żaden raj. Jego jedynym bogactwem są żołnierze. Dobrzy żołnierze.

Nicholas wpatrywał się w zasłoniętą kurczęciem twarz po drugiej stronie.

- Nie jesteś nikomu nic winien - powiedział.

- Tak też myślałem - uciął Tobie i rozdarł kurczę na dwoje.

Posiłek dawno już dobiegł końca, a oni leżeli uśpieni w ciemności, kiedy nastąpił jedyny nocny alarm - a jego przyczyną nie był nieprzyjaciel. Lionetto szarpał zasznurowane wejścia do namiotów i kopał prycze, jedną po drugiej, a latarnia kołysała mu się w dłoni. Pierwszą rzeczą, jaką Nicholas zobaczył obróciwszy się i zerknąwszy spod przymrużonych powiek, była ognistoruda, sięgająca ramion strzecha, bulwiasty nos i skóra chropawa niczym grube sukno w świetle latarni.

Lionetto rzadko odślaniał w uśmiechu, tak jak teraz, potężne zębiska.

- Niech to kaczki zdepczą - powiedział. - To ten młokos, którego wrzuciłem do morza. Nie zrobił się od tego czystszy.

Nicholas nie odwracał wzroku i leżał nieruchomo. Jego skóra połyskiwała od potu.

Tobie usiadł raptownie. Oświetlone płomieniem nozdrza przypominały skorupkę ślimaka.

- Czy przysyła po niego pan Federigo? - zapytał.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział Lionetto. - Zatem także i Urbino zostało splugawione. Czy to wino? Nie macie chyba nic przeciwko temu? Po tym, co usłyszałem, zachciało mi się pić. O, masz ci los. Rozlałem.

Strużka wina spłynęła na ziemię i na wymięte prześcieradło Nicholas, tworząc kałużę obok jego szyi. Lionetto wybuchnął śmiechem, nie przestając przechylać kielicha, a Nicholas wciąż wpatrywał się w niego bez słowa.

- Teraz wyglądasz lepiej - powiedział Lionetto. - Kiedy jesteś mokry.

Za nimi Tobie był już na nogach: jego łysina lśniła, oczy były okrągłe i groźne.

- On ma więcej cierpliwości niż ja - powiedział. - Jesteś pijany. Zawiadomię o tym.

- Pijany? - powtórzył Lionetto. Podszedł do stołu, wysunął zydell i usiadłszy na nim, napełnił ponownie swój puchar. - Do jutra pół obozu będzie chodziło pijane, przesławny medyku. Będziemy topić nasze troski. Skrywać żalosne, małe lęki. Co teraz pocznie wyniosła wdowa? Córka lichwiarza, której się wydawało, że jest mężczyzną. Ale ty dowiodłeś, że nie jest, prawda, gołowąsie? Poślubiłeś ją. Nie wziąłeś jej do łóżka. Nie mogłeś. Ale dostałeś przedsiębiorstwo. Jakie? Spalone. I nie ma już żołnierzyków. Biedna stara.

- Wieści z Neapolu - Nicholas usiadł na pryczy.

Doktor, wpatrujący się bez drgnienia w Lionetta, pochylił się nagle i wytrącił mu puchar z rąk.

- Czy to prawda? Są wieści z Neapolu?

Lionetto zaryczał. Nicholas podniósł puchar, napełnił go i z trzaskiem postawił przed kapitanem. Później stanął obok doktora przytrzymując jego łokieć.

- Powiedz nam - odezwał się. Strużki wina spływały po jego skórze, łaskocząc ją. Zadrżał.

- Kiedy wyjdziecie - zaczął Lionetto - usłyszycie lada chwila wiwatujących ludzi Piccinina. Niedobitki właśnie napływają. Neapol zgubiony. Ferrante nie żyje. Wojska rozgromione. A wiecie dlaczego? Dlatego, że nie zapłacono kanonierom i przeszli na stronę nieprzyjaciela. Ferrante zapędził księcia Jana z całą jego armią do Sarno. I zamiast wziąć ich głodem, przypuścił atak. Kanonierzy stali na murach i wybijali czerwone dziury w żołnierskich hełmach i pancerzach, aż w końcu nie miał już kto walczyć. - Wypił wino i podniósł głowę, uśmiechając się krzywo. - Ludzie Astorre'a. Używali broni, którą dla niego kupiłeś. Teraz on nie żyje, a wy dwaj siedzicie w bezpiecznym miejscu z pieniędzmi za condottę.

- Milcz - powiedział doktor. Patrzył na Nicholas, który znowu zadygotał.

- Nie - odezwał się Nicholas. - Płacono im rzetelnie. Juliusz dbał o to. A Astorre panował nad nimi.

- To ma niewielkie znaczenie - rzekł Tobie.

Oczywiście, że niewielkie. Astorre. Juliusz. I Feliks.

- Powiedziałbym, że to ma znaczenie dla polityków. Teraz Francja może osadzić w Neapolu swego kandydata. Ale mnie nic się nie stanie. Umowa wygasa we wrześniu i będę mógł wrócić do domu. Albo do Piccinina.

- Co teraz będzie? - spytał Tobie.

- Tutaj? Piccinino nie ma nic do roboty, więc zostanie na tym wzgórzu, zagradzając nam drogę. Być może za tydzień lub dwa książę Mediolanu i papież zbiorą więcej wojsk i spróbują raz jeszcze. Z dodatkowym tysiącem moglibyśmy wydać walkę panu hrabiemu. Moglibyśmy ruszyć na południe i odbić kilka miast, którymi rządził przedtem Ferrante. Ale nie moglibyśmy zająć Neapolu. Do tego potrzebne byłyby nowe wojska na wschodzie. - Nastawił ucha. - Mówiłem wam. Posłuchajcie.

Przez płótno namiotu zaczęły przeświecać jasne i przytłumione płomyki licznych latarni i czerwień podsycanych ognisk. Dał się słyszeć szmer wielu głosów, coraz donośniej szy, a potem ryk i szczekanie rozbudzonych zwierząt.

- Myślałem, że będziecie chcieli wiedzieć wcześniej - powiedział Lionetto. - Niezłe wino. Biorę ten dzban.

Wyszedł. Nikt się nie odezwał. Nicholas puścił ramię doktora i stanął u wejścia pod powiewającym płóciennym skrzydłem. Jak zapowiedział Lionetto, wieść dotarła już do obozu wroga. Ciche z początku wiwaty dobiegały coraz głośniej ze wzgórza.

- Co teraz? - rozległ się pełen namysłu głos Tobiego. - Zacziesz od nowa?

Nicholas stał w progu i nasłuchiwał. Okrzyki z przeciwległego wzgórza brzmiały inaczej niż potężniejące wiwaty. Nikt nie mógłby zrozumieć ich jako oznak zwycięstwa. Były to chaotyczne, pełne ubolewania okrzyki na cześć tych, którzy walczyli dzielnie - i przegrali. Dobiegały z ich własnego obozu. Skrzydło wejścia do namiotu pozostało w zaciśniętej dłoni Nicholasasa. Spojrzał na oderwany kawałek płótna i wypuścił go z ręki.

- Myliłem się - rzekł. - Powiniennem być go uderzyć.

- Mój Boże - powiedział Tobie. - Czy tylko o tym potrafisz myśleć?

Nicholas nie odpowiedział. Pot i wino zdawały się spływać po całym jego ciele, a serce biło niczym kula armatnia, podskakująca na rozpiętej skórze.

- Chodź, popatrz - odezwał się po chwili, nie odwracając głowy.

Tobie podszedł i stanął nieruchomo, patrząc i nasłuchując, podczas gdy

wokół nich przestrzeń między namiotami zarośla się od krzyczących, na pół ubranych lub nagich ludzi. Po chwili zauważył jeźdźców, mijających gęsiego bramy obozowiska, przeciskających się przez tłum i zsiadających z koni wśród wrzawy i blasku pochodni. Wyczerpani ludzie; ranni ludzie. Ludzie, którzy przeżyli druzgocącą klęskę pod Sarno i nie udali się do domów, lecz przybyli tutaj, pod sztandar drugiej armii.

W gęstwinie płonących żagwi przebłyskiwały nieznane twarze i sylwetki. Wtem, nieoczekiwanie, pojawiło się coś znajomego: wasy człowieka imieniem Manfred, głównego koniuszego. Później - czarna, nie okryta hełmem głowa węgierskiego kusznika, z szyją owiniętą białym płótnem. Dalej dwóch mężczyzn w postrzępionej czerni: jeden szczupły i ogorzały, drugi wyprostowany i barczysty, o lekko skośnych oczach i klasycznym nosie. Ten drugi zsunął się z konia, przytrzymując się jedną ręką; drugą miał na temblaku.

- Juliusz - powiedział Tobie nieswoim głosem. - A za nim... Astorre. Najświętsza Panienko! Powinieneś być go uderzyć. Powiniem być go zabić. Zabiję go. Lionetto wiedział, że ocaleli.

Słowa te biegły za Nicholasem, który nie zwracał na nie uwagi, gdyż zanurkował już w ciżbę, przepychając się w stronę napływających pojedynczo, zmizerowanych ludzi. Dotykał każdego z nich przechodząc obok: Manfreda, Godscalca, Abramiego; ramienia Tomasza, który odwrócił zdumioną, poszarzałą twarz. Astorre'a, który ciężko zsiadł z konia, unosząc podbródek i przymykając oczy po obu stronach osłoniętego nosa. Dalej był Lukin. I czarny Loppe o twarzy bez wyrazu. A za nim Juliusz, stojący nieruchomo i wpatrzony w nadchodzącego.

Z tyłu stał Feliks.

- No, jesteś - odezwał się. - Mówiłem wam, że on tu będzie. Niezgorszą mieliśmy bitwę. Szkoda, że cię z nami nie było. Ilu zabiłem? Bo zapomniałem.

- Mówiłeś, że ośmiu - powiedział Juliusz. Nadal stał bez ruchu.

Nicholas nie zbliżał się do nich.

- Tam jest mój namiot - dał się słyszeć głos Tobiego. - Właśnie rozbijają drugi tuż obok. Pomogę Nicholasowi w doglądaniu ludzi i koni. Jadła jest tu pod dostatkiem. Proście, o co zechcecie. Widzieliście się z hrabią?

- Byliśmy właśnie w jego namiocie - odpowiedział chrapliwie Astorre.

- No to chodźcie - rzekł Tobie. Nicholas zauważył spojrzenie, jakie doktor wymienił z Juliuszem. Ciżba zaczęła się rozpraszać.

- Weź się w garść - dodał głos Tobiego. - Czekaj na mnie. Dopilnuję wszystkiego.

Przy wozach było ciemno. Nicholas usiadł w spieczonym pyle i nie był w stanie wziąć się w garść. Nad głową usłyszał głos Juliusza:

- I co się z tobą dzieje, ty głupku? Miałeś nadzieję, że już nie wrócimy?

Nie było po co odpowiadać. Czuł, że Juliusz pochyła się nad nim. Dla kogoś, kto miał połamane kości, było to prawdopodobnie bolesne. Kroki... i inny głos. Tobie powiedział:

- Wszyscy załujemy, żeście wrócili. Mogliśmy się wzbogacić na waszym pośmiertnym żołdzie. Czy nie potrafisz rozpoznać objawów febry? Powiedz Godscalowi, żeby tu przyszedł.

Nicholas otworzył oczy. Tobie klęczał obok niego, sam.

- Zdumiewające - powiedział. - Jesteś człowiekiem. Bo to *naprawdę* febra; dostrzegłem objawy. To przejdzie.

Nicholas oparł głowę o wóz i powstrzymując szczykanie zębów odwzajemnił się drżącym, niewyraźnym uśmiechem.

- Chociaż - dodał Tobie - nigdy się nie dowiemy, co było przyczyną: ulga czy rozczarowanie?

ROZDZIAŁ 36

Jeżeli ktoś cieszy się dobrym zdrowiem, lecz przez całe życie obrywał takie czy inne cięgi, nie jest dla niego niczym nowym to, że odczuwa na przemian zimno i ciepło, gorączkuje, mdli go z bólu. To nic; ból zawsze kiedyś mijał. To samo było teraz w namiocie Tobiego, po mglistym okresie, podczas którego Nicholas niewiele widział, choć niekiedy słyszał głosy. Czasami budził się w ciemnościach, innym razem przy świetle. Nie troszczył się zbyt o to, czy się obudzi czy nie.

Głosem, który dotarł do niego i na dobre rozbudził, był głos kłóącego się Feliksa. Odpowiadał mu głos należący najprawdopodobniej do Juliusza, lecz Nicholas nie znał przedmiotu sporu. Gdy tak leżał, nasłuchując sennie, na łożko padł cień i Nicholas ujrzał Tobiego z ręcznikiem w dłoni.

- O - rzekł Tobie. - Nie odzywaj się, bo będziesz miał ich obu na głowie.

Jego wargi nie chciały się uśmiechać, język nie chciał się poruszać, lecz ośrodek władzy w końcu zwyciężył.

- Dlaczego nie? - spytał Nicholas.

Podkrążone, jasne oczy o zwężonych źrenicach zmierzyły go czujnie.

- Istotnie, dlaczego nie? - powtórzył Tobie. - Piccinino zaczyna się nudzić. Urbino także zaczyna się nudzić. Prześwietni młodzi panice, przewodzący utarczkom słownym po obu stronach, zaczęli rzucać osobiste wyzwania. Za dwa dni odbędzie się turniej, a Feliks chce wziąć w nim udział.

- Turniej? - spytał mętnie Nicholas.

- Na polu walki. Na równinie między obozami. Wszystko pod odpowiednim nadzorem, po ogłoszeniu obustronnego rozejmu. Rycerska chwała. Rycerski obłęd - powiedział Tobie.

- On mówi! - rozległ się głos Feliksa. - Poczuję się lepiej. Nicholasiu? Powiedz im, żeby mnie puścili.

Feliks zbliżył się do pryczy. Pod pachą dzierżył osobliwy hełm, otrzymany od delfina, z czerwonym pióropuszem i głową skwaszonego orła o oczach z krwawników. Pewnie przywiózł go wraz ze swymi rzeczami z Genappe.

W twarzy Feliksa zaszły pewne zmiany: kark stał się tęższy, a nos i kości

policzkowe rozrosły się i okrzepły. Z końców włosów zniknęły loki. Włosy, zepchnięte za uszy, powróciły do naturalnej gładkości, z wyjątkiem miejsca odcisniętego przez ciężar hełmu.

- Ktoś wspomniał, że zabiłeś ośmiu ludzi - powiedział Nicholas. - To kłamstwo. Zagadałeś ich na śmierć.

Juliusz także podszedł bliżej. Rękę nosił nadal na temblaku, a jego silna twarz była bledsza niż zazwyczaj. Przemówił wprost do Nicholas a jak notariusz do czeladnika, jak gdyby znajdowali się w Brugii.

- To prawda. Walczył bardzo dobrze jak na gołowąsa, który nigdy nie słucha, co się do niego mówi. Czy ćwiczył w Mediolanie?

- Tak - odparł Nicholas. - Kto rzucił wyzwanie? - Nie patrzył na Tobiego, czuł jednak jego palący wzrok.

- Zamierzałem walczyć w turnieju Białego Niedźwiedzia - oświadczył Feliks. - Wiesz o tym. Jeżeli mogłem walczyć tam, tym bardziej dam sobie radę tutaj, z kilkoma zadufanymi najemnikami.

- Kto? - powtórzył Nicholas. Z trudem trzymał oczy otwarte.

- Żadne znakomitości - odparł Feliks. - Nardo da Marsciano. Będzie się potykał z Franceskiem delia Carda. I Serafino da Montefalcone rzucił wyzwanie komuś o nazwisku Fantaguzzo da San Arcangelo. Więc i ja rzuciłem wyzwanie. Hrabia powiedział, że mogę.

- Hrabia powiedział - wtrącił Tobie przez zęby - że wszyscy przybyli spod Sarno będą mile widziani w szrankach i że podwoi nagrodę. Feliks może wyzwąć każdego. Nawet samego Piccinina.

- Hrabia? Hrabia by się bał - powiedział Nicholas, spoglądając na Juliusza. Juliusz nieznacznie skinął głową i wzruszył ramionami. - Hrabia wezwałby prawdopodobnie jednego z brackijskich kuszników, by ustrzelił Feliksa w drodze na turniej i miałby to z głowy. Na czym polega kłopot? Skoro Feliks położył trupem ośmiu ludzi, nie widzę sposobu, by jakiś śmiertelnik mógł go powstrzymać.

- Mówiłem, że tak powiesz-oznajmił Feliks. - Musisz przyjść do mnie i pomóc mi w przygotowaniach, i w spisywaniu imion uczestników. Jeszcze nie skończyłem.

- Dla potomości. Ty może nie, ale ja tak - mruknął Nicholas, a jego powieki ostatecznie opadły. Wydawało mu się, że panuje nad sytuacją i otworzy oczy po wyjściu Feliksa, lecz jego ośrodek władzy miał, jak się okazało, inne zdanie na ten temat.

Był to jednak ostatni raz, gdy wbrew woli zapadł w sen.

Kolejne przebudzenie trwało kilka godzin - wystarczająco długo, by mógł zjeść solidny posiłek i wysłuchać nareszcie opowieści o Sarno. Sarno, które powinno było zostać celem długiego, bezkrwawego oblężenia, lecz

dezercje stały się przyczyną pochopnego wypadu na jedną z wież. Pochopny wypad, uwieńczony powodzeniem, przekształcił się w masowy atak, nie zaplanowany, chaotyczny i pozbawiony przywódcy. Atakujące wojska zostały, tak jak powiedział Lionetto, wystrzelane z murów przez własne rusznice.

Astorre jako jedyny w armii zdołał wydostać się z niemal całym swym oddziałem. Wśród jego żołnierzy nie było dezertersów. Król Ferrante z dwudziestoma konnymi zbiegł do Neapolu. Mediolański ambasador stracił wszystkie dokumenty, lecz udało mu się schronić w Nocera. Podobnie Strozzi (stwierdził Juliusz), którzy wysłali już wcześniej z Neapolu wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, w tym także oszczędności. A teraz na polu bitwy pozostał tryumfujący książę Jan z Kalabrii. Wystarczy, by przegrupował wojska i otrzymał niewielkie posiłki, a będzie mógł ruszyć na Neapol i zająć go. Ta armia, tkwiąca tu w Abruzzi i bawiąca się w turnieje, nie zdoła go powstrzymać. Juliusz był pełen wzdry, lecz przez doświadczonego w bojach Astorre'a przemówił głos zdrowego rozsądku. Krzywe oko odzyskało dawny błysk, a kabłąkowane nogi dawną sprężystość.

- Co możemy zrobić? Nie przechytrzymy Piccinina. Nie pokonamy go. Ale jeżeli zostanie, żeby nas pilnować, nie ruszy z pomocą księciu Janowi. Im dłużej go przytrzymamy, tym większe będą nadzieje na posiłki z Mediolanu. Ja powiadam: niech sobie urządza turnieje. Możemy mu nawet zaśpiewać. Wszystko prócz walki, dopóki nie będziemy gotowi.

Obserwując Astorre'a spomiędzy poduszek, Nicholas był świadom, że kapitan unika zwracania się bezpośrednio do niego. Astorre unikał go od chwili powrotu. Nowy małżonek pani, który mógł zadzierać nosa i wydawać rozkazy, zaledwie wczoraj był najczęściej bitym uczniem Astorre'a. Astorre nie wiedział jeszcze, jak ma się zachować. Nicholas to rozumiał. Miał nadzieję, że Astorre okaże dość rozsądku, by pójść ze swym kłopotem do Juliusza, wykazującego dotychczas osobliwy brak zaciekawienia odnośnie małżeństwa pani - być może ze względu na dyscyplinę narzuconą przez mrukliwego doktora. Rozmowa z Juliuszem była nader wskazana, i to jak najszybciej.

Sposobność nadarzyła się w dniu turnieju, który bynajmniej nie miał przypominać bójkę na klepisku. Żołnierze hrabiego mieli potykać się z rycerzami księcia, a honor obydwu stron wymagał od nich przepychu.

Brugijskie Towarzystwo Białego Niedźwiedzia nie spisałoby się lepiej. Ożywieni duchem współzawodnictwa cieśle obydwu armii wzniesli trybuny i zatknęli chorągwie; robotnicy ustawili malowane, obszerne namioty, obwieszane tarczami. Słońce zapalało iskry w trąbach i wyszywanych kaftanach heroldów, lśniło i połyskiwało w mieniących się łuskach i płytkach

zbroi. Konie zamiatały murawę haftowanymi czaprakami o wyrazistych barwach a grzywy ich ozdobiono piórami i kitami. Ptaki i zwierzęta, groteskowo przystrojone, wyskakiwały z hełmów uczestników i kroczyły śladem swych panów jak niepokojąco ożywione obrazy z bestiarium. Nieprzyjacielskie wojska tkwiły bezczynnie za namiotami po obu stronach szranków. Był tam i Nicholas, wsparty na zdrowym ramieniu Juliusza.

Kapitan pomagał Feliksowi w przygotowaniach. Z miejsc, które wyszukał dla nich Juliusz, widzieli w oddali błękit Charettych.

- Nic mu nie będzie - powiedział Juliusz. - Jest szybki. Nawet Astorre był zdziwiony.

- Nie dopuściłem go do turnieju Białego Niedźwiedzia - odezwał się Nicholas. - On o tym nie wie.

Juliusz spojrział na niego z ukosa.

- Wysłałeś Feliksa do Neapolu. Nie wmawiaj mi, że nie mogłeś go powstrzymać. Jeżeli przełknął twoje małżeństwo, przełknąby wszystko.

- Czy Astorre przełknął moje małżeństwo? - spytał Nicholas.

Juliusz uśmiechnął się krzywo.

- Czy mam powtórzyć, co powiedział, kiedy o tym usłyszał?

- Nie - odparł Nicholas.

- Myślał, że Meester Tobiasz przeszedł na stronę Lionetta. Omal mu nie odpadło drugie ucho. Dlaczego gdy Feliks powiedział mu, że jesteś właściwie tylko zarządcą, a Tobiasz wcale nie wrócił do Lionetta, poczuł się lepiej.

- Widziałem, że czuje się lepiej - rzekł Nicholas. - Tył jego głowy niemal mnie przypiekał. Powiedz mu, że wdowa z radością powierzy wszystko jemu i Tomaszowi. Skąd miałbym wiedzieć, co mu nakazywać?

- Powiem mu - odparł Juliusz z powątpiewaniem. - Ale co będzie, kiedy zechcesz mu coś nakazać?

- Feliks mu to powie.

Lekko skośne, wąskie oczy spojrzały na Nicholasa.

- Feliks jest dziedzicem kompanii Charetty - dorzucił Nicholas. - Nie zapominaj o tym. On i jego matka są właścicielami. Ja jestem jedynie kimś, kto ma wobec nich pewien dług.

- Tak jak wobec Jaaka de Fleury? - spytał Juliusz. - On cię także wychowywał. Jest jeszcze Szymon z Kilmirren. Nauczył cię pływać. Dla niego też byłeś miły. Spodziewam się, że zamierzasz podziękować temu komuś (kto to był? zawzięty ojciec-lutnista?), kto pozostawił ci ten wytworny znak na policzku. Chyba nawet wobec Lionetta masz jakiś dług. Wskazuje na to sposób, w jaki godzisz się, żeby robił z tobą, co mu się podoba.

Nicholas rozstał się z Juliuszem w Mediolanie przed sześcioma miesiącami, kiedy to Astorre poprowadził żołnierzy w stronę Neapolu. Utracił zdolność rozumienia Juliusza. A Juliusz nigdy nie rozumiał jego.

- Oszczędzałem go dla Astorre'a - powiedział Nicholas. - Czy już się spotkali?

Rozbawiony Juliusz uśmiechnął się zniewalającym, wieloznacznym uśmiechem.

- Pierwszego ranka - powiedział. - Z równymi honorami. Choć nie, przewaga była po stronie Astorre'a. Miał więcej do stracenia niż Lionetto. Na razie poprzestają na utarczkach słownych.

- Są w końcu po tej samej stronie - stwierdził niejasno Nicholas. - Czy zatem Astorre chce pozostać u Charettych?

- Postępuj z nim taktownie - odrzekł Juliusz. - Wtedy zostanie.

- A ty? - spytał Nicholas. Czekał.

Juliusz nie patrzył w jego stronę. Wpatrywał się w szranki, gdzie powstał już wzór: znajomy układ oficjalnego turnieju. Trawa między barierkami była czysta i zielona. Po obydwu stronach oczekiwali gotowi do walki uczestnicy w zbrojach i hełmach. Słońce wzniesło błyski w uniesionych trąbach, a z oddali dobiegło złowieszcze bicie w bębny. Juliusz odwrócił głowę.

- Zostanę - powiedział. - Dopóki nie odkryję, jak to robisz.

- Co takiego? - spytał Nicholas.

- Jak robisz pieniądze. A co myślałeś? Tam jest Feliks - wskazał Juliusz.

Obydwoj umilkli i patrzyli.

Zaszczyty przypadły tego dnia w udziale rycerzom hrabiego Federigo, Feliksa zaś nie spotkała żadna krzywda. Jego twarz, promieniejąca pod warstwą kurzu, zwieńczona wawrzynem, odwracała się w oszołomieniu na wszystkie strony, gdy maszerował w gronie zwycięzców, poprzedzany przez bębny, pogwizdywania i dźwięki trąb obu armii. Loppe, przyodziały w błękitny jedwab Charettych, niósł za Feliksem wygraną sakwę pełną złotych monet.

Pochód dwukrotnie okrążył pole i rozdzielił się na dwie części. Powoli, jak gdyby rozstępowało się Morze Czerwone, widzowie odeszli w dwie strony: połowa ku wzgórzom, połowa ku namiotom na równinie. Robotnicy w pośpiechu rozbierali trybuny. Dowódcy oddziałów, pozdrawiając się krótko nawzajem, ruszyli w przeciwnych kierunkach przy wtórze bębnow i pod powiewającymi sztandarami. Feliks, który opuścił uroczysty pochód tuż po wkroczeniu do obozu, sapał i stękał, poszturchiwany przez przyjaciół, lecz nie spuszczał oka z Loppego i sakiewki. Tobiego nie było.

- No i co - zaczął Feliks - *widzieliście?*

Nie będąc tak uprzywilejowanymi istotami jak Feliks, jego przyjaciele nic nie widzieli.

- I nie *słyszeliście?* - zdumiewał się Feliks. - Jeden z mediolańskich oficerów stracił panowanie nad koniem i galopował na ukos przez pole dokładnie w chwili, gdy de Marsciano ruszał w szranki. Omal się nie zderzyli. Byliby się pozabijali, gdyby nie hrabia Federigo. Puścił galopem swego bojowego rumaka, wjechał pomiędzy nich i odciągnął konia tego oficera. Ale kiedy spał ostrogą własnego konia, ten dał takiego susa, że niemal zgruchotał mu grzbiet. Wydostał się, ale nie może się ruszać. Jest w agonii.

- Hrabia Federigo? - zapytał Tomasz.

Przebiegający obok Astorre zatrzymał się przy nim.

- Po co tu stoicie? Jonkheere Feliksie, rozdziejcie się i natrzyjcie ciało. Hrabia Federigo? Żyje. Stłukł sobie grzbiet, dlatego nie może się ruszać. Meester Tobiasz i Meester Godscalc dopilnują wszystkiego. Tak czy inaczej, otrzymaliśmy już nagrodę. Wręczył ją Messer Alessandro. Zaczyna sakiewka dla zwycięskiego rodu Charetty. Trzy razy „hurra” na cześć...

- Strata czasu - wtrącił Juliusz. - O ile znam Feliksa, nie da nikomu ani grosza. Co teraz pocniemy bez naszego dobrego dowódcy, pana Federigo Montefeltro, hrabiego Urbino?

- Dowództwo przejmie Sforza z Pesaro - powiedział Nicholas. - Messer Alessandro, brat księcia Mediolanu. Teść pana Federigo.

- Powiadają - zaczął Juliusz - że Alessandro rwie się do walki. Nie sądzicie, że może ją wywołać?

- Nie wiem - odparł Nicholas - choć próbuję zgadywać, ze względu na Astorre'a. Zamierzam być gotów do drogi powrotnej, zanim cokolwiek się wydarzy. Mam nadzieję, że Tobie wybierze się ze mną, gdy już wyleczy hrabiego. I myślę, że Feliks może już wreszcie, syt chwały, powrócić do Brugii w swym laurowym wieńcu.

- Tobie? - zapytał Juliusz po chwili.

- Pracowałem z nim - powiedział Nicholas. - Jest niemal tak dobry jak ty. Lepiej daje na przeczyszczenie.

- Dziękuję ci - rzekł Juliusz. - Nad czym pracowaliście? - spytał.

- Nad robieniem pieniędzy - odpowiedział Nicholas. - Gdybyś nie został z Astorre'em, poprosiłbym, żebyś przyłączył się do nas. To są interesy Charettych, lecz spoczywają teraz w moich rękach, nie pani. Wyszukałem dla niej notariusza. Gregoria z Asti.

- Feliks mnie powiadomił. Słyszałem o nim. Czy Feliks wie, o czym mówisz? - zapytał Juliusz. Wydawał się zaskoczony.

Nicholas wyszczerzył zęby.

- To pierwsza tajemnica, jakiej udało mu się dochować. Ostrzegłem go, że jeżeli powie komukolwiek, straci wszystkie pieniądze.

- Nie wydaje mi się, abym był ci potrzebny. Tę sprawę, na czymkolwiek by polegała, masz już za sobą.

- Ty w tym czasie wygrywałeś wojny w Neapolu - rzekł Nicholas.
- Teraz trzeba tym pokierować i naprawdę proszę cię, żebyś się do nas przyłączył. Jeżeli nie masz ochoty, trudno, nie będę kłopotał cię szczegółami. Jeżeli masz, powiedz mi. Ale nie ma pośpiechu. Tobie musi poskładać do kupy hrabiego Federigo, zanim będziemy mogli odjechać. Dobrze przynajmniej, że on nie śpiewa.

Był zadowolony, że dotarli do namiotu, bo gorączka osłabiła go bardziej niż by sobie tego życzył. Juliusz odszedł. Był dość małowówny i niczego nie obiecywał, lecz Nicholas przychylił się do wniosku, że wróci z nimi do Brugii. Leżąc już na pryczy zaczął rozmyślać o oddziale Astorre'a, lecz zasnął niemal natychmiast.

Kiedy się obudził, było już ciemno, a na drugiej pryczy Tobie czytał przy świetle świecy. Nicholas poruszył się, a Tobie nie podnosząc głowy rzucił:

- Czy nawróciłeś Juliusza? Uznałeś chyba, że warto.

- Zostawiłem mu furtkę - powiedział Nicholas. - Mamy dość czasu, by zbadać jego znajomość tureckiego. Co z hrabią?

- Będzie żył - odparł Tobie. Zrzucił papiery na ziemię. - Trzydziesto-ośmioletni, z jednym okiem, złamanym nosem, osłabionym grzbietem. Jego grzbiet spruł się od środka jak stara kołdra i nie może ruszyć ręką ani nogą, ale wyżyje. Za dwa tygodnie stanie na nogi.

- Juliusz twierdzi, że Alessandro pragnie walki - rzekł Nicholas.

- Alessandro - odpowiedział Tobie - pragnie wyruszyć, póki Urbino jest chory i odnieść zwycięstwo w bitwie. Odbyli właśnie naradę wojenną przy łożu hrabiego. Z umysłem i językiem wielmożnego Federiga wszystko jest w najlepszym porządku. Przez pół godziny udawał, że nie mamy dość żołnierzy, by atakować, i że tamci są wzburzeni ciągłymi utarczkami słownymi. Musimy wstrzymać się i zaczekać.

- Ale? - zapytał Nicholas.

- Ale córka Alessandra jest jego żoną. Musiał pójść na ustępstwa. Za dwa dni Sforza będzie mógł przypuścić ograniczony atak na jedno skrzydło wojsk nieprzyjaciela, używając do tego zaledwie trzech szwadronów. Może uszczuplić ich zapasy i liczbę ludzi. Jeżeli przegra, nie oznacza to utraty całej armii.

- Astorre? - rzucił Nicholas.

- Dzięki Bogu, nie - odparł Tobie. - Ludzie spod Sarno dość już uczynili. Weźmie nowe szwadrony; tych, którzy nie utoczyli jeszcze krwi i nie mogą usiedzieć na miejscu.

- Chcę wracać do Brugii - powiedział Nicholas.

- Będziesz mógł wyruszyć za kilka dni - stwierdził Tobie. - Gdybyś zaczekał nieco dłużej, pojechałbym z tobą. Inaczej odejdziesz ze wszystkimi pieniędzmi. Czy Juliusz wie, że biorę w tym udział?

- Nie był oburzony, kiedy się dowiedział. A gdy mowa o pieniądzach, spoczywa na nich drapieżne oko Feliksa. Nie musisz się tym trapić.

- Oczywiście - rzekł Tobie. - Czy nie pokazał, ile jest wart? Nie sędzę, by istotnie marzył o życiu toczącym się wśród pól bitewnych. Jesteś swego rodzaju geniuszem, wiesz? Przekonanie Feliksa, że jego domem jest Brugia, że to on kieruje kompanią, a ty jesteś tylko zarządcą u jego matki, to prawdziwy wyczyn. Nie może cię nawet zwolnić.

- Nie. Ale ja mogę zwalniać innych - powiedział Nicholas.

- Nie lubisz dokładnych badań? - mruknął Tobie. - Ale na tym polega mój zawód. I musisz chyba do tego przywyknąć. Zbyt dużo wiem.

- Wiesz to, co ci zawierzyłem - powiedział Nicholas. - Jeżeli chcesz pieniędzy, nie straciłeś na tym. Jeżeli chcesz się zabawić, nie krój zbyt często i zbyt subtelnie, gdyż może ci zabraknąć materii.

Kolejne dwa dni nie były przyjemne z uwagi na zamęt panujący w obozie, gdyż jeden szwadron po drugim wykłócały się o prawo uczestnictwa w zapowiadanim ataku, by zdobyć sławę i mamonę. Przykuty bólem do łoża w swym namiocie hrabia Urbino podejmował daremne próby rozplatania tego węzła, nie mógł jednak unieważnić własnego postanowienia, przekazującego dowództwo Alessandrowi Sforza. Jeszcze przed dniem ataku część obozu stanęła pod bronią - i nie były to wyłącznie trzy szwadrony, które wybrał Sforza, by poprowadzić je na równinę.

Nie udało się także utrzymać tajemnicy przed wrogiem. Nie tylko fakt samego ataku wydawał się znany, lecz i jego rozmiary. Kiedy Sforza opuścił obozowisko, Piccinino również - jak zauważono - ruszył ze swego wzgórza. Trzy szwadrony Sforzy pędziły naprzód z jednej strony, z przeciwnej zaś runęły im na spotkanie podobne oddziały.

Paltroni, sekretarz hrabiego, czekał przed jego namiotem na gońców i przekazywał hrabiemu przynoszone przez nich wieści. Zanim hrabia zdążył wydać rozkazy, grupka jego głupawych oficerów postanowiła prowadzić dalsze działania. Otwarto bramy. Czwartym szwadron, dosiadłszy w pośpiechu koni, wypłynął przez bramę i ruszył galopem w ogień walki. Na przeciwnym wzgórzu przez bramy, otwarte również w odpowiedzi, zaczęli wylewać się jeźdźcy.

Na równinie ścierały się bez ładu czy strategii dwie siły. Dudniącemu tętentowi kopyt wtórował głuchy szcęk tarcz, włóczni i pik, metaliczny brzęk stali uderzającej o stal. Nieustające okrzyki ludzi, kwik i rzenie koni wisało ciężko nad polem bitwy. Woal czerwonej kurzawy uniósł się, zafalował i opadł, spowijając ciemną, połyskliwą masę na równinie.

Kłębowisko, widoczne przez mgłę, przypominało rój pszczół. Splątane, przemieszczało się w różne strony, a jego obrzeża zmieniały kształt w zależności od tupiących pęcín i kołyszących się okrężnymi ruchami końskich zadów. Nowe oddziały ruszyły galopem, najpierw z jednej, potem z drugiej strony, rozdzieliły się i włączyły w wir walki.

Ludzka masa rozproszyła się nieco. Tam, gdzie toczono najzawziętszą walkę, powstały ciemne szczeliny, których przyczyna pozostawała niewidoczna. Żywi ludzie tworzyli nowe skupiska i szeregi, a linia walki zaczynała się wydłużać. Ze wzgórza płynął niemal ciągły strumień jeźdźców.

Astorre, który wraz z innymi kapitanami obserwował bitwę z najwyżej położonego miejsca w obozie, odwrócił się nagle na pięcie i powiedział coś do Tomasza. Niedługo potem żołnierze spod Sarno uzbroili się na równi z resztą obozu, dosiedli koni, czekali i patrzyli.

Nie było wśród nich Tobiego. Był za to Juliusz w zbroi i hełmie, z lewym ramieniem wyjętym z temblaka. Zauważył spoczywające na nim oko Astorre'a, lecz kapitan milczał. Juliusz mógł utrzymać włócznię lub miecz i kolanami poprowadzić konia. Jeśli będzie musiał.

Nie wydano rozkazu powszechnej gotowości do akcji bojowej. Gdyby pozwolono wyruszyć pozostałym oddziałom, rozgorzałaby regularna wojna. Skoro jednak nie wyruszały, na równinie mogła nastąpić rzeź, a wojska Piccinina zalałyby wszystko. Jak dotąd, rozkaz brzmiał: „Czekać”. Nie było jednak Tobiego, co miało inne znaczenie.

Feliks włożył swój wymyślny hełm. W jego cieniu błyszcząły szare, płytko osadzone oczy w pobladłej twarzy. Zbroja lśniła w słońcu. Wszyscy nosili rękawice, a ludzie z oddziału Astorre'a zdobiły błękitne wstęgi Charettych. Sam Astorre także miał na głowie swój najlepszy hełm z osłoną na nos. Pióropusz, tak zawadiacki w Mediolanie, zwisał nad jego brodatą, zapalczywą twarzą. Nieustannie wykrzykiwał coś do Tomasza, który stał po drugiej stronie i milczał, a jego dłoń gładziła rękojeść miecza.

Juliusz rozglądał się ustawicznie. Abrami. Manfred. Postawny mężczyzna w solidnym półpancerzu odezwał się z tyłu:

- Nie widzę Lionetta. Czy już odjechał?

Spod hełmu wyjrzała znajoma twarz Nicholasa z nieznaną bliźnią i obydwoma dołkami w policzkach.

- A ty co tu robisz? - spytał Juliusz.

- Niewiasty wyrzuciły mnie z namiotu - odparł Nicholas. - Nie zdążyłem nic zrobić. Tobiego tutaj nie ma.

- Wiem. To znaczy, że... na Boga, wyszedł - powiedziała Juliusz.

Nikt nie pomyślał, że mówi o Tobiem, choć doktor pojawił się właśnie przed namiotem Urbina. Patrzyli na samego hrabiego Federigo, który - podtrzymywany i sztywny jak rzeźba nagrobna - dosiadał bojowego rumaka.

Hrabia nie miał na sobie zbroi. Narzucił skórzany kaftan, zawiązany czyjąś ręką, na bandaże, w które Tobie spowił go od szyi po pas. Zamiast hełmu nasunął lekką czapkę na przerzedzone, falujące włosy, przypłaszczone od leżenia na poduszce. Wyzierała spod nich szeroka, zmizerowana twarz, zapadnięte oczy i rozszczepiony nos, wszędzie rzucające się w oczy.

Były to jedyne obrażenia, jakich zaznał w życiu podczas licznych wojen. W dodatku omal nie przypłacił tego życiem; a przyczyną były jedynie przyjacielskie potyczki w rycerskim turnieju. Teraz plecy stanowiły jego słabą stronę. Jechał poszarzały z bólu, łapiąc z trudem oddech. Dotarł do wzniesienia, wstrzymał konia i skupił na sobie uwagę, tak by móc przemówić do wszystkich. Następnie, nie zważając na ból, nabrał powietrza w płuca i upewnił się, że jego donośny głos będzie słyszalny.

Nie obciążał winą Alessandra. Nieprzyjaciel po prostu wysyłał kolejno w bój wszystkich żołnierzy; musieli zatem uczynić to samo lub przegrać. Ich własne oddziały zanadto już się rozproszyły. Jeżeli nie otrzymają posiłków, wróg przedrze się tu niebawem. Zajmie wówczas cały obóz i nastąpi kres wszelkich nadziei na dotarcie do Neapolu i pomoc królowi Ferrante w obronie stolicy. Hrabia ufał, że niektórzy z najciężej doświadczonych w walce unikną tej bitwy, lecz los chciał inaczej. Niech ich Bóg wynagrodzi.

Nie było czasu na nic więcej. Dosiedli koni. Juliusz zwrócił się do swego byłego czeladnika:

- Na miłość Chrystusa... czy to twoja pierwsza bitwa?

- To łatwe - odparł Nicholas. - Utrzymuj się na koniu i stosuj uniki. Co ty tutaj robisz? Jesteś notariuszem.

- To samo co ty. Czuję się bezpieczniej u boku Astorre'a niż na tyłach, z pakunkami. Trzymaj się blisko niego i rób, co ci powie.

Nicholas wybuchnął śmiechem. Zanim Juliusz zdążył zapytać o przyczynę, znaleźli się za barierkami i podążali truchtem, a następnie kłusem ku polu bitwy; chorągwie łopotały nad nimi, a poprzedzał ich ostry dźwięk trąb.

Bitwa pod San Fabiano, tak nieudolnie rozpętana, trwała siedem godzin. Zanim zmierzch położył kres rozlewowi krwi, okazało się już, że bój ten należał do najokrutniejszych w owym czasie. Zabito czterysta koni. Trudniej było policzyć, ilu żołnierzy straciło życie, jako że obie strony

zabierały swoich poległych. Dodatkowa szarża pod wodzą hrabiego Urbino odsunęła zagrożenie od obozu. Tymczasem jednak cała armia Piccinina wydała walkę wszystkim siłom, jakimi dysponowali Sforza i Urbino - i nie oszczędzono nikogo.

Bitwa, która przestała już być jedną potężną utarczką, rozproszyła się i rozdzieliła, to zagrażając obozowisku Urbina, to spychając ludzi Piccinina ku zboczowi wzgórza. Padłe konie leżały niczym głazy. Inne, powalone i szamocące się jeszcze, przygniatały i ściągały na ziemię jeźdźców. Wszędzie leżeli ludzie. W ferworze walki trudno było patrzeć pod nogi i pilnować kroków. Później, o zachodzie słońca, można było deptać konających lub zrzuconych na ziemię ludzi, którzy próbowali walczyć i uciekać, bądź stali oszołomieni, półprzytomni z wyczerpania, ran i upału.

Juliusz przeżył - podobnie jak Astorre. Nie rzucał słów na wiatr mówiąc o bojowych uzdolnieniach Astorre'a. To właśnie kapitan potrafił najlepiej: prowadzić żołnierzy w bój, komenderować nimi, podsycać ducha i chronić ciało.

Nie zdołał uchronić w tym dniu swego oddziału. Nikt nie zdołał. Najbardziej ucierpieli kanonierzy, w mniejszym stopniu nawykli do walki wręcz. Nie wzięli nawet z sobą rusznic, które i tak byłyby beзуżyteczne. Kuszownicy natomiast spowodowali obustronne jatki. Aż nazbyt krwawe. Juliusz widział padającego Abramiego, a potem Lukina, najlepszego kucharza i furazera, jakiego Astorre miał kiedykolwiek. Kowal Manfred wcześniej stracił konia, lecz wyswobodził się i dosiadł innego. Później Juliusz dostrzegł obok siebie Nicholasa i uradowało go to.

W pewnej chwili zobaczył w pobliżu także Feliksa; następnie młodzieńiec runął w bok, aż hełm podskakiwał; aż wreszcie przywołał go Astorre. Przez cały czas wszyscy pilnowali Feliksa i starali się znaleźć blisko niego, gdy tylko mogli. Był synem chlebobawczyni, na tyle wartościowym i odważnym, niech go diabli, by w granicach rozsądku podejmować ryzyko. Juliusz spędził sporo czasu - gdy nie walczył - doglądając Feliksa. Widział, że Nicholas postępuje podobnie. Nawet Tobie. Najbardziej zdumiewał go widok Tobiego bez hełmu, stojącego i wstrzymującego konia jedną ręką, podczas gdy drugą pomagał w podsadzeniu na siodło spowitego w bandażę hrabiego Federigo, który właśnie zsunął się z konia. Później, porwany przez wir walki, Juliusz stracił z oczu łysinę medyka.

Jego ramię otrzymało tak liczne ciosy, że prawie go nie czuł, a dłoń w rękawicy przypominała siekane mięso. W pewnej chwili Juliusz uniósł głowę i szeroko otworzył suche, płonące oczy. Zobaczył, że słońce chyli się ku zachodowi, a na równinie ciemnieją ciała poległych.

Jeźdźcy, którzy ocalili, poruszali się wolno na kulejących koniach

i zastawiali drogę nieprzyjacielowi raczej swą fizyczną obecnością niż wywijaniem włóczniami czy mieczami. Trwały utarczki słowne, a rozproszone kompanie zaczęły gromadzić się na nowo, tworząc zwarte grupy, lecz nie rzucając wyzwania. Niebo, zabarwione odcieniem różu, zdobiły małe, pikujące ptaki, których świergot zagłuszała tuż przy ziemi fala ludzkich krzyków.

- Ustawcie się - rozkazywał Astorre. - W szeregu. Hrabia każe odtrąbić odwrót.

Tobie nadal przebywał w pobliżu hrabiego. Manfred. Nicholas odwracał głowę, a za nim - na Boga! - Lionetto. Był tam także Tomasz. A Feliks? Juliusz rozejrzał się, wyciągając szyję. Dostrzegł jakiś poblask. Piccinino także wycofywał z pola swoich ludzi, a jego trębacze czekali na znak.

Równina nadal pełna była ludzi powracających pieszo lub walczących resztkami sił, nieświadomych jeszcze, że nastąpiło zawieszenie broni.

Był wśród nich Feliks, z gołą głową i bez konia. Nie walczył, lecz wydawało się, że czegoś szuka. Juliusz zawołał gromko. Jeszcze donośniej szy głos Astorre'a przyciągnął wzrok Feliksa w chwili, gdy rozbrzmiały trąby - i młodzieniec zrozumiał, że bitwa skończona. Wyprostował się z uśmiechem i pomachał ręką. Trzymał pod pachą swój hełm. Szkarłatny pióropusz wózków się po ziemi, głowa orła spoglądała ku niebu.

- Szybciej, ty głupcze! - warknął Juliusz.

Miał na myśli Feliksa. Tymczasem Nicholas spiął konia i pognął w stronę równiny i krocącego Feliksa. Jadąc zakreślił łuk, by odgrodzić plecy Feliksa od zacieśniającego się, wrogiego szeregu. Feliks, uświadomiwszy sobie nagle to wszystko, puścił się pędem. Nicholas zawrócił konia, by zrównać się z nim w drodze.

Odwrot nie był powszechny. Trąby Piccinina nie odezwały się jeszcze, choć jego wojska niemal w całości powróciły do szeregów. Zbłąkany jeździec, który wyrwał się z oddziałów Urbina, przyciągnął najprawdopodobniej uwagę któregoś z bieglech w swej sztuce kuszników. Nawet w dogasającym świetle człowiek na koniu stanowił łatwy cel.

Juliusz, obserwujący tę pojedynczą akcję ratunkową, krzyknął, dostrzegłszy błysk unoszonej broni. Nicholas usłyszał ten krzyk. Nie miało to znaczenia. Strzała była już w drodze.

Wstrzymując konia, Nicholas właśnie pochylił się, aby wciągnąć Feliksa na siodło, kiedy Feliks stęknął cicho. Rozchylił wargi. Zamiast wskoczyć na siodło, osunął się z wolna na kolana. W chwilę później Nicholas zsuwał się już z konia, odrzuciwszy wodze. Ludzie zobaczyli, że klęka obok Feliksa, obejmuje go za ramiona i podtrzymuje, oglądając jego plecy. Strzała tkwiąca między łopatkami Feliksa była wyraźnie widoczna.

Juliusz zaczął ponaglać konia, lecz po chwili zsiadł i pobiegł sam, widząc, że Tobie postępuje tak samo. Po pojedynczym strzale żywi wycofali się z pola. Nikt się nie ruszał po żadnej ze stron, jeśli nie liczyć kołysania, szurania nóg czy chwiejnego podtrzymywania rannych. Trąby wygrywały ostatnią kadencję. Juliusz dotarł wreszcie do postrzelonego chłopca.

Przy boku Feliksa był już Tobie. Nie dotknął go nawet; spojrzął tylko na Nicholasa, potem na Juliusza, a następnie lekko pokręcił głową.

Nicholas przemawiał właśnie do Feliksa. Jego cichy głos szemrał coś także wówczas, gdy Juliusz podszedł blisko, lecz nie można było zrozumieć słów. Od czasu do czasu Feliks zadawał pytanie, na które Nicholas odpowiadał. Jednym ramieniem podtrzymywał chłopca, drugim obejmował plecy tuż pod śmiertcionośnym grotem. Głowa Feliksa wysunięta była do przodu, policzek wsparty na ramieniu Nicholasa. Brązowe, przycięte włosy powiewały lekko w podmuchach wieczornego wiatru.

- Wyciągnę to, a ty go połóż - powiedział Tobie. - Wtedy odejdzie, Nicholasie.

- On wie - odparł Nicholas.

Spuścił oczy. Z pewnością coś zostało przekazane. Oderwał spojrzenie od twarzy Feliksa, odszukał oczyma Tobiego i dodał:

- Tak. Zanim nasili się ból.

Ludzie jęczeli na pobojowisku, lecz Feliks nie wydał- dźwięku, gdy wyciągano strzałę, mimo że Juliusz usłyszał szarpnięcie i zobaczył tryskającą krew. Tobie rozluźnił napierśnik, a Nicholas ostrożnie złożył lekkie, sprężyste ciało na ziemi.

Feliks wyglądał mizernie - tak jak wówczas, gdy o dzień wcześniej wypił za dużo, bawił się ponad miarę lub zbyt długo przebywał z Grielkine. Spojrzenie jego dużych, płaskich i matowych oczu nie opuszczało Nicholasa.

- Dlaczego ożeniłeś się z moją matką? - zapytał.

- Bo kocham was oboje - odparł Nicholas.

Po krótkiej chwili Tobie odezwał się cichym głosem:

- Zamknij mu oczy.

Nicholas zaniósł Feliksa de Charety z pola do namiotu, choć pod koniec drogi Loppe przybył z pomocą. Później doktor opuścił skrzydło wejściowe i przez pewien czas nie opuszczał namiotu.

Nicholas nie opuścił go wcale, musiał zatem nocować wewnątrz. Nazajutrz, kiedy pojawił się w obszernym namiocie Astorre'a, jego juki przy siodle były już spakowane; minął jednak Juliusza i innych bez słowa. Zamiast niego odezwał się Tobie:

- Nicholas uważa, zapewne słusznie, iż matka chłopca powinna

dowiedzieć się jak najprędzej. Po pogrzebie wyruszy, niezależnie od gorączki. Zabierze Loppego, ale byłbym spokojniejszy, gdybyś i ty z nim pojechał. Jeżeli, rzecz jasna, w ogóle chcesz wracać do Brugii.

Juliusz wiedział, jaki to dzień. Była środa, dwudziestego trzeciego lipca. Bez względu na okazywany pośpiech Marian de Charetty nie dowie się o śmierci syna przez wiele tygodni; być może aż do września.

- A co z tobą? - spytał. - Nie, oczywiście... tylu rannych.

Oczy doktora były podpuchnięte z niewyspania.

- Mam pełne ręce roboty. Niepotrzebna tragedia... o ile istnieją inne. Wygląda na to, że wyszliśmy na tym najgorzej. Ale i Piccinino raczej nieprędko zaatakuje, jeżeli w ogóle; zbyt wiele stracił. Astorre pozostanie, by dotrzymać umowy, a ja oczywiście oddam mu Godscalca. Wrócę do Brugii, kiedy będę mógł.

- Pojadę - powiedział Juliusz. - Feliks, Claes i ja. Nicholas. Wiele razem przeszliśmy, a Feliks był dobrym chłopakiem. Nie przypuszczałbym jednak... - urwał.

Doktor utkwiał w nim swe osobliwe oczy pustułki.

- Że Nicholas w ten sposób przyjmie to, co się stało? Ty i ja widzieliśmy już śmierć w bitwie. Dla niego był to pierwszy raz.

- Tak... I do tego czeka go spotkanie z matką chłopca. Wdową. Jego żoną - dorzucił Juliusz beznamiętnie.

ROZDZIAŁ 37

W mediolańskim Hospitio Puthei głęboko zdruzony i przygnębiony Gaston du Lyon odkrył ku swemu zdumieniu, że dwaj członkowie niezwyklej choć niewielkiej kompanii Charetty bez zapowiedzi przybyli do miasta.

Dochodzenie wykazało, że zatrzymali się na noc w oberży, lecz nie w tej, co zwykle - „Pod Kapeluszem”. Odwiedzili jedną osobę - sekretarza księcia Mediolanu, by przekazać mu niewiarygodne wprost wieści o druzgocącej kłęsce pod San Fabiano (co w połączeniu ze stratami poniesionymi pod Sarno wycisnęło księciu łzy z oczu). Później, jak powiadomił go zaufany goniec, młodzi ludzie wrócili do gospody, nie zaglądając do Castello ani do Acciajuolich, ani na Piazza Mercanti; ani nawet nie odbyli wieczornej przechadzki po placach miejskich.

Rankiem mieli wyruszyć na północ. Jednym z nich był ów obiecujący młodzieniec, którego przesłuchiwał podczas polowania opodał Genappe delfin, zwierzchnik Gastona. Jeżeli wiozł jakieś przesyłki, Gaston rad by się dowiedział, co to jest. Chciał także dorzucić kilka własnych.

Gaston du Lyon, szambelan, koniuszy i krajczy Najjaśniejszego Pana Delfina z Vienne, pierwородnego syna Jego Chrześcijańskiej Wysokości króla Francji, posłał marcepan w podarunku przez pięciu służących; którym kazał sprowadzić pana Nicholasa i jego towarzysza do Hospitio, póki pora nie jest zbyt późna.

Przybyli nie zmienwszy stroju, co było oznaką braku poszanowania, lecz mogło się zdarzyć, gdy ludzie w pośpiechu przynosili ważne wieści. Ci uczestniczyli nawet bezpośrednio w bitwie. Wesoły chłopak, Nicholas, bardzo się zmienił od owej pamiętnej lawiny. Nic dziwnego, gdy zważyć, z czym miał teraz do czynienia. Drugi, dobrze zbudowany mężczyzna, którego Gaston widział poprzednio razem z Nicholasem, był notariuszem Charettych i nosił imię Juliusz. Na zewnątrz czekał na nich czarny służący, potężne chłopisko.

Pan du Lyon wysłuchiwał krótkiego sprawozdania z walk w Abruzzi. Mówił przeważnie notariusz. Ku rozczarowaniu Gastona młody Nicholas nie wiozł żadnych dokumentów i nie chciał ich przyjąć także od niego. Nie

ożywiła go również wieść, że Prosper de Camulio jest w mieście i wybiera się do Genappe. Gaston du Lyon, który chętnie przysłuchiwał się pogłoskom, był bardzo ciekaw, dlaczego Nicholas spędził, jak powiadano, nieco czasu z Prosperem de Camulio i Wenecjanami przed wyruszeniem na południe do Abruzzi. Poddana delikatnym badaniom Laudomia Acciajuoli stwierdziła, że nic nie wie i nie dba o to. Z drugiej strony zaś książećcy medyk, Giammatteo Ferrari, okazał pewne zaciekawienie.

Gaston du Lyon był rozczarowany Nicholasem. On sam także wyświadczył mu kilka przysług. Gdyby nie on, Nicholas nie wywiózłby w maju z Genewy tego młokosa, Feliksa. Chłopak już nie żył. Pytał o to wcześniej. Tak czy inaczej, delfin zerwałby znajomość z młodym paniczem Feliksem. Popełnił niedyskrecję.

Urażony szambelan nie od razu zadał sobie trud przekazania własnych wieści. Nie zwracając uwagi na Nicholasa mówił o wojnie neapolitańskiej: po bitwie pod Sarno książę Jan w zaskakujący sposób nie wykorzystał zwycięstwa i nie ruszył prosto na Neapol. Można było jeszcze uratować miasto, nim nadejdzie bliski koniec walk. Kupcy będą zadowoleni. Książę Mediolanu także. Podobno wydał sto tysięcy złotych dukatów na utrzymanie księcia Jana z dala od Genui i Neapolu. A przynajmniej próbował. Papież zaś, jak powiadano, zamierzał pomścić klęskę pod Sarno posyłając nowe wojska pod San Severino.

Yorkiści byli już w Londynie. Wyglądało na to, że król Henryk przegra wojnę, a ojciec Jego Najjaśniejszej Wysokości Delfina raczej nie miał w tej chwili zamiaru występować przeciwko Burgundii.

Notariusz, człowiek bystry, odpowiadał do rzeczy i zadawał inteligentne pytania. Młody Nicholas odzywał się rzadko. Blizna na jego policzku znacznie zbladła od chwili, gdy widzieli się w Genewie. Nie wolno było zapominać, że ten chłopak złamał szyfr Medyceuszów.

Z odrobiną przesadną uprzejmością Gaston du Lyon przemówił:

- Nie powinienem was zatrzymywać; jesteście przecież zmęczeni. Czy misja, z którą wybierasz się do Burgundii, jest bardzo pilna, przyjacielu Nicholasie? Czy może znajdziesz czas, by zajrzeć na targ w Genewie?

Tym razem odpowiedź była natychmiastowa. Gaston przypomniał sobie wieczór przy kartach u Monny Laudonii. Młody Nicholas zapytał:

- Czy powinniśmy tam wstąpić?

Gaston du Lyon obrzucił go spojrzeniem naśladującym rozbawiony wyraz oczu delfina.

- Jeżeli prowadzisz interesy z rodziną de Fleury - powiedział - upomnij się o należność, zanim pozostali wierzyciele opróżnią wszystkie szkatułki.

- Rozumiem - odparł młodzieniec.

Pan du Lyon nie spodziewał się uniesień ze strony rozmówców, odczuł jednak pewne rozczarowanie. Dopiero ten drugi, prawnik, wyprostował się i zapytał:

- Co powiedzieliście, monsieur?

Gaston du Lyon odwrócił głowę.

- To tylko ciekawostka. Ogłoszono upadłość przedsiębiorstwa Thibaulta i Jacquesa de Fleury.

- Jesteście pewni? - spytał notariusz.

Monsieur du Lyon z zaskoczenia i oburzenia milczał przez chwilę, lecz po namyśle wybaczył temu człowiekowi. Z pewnością zawiniło nadmierne podniecenie.

- Tak - odparł. - Nie ma żadnych wątpliwości. Stracili wszystko. Słyszałem, że wywołało to spory zamęt. Mieli wielu wierzycieli.

- Nicholasie? - zagadnął notariusz - Nicholasie, Jaak de Fleury...

- Tak, słyszałem - odezwał się kurier. - Jestem wdzięczny za tę wiadomość. Monsieur du Lyon, zechciejcie wybaczyć. Musimy wyruszyć wczesnym rankiem.

- Zapewne do Brugii - stwierdził Gaston du Lyon. - Czy starczy wam czasu, by zajrzeć do Genappe? Mój pan, delfin, z pewnością chętnie was przyjmie. Dowie się nowych rzeczy. Usłyszy o śmierci tego nieszczęsnego chłopca, którego miłował jak syna.

- Uczynię co w mojej mocy - powiedział Nicholas. - Myślę jednak, że obydwie strony wyrównały długi z honorem. Monsieur, wyrazi wdzięczności.

W świecie dyplomatów umiano wyczuć, że umowa dobiegła końca. Najwyraźniej została zawarta inna, korzystniejsza. Należy ostrzec delfina. Gaston zastanawiał się, czy ten młodzieniec wie, jak bardzo podupadł ostatnio na zdrowiu ojciec delfina. Z uśmiechem odprowadził gości do drzwi.

Gdyby poszedł za nimi dalej, rozbawiłby go widok notariusza, który porzucił wszelką sztywność i dosłownie płaśtał na ulicy wokół milczącej, wysokiej postaci byłego czeladnika; za nimi zaś kroczył pełen dezaprobaty czarny sługa.

- Jaak de Fleury! - powtarzał Juliusz. - Pan szkatułek z pieniędzmi. Nadęty sukinsyn, który wyżywał służbę do sucha. Nie wyłączając mnie. I wykorzystywał tę nieszczęsną kobietę, do czego się dało. A ciebie traktował jak psa. Chyba nie zaprzeczysz. Zbankrutował! Czy dasz wiarę?

- Owszem - odparł Nicholas.

- I co? - dopytywał się Juliusz.

Narastało w nim rozdrażnienie, które wbrew logice odczuwał odkąd

wyjechali z obozu pod San Fabiano. Bóg wie, że nie oczekiwał od Nicholasa, iż będzie takim samym błaznem jak na barce w Damme czy podczas owego żartu ze zbiornikiem wodnym, czy też w trakcie zabawy z dziewczętami, kozami i tym podobnie. Ale nie oczekiwał też, że w ciągu ośmiu miesięcy Nicholas zmieni się w żonaty odpowiednik Lorenza Strozzi.

- Przypuszczam, że trapi cię myśl o suknie, które im dostarczyłeś - rzekł - i o pieniądzech, które są nam winni. No dobrze, nie możesz odbudować przedsiębiorstwa w Brugii, ale pozostaje Leuven i condotta. Nie wszystko jest osiągalne. Mój Boże - ciągnął Juliusz - czy nie warto trochę stracić, by móc wyobrazić sobie minę Jaaka de Fleury? - urwał, wyęzając wyobraźnię. - I z pewnością pomoże to naszej pani. Przynajmniej będzie wiedziała, że uwolniła się od rodziny de Fleury i jej intryg. Czy chcesz już wchodzić?

Nicholas bez słowa odwrócił się ku drzwiom gospody. W poblasku zachodzącego słońca dało się dostrzec na dziedzińcu parę wypoczętych, dobrze wyszczotkowanych koni, trzymanyh przez służących w liberiach. Ich czapraiki haftowane były jedwabną nicią, a herby, widoczne na czaprakach i liberiach, przypominały sokoły, diamenty i pióra zdobiące wnętrze pałacu ich właścicieli. I hasło, wyszyte na czaprakach. *Semper* znaczy „zawsze”. A *zawsze* oznaczało Medyceuszów.

- Mamy gości - rzekł Nicholas. - Możemy nie wchodzić i poczekać aż odjadą. Nie wiem. Jestem zmęczony.

Kiedyś człowiek nie musiał się przejmować uczuciami Claesa. Tak naprawdę nigdy ich nie znał. Teraz, oczywiście, jego szaloną witalność wysała napięcie i gorączka, i musiał postępować rozważnie, jeśli chciał odbyć tę podróż do końca. Nicholas zawsze potrafił układać dobre plany. Juliusz odezwał się bez przekonania.

- Może czekają na kogoś innego?

Loppe, który przeniósł swe zdolności czytania w myślach z Feliksa na Nicholasa, wśliznął się do oberży i wrócił skrzywiony, po czym złożył sprawozdanie w nienagannym języku włoskim, wyuczonym w służbie księcia. Goście nie tylko przybyli do nich, lecz zostali zaprowadzeni do ich komnaty, by mogli tam poczekać. Oberżysta wiedział, jak należy postępować z panami Pigellem i Acceritem Portinari z tutejszego przedstawicielstwa Medyceuszów.

- Nie będą czekali przez cały wieczór - powiedział Loppe. - Mogę wyszukać jakąś inną sypialnię.

Zwracał się do Nicholasa. Juliusz zauważył, że Loppe często przemawia do Nicholasa jak mężczyzna do mężczyzny, nie jak niewolnik do męża pani. A Nicholas stał zamyślony, nawet tego nie dostrzegając, po czym odparł:

- Nie. Lepiej będzie spotkać się z nimi. Ale nie musisz na nas czekać. Loppe ani drgnął.* Powiedział:

- Zbyt późno dla jednej osoby, to także zbyt późno dla trzech. Panowie Portinari mogą przyjść ponownie jutro.

Tym razem Nicholas spojrział na niego, nie okazał jednak zaskoczenia ani rozdrażnienia. Po prostu powtórzył:

- Nie. Chcę wyjechać wcześniej.

Loppe odsunął się natychmiast, obserwując jedynie swoich panów - jak zauważył Juliusz - dopóki nie weszli do gospody i nie znaleźli się na stopniach wiodących do ich pokoju. A tam, nie okazując najłżejszego zniecierpliwienia, czekali Pigello Portinari oraz jego brat i pośrednik Accerito.

Messer Pigello miał na sobie krótką szatę z lekkiej materii, z obniżonym pasem, tuszującym wydatny brzuch. Na jego wygolonej, zapadniętej twarzy o długim nosie kwitły dziś jaskrawe rumieńce. W kragły beret wpięta była duża, złota brosza z płasko rżniętym szmaragdem. Miał na palcach więcej pierścieni niż wówczas, gdy Juliusz go ostatnio widział - kiedy to wraz z Astorem odwiedzili palazzo, by złożyć tam książęcy weksel za condottę. Uprzejmie protekcyjnalna postawa stała się teraz otwarcie uprzejma. Accerito, który nosił nieco mniejszą broszę, także wydawał się zadowolony z siebie.

Juliusz ciekaw był, czy Messer Pigello rozpoznał Claesa, chłopaka, który przyprowadził konie dla Pierfrancesca; lecz przypomniał sobie, że wedle słów Feliksa on i Nicholas odwiedzili już raz Pigella od owego czasu. W jakiejś bliżej nie określonej sprawie handlowej. Czy to do tej tajemniczej sprawy potrzebował go Nicholas? Do interesów, o których nie słyszał nic więcej? Z pewnością obaj bracia Portinari traktowali Nicholasa na równi z nim. Byli sprzedająco grzeczni.

Grzeczni, lecz skorzy do wyrzutów, podobnie jak szambelan delfina. Skoro kompania Charetty wyróżniała Casa Medici w prowadzonych interesach, Messer Niccoló i jego prawnik mogliby być tak łaskawi, by ich odwiedzić bawiąc w Mediolanie. Messer Niccoló słyszał, oczywiście, o zamknięciu przedsiębiorstwa Thibaulta i Jaaka de Fleury?

Juliusz od razu poczuł się lepiej, pomimo widocznej omyłki, jaką popełniali zwracając się do Nicholasa. *Messer!* Och, ależ nie, powinien pamiętać. To niedorzeczne małżeństwo. No, cóż, mimo wszystko był zadowolony, że nie wymigał się od spotkania. Pomyślał o posłaniu Nicholasa po jadło i napoje - i uświadomił sobie z rozdrażnieniem, że sam powinien po nie pójść. Kiedy przeprosił zebranych, Nicholas ledwie podniósł oczy, nie myśląc nawet o zatrzymywaniu go.

Juliusz wyszedł pospiesznie. Bardzo pragnął poznać rozmiary kłęski, jaka dotknęła Fleurych. Kiedy powrócił wraz ze służącym, nie było już miejsca na puchary, cały stół bowiem pokrywały papiery. Wszystkie, jak się wydawało, zapisane były kolumnami cyfr. Berety Pigella i Accerita podnosiły się i opadały, niemal dźwięcząc jak weselny dzwony, gdy ich właściciele omawiali treść dokumentów. Nicholas siedział w swym nieco poplamionym w podróży, lecz przyzwoitym kaftanie, z włosami poskręcanymi od upału, i sprawiał wrażenie, że się przygląda. Kiedy głosy milkły, dorzucał swoje uwagi.

Juliusz, który nieczęsto znajdował przyczynę, by obserwować cudze twarze, zauważył teraz, że Nicholas istotnie wydaje się zmęczony i apatyczny. Nalewając wino, Juliusz postanowił rozjaśnić nieco nastrój. Upadek Jaaka de Fleury warto było, mimo wszystko, jakoś uczcić.

Bracia Portinari przyjęli wino z ambrozjariską uprzejmością, po czym wrócili do przekładania kart papieru, wciąż mówiąc coś do Nicholasasa.

- Czy coś mi umknęło? - spytał Juliusz.

Wszyscy unieśli głowy. Messer Pigello przeniósł spojrzenie na Nicholasasa i znowu na Juliusza.

- W grę wchodzi bardzo duże pieniądze - rzekł. - Naturalnie z radością przyjmę odpowiedzialność, lecz wolałbym, abyście obaj sprawdzili rachunki. Jest jeszcze, rzecz jasna, zamówienie na broń z Piacenzy. Złożone u Messer Agostina przez Messer Tobiasza.

- To dla Thibaulta i Jaaka de Fleury - wtrącił pospiesznie Juliusz. Spojrzeli na niego. Poczuli nagle, że płoną mu policzki. Zaczął: - Te wykazy...

- To rachunki i weksle na pieniądze, które pan de Fleury był winien waszej kompanii - powiedział Messer Pigello. W jego głosie, jak zawsze uprzejmym, zadźwięczała nuta skrywanego zniecierpliwienia. - Oraz odpowiednie listy kredytowe na złoto i ruchomości Thibaulta i Jaaka de Fleury, znajdujące się w posiadaniu ich przedstawiciela w Italii, Maffina, które zostaną zajęte przez was i przez nas, gdy tylko upadłość zostanie ogłoszona. Jest to, oczywiście, dodatek do długów, które, jak wam wiadomo, zostały przez nas wykupione od kompanii Charetty w czerwcu. Mieliśmy szczęście otrzymać zawczasu ostrzeżenie dotyczące krachu w Genewie, co pozwoliło nam odebrać owe długi z nawiązką.

- Często się zdarza, oczywiście - podjął Messer Pigello - że dalekowzroczna kompania zabezpiecza się przed morską katastrofą. Rzadko jednak kupiec myśli o skutkach katastrofy na lądzie, tak by przedsięwziąć odpowiednie środki zaradcze. **Pani de Charetty należy do wyjątków w środowisku kupieckim.**

Istotnie.

- Co spowodowało upadek Fleurych? - spytał obcesowo Juliusz. Nicholas, opierający podbródek o brzeg pustego pucharu, nie odwzajemnił spojrzenia prawnika.

- Poważny, bardzo poważny odpływ kapitału. To wszystko, co wiemy. Połączony z natychmiastowymi żądaniem wierzycieli, które napłynęły, gdy tylko deficyt stał się znany. Sierpniowe targi, jak nam wiadomo, przypadają właśnie teraz. Drobnicy kupcy i rzemieślnicy, którzy zobowiązali się do pewnych zakupów, także mogą zbankrutować, jeżeli nie zdołają podjąć funduszy ulokowanych, w dobrej wierze, w takiej kompanii. Kompanie takie jak wasza, sprzedające sukno na kredyt, mogą już nigdy nie ujrzeć ani sukna, ani pieniędzy. - Messer Pigello umilkł, zerkając na brata. - Oto lekcja dla każdego bankiera, także dla naszego pośrednika w Brugii: nigdy nie rozszerzać kredytu bez względu na wielkość przedsiębiorstwa lub osoby.

- A zatem mamy rekompensatę w postaci wszystkich nie dostarczonych rusznic Jaaka de Fleury - powiedział Juliusz. - I co ponadto?

Nicholas odstawił puchar i unosząc łokieć pchnął jakiś leżący przed nim papier.

- To. Wystarczy, by odkupić ich przedsiębiorstwo, o ile coś z niego zostało.

- Nie w Genewie - wtrącił Pigello Portinari. - Zrujnowali je. Tak jak mówiłem, sprawa się rozniosła. Było wielu drobnych wierzycieli. Któryś, w gorącej wodzie kapany, wszczął zamęt i tłum wdarł się do budynku. Zabrali wszystko, co znaleźli, a dom podpalili. Właściciel zdołał się wydostać. Jaak de Fleury. Jest jeszcze cichy współnik, starszy brat imieniem Thibault, niedaleko Dijon. Nasz filiały w Genewie myśli, że Jaak de Fleury udał się do niego. Muszę oczywiście poprosić was o złożenie w Genewie wizyty naszemu zarządcy nazwiskiem Francesco Nori. Ma u siebie wasze sukno i inne rzeczy.

- To nadzwyczajne - powiedział Juliusz. Był oszołdmiiony. Fala radosnego podniecenia opadała. To, co miało być niebiańskim zadośćuczynieniem, okazało się kataklizmem. Nicholas położył nieruchome ręce na stole, patrząc na zarządcę banku w sposób, który nadawał jego pełnej twarzy wyraz napiętego oczekiwania. Juliusz uświadomił sobie, że istnieje pewne pytanie, którego nikt nie zadał.

- Co się stało z żoną Jaaka de Fleury? - spytał. - Panią Esotą?

Messer Pigello chciał już pozbierać swoje papiery. Obrzucił stół badawczym spojrzeniem, po czym zaczął, nie powstrzymywany przez nikogo, składać je w schludną kupkę.

- Niestety - przemówił - to bardzo smutne, jeśli wierzyć sprawo-

zdaniom. Tłum nie chciał nikogo skrzywdzić. Dama ta była jednak, jak się wydaje, osobą pobudliwą i masywnej budowy. Zamiast spokojnie opuścić dom, usiłowała zagrozić drogę jednym, drugich wzywając na ratunek. Nikt nie zwracał na nią uwagi, wszyscy parli naprzód. Upadła i zdeptano ją. Ale właściwie zabił ją własny ciężar. Znaliście tę damę?

- Tak - odparł Nicholas. - Nie potrafiłaby stawić temu czoła.

Messer Pigello spojrział na niego.

- Niektórzy mówią, że mąż nie powinien być jej tak zostawić - rzekł.

- Ale nie powinniśmy nikogo potępiać. Z lęku i chciwości ludzie popełniają przedziwne rzeczy. My, bankierzy, wiemy coś o tym. A teraz przejdźmy do aktywów.

- Tutaj pani musi wyrazić zgodę, a Meester Juliusz udzielić rady

- powiedział Nicholas. - Ja proponuję, aby broń pozostawić w Piacenzy, srebro powierzyć Messer Taniemu w Brugii, a sukno sprzedać za pośrednictwem waszych przedstawicieli, tu i w Genewie. Dochody, pomniejszone o należną wam część, przelać na nasze konto, z przeznaczeniem na wydatki kapitana Astorre. Messer Juliuszu?

Messer Juliusz przytaknął. Właściwie nie pozostawało mu nic innego. Mówił bardzo niewiele, kiedy mediolański przedstawiciel banku medycejskiego i jego brat zaczęli ostatecznie zbierać się do wyjścia. Widząc, że Nicholas nie ma zamiaru przekroczyć progu komnaty, Juliusz sam odprowadził szacownych bankierów na dziedziniec, gdzie czekały konie. Zapadł już zmrok i jerzyki poszły spać.

Wracając usłyszał trzask pękającego szkła, w chwili gdy znajdował się na ostatnim podejściu schodów; a tuż za progiem sypialni pod jego stopami zagrzechotały odłamki. Fłaszka po winie, na szczęście pusta, leżała pod oknem, gdzie upadła z takim rozmachem, że cała podłoga lśniła teraz od okruchów szkła.

- Przepraszam. Upuściłem ją - odezwał się Nicholas. Był bardzo blady, lecz doskonale opanowany.

- Zaświńłeś podłogę - stwierdził Juliusz. - Gdybyś przy tym nie zdobył majątku i nie był mężem mojej chlebobawczyni, sprawiłbym ci lanie. Idzie tu już Loppe albo oberżysta, by sprawdzić, czy nie wytłukliśmy okien. Tłumacz się sam. Kiedy już posprzątają, chciałbym usłyszeć, co tu się właściwie dzieje. Wszystko.

Ale nie usłyszał. Podczas gdy Loppe w milczeniu zmiatał szkło, Nicholas z pewnym opóźnieniem poszedł przygotować wszystko do porannego wyjazdu. Zanim wrócił, Juliusz zamówił jeszcze jedno wino, tym razem w cynowym dzbanie, i urządził sobie prywatną uroczystość, która zaprowadziła go w końcu do łóżka.

Przez chwilę leżał i rozmyślał. Z jednej strony bawił go młokos, który miał czelność poślubić swą chlebobawczynię. Praca z nim lub dla niego była jednak zupełnie czym innym. Ostrzeżenie mógł stanowić sposób, w jaki doktor obchodził się z Nicholasem. Jeżeli Juliusz chciał przyłączyć się do ich nowego przedsięwzięcia, musiał się nauczyć myśleć o Nicholasie tak jak Portinari, kiedy zwracał się do niego - jako o koledze.

Wyjeżdżając z Abruzzi gotów był przyjąć każdą propozycję, przynajmniej na czas opuszczenia wojska. Nicholas, który teraz łatwo się męczył, odkładał wciąż rozmowę o owym przedsięwzięciu; lecz zanim dotrą do Brugii, opowie z pewnością o wszystkim. Sądząc po tym, co dzisiaj zaszło, było to niewątpliwie coś wielce korzystnego. Ten bardzo młody człowiek miał zdolności, które Juliusz oczywiście zauważył już wcześniej. Teraz jednak dostrzegał oznaki czegoś potężniejszego. Najdziwniejsze było to, że Feliks uznał za równego sobie sługę, którego przedtem beztrudno wykorzystywał. Uczestniczył w negocjacjach. A na dodatek niczego nie wyjawiał.

Feliksa już nie było. Teraz kompanię dziedziczyły córki i ich przyszli mężowie. Ale tylko kompanię Charetty. Nicholas już zaczął działać na własną rękę. Wkrótce, z pomocą odpowiednich ludzi, może osiągnąć więcej niż ktokolwiek sobie wyobraża. Oznacza to, że należy wyzbyć się pychy. Stać się jego kolegą. I pomóc mu dojść być może nieco dalej niż doszedłby sam.

Gdyby Nicholas był starszy, nie byłoby problemu. Juliusz pozostałby przy nim z czystej ciekawości. A tak - musiał się dopiero przekonać, czy potrafi znieść Claesa jako małżonka pani. Warto było jednak spróbować. Na Boga, warto było.

Przewrócił się na bok i usnął, zanim przyszedł Nicholas. Ucieszyłby się, gdyby wiedział, że znacznie wcześniej, w Brugii, Gregorio doszedł dokładnie do tego samego wniosku.

Tego roku flamandzkie galery wcześniej zawinęły do Brugii. W pierwszych dniach września kołysały się już u wejścia do zatoki w Sluis, a tłumy zebrane na brzegu wpatrywały się w łopoczące coraz niżej żagle. Później, dostojnie i skrupulatnie, jak namalowane, wpłynęły na swoje miejsca w porcie, mieniając się złotem, czerwienią, błękitem i lśniąca bielą, a trąby skrzyły się w słońcu.

W ładowniach znajdował się afrykański wosk, kły słoni i brązowy cukier. Tego roku przybył też imbir z Damaszku i fioletowa, wełniana tkanina cypryjska. Załadowano czterdzieści beczek rodzyneków. Były, jak zwykle, także i klejnoty: rubiny, turkusy, diamenty i drobne perły, z których sporządzano leczniczy proszek. Był także gruby jedwab, żywica lakowa,

kandyzowane owoce i trzydzieści worków przedniej bawełny. Była jedwabna mora, załadowana w Syrii. Z Messyny przybyły błamy karakułowe. Była siarka z Sycylii, porcelana z Majorki i woda różana z ogrodów Persji. Były mszalne dzwonki, modlitewniki, partytury i szklane kielichy rozmaitych barw, w tym różowe. Było indygo z Bagdadu, galasy, laka krapowa i alkiernes. A także sto pięćdziesiąt beczek małmazji oraz worek ałunu.

Tegorocznym dowódcą galer był, o czym powszechnie wiedziano, wenecki szlachcic nazwiskiem Piero Zorzi.

Marian de Charetty wraz z domownikami przebywała, jak zwykle o tej porze, w Brugii. Prowadziła tu obecnie większość interesów, a odkąd miała odpowiedniego człowieka w Leuven, spędzała tam mniej czasu. Wszyscy mówili o tym, jak mizernie wygląda od chwili wyjazdu młodego Feliksa i, oczywiście, tego okropnego pożaru. Przez miesiąc lub dłużej była cieniem dawnej siebie - dopóki w czerwcu nie przyszła wiadomość, że chłopak jest bezpieczny w Genewie wraz z tym młodym nicponiem Nicholasem. Cztery tygodnie później nadszedł list, dostarczony do Brugii przez ludzi Medyceuszów.

Młody Nicholas, jej mążzonek, wyjechał do Italii i nie wrócił w spodziewanym terminie (być może w ogóle przepadł). A jej ukochany Feliks, któremu nie było wolno nawet przystąpić do turnieju, kiedy chciał, pojechał sobie na wojnę: udał się na południe, do Neapolu, by walczyć w obronie króla Ferrante.

No, a jak wam się wydaje, kto go do tego namówił? A jeśli nawet nikt go nie namawiał, czegoż innego można się było spodziewać, pomijając już babskie sprawy, jeżeli ktoś pomyślał, że potrafi przewodzić kompanii żołnierzy? Prędzej czy później każdy chłopak, który jest coś wart, zapragnie przywdziać zbroję i pokazać, co potrafi. Matka sama była sobie winna. Ona i ten okropny młokos.

Mimo wszystko ludziom brakowało Claesa. Ona chyba też za nim tęskniła - i za jego żartami. Jeżeli nie za czym innym.

Marian de Charetty wiedziała, oczywiście, co mówią ludzie. Pomocą okazała się dla niej konieczność ciężkiej pracy, a także człowiek, którego wybrał Nicholas. Gregorio był jej prawą ręką. Oddani jej byli także Bellobras i Cristoffels, podobnie jak Henninc i Lippin. Każdy z nich dokładał starań, by odbudować i odtworzyć przedsiębiorstwo, tak jak planowali to uczynić tuż po pożarze.

Początkowo było im piekielnie ciężko. Później jednak, w pierwszych dniach lipca, przyszedł Tommaso Portinari, przynosząc wieści dobre i złe. Oddał list, w którym przeczytała, że Feliks i Nicholas znajdują się poza jej zasięgiem, wojując w Italii. Oddał także paczkę, zawierającą weksle banku

medycejskiego na sumy, których się nie spodziewała. Pieniądze z condotty, za dodatkowych żołnierzy, wyćwiczonych i uzbrojonych tak niewielkim kosztem. I sumy, które wydawały się - rzecz nie do wiary! - pochodzić od kompanii Fleury. Nicholas zdołał w jakiś sposób podliczyć długi Fleurym i nakłonić Medyceuszów do ich wykupienia. W tej chwili zakrawało to na cud. Nie rozpoznała kolejnego gościa, ponieważ nigdy nie miała do czynienia z weneckimi kupcami o nazwisko Bembo. Dopiero gdy znaleźli się sami, w jej gabinecie, gość noszący to nazwisko wydobyl z sakwy papier o treści bardziej zdumiewającej niż wszystkie dotychczasowe.

Kiedy odszedł, wezwała do siebie Gregoria i pokazała mu, co nadeszli Feliks i Nicholas. Były tam ich podpisy obok weneckich i genueńskich nazwisk, z których nie wszystkie znała. Wymieniona suma pieniędzy wystarczała na pokrycie wszelkich długów kompanii. Suma, którą dodatkowo obiecano, czyniła ją bogatą.

Marian zdała sobie sprawę, że od dłuższej chwili przygląda się podpisom. Podpis Nicholasa był czarny, pewny i staranny, gdyż uczył się od dziecka, a ostatnio dokszałcał go Colard. Kulfony Feliksa świadczyły, że nigdy nie chciał się uczyć i nikomu nie pozwalał się dokszałcać. Lecz sama obecność jego podpisu wskazywała, że właśnie rozpoczął naukę.

- Wydaje mi się, że doprowadzili do końca sprawę ałunu - powiedziała.
- Nawet gdyby jutro ktoś odkrył papieską kopalnię, zostaje nam to.

Gregorio nie zbliżał się do niej, odkąd nadeszła wieść o wyprawie Feliksa. Był człowiekiem rozważnym. Teraz odpowiedział:

- To dobrze, że jonkheere zajął się sprawami przedsiębiorstwa. Nie dziwię się też, że pojechał do Neapolu, czy że Nicholas go puścił. Każdy chłopak powinien choć raz postawić stopę na polu bitwy, a ryzyko jest znikome. Nie mogą sobie pozwolić na walkę. Wkrótce zaś skończy się sezon.

To samo sobie powtarzała. Rozumiała także, dlaczego Nicholas uznał za konieczne ruszyć śladami doktora Tobiasza. Pisał w liście, że bez Tobiego nie byłoby ałunu ani pieniędzy. Miał nadzieję, że sprowadzi z powrotem Tobiego, a może i Juliusza.

Tobie. Musieli być na przyjacielskiej stopie. Robotnicy i służba przywykli już do mówienia „Nicholas” o Claesie. Nie tytułowali go w żaden sposób, gdyż nie przypisywał sobie ani tytułów akademickich, ani szlacheckich. Nie przeszkadzało jej to. Poruszanie się we wszystkich tych kręgach było dla niego i tak wystarczająco trudne.

Zauważyła, że przyjaciele nazywają Gregoria „Goro”. Trzy miesiące pracy z ludźmi wiele go nauczyły. Nie wybuchały już kłótnie na podwórzu. Udawała, że nie słyszy przezwisk nadawanych Bellobrasowi. Kiedy napływ pieniędzy ujął jej nieco trosk, zaczęła znowu spotykać się z ludźmi, śmiać się

głośno i czasami zabierać Tildę i Katarzynę do innych miast, by trochę się zabawiły.

Dziewczęta bywały już zapraszane same, a ktoś nawet zabrał Tildę na rodzinną ucztę na otwartym morzu. Od czasu do czasu ciążyła Marian myśl o synu i Nicholasie. W sierpniu nadeszły wieści. Na południe od Neapolu rozegrała się bitwa, w której poległo wielu ludzi. Przez cały dzień nie mogła myśleć o niczym innym. Później w sposób pośredni dowiedziała się szczegółów. Oddział Astorre'a był zupełnie bezpieczny. Wyruszyli na północ, by połączyć się z hrabią Urbino. Miała nadzieję, że tam będą bezpieczniejsi. Że Feliks, przeszedłszy chrzest bojowy, da się namówić na powrót do domu, a Nicholas wróci razem z nim. Usiłowała stłumić wszelkie nadzieje i zajmować się tylko sprawami przedsiębiorstwa.

Była stale zajęta. To zawsze przynosiło ukojenie. Nicholas miał słuszną rację. Gdyby się poddała, gdyby sprzedała kompanię i przeprowadziła się do jakiegoś domku, gdzie wyglądałaby zza okiennic szydełkując koronki - już by nie żyła.

W połowie sierpnia nowa posiadłość została odbudowana i umeblowana. Marian de Charetty ponownie napełniła składy sukmem, lecz cieńszym niż dawniej; i barwnikami, lecz tylko najwyższej jakości. Zatrudniła także lepszych pracowników, choć nie zwolniła nikogo. Ludzie, którzy kupowali u niej powodowani współczuciem, dokonywali nadal zakupów, gdyż zaczęli cenić sobie jej towary. Później przekonali się, że Marian de Charetty jest również przystępna w kwestiach finansowych.

Nicholas twierdził, że kompania powinna pójść tą właśnie drogą, a Gregorio znakomicie da sobie radę. Lichwa była zakazana. Zakłady zastawnicze udzielały jednak pożyczek za zabezpieczeniem i z łatwością można było dostosować tę zasadę do wymiany gotowych towarów oraz surowców. Potem zaś - do innych rzeczy. Księgi nigdy nie odnotowywały pożyczek - jedynie ostatnie wpływy. Tilda okazała pewne zaciekawienie, matka pozwoliła jej więc parę razy usiąść obok siebie i posłuchać.

Minął sierpień. Przypominała go sobie później jako dziwny okres: w trzech czwartych szczęśliwy. Łomot do drzwi, wraz z którym nadeszła odmiana, rozległ się w ostatnich dniach miesiąca.

Przebywała wtedy w nowym składzie, zbudowanym za wielkim domem przy Spangnaerts. Odźwierny, który odpowiedział na stukanie, poszedł po Gregoria, Gregorio zaś wyszedł na podwórze, gdzie odnalazł Marian z tabliczką w ręku. Przyglądała się dwóm stróżom, którzy sprawdzali towary w składzie. Tuż przed przybyciem flamandzkich galer roboty było zawsze co niemiara. Głos, którym Gregorio przemówił: „Pani!” - nie brzmiał zdawkowo, więc odwróciła się natychmiast.

- Czy mogę z wami porozmawiać? - zapytał - Macie gości.

Nie chciał jej przestraszyć, a jej nie było wolno się bać. Powiedziała coś do robotników i wyszła, wciąż ściskając w dłoni tabliczkę.

- Prowadziliśmy kiedyś interesy z pewną kompanią... Thibaulta i Jaaka de Fleury?

Oszołomiona skinęła głową. *

- Medyceusze uregulowali ich rachunki.

- Tak, pamiętam - powiedział Gregorio. - A monsieur Jaak de Fleury jest waszym krewnym?

- Moja siostra poślubiła jego brata - odparła. - Myślałam, że wiecie o tym. Nigdy nie darzyliśmy się ciepłymi uczuciami. Za to on darzył nas niezapłaconymi wekslami. A w czym rzecz? Czy przysłał jakąś wiadomość?

- On tu jest, pani - rzekł Gregorio. - Zostawiłem go w domu, gdyż nie byłem pewien, czy powinniście się z nim widzieć. On... nie włada sobą.

- To niebywałe - stwierdziła Marian de Charetty. - Jeżeli jakiś człowiek kiedykolwiek władał całym światem, w tym także sobą, to jest nim Jaak de Fleury. Co się stało?

Przez twarz Gregoria przemknął cień uśmiechu.

- Najwyraźniej nie jest to przeznaczone dla moich uszu. Przykro mi, pani moja. Nie chciał powiedzieć. Ale przed domem stoi tuzin koni, dwa wozy i cały orszak służy. Cokolwiek się zdarzyło, musi być poważną sprawą.

- Urwał. - Myślałem, że może... jeśli pozwolicie, bym mu powiedział, że was nie ma w domu, znajdzie sobie jakąś oberżę i powróci, gdy nieco ochłonie.

- Myślicie, że on chce tu pozostać? - zapytała.

- Nie wiem - odparł Gregorio. - Myślę jednak, że lepiej mu będzie gdzie indziej. Jeśli da się to łatwo przeprowadzić.

Utkwiła w nim oczy, a po chwili podjęła decyzję.

- Nie. Przyjmę go. Jeśli nie zechcę, by pozostał, sama mu o tym powiem. Przecież nie wtargnie tu przemocą. *

- Czy chcecie mnie mieć w zasięgu głosu? - spytał Gregorio.

Marian de Charetty spróbowała przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała o niemiłym szwagrze swej siostry. Nic nie było jej wiadomo o fizycznym napastowaniu osób dorosłych. Chyba że należały do służby, co jej nie dotyczyło. Psychiczne okrucieństwo było inną sprawą. Pamiętała, że Nicholas wychowywał się w jego kuchniach. I że w oczach Jaaka poślubiła jego pachołka. To nie mogła być przyjemna rozmowa. Nie chciała, by słyszał ją nawet Gregorio.

- Nie - powiedziała. - Jeżeli nie dam sobie rady z powinowatym mojej własnej siostry, nie będę też wiedziała, jak postępować z Astorrem i Feliksem, gdy powrócą z wojen. Powiedzcie, dokąd go zaprowadziliście. Nie obawiajcie się. Potrafię szybko posługiwać się pogrzebaczem.

Uśmiechnęła się do niego i powoli weszła do domu. Drzwi niewielkiego gabinetu były otwarte. Jaak de Fleury siedział w jej krześle, przy jej stole, na którym leżały otwarte księgi rachunkowe.

- Tutaj będę zasiadał - rzekł. - I wybrałem tę dużą sypialnię. Kazałem waszemu człowiekowi na dziedzińcu wyszukać miejsce dla moich pachółków i służby. Nie będą narzekać. Oduczyci się tego. Tak... Widzę, że niezgorzej sobie radzicie, moja pani. Musimy dopilnować, by tak było nadal. Wiecie, naturalnie, dlaczego tu jestem?

Zawsze przedtem widywała go w bogatym stroju, mieniącym się od klejnotów. Teraz, choć przybierał pozy niczym ksiązę Kościoła, jego szata była przybrudzona, wygnieciona i zakurzona od jazdy, a pióra przy nakryciu głowy postrzępione i brudne. Także jego twarz zapadła się wokół dużych oczu i pod kragłymi kośćmi policzkowymi, a wąskie wargi były suche i spękane. Miał na palcach pierścienie. Brakowało jednak kosztownego łańcucha, a w szatę i kapelusz nie wpięto ani jednej broszy. Wyglądał jak człowiek, który umknął z pola bitwy.

- Co się stało? - zapytała Marian de Charetty.

- Nie wiecie o niczym? Ach, te niewiasty. Odmienny gatunek. Jeśli to samo przydarzy się wam, wybuchnie taki krzyk i płacz, jakiego nikt nie słyszał, tak jakby nikt dotychczas nie doświadczył zdrady, zawiści i złości. Co się stało? Straciłem przedsiębiorstwo, droga szwagierko. Księzę Sabaudii podjął u mnie... wykraść mi podstępem... tak wielką sumę pieniędzy, że nie mogłem później sprostać wszystkim innym żądaniom. Wierzyście, osobiście przewidujący, odebrali resztę, wszystko, co mogli. - Jaak de Fleury z uśmiechem spuścił oczy. Jedną po drugiej pozamykał księgi, które przeglądał, ułożył z nich dwa równe stosy i przykrył kształnymi dłońmi. - Nie mam już kompanii. Nie mam domu. Mam tylko pieniądze, które wy mi jesteście winni i widoki, by zemścić się na tych, którzy myślą, że już koniec ze mną. Użyczę kompanii Charetty mej mądrości i doświadczenia. Aby odzyskać majątek, wrócić i pokazać tym żebrakom, jak wygląda zwycięski człowiek interesu.

Nie odrywał od jej twarzy uśmiechniętych oczu, spoglądając z pobłażliwą pewnością siebie. Czują bicie własnego serca.

- Bardzo mi przykro z tego powodu - powiedziała - lecz mylicie się, panie. Moje przedsiębiorstwo nie jest wam nic winne. To wy zaciągnęliście długi. Otrzymałam już spłatę od Medyceuszów.

Błyszczące oczy zamrugwały.

- Ach - odezwał się - zapewne przez młodego Claikine, waszego małżonka? Podjął pieniądze w Genewie, lecz najpierw porwał i nieomal uśmiercił waszego syna. Z pewnością nie powiadomił was o tym, że należna

wam kwota okazała się zaledwie połową sumy, którą kompania Charetty jest winna mnie?

Marian de Charetty podeszła do stołu. Położyła dłoń na oparciu wysokiego krzesła, przeznaczonego dla gości, po czym usiadła na nim. Złożyła ręce i powiedziała:

- Zechciejcie wyrażać się jaśniej. Mąż mój napisał, że wraz z Feliksem byli w Genewie. Otrzymałam także dokumenty podpisane przez Feliksa w Mediolanie. Nie sądzę zatem, bym była skłonna wam uwierzyć.

- O, możecie wierzyć, że jestem bankrutem - rzekł Jaak de Fleury. - Za dzień lub dwa wieści dotrą do Brugii. I możecie także wierzyć, że wasz syn odwiedził mój dom, a wasz małżonek chwycił za broń i powalił chłopca, by uniemożliwić mu powrót do domu. Każdy z moich ludzi to potwierdzi. Nawet ci, którzy umknęli i opuścili mnie. Nawet przyjaciele tego łotra, któregoście poślubili.

- A mediolański podpis?

- Przypuszczam, że został wymuszony na tym nieszczęsnym głuptasie. A teraz, rzecz jasna, wasz małżonek posłał Feliksa do Italii, lecz dotychczasowe próby pozbycia się rywala zawiodły. Chłopiec, jak słyszałem, uszedł z życiem spod Sarno. Może jednak nie przeżyje w Abruzzi u boku monsieur Nicholasa. Czy pozwolicie, bym w waszej kuchni poprosił o strawę i gorącą wodę? Przyjechałem, jak się zapewne domyślacie, znaczną odległość.

Marian de Charetty wstała.

- Znam oberżę w sam raz dla was - oświadczyła. - Dostaniecie tam i jadło, i gorącą wodę. Przykro mi, że wasze przedsięwzięcie upadło, obawiam się jednak, że nie nakłonicie mnie, abym pospieszyła wam z pomocą. Macie brata w Burgundii. Sądzę, że powinniście udać się do niego.

Wciąż uśmiechnięty, nie ruszył się z miejsca.

- Ale Thibault, droga pani, także nie ma pieniędzy - rzekł. - Za to ma na utrzymaniu niesforną córkę. Nie. Skoro mam zarobić na życie, muszę to uczynić w Brugii. Jeśli mi nie pomożecie, będę zmuszony udać się gdzie indziej. Najpewniej do cechu farbiarzy. Słyszałem, że wsparli was po pożarze. Może i mnie udzielią pożyczki. Mogą się jednak wahać, gdy usłyszą, w jaki sposób ich złoto wypłynęło z kraju w sakiewce sługi, który jest waszym małżonkiem. Wasz nieszczęsny syn nie mógł w to uwierzyć, póki nie ujrzał dowodów. Przeciwstawił się temu z wielką odwagą. Powalono go podczas próby sprzeciwu. Brugijscy farbiarze byliby z niego dumni, choć mogłoby to zmartwić nieco waszych klientów - Jaak de Fleury ze smutkiem potrząsnął głową. - Po takim pożarze i takiej kradzieży nikt nie będzie miał dość zaufania do kompanii Charetty, by lokować w niej majątek. Postąpićie

roztropniej czyniąc mnie współnikiem. Zyskacie na tym. Żadne przykre pogłoski nie popsują wam opinii i nie zaszkodzą waszym przyjacielom.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Nadal nie chcecie mi uwierzyć? - spytał. - Daję wam godzinę. Pytajcie moich ludzi o wszystko. Będę tu, gdy wrócicie. A po drodze może jednak poślecie do kuchni po jadło i nieco gorącej wody? W miarę prędko... Tak jak ta kompania, także i wasza służba nie wzbudza zaufania.

- Mam zamiar nie tylko wypytać waszych ludzi, lecz także rozmówić się z moim prawnikiem. Gdy wrócę, będzie mi towarzyszyło kilku mężczyzn. Możecie więc pozostać tu przez godzinę. Każę przynieść wam jadło i napoje. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zabiorę księgi rachunkowe mojej kompanii. Muszę wam także przypomnieć, że wszelkie groźby, które miotacie, przestaną mieć znaczenie w chwili, gdy mój syn i mój mąż przekroczą ten próg.

- Dobra niewiasto - zaczął. - Oni nie wrócą. Jeden jest na wojnie, a drugi wydaje pieniądze. Wasz Nicholas nie odważy się wrócić i spojrzeć mi w oczy. Moje księgi spłonęły, ktoś jednak stanie za nim przeciwko mnie? Dokonajcie wyboru. Nie macie ani dziedzica, ani małżonka i musicie mieć się na baczności. Natura nie da wam już pierwszego z nich, lecz drugiego macie w zasięgu ręki.

Wówczas pojęła cały jego plan i mocno zacisnęła dłonie na poręczach krzesła.

- A wasza małżonka? - spytała - Esota?

- Och, zabili ją - odparł. - Waszego męża chyba już nie było, kiedy to się stało, zatem to nie jego ręce dopuściły się tego czynu. Tak czy inaczej, nie przetrwałyby podróży. Biedna Esota, zawsze miała tyle do spakowania.

Uśmiechał się, gdy wychodziła. Zeszła na dół, odszukała Gregoria i razem wypytali ludzi z Genewy. Tak jak się spodziewała, potwierdzili słowa Jaaka de Fleury. Potwierdzili je - czego się nie spodziewała - posępnie, z gniewem i wszelkimi pozorami prawdy. Kiedy skończyła przepytывanie i weszła wraz z Gregoriem do bawialni, drżała na całym ciele.

- Wyrzucicie go stąd - powiedział Gregorio.

- Mówiłam wam, co wówczas rozpowie. A ci ludzie widzieli Feliksa i przysięgają, że Nicholas go uderzył. Myślicie, że kłamią?

- Nie - odparł Gregorio. - Myślę jednak, że mogły istnieć ważne przyczyny uciszenia Feliksa.

Wtedy po raz pierwszy opanowała lęk. Popatrzyła na Gregoria i powiedziała:

- Pozwólcie, że rozproszę wszelkie wątpliwości. Nikt na świecie, a już najmniej Jaak de Fleury, nie jest w stanie podważyć mojej wiary w Nicholasa

i jego lojalność. Nasza rozmowa dotyczy sposobu ochrony Nicholasa na równi z tym przedsiębiorstwem. Nie wszyscy znają go tak dobrze jak ja.

- Pozwolicie zatem, by ten człowiek rozgościł się w waszym domu i nie rozsiewał plotek, póki oni nie wrócą? - spytał Gregorio.

- Tak - odparła. Myślała, że prawnik znowu zacznie się sprzeciwiać; ponieważ jednak nie uczynił tego, dodała: - A więc wyrażacie zgodę?

Gregorio westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Nikt o zdrowych zmysłach nie wyraziłby zgody - powiedział. - Tyle że myślę, iż wasza wiara nie dozna zawodu. Nicholas wróci, gdy tylko będzie mógł, a jonkheere razem z nim. Ale jest inna kwestia. Powiadacie, że pan de Fleury widział księgi?

- Wszystkie tam były - odparła Marian. - A on zna się na rzeczy. W mgnieniu oka mógł pojąć wszystko lepiej niż ktokolwiek inny.

- Jeśli widział zapisy w księgach, wie, że przedsiębiorstwo rozkwita, cokolwiek zamierzałby mówić - rzekł Gregorio. - Chce zawładnąć kompanią. Napomknął już, jak pragnie to osiągnąć. Są jeszcze inne środki, z których istnienia nie zdaje sobie sprawy. O ile, rzecz jasna, widział sumy wpłacone przez przedstawicieli Bemba.

Marian de Charety milczała. Wspomniany zapis był jedynym śladem długich i ryzykownych negocjacji, które przyniosły im pieniądze za ałun. Aby to ochronić, będzie musiała zgodzić się na wszystko - inaczej wszystko utraci.

Gregorio także o tym wiedział. „Wyrzucicie go” - rzekł jej; lecz jedynie po to, by wypróbować jej wiarę w młodzieńca, którego poślubiła.

- A zatem pozostanie tu do powrotu Nicholasa - powiedziała. - Ale co zrobimy z wpisem dotyczącym Bemba?

- Zostawcie to mnie - odparł Gregorio. - Jestem pewien, że uda się zastosować jakąś tymczasową osłonę.

- To bardzo nieprzyjemny człowiek - stwierdziła.

- Ale cała rzecz nie potrwa długo - rzekł Gregorio. - Nic nie róbcie. Pracownicy są pełni dobrej woli i można im dawać to i owo do zrozumienia. Henninc i ja dopilnujemy, by wszyscy czekali cierpliwie. Może zechcecie wysłać dokądś córki na pewien czas. Brzemie spocznie przede wszystkim na waszych barkach.

- Tak - przyznała. Teraz, gdy decyzja została podjęta, poczuła przyływ odwagi i stanowczości.

Tak czy inaczej, musiała czekać. A skoro czekała, równie dobrze mogła toczyć walkę.

ROZDZIAŁ 38

Jeszcze zanim dotarli wraz ze służbą do brugijskiej Bramy Gandawskiej, Juliusz zaniechał prób nawiązania rozmowy z Nicholasem. W drodze z Mediolanu Juliusz dowiedział się o złożach ałunu. Przedtem zdumiała go wieść o długach Fleurych, teraz poczuł się wręcz ogłuszony tym odkryciem dokonany przebiegle i z wyrachowaniem. Przyjął do wiadomości fakt, że Tobie zajmował się tą sprawą od początku, że wiedział o tym nowy prawnik, Gregorio, i pani, która najwyraźniej udzieliła przedsięwzięciu błogosławieństwa. Wiedział także Feliks - i zatrzymał tę wiedzę dla siebie. Potwierdzało to postanowienie Juliusza, podjęte jeszcze w Mediolanie. Jeśli potrafi wytrzymać z Nicholasem, otworzą się przed nim nieograniczone możliwości.

Tymczasem Nicholas zaczął mu z lekka działać na nerwy. Choroba przestała już być wymówką. Przed tygodniem zniknęły ostatnie ślady febry i - choć tak jak wszyscy (prócz Loppego) wyczerpany podróżą - cieszył się dobrym zdrowiem. A w każdym razie - pod względem fizycznym. Tymczasem Nicholas, omówiwszy sprawę ałunu i - pokrótce - kilka innych kwestii, ważnych dla kompanii Charetty, umilkł na dobre.

Oczywiście chodziło o Feliksa. Juliusz, sam zmęczony niezwykle uciążliwą jazdą, zauważył, że on i Nicholas rozpatrują śmierć Feliksa z odmiennych punktów widzenia. Opłakiwał Feliksa, tak jak to czyni każdy nauczyciel w przypadku któregokolwiek z żywiołowych młodzieńców, będących jego uczniami i szukających u niego pomocy, gdy znaleźli się w opałach. Nicholas zaś opłakiwał go jak kolega z ławy szkolnej. Na dodatek musiał zanieść wiadomość matce chłopca, występując w nedorzeczej roli ojczyma. Sam sobie to jednak zgotował żeniąc się z wdową i Juliusz nie widział powodu, by darzyć go współczuciem.

Stanęli u bram Brugii, a strażnik bramy, zatwardziały wróg, przemówił:

- Ha! Zobaczycie zmiany u Charettych, wy dwaj.

Nicholas wyjmował właściwe przepustki. Juliusz odpowiedział:

- Ano, bez wątpienia! Słyszałem, że wiosną stróże urządzili sobie zabawę i spalili dom doszczętnie. Nie byłoby to możliwe, powiadam wam, gdybym ja był na miejscu.

- Są rzeczy gorsze niż pożar - rzekł strażnik i uśmiechnął się paskudnie.
- Na przykład? - odezwał się pytająco Nicholas. Położył przepustki na baryłce dobrego niemieckiego piwa. Strażnik wyszczerzył zęby, pokazując wszystkie, które miał, i zabrał baryłkę, zostawiając papiery w rękach Nicholasa.

- Na przykład to, że wdowa postawiła na was wszystkich krzyżyk i myśli o nowym zamążpójściu - powiedział. - Tak powiadają. Bo inaczej to nie byłoby w porządku, no nie? Ten człowiek siedzi tam dzień i noc, chodzi z nią na wszystkie zebrania i prowadzi interesy. A gdzie chłopak?

- Kiedy spotkamy się z panią, zapytajcie ją - odparł Nicholas. - Jaki człowiek?

Jego głos brzmiał spokojnie. Juliusz zaś czuł niepokój.

Przychodziły mu na myśl różne imiona. Lichwiarz Oudenin. Jeden z farbiarzy. Ten drugi prawnik, Gregorio.

- Podobno są spokrewnieni - podjął strażnik. - Ty też jesteś jej krewnym, czy nie tak, Claesie? Ona lubi mieć krewniaków blisko siebie. Nazywają go Jaak. Z Genewy. Jaak de Fleury.

Nicholas milczał przez chwilę, po czym zapytał:

- *Mieszka* u niej?

- I prowadzi przedsiębiorstwo - uzupełnił strażnik. - Można powiedzieć, że ma doświadczenie. Kupiec z prawdziwego zdarzenia. Kobieta może na nim polegać.

- Zaczekaj - wtrącił Juliusz. - Spokojnie. Nie jedźmy od razu do domu.

- Owszem, pojedziemy do domu - oświadczył Nicholas. Jego twarz z ziemistej stała się żółtawa i wyglądała nieco inaczej pod warstwą kurzu. - Jeżeli go przyjął, to z pewnością pod przymusem. - Strażnik został w tyle, a oni znajdowali się już na moście.

- Co on jej powiedział? Że nie żyjesz? Że Feliks... Co?

- Powiedział jej, że w Genewie pozbawiłem Feliksa przytomności i zmusiłem, by pojechał ze mną do Mediolanu. Czy Feliks nic ci nie mówił?

- Nie - odparł Juliusz. Był niezmiernie znużony i rozdrażniony tym, że musi zmagać się z prostym problemem prawnym. Jaak de Fleury był bankrutem. Nic mu się nie należało od Charettych i można się go było z łatwością pozbyć. Gdyby Juliusz był wypoczęty, z chęcią pozbyłby się go osobiście. Szkoda, że pani go przyjął, ale mogła to uczynić w ramach złe pojętej dobroczynności. Być może nie miała pojęcia o tym, jaki jest naprawdę monsieur Jaak. Juliusz wyraźnie pamiętał jego groźby, że utnie Claesowi dłonie.

- Pozbawiłeś Feliksa przytomności? - zapytał. - Jeżeli tak, to jestem pewien, że miałeś ważne powody; a nawet jeśli ich nie miałeś, wytłumaczysz

jej, że tak było. A może chcesz powiedzieć, że Jaak zagroził oczernieniem ciebie?

- Może podważyć zaufanie do kompanii - powiedział Nicholas. - Albo... - urwał nagle.

- No dobrze, co takiego? - spytał z irytacją Juliusz. - Przy tej szybkości będziemy tam lada chwila.

- Jest pewna tajemnica, której ty, ja i nasza pani nie chcielibyśmy wyjawiać Jaakowi de Fleury - rzekł Nicholas. - A właściwie jest ich dwie, ale druga nie dotyczy ciebie.

Kopalnia ałunu. Juliusz, pojmując znaczenie słów Nicholasa, poczuł, że także blednie.

- Jak go powstrzymamy, jeżeli dowiedział się o tym? - zapytał.

- Jest kilka sposobów - odparł Nicholas. - Podobnie jak istnieje więcej niż jeden sposób powiadomienia kogoś o śmierci jedynego syna. Może by tak, zamiast gadać, pomyśleć przez chwilę?

Claes nigdy się tak do niego nie odzywał. Przydałoby się tu trochę dyscypliny - i Juliusz już się odwracał, by ją zaprowadzić. Ujrawszy jednak wyraz twarzy Nicholasa okazał dość rozsądku, by zamilknąć.

Ulice Brugii były równie zatłoczone jak gościńce za miastem, ponieważ przepływały flamandzkie galery. Mimo że przepychali się jak tylko potrafili wraz ze swą skromną świtą, trudno było przedostać się konno. Wciąż dostrzegali jakieś znajome twarze. Nicholas ze spuszczoną głową parł naprzód, ponaglając konia i nie odpowiadając nikomu. Juliusz, nieobecny przez dłuższy czas, uśmiechał się niewyraźnie do znajomych, przyjaznych twarzy, układając wargi w słowa pozdrowienia.

Dlatego właśnie, jak przypuszczał, Nicholas odłączył się od nich: jego, Loppego i kilku ludzi wynajętych na czas podróży.

Nie miało to wielkiego znaczenia. Według Nicholasa, jechali do nowego domu przy ulicy Spangnaerts, w którym mieściła się obecnie główna siedziba pani. Po przybyciu na Spangnaerts Juliusz odnalazł dom, który wywarł na nim silne wrażenie.

Na podwórzu nie było śladu Nicholasa ani jego konia. Z pewną obawą Juliusz zastanowił się, czy nie będzie zmuszony jako pierwszy spotkać się z Jaakiem de Fleury oraz, co gorsza, z matką Feliksa. Zaczął właśnie wypytywać stróża przy bramie, gdy z drugiej strony dziedzińca nadszedł drobnej budowy mężczyzna. Wydawał się być w wieku Juliusza; miał zapadnięte skronie, szczupłą twarz i bardzo długi, cienki nos, którego surowość łagodził nieco spory rowek na samym czubku. Dźwięcznym głosem zapytał, czy może w czymś pomóc.

Czarny strój zdradzał jego tożsamość. Był to bez wątpienia Gregorio

z Asti, prawnik, który od pięciu miesięcy zasiadał przy stole Juliusza. Juliusz przedstawił się, uczynił zadość formalnościom i dowiedział się, że Nicholasa nie było i że pani oraz monsieur de Fleury wyszli z domu: pani, by zobaczyć flamandzkie galery, a monsieur, by odwiedzić kogoś w mieście.

Podając te szczegóły prawnik był uprzejmy, lecz ostrożny. Juliusz powiedział:

- Wiemy o Jaaku de Fleury. Domyślamy się chyba, jakie są jego pobudki. Czas już z tym skończyć. Meester Gregorio, jak się miewa pani?

Przenikliwe, czarne oczy oszacowały Juliusza i jego pytanie.

- Przez cały czas myślała, oczywiście, o powrocie chłopca - odparł Gregorio. - Złe wieści będą lepsze niż żadne.

- Powinna je usłyszeć od Nicholasa - rzekł Juliusz. - Powinien przybyć niebawem. Takich rzeczy nie mówi się na ulicy.

- A zatem jej syn nie żyje - stwierdził Gregorio. - Biedny chłopak. Biedna niewiasta. Niewykluczone, że dowie się o tym na ulicy. Prawdę mówiąc, wychodziłem właśnie, by jej poszukać. Powiedzcie mi: czy on zginął pod San Fabiano?

Tę nazwę musieli wymienić w swych przepowiedniach astrologowie. Niemożliwe, by wieść dotarła do Brugii tak szybko. Juliusz otworzył usta.

- Wiadomość o bitwie pojawiła się przed godziną - dodał Gregorio.

- Pewien kapitan z armii hrabiego Federigo przyszedł tutaj i opowiedział o niej. Dowiedziałem się o tym od odźwiernego. Człowiek ów nie wspominał o Feliksie. Pytał o pana de Fleury i poszedł go szukać.

- Kapitan? Kto taki? Nie Astorre? - pytał Juliusz. Poczł nagły chłód.

- Nie. Nie kapitan naszej pani. Raczej jego rywal, jak mi się wydaje - odparł Meester Gregorio. - Najemnik imieniem Lionetto.

Nicholas nie myślał tego dnia o własnym bezpieczeństwie. Gdyby taka myśl przyszła mu do głowy, odegnałby ją. Nikt nie wiedział o jego powrocie do Brugii. Nie wziął pod uwagę Bramy Gandawskiej i szybkostopych koleżków strażnika.

Od przejścia przez most zwodzony Nicholas myślał wyłącznie o Jaaku de Fleury. Kiedy przestał o nim myśleć, zaczął przygotowywać się do innej, ważniejszej rzeczy, którą musiał przeprowadzić. Jechał ze spuszczoną głową, gdyż nie chciał, by go zaczepiano i wypytywano o wojnę i Feliksa. W pierwszej chwili nie zauważył nawet, że jego koń stąpa popychany nie przez przypadkowy tłum, lecz przez dwa inne konie po obu jego stronach.

Jeźdźcy mieli na sobie miejskie mundury i z uśmiechem proponowali Nicholasowi, że odprowadzą go do domu pani. Odmówił, siłąc się na

uprzejmość, kiedy nalegali. Ich natarczywość skłoniła go wreszcie, by obejrzał się za Juliuszem - i wówczas stwierdził, że został sam.

W jego zatroskany umysł w przedziwny sposób wdarło się wspomnienie koszmaru z beczką i kanałem, które próbował odepchnąć. Wydawało mu się, że wywołały je dwie gładko ogolone twarze po bokach, przypominające odrobinę brodate, zapijaczone twarze, które zapamiętał mgliście z tamtej nocy.

Były to te same twarze.

Pojął to dopiero w chwili, gdy przeleciał obok nich; jego koń bowiem z niewiadomych przyczyn potknął się i upadł, zrzucając go ciężko na ziemię. Przetoczył się i wylądował w mrocznym przejściu, za którym leżał pas nieużytków i brzeg kanału. Z tyłu jakiś dziwny głos przemawiał poprawnym flamandzkim. Nie do niego; zapewniał przechodniów, że jeźdźcowi nic się nie stało i jest w troskliwych rękach. Przesunął się ponownie i wówczas stanęły nad nim dwie troskliwe postacie, jedna z nożem w dłoni.

Nicholas nie należał do najtępszych uczniów ksiązęcego mistrza sztuki rycerskiej z Mediolanu. W owej chwili miał już w ręku miecz i gdy sztylet opadł, sparował cios, obrócił się i stanął na nogach. Nie mógł przedostać się obok dwóch mężczyzn z powrotem na ulicę, mógł jednak - i uczynił to - przebiec przejściem w stronę znajdującego się za nim terenu.

Wiedział już wtedy, gdzie się znajduje. Tunel, którym tu przybiegł, prowadził do zniszczonego budynku, sąsiadującego z farbiarnią Charetych. Stał teraz w dawnym sadzie. Przed sobą miał kanał. Z jednej strony wznosił się mur bez żadnego oparcia dla stóp. Zginie, zanim zdoła nań wejść. Z drugiej widniał wyszczerbiony murek, który oddzielał niegdyś ogród od podwórza farbiarni. Rozciągające się za nim ruiny były rzędem zabudowań, w których kiedyś, pewnego dnia, zebrali się przyjaciele znad kadzi, by wysłuchać nowiny o zamażpójściu pani.

Dwaj mężczyźni w mundurach strażników miejskich mieli większe doświadczenie, gdy mowa o walce, lecz nieco mniejszy zasięg ramion. Nie podobał im się krąg zatoczony przez miecz Nicholasa. Było ich jednak dwóch.

Czapka spadła mu z głowy już wcześniej. W biegu zrzucił kurtkę, pozostając w samej koszuli i pończochach. Nic nie tamowało jego ruchów. Okręcił się, tnąc mieczem powietrze, tak że napastnicy musieli się cofnąć. Zdążył pomyśleć, że nie czuje lęku, jedynie ulgę. Zamiast brzemienia odpowiedzialności miał wykazać się męstwem w sztuce walki.

Uczynił to. Dobiegłszy do skruszonego muru, wykonał fintę. Najbliższy napastnik nadzieił się na jego miecz. Drugi rzucił się ku niemu z nożem. Nicholas uskoczył, natrafił na najniższą część muru i przeskoczył na drugą

stronę, ścigany przez rozjuszonego mężczyznę. W biegu z rozmachem ciął mieczem i rozplątał przeciwnikowi ramię. Wykonałby wielce udany skok, gdyby nie potknął się o stopę Jaaka de Fleury. Upadł, przekręcił się i spostrzegł, że nie ma już broni, a kupiec trzyma miecz przy jego gardle. Ocalały napastnik podbiegł krwawiąc i szarpnięciem postawił go na nogi.

Nicholas zobaczył nierówny teren, na którym niegdyś rozstawiano kobyły ramowe i rozciągarki tkanin. Ciągnęły się tam grządki obsiane czerwonymi, błękitnymi, żółtymi i fioletowymi roślinami. Dalej piętrzyły się poczerńiałe cegły, zarośnięte trawą - pozostałość po domu, w którym pracował i sypiał nieprzerwanie od dziesiątego roku życia. Naprzeciwko stał człowiek, który był wcześniej jego panem.

Niewzruszonym, uśmiechniętym, okrutnym panem. Kupcem, który usiłował zniszczyć kompanię Charetty, a teraz, samemu będąc w krytycznym położeniu, pragnął ją zdobyć dla siebie. Ów obmierzły kupiec miał w ręku miecz i nie tracąc słów postąpił naprzód z zamiarem uśmiercenia Nicholasa.

Nicholas poczuł czyjaś dłoń zaciskającą się na jego ramieniu, a potem - nóż przyłożony do pleców. Należały do mężczyzny ugodzonego mieczem. Uścisk miał obezwładniającą siłę. Nóż jednak spoczywał w osłabionej ręce.

Nicholas rzucił się całym ciężarem w tył, nie w przód. Jego łokieć natrafił na zranione ramię obcego. Poczul ostrze wbijające się w ciało, lecz nie kierowała nim silna ręka. Trzymający Nicholasa mężczyzna zawył i puścił go. Nicholas pochwycił jego nóż i sam zadał cios.

Mężczyzna upadł. Lecz Jaak de Fleury miał miecz, a broń Nicholasa leżała tuż obok na ziemi. Nicholas zanurkował, pochwycił swój miecz i uskoczył w chwili, gdy oręż Jaaka de Fleury zaświstał mu nad głową. Stał z mieczem w dłoni, tak jak go nauczono i sparował cios, słysząc przy tym głośny szcęk, taki sam jak na placu ćwiczebnym.

W tej dziedzinie, jak zresztą w żadnej innej, nie posiadał wieloletniego doświadczenia swych zwierzchników. Miał tylko swój mózg, który przyjmował pouczenia i zatrzymywał je - na zawsze.

Na dawnym podwórzu, na którym niegdyś błękitnymi palcami upychał z wysiłkiem dziewicze sukno w kadzi, przyjmował z pogodą ducha splendory płynące z wyszydzanego cebrzyka z uryną, dzielił z koleżkami jadło, piwo i sprośne lub miażdżące żarty - teraz przemykał, uchylając się i ślizgając, z mieczem w dłoni, i osłaniał się przed stryjecznym dziadkiem, usiłującym go zabić.

I starszym o lat trzydzieści.

„*Chciałbyś móc z nim walczyć? Pobić go? Pokonać?*” - spytała go kiedyś Marian de Charetty.

A on wówczas odpowiedział: „*Łfeśli wciąż się go boję, to już nigdy nie przestanę się bać*”.

To była prawda. Strach, wpojony mu biciem, kiedy miał siedem lat, nigdy go nie opuści.

Pomimo choroby, pomimo wysiłku całej nieszczęsnej podróży, pomimo potężnej budowy Jaaka de Fleury i jego wyćwiczonego, wprawnego ramienia, on, Nicholas, był o trzydzieści lat młodszy, a ostatnimi czasy poznał kilka wybornych sztuczek należących do kunsztu walki na miecze. Lecz - cóż z tego? Jeśli zabije Jaaka de Fleury, zabije swego krewniaka, przeleje własną krew. Strach pozostanie w nim nietknięty.

Sparował cios, raz i drugi. Nie wiedział, co robić.

Twarz Jaaka de Fleury była różowa i lśniąca od potu. Zauważył niepewność Nicholasa i uśmiechnął się, dysząc przy tym ciężko. Przesunął się nieco - zwinny, muskularny mężczyzna. Walczył bez długiej szaty, a przepyszny kubrak uwydatniał jego muskularne ramiona. Bufiaste rękawy jedwabnej koszuli osłaniały wydatne mięśnie ramion, a wysoki kołnierz lśnił od klejnotów. Ostrze jego miecza zawirowało. Nicholas ponownie sparował uderzenie.

Ze zniszczonego domu, daleko z tyłu, dobiegł przenikliwy, męski wrzask, rozbrzmiewający coraz głośniej i bliżej. Jaak de Fleury rozejrzał się dookoła. Nicholas także zerknął przez ramię.

Postać, która wyłoniła się spomiędzy rozrzuconych kamieni miała rozwiane, rude włosy. *Lionetto!* Biegły za nim kolejne dwie postacie, dobywając przy tym mieczy. Był to Juliusz - błogosławiony Juliusz! - i Gregorio.

Jak go znaleźli?

Koń.

Co, na Boga, robił tutaj Lionetto? Łatwo odgadnąć: szukał Nicholasa. Lionetto także miał swoje powody, by pragnąć śmierci Nicholasa. Tylko że Nicholas nie wiedział, że on wie...

Nie był w stanie walczyć z dwoma na raz. Nie umiałby pokonać samego Lionetta, a co dopiero z Jaakiem u boku. A Juliusz i Gregorio, nawet gdyby biegli bardzo szybko, nie zdążą dobiec w porę. Miał zatem umrzeć. Nie z powodu chłosty. Z powodu dorosłego odpowiednika chłosty, którą otrzymywał ten, kto wtrącał się w sprawy dorosłych ludzi.

- *Zdrajca!* - wrzeszczał Lionetto. - *Skurwysyn! Łajdacka szumowina!* A więc kradniesz żołnierskie pieniądze? Łamiesz dane słowo? Opróżniasz żołnierzowi sakiewkę i zdradzasz go? O, tak. Rób, co ci się podoba. Ale nie z Lionettem. Nie z Lionettem, przyjacielu.

Kapitan Lionetto przybył. Stanął z mieczem w dłoni jako trzecia osoba

trójkąta, który tworzył wraz z Nicholasem i olśniewającą postacią Jaaka de Fleury. Kupiec, zerkając jednym okiem na Nicholasa, postąpił krok w tył, opuszczając miecz. Nicholas obserwował Lionetta.

Oczy Lionetta spoczywały jednak na Jaaku de Fleury.

- Nie wierzyłem - powiedział. - To tylko plotki, mówiłem. Ale pomyślałem sobie, że warto się upewnić, gdzie są wszystkie dopiero co wysłane pieniądze. Papieskie pieniądze. Cała zdobyczna gotówka. Ale wasze przedstawicielstwo w Mediolanie było zamknięte. Wasz człowiek, Maffino, czmychnął. I żadnych pieniędzy. Żadnych pieniędzy dla Lionetta - uśmiechnął się. Jego rozszerzone nozdrza połyskiwały w czerstwej twarzy, przypominającej razowy chleb. - Więc rozpytałem się o moje pieniądze w Genewie. Wszystkie pieniądze. Całe oszczędności, które tam ulokowałem. I czego się dowiaduję? Nie ma ich. Znikły. A dlaczego?

Ostatnie słowo wypowiedział łagodnym tonem. Jednocześnie błyskawicznym ruchem wznosił prawą rękę. Na ramieniu Jaaka de Fleury pojawiła się krwawa plama i kupiec z jękiem odskoczył, unosząc miecz. Lionetto zręcznie opuścił broń.

- Dlaczego? - powtórzył. - Powiadają, że księżę Sabaudii kazał Jaakowi de Fleury oddać wszystkie oszczędności Lionetta. Tak powiadają. Chcą, żebym w to uwierzył. Ale czy Lionetto urodził się wczoraj? Nie.

Poruszył się ponownie. Błysnęło ostrze. Zawirowało obok drugiego miecza, gwałtownie uniesionego, i rozcięło ramię kupca.

- Myślę, że masz moje pieniądze - powiedział Lionetto.

Różowe policzki Jaaka de Fleury wyglądały teraz nieco inaczej - jak gdyby ktoś zabarwił je, powiedzmy, odrobiną rozcieńczonego, błękitnawego urzetu. Zachłysnął się i przemówił:

- Oczywiście, że ich nie mam. Sam jesteś sobie winien. Przeszedłeś na drugą stronę. Od Piccinina do Aragonów. Francuzi dowiedzieli się o tym. Wydali rozkazy. Kazali skonfiskować cały twój majątek. Otrzymałem nakaz z Sabaudii.

- Doprawdy? - spytał Lionetto. Wychylił się ku przodowi. Kupiec odskoczył. - Być może. Ale dali ci przecież rekompensatę.

- Nie! - zaprzeczył Jaak de Fleury. - Obiecali, ale nie zapłacili. Wszystko zainwestowałem. Wycofanie pieniędzy przywiodło mnie do bankructwa. Jestem bankrutem.

- Widzę - stwierdził Lionetto. Ostrze miecza zamigotało. Od kołnierza kupca odpadł jeden z klejnotów. - Nie masz grosza przy duszy. Więc gdzie są moje pieniądze?

- To prawda - wtrącił Nicholas. - Król Francji kazał księciu Sabaudii skonfiskować pieniądze. On *jest* bankrutem. Żyje za pieniądze Charettych.

- Nie ma pieniędzy? - Lionetto odwrócił się.

- Nie. Zostaw go - powiedział Nicholas.

- *Nicholasie!* - zawołał Juliusz. - Przecież on chciał cię zabić.

- Och? - mruknął Lionetto. - Dlaczego próbował zabić mojego małego Nicholasa? W takim razie może mu daruję. Sam do czasu do czasu mam ochotę zabić Nicholasa. Czy ci mówiłem, że omal nie uśmierciłem twojego medyka? Spotkałem go w drodze na północ. Twojego doktora Tobiasza. To on przywiózł pieniądze, dla których opuściłem Piccinina. Ale on mnie przekonał, że nie chciał mojej krzywdy. Chciał uczynić mnie bogatym, to prawda. Tyle że nie jestem bogaty. A czyja to wina?

Jaak de Fleury nie był tchórzem. A przy jego miłości własnej odwaga nie była konieczna. Stał, oddychając szybko. Wreszcie rzekł:

- Nie widzę powodu, by to dłużej przeciągać. - Następnie odwrócił się plecami i ruszył przed siebie.

Lionetto był za to najemnikiem.

- Ja również, mój drogi monsieur - powiedział i uczyniwszy trzy niespieszne kroki, przeszył kupca mieczem od tyłu.

Stojąc nad rozciągniętym, umięśnionym ciałem wyciągnął zeń ostrze, obejrzał je i wytarł starannie o kępkę trawy.

- Mam nadzieję - odezwał się - że wszyscy widzieli. Ten biedaczysko, Nicholas, walczył o życie, a ja go ocalałem. Co tu robią ci wszyscy ludzie?

- Przyglądają się ratowaniu Nicholasa - odparł Juliusz. I on także oddychał dość szybko. - Czy macie coś pilnego do załatwienia w Brugii?

Lionetto rozejrzał się, popatrując z ukosa na Nicholasa.

- Nie w tej chwili - powiedział. - O ile pamiętam, miałem kiedyś powody do skargi na ciebie?

- Owszem - odrzekł Nicholas. - Ale ktoś inny walczył wtedy ze mną w waszym imieniu. Myślę, że możecie uznać sprawę za zamkniętą.

- Zwyciężyłeś? - mruknął pytająco Lionetto.

- Nie, przegrałem - odparł Nicholas.

Płonące oczy Lionetta ominęły Jaaka de Fleury i powędrowały do miejsca, gdzie po obu stronach muru leżeli dwaj martwi mężczyźni.

- Cóż, chyba już teraz nabrałeś wprawy - stwierdził. - Jeśli chcesz wziąć na siebie śmierć starego, nie zaprzeczę. Potrzebuję paru groszy na wynajęcie kwatery w Gandawie.

- Weźcie moją sakiewkę - rzekł Gregorio i rzucił mu ją. Lionetto złapał sakiewkę i utkwiał w nim spojrzenie. Pozostali dwaj również. Lionetto wyszczerzył zęby.

- Wyświadczyłem wam przysługę, co? - zagadnął. - No to pamiętajcie o tym. Pewnego dnia mogą zechcieć czegoś w zamian. Pani?

Skłonił się przed kimś, kto nadchodził z przeciwnej strony, po której zebrał się tłum. Następnie schował miecz do pochwy i odszedł z kapeluszem w rękę.

Zbliżającą się osobą była Marian de Charetty.

- O Jezu Chryste - wyrwało się Juliuszowi.

Gregorio odwrócił oczy od odchodzącego Lionetta.

- Chyba widziała, kto go zabił. Myślę, że może Nicholas...?

- Czy możesz... - zaczął Nicholas. - Czy moglibyście rozproszyć tłum i zatrzymać tych ludzi, którym musimy powiedzieć? Odprowadzę panią na ulicę Spangnaerts.

Po walce jego serce waliło ciężko, a ręce drżały. Usiłował opanować zawroty głowy. Nie ruszał się z miejsca i próbował zebrać myśli. Im dalej od tłumy, tym większą zyskują prywatność. Tak czy inaczej, będzie musiała wysłuchać w miejscu publicznym tego, co miał jej do powiedzenia. Gapie nie usłyszą, lecz będą na nią patrzyli.

Sam fakt, że stał czekając na nią, podsunął jej, jakie nowiny miał do przekazania. Była ubrana skromnie, jak zawsze - w suknię o wąskich rękawach, bez dekoltu, a poniżej nakrycia głowy woal spowijał jej uszy i podbródek. Błękitne oczy jaśniały w ciemnych obwódkach, a policzki i usta okryła bledność.

Stanęła obok Nicholasa i unosząc oczy, zapytała:

- Zranił cię?

Trawa u jego stóp była splamiona krwią. Przypomniał sobie ostrze noża w plecach. Rana była powierzchowna, łatwa do opatrzenia.

- Nie - odparł. - Juliusz i ja... przynosimy ci złe wieści.

- Straciłam Feliksa - powiedziała. W jej oczach nie było łez.

- Stał się dorosły - podjął Nicholas. - Z dnia na dzień. Pomógł mi w Mediolanie, a potem chciał uczestniczyć w walkach pod Neapolem. Dobrze się spisał. Astorre poświadczy. Później, zamiast wrócić do domu, postanowił przyłączyć się do armii Urbina. Hrabiego Urbino i Alessandra Strozzi. Walczących na wschodzie.

- Wiem - powiedziała. - W Abruzzi. Byłeś tam?

- Miał nawet sposobność stoczenia pojedynku - ciągnął Nicholas.

- Zwyciężył. Był bardzo szczęśliwy. Zginął niedługo potem, na polu walki. Wywiązała się bitwa i został trafiony z kuszy. Wszystko stało się bardzo szybko. Pochowaliśmy go tam.

Wzdrygnęła się. Widział, że nie chce w tej chwili wysłuchiwać szczegółów. Spojrzała na martwego mężczyznę, leżącego bezwładnie na trawie.

- Chciał przejąć kompanię - powiedziała.

- Nienawdził Charetych - odparł Nicholas. - Myślę, że nienawdził kobiet. Thibault ożenił się dwukrotnie, a on pogardzał i nim, i twoją siostrą, i moją matką. Nie warto o nim więcej myśleć.

- Nie. Później powiesz mi więcej. I o tym, gdzie jest pochowany... och, dziewczęta! Nie ma ich w domu.

- Możemy po nie pójść - rzekł Nicholas.

Dom przy Spangnaerts, przemeblowany po pożarze, był znajomy dla nich, lecz niezajomy dla niego. Tilda i Katarzyna, odszukane i przyprowadzone, były dalekie od opanowania właściwego matce i dostarczyły jej zajęcia, musiała je bowiem pocieszać. Do Nicholasa odnosiły się tak jak w czasach, gdy był towarzyszem zabaw, który pojawiał się i znikał z ich życia. Jak gdyby nigdy nie został małżonkiem ich matki.

Marian de Charety również zachowywała się tak, jakby nadal grała rolę wdowy. Znała Claesa od dziesięciu lat. Urodziła i wychowała Feliksa, widząc, jak Cornelis topnieje z dumy nad swoim dzieckiem, swoim synem.

Nicholas dostrzegł to - i zostawiwszy ją w spokoju, zajął się naprawianiem spustoszeń, które przyniósł dzień.

Sprawy związane ze śmiercią Jaaka de Fleury pozostawił prawnikom, którzy uznali, że nie będzie żadnych kłopotów w przypadku tak jawnej i niesprowokowanej napaści. Usunięto ciało. Gregorio sprawnie zajął się zwolnieniem i odprawą nielicznej służby Jaaka. To, co po nim pozostało, miało być przekazane jego bratu. Z rozważą, nie kłopotząc tym pani ani jej bliskich, Gregorio i Juliusz zabrali wszystkie drobne kosztowności, które ów człowiek zdążył zakupić za pieniądze Charetych. Wymienione na srebro, miały niebawem powrócić na konto kompanii. Pod koniec dnia zmęczony podróżą Juliusz czuł się zupełnie ogłupiały i z wdzięcznością udał się - za zgodą Gregoria - na spoczynek.

Nicholas, tryskający energią, pracował nadal. Gregorio zajął do niego i usłyszawszy, że ma iść do domu, uczynił to. Darzył osieroconą rodzinę współczuciem. Nie był jednak mężem swej chlebodawczyni.

Pani była świadoma wszystkiego, co się działo. Od czasu do czasu małomówny Henninc lub ktoś ze służby zjawiał się u niej, by zaofiarować pomoc lub zawiadomić o czyichś odwiedzinach. Dziękowała uprzejmie, czuła jednak, że dzisiaj jej miejsce jest przy córkach.

Dzieci zjadły kolację w jej bawialni, lecz ona sama nie jadła. Dziewczęta po dłuższej chwili zabrały się do jedzenia z młodzieńczym apetytem. Otrząsnęły się już nieco. Jutro lub pojutrze zaczną wypytywać dokładnie o walkę i pojedynek.

Potem, kiedy już posłała je do łóżek, usłyszała płacz Tildy. Weszła do niej i została, dopóki dziewczynka nie usnęła. Później rozebrała się sama,

włożyła nocną koszulę i usiadła w sypialni przy odsłoniętym oknie, żałując, że nie ma przy niej Cornelisa.

Nie powinna była żałować, gdyż Cornelis cierpiałby straszliwie. Jego syn. Jego dziedzic. Ona zaś straciła jedynie dziecko.

Wspominała Cornelisa z łagodną życzliwością. Był dobrym mężem, takim, jakiego mogła sobie życzyć każda kobieta. Kiedy ojciec Marian zbankrutował, *faute von den wissele*, podobnie jak Jaak de Fleury, Cornelis przejął kompanię i doprowadził do rozkwitu. Nigdy nie kłopotał żony sprawami kompanii. Zajmowała się dziećmi i domem.

Tak byłoby i dzisiaj, gdyby Cornelis żył. Oczywiście, chwilami czuła się samotna. W tej chwili była samotna. Jedynie Tilda i Katarzyna znały Feliksa tak jak ona, ale były zbyt młode, by przynieść jej pociechę. Podobnie jak przyjaciele Feliksa. Pomyślała z nagłą wdzięcznością o Margriet Adorne. Miała przyjaciół w swoim wieku, którzy ją rozumieją. Jutro. Najpierw jednak trzeba znieść dzisiejszą noc.

Wiedziała, że w pokoju Feliksa stoi kufer z jego rzeczami i hełmem z czerwonym pióropuszem i głową orła. Sama go znalazła. Ktokolwiek go tam położył, nie zamknął go w skrzyni. Starsi domownicy traktowali ją jak dojrzałą kobietę, która potrafi stawić czoło kryzysowi, a o pomoc poprosi, gdy będzie jej potrzebowała. Zauważyła, że przez cały dzień, cokolwiek robiła, zawsze ktoś był pod ręką. Nie odzywając się, często nie w tym samym pomieszczeniu - lecz w zasięgu ręki. Zwłaszcza Nicholas.

Aż do tej chwili nie myślała właściwie o Nicholasie. Odczuwała jego brak, kiedy go nie było. Brakowało jej jego niezawodnej siły i zrozumienia. Skrycie winiła go za to, że opuścił ją i kompanię - tak jak przedtem zdarzało się jej winić Cornelisa, gdy wyjeżdżał do Antwerpii i zostawiał jakieś sprawy na jej głowie.

t

Z tych samych przyczyn pragnęła powrotu Nicholasas. Choć... nie. Pragnęła jego powrotu ze względu na swoje poczucie koleżeństwa, które stało się codzienną przyjemnością. Nie wiedziała, czy i jemu sprawia ono przyjemność. Wiedziała natomiast, że zasmakował w ryzykownych grach i podejmował rozmaite próby. Przypuszczała, że jeszcze do niedawna mógł - gdyby zechciał - ukrywać swą tożsamość. On jednak czynił krok naprzód, przyznając się do kompanii Charetty - i do niej.

O czym on dzisiaj rozmyśla? Był z Feliksem. Nie dowiedział się o jego śmierci na podwórzu, wśród motków wełny, poplamionych skór i cuchnących fartuchów. Śmierć Feliksa miała z nim coś wspólnego. Nie tylko troska, lecz i poczucie winy pchnęło go wraz z Juliuszem w karkołomną podróż, aby powiadomić ją o wszystkim, sprawiając jak najmniej bólu.

Tymczasem dowiedziała się o śmierci Feliksa w sposób najbrutalniejszy

z możliwych. Cokolwiek Nicholas myślał o Esocie, dowiedział się o jej śmierci już w drodze. Słyszał o upadku Jaaka de Fleury. Mieszkał z nimi obydwojgiem i przetrwał objawy okrucieństwa bez widocznej goryczy. Śmierć Jaaka nie była jego winą - zabił go Lionetto. Dzisiaj jednak przekonał się, że jego życie i szczęście nic nie znaczą dla Jaaka. I dzisiaj zabił człowieka. Nicholas, który kiedyś wynurzał się smętnie ze Steen z czerwonymi pręgami na plecach i pogodną twarzą, pozbawił życia dwóch ludzi.

Zapominała jednak o tym, że mężczyźni nie mogli iść na wojnę i pozostać tylko kupcami. Nicholas, podobnie jak Feliks, nauczył się zabijać. Jeden z nich już za to zapłacił.

Rozmyślała przez dłuższą chwilę. W domu panowała cisza. Po drugiej stronie korytarza drzwi okazałej sypialni, którą przysposobił dla siebie Jaak de Fleury, były zatrzaśnięte i zaryglowane, a jego rzeczy złożone w pustej izbie. Dalej znajdował się pokój, który zajmował Nicholas, odkąd razem z Gregoriem założyli tu swoje biuro, jeszcze przed pożarem. Nie dochodziło stamtąd światła, ale drzwi były otwarte.

Widziała je otwarte, gdy przechodziła. Wiedziała dlaczego. To on odebrał jej Feliksa. Był jej mężem. Był nikim. Nie istniała dla niego rola w tej tragedii, jeżeli ona tego nie zechciała.

Czy chciała? Tej nocy myślała o rodzinie, o Cornelisie i Feliksie, Tildzie i Katarzynie. Choć znała od dawna młodego Nicholasa, znajdował się poza owym niewielkim, ciasnym kręgiem. Dopuszczenie go wydawało się zdradą. Był dla Feliksa tym, kim dawniej Juliusz: doradcą, nawet preceptorem. Dla Cornelisa był czeladnikiem. Jej samej ukazał twarz doskonałego zarządcy: lojalnego, pracowitego i troskliwego.

Ulicą przeszedł ktoś z latarnią. Nikłe światło omiotło jej pokój, kreśląc na dłoniach i koszuli Marian delikatne romby. Jej włosy opadały na podolek w migotliwych splotach. Wygładziła je, spuszczać głowę.

Jestem niemądra - pomyślała. Gregorio jest doskonałym zarządcą. Juliusz jest lojalny, pracowity i troskliwy. Ale nakłoniłam Nicholasa do małżeństwa. A potem to ja stałam się dzieckiem, a on opiekunem.

Pomyślała, że nie ma już dziecka prócz niego. A on nie ma nikogo, kto mógłby zrozumieć jego uczucia owego dnia.

Drzwi wciąż były otwarte, gdy przemierzyła korytarz, osłaniając płomyk świecy. Nicholas odpoczywał, podobnie jak ona, przy oknie, lecz słysząc jej kroki odwrócił głowę.

Całodzienna siła witalna gdzieś przepadała, ustępując miejsca myślom, z którymi trzeba było się zmierzyć.

Znała je. Podeszła do okna i spojrzała na niego, aby mógł zobaczyć jej suche oczy, jej panowanie nad drobiazgami.

Nie podniósł się; to ją wzruszyło. Jego twarz jednak złagodniała nieco.

Miała w życiu do czynienia z dziećmi i mężami. Wiedziała jak dawać i przyjmować pociechę. Zobaczyła, że Nicholas domyśla się, jakie są jej zamiary, zanim zdmuchnęła świecę, odstawiła ją i usiadła, zbierając fałdy nocnej koszuli, obok niego przy oknie.

Było wystarczająco jasno, by odnaleźć jego dłoń. Lekko ujęła ją w obydwie własne.

- Nie wiedziałem, czego chcesz - odezwał się.

- Potrzebuję kogoś, kto potrzebuje mnie - powiedziała.

Była mądrzejsza niż sądziła. Jak się okazało, w tym wypadku była także silniejsza. Tak jak to czynią medycy, odarła go z zewnętrznego spokoju, później zaś wzięła w kojące ramiona - jak Tildę czy Katarzynę.

Ale on nie był Tildą ani Katarzyną, a ona sama także była oszołomiona, niepewna i cierpiała. W jego uścisku, równie delikatnym jak jej, wyczuła coś jeszcze - coś, nad czym usiłował milcząco zapanować. Zwłaszcza wówczas, gdy uniosła jego dłoń w swoich i wsunęła w ciepłą, lśniącą, gęstą falę włosów. Potem przytrzymała jego rękę przy swojej piersi, w miejscu, gdzie koszula rozchyłała się pod zapięciem.

- Nicholasi?

Jego palce cofnęły się pod jej dotykiem, lecz nadal dotykały brzegu koszuli. W podnieceniu przemówił po francusku:

- Pomyśl...

- Nie - przerwała Marian de Charetty. - Przestań myśleć.

ROZDZIAŁ 39

To, jak i gdzie Marian de Charetty spędziła pierwszą noc swego drugiego osierocenia, nie umknęło uwadze jej córki Tildzie, którą obudził jakiś cichy głos. Wstała przed świtem i zobaczyła, że pokój matki jest pusty. Nicholas zamknął drzwi swojej sypialni. Tilda zatrzymała się przy nich przez krótką chwilę i usłyszała wewnątrz głos matki. Cokolwiek mówiła, urwała niemal natychmiast, jak gdyby zabrakło jej tchu - na podobieństwo Katarzyny - i jakby płakała. Lecz w jej szlochu nie było smutku. Tilda przekradła się obok drzwi. Później, zwinąwszy się w kłębek w swym łóżku, płakała - nie jak matka, lecz jak Katarzyna.

W następnych dniach cały dom zrozumiał, co się dzieje, gdyż ani Marian de Charetty, ani jej mąż nie usiłowali udawać, że nie dzielą sypialni. W ciągu dnia dom spowity był kirem i przejęty żałobą. Nocą pani przyjmowała należną jej pociechę. Służba, która wcześniej okazałaby zakłopotanie lub oburzenie i uciekłaby się do nieprzystojnych żartów, a nawet wrogości, teraz usprawiedliwiała i przebaczała. Śmierć Feliksa odmieniła wszystko.

Juliusz, którego pożerała ciekawość, przyglądał się temu wszystkiemu. Zauważył, że małżeństwo pani zostało zaakceptowane nie tylko przez Henninca i dawnych współtowarzyszy Claesa, ale nawet przez zamożnych mieszczan, którzy popierali ów związek, jeszcze zanim rozwinął się tak jak obecnie. Juliusz odbył rozmowę z Gregoriem i dowiedział się od drugiego prawnika co nieco o tym małżeństwie. Nadal bacznie obserwował Gregoria, do czego miałyby prawo każdy w stosunku do człowieka tej samej profesji; lecz podobało mu się to, co zobaczył, kiedy zginął Jaak de Fleury. Podczas przykrych obowiązków, które później wynikły, okazało się, że Gregorio jest bezpretensjonalnym, pracowitym towarzyszem. Spędzając wspólnie długie godziny nad księgami rachunkowymi Juliusz musiał przyznać, że Gregorio doskonale zna się na rzeczy. Chwilami wydawało mu się, że owo niepokojące czarne spojrzenie kryje coś więcej niż biegłość zawodowa; gdy jednak odkrył, że Gregorio ma kochankę imieniem Margot, pojął, że nie różni się od innych. Kobieta była także dobrą kucharką. Kiedy Gregorio, nie przynaglany, zaprosił go, by ją poznał, Juliusz zastanawiał się, dlaczego ma wrażenie, że Gregorio jest w skrytości ducha wielce rozbawiony.

Dla pozostałych mieszkańców Brugii Nicholas stał się, oczywiście, nowym bohaterem. Teraz wszyscy wiedzieli, jakim łotrem był Jaak de Fleury. Niektórzy zauważyli to od razu, gdy człowiek ów pojawił się w podejrzanym sposób, przejmując kompanię i twierdząc, że ma do niej prawo. Nicholas i Juliusz posiadali dowody świadczące, że tak nie było; a co więcej, od lat oszukiwał nieszczęsną wdowę. Słudzy młodego Feliksa, gdyby ich kto pytał, gotowi byli opowiadać, jak i dlaczego Nicholas wyprowadził bezpiecznie Feliksa z Genewy - i jak dobrze się odtąd zgodzali.

Wszystkim było, oczywiście, bardzo przykro z powodu tego, co przydarzyło się młodemu panu, lecz przyznawano, że miasto i rodzina mogą być z niego dumne. Walczył dla króla Ferrante i zdobył wawrzyny w wielkim turnieju w Abruzzi. Szkoda tylko, że nie odbył się on tutaj i przyjaciele nie mogli wiwatować na cześć jonkheere Feliksa. Jeśli jednak młody człowiek musiał zginąć - cóż byłoby lepsze?

A gdy mowa o Nicholasie, który był niegdyś Claesem - któż by pomyślał? Dotrzymał pola dwóm uzbrojonym ludziom i zabił ich, a potem walczył z tym zbójem de Fleury'm, choć w końcu uśmiercił go kto inny. I tak się troszczył o żonę, aż trudno uwierzyć; wręcz obsypywał ją pieniędzmi zarobionymi w Italii. Trzeba było posłuchać o sumach, które wysyłał jej latem w formie weksli. Spłaciła wszystkie długi, a jej córki mogły spodziewać się niezgorszych posagów. Ten Nicholas okazał się poczciwym chłopakiem.

Jedyną osobą, która nie chciała wyolbrzymiać tego wszystkiego, był sam Nicholas, którego przez cały ranek poklepywano po obandażowanych plecach i wychwalano, a który ratował się rozpaczliwą ucieczką w pracę. Juliusz i Gregorio bez sprzeciwu dzielili z nim długie godziny roboty i szereg uciążliwych spotkań. Decyzje Jaaka de Fleury poprawiono lub zmieniono, wprowadzając nowe na ich miejsce. Służbę kurierską zbadano, przeseregowano i ulepszono. Wszystko, co przedsięwziął Gregorio od kwietnia, oceniono i omówiono - w tym także plan zakupów dotyczący galer flamandzkich. Rozpoczęły się też ważne spotkania z Bembo i kupcami z Wenecji.

W ciągu tygodnia powinno było nadejść z Wenecji potwierdzenie odbioru określonej ilości ałunu z galer flamandzkich przez Charettych i kupców z Genui. Ilość ta nie była zbyt wielka, gdyż stanowiła jedynie balast. Zasady jednak zostały ustalone i następny okręt z Konstantynopola, przywożący towary w dużych ilościach, zatrzyma się tutaj, a nowe spichrze pani zaczną się wypełniać. Nawet gdyby nazajutrz odnaleziono nową kopalnię...

Jedynymi istotami w Brugii niezadowolonymi z Nicholasą wydawały się wszystkie dziewczęta, z którymi dawniej chodził, i które z pewnością miały

nadzieję, że znuży go wdowa i zacznie uganiać się za nimi na nowo. Pewnego dnia Juliusz spędził pewien czas z wysoko urodzonymi ludźmi z Veere, z którymi - jak myślał - nie miał się o co spierać, dopóki nie ujrzał złośliwej miny małej, tłustej dziewczynki, zapamiętanej przez niego jako młodsza panna van Borselen. Nicholas, na którego patrzyła, odwzajemnił spojrzenie, zachowując twarz pozbawioną wyrazu, co czynił w owych dniach bardzo często. Nie dałoby się już wyśledzić Nicholasa, nasłuchując śmiechu innych. Lecz, oczywiście, to nie byłoby na miejscu, biorąc pod uwagę nieszczęsnego Feliksa.

Tymczasem przybył z Abruzzi łysy doktor Tobiasz, który poskładał już do kupy hrabiego Federigo i wszystkich jego żołnierzy nadających się do wyleczenia. Podobnie jak Juliusz, Tobie wrócił ogorzały od włoskiego słońca i najwyraźniej przejęty wyglądem domu przy ulicy Spangnaerts, którego - podobnie jak Juliusz - nigdy dotąd nie widział; a także Gregoriem, który był dla niego kimś nowym. Gregorio i Tobie przeważający się wzajemnie tworzyli ciekawe studium dla Juliusza. Pomyślał, że świetnie do siebie pasują.

Nicholasa nie było, więc Tobie odbył samotne spotkanie z panią - na temat Astorre'a i jego zimowych kwater oraz zamknięcia kontraktu i przypuszczalnego udziału Tobiego w kopalni ałunu, wykrytej przez Nicholasa. Doktor okazał najmniejsze z nich wszystkich zaciekawienie małżeństwem pani, przypuszczalnie dlatego, że i tak mało ją znał. Ich jedyne spotkanie nastąpiło przed dziesięcioma miesiącami, gdy przystąpił do Astorre'a zamiast do Lionetta.

Wyszedł z owego spotkania na pozór bez uszczerbku i wkroczył do biura tak, jakby miał powody przypuszczać, że to jego miejsce pracy. Kanceliści byli chwilowo nieobecni, lecz pomieszczenie wyglądało dość urzędowo - ze stołami, szafami i schludnymi stosami papierów. Tobie rozejrzał się, skinął głową Juliuszowi i Gregoriowi, i zapytał:

- A gdzie jest młody pan?

Juliusz zmarszczył brwi. Gregorio zaś odezwał się tonem melodyjnym niczym organy:

- Dowiedźcie się, że młody pan tego domu nie żyje. Nicholas wróci niebawem. Przewodniczy, z pewną niechęcią, pogrzebowi swego stryjcznego dziadka.

Tobie uniósł rękę i przesunął dłonią po łysej głowie, zdejmując czarny берет.

- Niewiele brakowało, by i mnie pochowano - powiedział. - Dlatego nie spieszyłem się z powrotem. Mój dawny kapitan zaskoczył mnie w drodze i próbował dowiedzieć się, czy zrujnowałem go rozmyślnie. Namówiłem go, by poszukał raczej Jaaka de Fleury.

- Znalazł go - rzekł sucho Gregorio. - Jeżeli waszym dawnym kapitanem był niejaki Lionetto.

Juliusz zauważył, że Tobie i Gregorio mierzą się wzajemnie spojrzeniem.

- Czy to Jaaka de Fleury chowają? - zapytał Tobie.

Gregorio łagodnie skinął głową.

- Zabił go Lionetto. Który tego samego dnia spieszenie odjechał. Z pewnością żałuje, że przeszedł na stronę przeciwnika. Gdyby pozostał z Piccininem, nic takiego by się nie wydarzyło.

- Mniejsza o Lionetta - wtrącił Juliusz. - Czy mamy nową condottę? Tobie obejrzał się ku niemu.

- O, tak - odparł. - A przynajmniej zaproponowano nam ją. Astorre jest ulubieńcem wszystkich, odkąd zdołał się wydostać bezpiecznie spod Neapolu i przybyć prosto do stóp Urbina. Tegoroczna kampania przeciwko Piccininowi dobiegła końca. Urbino także przyjął nowe warunki i zabiera swe wojska na zimę do Magliano, na północ od Rzymu, aby on i Alessandro mogli zobaczyć się z papieżem w Święta Bożego Narodzenia. Astorre pozostanie z nimi, dopóki nie będzie wiedział, czego chcemy... czego chce od niego pani.

- Jeżeli masz na myśli Nicholas, dlaczego nie powiesz wprost? - spytał Juliusz. Gdy to mówił, do biura wszedł Nicholas; nie wydawało się jednak, by usłyszał, gdyż patrzył na Tobiego i ku niemu skierował pozdrowienie.

Oczy Tobiego, odwzajemniające spojrzenie, były okrągłe i jasne, z paskudnymi czarnymi punkcikami pośrodku: takie oczy widzi łasica, ścigana przez jastrzębia.

- Co to za historia z Jaakiem de Fleury? - spytał Tobie.

- On nie żyje - odparł Nicholas. - A co to za historia z Astorrem i nowym kontraktem?

Otrzymał odpowiedź, lecz nie zmuszał Tobiego do rozmów o interesach, skoro istniały ciekawsze tematy. Nicholas siedział i przysłuchiwał się zamiast mówić, co było ostatnimi czasy jego zwyczajem. Juliusz, pławiąc się w nowinach i plotkach, siedział i gawędził z dwoma pozostałymi, przerywając jedynie wówczas, gdy przychodzili goście. Przez dom nieustannie przewijali się ludzie, pragnący złożyć wyrazy współczucia matce Feliksa. Po spotkaniu z matką Feliksa przybywali pod drzwi biura i zaglądali do środka, by porozmawiać z przyjaciółmi Feliksa.

Wizytę złożyli już: Sersanders, Jan Bonkle i Colard Mansion (pytający o Godscalca), a nawet Tommaso Portinari, który nie należał do kręgu przyjaciół Feliksa, lecz doświadczał - jak się wydawało, wbrew woli - nacisków, by zjednać sobie Nicholas. Wypytał go o wszystkie szczegóły pojedynku i bitwy pod San Fabiano, a Nicholas udzielił mu odpowiedzi.

Juliusz zauważył, że przyjaciele Feliksa nie winią Nicholasa za to, co się stało, lecz bardzo pragną dowiedzieć się wszystkiego o walce. Sprawozdanie Nicholasa, wielokrotnie powtarzane, przybrało nieco okrojona formę, lecz Juliusz mógł dodać co nieco od siebie. Miał również w zanadrzu mnóstwo świetnych historyjek o Sarno. Wszystko to wydawało mu się dość podniecające i czuł nawet pewne zawstydzenie. Mimo wszystko jednak nie powinno się zapominać o zmarłych. Należy o nich rozmawiać.

Juliusz rozmawiał z Lorenzem Strozzi, który przyszedł tuż po przyjeździe Tobiego. Lorenzo wypytywał o swego brata w Neapolu i upewniał się, że król Ferrante utrzyma tron, a przedsiębiorstwu Strozzich nic nie zagraża. Juliusz, jako równie niespokojny depozytariusz, przekazał Lorenzowi wszelkie znane mu wieści, lecz nie rozproszył wszystkich jego obaw. Następnie Lorenzo zaczął opowiadać o skąpstwie Strozzich z Brugii i rozważać, jak to rozwijająca się kompania Charetty z pewnością poszukuje bystrych, młodych faktorów. Ponieważ nikt nie podjął rozmowy, powrócił do tematu Feliksa. Nicholas opowiedział mu o bitwie. Lorenzo zaczął zbierać się do odejścia. Już w drzwiach, patrząc na Nicholasa, powiedział:

- Mam u ciebie dług za tego strusia.

Przez chwilę twarz Nicholasa pozbawiona była wyrazu. Później spytał:

- Strusia? Gdzie on jest?

Na twarz Lorenza wypłynął rzadki uśmiech.

- Ma go Tommaso - odparł. - W Bretanii karmiono go małżami.

Przyjechał w bardzo nędznym stanie i Tommaso próbuje wykurować go na tyle, aby wysłać go przed zimą przez Alpy. Dostałem zapłatę.

- To dobrze - rzekł Nicholas.

- Czy to wszystko? - zapytał Juliusz, gdy zamknęły się drzwi. - Loppe twierdzi, że Feliks opowiedział mu pewną historię...

- Tak, wiem. Niech Tobie najpierw dokończy, co mówił.

Tobie podjął zatem wywód, lecz nadal znajdował się w połowie, gdy wszyscy musieli wstać, ponieważ drzwi otworzyły się przed Giovannim Arnolfini, kupcem bławatnym z Lukki, który przyniósł czarny aksamit dla pani. W darze od najjaśniejszego i najdosłojniejszego delfina, pragnącego pocieszyć zboląłą matkę po stracie dzielnego, młodego syna.

Rozmawiali o Feliksie i Nicholas wyjaśnił okoliczności bitwy. Po odejściu Arnolfiniego Tobie spojrzął na Nicholasa.

- Może być tak zarygłował te przeklęte drzwi? - podsunął.

- Lada chwila zabrzmi dzwon wzywający do pracy - powiedział Gregorio - i wolelibyśmy, aby kanceliści mogli dostać się do środka. Nic jeszcze nie jadłem. Może zabrałibyśmy z sobą Meester Tobiasza i udali się na poszukiwania? O ile nakłonimy panią, by wybaczyła naszą nieobecność.

- Idźcie we trzech - rzekł Nicholas. - Powiem jej. Zobaczymy się później.

Wstał i wyszedł. A Tobie i Gregorio, nie znający się jeszcze, ponownie wymienili spojrzenia.

W oberży byli sami z powodu późnej pory. Juliusz znał tę gospodę od dawna, zamówił więc pełen stół jadła - na cześć doktora - i tyle dobrego reńskiego wina, ile zdołałby wypić. W końcu jednak Tobie nie wypił aż tak wiele, lecz za to zażądał dokładnego wyjaśnienia, dlaczego Jaak de Fleury wrócił do Brugii i co mu się przydarzyło.

Pod koniec usiadł na chwilę i wypił spory haust wina.

- Jak to przyjęła Brugia? - spytał. - Czy obwiniają Nicholasa?

- Czy obwiniają? - powtórzył Juliusz. - W końcu odkupił swoje winy. Nigdy się z nikim nie spierał. A teraz, gdy on i pani...

- Kupcy także pogodzili się z tym małżeństwem - wtrącił szybko Gregorio. - Nicholas ma się na czym oprzeć. Może zrobić z przedsiębiorstwem, co zechce.

Tobie, nie zwracając nań uwagi, wciąż wpatrywał się w Juliusza, który czuł, że zaczyna się rumienić.

- Rozumiem - powiedział Tobie. - A czego może zechcieć? Czy już mówił?

- Cóż - odparł Juliusz - właściwie niezupełnie chodzi tu o kierowanie przedsiębiorstwem przez Nicholasa. Gdy nadejdzie potwierdzenie w sprawie ałunu, zapewne wszystkich nas poproszą o pomoc w opracowaniu planów na przyszłość. Mogę wam tylko powiedzieć, że w następnym sezonie zbierzemy dwa dodatkowe oddziały dla Astorre'a, skoro mamy już naddatek broni i pieniędzy na wyposażenie. Przypuszczam, że poproszą cię, byś wrócił tam jako medyk, o ile dotychczas cię o to nie poproszono. Farbiarnia pozostanie pod zarządem pani, lecz weksle i rieruchomości, w tym także winiarnia Feliksa, przejdą pod zarząd mój i Gregoria, i być może zostaną rozszerzone.

- A Nicholas? - spytał Tobie.

- Ma swoją służbę kurierską - odparł Juliusz. - Z dobrym zespołem może zyskać powszechne uznanie. Poprowadzi ją głównie z Brugii, sam jednak odbędzie kilka podróży między Brugią a Mediolanem, dla podtrzymania kontaktów z Mediolariczykami. Myśli chyba, że będziesz mógł pomóc, znalazłszy się z Astorrem w Italii.

Urwał i spojrzał na Gregoria, lecz Gregorio nie chciał nic dodać.

- I tylko o tym mówił? - zapytał Tobie. - Nic o statkach, o filiach zagranicznych, o handlu jedwabiem?

- O *statkach*? - powtórzył Juliusz.

- Nie - odrzekł Gregorio. - Nic a nic. Lecz, oczywiście, wiele rzeczy trzeba było ustalić i z wieloma uporać się w ostatnich dniach. Jak mówił Juliusz, nie odbyło się jeszcze spotkanie, podczas którego ustalono by jakieś plany. Pani najprawdopodobniej chciała poczekać na was. A potwierdzenie w sprawie ałunu już nadeszło. Miałem wrażenie, że... - zawahał się.

- Co takiego? - spytał Tobie.

- Że Nicholas na coś czeka - dokończył Gregorio.

- I nie martwicie się?

- O co? - zapytał Juliusz.

- O przyszłość przedsiębiorstwa, oczywiście - odpowiedział doktor. Oderwał kilka kawałków bażanta i skrzętnie włożył je do ust jedną ręką. - Feliks stał nominalnie na czele. Nie ma go już. Prawnie na czele stoi pani. To rzetelna, znająca się na rzeczy niewiasta, lecz sprawa tego wymiaru to dla niej zbyt wiele. Dopóki córki nie znajdą mężów, kto pokieruje kompanią Charetty?

- Wydawało mi się, że to dość oczywiste - stwierdził Gregorio. - Ci sami ludzie, którzy poprowadzą wspólnie przedsięwzięcie związane z ałunem. My trzej i Nicholas. Tyle że Nicholas, jako małżonek pani, zajmuje najsilniejsze stanowisko.

- Z pewnością nie dałby sobie rady bez nas - orzekł Juliusz.

- Czyżby? - wtrącił Tobie. - Myślałem o przyjacielu Nicholasie i jego wyczynach. Słyszałem, co pani mówiła o obecnym stanie przedsiębiorstwa. Nie sądzę, aby Nicholas potrzebował nas do prowadzenia czegokolwiek. Potrzebuje naszej pomocy, to wszystko. Czy nam się to podoba czy nie, Nicholas jest panem kompanii Charetty. I co wy na to? Czy chcecie pracować dla kogoś takiego?

Ta właśnie kwestia trapiła Juliusza.

- Wiem, co masz na myśli - powiedział. - Jest młody.

- Ma niecałe dwadzieścia lat - dodał Tobie. - Przeszło dziesięć lat mniej niż najstarszy z nas. A to oznacza, że choć ma talent, nie ma doświadczenia.

- Możemy mu je zapewnić - wtrącił Gregorio. Wpatrywał się bacznie w Tobiego.

- A on to przyjmie - podjął Tobie. - Lubi słuchać rad. Lubi zarządzanie. Jest pogodny, wesoły, cierpliwy, a ponadto nie chowa urazy, dlatego zaskarbił sobie sympatię wszystkich, którzy kiedyś go bili. Współpraca z nim jest przyjemnością. Dla mnie przyjemnością jest praca dla niego. Zacząłem się jednak zastanawiać nad jego uległością. Czy jest szczerą?

Juliusz uśmiechnął się krzywo.

- Czy widziałeś Nicholasa znoszącego chłostę? Jest szczerzy.

- O, on ją znosił... gdy trwała - powiedział Tobie. - Ale jeżeli nie

zapominał natychmiast, tak jak wam się wydaje? Jeżeli każda zniewaga, każda kara zostaje po cichu odnotowana, a on jest zupełnie innym człowiekiem?

- Zastanawiałem się nad tym - rzekł Gregorio.

- I ja również - powiedział Tobie. - Czy jest taki, jakim się wydaje? Rozmyślając nad tym zacząłem dostrzegać pewne rzeczy. Najważniejsze jest, jak sądzę, jedno: jeżeli nasz przyjaciel Nicholas kogoś nie lubi, to nasz przyjaciel Nicholas go uśmierca.

Juliusz przestał jeść.

- Tak - rzekł Gregorio. - Chyba powinniśmy o tym porozmawiać.

Ciepła pogoda sprawiła, że roiło się much. Juliusz wypędził je na zewnątrz, zrzucił kurtkę, rozpiął górę kubraka, odwrócił się w stronę Tobiego i zapytał:

- *O czym* wy właściwie mówicie?

Doktor odłożył ogryzioną kość, zanurzył palce w miseczce z wodą i wytarł je dokładnie w serwetkę. Odsunął talerz i ujął puchar wina w obie dłonie.

- O Jaaku de Fleury i Lionecie - odparł.

Juliusz wytrzeszczył oczy. Gniew zaparł mu dech w piersiach.

- To niedorzeczność - powiedział. - O co obwiniacie Nicholas'a? Zabił dwóch sługusów, którzy dybali na jego życie. Nie zabił Lionetta i nie zabił Fleury'ego, choć, na Boga, miał po temu wszelkie powody. Jedyne oswobodził Brugię i naszą kompanię od tych łajdaków.

- Nie mówię w tej chwili, że ludzie, którym wyrządza krzywdę, nie zasługują na to - podjął Tobie. - Lub też większość z nich. Mówię o układaniu łamigłówek, tworzeniu szyfrów, zakładaniu przynęty i czekaniu gdzieś w cieniu, aż inni ludzie z nich skorzystają.

Tobie uniósł kielich i pociągnął łyk wina. Później omiótł spojrzeniem Juliusza i Goro.

- Weźmy na przykład Lionetta - powiedział. - Nie lubię go. Tak się złożyło, że Lionetto dokuczył również Nicholasowi wtedy w oberży, podczas powodzi w mieście. Potem jeszcze wciągnął Astorre'a w utarczkę, której uczestnikiem stał się także Nicholas i omal nie zginął. Możemy więc przypuszczać, że Nicholas nie przepada za Lionettem. Można by pomyśleć, że ucieszy go wieść, iż w wojnie neapolitańskiej Lionetto walczy po przeciwnej stronie, pod wodzą Piccinina.

- Było inaczej - wtrącił Gregorio. - Pamiętam, że nadeszły wieści o przejściu Piccinina na drugą stronę. Nie spodobało się to Nicholasowi. Nie chciał jednak wyjawić, dlaczego.

- Nie dbał o poczynania Piccinina - rzekł Tobie. - Chciał jednak mieć

Lionetta po naszej stronie. Tak bardzo, że gdy papież przysłał do Mediolanu pieniądze na łapówki, Nicholas prosił mnie, bym nakłonił księcia do wykorzystania części z nich w celu odciążenia Lionetta od Piccinina. Uczyniłem to i Lionetto powrócił na stronę mediolańską.

- Dlaczego Nicholas tak chciał mieć Lionetta po naszej stronie? - spytał Juliusz.

- Nad tym się właśnie zastanawiałem - odparł Tobie. - Później zacząłem się zastanawiać, gdzie też Lionetto lokuje całe złoto, którym go przekupiono. I zgadnijcie, co się okazało?

- Korzystał z banku medycejskiego - powiedział Juliusz. - Pamiętam, że w Genewie Nicholas dowcipkował na temat fałszywych klejnotów Lionetta.

- I obudził w Jaaku de Fleury tęsknotę za przyszłymi lokatami Lionetta - stwierdził Tobie. - Jaak de Fleury wiedział, oczywiście, jak popłatna może być służba żołnierska. Przez długi czas obracał pieniędzmi kapitana Astorre. Dopóki nie pojawił się Nicholas.

- Nicholas? - powtórzył Juliusz, lecz natychmiast przypomniał sobie wszystko - W Mediolanie... Astorre przeniósł swój majątek do Medyceuszów, gdyż zaproponowali mu zdumiewająco korzystne warunki - urwał. - Ale jak Nicholas wpłynął na Medyceuszów?

- Nicholas ma ich w garści - powiedział Tobie. - Układa i łamie szyfry. Przynosi wiadomości. To nie to, że Medyceusze zrobią dla niego wszystko, lecz zaproponowanie najemnemu kapitanowi korzystnych warunków i zażądanie w ten sposób jego pieniędzy z pewnością leżało w ich możliwościach. Majątek Astorre'a był zatem bezpieczny, a Lionetto, który pogardzał swoim wrogiem i słuchał przy tym pochlebstw de Fleury'ego, przeniósł swoje pieniądze do Maffina, przedstawiciela monsieur Jaaka w Mediolanie. Nicholasowi bardzo ulżyło, kiedy to się stało. Sprawdził to specjalnie, przejeżdżając przez Mediolan. Sam mi powiedział.

- Chciał, żeby Lionetto stracił wszystko, kiedy Jaak de Fleury zbankrutuje? - spytał Gregorio.

- Chciał, by Jaak de Fleury zbankrutował - odparł Tobie. - To Jaak de Fleury był celem. Lionetto tylko skierował pocisk we właściwą stronę.

Czy to możliwe? Juliusz siedział wpatrzony w doktora. Jaak, który upokarzał i dręczył małego Nicholasasa i dorosłego Nicholasasa. Czy mógł powstać taki plan zemsty?

- Nie powiedziałaś, dlaczego Nicholas chciał mieć Lionetta po naszej stronie - odezwał się Gregorio.

Jasne oczy Tobiego zmierzyły Juliusza i powróciły do Gregoria. Jego drobne usta miały nadąsany wyraz.

- Aby go zdradzić - odparł. - Lionetto jest Francuzem. Żeby zrujnować Lionetta, wystarczyło dać znać Francji, że walczy po niewłaściwej stronie i ma sporą sumę pieniędzy odłożoną u nielojalnego przedsiębiorcy w Genewie. Król Francji nie musiał wysyłać nikogo, by zniszczyć Thibaulta i Jaaka de Fleury. Wystarczyło skonfiskować ogromną lokatę Lionetta i dom Fleurych natychmiast upadła.

- Zakładasz, że Nicholas to obmyślił - zaczął Juliusz. - Jak mógłby...

- Nicholas nie tylko to obmyślił, lecz i urządził - powiedział Tobie.

- Potrzebował kogoś trzeciego, kto powiadomiłby króla Francji, pomyślał więc o księciu Sabaudii. Pamiętacie lawinę w Alpach? Nie miał jej w planie. Ale widziałem, jak pomysł przychodzi Nicholasowi do głowy. Zobaczył, że mnich chce krzyknąć, i zachęcił go. Dziecinada, której potem żałował. Ale wcześniej w hospicjum nasłuchiwał się plotek. Przysiągłbym, że wiedział, iż w owej grupie Anglików znajduje się oficer delfina, syna i najzaciętszego wroga króla Francji. Nicholas poznał wówczas pana Gastona du Lyon i odbył z nim rozmowę. Jestem pewien, że zgadliby się i bez lawiny. Spotkali się ponownie w Mediolanie, byłem przy tym. Monsieur Gaston wydawał się zainteresowany posłańcami z kompanii Charety w imieniu swego pana. W rzeczywistości, oczywiście, delfin miał nadzieję, że kupi przekazywane wiadomości. A Nicholas zechce je sprzedać lub wymienić na coś. Na przykład, gdyby delfin dopomógł w wydaniu Lionetta Francuzom, wykorzystując swe powiązania z Sabaudią -

- Tobie urwał. - Nie rozumiecie? Delfin uczyniłby to chętnie, z wielu powodów nienawidzi ojca. Pozyskałby Lionetta dla Mediolanczyków. I nie miał nic przeciwko zniszczeniu Jaaka de Fleury. Ta kompania zawsze sprzyjała ojcu delfina, choć chciwość skłoniła monsieur Jaaka do przyjęcia lokaty Lionetta. I to właśnie uczynił delfin. Wydał konieczne rozkazy. Gaston du Lyon przebywał w Sabaudii w tym samym czasie, kiedy Nicholas przejeżdżał tamtędy z Feliksem. Jestem przekonany, że stąd wziął się upadek Jaaka de Fleury.

Przypisywanie Nicholasowi takiej przebiegłości nadal wydawało się niepodobieństwem. Walcząc z wątpliwościami Juliusz niechętnie zaczął szperać w pamięci. Przypomniawszy sobie pewne zdarzenie.

- W Mediolanie - zaczął - to Gaston du Lyon powiedział nam o bankructwie Jaaka. A później... - urwał.

- Później? - ponaglił Tobie.

- Czekali na nas ludzie Medyceuszów - podjął Juliusz. - Stwierdzili, że mogą spłacić wszystkie długi monsieur Jaaka w monecie lub towarze, a także zwrócić wszystkie niezapłacone towary, zatrzymane przez Jaaka. Nicholas sprzedał im wszelkie zaległe długi. Medyceusze byli zadowoleni, ponieważ mogli odzyskać wszystko, otrzymawszy... wcześniejsze ostrzeżenie o bankructwie.

- Właśnie - rzekł Tobie. - Nicholas polecił mi także zawiadomić odlewnika w Piacenzy, że Jaakowi de Fleury wcale nieśpieszno do broni, którą zamówił. Miałem nawet poprosić Agostina, by nie wysyłał jej do Genewy, choćby była gotowa.

- Żeby czekała na nas po upadku domu Fleurych - odezwał się Gregorio. - Juliuszu... powiadasz, żeś był z Nicholasem w Mediolanie, kiedy nadeszła wieść o bankructwie. Jak ją przyjął Nicholas?

- Był również przerażony jak ja, słysząc o losie pani Esoty i zniszczeniu przedsiębiorstwa - odparł Juliusz. - On...

- Co zrobił? - pytał Tobie.

- Rozbił fłaszke - dokończył niepewnie Juliusz.

- Ale czy był zaskoczony? - spytał Gregorio. - Samym bankructwem? Tym, że dostał pieniądze?

Pamięć Juliusza przywołała wspomnienie upalnej nocy w Mediolanie, dwóch groteskowych głów kiwających się nad arkuszami pokrytymi rzędami liczb i Nicholasą, siedzącego obok biernie i w milczeniu; wyczerpanego - jak sądził Juliusz - chorobą.

- Nie - powiedział. Po chwili dodał: - Jestem pewien, że nie chciał skrzywdzić pani Esoty.

Nieoczekiwanie przemówił Gregorio:

- Nie sądzę, by chciał też wyrządzić cielesną krzywdę monsieur Jaakowi. Podczas walki jedynie parował ciosy.

Juliusz milczał. Po męczącej podróży i zabiciu dwóch ludzi, czego mógł dowodzić brak żwawości? Czy to możliwe? Czy możliwe, aby po wszystkich zabiegach Nicholas wybrał *taki* rodzaj odwetu, długi, cichy, mściwie znaczony ślad zniszczenia, by w ten sposób dochodzić swego? Po dłuższej chwili odezwał się:

- Chronił Astorre'a. Mógł pozostawić jego pieniądze w Genewie.

- Może Astorre jest mu potrzebny - podsunął Tobie. - Feliksa nie chronił.

- Nie! - sprzeciwił się gwałtownie Juliusz - Nie wierzę w to!

- Pani także była mu potrzebna - ciągnął Tobie, jak gdyby nie dosłyszał. - Przynajmniej na początku. Podobnie jak my... na początku.

- Zaczekaj - przemówił Gregorio. - Chyba posuwasz się zbyt daleko. Nie znam dobrze Nicholasą, lecz mógłbym przysiąc, że jego uczucia dla pani i Feliksa są Szczerze. Przez cały ten tydzień nie potrafił ukryć swoich uczuć. Juliusz może poświadczyć.

- Oczywiście, że tak - przyznał Juliusz. - Na Boga, Tobie, widziałeś go pod San Fabiano. To chyba nie były tylko skutki febry? Patrzyłem na niego, kiedy słuchał nowin o rozmiarach kłeski w Genewie. Milczał potem niemal

przez całą drogę do Brugii i do dziś nie otrząsał się z tego. Czy mógłby żywić podobne uczucia, gdyby był takim potworem, jakiego opisujesz?

- Wyrzuty sumienia? - podsunął Tobie - On nie ma jeszcze dwudziestu lat. To jego pierwsze próby. Podczas kolejnych będzie zapewne bardziej rozważny. Pytanie brzmi: czy chcemy tego doczekać? Następnym razem ofiarą padnie któryś z nas, lub wszyscy. Rozmyślnie lub, jeśli chcecie przesądzić sprawę na jego korzyść, przypadkiem. Oceniałem go początkowo jako niewinną istotę, obarczoną niepospolitą inteligencją, która mogła zejść na manowce. Myślałem, że możemy nad tym zapanować. Przypuśćmy jednak, że on wcale nie jest niewinny? Przypuśćmy, że doskonale wie, dokąd zmierza, i pragnie osiągnąć cel w taki właśnie sposób?

Zapadła cisza. Juliusz nie chciał się odzywać. Powoli splótł dłonie na brzegu stołu i wciąż nie potrafił sobie wyobrazić Nicholasa dokonującego tych wszystkich rzeczy. Wtem okazało się, że jednak potrafi - i to z łatwością.

- Nie ma chyba żadnych niepodważalnych dowodów? - spytał Gregorio.

- Trzeba by zapytać delfina lub księcia Mediolanu, a oni raczej nie zechcą odpowiedzieć - odparł Tobie.

- Co masz zamiar zrobić? - Juliusz skierował to pytanie bezpośrednio do Tobiego.

Dłonie Tobiego nie drżały; wargi miał zaciśnięte i wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Otworzył usta i nieoczekiwanie kichnął.

- Na zdrowie - rzekł Juliusz. Ku jego zdumieniu twarz doktora pokryła się szkarłatnymi cętkami.

- Zostaję - rzucił szorstko. - Jeśli zszedł już na złą drogę, ufam, że potrafię go przechytryć. Jeśli nie, może potrafię go powstrzymać. Nie sądzę, by któremuś z nas groziło w tej chwili niebezpieczeństwo. Jesteśmy mu potrzebni. Mam jednak zamiar zrobić jedno: ostrzec Marian de Charetty.

- Ja też zostaję - powiedział Juliusz. - Po chwili dodał: - Może pani już wie?

Jasne spojrzenie powróciło ku niemu.

- I dlatego on... Nie. Postąpiłaby wówczas inaczej z Jaakiem de Fleury. Goro?

- Nie - odparł Gregorio. - Jestem pewien, że nie wiedziała, w jaki sposób zostali wykiwani Jaak de Fleury i Lionetto. Nie pozwoliłaby na to. Jest bardzo uczciwa. Zostanę. Powiem wam jedno: on nie może być zupełnie niewinny. Myślę jednak, że nie jest człowiekiem złym.

- Lub: jeszcze nie jest - rzekł Tobie. - Nawiadem mówiąc, czy to Jaak de Fleury kazał podpalić farbiarnię?

- Z tego co wiemy, nie - odrzekł Gregorio. - Przyłapaliśmy mężczyznę imieniem Szymon. Szkota.

- A zatem pani ma więcej niż jednego wroga - stwierdził Tobie. - Mam pewien pomysł. Może byśmy napuścili ich na siebie nawzajem?

- Już nie musimy - powiedział Juliusz.

/

ROZDZIAŁ 40

O samotniony w swym drewnianym pudełku-łamiłgłówe, w którym chwilowo przestały działać zapadki, Nicholas czekał; a co więcej, czekał biernie.

Nie okazywał tego w żaden sposób, zajmując się pilnie przez cały dzień sprawami przedsiębiorstwa, nocą zaś dbając o to, by pani była szczęśliwa.

Marian de Charetty była szczęśliwa. Od początku małżeństwa świadom był swej potrójnej roli: niekiedy odgrywał małego Claikine, dziecko, nad którym się litowała; innym razem Nicholasa, zarządcę i faktora, na którego mogła liczyć tak samo jak na Juliusza i Gregoria. Kiedy indziej znowu zastępował Cornelisa, który brał na siebie jej brzemię, gdy była zmęczona, i któremu mogła ufać, ponieważ był jej małżonkiem.

Wiedział także, do czego może doprowadzić litość i osamotnienie. Dlatego narzucił sobie w małżeństwie jedną osobistą zasadę. Nie cieszyła się ona poparciem dziewcząt, które myślały, że go znają.

Nie prowadził już życia sługi i dlatego, można by rzec, nie potrzebował zadośćuczynienia. Zamiast tego wyznaczył sobie nowy, pełen zajęć tryb życia, bez żadnych środków przynoszących ulgę. Wytrzymywał to, choć z trudem. Nie chciał wiedzieć, jaką rolę odegrał ów tryb życia w uległości, którą okazał w noc po śmierci Jaaka de Fleury. Nie mógł jednak nie zauważyć następnego ranka skutków owej nocy spędzonej z Marian: jej świeżej cery i pełnego miłości spokoju, z jakim zaczęła mówić o wszystkim, co dotyczyło Feliksa. Tym samym tonem przemawiała do Nicholasa. Był jak Feliks. Miał otrzymywać pociechę, a nie - zsyłać ją.

I tak to trwało. Pierwsze dni były dla niej dniami panny młodej: czas oczekiwania na nadejście nocy stawał się pokutą. Nicholas musiał być mądry za nich dwoje: pamiętać o tym, że tylko młodzi potrafią wytrzymać nocne rozkosze przez dłuższy czas. Musiał być delikatny; rozumieć, że więź powinna słabnąć i prędzej czy później okrzepnąć na płaszczyźnie o znacznie mniejszym napięciu. Sądził, że jest gotów i z tym dać sobie radę. Rzeczywisty świat żądał od niego przeróżnych danin. Aby wyładować nagromadzoną energię, mógł powrócić na plan ćwiczebny i do łuczników. Namówił Juliusza, by mu towarzyszył; i zmusił nawet Tobiego i Gregoria, aby się do nich przyłączyli.

Nie podziękowali mu, choć kiedy już zaczęli tam przychodzić, spodobało im się to. Ze względu na przedsiębiorstwo miał nadzieję, że ci trzej będą żyli w zgodzie; z tego samego względu obarczył ich wszystkim, co tylko mógł wymyślić, żeby przywykli do pomagania sobie wzajemnie.

Zgadziali się świetnie. Byli mniej więcej w tym samym wieku i wszyscy znali się na swojej pracy. Spodziewał się, że uznają go za człowieka z zewnątrz - i tak się stało. Pomyślał, że gdy będzie w stanie myśleć znowu o wielu sprawach, zajmie się nimi wreszcie. I zacznie układać plany.

Wkrótce potem nadeszło potwierdzenie w kwestii ałunu. Na to przede wszystkim czekał. Wszystko miał już ułożone i należało jedynie wprowadzić zamierzenia w życie. Nicholas zlecił część zadań Tobiemu, sam zaś udał się w odwiedziny do Hotelu Jerusalem.

Po powrocie widział się już z kimś z Adornów, nie musiał więc opowiadać o Feliksie. Nie trzeba było także mówić zbyt wiele o śmierci Jaaka de Fleury, z którą władze miasta poradziły sobie tak gładko. Od czasu wesela, które odbyło się w progach tego domu, Margriet Adorne darzyła Marian przyjaźnią, pokrzepiając ją w pierwszych dniach po stracie i pomagając w wychowaniu córek.

Można było przewidzieć, że Tilda i Katarzyna w gniewie i zazdrości, zapragną cieszyć się tym samym, co ich matka i zaczną wyprawiać dzikie harce w kręgu swych młodych znajomych. Ktoś musiał je pohamować, gdyż tego właśnie chciały: uwagi i powstrzymującej ręki. Nicholas był jedyną osobą, która nie mogła tu pomóc. Marian i Margriet jednak dawały sobie radę we dwie.

Adorne był również zadowolony jak Nicholas, że nadeszły papiery z Wenecji; i obydwaj spędzili długi czas na przygotowaniach. Podłużna, jasna, kpiąca twarz Anzelma Adorne nie zmieniła się wcale; miał na sobie ciemną szatę i kubrak, by okazać szacunek szkockim klientom i ich niedawno zmarłemu królowi. Nicholasowi przyszło natychmiast na myśl, że będzie teraz duże zapotrzebowanie na czarne sukno. Farbiarz zawsze myślał jak farbiarz.

- Czy wiesz, że Prosper de Camulio przyjeżdża do Genappe? - zapytał Adorne.

Upalna noc w Mediolanie i Toma Adorno. I Feliks, oczywiście.

- W sprawie Genui? - spytał Nicholas. - Czy może od księcia Francesco?

- Jako poseł księcia Mediolanu - odparł Adorne. - Przymierze delfina z Mediolanem jest w fazie negocjacji. Nie wydaje mi się, by to podawano do powszechnej wiadomości.

- Nie - powiedział Nicholas. - Czy zatrzyma się tu dłużej?

- Wystarczająco długo, by przekazać ci listy polecające, na które czekasz. Okoliczności zdają się sprowadzać do wspólnego stołu nie tylko delfina i Mediolańczyków, lecz także Wenecję i Genuę. Jeśli i ty zasiądziesz do tego stołu, mam nadzieję, że wstaniesz od niego żywy - tu zawiesił głos. Nicholas, który nauczył się już, kiedy powinien milczeć, nie powiedział nic. Anzelm Adorne z uśmiechem zaczął przewiązywać wstęgi swoje papiery.

- Jutro odprawią mszę żałobną za świętej pamięci Jakuba, króla Szkocji. Czy okażecie z żoną dość odwagi, by w niej uczestniczyć? - Nie przerywał obwiązywania papierów.

- Dlaczego? - spytał Nicholas.

Adorne odsunął pakiet i złożył ręce, unosząc przy tym głowę.

- Nie mogłeś o tym nie słyszeć - powiedział. - Czy nie wiesz, jak zginął król?

Nicholas zastygł w bezruchu.

- Wiem, że był młody - odparł. - Domyślałem się, że zginął podczas bitwy. Walczył przecież z Anglikami, nieprawdaż?

Adorne skinął głową.

- W miejscu o nazwie Roxburgh - podjął. - Oblegał miasto z całą swą artylerią, wliczając w to dwie armaty z Mons. Jedną rozerwało, kiedy stał tuż obok, i zabiła go.

- Pewien jestem, że to nie Meg - rzekł Nicholas. - Ale Marta?...

- Ta, która zatoneła w Damme - odparł Adorne. - Oczywiście tamto zdarzenie nie miało z tym nic wspólnego. Wypłynęła ze Sluis do Szkocji w najlepszym porządku i jeżeli wybuchła, to z zupełnie innych przyczyn. Musisz jednak być przygotowany na pewne uwagi, jeżeli pójdziesz na nabożeństwo. Kiedy pójdziesz na nabożeństwo. Myślę, że powinieneś pójść.

Czekał. Nicholas zapytał:

- Ilu ludzi zginęło?

- Jedyne król i jeszcze jeden człowiek - odparł Adorne. - Żadna rzeź. Po prostu niefortunny zbieg okoliczności. Obydwaj byli oczarowani armatami. Król i Kilmirren. Drugim zabitym był Alan z Kilmirren, wuj twego starego znajomego Szymona. Podobno Szymon jest zachwycony. Robi teraz w Szkocji, co zechce.

Nicholas słyszał słowa, lecz jego myśli wybiegły w tym czasie daleko naprzód. Po chwili zdał sobie sprawę, że Adorne mówi teraz o czym innym.

- Rzeczywiście miałeś wówczas zamiar zatopić to działo, prawda? Monsignore de Acciajuoli widział, jak ustawiałeś baręk przed wpłynięciem do służby. A później znalazł w ścianie wywiercone dziury.

- Obmyślałem sposób - powiedział Nicholas. - To wszystko.

- I wykorzystałeś go - stwierdził Adorne. - Dlaczego?

- Żeby zobaczyć, co z tego wyniknie - odparł Nicholas apatycznie.

Wrócił do domu tak późno, że sądził, iż Marian udała się już na spoczynek. Zobaczył jednak światło w szparze pod drzwiami sypialni. Nocami, zamiast żałobnego stroju, wkładała piękną szatę tej samej barwy, co jej rozpuszczone włosy. Szata nie miała żadnych zapieć i nic nie było pod spodem. Wymyślał przeróżne rytuały, które odprawiał z ową szatą. Tego wieczoru nie miał ochoty na żadne rytuały świata. Nie mógł jednak tak po prostu minąć jej drzwi. Zatrzymał się, zapukał i wszedł tak jak stał, w pełni ubrany.

Od swego powrotu poznał dobrze tę komnatę. Wąskie, witrażowe okna z podpartymi okiennicami. Kamienny kominek i ława, pełna piętrzących się poduszek, odwrócona oparciem do pustego paleniska. Malowane skrzynie, zawierające jej rzeczy osobiste. Mocny stół z misą pełną fig lub owoców granatu na półce poniżej i srebrnym dzbanem z dziobkiem oraz dwoma pucharami na wino, stojącymi na blacie. Półka, na której stał srebrny talerz i porcelanowy dzbanek z różami. Okrągłe lustro i drugi stół z misą na wodę i wiszącym obok ręcznikiem.

Dwa zydle, dywan i kilka poduszek na podłodze, które przypłaszczały się pod ciężarem i musiały być podnoszone i trzepane przed świtem. I łożo, oczywiście - o ramie sięgającej aż do barwionych krokwi, z baldachimem i kapą, które Marian wyhaftowała przed poślubieniem Cornelisa i których taktownie nie zmieniła. Tamto było małżeństwem - i to także. Szerokość łoża dopuszczała wszelkie ceremonie.

Marian siedziała przy oknie, także w dziennym stroju. Nicholas jako pierwszy poruszył wiszącą w powietrzu kwestię.

- Dowiedziałem się właśnie o armacie.

Nie miała na sobie zwykłego nakrycia głowy, a jej włosy były luźno spięte na karku. Nosiła teraz lżejsze i ładniejsze suknie niż przedtem, gdy sama prowadziła przedsiębiorstwo. Ta, którą założyła dzisiaj, miała brokatowe rękawy o złotawym połysku; a szyję Marian otaczał długi sznur wspaniałych pereł. Wstała i wyszła Nicholasowi naprzeciw.

- Czekałam, aby ci powiedzieć - odezwała się. - Gdzie się dowiedziałeś? U Anzelma Adorne?

Nie dodała, jak Adorne: „Zatopienie działa w Damme nie miało z tym nic wspólnego”.

W zamyśleniu zamknął drzwi.

- Tak - odparł po chwili. - I wiem o Alanie z Kilmirren.

Skinęła głową. Stała obok mniejszego stołu, splótłszy lekko dłonie przed sobą, i patrzyła na niego. Miała otwartą twarz o jasnej cerze i bardzo żywe, błękitne oczy, których wyraz nauczył się dobrze odczytywać.

- Co się stało? - spytał.

Rzadko stała aż tak nieruchomo. Jej twarz była lekko ściągnięta.

- Dotarła do mnie inna nowina - odparła. - Cała Francja, jak się wydaje, mówi o upadku wicehrabiego de Riberac.

Jordan de Riberac. Nicholas poczuł przelotny ból w policzku, jak gdyby znowu rozorał go pierścień. Odchrząknął i powtórzył:

- Co się stało?

- Najprawdopodobniej przyłapano go na konszachtach z delfinem. Król bardzo się rozgniewał. Monsieur de Riberac utracił, rzecz jasna, wszystko, co posiadał. Ziemie, domy, pieniądze, cały majątek.

- Co z nim będzie? - spytał Nicholas.

- Wydaje mi się, że wtrąca go do lochu. Może wsadzą do klatki. A może od razu utną mu głowę. Czy to także twoje dzieło?

Zdał sobie sprawę, jak głupio wygląda, kiedy tak stoi gapiąc się na nią.

- Chyba tak - odrzekł. Zdobył się na wielki wysiłek i powtórzył po raz trzeci: - Marian, *co się stało?*

- Wybrałeś bardzo bystrych nowych ludzi dla kompanii - powiedziała.

- Był u mnie medyk, Tobiasz. On, Juliusz i Gregorio niepokoją się o przyszłość przedsiębiorstwa. Postanowili więc, zupełnie słusznie, przyjść ze swymi wątpliwościami do mnie i zapytać o zdanie.

- Tobie - powiedział.

- Tak. I Góro. I nasz dobry Juliusz. Myślałam, że lubicie się wzajemnie - rzekła Marian, jego żona. - Teraz jednak oni lękają się ciebie.

Niepohamowane westchnienie uniosło jego pierś. Pozostał po nim ból, przykry jak uderzenie.

- Nie musisz się mnie bać - powiedział Nicholas. - Pytaj, o co zechcesz, a ja odpowiem. Może usiądziesz? Tutaj, na ławie. Ja usiądę naprzeciwko. Ale najpierw napijmy się wina. Czy pozwolisz, bym nalał ci trochę wina?

Skinęła głową i usiadła. Gdy podawał jej kielich, wino w nim drżało, choć nie wiadomo, czy od jego, czy od jej dłoni. Zauważył to i pomyślał o różowym pucharze w uścisku Astorre'a i Lionetta. Było mu zimno ze strachu. Czuł to od tygodni.

Napiła się, a on usiadł na zydłu obok łoża, opierając łokcie o kolana i przyciskając pięści do ust. Później opuścił ręce i zapytał:

- Czy powiesz mi, co mówił Tobie?

Tak jak się spodziewał, chodziło o Jaaka de Fleury i Lionetta. Zdumiewająco dobrze poskładali poszczególne elementy w całość. A Marian mogła, oczywiście, dodać to, co sama wiedziała. Na przykład jego kontakty z delfinem. Nie wiedzieli, że on i Gaston próbowali początkowo przekupić

de Fleury'ego, by przeszedł na stronę delfina, co im się nie udało. Nie miało to, rzecz jasna, wpływu na efekt końcowy.

Nie wiedzieli także o Jordanie de Riberac. Tylko Marian i panny van Borselen były świadome wojny, jaką toczył z Riberacem. Marian domyślała się, że upadek wicehrabiego może wiązać się jakoś z Nicholasem, nie mogła jednak wiedzieć, w jakim stopniu. Katelina przebywała w Bretanii, a on zważał pilnie, by nikogo o nią nie pytać. Gelis nie pisała słówka, ze względu na siostrę. A Feliks, którego mogłoby zaciekawić ostatnie spotkanie w Gandawie, nie żył.

Tym, co skłoniło w końcu Tobiego, aby przyjść do pani, była wiadomość o śmierci króla Szkocji. Mówiąc o tym Marian umilkła na chwilę, co zdarzało się często przy tak długiej wypowiedzi, lecz Nicholas powstrzymał się na razie od uwag. Potem spokojnym głosem podjęła:

- Widzisz, dotychczas zakładali, że cokolwiek uczyniłeś, nie powinno to trapić nikogo innego. Myśleli, że na tym koniec. Martwili się tylko o przyszłość. Ale ta sprawa z armatą...

Wówczas Nicholas przemówił po raz pierwszy.

- Nie przypuszczałem nawet, że znajdę się w tej łodzi, kiedy będzie przepływała przez służę. To był czysty przypadek, że ktoś poprosił nas o pomoc przy książęcej wannie, a Juliusz i... a Juliusz się zgodził. - Umilkł, po czym dodał: - Gdybym nie popłynął, nie spotkałbym nikogo z nich.

• Mówił to w rzeczywistości do siebie, nie do niej. Po chwili odezwała się:

- Przypuszczam, że wiedziałeś, iż zamoczenie nie powinno wpłynąć ujemnie na stan armaty. Ludzie mogą jednak mówić, że nie musiałeś o tym wiedzieć; że miałeś nadzieję, iż stanie się to, co się stało. Myślę, że Tobie nie jest zupełnie pewien. Rozmawiając o tym, Juliusz i Gregorio uświadomili sobie rzecz znacznie bardziej prawdopodobną. Zatapiając to działo opóźniłeś jego przybycie do Szkocji. Jeżeli uczyniłeś to z rozmysłem, jeżeli wynajęto cię do tego, zajmujesz się sprawami, których nie możemy zachować dla siebie. - Urwała. - Byłeś chłopcem, kiedy to się stało. Ludzie nic o tym nie myśleli. Ale nawet psota nabiera złowieszczonego wymiaru, gdy po pewnym czasie zacznie się ją łączyć z tym i owym. Ponieważ Szkocja popiera Lancastrów, brak armaty był korzystny dla strony przeciwnej. Dla delfina, księcia Mediolanu, biskupa Coppini, króla Ferrante z Neapolu, Arnolfinich oraz przywódcy angielskich kupców... wszystkich tych, którzy są przeciwnikami króla Francji i Lancastrów, a ty zetknąłeś się w ten czy inny sposób z każdym z nich. Kiedy ludzie zwrócą na to uwagę, uznają z pewnością, że nie tylko szpiegujesz dla kupców, lecz jesteś także gońcem polityków.

- Wicehrabia de Riberac stał po stronie delfina - powiedział Nicholas.

- Ale ty miałeś wręcz przytłaczające powody, by go ukarać, prawda? A teraz, gdy tylko rozniesie się pogłoska, że nie jesteś tym, kim się wydajesz,

że nie należy ci ufać, ludzie zaczną wymyślać różne rzeczy. O zwalnianiu starych pracowników i zatrudnianiu nowych, wybranych przez ciebie. O... twoim małżeństwie, oczywiście. O, jak to określa, sposobie, w jaki wikłałeś Feliksa w kolejne wyprawy, trzymając go z dala od spraw doniosłych czy odpowiedzialnych... i o tym, jak zginął.

Jej głos załamał się w tym miejscu. Nicholas nie podnosił oczu. Nie chciał widzieć jej płaczącej.

- Żałuję, że nie jestem Feliksem - odezwał się. - Powiedziałem mu to raz w Mediolanie. - Wciąż opierając łokcie o kolana, pocierał twarz wolnymi ruchami, jak gdyby smarując ją jakąś cudotwórczą, uśmierzającą ból maścią. Później zastygł ściskając nos obiema dłońmi i przesłaniając palcami zamknięte oczy. Zapytał: - Do jakiego wniosku doszedł Tobie?

Tym razem milczenie przedłużało się tak, że w końcu otworzył oczy i spojrzał na nią. Płakała, lecz niewiele. Po prostu czekała, aż na nią popatrzy.

- Powiedział, że rozmawiali przez cały dzień - odparła. - Nie mogli dojść do żadnego wniosku nie wiedząc, co ja o tym myślę.

- A do jakiego wniosku ty doszłaś? - zapytał. Tym razem nie potrafił nic odczytać z jej twarzy.

- Wiedziałem o Riberacu, a doktor nie - powiedziała. - Wiedziałam 0 wielu rzeczach, Nicholasie, o których doktor nie wiedział. Ale miałam zasadniczą przewagę z innego względu. Wiedziałam, co naprawdę czujesz w stosunku do nas. Do Juliusza. Feliksa. I, jak sądzę, do mnie.

- A więc? - spytał, powstrzymując szczykowanie zębów.

- A więc potwierdziłam w końcu jego własny pogląd na tę sprawę - ciągnęła Marian. - Powiedziałam mu, że jesteś najszczerzym, najbardziej oddanym przyjacielem, jakiego on czy ktokolwiek inny mógłby mieć. Że niemal wszystko, co robiłeś, miało na celu dobro kompanii, a nie korzyści polityczne. Że przedkładałeś Feliksa i jego wychowanie nad wszystko inne, I gdyby nie ty, na zawsze pozostałby dzieckiem. Ale powiedziałam mu także, że należy czuwać nad tobą dniem i nocą, ponieważ posiadasz zdolności, które są groźniejsze niż Meg czy Marta, czy jakakolwiek z dotychczas wynalezionych broni. I jeszcze nie potrafisz nad nimi panować.

Nie mógł wydobyć odpowiedzi ze ściśniętego gardła.

- To wszystko mu powiedziałam - odezwała się po chwili. - I pomyślałam, że skoro tyle już wie, to powinien wiedzieć wszystko. Dlatego powiedziałam mu też, kim jesteś.

- Spędzili tę noc oddzielnie - powiedział Juliusz.

- Tak? - mruknął Tobie. Widać było jedynie jego zadek, okryty czarną szatą, klęczał bowiem na biurowym zydłu i wyglądał przez okno.

- Czemu nie chcesz powiedzieć, co się stało? - drażył Juliusz. - No, dalejże. Widziałeś się z panią. Powiedziałaś jej o wszystkim. I co ona na to?

- Mówiłem już - odparł gniewnym tonem Tobie. - Chciała najpierw porozmawiać z Nicholasem. Zobaczy się ze mną po nabożeństwie. Wtedy będę mógł coś powiedzieć.

- Ale skoro spędzili noc oddzielnie... - zaczął Juliusz.

- Mogły istnieć po temu rozliczne przyczyny - powiedział Gregorio. - Zaczekajmy, aż Tobie będzie w stanie nam powiedzieć. Tak czy inaczej, gdyby cokolwiek wiedział, nie sterczałby w oknie, żeby zobaczyć, czy pójdą razem do kościoła.

Zadek Tobiego trwał w milczeniu. Wtem podskoczył.

- Idą! - oznajmił Tobie.

Juliusz skoczył do drugiego okna i szarpnął okiennicę. W dole rzeczywistość ukazała się grupka wyszorowanych służących w liberiach Charettych. Głowa i barki Loppego górowały nad innymi. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, co Juliusz przywykł uważać za zły znak. Pojawiły się także dwa konie. Na jednym siedziała już Marian de Charetty w ciemnym płaszczu i białym nakryciu głowy. Po chwili wyłonił się Nicholas i wsunął stopę w strzemień.

Juliusz dość raptownie odskoczył od okna. Zobaczył, że Tobie czyni to samo.

- To nie wydaje się takie zabawne, kiedy widać skutek, prawda? - odezwał się Tobie.

Gregorio podszedł cicho do okna i wyjrzał.

- I tak musieliby pojechać, żeby podtrzymać pozory wobec przyjaciół - rzekł.

- Nie tylko przyjaciół - powiedział Juliusz. - W gronie szkockich żałobników znajdzie się szlachetny Szymon z Kilmirren.

Tobie zdjął kapelusz.

- Skąd wiesz? - zapytał.

Juliusz miał kwaśną minę.

- Dobieram sobie właściwych klientów - odparł. - Liddell. Sekretarz biskupa Kennedy i preceptor małego królewicza szkockiego. Zatrzymali się wszyscy w domu pana de Veere, a ja poszedłem tam wczoraj po podpis. Liddell mówił mi, że Szymon przyjdzie na mszę. Razem z żoną.

- Pamiętam - rzekł Gregorio. - Podczas turnieju Białego Niedźwiedzia wielmożny Szymon towarzyszył siostrze Reida, kupca ze Staple. Miała na imię Muriella.

- Niewątpliwie imię się nie zmieniło - powiedział Juliusz. - Ale to nie ja Szymon poślubił. Od niemal czterech miesięcy jest mężem Kateliny van Borselen. Widziałem ją. Bardzo brzemienna.

- *Bardzo brzemienna?* - powtórzył Tobie.

- Jak powiadam. Skłonny byłbym mniemać - ciągnął wesoło Juliusz - że Szymon wyprzedził księdza mniej więcej o miesiąc. Liddell twierdzi, że jest zachwycony. Wiadomo, że od lat starał się o dziecko. Jak miała na imię ta dziewczyna?

- Muriella - odparł sucho Gregorio.

- Nie - wtrącił Tobie. - Ta, którą on ma na myśli, to Mabelia. O Jezu Chryste, Nicholas. On nie wie, że Szymon się ożenił?

- Nie - odrzekł Juliusz, poważniejąc nagle. - Chyba powinienem być go przestrzec.

- Powinieneś być - przyznał posępnie Tobie.

Szymon z Kilmirren istotnie był zachwycony. Czekając aż słuźki ubiorą jego żonę przed udaniem się do kościoła Matki Bożej, nie odczuwał zniecierpliwienia. Niemal żałował, że tren jej sukni jest taki długi. Przytrzymywany przy piersiach, spływał w dół rozpościerając się zamasyście wokół, jak nakazywała moda, i krył w swych fałdach bujną, wezbraną krągłość jej brzucha.

Brzucha, w którym poruszało się jego dziecko. Dziedzic Kilmirren, teraz gdy jego ojca czekał pewny koniec, a stryj, żaloszny sknera, wreszcie przeniósł się na tamten świat. Kilmirren należało teraz do niego, tytuł niemal należał do niego, a w swoim czasie przejdzie na jego dziecko.

Katelinę martwiła wielkość dziecka. Szymon nie dbał o to. Po jej poprzednich panieńskich oporach w ogrodzie przy Srebrnej Ulicy był początkowo zaskoczony przychylnością, jaką napotkał w Bretanii. Po namyśle zrozumiał. Panna Katelina van Borselen spragniona była wytwornego towarzystwa, dworności i zręcznych zalotów.

Owego pierwszego wieczoru w Bretanii włożył swój najpiękniejszy kubrak o francuskim kroju, odsłaniający okryte jedwabiem łądzwie i wymyślny sączek. Wybrał najlepsze pończochy, dwubarwne, ozdobione od kolana poprzez udo krętym haftem z róż. Było tak, jak gdyby skruszeni aniołowie poprawili - dla niego jednego - owo upokarzające zdarzenie w osnutym dymem ogrodzie. To, czego odmówiła mu Brugia, Bretania oddała z nawiązką już pierwszej nocy. Po kolacji, wśród sennego towarzystwa, siedząc blisko Kateliny, wciąż na nowo napełniał jej kielich, wypróbując stopniowo nieuchwytnie, porywające pieszczoty i pełne pożądania szepty - póki nie spostrzegł, że nadchodzi odpowiednia chwila.

Księżna nie miała nic przeciwko temu, by towarzyszył pannie Katelinie podczas przechadzki w blasku księżyca po ciepłym ogrodzie. Tym razem drżące dłonie Kateliny wabiły go rozkosznie, gdy schodził po stopniach, a w świetle padającym z ostatniego okna ujrzał napięty wyraz jej twarzy. Później znaleźli się sami w altance, a żaden mężczyzna nie posiadał sztuki doprowadzania napięcia do stanu dręczącego uniesienia lepiej niż Szymon z Kilmirren.

Dwa tygodnie później zaczęła podejrzewać, że jest w ciąży. Z pewnymi oporami wysłuchaj jej lęklwych próśb i poślubił ją. Nie opierał się za nadto, ponieważ czuł już, że nigdy mu jej za wiele. Potem, kiedy potwierdziły się przypuszczenia co do ciąży, miara jego szczęścia została dopełniona.

Nie dbał o to, kto zauważy, że został ojcem zanim poślubił Katelinę van Borselen. Będzie ojcem co roku. Dostarczy po temu przyczyn dniem i nocą. Katelina była teraz dla niego sposobem spędzania czasu.

Kościół Onze Lieve Vrouwekerk spowity był w czerń i wypełniony ludźmi, z wyjątkiem najważniejszych żałobników. Przedstawiciele księcia czekali przy wejściu na grupę gości pana de Veere. Siostrzenica księcia, Maria, była teraz królową-wdową Szkocji.

Jako pierwsza kroczyła księżniczka Maria, prowadzona przez teścia Henryka van Borselen, hrabiego de Grandpre, pana de la Veere, Vlissinque, Westcapelle i Domburga, wraz z małżonką Jeanne de Halewyn. Za nimi szedł mąż księżniczki Wolfaert van Borselen i szkocki biskup Jakub Kennedy. Między Wolfaertem i biskupem stapało dwoje dzieci: Aleksander książę Albany, średni syn zmarłego króla Szkocji oraz Karol van Borselen, jego dziewięcioletni kuzyn.

Aleksander, książę Albany i Wielki Lord Admirał Szkocji, miał zaledwie sześć lat. Kuzyn jego ojca, biskup Kennedy, przywiózł go tego lata do Brugii, by wychowywał się na dworze burgundzkim. Teraz ojciec nie żył, lecz nikt nie zabrał chłopca do domu. Biskup Kennedy trwał u jego boku, gdyż choroba opóźniała jego powrót; zręczny ambasador, wytrawny dyplomata, donoszący nowemu władcy Szkocji o reakcjach Burgundii.

Być może dziecko, wystrojone w ciemny, naszywany klejnotami kubrak i beret, wcale nie miało ochoty wracać do domu. Chłopiec wydawał się przygnębiony i nadasany, krocząc u boku kuzyna. Obecni Szkoci w zadumie przyglądali się książątce i biskupowi. Popatrywali także na Szymona z Kilmirren i jego panią, stąpających z tyłu wraz z innymi. Trudno byłoby odgadnąć, że dzieli ich piętnaście lat. Jego żona, dojrzewając w małżeństwie, wyglądała teraz na więcej lat niż dwadzieścia. Szymon zaś przez całe życie zachowywał ten sam wygląd i sposób bycia, co w dniach złotej młodości.

Polityka miała duże znaczenie. Lecz Szymon, kroczący nawą kościelną z żoną u boku, zdumiewająco mało myślał o zmarłym królu. Czuł, że ludzie patrzą na Katelinę, piękną nawet pod osłoną welonu. I na niego, w czarnym aksamicie ozdobionym szarymi wstążkami, z kapeluszem z kogucimi piórami, który trzymał w ręku.

Msza była długa, a muzyka nużąca, później jednak mieli udać się do pobliskiego pałacu Ludwika de Gruuthuse i jego żony, siostry Wolfaerta. Szymon z niecierpliwością oczekiwał chwili, kiedy będzie mógł pokazać swą Katelinę brugijskim wielmożom po raz pierwszy od powrotu ze Szkocji. Pośpiech, z jakim małżeństwo zostało zawarte, mógł sprawić, że nie wszyscy jeszcze wiedzieli. Zauważył kilka ciekawskich spojrzeń. Wydało mu się, że rozpoznaje jedno z nich, lecz nie mógł odnaleźć osoby.

Dbął, aby nie strofować Kateliny, kiedy poprawiała się na niewygodnej ławie. Będzie szczęśliwy, gdy już urodzi dziecko i jej ciało wyzbędzie się tej ociążałości. Pamiętał, jakie były przedtem jej piersi. Naprzeciw, obok krużganków, stała dziewczyna, która uśmiechnęła się do niego przy wejściu i która miała takie drobne, wypukłe piersi, rozdzielone pod suknią wedle florenckiej mody. Szymon uprzejmie odwzajemnił uśmiech i poklepał Katelinę po ręce, gdy poprawiała się znowu.

Kiedy wreszcie zaczęli wychodzić gęsiego z kościoła, przygładził włosy i włożył kapelusz, nadając mu odpowiedni kąt nachylenia; Katelina zaś w tym czasie otulała się welonem. Później przemierzali rozświetlony dziedziniec i wraz z innymi wybranymi gośćmi wstąpili w progi pałacu Gruuthuse'ów.

Ludwik, seigneur de Gruuthuse, powitał ich przy wejściu. Nosił się niczym księżę, lecz pokryte bruzdami policzki i ciężkie powieki pod przyciętą grzywką były rodową cechą długiej linii bogatych mieszczan z Brugii i Brabantu. Gruuthuse - dworzanin, mąż stanu, przedsiębiorca - miał wkrótce udać się do Szkocji z pozdrowieniami od księcia Filipa dla nowego, młodziutkiego króla, Jakuba III. Znał wszystkich zaproszonych Szkotów, podobnie jak - co zauważył Szymon - cała jego rodzina. Młody Guildolf, jak się wydawało, był już żonaty. Jego żona z zuchwałym uśmiechem dygnęła przed Katelina. Przypominała Szymonowi małą szwagierkę, Gelis, która na szczęście podreptała już do domu.

Przeszli przez wykładaną kamiennymi płytkami salę i wstąpili na schody między ludźmi w liberiach. Okna były bardzo piękne, podobnie jak kominki i drewniane części budowli. Szymon dostrzegł po drodze coś, co wyglądało jak biblioteka. Wszędzie widać było dewizę i działo Gruuthuse'ów. No i Szkotów, oczywiście. Wszyscy kupcy, grubi i chudzi, i ich gospodarze. Jehan Metteneye z żoną. Ten głupiec Jan z Kinloch. Wylie, archidiakon

z Brechin. Mick Losschaert i kilku jego szkockich krewnych oraz Bonkle'owie z krajów po obu stronach wody. Anzelm Adorne, naturalnie, z żoną i starszymi dziećmi; a także jego zamężna siostra z mężem Danielem Sersanders z Gandawy i synem Anzelmem. Napier z Merchiston. Stefan Angus. Forrester z Corstorphine. I rozmaici Szkoci, którzy powrócili właśnie z Bourges i francuskiej konferencji dotyczącej Danii, Hiszpanii i bretońskiego wiana: Monypenny, rzecz jasna; i Flockhart z jednym czy dwoma Volkartami z flamandzkiej strony - dla równowagi.

Z należytą powagą uczestniczyli w mszy żałobnej za zmarłego władcę. A później w pośpiechu rzucili się do snucia intryg i planów dotyczących walki o władzę w Szkocji. Flamandzka królowa-wdowa i koronowany na króla ośmiolatek oraz wszystkie pola bitewne Anglii Lancastrów i Yorków czekały na kogoś, kto umiejętnie rozegra tę partię i wyciągnie z niej korzyści. Należało jedynie poszukać dobrych graczy.

Szymon stwierdził, że rodacy niewiele go obchodzą. Spędził parę chwil w towarzystwie swego szwagra, sekretarza księżnej, który obdarzył komplemencem wygląd Kateliny, lecz nie wspomniał o jej płodności, zręcznie ukrytej w fałdach brokatu, spływającego z jej palców. Senor Joao przedstawił młodą panią kilku innym damom i gotów był spełnić życzenie Szymona, przedstawiając go dowódcy galer flamandzkich, Pierowi Zorzi.

Twarz Szymona pojaśniała. Miał pewną sprawę do omówienia z dowódcą, niskim, przystojnym mężczyzną we wspaniałym, srebrzystoszarym stroju. Widział go w tłumie gości; seigneur de Gruuthuse trzymał go za ramię, prowadząc w stronę wysokiego mężczyzny, który stał z żoną u boku po drugiej stronie komnaty.

Szymon nie rozpoznał niewiasty, pomyślał tylko, że musi być Szkotką, była bowiem w ciężkiej żałobie. Mężczyzna również nosił ciemny strój, lecz o bardzo prostym kroju, bez klejnotów, choć dało się zauważyć, że jego pas jest kosztowny, a tunika - z dobrego sukna. Zwróconą ku Wenecjaninowi twarz ożywiało zaciekawienie, a kiedy pojawił się na niej nieoczekiwany uśmiech, w obu policzkach powstały rozbijające dołki.

Na ten uśmiech Szymon, zbliżający się razem z Vasquezem, stanął jak wryty i popatrzył na owego mężczyznę najpierw z niedowierzaniem, potem ze zdumieniem, wreszcie zaś z narastającą furią, która na chwilę zaparła mu dech..

W tej samej chwili człowiek ów zerknął ponad głowami zebranych i wyraz jego twarzy również uległ całkowitej zmianie. Zaskoczony Joao Vasquez, który właśnie miał przedstawić Szymona, zawahał się. Gruuthuse rozejrzał się z pytającym wyrazem twarzy. Szymon utkwiał oczy w gospodarzu.

- Monsieur de Gruuthuse - odezwał się - chyba nie wiecie, co czynicie. Jesteśmy tu, aby opłakiwać naszego zmarłego króla. Obrażacie nas, zapraszając człowieka, który przyczynił się do jego śmierci.

Podobnie jak Anzelm Adorne, Ludwik de Gruuthuse znakomicie potrafił radzić sobie w niezręcznych sytuacjach. Uśmiechnął się do dowódcy i postąpił krok naprzód, tak że Zorzi znalazł się poza ścisłym kręgiem i Marian de Charetty mogła odciągnąć jego uwagę. Vasquez pozostał.

- Ależ - zaczął Gruuthuse - moglibyście w równej mierze winić dobrych ludzi z Mons, którzy odlali to działo, jeśli zarzucacie coś tu obecnemu Nicholasowi. Sądziłem, że miano rodu Gruuthuse jest wystarczającą rękojmią dobrej wiary. Nigdy nie chciałym zawstydić gościa. Pójdźcie. Są osoby, które chcą was poznać.

Szymon ani drgnął. Wpatrywał się tylko w młodzieńca, którego ostatnio widział w ruinach na zgliszczach farbiarni.

- Jak śmiesz pojawiać się w tym towarzystwie? - rzucił. - Jak śmiesz ubierać się w strój mieszczanina, tak jakby zapomniano o twoich cuchnących łachmanach i chodakach? Chciałym dać ci nauczkę.

- Już to uczyniliście - powiedział młody Claes. Był błąd. Zaczął się cofać zachęony przez tego wścibskiego Gruuthuse'a. Szymon powoli ruszył ku niemu.

- Myślisz, że znowu będę z tobą walczył? Raczej nie. Skoro jednak tak kuszisz Opatrzność, powinieneś wypatrywać dopustu bożego. To się zdarza. Kolejny pożar... Smutne wygaśnięcie umowy... Powiedzmy: brak zaufania do domu Charettych. To może być dość niezręczne. Jak byś żył, mimo wszystko, gdyby nie było przedsiębiorstwa? Musiałbyś wrócić do farbiarni, nieprawdaż? I zabrać z sobą tę twoją starszawą żonę?

- Kilmirren! - przemówił Ludwik de Gruuthuse. ^- Dość tego. Senor Joao, byłbym zobowiązany, gdybyście zadbali o waszego przyjaciela.

Szymon nie zwrócił na to uwagi.

- Co zamierzasz uczynić, *Nicholasie*, gdy znużysz się nią i nie będzie mogła cię już utrzymywać? - ciągnął. - Słyszałem, że dość szybko pozbyłeś się jej syna. Możesz tego jeszcze pożałować. Młody człowiek potrafi zapewnić los starszym, jeżeli ciężko pracuje i otrzymuje porządne baty.

Dobierał się do chłopaka. Młokos miał głupią minę. Powiedział: „Ser Ludwiku, proszę o wybaczenie” - i usiłował odwrócić się na pięcie, lecz Szymon schwycił go mocno za łokieć, pragnąc, aby chłopak spróbował go uderzyć. Młodzieniec szarpnął się i znieruchomiał. Ręce Szymona przywycięły do miecza. Jeżeli chciał, potrafił ścisnąć do krwi. Ludzie zaczęli się oglądać. Szymon zauważył, że Katelina także odwróciła głowę. Miał nadzieję, że podejdzie bliżej.

- Puśćcie mnie - powiedział chłopak
- Nie słyszałeś mnie - rzekł Szymon.
- Słyszałem - odparł tamten. A raczej: jęknął. Gospodarz dał za wygraną i odsunął się od nich z dość posępną miną. Po chwili odszedł także Vasquez i zostali sami.

- I nie masz nic do powiedzenia? - zapytał Szymon.

- Nie mam nic do powiedzenia... tutaj - odrzekł chłopak. - Jeśli skorzystacie z wyobraźni, będziecie z pewnością wiedzieli, co myślę.

- Nie wiem, doprawdy, dlaczego zadaję sobie tyle trudu - oznajmił Szymon i rozluźnił uścisk. - Ach, jesteś nareszcie. Spójrz tylko na ten śmieć. Poślubił swą chlebobawczynię, a przed ludźmi z towarzystwa może tylko stać i dygotać.

- Masz na myśli Claesa? - spytała Katelina van Borselen. - Ale przecież nikt nie oczekuje od Claesa odwagi... chyba że mu zapłaci.

Obydwoje z chłopcem popatrzyli na siebie. Szymon pomyślał z zadowoleniem, że nigdy nie wyglądała tak pięknie jak teraz, pełna wzdury. Szmaragdy, które jej podarował, połyskiwały wokół jej szyi, a wzdłuż nakrycia głowy lśniło złoto, u brzegów welonu okalającego twarz.

Po bardzo długiej chwili chłopak odpowiedział:

- Wróciliście zatem z Bretanii, pani.

- Mam nadzieję, że struś dotarł - powiedziała. - Robiłam, co mogłam dla biednego Lorenza.

Ta uwaga wydawała się bez związku. Szymon oczekiwał od żony przyłączenia się do zabawy. Chłopak wyglądał tak, jak gdyby nie wiedział, co powiedzieć. W końcu odezwał się:

- Dotarł. Muszę dzisiaj rzucić na niego okiem. Dziękuję.

- Słyszałam o twoim małżeństwie - dodała Katelina. - Czy to twoja żona?

Nie odwrócił się. Odparł natychmiast:

- Tak. A wy jesteście z...

- Jestem z mym panem i małżonkiem, oczywiście - powiedziała.
- Z wielmożnym Szymonem. Powiedz mi, czy twoja żona oczekuje potomka? Choć nie. Przypuszczam, że te dni dla niej już minęły. Wkrótce zapewne będziesz wydawał za mąż pasierbice. Daj mi znać, gdybyś potrzebował dla nich dobrych mężów.

Szymon utkwiał spojrzenie w Kateliinie.

- Cóż ty możesz mieć wspólnego z ożenkami pacholków? - zapytał.
- Czy to jakaś zabawa?

- Chyba tak - odrzekła Katelina. - I jestem nią już znużona. Może pójdziemy do domu? Przecież lubisz, kiedy odpoczywam. - Spojrzała na

tego chłopaka, Claesa, i dodała: - Widzisz, mój małżonek bezustannie troszczy się o moje zdrowie.

Szymon nie skończył jeszcze z tym młodzikiem. Miał zamiar powiedzieć 0 wiele więcej, pomimo Gruuthuse'a. Gdy jednak Katelina opierała się w ten sposób na jego ramieniu, czuł zawsze lekki niepokój, na wszelki wypadek. Na wypadek, gdyby, po tych wszystkich latach, miał zostać pozbawiony dziedzica.

Uśmiechnął się zatem do tego idioty Claesa, świadom, jaki obraz tworzą obydwójce z Katelina, stojąc tak blisko, niczym kochankowie z jakiejś przepięknej Księgi Godzin. Szymon niespiesznie przeniósł spojrzenie na przysadzistą postać żony młodzieńca, której oczy wyrażały jawny niepokój. Szymon zaśmiał się głośno. Następnie, złożony ukłon, wyprowadził swą małżonkę z komnaty. Odwracając się Katelina upuściła ciężkie fałdy trenu. Krocząc pociągnęła go za sobą i ukazała wezbrany brzuch. Brzuch kobiety, która od mniej więcej pięciu miesięcy spodziewa się dziecka.

Wdzięczny obraz stworzony przez Szymona uległ zniszczeniu. W pierwszej chwili Szymon poczuł rozdrażnienie z powodu takiej bez troski. Potem zrozumiał, że to nie bez troska. To była pogarda. Widział ją w twarzy żony, kroczącej u jego boku. Chłopak zaś, który został z tyłu wraz z małżonką, miał taką minę, jak gdyby został ogłuszony.

Szymon zwrócił się więc ku swej Katelinie, uniósł piękną dłoń i pieszczotliwie pogładził ciało żony. Później obejrzał się przez ramię. Miał nadzieję, że z jego twarzy można odczytać wzgardę i - na pewno - tryumf. A mina głupca, który został z tyłu, przewyższała wszystko, co zdarzyło się tego dnia.

Zazwyczaj Szymon nie radował się zbyt opuszczając towarzystwo z powodu złego samopoczucia Kateliny. Tym razem jednak, dostrzegłszy rzucające się w oczy grymasy Gruuthuse'a i paru innych, uznał, że lepiej będzie wyjść i obmyślić jutro lub pojutrze sposób złożenia przeprosin. Był człowiekiem popędliwym i nie znosił głupców, zwłaszcza gdy wypił co nieco. Ludzie zawsze twierdzili, że ich rozgniewał lub obraził - lecz jego zarządca zwykle to naprawiał; bądź on sam zapraszał tego kogoś i schlebiał mu, albo, jeśli był to ktoś taki jak Gruuthuse, posyłał mu uroczy podarunek z uniżonym dopiskiem. Trzymanie się w ryzach było rzeczą niewieścią.

Świeże powietrze łagodziło zazwyczaj rozdrażnienie Kateliny, tym razem jednak, gdy znaleźli się w domu de Veere'a, nadal drżała. Miał właśnie pójść po jej sługę, lecz zatrzymała go w drzwiach sypialni.

— Co miałeś na myśli, mówiąc o kolejnym pożarze? - spytała. - W przedsiębiorstwie Charetych?

Szymon uśmiechnął się na to wspomnienie. Nie wiedział, że słuchała.

- Widziałaś jego minę? Myślałem, że go to przestraszy.

Siedziała tam, gdzie ją posadził, nie na łożu, lecz w wysokim, drewnianym krześle z poduszkami jako oparciem.

- Zatem niczego szczególnego nie miałaś na myśli?

Nie rozumiał, o czym ona mówi. Wydobył flaszkę wina i nalał sobie odrobinę.

- Cóż, nie zamierzam raczej pomagać im w interesach. To zależy. To zależy od jego zachowania. Dlaczego pytasz? Czy to ma jakieś znaczenie?

- Żadnego, oczywiście - odparła Katelina. - Ale to dobra kobiecina, ta Marian de Charety. Niczemu nie jest winna.

- Ależ jest - powiedział Szymon. - Nie powinna była go poślubiać. Czy wiesz, jakie doszły mnie słuchy? On nie jest taki głupi, jak się wydaje.

- Kielich był już pusty. Szymon napełnił go.

- Kto? - spytała Katelina.

Czasami drażniła go jej tępota.

- Claes, oczywiście - odparł. - Służba Charetych opowiada pewną zabawną historię o jego wyczynach w Mediolanie. Czy słyszałaś o Jaaku de Fleury, stryju, który usiłował zagarnąć przedsiębiorstwo?

Słyszała. Zdumiewało go niekiedy, ile rzeczy słyszała o sprawach Charetych, podczas gdy okazywała pozałowania godną niewiedzę co do jego własnych spraw.

- Powiadają - podjął - że to właśnie Claes przyczynił się do upadku monsieur Jaaka. Nie tylko doprowadził go do bankructwa, lecz także zrujnował Lionetta, tego kapitana, sprawiając przy tym, że Lionetto obwinął za to Jaaka de Fleury. Jaak de Fleury zatem nie tylko stracił przedsiębiorstwo, lecz zginął w Brugii z ręki Lionetta. Nie wierzę w to - ciągnął Szymon - ale oni wierzą. Myślą, że Claes... teraz zwą go Nicholasem... kryje się za sprawą tej armaty, która zabiła króla i mego stryja. Powiadają o nim, że jest agentem Yorków, posłańcem w służbie delfina i wynalazcą czarodziejskiej sztuki, dzięki której Medyceusze rozmawiają z sobą bez słów. Dziecinne brednie. Chciałem go dzisiaj zawstydzić i sama widziałaś.

- Widziałam, że nie chce walczyć - powiedziała Katelina. - Ale może... - tu urwała.

Szymon zmarszczył brwi.

- Zauważyłem to - rzekł. - Skłonił Lionetta, by zabił jego stryjecznego dziadka. Nie uczynił tego własnymi rękoma. Niezbyt raduje mnie myśl, że ktoś staje przede mną i milczy, po czym zaczają się z boku i snuje zgubne plany.

- Twój ojciec - przemówiła nieswoim głosem Katelina. - Jego działalność dobiegła kresu w taki sam sposób.

- Tłusty ojciec Jordan? - Szymon zastanawiał się, skąd jej to przyszło na myśl. - No, ale Claes raczej nie byłby w stanie doprowadzić do upadku Jordana de Riberac, nieprawdaż? Chyba że istotnie pracuje dla delfina.

- To możliwe - powiedziała Katelina.

- Jeżeli tak, wyświadczył mi przysługę - rzekł Szymon. - A jeżeli to on kryje się za ową armatą, która zabiła stryja Alana, wyświadczył mi jeszcze większą przysługę. Wiesz, że jest w tym coś osobliwego. Ale to niemożliwe, oczywiście.

- Co jest niemożliwe? - spytała. Była bladezielona, jak zawsze wówczas, kiedy zmogło ją nadmierne znużenie.

- Zanadto się męczysz - powiedział. - Mniejsza o te brednie. Wezwę pokojówkę.

Katelina pochwyciła go za nadgarstek, nie pozwalając odejść.

- Nie - rzuciła. - Chcę wiedzieć. Co twoim zdaniem jest dziwnego w Claesie?

Był zaskoczony; opadł jednak na drugie krzesło, nalał sobie wina, a następnie - jak gdyby przypominając sobie - napełnił także i jej kielich. Nie tknęła go.

- Cóż - zaczął - jeżeli on rzeczywiście dokonał tego wszystkiego, można by pomyśleć, że pozbywa się kolejno członków swej rodziny.

- Rodziny? - powtórzyła, a on pożałował, że nie wyszedł od razu, gdy mówił, że wyjdzie.

- No tak - odparł. - Jaak de Fleury był jego stryjecznym dziadkiem. Kobieta, którą poślubił, jest z nim spowinowacana, a on pozbył się jej syna.

- Tak? Nie wiedziałam - rzekła. Wydawała się jeszcze bardziej roztargniona. - Kto jeszcze? Nie sądziłem, że Nicholas... Claes... ma jakąś rodzinę.

Mając w sobie niewiele jadła, za to dużo dobrego wina, pomyślał, że to zabawne.

- Cóż, nie ma już Jaaka - podjął. - I jego żony, Esoty. Brat, Thibault, zrujnowany razem z córką, jak ją tam zwa. Koniec ze starym Jordanem, moim szacownym ojcem. I ze stryjem Alanem. Jestem jedyną osobą, której nie udało mu się skrzywdzić, jeśli nie liczyć Łucji, która jest w Portugalii. To zdumiewające. Nie był w stanie mnie tknąć. Zdołał jedynie zdobyć dla mnie mój tytuł.

Można by pomyśleć, że Katelina jest pijana, tak była natarczywa. Miał nadzieję, że się nie upiła, gdyż nie byłoby to dobre dla dziecka. Mętnie uświadomił sobie, że niczego dzisiaj nie piła.

- Nie wiedziałam, że Nicholas ma rodzinę - powtórzyła. - Myślałam, że jego matka nie żyje.

Zastanowił się, skąd ona wie o tym.

- Oczywiście, że nie żyje, głupia suka; i dobrze jej tak - powiedziała. - Ta dziwka urodziła go, niańczyła przez parę lat, naopowiadała mu łągarstw i umarła. Czy nie widzisz, jaki jest do niej podobny? Nie widzisz?

Katelina przemówiła szeptem. Nie wiedział, dlaczego.

- A zatem znałeś ją? Matkę Nicholasa?

Wszystkie były sukami; wszystkie były głupie. Utkwił oczy w Katelinie.

- Czy znałem? - powtórzył. - Była moją żoną. To dlatego ten głupi bękart nie chce ze mną walczyć. Claes. Nicholas. Myśli, że jest moim synem.

Znalazł się przy niej w chwili, gdy zsuwała się z krzesła. Jej twarz wyglądała przerażająco. Krzyknął na pokojówkę i podtrzymał żonę tuż nad podłogą, krzepiąco poklepując po plecach.

- Wszystko dobrze - mówił jej. - Wszystko dobrze. Za cztery miesiące zobaczysz prześlicznego, tłuściutkiego dzieciaka. Widzisz, Claes jest bezmyślny. Nigdy nie wyobrażał sobie, że pojmę cię za żonę i będę miał z tobą dziecko. Prawdziwego dziedzica Kilmirren, który dostanie wszystko, co tamten uważa za swoje. Być może przechytrył resztę rodziny, lecz mnie nie wyprowadzi w pole.

ROZDZIAŁ 41

Gregorio, który nigdy nie wzywał imienia Bożego nadaremno, jęknął:
- O Jezu Chryste!

- Zgadzam się z tobą w zupełności - powiedział Tobie. - Szymon, który próbował uśmiercić Nicholasa w Damme, może być jego ojcem. A Jordan de Riberac jego dziadkiem. Riberac, który najprawdopodobniej naznaczył go na całe życie swym pierścieniem, o czym być może nie wiecie. Teraz powiedzcie, czy Nicholas nie miał słuszności, zakładając te wszystkie sidła.

- Ale Jaak i jego żona jako jedyni ucierpieli z rąk Nicholasa - powiedział Juliusz.

Tobie zsunął kapelusz i pogładził się po łysinie.

- Nie - rzekł. - Upadek Jordana de Riberac także miał z nim coś wspólnego. Pani nie wiedziała, co. Lecz w jednym macie słuszność. Szymon pozostał nietknięty. Nie można też winić Nicholasa z powodu działa, które zabiło wuja Szymona. Niezupełnie. A nasza pani twierdzi nieugięcie, że śmierć Jaaka i jego żony była dziełem przypadku. Skłonny jestem w to uwierzyć - dokończył Tobie.

- I ja także, choć nie ma na to dowodów - rzekł Gregorio. - Mój Boże. Żal mi go.

- Problem polega na tym, że jest bękartem - powiedział Juliusz. - Jego matka urodziła... Chryste, zapewne Szymonowi... martwe dziecko, po czym wyjechała do ojca, starego Thibaulta, by odzyskać siły. Jej małżonek, Szymon, nigdy już nie zbliżył się do niej. Później urodził się Nicholas. Można za to winić jedynie służących, choć nigdy się nie dowiedziano, kto jest ojcem. Tymczasem Nicholas dorastał... w pragnieniu, jak sądzę, by uznano w nim dziedzica Kilmirren.

- Nicholasa de St. Pol - rzekł Tobie. - To miano Kilmirrenów.

- Claes vander Poele - mruknął Gregorio. - Oczywiście. Oto mamy nutkę uporządkowania. Nie chciał, by pozbawiono go nazwiska. Rozumiem go.

Dla Juliusza liczyło się tylko jedno.

- Co powiedziała pani - wypytywał.

Tobie milczał. Wreszcie odpowiedział szorstkim tonem medyka:

- Powiedziała, że mam wam wyjawić, kim jest Nicholas. Mam was prosić, byście nikomu o tym nie mówili. Mam wam powiedzieć, że Szymon prawdopodobnie zechce nadal toczyć swą wojnę i należy was ostrzec, iż związki z kompanią Charety mogą okazać się niebezpieczne. Wreszcie zaś, mam przekazać, że pani wierzy w Nicholasa, jego charakter i lojalność, lecz będziemy musieli zdecydować, czy chcemy zostać jego stróżami, aby trzymać w cuglach jego umysł. Użyła słowa „stróż” - podkreślił Tobie. Po chwili dodał: - Powiedziała także, że Wenecjanin Piero Zorzi wyprawia dziś ucztę na okręcie dowódcy i zaprosił ją wraz z małżonkiem. Nie widziała się odtąd z Nicholasem, myśli jednak, że tego właśnie oczekiwał.

- Nie widziała się z nim? - spytał Juliusz. - Czy nie wrócili razem z kościoła?

- Tutaj? - spytał Tobie. - Wiedząc, że wiemy to, co wiemy? Pomyślałbym raczej, że poszczęści się nam, jeśli ujrzymy go w tym tygodniu. I nie potrafię sobie wyobrazić, jak mógłbym na miejscu Nicholasa stawić czoło nam trzem.

- To dlaczego, że nie jesteś Nicholasem - rzekł Gregorio. - Tobie, jesteś medykiem. On jest teraz odsłonięty, przynajmniej przed nami. Jaki wpływ będzie miał ten fakt na jego przyszłe działania? Czy pokładanie w nim wiarę czy nie?

Tobie milczał przez dłuższą chwilę, po czym odparł: - Nie wiem. Nie sądzę, aby moje uczucia uległy zmianie. Myślę, że potrafię go przejrzeć. Tak czy inaczej ciekawość nakazuje mi spróbować.

- Tutaj? - zapytał Juliusz. - Myślisz, że on zostanie tutaj?

- Nie wiem, czy tutaj - odrzekł Tobie. - Jeżeli Wenecja ma z tym coś wspólnego, to nie. Czy wyjechalibyście za granicę? Goro? Juliuszu?

- Wszystko mi jedno, dokąd jadę - odparł Gregorio. - Ale pani będzie potrzebowała kogoś tu, na miejscu. Pomyślałem, że ty i Juliusz i tak wracacie w przyszłym roku do Astorre'a. Bylibyście bezpieczni przed Szymonem.

- Ale Nicholas nie - rzekł Tobie. - Nie, jeśli pozostanie w Brugii. Zastanawiam się, czego on chce. Zastanawiam się, o czym myśli.

- Ciekawe - wtrącił Juliusz, marszcząc czoło - gdzie jest teraz struś.

- Co? - zapytał Tobie.

- Mówił, że pójdzie zobaczyć strusia. To dar dla księcia Mediolanu, a Tommaso skarży się nieustannie, że ptak zdycha na jego rękach.

- To mi wygląda na Nicholasa - odezwał się Gregorio uroczystym, gromkim głosem. - Jeżeli nie potrafi stawić nam czoła, z całą pewnością poszedł rzucić okiem na strusia.

Nicholas istotnie poszedł rzucić okiem na strusia.

Zasadniczy kłopot polegał w jego wypadku na tym, że nie miał dokąd pójść.

Zawężając sprawę do Brugii i nie dopuszczając, by przybrała wymiar kosmiczny, nie widział miejsca, w którym z całą pewnością mógł uniknąć Tobiego, Gregoria i Juliusza, posiadających obecnie wiedzę, której posiadać nie powinni. Nie mógł wrócić do domu nie widząc się z Marian, świadomą teraz jego... manipulacji i walczącą ze zwątpieniem.

Pozostali mieszkańcy Brugii widzieli i słyszeli, co się wydarzyło tego przedpołudnia w pałacu Gruuthuse'a. Niektórzy chcieli rozmawiać o Jaaku de Fleury, Lionecie czy Feliksie. Wreszcie zaś, gdzie w Brugii znajdował się Szymon z Kilmirren i jego płodna małżonka, Katelina, której nastrój można było odgadnąć, lecz jej plany pozostawały nieznanne.

Nicholas pomyślał zatem o strusiu, który przypuszczalnie znajdował się w stajni, przynależnej do domostwa kupców florenckich - i wyruszył, by zbadać jego stan. Był niemal pewien, że nie zastanie tam nikogo od Charettych. Florenetyńscy zaś nie uczestniczyli zbyt tłumnie w mszy za duszę szkockiego monarchy. Galery flamandzkie zajmowały ich w znacznie większym stopniu.

Ponieważ zajmowały ich flamandzkie galery, Nicholas nie musiał rozważać szyfrów, przesyłek czy jakichkolwiek kuszących, niebezpiecznych ścieżek, wiodących ku nowym pomysłom lub odzwierciedlającym stare. Po prostu zadawniona sprawa strusia, którego należało wysłać do Mediolanu.

Nicholas napotkał Angela Tani, medycejskiego zarządcę, nim jeszcze przestąpił próg solidnego, wysokiego budynku obok Bursy.

- Właśnie wychodzę na posiedzenie - rzekł Tani - ale wejdźcie, proszę. Tommaso jest gdzieś tutaj. Dostarczono wiadomość dla was... nie wiem, dlaczego tutaj. Przyniósł ją jakiś chłopiec. Macie przybyć na ulicę Srebrną dziś po południu, do domu Florencjusza van Borselen.

Nicholas usłyszał własny głos:

- Myślałem, że nie ma go tutaj.

- Nie ma go, istotnie. Jego córka, Katelina, pragnie zobaczyć się z wami. Być może chodzi jej o draperie na czas połogu. Kupili już ode mnie przepiękne srebro na chrzciny. I zapłacili.

- Nie wątpię - rzekł Nicholas. Rozglądał się za Tanim i parokrotnie potarćli go wchodzący i wychodzący ludzie. Czternastoletni chłopiec, *giovane*, odezwał się uprzejmie:

- Jeśli szukacie Messer Tommasa, poszedł do stajni.

Jego uprzejmość miała przymieszkę czegoś jeszcze. Przyjrawszy mu się lepiej, Nicholas zauważył, że był to chłopiec, z którym on i Feliks rozmawiali w dniu, kiedy popłynęli łodzią Medyceuszów wraz z Lionettem do Damme.

- Słyszałem, że utrzymujesz ostatnio porządek w tej kompanii - odezwał się Nicholas. - Co porabia Messer Tommaso? Podróżuje?

Młodzieniec rozluźnił się nieco. Z łatwością można było dostrzec, że potęga mediolańskiego zarządcy Pigella zawisła nad brugijską gałęzią banku Medyceuszów.

- Och, nie - odparł chłopiec. - Znowu poszedł popatrzeć na strusia. - Jedno z jego oczu błysnęło.

- Znowu? - powtórzył Nicholas.

- Na jego odchody - uściślił chłopiec. Błysk pojawił się i w drugim oku.

Z olbrzymim wysiłkiem Nicholas oderwał myśli od innych rzeczy i wpijając podbródek w pierś, zagadnął:

- Czy Messer Tommaso go leczy?

Medycejski *gimane* uśmiechnął się nieoczekiwanym, anielskim uśmiechem.

- Nie - odrzekł. - Po prostu przygląda się jego odchodom. Ten ptak pożarł klejnot z kapelusza Messer Tommasa i dwa jego pierścienie.

- Myślałem, że *giovane* powinien pomóc zwierchnikowi w takim wypadku - rzekł Nicholas.

Chłopiec spojrział na niego, po czym z ulgą wyszczerzył zęby.

- Pierwszego dnia kazał mi pomagać - odparł. - Przyszło mu jednak na myśl, że nie szukam wystarczająco dokładnie.

- Biedny Messer Tommaso - westchnął Nicholas. - A może byśmy tak obaj, ty i ja, przyszli mu z pomocą? Możemy potrzymać jego kurtkę. Bo chyba ją zdejmuje? .

- Jeden ze stajennych daje mu fartuch - odparł chłopiec. - Niektórzy mówią, że pierścienie mogą pozostać w strusiu na zawsze.

- Lub wyłonić się jako dodatkowy, spóźniony dar dla księcia Mediolanu - dorzucił Nicholas. Szli już w kierunku stajni. - A zatem ptak ma się lepiej?

- Podobno - odpowiedział chłopiec. - Słyszeliście o małżach?

- Tak - rzekł Nicholas. - Kto, u licha, karmił go małżami?

- Sam je zjadał - powiedział chłopiec. - Brodząc przy brzegu po rozbiciu okrętu. Później stratował pole pełne zboża, zanim go wreszcie schwytali. Bardzo szybko biega. Potrzeba było ośmiu konnych, by go złapać, gdyż musieli przy tym uważać na jego upierzenie. Lubi małe ptaszki.

- Jakie to urocze - wtrącił Nicholas.

- Na śniadanie. I owady. I trawę. Musieli go zatrzymać w jego skrzyni podróżnej, bo inaczej wykrada koniom cały obrok. Ma bardzo długą szyję. I długie nogi. Wierzga, kiedy Messer Tommaso zagląda do jego przegrody.

- Jak... w jaki sposób dobrał się do pierścieni? - zapytał Nicholas.

Wyszli już na podwórze. Z najdalszej stajni dobiegło głucho tupanie, któremu towarzyszyło niskie, grzmiące porykiwanie.

- To chyba nie ptak? - zapytał Nicholas.

- To struś - rzekł chłopiec. - Zawsze ryczy, kiedy jest nieszczęśliwy. Prócz tego syczy na widok Messer Tommasa. Czasami chichocze. Pierścienie zsunęły się Messer Tommasowi z palców, gdy zbyt gwałtownie cofnął rękę ze skobla.

- Podejrzewam, że struś wtedy zachichotał - powiedział Nicholas. - Czy to ta stajnia? Konie wyglądają jak należy. A oto i skrzynia podróżna. Bardzo wysoka.

- To duży ptak - powiedział chłopiec. - Ma pięć stóp wysokości, a z szyją osiem. Samiec. Można to poznać po czarnych i białych piórach. Dlatego są takie cenne. Przez te ich wielkie, białe i czarne pióra.

Tommaso Portinari nie zaglądał w owej chwili do przegrody. Nie znajdował się także wewnątrz, oglądając strusie odchody. Nawet nie założył skórzanego fartucha, który zwieszał się z jego rąk; on sam zaś stał oparty plecami o słupek, wpatrzony we własne stopy. Niespiesznie podniósł oczy. Z przeciwieństwami losu było mu do twarzy. Był błady. Ciemne, zmierzwione włosy, przycięte nad czołem i uszami, okalały pociągłą twarz o długim nosie, delikatnych łukach brwi i wysoko osadzonych kościach policzkowych. Wyraz owej twarzy należał do człowieka, który przekroczył właśnie granicę wytrzymałości.

- Wasze buty - odezwał się Nicholas. - Czy on zjadł wam buty?

W odpowiedzi Tommaso Portinari odwrócił głowę i wskazał nią skrzynię. Była to skrzynia niezwykle masywna, jak przystoi klatce dla trzystufuntowego ptaka. Boki były z mocnych desek i miały okienka. Góra składała się z drążków. Całe to urządzenie wypełniało końską przegrodę, a dobywała się z niego woń strusia, gnijących owoców i zgniecionej trawy. Nicholas wskoczył do przegrody i wspiął się na jej ściankę, by przyjrzeć się przybyłemu z daleka więźniowi. Wtem wybuchnął śmiechem.

Tę właśnie scenę ujrział Juliusz, kiedy kroczył przez podwórze ku stajniom, wyruszywszy - z licznymi obawami - na poszukiwanie człowieka nazwiskiem Nicholas de St Pol, będącego nadal mężem chlebobawczyni. Spodziewał się odnaleźć go w okolicznościach skrajnych. Tymczasem usłyszał przerażająco idiotyczny wybuch Claesowego śmiechu. Odgłos, który w przeszłości wielokrotnie wpędzał go w tarapaty i równie często wprawiał we wściekłość.

Dźwięki dobiegały z górnej części końskiej przegrody. Claes... Nicholas siedział tam, kołysząc się i zanosząc śmiechem, w dole zaś stali Tommaso Portinari z jakimś chłopcem, zadzierając głowy. Obok znajdowała się

skrzynia, wydzielająca silną woń i rozbrzmiewająca głuchym łoskotem, któremu towarzyszyły parsknięcia i syki. Juliusz stanął obok Tommasa i uniósł głowę.

- Co to? Struś? - zapytał.

- Chodź i zobacz! - zawołał Nicholas. Schylił się po grabie i wskazał kierunek. - Z boku jest okienko.

Juliusz podszedł i spojrział. Chłopiec znalazł się tam przed nim. Jego twarz okryła się czerwienią. Tommaso nie ruszył się z miejsca, ostentacyjnie wpatrzony w krokwie. Nicholas, wyjąc ze śmiechu, pochylił się lekko w przód, tak że Juliusz widział jego wyczekującą twarz z dołkami jak skorupki orzecha. Juliusz zajrzał do skrzyni.

Struś zasyczał na jego widok. Miał niewielką, kędzierzawą głowę, dziób podobny do zawiasy i jasne, nieprzyjazne oczy, które przypominały Juliuszowi Tobiego. Głowa wieńczyła długą szyję, drgającą niczym sznur dzwonu. I głowa, i szyja kołysały się w skrzyni, unoszone przez parę grubych, wysokich nóg o mocnych stawach. Pomiedzy szyją i nogami tkwiło coś na kształt wielkiego kurczaka skrzyżowanego z poduszką do szpilek. Po bokach zwisały nacie, różowe lotki.

Poduszką do szpilek okazał się oskubany tułów. Śmieszne skrzydełka i zad przypominający surowe mięso znajdowały się w tej chwili tam, gdzie przedtem lśniło dumnie czterdzieści śnieżnobiałych piór i wspaniała, czarna okrywa. Ktoś w nocy naruszył dar dla księcia Mediolanu. Struś był, a jakże - lecz nie pozostawiono mu ani jednego pióra.

Tańczył teraz na swych mocnych nogach i wystawiał dziób spomiędzy prętów, a jego oczy błyszczały. Od czasu do czasu kopał ścianę skrzyni, która drgała i odpowiadała głucho. Płacząc ze śmiechu Nicholas skierował grabie w dół, by szturchnąć ptaki.

I wtedy drzwi klatki stanęły otworem.

Przepełniony goryczą Tommaso niczego nie zauważył. Chłopiec wrzasnął. Juliusz skoczył, lecz było już za późno - o wiele za późno. Wyciągnawszy szyję, ptak uczynił jeden, a potem drugi krok na zewnątrz. Wtedy Tommaso obrócił się na pięcie. Chłopiec z krzykiem pobiegł przed siebie. Struś wydał niski, głuchy, ryczący odgłos. Gdy zaś postawił trzeci krok i uniósł nogę do czwartego, Nicholas dał nurka w dół ze swojej grzędę i wylądował dokładnie na grzbiecie ptaka.

Juliusz krzyknął i rzucił się w tamtą stronę. Nicholas również krzyknął, lecz nieco inaczej - był to rodzaj aż nazbyt znajomego piania. Struś wypadł ze stajni, pokłusował przez podwórze, i dał susa, niczym zbiegłe z rusztu pieczone, wprost w duże, podwójne wrota, wydostając się przez nie na Vlamynck Straele z szaleńczo podskakującym na jego grzbiecie, obejmującym go Nicholasem.

Juliusz bez tchu runął w stronę ulicy, na której struś, nie odzyskawszy jeszcze swego zwykłego rytmu, rzucał się na oślep to w jedną, to w drugą stronę, umykając przed wozami toczącymi się z Waterhalle. Wydawał przy tym głucho buczenie. Ulica, niczym ogród pełen słoneczników, rozkwitała odwracającymi się, pobladłymi twarzami. Głowy w czapkach i w białych czepcach zaczęły kołysać się na schodach z boku, znikać w drzwiach, wciskać się między domy. Mężczyzna niosący na plecach dwie bele sukna chwiejnie zszedł z drogi i zaklinował się pod występem w ścianie budynku. Z przewróconych i porzuconych taczek runął potok lśniących, kragłych gomółek sera. Jedna z nich uderzyła strusia w nogę i ptak wierzgnął gniewnie. Z pozostawionej obok drzwi zapadkowych beczutki z rtęcią chlusnął połyskliwy strumień, co dla kogoś zapewne oznaczało ruinę. Nicholas obejrzał się, przyklejony wciąż do grzbietu ptaka. Twarz miał zaróżowioną z wysiłku i radości.

Juliusz jęknął chrapliwie. Zawrócił i pognął do stajni, roztrzając po drodze pachółków. Wdarł się do przegrody i wskoczył na pierwszego z brzegu konia, który miał na sobie uprząż, choć bez siodła: Następnie, mając za plecami innych, wyjechał na ulicę i ruszył za Nicholasem. Za Claesem. Na kolejną, szaloną wyprawę.

Struś zdążył już zniknąć mu z oczu, można było jednak natrafić na jego ślady w postaci rozrzuconych bel i pakunków. Balkony przedstawiały ciąg poszarpanych winorośli i nadjedzonych kwiatów, a w dwóch miejscach chwiały się otwarte, puste ptasie klatki. Po przewróconej kapliczce na rogu pozostał jedynie wazon z paroma badylami.

Juliusz skierował konia w stronę kanału i zdążył ujrzeć strusia wyłaniającego się z Bramy Augustiańskiej, z Nicholasem wciąż przywartym do jego grzbietu. Poruszał się z niezwykłą prędkością, lecz miał w tej chwili coś w rodzaju uprzęży. Wyglądało to z daleka jak sznur od habitu.

Jedną z przyczyn, dla których ptak poruszał się tak szybko, było kilka psów depczących mu po piętach. Co pewien czas struś zatrzymywał się i wierzgał, a psy umykały na boki. Wówczas ptak z sykiem i chichotem ruszał dalej. Juliusz, nadal pozostający w tyle, widział Nicholasa, który trzymał się jedną ręką, w drugiej zaś dzierżył zakończony pętłą sznur, usiłując powstrzymać ptaka przed wtargnięciem na most i ulicę Spangnaerts.

Próba się nie powiodła. Ptak pomknął ulicą, kopiąc po drodze bele i dziobiąc kraty. Dwie pierzyny, wywieszzone do wietrzenia, spadły tryskając fontannami pierza. Nicholas złapał jedną z nich i jedną ręką próbował wetknąć ją między własny zadek a przycięte pióra. Juliusz ścigał go, zaśmiewając się do łez. Pędzili w stronę Tonlieu. Budowli dźwigowych. Targowiska.

Kilka razy ptak zwalniał: na widok straganu z jagodami; i, dwukrotnie, gdy grupki zdesperowanych ludzi zastępowały mu drogę lub próbowały zagnać w ką. Były to zaledwie krótkie opóźnienia. Dwa machnięcia potężnych nóg rozpraszały każdą grupę. Żuraw, ratusz i dzwonnica przemknęła obok. Struś wdarł się na most wiodący do Steen, pędząc przed sobą wrzeszczących ludzi. Wkrótce miał dotrzeć do pól i ogrodów rozpościerających się pomiędzy mostami: Gandawskim i Św. Krzyża, gdzie mógł biec tak szybko, jak zechciał. Struś potrafi rozwinąć prędkość czterdziestu mil na godzinę, jak powiadano; wystarczająca, by zginał każdy jeździec, który spadnie z jego grzbietu. Nicholas nie wydawał się tym zmartwiony. Od czasu do czasu odwracał w stronę Juliusza twarz rozciągniętą w dzikim, nedorzecznym grymasie; raz zaś oswobodził rękę i wskazał coś przed sobą, nieco po lewej. Juliusz nie potrafił odgadnąć, o co mu chodziło.

Od tyłu zbliżali się już inni jeźdźcy. Zamierzali zatrzymać ptaka, podjeżdżając do niego z obydwu boków i zarzucając liny, którymi chcieli go skępować. Przed nimi leżała jednak otwarta przestrzeń. Juliusz spał konia, zatoczył łuk i wreszcie dostrzegł to, o czym usiłował go powiadomić Nicholas.

Ujrzał przed sobą płytkie wody kanału łączącego Brugię z płynącą dookoła rzeką. Napierając mocno, Nicholas spychał ptaka z drogi w stronę pochyłego brzegu kanału. Struś wbiegł galopem do wody i zwolnił. Jego głowa kołysała się na boki. Stado łabędzi, zajętych jedzeniem, poderwało się z nerwowym pluskiem, wpatrzone w intruza, po czym zebrało się wokół niego, drepzcząc w wodzie i posyrując. Intruz w odpowiedzi także zaszczał, uderzył dziobem - i jeden z łabędzi wleciał w powietrze. Pozostałe zbliżały się hałaśliwie, wyciągając szyje. Wobec ich liczebnej przewagi struś, dwukrotnie jeszcze uderzywszy dziobem, ruszył wzdłuż kanału pomagając sobie skrzydłami. Od czasu do czasu zanurzał się po szyję i wstawał z ociekającym wodą Nicholasem na grzbiecie.

Wokół Juliusza zgromadziło się już z pół tuzina jeźdźców. Kanał biegł pod mostem, łącząc się z okalającą miasto rzeką. Dalej, na szerokim, nachylonym brzegu, znajdowały się wiatraki. Konie poruszały się w wodzie szybciej niż struś. Juliusz wysłał dwóch jeźdźców na most, by zagrodzili ptakowi drogę od wschodu. Pozostałych zebrał w starannym półkolu obok jedyne miejsce, w którym struś mógł wyjść z wody - pochyłego pomostu, wiodącego do jednego z wiatraków.

Zapomniał, że wiatraki służą do mielenia ziarna, a struś jest głodny. Do pewnej chwili pułapka działała bez zarzutu. Ptak, odstraszone przez jeźdźców od lewego brzegu, zwrócił się ku pomostowi po prawej stronie. Wynurzył się, świecąc nagim, różowym tułowiem; jeździec zaś przedstawiał istną kaskadę wody.

Juliusz i inni ruszyli ostrożnie naprzód. Struś dostrzegł na podwórzu worki z ziarnem, zboże porzrucane i zsypane w kopki - i runął wprost pod skrzydła wiatraka.

Juliusz wydał zbyteczny, ostrzegawczy okrzyk. Spodziewał się, że Nicholas kopnie ptaka lub odciągnie go z pomocą powrozu; albo zostawi go i zsunie się z jego grzbietu. Śmigi obracały się ze skrzypieniem i łoskotem; ominęły ptaka raz i drugi, strasząc go tylko. Struś opuszczał i unosił szyję, jedząc, rozglądając się, znowu jedząc. Przesunął się nieco w bok, lecz pozostał blisko wiatraka, oczarowany uczcią czekającą u jego stóp. Jednocześnie, kiedy ustało działanie i potrzeba działania, Nicholas odzyskał zmysły.

Juliusz nie mógł o tym wiedzieć. Z lękiem i złością ujrzał Nicholasa siedzącego beczynnienie, z bezmyślnym wyrazem twarzy, luźno trzymającego linkę.

Jeźdźcy towarzyszący Juliuszowi cofnęli się, wytrzeszczając oczy. Juliusz natomiast, ze spuszczoną głową, wciśnięty w siodło, spiął konia i zmusił go do podejścia pod skrzydła wiatraka, gdzie pożywiał się struś. Wbił ostrogi do krwi, byle tylko dostać się pomiędzy ptaka a młyn. Następnie, nie zważając na otwarty dziób i drepczące nogi, napał konno na strusia, tak że stworzenie wypadło z sykiem i wierzganiem na podwórze, gdzie stali inni jeźdźcy.

W końcu pięciu minut zagnali ptaka w kąt i pojмали. Jeszcze przedtem Nicholas zdążył zeskoczyć z jego grzbietu. Początkowo nie mógł utrzymać się na nogach. Juliusz zostawił go i poszedł pomóc przy ptaku, który - jak się okazało - rozpoczął już, przytrzymywany na postronkach, bezpieczną podróż powrotną do stajni Florentyńczyków. Jeźdźcy, upojeni przygodą, okrążyli Nicholasa oddając mu swoisty hołd i Juliusz musiał szepnąć do niego: „*Pomachaj!*”.

Wówczas Nicholas uniósł głowę i machnął ręką. Drżał jak człowiek chory; lecz to zdarzało się często mężczyznom po wyczerpujących lub strasznych chwilach i nikt nie mógł źle o nim myśleć z tego powodu. Rzecz jasna, przyczyna była inna niż to czy atak febry. A jednak... Juliusz wiedział, że Nicholas sam podważył skobel ptasiej klatki.

Przed wszystkim, Juliusz cieszył się zaledwie przed chwilą, że znajduje się znowu w towarzystwie szalonego Claesa. Lecz wolność tego rodzaju przepadła bezpowrotnie. Jeżeli wróciła, choćby na godzinę, to z niewłaściwych przyczyn. Zrozumiał ten fakt po chwili namysłu. A także po tym, co wydarzyło się pod wiatrakiem.

- Chodźmy do młynarza, niech wskaże miejsce, w którym będziesz mógł odpocząć - odezwał się teraz Juliusz. - Poślemy kogoś po suche ubranie.

Nie spodziewał się odpowiedzi i nie otrzymał jej. W takich okolicznościach mowa rzadko odgrywała jakąś rolę. Był gotów na wszystko - lecz Nicholas nie mdlał, nie płakał ani nie czynił żadnych widowiskowych gestów. Kiedy weszli do młyna, usiadł po prostu na wiechciu słomy, kuląc się i dysząc. Ktoś przyniósł mu koc i coś do picia, a na dany znak roztropnie się oddalił. Juliusz usiadł obok byłego czeladnika pani de Charety, próbując - rzecz w jego wypadku niezwykła - dociec, co się właściwie stało. Następnie zaś wymyślić, co z tym począć.

Wyćwiczony w pośrednim obcowaniu z dramatycznymi przeżyciami innych ludzi Juliusz rzadko uczestniczył w nich tak jak w tej chwili - bezpośrednio. Odchrząknął. Spojrzał na Nicholasa, a raczej na jego ramiona, pod którymi kryła się reszta.

- Cóż - zaczął - jedni się upijają, inni ujeżdżają strusie. Kiedyś jednak wszyscy musimy powrócić do rzeczywistości. Nie sądzę, abyś miał się czego obawiać. Zgadzą się wszyscy, wiesz, że w danych okolicznościach postępowałeś słusznie. Tobie tak myśli. I Goro. Nie ma powodu, abyśmy zaprzestali współpracy. Pani jest tego samego zdania - Urwał. Po oddechu osądził, że Nicholas nadal nie zamierza przemówić. Zakładając, że uszy Nicholasa spełniają swą funkcję, Juliusz podjął monolog, starannie dobierając słów. - Cały kłopot w tym, że cię poniosło. Wiesz. Tak jak... jak Feliksa. Pani to także rozumie. Prawdę mówiąc, prosiła nas, byśmy ci pomogli. Nie będziesz sam, gdy zechcesz wprowadzić w życie swoje pomysły. Jeżeli coś się nie uda, wszyscy będziemy temu winni. Wkrótce i tak dorównasz nam doświadczeniem. Zapomnij więc o tym, co zrobiłeś. W przyszłości będzie inaczej.

Kiedy to mówił, widział, że Nicholas zmusza się, by trwać w bezruchu. Siedział z łokciami opartymi o kolana, dłońmi zasłaniając twarz. Jego włosy spadały w mokrych sprężynkach i pierścieniach na czoło, kark i ramiona, z których zsunął się koc. Wreszcie przemówił:

- Nie wiesz, co zrobiłem.

Juliusz milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- A zatem nie chcę wiedzieć. Zecznij od nowa. Przecież potrafisz.

Cisza. Nicholas przetaił mokrą twarz jedną ręką, podciągnął koc i powoli osuszył jego rogami twarz i włosy.

- Chyba potrafie - powiedział.

Była to jedynie grzecznościowa zgoda. Ale oznaczała przynajmniej, że Nicholas bierze się w garść. Nicholas, którego umysł zaczął pracować, był łatwiejszy w obcowaniu niż Nicholas bierny i bezbronny, kiedy nie miało się pojęcia, jak mu pomóc.

- Nie rób już niczego głupiego - dodał Juliusz. - Nie warto. Poza tym, to nieuczciwe wobec pani.

- Tak. Masz słuszość, oczywiście - przyznał powoli Nicholas. Przestał wycierać włosy i uśmiechnął się nieoczekiwanie. - Ale to ja zapłacę za szkodę, nie pani. Mam tylko nadzieję, że żaden z psów nie należał do Szymona.

Jeśli chciał w ten sposób podsumować kwestię, Juliusz chemie się na to godził. Niebawem powrócił zadyszany chłopiec z suchym ubraniem i Nicholas rozebrał się, wytarł i włożył podany strój, guzdrząc się nieco przy zapinaniu kubraka. Później Juliusz dał mu wina, które wcześniej przyniósł młynarz, a które Nicholas wypił jednym haustem i natychmiast zrobiło mu się niedobrze.

- No to chodź - rzekł Juliusz. - Wracamy na Spangnaerts. Nie co dzień miewa się tyłek wytrzęsiony na strusiu.

- Idź - odparł Nicholas. - Dogonię cię, gdy tylko będę mógł. Muszę kogoś odwiedzić.

- Po co? - zapytał Juliusz - Kogo? Pójdę z tobą, ^gdziekolwiek to jest.

- Nie. Dam sobie radę - powiedział Nicholas. - To tylko ulica Srebrna. Katelina van Borselen chce mnie widzieć.

ROZDZIAŁ 42

Nicholasowi wydawało się słuszne, że tego dnia, najgorszego w całym jego życiu, przyjdzie mu zapłacić za wszystkie grzechy podczas spotkania z Katelina van Borselen.

Po krótkiej sprzeczce Juliusz zostawił go w spokoju i, wyraźnie zagubiony i zły, wrócił na ulicę Spangnaerts. Niewątpliwie, aby złożyć sprawozdanie Tobiemu i Gregoriowi. Musiał zapewne także rozmówić się z Marian, gdyż historia oskubanego strusia łączyła całą Flandrię. Nicholas pomyślał, że Juliusz - niekoniecznie najbardziej dyskretny z ludzi - mógłby okazać roztropność i zachować dla siebie to, co zaszło po schytaniu ptaka. Dobrze wiedział, że gdyby nie Juliusz, nie byłoby go tutaj. Juliusz uczynił dla niego po raz wtóry to samo, co kiedyś pod wodą w Damme. Pragnąłby, aby Juliusz albo trzymał go z dala od kłopotów, albo przestał go ratować.

Droga na ulicę Srebrną była ciężką próbą. Czuł nieznośne osłabienie i choć starał się wybierać boczne drogi, ludzie wciąż go pozdrawiali. Nie był w stanie postanowić wcześniej, co powie Katelinie, a teraz, kiedy do niej szedł, nie miał czasu, by o tym pomyśleć. Po prostu zjawił się u bram domu, a odzwierny wpuścił go do środka.

W drzwiach uświadomił sobie, że zna drogę do kuchni i do sypialni. Nawet podczas nieobecności ojca było rzeczą mało prawdopodobną, by zechciała go tam przyjąć. Przynajmniej łatwo go rozpozna z mokrymi włosami. Znowu przychodzi do niej wprost z kanału. Cała ich znajomość miała coś wspólnego z wodą.

Tym razem służbę pełnił lokaj. Zaprowadził Nicholasa do dużej bawialni, wpuścił do środka i zamknął za nim drzwi. Była to ta sama komnata, z której przesyłała mu po nocy zapustnej pełne zadowolenia, rzeczowe pozdrowienie. Wtedy, gdy przebiegał nieopodal z dzwoneczkami na kubraku, na czele stada kóz.

Odwrócił oczy od pustej ławy przy oknie i spostrzegł, że równie pusta jest reszta pomieszczenia. Później wysokie krzesło przy kominku zakrzywiało lekko.

Nikt nie podniósł się z niego. Oczywiście, była ociężała, spodziewała się

dziecka. Jego dziecka. Nicholas podszedł bliżej i z czapką w dłoni stanął przy krześle.

Po części wyobraził sobie spoczywające na krześle, wzdęte ciało, kryjące je fałdy aksamitu, a ponad nimi - twarz pełną wrogości. Zobaczył to wszystko. Tyle że twarz, ciało, wyraz nienawiści należały do mężczyzny, a nie do kobiety. Z krzesła uśmiechał się szyderczo Jordan de Riberac.

Nicholas, i tak zziębnięty, miał wrażenie, że odpływa zeń cała krew. Stał głupkowato w miejscu, jak sparaliżowany. Potem czucie wróciło z całą mocą, a twarz okryła się rumieńcem.

Jordan de Riberac powstał z martwych. Żył, był żywy. Lecz teraz prawdopodobnie dobrze znał imię osoby, która doprowadziła do jego upadku. Osoby, o której nie lubił myśleć jako o wnuku. Należało koniecznie natychmiast rozważyć, co jeszcze mógł wiedzieć wicehrabia de Riberac.

Rozparty w krześle handlowiec i finansista, towarzysz królów, nie wyglądał jak człowiek, który umknął z lochów lub spod katowskiego topora. Na ramionach miał ciężki, złoty łańcuch, a na obszernym, plisowanym kubraku pod wierzchnią szatą widać było guzy z drogich kamieni. Spod ronda wielkiego, brokatowego kapelusza o wklęsłym denku lśniły szerokie, rumiane policzki i połyskiwały zimne, przenikliwe oczy.

- Cóż, Claesie vander Poele, mężobójco - przemówił. - Siadaj, proszę. Przykro mi, oczywiście, że zostałeś wezwany w imieniu mojej synowej, lecz uważaliśmy obydwoje, że tak będzie roztropniej. Kto wie, jakich morderców mógłbyś przyprowadzić w innym wypadku? Jaki pomysłowy sposób wynalazłbyś, aby mnie pojmać? Jestem, jak możesz się domyślać, kłopotliwym, a zatem wielce dyskretnym gościem Burgundii; i nie pragnę, przynajmniej chwilowo, powrócić do Francji.

Nicholas usiadł.

- Umknęliście więc - stwierdził.

- Z Bretanii, dzięki pomocy mej synowej - wąskie usta rozchyliły się w uśmiechu. - Nie była wprawdzie jeszcze żoną Szymona, lecz z pewnością dostrzegała korzyści płynące z zatrzymania dla rodziny posiadłości we Francji. Teraz przebywam na wygnaniu, lecz żyję. Kiedy delfin zostanie królem, Riberac oczywiście powróci do mnie. Jak się okazało, argument ten przeważał nawet nierozsądną niechęć, jaką żywi pani Katelina do mego towarzystwa. Szymon nie wie, rzecz jasna, że to ona tak bardzo pomogła mi w Bretanii. Byłby z niej wielce niezadowolony, gdyby się dowiedział. Dziś po południu, kiedy żywy zjawiłem się przed nim, nie powitał mnie jak przystoi synowi.

- Czy interesuje go Riberac? - zapytał Nicholas. Siedział nieruchomo, a jego głos brzmiał równie spokojnie jak głos tamtego.

- Bardziej interesuje go Kilmirren. To był dla niego, naturalnie, ogromny cios, gdy odkrył, że nie posiada ziem ani tytułu i wkrótce utraci całą swobodę, jak się cieszył w Szkocji pod okiem nieszczęsnego Alana. Nawiasem mówiąc, muszę ci podziękować za umiejętne pozbycie się Alana - rzekł tęgi mężczyzna. - Jako starszy brat był dla mnie zawsze wielką zawadą i należało go usunąć z drogi już przed laty.

- Nie mam z tym nic wspólnego - powiedział Nicholas.

- Nie, oczywiście, że nie - powtórzył tęgi mężczyzna, jego dziadek. - Z jak wieloma zgonami nie miałeś nic wspólnego! Alan. Nieszczęsna Esota de Fleury. Niefortunny monsieur Jaak. Ten smętny młody pajac Feliks de Charetty. Twoi drodzy przyjaciele i krewniacy. Słyszałem, że nawet sławny Lionetto z radością stanął w obronie twego życia, zupełnie nieświadom, że to ty pozbawiłeś go majątku. Nic dziwnego, że Szymon lęka się o swoje życie.

- Nie musi - powiedział Nicholas.

- Och, nie bezpośrednio, rzecz jasna - rzekł de Riberac. - Słyszałem, że niemal uciekłeś od niego dziś rano w Hotelu Gruuthuse. A jednak ściągasz na siebie jego uwagę, nieprawdaż? Twoje sprawy z tą jego dawną dziwką. To, co powiedziałaś, kiedy mu ją ukradłeś. Teraz, gdy pani Katelina wie, co miałeś na myśli, zacznie cię darzyć, obawiam się, jeszcze gwałtowniejszą niechęcią.

Wie, co miałeś na myśli? Nicholas czekał. De Riberac uśmiechnął się.

- Jesteś, doprawdy, najbierniejszym przeciwnikiem, jakiego napotkałem w życiu. Dziękuję Bogu, że nie ma w tobie kropli mojej krwi i nie muszę się wstydić. Czy nie pamiętasz własnych? *Zachowanie półgłówka i talenty dziewczęcia, ku wstydtowi ojca.* Zraniło to swego czasu głęboko biednego Szymona. Po tym martwym cherlaku, którego urodziła twoja matka, nie zapłodnił żadnej dziewczyny, dopiero Katelinę. Czy wiesz, że spodziewa się dziecka? Wyrugowali cię, nieszczęsny bękarcie. - De Riberac umilkł na chwilę. Jego lśniąca twarz tchnęła bezmierną i niezmaconą pogodą. - Cieszę się - podjął. - Był czas, kiedy sam miałem na nią ochotę, lecz mężczyznę w końcu nużą te zwierzęce uciechy. Cieszę się, że Szymon wreszcie coś osiągnął.

- A zatem nie chcecie już, abym się nim zajął? - spytał Nicholas. - Nie mogłem się tego doczekać.

Strzała była wybrana na chybił trafił, lecz przebiła otoczkę zadufanego spokoju. Nicholas wręcz poczuł na sobie szybkie, ostre spojrzenie.

- Dlatego jesteś tutaj, monsieur Passassin. Chciałem cię ostrzec, byś nie podejmował żadnych kroków przeciwko mnie lub Szymonowi. Zwłaszcza przeciw Szymonowi.

- Ponieważ mógłbym poślubić Katelinę? - rzucił Nicholas.

I wreszcie usłyszał wyczekiwaną odpowiedź.

- Katelinę! - powtórzył Jordan de Riberac. - Chyba ci już mówiłem. Czy nie słyszałeś, że ona jest twoim najzgorzalszym wrogiem, najbardziej zajadłą przeciwniczką, osobą, która nie spocznie, póki nie zostaniesz ukarany? Nie sądziłem, że Szymon przyzna się kiedyś do swoich rogów, tej jątrzącej tajemnicy z przeszłości. Lecz, oczywiście, był podchmielony. Szymon powiedział jej dziś przed południem, kim jesteś. Synem jej małżonka, można by rzec, gdybyś pochodził z prawego łoża. Bratem przyrodnim jej nienarodzonego dziecka. Zapewniam cię: jeśli Szymon myśli, że jesteś diabłem, to dla niej jesteś samym Szatanem. Nie mam się czego obawiać, zważywszy, co oni obydwójce zamierzają zrobić z tobą, twoją żoną i twoją mizerną kompanią. - Gładko ogolone policzki zatrzęsły się od chichotu. - Miałem ci to powiedzieć. Nalegała, żebym ci to powiedział. Teraz rozumie wszystkie twoje postęпки.

- Pani de Charetty nie uczyniła nic - powiedział Nicholas. - Ani ludzisz jej kompanii.

- Wierzę - odparł tęgi mężczyzna. - Doprawdy, sama Katelina żałuje tej damy. Gdyby nie ty, pani de Charetty byłaby bezpieczna.

- Będzie bezpieczna - rzekł Nicholas.

Tęgi mężczyzna uśmiechnął się.

- Byłaby bezpieczna w grobie. Ale nie wówczas, gdy wrócę do Kilmirren i Szymon będzie musiał znaleźć sobie nowe pole do popisu. Powinien by ożenić się z Reidówną i wyjechać do Anglii, jak jej brat. Po jego szalbierstwach w Calais yorkiści powitaliby go z radością. Mógłby rozwinąć przedsiębiorstwo w Southampton, w Londynie, w Burgundii. Może to jeszcze zrobić, jeśli Katelina go zachęci. A wszyscy kupcy, którzy nie lubią tracić na kontraktach z podstarzałą wdową i jej młodocianym kochankiem w sabotach, mogą zechcieć przyłączyć się do niego. Zazdrość przywiodła mnie do upadku i zazdrość zniszczy także ciebie.

- Jak zazdrość mogła przywieść was do upadku? - spytał Nicholas.

- Antonina de Maignelais - odparł wicehrabia. - Nie słyszałeś o niej. Bez wątpienia myślała, że król poświęca mi zbyt wiele uwagi. Dotarła do niej wieść o moich kontaktach z delfinem i nieoczekiwanie jakieś słówko o tym doszło do uszu króla. Gdyby nie ostrzeżenie od pani Kateliny, zostałbym ujęty. Można by rzec, że i ty dopomogłeś mi w ucieczce.

- Zapewne w taki sam sposób, w jaki przyczyniłem się do śmierci waszego brata - powiedział Nicholas.

- Och, pośrednio, oczywiście - rzekł de Riberac. - Innych działań nie podejmujesz. Katelina wiedziała, że musi mnie wyprowadzić ukradkiem. Wiedziała też, że w St. Mało stoi mój okręt. *St. Pol*. Nawiasem mówiąc,

byłbym wdzięczny, gdybyś powstrzymał się od używania naszego rodzowego nazwiska. Claes vander Poele brzmi nazbyt podobnie.

- Zapamiętam - powiedział Nicholas. - I umożliwiła wam wejście na okręt?

- Tak się złożyło, że znalazła się tam w twojej sprawie - dodał de Riberac. - To miało coś wspólnego ze strusiem. Czy powiedziałem coś bardziej dowcipnego niż zwykle?

- Owszem - odparł Nicholas. - Bez tego mój dzień byłby pusty. Czy to już wszystko, czego ode mnie chcecie?

Jego dziadek spojrział na niego.

- Mój drogi głupcze - rzekł. - Czegóż mógłbym chcieć od ciebie, prócz tego, że powiem, kogo masz uśmiercić, a kogo zachować przy życiu? Gdy przestaniesz być dla mnie użyteczny, nie będę cię już wzywał.

- Rozumiem - powiedział Nicholas i wstał. - Następnym razem być może zdobędziecie się na tyle odwagi, by wezwać mnie we własnym imieniu.

Tęgi mężczyzna zaśmiał się głośno.

- Nie mów o odwadze tak, jakbyś wiedział, co to jest. Z całą pewnością nie otrzymasz następnego wezwania od małżonki Szymona. A jeśli je otrzymasz, lepiej będzie dla ciebie nie usłuchać.

W drodze powrotnej do domu Nicholas niewątpliwie obraził bardzo wielu ludzi, tym razem bowiem nie widział i nie słyszał nikogo, póki nie wkroczył w progi domu przy ulicy Spangnaerts. Natknął się na Juliusza, który zapytał go o samopoczucie i zaraz odszedł. Musiał coś powiedzieć pozostałym, gdyż ani Tobie, ani Gregorio nie zbliżali się do niego, choć nagle uświadomił sobie, że dom i podwórze pełne są szeroko uśmiechniętych twarzy. Wstrząśnięty, przypomniał sobie o strusiu.

Jego własny pokój był pusty. Stał w nim przez chwilę, zamyślony, po czym - jako że należało ustalić pewne rzeczy - udał się do gabinetu Marian. Była tam z Bellobrasem, którego odesłała. Nicholas wdał się w wyjaśnienia, lecz wiedziała już o wszystkim, przypuszczalnie dlatego, że Juliusz nie utrzymał języka na wodzy. O wszystkim prócz ostatniego spotkania.

- Mniejsza o strusia - powiedziała. - Gregorio i Henninc poszli to naprawić i nawet Tommaso pogodził się z losem. Ma powiadomić księcia Francisco, że ptak jest chory i trzymać go przez osiem miesięcy, póki nie odrosną mu pióra.

- O ile potrafi utrzymać go przez osiem miesięcy - mruknął Nicholas i usiadł. - Chyba będę potrzebował opiekunów.

- Czy Juliusz rozmawiał z tobą? - spytała. Była blejsza niż zwykle, lecz jej oczy pozostały przejrzyste, stanowcze i ciepłe. Zauważył, że ma na sobie

wspaniały strój - i przypomniało mu się, że i ją zaproszono na pokład weneckiego okrętu.

- Powiedział mi, że są gotowi zostać. Mimo wszystko - odparł.

Oczekiwał natychmiastowej odpowiedzi, lecz nie usłyszał jej. Usłyszał pytanie, dopiero po chwili:

- A ty, Nicholasie, czy chcesz zostać?

Początkowo nie był pewien, jak ma odpowiedzieć. Poprzedniej nocy, gdy wiedział, że powiedziano jej wszystko o Jaaku de Fleury; gdy zdradziła mu, że Juliusz i inni wiedzą, co go łączy z Szymonem - rozmawiali, lecz ostrożnie. W końcu, kiedy skorzystała, zapłonią, z kobiecej wymówki, by spać samotnie - nie wiedział, czy to prawda, lecz cieszył się, że tak się stało. Jaki stopień dworności, jaki zapał byłby właściwy, gdy obdarza się kogoś wyłącznie czułością, nie przypieczętowując nowego, zagadkowego ślubowania ani nie zabiegając o nie? Nie wiedział i bał się próbować.

Teraz słuchał brzmienia jej głosu, usiłował odgadnąć wyraz jej twarzy i przypominał sobie, rzecz jasna, co Juliusz mógł jej powiedzieć. W końcu przemówił:

- To nie Katelina van Borselen czekała na mnie przy ulicy Srebrnej. Użyto podstęp. To był Jordan. Jordan de Ribera.

Jej twarz zabarwiła się rumieńcem, jak gdyby czuła to samo, co on.

- Nie zabili go - stwierdziła.

- Wymknął się. Pomogła mu Katelina van Borselen. Nie mówiła o tym Szymonowi.

Nie był pewien, czy jej to powiedzieć. Ona jednak myślała o czym innym.

- Ale on wie, że to ty go zdradziłeś? - zapytała.

- Nawet tego nie wie - odparł Nicholas. - Chciał mnie tylko ostrzec, żebym nie tykał Szymona. Ponieważ zacząłem mordować członków rodziny, zmuszony był przyznać mi posiadanie pewnych skromnych możliwości. Uważa także, że Szymon i Katelina mogą zagrażać tobie i kompanii... z mojego powodu. Chyba ma słuszość. - Umilkł, po czym dodał:
- Chciałbym zostać.

- Tak myślałam - rzekła Marian de Charety. - Ale czy nie idziemy dziś wieczorem na pokład galery?

- Tak - odpowiedział. - Cokolwiek się stanie, wybór będzie należał do ciebie. Uczynię, co zechcesz.

- Tak - powiedziała. - Wiem o tym.

Mieli teraz własną barcę, mogli więc popłynąć w towarzystwie innych łodzi zmierzających ku zatoce w Sluis. Ich wioślarze wyglądali nobliwie w błękitnych liberjach, a za ich plecami majaczył Loppe w wytwornym

stroju. Chciał płynąć z nimi. Dokładnie rok temu Loppe znajdował się, skuty łańcuchami, na pokładzie flamandzkiej galery i musiał nurkować na rozkaz kapitana. Od tamtego czasu służył już księciu Mediolanu i Feliksowi. Lecz teraz wracał do Sluis nie ze względu na dumę, lecz - gdyby ktoś go pytał - z powodu złego przecucia.

Przed wyruszeniem do Sluis Nicholas udał się samotnie do biura, gdzie - jak wiedział - mógł znaleźć Juliusza, Tobiego i Gregoria. Zdażył się już przebrać. Udając się na flamandzką galerę musiał włożyć szatę, którą kazał sobie uszyć na wielkanocne odwiedziny w domu Veere'ów. Od tego czasu szata w tajemniczy sposób pokryła się haftem i przybrała lepszym futrem. Zrobiła to Marian, która wybrała także nowy kubrak, równie dobrze uszyty jak jej własna adamaszkowa suknia.

Kosztowało go nieco wysiłku - jako że do odwagi odmówiono mu prawa - wkroczenie do biura i stanięcie z nimi twarzą w twarz, ze świadomością tego, co wiedzieli. Powiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy:

- Uważajcie, proszę, abym tym razem nie wpadł do wody. Mam na sobie wszystkie przyszłoroczne zyski, a także wasze zarobki.

Tobie bez uśmiechu wypróbował na nim badawczy wzrok bazyliuszka z Pawii.

- Przybył Prosper de Camulio - oznajmił. - Możesz się z nim spotkać.

- Tak, wiem - odparł Nicholas. - Słuchajcie. Gdy mowa o kompanii... powiedzieliście, że chcecie zostać. Być może jednak okaże się to trudniejsze niż przypuszczacie. Szymon zacznie sprawiać kłopoty. I de Riberac... jego ojciec jest na wolności. Widziałem się z nim dziś rano.

Widział namysł w twarzy Juliusza, który zapytał:

- *Siher Straete?*

- Tak. To był Jordan. Chciał po prostu upewnić mnie, że mój... że rodzina żąda mej krwi. Że zniszczą kompanię Charetty, jeśli zajdzie potrzeba.

- Zniszczenie kompanii Charetty nie będzie takie łatwe - odezwał się Gregorio. - Choć mówię to ja sam.

Patrząc na czarną czapkę i nos komedianta, nie powiedziałyby się, że Gregorio ma w sobie tyle niezłomności. Nicholas spojrział na niego z pierwszym, nikłym drgnieniem optymizmu.

- Czuję to samo co ty - powiedział. - To znaczy, nie mam nic przeciwko walce. Pytanie brzmi: gdzie ona przysporzy najwięcej korzyści?

- Mogę się domyślić - rzekł Tobie.

- Nie proszę o żadne obietnice - powiedział Nicholas. Spojrział w jasne oczy Tobiego, próbując odczytać ich wyraz.

- Nie składam ich - odparł Tobie. - Przypuszczam, że wiesz, na co się

porywasz? Cokolwiek się stanie, musisz zatrzymać Adorna po swojej stronie. Biskup i niektórzy Szkoci poprą Szymona. A księżę Mediolanu i jego sprzymierzeńcy są w tej chwili przyjaciółmi delfina, lecz to nie musi być trwałe.

Juliusz wpatrywał się z gniewem w Tobiego.

- Jeśli się boisz, wracaj do Lionetta - powiedziała.

Tobie popadł w zamyśleniu.

- Nie sądzę, by powitał mnie z otwartymi ramionami - rzekł wreszcie.
- Prawdopodobnie wie już o Nicholasie. Będę musiał zdać się na Astorre'a.

- Wszyscy chyba będziemy musieli zdać się na Astorre'a - powiedział Nicholas. Trzy pary oczu zwróciły się ku niemu. W owej chwili uznał, że lepiej będzie wstać i wyjść z pokoju.

Loppe czekał, by wejść na pokład barki za za Marian. Dziewczęta także chciały popłynąć na galere, lecz matka wyjaśniła im, że wizyta ma charakter handlowy.

Katarzyna znowu patrzyła inaczej na Nicholasa. Z kochanka matki przedzierzgnął się w zdumiewającą osobę, szalejącą po Brugii na grzbiecie oskubanego strusia. Nawet Tilda, powściągliwa i czujna, zmieniła nieco punkt widzenia. Zastanawiał się, dość chaotycznie, jak to samo wydarzenie wpłynie na postawę wielkich Wenecjan i ich współników. Wszystkie propozycje wycofane, a kontakty ucięte. I dobrze mu tak.

Było już ciemno. Juliusz zobaczył barkę na wodzie i stanął, patrząc za nimi, a światło lampy padało na jego ogorzałą, przystojną twarz. Miał zaintrygowaną minę.

Kiedy dołynęli do Sluis, wydało im się, że powrócił czas karnawału. Na brzegach kanału wisiały latarnie, a pochodnie płonęły wzdłuż fosy, murów miejskich i wież, podczas gdy forteca, dzwonnica i zamek połyskiwały i odbijały światło z oddali. Ale tłumy, przybyłe pieszo, na łodziach lub konno, stały zwrócone plecami do miasta i wpatrzone w zatokę, gdzie kołysała się na kotwicach setka obwieszonych latarniami, dużych i małych okrętów. Choragwie, namioty i proporce migotały pod wielkimi latarniami. Choragwie, namioty i proporce migotały pod wielkimi lampionami u szczytów masztów, niczym kwiaty wśród krzewów, barwami lazuru i indygo, cynobru i alizarynowej czerwieni, karmazynu i oliwkowej zieleni. Pośrodku, samotna ze swym brzemieniem świateł, kwiatów i muzyki, jedwabnych kobierców i rozkołysanych girland, stała główna galera weneckiej floty, podobna do dzieła złotnika.

Podejmujący gości Piero Zorzi w towarzystwie szlachetnych panów powitał na pokładzie drobną acz zamożną niewiastę, Marian de Charety, co do której otrzymał pewne polecenia.

W odbitym od zasłon różowym świetle jej twarz wydawała się mniej napięta niż w Hotelu Gruuthuse, gdzie musiała znosić obelgi, kierowane do jej męża-rzemieślnika. Opowiadając kolegom o tym wydarzeniu Zorzi ponownie wspomniał o swych obawach. Dla podtrzymania państwa Republika Wenecka korzystała, oczywiście, z wszelkich narzędzi, jakie miała pod ręką. Ich jakość bywała rozmaita. Z reguły jednak ludzie dobrze urodzeni okazywali pobłażliwość.

Ów młodzieniec budził jednak wątpliwości. Jeszcze dzisiaj Corner i Bembo oraz inni kupcy weneccy powiadomili o pewnej nieprzemysłanej eskapadzie. Nieroztropne dzieciaki drażniące dorosłych swymi eskapadami. Młody człowiek mógł być o stopę wyższy niż Messer Piero Zorzi i wystrojony w adamaszkową szatę przybraną futrem, lecz pozostawał przy tym farbiarskim czeladnikiem.

Trzeba było jednak mieć na względzie dobro Republiki. Wiodąc przez iskrzące się od klejnotów rozgadane towarzystwo dwójkę gości nie pasujących do reszty, wenecki dowódca wyraził (po włosku) nadzieję, że skorzystają z jego kajuty, w której niebawem zjawi się Messer Prosper Camulio z Genui i dwaj jego przyjaciele.

Goście znali włoski.

- A wy, komandorze? - spytała Flamandka.

- Niestety, wzywają mnie inni goście. Później z całą pewnością będę miał przyjemność dołączyć do was. Madonna, proszę tędy - uchylił zasłony.

Marian de Charetty przeszła obok wyciągniętego ramienia. Za zasłoną znajdowała się niewielka, wykładana drewnem komnata, oświetlona srebrnymi lichtarzami ściennymi. Podłogę pokrywał dywan, na którym ustawiono przymocowany stół, a po jego trzech stronach stały wyłożone poduszkami zydle. Weszła do środka, myśląc o Prosperze de Camulio, który miał zjawić się lada chwila i który będzie składał jej kondolencje z powodu śmierci dzielnego syna Feliksa, niegdysiejszego gościa jego mediolańskiego domu. Usłyszała szelest zasłony i oddalające się, sztywne kroki dowódcy.

U jej boku Nicholas drgnął nagle. Kajuta nie była pusta. Brodaty -mężczyzna, siedzący dotychczas w cieniu, wstał opierając obydwie dłonie o łaskę i wpatrzył się w przybyłych. Ciemnowłosa mężczyzna we florenckich szatach, o oliwkowej cerze i czarnych oczach, utkwionych w Nicholasie. Nie były to oczy Włocha; a jego czerwone usta rozchyliły się w leniwym, rozbawionym uśmiechu.

- Nie obawiaj się, Niccolò, mój przyjacielu - powiedział. - Nie mogę ci niczego odebrać. Nie musisz też przyjmować niczego, co chcę ci ofiarować.

Tuż obok odezwał się, po chwili milczenia, Nicholas:

- Miło mi to słyszeć.

Zaniepokojona brzmieniem jego głosu Marian podniosła oczy, lecz nie mogła odczytać wyrazu jego twarzy.

- Pani - przemówił Nicholas - pamiętasz Messer Nicholaia Giorgio de' Acciajuoli, który przed rokiem przejeżdżał przez Brugię w drodze ze Szkocji? Messer Nicholai, oto moja żona.

- Muszę wam powinszować - rzekł Grek. Grek z drewnianą nogą, który był świadkiem zatopienia armaty w Damme. Który jako pierwszy poddał Nicholasowi nęcącą myśl o ałunie z Fokai. Który wyczuwał od samego początku - czy to możliwe? - że tego oto młodzieńca może wykorzystać do własnych celów.

- Messer Prosper?... - zaczął Nicholas.

- Zjawi się tu później - oznajmił mężczyzna z brodą. - Wraz z Messer Caterinem Zeno i jego małżonką. Messer Caterino podpisał umowę o ałun, pani. Widzieliście chyba jego podpis. Z pewnością spodoba się wam ten człowiek. I jego żona, Violanta. Księżniczki Trebizondy słyną z urody.

- Usiądźmy zatem - powiedział Nicholas. - Zechcecie zapewne wkrótce przejść do interesów. - Ton jego głosu był znów spokojniejszy.

Grek z uśmiechem zrobił miejsce. Usiadła między dwoma mężczyz-" nami, twarzą do zasłony.

- Nasi przyjaciele nie przyjdą, póki ich nie wezwę - rzekł Grek. - Tak czy inaczej, wiecie, o czym będziemy mówili. Książę Mediolanu zaproponował waszej kompanii przedłużenie condotty na rok następny, lecz wy nie wyraziliście jeszcze zgody?

Marian zrozumiała, że Nicholas pozostawia jej odpowiedź na to pytanie.

- Nie - odparła spokojnie. - Lecz uczynimy to wkrótce. Po San Fabiano pan Federigo bardzo nalegał. Każdy konkurent będzie musiał zaproponować o wiele więcej.

- Kiedy spodziewacie się podpisać mediolańską umowę? - zapytał Grek.

Tym razem odpowiedział mu Nicholas.

- Jeszcze w tym roku, monsignore. Zamierzam udać się do Mediolanu w listopadzie.

Nie wiedziała o tym. Czekwała.

- Nie macie jednak, osobiście, nic przeciwko rozszerzeniu wpływów kompanii? - spytał Grek. - Rozwijające się przedsiębiorstwo budzi zawiść. Nikt nie chciałby skrzywdzić damy, lecz im większym powodzeniem cieszy się kupiec, tym mocniejszą wyzwala chęć odwetu. Wiele by mówić o możliwości przeniesienia przedsiębiorstwa w inne miejsca. Myśleliście już o Wenecji. Macie kontakty z Genuńczykami. Dzięki usługom kurierskim wkupiliście się w łaski Florentyńczyków. Pozostaje teraz wybrać scenę, na

której moglibyście czerpać zyski z wszystkich tych zdobyczy. Mówię, rzecz jasna, o Trebizondzie.

Podczas rozmów o interesach człowiek uczy się niczego nie okazywać. Marian de Charetty utkwiała spojrzenie w kamiennej twarzy Greka, jak gdyby propozycja wysłania niespełna dwudziestoletniego młodzieńca na krańce świata nie miała żadnego znaczenia. Trebizonda. Klejnot Morza Czarnego. Cenny ośrodek handlowy, którego utraty lękała się Wenecja. I który po upadku Konstantynopola był ostatnią na świecie częścią Imperium Bizantyjskiego, ostatnim dworem cesarskim, ostatnim skarbem królewskiej w Grecji.

Caterino Zeno, który podpisał ałunowy kontrakt w imieniu Wenecji, był mężem bizantyjskiej księżniczki. Wszystko zostało zaplanowane. Nic nie stało się przypadkiem. Potrzebowali Nicholasa do prowadzenia wojny, nie handlu. Lecz zarówno jedno jak i drugie stanowiło podwaliny przedsiębiorstwa Charettych.

- Mamy doskonały oddział - odezwał się Nicholas - wątpię jednak, czy kapitan Astorre zdoła sam jeden powstrzymać Turków. Czy o to pytacie?

- Ja? - zdziwił się Grek. - Ja niczego nie oczekuję. Przedstawiam różne możliwości, to wszystko. Wenecja ma w Trebizondzie własnych, choć ubogich, żołnierzy najemnych do ochrony kupców. Kupcy genueńscy mają swoją straż przyboczną. Prawdopodobnie nie będziecie im potrzebni. Sułtan popiera handel, a góry nie budzą zapału wojsk ottomańskich. Nie. Miałem na myśli możliwości handlowe. Jeśli kapitan Astorre zechce wam towarzyszyć, zostanie oczywiście serdecznie powitany. Sam cesarz okaże hojność. Wszystko jednak zależy od handlu. Od handlu i pieniędzy.

Marian uświadomiła sobie znowu, że Nicholas woli milczeć.

- O jakich dokładnie możliwościach mówicie? - spytała.

W świetle lamp oczy Greka wydawały się łagodne.

- Tej zimy, Monna Marian - zaczął - posłowie ze Wschodu dotrą do Italii, błagając o pomoc i przepędzenie niewiernych. Będzie wśród nich wenecki kupiec, Michele Alighieri. Poeta Dante był jednym z jego przodków. Mieszka w Trebizondzie i jest rzecznikiem cesarza Dawida. Podczas pobytu w Italii ma za zadanie powołać przedstawiciela Florencji w Trebizondzie.

- Florencki punkt handlowy na Morzu Czarnym? - upewniła się Marian - Florentycy wybiorą do tego kogoś z Medyceuszów.

- Ale oferta Florencji nie musi odpowiadać Trebizondzie i cesarzowi - uśmiechnął się Grek. - Konstantynopol stanowi zagrożenie. Sułtan Mehmed okazał nieufność wobec Genui. Cesarz Dawid może zatem nalegać, aby Florencja sama wybrała przedstawiciela: kompanię, która cieszy się

poparciem i Medyceuszów, i Wenecji. Kompanię, posiadającą własny oddział wojska. Taka siła, zakwaterowana w Trebizondzie, będzie bezcenna. Dla kupców. Dla cesarskiej rodziny. I otrzyma odpowiednie do tego wynagrodzenie. - Gładził brodę, obserwując ich równocześnie. - Nie wątpię w wasze powodzenie podczas wojen mediolańskich. Być może zawdzięczacie księciu więcej niż myślałem. Chciałbym tylko napomknąć, przyjaciele, że umowa z Trebizondą będzie gotowa na wasze skinienie. A udział... być może *przeważający... pewnego dnia nawet monopol... na cały wschodni handel jedwabiem.

Słyszała własny oddech. Nicholas stał, nie oddychając, a jego oczy lśniły jak monety. Rozmawiał z nią kiedyś, przelotnie, o tej możliwości. Wówczas wydawało się to snem, marzeniem zaczerpniętym z ksiąg. I nawet wówczas Nicholas wyobrażał sobie Juliusza na czele tej gałęzi przedsiębiorstwa. Juliusza, który miał udać się do Rzymu, Wenecji, a wreszcie daleko za Konstantynopol, na wybrzeże Morza Czarnego.

Teraz nie było mowy o Juliuszu, lecz o samym Nicholasie.

Milczenie przedłużało się, a on spuścił oczy. Wreszcie powiedział:

- Rozumiem. Ale chyba nie oczekujecie od nas natychmiastowej odpowiedzi. Musimy wiedzieć znacznie więcej. W listopadzie pojedę do Italii. Z pewnością spotkam się z Messer Alighierim. Chyba że...

Marian poczuła na sobie jego spojrzenie i pochyliła głowę w odpowiedzi na nieme pytanie.

- Nie wyrażam sprzeciwu - powiedziała.

- A zatem - odparł Grek - wezwę przyjaciół i razem napijemy się wina. Bez zobowiązań, rzecz jasna. Wenecja, Florencja i Genua. Turcy to osobliwi wspólnicy. Lecz z tego wyrastają fortuny, moi przyjaciele.

Potrafił zwinnie wstawać pomimo lekkiego kołysania statku. Nicholas podniósł się także i przytrzymał zasłonę, kiedy tamten wychodził. Później opuścił ciężką materię i stanął, wpatrując się w Marian.

- Spotkanie z Alighierim nie przesądza o niczym. Tu i teraz możemy przyjąć zamiast tego mediolańską condottę.

- Zaplanował to - powiedziała.

- A zatem wziął pod uwagę naszą odmowę - stwierdził Nicholas. - To ty zdecydujesz we właściwym czasie.

Patrzył na nią tak jak zawsze. Tak, jak to miał w zwyczaju. Z czułością i pewnym niepokojem, pod którym kryła się isierka podniecenia. Podniecenia na myśl o wielkiej wyprawie. Największej w życiu.

- Nie bądź głupcem, Nicholasie - rzekła. - To najlepsza sposobność dla tej kompanii. Boisz się?

Kupiec musi ukrywać swoje uczucia. Wciąż powtarzała to Feliksowi.

Wytrzymała wszechobejmujące, wielkoduszne spojrzenie, próbujące przeniknąć jej myśli, wypatrzeć rzeczywiste motywy. Wiedział, że mogą ją spotkać kłopoty, gdyby pozostał w Brugii i przyciągał uwagę Szymona. Nie wiedział, nie domyślał się źródła prawdziwych kłopotów, które ją czekały.

- Nie chcę wyjeżdżać - powiedział.

- Czy los nas wszystkich ma zależeć od twoich zachcianek? - zapytała. Zmarszczył czoło.

- Mamy czas do zimy - stwierdził.

- Nie, mój drogi - odparła. - Podejmiemy decyzję już teraz. Pojedziesz do Trebizondy. I pewnego dnia powrócisz z tym, co zyskasz.

Była to uczciwa propozycja, oparta na swoistym pojmowaniu sprawiedliwości. Marian de Charetty powiedziała niemal to samo Feliksowi po jego przeżyciach w Poorterslogie. Powiedziała, że on i Nicholas kiedyś zechcą ją opuścić.

Nie miała tak suchych oczu, jak by sobie tego życzyła - i ujrzała, poruszona, że Nicholas ukląkł u jej stóp i porwał jej dłoń, jak gdyby zamierzał ją zgruchotać. Później ucałował z namaszczeniem jej palce i wstał, trzymając je nadal w mocnym uścisku. Patrzyła na mocne, stwardniałe opuszki jego palców, wspominając chwile, gdy były niebieskie. Kroki, które słyszeli obydwój, rozległy się bliżej. Utkwiła oczy w ich splecionych dłoniach, nasłuchując odległego głosu Greka, zapraszającego kilka osób do kajuty. Prosper de Camulio, tak mówili. Caterino Zeno i jego żona Violanta. Violanta, księżniczka Trebizondy.

Splecione ręce opadły i stały się wspomnieniem. Nicholas stanął u jej boku i czekali. Ktoś uniósł zasłonę. Nie wiedziała, czego ma się spodziewać. Wtem poczuła zapach perfum - mocnych, kosztownych, niepokojących - i wiedziała już, co poświęca, komu i dlaczego.

Uczyniła krok naprzód i uśmiechnęła się - gdyż była kupcem.

KONIEC